

AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW

# NORA ROBERTS



## Przemiana

DZIEDZICTWO SMOCZEGO SERCA

Świat Książki

# NORA ROBERTS

## Przemiana

DZIEDZICTWO SMOCZEGO SERCA

Z angielskiego przełożyła  
Anna Zielińska

  
Świat Książki  
wydawnictwo

**Dla Laury i JoAnne,  
moich mądrych dziewczyn**



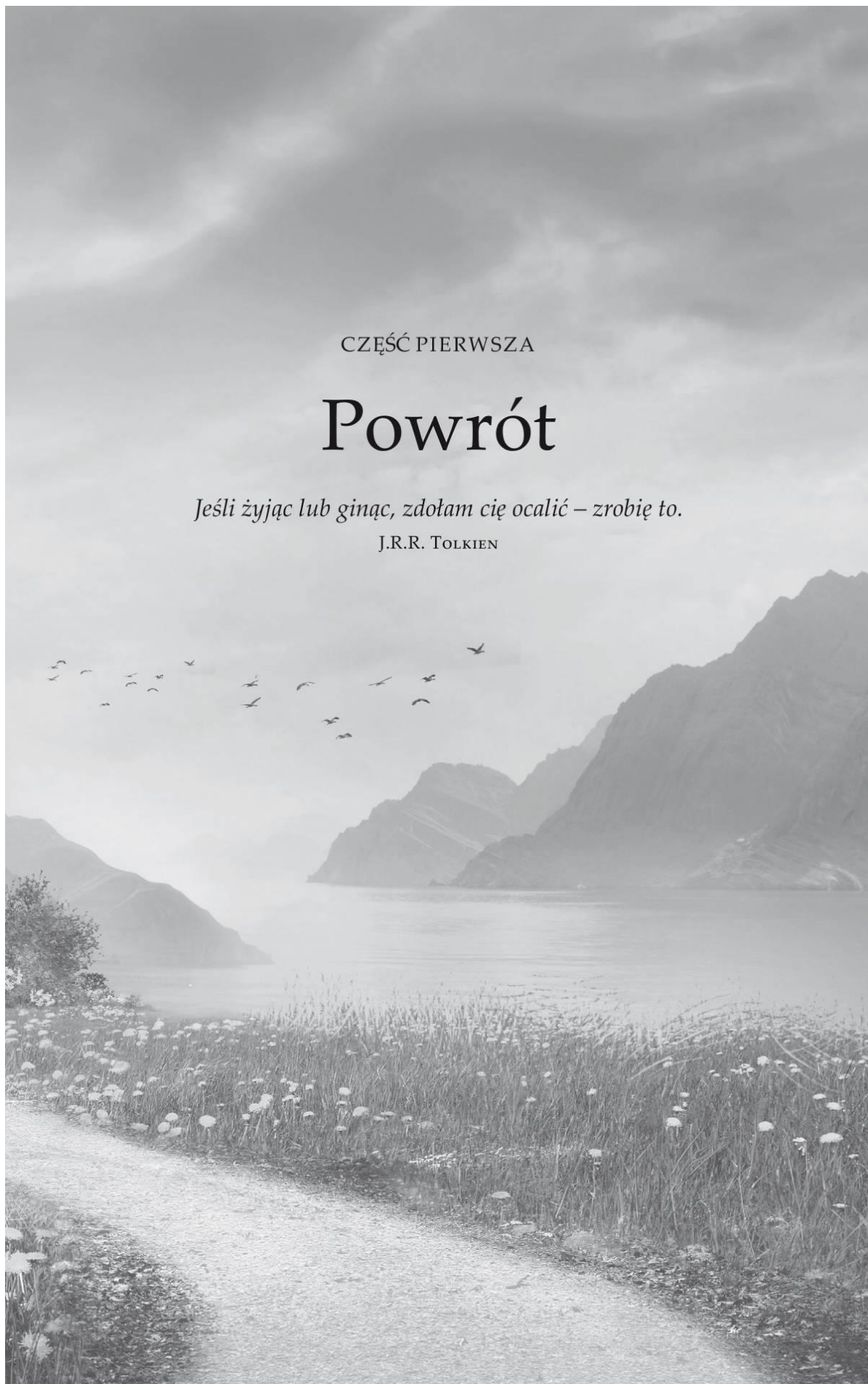


CZĘŚĆ PIERWSZA

# Powrót

*Jeśli żyjąc lub ginąc, zdołam cię ocalić – zrobię to.*

J.R.R. TOLKIEN



## Prolog

W wiekach prastarych świat bogów, ludzi oraz Fey istniały równolegle. W czasach pokoju i wojen, w latach tłustych i chudych te światy swobodnie się przenikały.

Wraz z obrotem koła czasu znaleźli się tacy, którym dążenie do zapanowania nad morzami i lądem na rzecz tego, co nazywali postępem, kazało odrzucić dawnych bogów i zastąpić ich bóstwami chciwości.

Strach i nienawiść rozkwitły na mierzwiwie zachłanności, żądzy i ambicji. Niektórzy bogowie, rozgniewani słabnącym poważaniem i brakiem hołdów, zmienili się w tyranów siejących spustoszenie. Jednak nie brakowało też mądrzejszych, bardziej powściągliwych bogów, którzy widząc nieuchronność obrotów koła czasu, przepędzili tych, co używali swojej potężnej władzy do mordowania i ciemnienia.

Gdy świat ludzi zmienił bogów w mityczne postaci, ci, co okrzyknęli się świętymi, prześladowali tych, którzy postanowili trwać w dawnej wierze. Te represje, liczne jak polne kwiaty na łące, oznaczały morze tortur i męczeńskich śmierci.

Bardzo szybko strach i nienawiść wycelowały swoje sękaty palce w lud Fey. Widzących, dawniej podziwianych za ich potęgę, przedstawiano jako wcielenie zła, Sidhe nie śmiały rozwijać skrzydeł ze strachu przed strzałą myśliwego, Hybrydów okrzyknięto potworami żywiącymi się ludzkim mięsem, a Syreny okrutnymi istotami wabiącymi żeglarzy w odmętę.

W światach szalały prześladowania wzniecane przez strach i nienawiść. W tamtych brutalnych, krwawych czasach kształtowanych przez tych, którzy twierdzili, że trzymają się zasad, ludzie walczyli przeciwko sobie, tępil Fey, a Fey toczyli walki między sobą.

I wtedy w Talamh, a także w innych światach nadszedł czas na dokonanie wyboru. Wódz Talamh przedstawił go wszystkim plemionom Fey. Zapytał, czy chcą porzucić stare obyczaje i przyjąć zasady oraz prawa ludzi, czy wolą odciąć się od innych światów i nadal żyć zgodnie ze swoim prawem i używać magii.

Fey wybrali magię.

W końcu po burzliwych, a zarazem rzetelnych naradach, jakich wymagały sporne kwestie, *taoiseach* i Rada osiągnęli kompromis. Spisano nowe prawa. Zachęcano wszystkich do podróży w alternatywne światy, do poznawania i zgłębiania tamtejszych obyczajów. Ustalono, że ci, którzy zdecydują się osiaść poza Talamh, dostosują się do zasad panujących w danym świecie i jednocześnie nie będą łamać praw obowiązujących w Talamh.

Magii nie wolno wykorzystywać do czynienia zła. Może służyć wyłącznie ratowaniu życia, jednak nawet w takich wypadkach należy wcześniej wrócić do Talamh i postąpić zgodnie z osądem sytuacji.

I tak przez wiele pokoleń udawało się utrzymać pokój w granicach Talamh. Niektórzy Fey przynosili się do odległych światów; a inni sprowadzali współmałżonków do Talamh. Zieleniły się pola, Trolle fedrowali w głębokich jaskiniach, w gęstych lasach roiło się od zwierzyny, a nad wzgórzami i morzami świeciły dwa księżycy.

Takie spokojne, zielone i żyzne krainy budzą pożądanie w mrocznych sercach. Bóg, kiedyś skazany na banicję, przeniknął przez światy do Talamh w niecznych zamiarach. Skradł serce młodziutkiej *taoiseach*, bo dziewczyna widziała go takim, jakim chciał, by go postrzegą. Przystojnym, dobrym i kochającym.

Spłodzili dziecko; to ono było jego celem. Dziecko, w którego żyłach boska krew ojca mieszała się z krwią młodej *taoiseach*, Widzących i Elfów.

Co noc, gdy matka spała odurzona zaklęciem, mroczny bóg wysysał moc z niemowlęcia, aby zwiększyć swoją potęgę. Na szczęście któreś nocy matka się przebudziła i ujrziała prawdziwe oblicze swojego małżonka. Ocaliła syna i poprowadziła Talamh do walki z upadłym bogiem.

Kiedy przegoniono go z Talamh wraz z garstką jego sprzymierzeńców i uszczelniono czarami wszystkie portale, młoda *taoiseach* oddała buławę i wrzuciła miecz z powrotem do Jeziora

Prawdy, aby podjął go stamtąd nowy wódz.

Wychowywała syna, a kiedy nadeszła pora, on zgodnie z wolą koła czasu wy dobył miecz z głębin jeziora i został kolejnym *taoiseachem*.

Ten mądry przywódca przez wiele lat utrzymywał pokój w Talamh. Podróżując po świecie ludzi, zakochał się w kobiecie. Sprowadził wybrankę do swojego świata, do swojego ludu i zamieszkał z nią na farmie, od pokoleń należącej do jego rodziny.

Para wiodła szczęśliwe życie, a dopełnieniem ich szczęścia stało się przyjście na świat córki. Przez trzy lata to dziecko, wzrastając pod czujnym okiem ojca, znało jedynie miłość, szczęście i spokój. Dziewczynka była prawdziwym cudem, bo z kolei w jej żyłach płynęła krew Widzących, Elfów, bogów i kobiety.

Mroczny bóg z pomocą przewrotnej wiedźmy przedostał się przez portal do Talamh, porwał małą i uwięził w szklanej klatce na dnie bladozielonej rzeki, żeby wysać z dziecka całą magiczną moc, gdy ono nieco podrośnie.

Tymczasem dziewczynka miała więcej siły, niż on podejrzewał, niż sama się spodziewała. Jej krzyki przedarły się przez portal do Talamh. Ten gniew roztrzaskał zaczarowane szkło i przepędził boga, gdy Fey pod wodzą jej ojca i babki ruszyli do ataku.

Trzylatce już nic nie groziło, zamek boga został zburzony, ochrona portali wzmocniona, jednak jej matka nie mogła odnaleźć spokoju.

Zażądała, aby we troje wrócili do świata ludzi, a mąż porzucił magię, która według niej stanowiła źródło wszelkiego zła. Z pamięci dziecka miały zniknąć wszystkie wspomnienia ze świata, w którym się urodziło.

*Taoiseach*, rozdarty między miłością do rodziny a poczuciem obowiązku wobec swojego ludu, żył w obu światach. Starał się tworzyć ciepły dom dla córki i wracał do Talamh, żeby jako przywódca zapewnić bezpieczeństwo jego ludowi i jednocześnie swojemu dziecku. Małżeństwo *taoiseacha* się rozpadło, a on sam zginął w kolejnej bitwie z ręki własnego ojca.

Dziewczynka dorastała w przekonaniu, że ojciec ją porzucił. Kształtowana przez dominującą matkę, która ze strachu o córkę umniejszała jej wiarę w siebie, przez co mała nie miała pojęcia o drzemającej w niej mocy.

W tym czasie kolejny młody chłopak podjął miecz z jeziora.

\*

I tak oboje dorastali w swoich światach. On zdecydowany bronić pokoju, ona zakomplexiona i nieszczęśliwa.

W Talamh wiadano, że zły bóg nadal zagraża wszystkim światom. Uderzy ponownie w poszukiwaniu krwi ze swojej krwi i gdy koło czasu się obróci, mieszkańcy Talamh już nie zdołają go powstrzymać.

Ona, która jest mostem pomiędzy światami, musi wrócić, przebudzić się i zdecydować, czy jest gotowa wszystko poświęcić i zaryzykować, pomagając zniszczyć boga.

Przyjazd do Talamh był dla dziewczyny początkiem podróży w głąb siebie. Z czułością prowadzona przez babkę coraz więcej dowiadywała się o sobie. I przebudziła się.

Tak jak wcześniej jej ojca, miłość i zobowiązania łączyły młodą kobietę z oboma światami. Miłość i zobowiązania ciągnęły ją do świata, w którym dorastała. W końcu wyjechała z Talamh, ale obiecała, że wróci.

Z rozdartym sercem, zostawiając za sobą wszystko, co znała, świadoma ryzyka, jakie podejmuje, szycowała się do powrotu do świata, w którym się urodziła. Czekali tam na nią *taoiseach* i cały Talamh. W chwili słabości opowiedziała o wszystkim najbliższemu przyjacielowi, swojej bratniej duszy.

Kiedy wchodziła do portalu, on, lojalny jak zawsze, wskoczył tam za nią. Zawieszona pomiędzy dwoma światami, dwiema miłościami i zobowiązaniami, zaczęła podróż ku swojej przemianie.

## Rozdział 1

Breen czuła, jak w wichurze szalejącej w portalu ręka Marco wymyka się z jej dłoni. Oślepiła ją jaskrawe światło, ogłuszał ryk wiatru. Wirowała niczym miotana huraganem. Keegan trzymał ją mocno za rękę, a ona rozpaczliwie zaciskała dłoń na palcach przyjaciela.

Nagle runęła w dół. Natychmiast owionęło ją chłodne, wilgotne powietrze, światło złagodniało, ucichł wiatr.

Przy zderzeniu z ziemią usłyszała chrupnięcie kości. Domyśliła się, że spadła na polną drogę wilgotną od padającej mżawki. Deszcz niósł zapach Talamh.

Zadyszana, przetoczyła się na bok i nachyliła nad Marco. Przeżony, leżał nieruchomo z szeroko otwartymi oczami.

– Nic ci się nie stało? Niech cię obejrzę. Marco, ty idioto! – Przesunęła dłońmi po jego ciele. – No, kości masz całe.

Pogładziła go po twarzy i obejrzała się na Keegana.

– Co to, do diabła, było? – naskoczyła na niego. – Nawet kiedy pierwszy raz przechodziłam, nic podobnego się nie działo.

Keegan przeczesał włosy palcami.

– Nie wziętem pod uwagę dodatkowego pasażera. Ani twojego cholernego bagażu. Niemniej przeniosłem nas, zgadza się?

– Chyba sobie kpisz.

Marco się poruszył. Breen odwróciła się do niego.

– Na razie nie próbuj wstawać. Będziesz miał zawroty głowy i nogi jak z waty, ale to minie. Wpatrywał się w nią brązowymi oczami. Szeroko otwartymi i szklanymi ze strachu.

– Czy przez to całe szaleństwo zostałam również lekarką?

– Niekoniecznie. Po prostu głęboko oddychaj. Co proponujesz? – warknęła do Keegana.

– Na początek spadajmy z tego deszczu. – Wyprostował się wkurzony i stał nad nimi wysoki, z ciemnymi włosami skręconymi z wilgoci. – Celowałem w podwórko przed chatą. – Machnął ręką w stronę farmy. – Niedaleko nas zniosło, biorąc pod uwagę, co się przyczepiło.

Teraz dopiero zauważyła zarys kamiennego domu po drugiej stronie drogi, jakieś kilkanaście metrów od nich.

– Marco nie jest czymś.

Keegan przykucnął nad nim.

– Dobra, bracie, wstawaj. Tylko powoli.

– Mój laptop! – krzyknęła Breen na widok torby na drodze.

Zerwała się na równe nogi, puściła biegiem i czym prędzej ją podniosła.

– Oto co się dla niej liczy – usłyszała.

Stała na drodze w deszczu, z laptopem przyciśniętym do piersi.

– Dla mnie jest tak ważny jak dla ciebie miecz.

– Jeżeli coś w tym pudle nawaliło, to je naprawisz – burknął Keegan do Marco. – A teraz się podnieś. Ostrożnie i powoli, właśnie tak.

Sposób, w jaki instruował Marco – łagodnie i spokojnie – przypomniał Breen, że Keegan potrafi być miły. Oczywiście, kiedy chce. Przewiesiła torbę przez ramię na pierś i dołączyła do nich.

– Będziesz miał zawroty głowy i poczujesz się zamroczony – uprzedziła przyjaciela. – Ja za pierwszym razem zemdlałam.

– Faceci nie mdleją. – Głowa mu opadła, a brodę oparł na podciągniętych kolanach. – My najwyżej padamy bez czucia albo tracimy przytomność, ale nie mdlejemy.

– No właśnie – poparł go radośnie Keegan. – Musimy cię postawić na nogi. Breen, mogłabyś pomóc?

– Muszę pójść po neseser.

- O bogowie, kobiety! – Keegan machnął dłonią i neseser znikł.
- Gdzie on się podział? – wyjąkał Marco, wytrzeszczając oczy. – Gdzie jest?
- Nie przejmuj się. Spróbuj wstać. Oprzyj się na mnie, jakoś się dowlecziemy.
- Nie czuję kolan. Nadal je mam?
- Dokładnie tam, gdzie powinny być.

Breen podbiegła i objęła Marco ramieniem z drugiej strony.

- Spokojnie. Dasz radę. To niedaleko, widzisz? Tam idziemy.

Postawił kilka niepewnych kroków.

- Mężczyźni nie mdleją, ale zdarza im się puścić pawia. Chyba mnie to czeka.

Breen nacisnęła dłonią na jego brzuch, żeby ewentualnie mu ulżyć. Trochę ją zemdliło, ale powiedziała sobie, że musi wytrzymać.

- Lepiej?

– No, chyba tak. Mam wrażenie, że śni mi się jakiś zwariowany sen. Breen miewa dziwaczne sny – rzucił bełkotliwie do Keegana. – Czasami dziwaczne i przerażające. Ten jest tylko dziwny.

Keegan machnął dłonią i brama na podwórko otworzyła się na oścież.

- O takie właśnie dziwy mi się śnią. Ale dobrze tu pachnie. Jak w Irlandii. Prawda, Breen?

- Tak, ale niezupełnie.

– To niesamowite. W jednej chwili stoimy w mieszkaniu w Filadelfii, a w drugiej leżymy plackiem na drodze w Irlandii. „Teleportuj mnie, Scooty”. Zupełnie jak w *Star Treku*.

– Niezła historia – stwierdził z uznaniem Keegan. Ruchem nadgarstka otworzył drzwi. – No, jesteście na miejscu. Wyciągnij się na tapczanie.

– Chętnie sobie poleżę. Zobacz, Breen, znalazł się twój neseser. Jak tu przytulnie. Swojsko i w starym stylu. Och, jak mi dobrze, Chryste, dzięki – mruknął, gdy ułożyli go na tapczanie.

- Widzicie, nie zemdlałem. I nie puściłem pawia. Na razie.

- Zaparzę ci herbaty – zaproponowała Breen.

Pokręcił głową.

- Wolę piwo.

– Kto by nie wolał? Zaraz przyniosę. Posiedź przy nim – rzucił Keegan do Breen. – Wyszusz go, uspokój.

- Powinien się napić tamtej herbaty, którą mi daliście za pierwszym razem.

- To, co jest w herbacie, może równie dobrze znaleźć się w piwie.

– Dragi, tak? – upewnił się Marco, kiedy Keegan wyszedł. – Bo on nam mnóstwo tego podsypał, skoro jesteśmy razem w tym porąbanym śnie.

- Nie, Marco. To nie sen.

Wyciągnęła rękę do ledwie żarzących się polan w kominku i zapłonęły trzaskającym płomieniem. Nie wstając z klęczek przy tapczanie, pozapalała świece. Wyszuszyła ubranie Marco, przesuwając po nim dłońmi. Rozdzieliła mu warkoczyki i tak samo je wysuszyla.

- Ja głosuję za zwariowanym snem.

– Dobrze wiesz, że to dzieje się naprawdę. Po co za mną wskoczyłeś? Czemu chwyciłeś się mnie i skoczyłeś?

– Nie mogłem pozwolić, żebyś beze mnie wleciała w tamtą świetlistą dziurę w naszym salonie. Byłaś zdenerwowana. Płakałaś. Ty... – Podniósł oczy na sufit. – Słyszę jakieś hałasy. Ktoś jeszcze jest w tym domu?

– Harken, brat Keegana. Mieszka tutaj. Jest farmerem. To ich farma. Kiedyś należała do mojego ojca. Tutaj się urodziłam.

Przeniósł spojrzenie z powrotem na nią.

- Tak ci powiedział, ale...

– To prawda, wiem od babci. Przypominają mi się różne rzeczy, które wcześniej gdzieś mi uleciały. Wszystko ci wyjaśnię, obiecuję, ale...

Przerwała, bo właśnie Harken z Moreną zeszli z góry. Niewątpliwie musieli ubierać się w pośpiechu, bo ona miała bluzkę na lewej stronie.

– Witaj w domu! – Morena z burzą potarganych płowych włosów podbiegła do Breen, przykucnęła obok i zamknęła ją w gorącym uścisku. – Jak dobrze cię widzieć. – Uśmiechnęła się do Marco z wesołymi iskierkami w niebieskich oczach. – Przywiozłaś przyjaciela. Jesteś Marco,



prawda? Babcia mówiła, że przystojniak z ciebie, a ona nigdy się nie myli. – Chwyliła go za rękę i energicznie nią potrząsnęła. – Babcia to Finola McGill, a ja mam na imię Morena.

– Aha.

– Jestem Harken Byrne, miło cię widzieć. Przejście było ciężkie, co? Szybko cię wykurujemy.

– Gotowe. – Keegan wrócił z kuflem.

Marco powiódł spojrzeniem po twarzach obu mężczyzn. Nie wyparliby się pokrewieństwa. Byli bardzo do siebie podobni; takie same mocno zaznaczone kości policzkowe, podobny wykrój ust.

– Piwo, tak? – Harken zerknął na kufel. – Hmm, o ile pamiętałeś, jak...

– To podstawowa mikstura, Harkenie. Radzę sobie z nimi nie gorzej od innych.

– Mikstura? – Marco dźwignął się na łokciu. Jego śniada cera lekko poszarzała. – Nie zgadzam się na żadne mikstury.

– To coś w rodzaju lekarstwa – uspokajała go Breen. – Od razu lepiej się poczujesz.

– Breen, może i cała wasza trójka robi dobre wrażenie, ale oni mogą cię wciągnąć do jakiejś sekty. Albo...

– Zaufaj mi. – Odebrała kufel od Keegana. – Zawsze sobie ufaliśmy. Wiem, że trudno w to wszystko uwierzyć czy choćby próbować ogarnąć rozumem. Ale ze wszystkich znanych mi ludzi tobie powinno łatwiej to przyjść, przecież wierzysz w wieloświat.

– A może ty jesteś jakąś podróbą, a nie moją prawdziwą Breen.

– Czy podróba wiedziałaby, że śpiewaliśmy w duecie piosenkę Lady Gagi, gdy dałeś sobie wytatuować irlandzką harfę w Galway? No, wypij łyżeczek. Albo czy spakowałyby różowy kubek w kształcie żaby, który ulepiłeś dla mnie w dzieciństwie.

– Zabrałaś go? – Upił mały łyk, gdy przyłożyła mu kufel do ust. – To wszystko nieźle namieszało mi w głowie.

– Znam to uczucie. Wypij jeszcze trochę.

Kiedy się napił, objął spojrzeniem trzy stojące nad nim postaci.

– Znaczący... jesteście jakby czarownikami i czarownicami?

– Ja nie. – Morena z uśmiechem rozwinęła fioletowe skrzydła o srebrnych brzegach. – Jestem wróżką. Breen też ma domieszkę krwi Sidhe, ale za mało, żeby urosły jej skrzydła. W dzieciństwie mi ich zazdrościła. – Przysiadła na brzegu tapczanu. – Bo widzisz, my bardzo się wtedy przyjaźniłyśmy. Jeszcze za młodu byłyśmy dla siebie niczym siostry, tak jak ty po tamtej stronie jesteś jej bliski jak brat.

Breen, siedząc w kucki na podłodze, pozwoliła Morenie przejść pałeczkę.

– Bardzo za tobą tęskniła latem – ciągnęła pogodnym tonem. – I bardzo przeżywała, że przemilczała przed tobą, swoim przyjacielem, to wszystko. A teraz ty, jako ten dobry i silny przyjaciel, będziesz ją wspierał, pomagał jej i trwał przy niej. Tak jak my wszyscy.

– Dobrze powiedziane – pochwalił ją półgłosem Harken, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Elik-sir uśmierzy zawroty głowy – pocieszył Marco. – I zobaczysz, zaraz zrobisz się głodny. Taka podróż wzmacnia apetyt.

– Powiedziałbym, że to dotyczy nas wszystkich – wtrącił Keegan. – Nie przeszliśmy przez Powitalne Drzewo. Musiałem otworzyć prowizoryczny portal, a na dodatek obliczyłem go tylko na dwie osoby.

– Rany, w takim razie umieracie z głodu. Zostało sporo potrawki z kolacji. Pójdę ją odgrzać.

– Czy wszyscy tutaj są tacy bardzo, bardzo ładni? – zastanawiał się na głos Marco.

Morena żartobliwie pacnęła go w ramię.

– Tobie też nic nie brakuje. Hmm, w kuchni średnio sobie radzę, lepiej niech Harken się tym zajmie. Rozumiem, że zostanieie tutaj do rana. Miejsca wystarczy.

– Wolałabym oszczędzić Marco kolejnego przejścia na drugą stronę w tak krótkim czasie, dlatego nie możemy wrócić do chaty. I raczej nie chciałabym budzić babci i Sedrica. – Breen podniosła wzrok na Keegana. – Będę wdzięczna, jeśli nas przenocujecie.

– Oczywiście, czujcie się jak w domu. No i jak tam, Marco, dochodzisz do siebie?

– Tak, już nieźle się czuję. Nawet lepiej niż nieźle. – Usiadł i marszcząc czoło, popatrzył na kufel. – Co tam jest?

– To, czego ci było potrzeba. Dopij piwo, bracie, a potem Breen przyprowadzi cię na kola-

cję. Harken jest całkiem niezłym kucharzem, nie pójdziesz spać głodny.

– Słuchaj, dziewczyno, musimy odbyć długą, poważną rozmowę – odezwał się Marco ze wzrokiem utkwionym w kufel, kiedy Keegan zostawił ich samych.

– Wiem i tak zrobimy. Wszystko znajdziesz na tamtym pendrivie, który ci dałam. Od samego początku, od tamtego spotkania Moreny z jastrzębiem w Dromland.

– Ona była tą sokolniczką?

– Tak.

– Dobra, w takim razie pożyczę twój laptop i poczytam sobie, co napisałaś.

– Tutaj laptop nie będzie działał. W Talamh nie korzysta się z technologii.

Ten wielbiciel wszelkich nowinek technicznych zrobił wielkie oczy.

– Robisz sobie jaja. Możecie podróżować przez światy, na odległość zapalać świece, rozwijać skrzydła, ale nie macie Wi-Fi?

– No właśnie. Wszystko ci wytłumaczę, obiecuję. Jutro przejdziemy na drugą stronę, do naszej chaty, naszej chaty nad zatoką. Będiesz mógł poczytać i zadzwonić do Sally. Uprzedzisz go, że przez kilka najbliższych wieczorów nie będzie cię w barze. Powiemy... powiemy, że postanowiłeś pojechać ze mną do Irlandii, zostać jakiś czas, pomóc mi się urządzać. Marco, nie możesz nawet słowem wspomnieć o tym, co tu widziałeś.

Patrzył na nią przerażony.

– Musimy znowu przejść przez jeden z tych portali?

– Tak, ale tym razem będzie łatwiej, obiecuję. Chodź, musisz podjeść i porządnie się wyspać. Jutro... resztą zajmiemy się jutro.

– Dużo jest tej reszty?

– Dużo. – Pogładziła go po twarzy i starannie przyciętej koziej bródce. – Bardzo dużo.

– Bałaś się wrócić. Widziałem. Czy to przez tę całą magię i skrzydlate wróżki? – Skinieniem głowy wskazał drzwi, za którymi zniknął Keegan i pozostali. – Bo tych tam się nie boisz. To też widzę.

– Nie, ich się nie boję. Marco, to długa historia. Dziś wystarczy, że ci powiem, że w grę wchodzi Wielkie Zło.

– Jak wielkie?

– Jak tylko może być. Okazałabym się naiwna, gdybym się nie bała, ale jestem silniejsza niż kiedyś. I zamierzam jeszcze bardziej się wzmocnić.

Podniósł się z tapczanu i wziął ją za rękę.

– Zawsze byłaś silniejsza, niż myślałaś. To miejsce ma u mnie plus, skoro pomogło ci wszystko rozumieć.

– To miejsce, ci ludzie i wielu innych. Chcę, żebyś ich wszystkich poznał, zanim wrócisz do domu. – Uścisnęła mu rękę. – A teraz chodźmy jeść, bo skręca mnie z głodu na zapach potrawy.

Nie próbował o nic więcej pytać, przede wszystkim dlatego, że to, co zdążył zobaczyć i usłyszeć, nie mieściło mu się w głowie. I chociaż po kolacji był przekonany, że nie zmruży oka, zasnął, gdy tylko padł na łóżko, które wskazał mu Keegan.

Zdziwił się, że obudziło go pianie koguta. Na dodatek zamiast we własnej sypialni leżał w pokoju z pęlgającym ogniem w kominku i bladym słońcem sączącym się przez koronkowe firanki w oknach.

Świadomość, że to wszystko, co działo się wieczorem, wcale nie było snem, wzmogła niepokój.

Chciał zobaczyć się z Breen, ale nie wiedział, gdzie jej szukać. Musiał napić się kawy, wziąć długi, gorący prysznic, lecz nie miał pojęcia, czy trafi do kuchni i łazienki.

Podniósł się z łóżka i dopiero wtedy zobaczył, że spał w ubraniu. On, taki esteta! Może któryś z tych braci przystojniaków pożyczy mu jakieś ciuchy, gdy już weźmie ten prysznic.

Spojrzał na zegarek – który oprócz pokazywania godziny, monitorował długość snu oraz liczbę kroków – i skrzywił się na widok czarnej tarczy.

Po cichu wyszedł z pokoju – kto wie, która mogła być godzina – i na palcach zszedł na parter.

Usłyszał kobiece głosy i podążając za nimi, trafił do kuchni; tej samej, którą widział wczoraj.

Breen z Moreną siedziały przy niedużym roboczym blacie, służącym jako stół.

– Obudziłeś się. – Breen zerwała się z krzesła. – Sądziłam, że dłużej pośpisz.

– Chyba słyssałem koguta.

– No wiesz, jesteś na farmie. Siadaj, zrobię ci herbaty.

– Kawy, Breen. Oddam życie za kawę.

– Hmm. Cóż...

Przycisnęła dłoń do oczu.

– Nie mów mi tego.

– Mieszanka herbat jest naprawdę mocna. Idealnie stawia na nogi. Jesteś głodny?

– Muszę wziąć prysznic.

Ponownie posłała mu przeproszające spojrzenie.

– Hmm. Cóż...

Opadł na krzesło i oparł głowę na rękach.

– Jak w ogóle można przeżyć dzień bez porannej kawy i prysznic?

– Mamy toalety – wyjaśniła Morena. – I wygodne duże wanny.

– Marco nie lubi moczyć się w wannie.

– Bo siedzisz w brudach, które z siebie zmyłeś.

– Poniekąd masz rację – przyznała Morena. – Mogę ci załatwić prysznic na zewnątrz.

– Poważnie?

– Wróżki mają powiązania z żywiołami. Chcesz kawałek miejsca z ciepłym deszczem?

Pomogę ci. Oczywiście na zewnątrz.

– Jasne, pewnie. Na zewnątrz. – Odebrał kubek od Breen i duszkiem wypił herbatę. Zamrugał zaskoczony. – Chyba rozpuściła mi szkliwo na zębach. Jest jakaś szansa na pożyczanie świeżych rzeczy?

– Masz mniej ciała od Harkena, ale postaram się wybrać koszulę i jakieś spodnie dla ciebie.

Poszukajmy miejsca na twój prysznic. – Sięgnęła po kostkę brązowego mydła z kredensu. – Podobają mi się twoje dredy – zauważyła, otwierając drzwi na podwórze. – Nie miałabym cierpliwości zapłatać tyłu warkoczy. Chodźmy za mały silos. Nikt nie będzie cię tam widział.

– Dzięki.

– Przyjaciel mojej przyjaciółki jest moim przyjacielem. Stań na trawie, bo inaczej skończysz po kostki w błocie. – Oparła dłonie na biodrach. – Jaka woda?

– Gorąca. Znaczący, nie ma parzyć, ale niech będzie porządnie podgrzana.

Morena w spodniach wsuniętych w wysokie buty i w bluzce, tym razem na prawej stronie, uniosła wysoko otwarte dłonie. A potem zgięła palce, jakby chciała coś w nie chwycić.

Powierzchnię mniej więcej jednego metra kwadratowego zmoczyły pierwsze krople; drobne, delikatne jak piórka. Kiedy mocniej zwinęła palce, deszcz przybrał na sile.

Marco wiedział, że stoi z otwartymi ustami i raczej wypadałoby je zamknąć.

– Zobacz, czy taki strumień ci odpowiada, czy może wolisz cieplejszy.

Wyciągnął rękę. Sprawdził temperaturę, deszcz, ten cały cud.

– Tak, jest w porządku. Jezu... niesamowite. Nie wiem, jak to wszystko ogarnąć.

– Uważam, że całkiem dobrze ci idzie. – Morena cofnęła się parę kroków. – Przyniosę ci coś do ubrania i ręcznik.

– Dzięki. Ehm. Jak to zakręcić?

– Wyznaczyłam piętnaście minut. Lepiej się pośpiesz.

Zniknęła, a on zmarnował prawie minutę, gapiąc się na magiczny prysznic, zanim wreszcie ściągnął ubranie i wszedł pod rozkoszny strumień deszczu.

Kiedy przebrał się w rzeczy, które zapewne uchodziły za szczyt wioskowej elegancji, i wzmocnił grzanką ze smażonym jajkiem, poczuł się prawie normalnie.

– Wiem, że czeka nas rozmowa – zaczęła Breen – i powrót do chaty, ale najpierw muszę zajrzeć do babci, no i odebrać Fafla.

– Chcę zobaczyć tego psa i oczywiście, poznać twoją babcie.

– Mieszka niedaleko. Okazja do spaceru po ładnej okolicy.

– Niech ci będzie. Próbuję to jakoś przyjąć do wiadomości. – Wyszedł za nią na dwór. –

Tutaj wszystko wygląda jak w Irlandii. Oni mówią jak Irlandczycy. Jesteś pewna, że to...

– Tak. Chciałeś zadzwonić z komórki, prawda?

Poklepał się po kieszeni pożyczonych spodni.

– No. I nic. Och, właśnie, przed godziną wzięłem magiczny prysznic. Najlepszy w życiu. Ale to wszystko wydaje się jakieś nierzeczywiste.

– Wiem.

– Niby jest zatoka, ale jakaś inna od tamtej w pobliżu naszej chaty w Irlandii. W oddali widzę góry, ale one też się różnią. Dokoła rosną kwiaty, jest mnóstwo owiec i krów. No i te konie. Konie na farmie. Uczylaś się jeździć na którymś z nich?

– Taak. – Postanowiła nie pokazywać mu placyku na farmie, gdzie pod okiem nieugiętego Keegana uczyła się, z marnym skutkiem, władać mieczem. – Tutaj musisz jeździć konno. Nie ma samochodów.

– Nie ma samochodów.

– Nie ma techniki, żadnych mechanicznych urządzeń. Wybrali magię.

– Nie ma tostera – przypomniał sobie. – Opiekają chleb na ruszce w piecyku na drewno. Wodę czerpią ze studni albo załatwiają ją wróżki. Dobrze ci z tym było?

– Po drugiej stronie miałam chatę, którą znasz, i tam pracowałam. A tutaj też można pisać – w magiczny sposób. Marco, to miejsce jest takie nieskalane, spokojne, bliskie natury. Chyba się w nim zakochałam.

– Pamięć sensoryczna – kojarzysz? Powiedziałaś, że tutaj się urodziłaś. Czy ja dobrze widzę? Te dwa ciacha, tam na polu?

– Ciacha? Och! – zaśmiała się i wzięła go pod rękę. – Tak, to oni. Harken jest farmerem z krwi i kości, a Keegan raczej wojownikiem, ale nie stroni od pracy na farmie. Spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność, bo jest *taoiseachem*.

– Kim?

– Wodzem. Przewodzi Talamh i całemu ludowi Fey.

– Król Keegan, tak?

– Nie, nic takiego. – Jakie to dziwne, pomyślała, tłumaczy Marco rzeczy, których sama się nauczyła czy też poznała zaledwie parę miesięcy wcześniej. – Tutaj nie ma żadnych królów ani władców. On jest przywódcą. Wybrany i wybierającym. To długa tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mają tu jezioro... – przerwała, bo Marco chwycił ją w pól.

– Ja chrzanię, Breen. Uciekajmy. Pędźmy do tamtego lasu.

– Co jest? Och nie, nie, spokojnie. To tylko smok Keegana.

– Jego, kurde, co?

– Odetchnij. Oni tutaj mają smoki, nie, nie takie, które w bajkach pożerają niewinne księżniczki. Na jednym nawet leciałam.

Nadal trzymał ją w ciasnym uścisku.

– Ni cholery, niemożliwe.

– Możliwe i było wspaniale. One są bardzo lojalne i oddane. A do tego piękne. Mój ojciec też miał smoka.

– Lepiej siądę. Nie będę na tobie wisiał, dziewczyno, a czuję, że znowu mam miękkie kolana.

Zanim zdążył opuścić się na ziemię, dobiegło ich radosne szczekanie. Fąfel z kosmatym czubem i brodą, podrygującymi w rytm susów, pędził ku Breen.

– Jesteś! Znalazłeś mnie. – Zatoczyła się roześmiana, kiedy z impetem wspiał się na nią przednimi łapami, cały roztańczony od czuba na łbie po cienki ogon. – Jak ty urosłeś. Jesteś prawie równy ze mną. Też za tobą tęskniłam. Bardzo tęskniłam.

Usiadła na drodze i tuląc psa, pozwoliła mu się całować.

– To jest Fąfel.

– Domyśliłem się. Rzeczywiście, on ma fioletową sierść, tak jak mówiłaś. *Purple Haze*, jak ta piosenka Hendrixa. Może powinnaś nazwać go Jimi. Fajny jesteś, pieseczku, fajny od czubka nosa po koniec ogona.

Przykucnął, zapominając o smoku. Fąfel, wachlując ogonem, nagrodził go czułymi liźnięciami.

– On mnie polubił!

– To najśłodszy pies pod słońcem. Babcia wie, że już jestem. Na pewno, skoro on wybiegł mi na spotkanie. Chodźmy z nią się przywitać.

Fąfel podbiegał do przodu, machał ogonem, czekał i wracał do nich.

– Szczęśliwy psiak. A twoja babcia kim jest?

– Pochodzi z Widzących. Jest czarownicą z domieszką elfiej krwi. W przeszłości była *taoiseachem*.

– Aha, czyli obowiązują kadencje.

– Nie, ona zrezygnowała. Po niej był ktoś inny, potem mój tata, a teraz jest Keegan. Wyjaśnię ci przy okazji.

– A twój dziadek?

– Nie ma go tutaj i lepiej, żeby tak zostało. To on jest tym Wielkim Złem. – Skręciła na drogę do chaty Mairghread. – Mam ci tyle do opowiadania.

– Coraz więcej się tego zbiera.

– Pozwoliła mi wyjechać, chociaż bardzo cierpiała. Po śmierci taty przysyłała tamte pieniądze, które matka przede mną ukrywała. I z pewnych powodów, z których jeden już teraz mogę ci wyjawić, sprawiła, że je znalazłam, bo wiedziała, że czułam się nieszczęśliwa. Potem wybór już należał do mnie. Mogłam rzucić pracę w szkole i przylecieć do Irlandii. Wyczarowała tamtą chatę nad zatoką i przysłała Fafla. To on mnie tutaj doprowadził.

Ona mnie kocha tak, jak kiedyś tata, którego ledwo pamiętam. Tak samo jak ty, Derrick i Sally mnie kochacie. Bezwarunkowo. I otworzyła mi świat.

– Już czuję, że też ją pokocham.

Pośród morza kwiatów, nad którymi unosił się zapach jesieni, stała solidna chata z kamiennych ciosów, kryta strzechą. Otwarte, jaskrawoniebieskie drzwi zapraszały do środka.

Mairghread wyszła na próg ubrana w długą suknię w kolorze leśnej zieleni. Ognistorude włosy miała ułożone w koronę. Z zamglonymi ze wzruszenia niebieskimi oczami przycisnęła dłoń do serca.

– Jesteście jak dwie krople wody – wyszeptał Marco. – A ona wcale nie wygląda na babkę.

– Wiem. Babciu!

Marg otworzyła ramiona, a Breen się w nie wtuliła.

– *Mo stor*. Witaj w domu. Tak się cieszę. Moja słodka dziewczynka. Jesteś szczęśliwa. – Ujęła w dłoń jej twarz. – Czuję to i widzę. Moje serce przepelnia radość.

Ponownie przytuliła Breen i ponad ramieniem dziewczyny uśmiechnęła się do jej towarzysza.

– Ty jesteś Marco, prawda?

– Tak, proszę pani.

– Witaj, zawsze będziesz tu mile widziany. – Wyciągnęła do niego dłoń. – Moje drzwi są dla ciebie otwarte. Miałeś dziwną podróż. – Na moment przytrzymała w uścisku rękę Marco, obejmując spojrzeniem jego twarz; ciemne oczy, schludną kokię bródkę i nieśmiały uśmiech. – Jesteś dobrym przyjacielem mojej Breen Siobhan i dobrym człowiekiem. Widzę to i dziękuję bogom. Wejdźmy do środka i usiądźmy.

Przeprowadziła ich do kuchni przez salon z ogniem jarzącym się w kominku i miękkimi kanapami zarzuconymi haftowanymi poduszkami.

– Kuchnie są dla rodziny. Napijemy się herbaty, a Sedric rano upiekł cytrynowe ciasteczka.

– Gdzie on jest?

– Och, kręci się po okolicy – wyjaśniła Marg.

– Nie, babciu, ja zaparzę herbatę, a ty posiedź z Marco.

– Zgoda. – Marg usiadła przy małym kwadratowym stole i gestem dłoni zachęciła chłopaka, żeby do niej dołączył. – A więc jesteś muzykiem.

– Próbuje nim być. – Teraz widział, że Breen odziedziczyła rysy po Marg i po swoim ojcu, człowieku, którego pokochał. – Oplacam czynsz, pracując w barze.

– U Sally. Breen opowiadała mi o nim, o Derricku i lokalu, który prowadzą. Sedric mówił, że ludzie dobrze się tam bawią.

– Zajrzał do nas?

– To ten srebrnowłosy mężczyzna, który według ciebie był wytworem mojej wyobraźni – wtrąciła Breen, odmierzając liściastą herbatę z jednego ze słojów na półce.

– Och, wybacz.

– Widzisz, my martwiliśmy się o Breen. Coraz bardziej w ostatnim roku czy dwóch. Wbrew sobie chodziła do tamtej szkoły, bo nie czuła powołania do zawodu nauczycielki.



– Bo go nie miałam. – Breen wrzątkiem z miedzianego czajnika na kuchni zalała liście herbaty w niebieskim imbryku i sprawdziła, czy opadły na dno.

– Może i nie miałaś, ale byłaś dobrą nauczycielką, po prostu nie doceniałaś swoich umiejętności. I to właśnie mnie martwiło. – Przeniosła wzrok na Marco. – Ona miała takie niskie mniemanie o sobie, takie skromne oczekiwania.

Ośmieliło go podobieństwo łączące babkę i wnuczkę. Jej słowa były miodem na jego serce.

– Nic dodać, nic ująć.

Marg przyjęła ze śmiechem jego uwagę i przechyliła się konfidencjonalnie nad stołem.

– Farbowała na brązowo te cudowne włosy, żeby przypadkiem nikt ich nie zobaczył, ukrywała zgrabną figurę pod niemodnymi ubraniami.

– Trafiła pani w samo sedno.

Marg ponownie się roześmiała, a Breen przewróciła oczami.

– Może wolicie zostać sami? – zapytała, stawiając imbryk na stole.

– Matka tak na nią wpływała – odezwał się Marco, dopiero kiedy Breen poszła po białe kubki oraz talerzyki. – Pani Kelly zawsze była dla mnie miła, ale...

– Nie usłyszysz ode mnie złego słowa na jej temat. Matka to matka, a Breen była owocem miłości Jennifer i Eiana.

– Uwielbiałem go. Szczerze mi żal, że odszedł. Dzięki niemu zająłem się muzyką, to on nauczył mnie grać. Podarował mi gitarę na dziewiąte urodziny i odmienił mój świat.

– Wspominał o tobie.

– Naprawdę?

– Tak, i to często. Dzięki mojemu synowi znałam cię jako chłopca. Jaki talent, mówił, co za błyskotliwość. Twierdził, że nie mógłby wymarzyć lepszego przyjaciela dla swojej córki. On cię kochał, Marco.

Ze łzami w oczach sięgnęła po jego dłoń i serdecznie ją uścisnęła.

– Skoro tak się złożyło, że tutaj się znalazłeś, Breen pokaże ci, gdzie Eian spoczywa. To święte miejsce. Wiem, że twoja wizyta nie była planowana, ale szczerze mówiąc, jestem zadowolona, że tu przybyłeś. Cieszę się, że mam okazję poznać najdroższego przyjaciela Breen po tamtej stronie.

– Jakoś nie potrafię się tutaj odnaleźć.

– No cóż, trochę tego dużo, prawda?

– Wszystko działo się błyskawicznie, nie zdążyłam go uprzedzić. – Breen postawiła patere z ciasteczkami i zaczęła nalewać im herbaty. – Przejdziemy do chaty nad zatoką, jeżeli nie masz nic przeciwko temu – zwróciła się do babki.

– Naturalnie, że nie. Przecież należy do ciebie. Finola właśnie zaopatruje was w zapasy. I nie może się doczekać, kiedy znowu zobaczy przystojnego Marco.

Chłopak lekko się zarumienił.

– Nie musiała tego robić. Moglibyśmy pojechać na zakupy do wsi. Jezu, Breen, nie wymieniliśmy pieniędzy. Nawet nie wiem, ile mam kasy przy sobie.

– W Talamh pieniądze nie są potrzebne.

– No to skąd bierzecie różne rzeczy?

– Wymieniamy się towarami i usługami – wyjaśniła Marg i upiła łyk herbaty. – I z radością zajęliśmy się przygotowaniem Fey Cottage na wasz przyjazd.

– Breen mówiła, że najpierw tata, a potem babcia wysyłali jej pieniądze.

– Tak było. Zawsze znajdzie się sposób na ich zdobycie. Trolle fedrują pod ziemią, no i nie brakuje u nas rzemieślników. Po drugiej stronie, w innych światach mamy swoich ludzi zajmujących się handlem.

– To odmieniło jej życie. Nie same pieniądze, ale świadomość, że ojciec o niej pamiętał. Mogła rzucić to, czego tak bardzo nie znosiła, i skupić się na tym, co ją pociąga.

Spojrzał na Fafla, chrupiącego przysmak podsunięty mu przez Breen.

– No i jest książka o tym łobuziaku. Kapitalna. Czytała ją pani?

– Tak. Świetnie napisana i zabawna, zupełnie jak jej bohater.

– Breen jest w trakcie pisania kolejnej, tym razem powieści dla dorosłych. Nie pozwala mi jej przeczytać.

– Ani mnie.

– Daleka droga do końca – odezwała się autorka. – Nie wiem, skąd wzięło się u mnie takie wrażenie, że powinnam pójść na spacer i zostawić was samych.

– Mamy dużo do nadrobienia, prawda, Marco?

– Tak, proszę pani.

– Och, mów mi Marg, tak jak wszyscy. Albo jako brat mojej wnuczki nazywaj mnie Babcia.

W chwili, gdy to mówiła, otwarły się kuchenne drzwi i Marco po raz pierwszy zobaczył srebrnowłosego mężczyznę.

Breen zerwała się z krzesła i rzuciła mu się na szyję. Marco widział, że to spontaniczne powitanie nieco go zaskoczyło, ale i bardzo ucieszyło.

– Witaj w domu, Breen Siobhan. Witaj, Marco Olsenie.

– Pan naprawdę istnieje. Przepraszam, że w to nie wierzyłem.

– Och, cóż, nie jesteś jedyny.

– Siadaj, proszę cię, usiądź – nalegała Breen. – Przyniosę krzesło od biurka z mojego pokoju. Nadal tam jest?

– Zawsze będzie – zapewniła ją Marg.

Breen dostawiła jeszcze jedną filiżankę i talerzyk deserowy.

– Po powrocie do Filadelfii poszłam porozmawiać z matką... Nie było łatwo.

– Wiem, kochana – odezwał się Marco.

– Kiedy od niej wyszłam, żeby się uspokoić, kawał drogi pokonałam pieszo. Zataiła to wszystko przede mną, moje pochodzenie, mój dar. Zamknęła mnie w pudełku. Rozumiem, że robiła to ze strachu o mnie – zastrzegła, zanim Marg zdążyła otworzyć usta. – A kiedy w końcu usiadłam na przystanku autobusu, zobaczyłam Sedrica. Czekał na mnie, bo w tamtej chwili bardzo potrzebowałam wsparcia. Nigdy tego nie zapomnę. I zawsze będę pamiętać, co powiedział mi Keegan. Że jej zachowanie świadczyło o strachu przede mną. Kim jestem, co mam. I myślę, że właśnie dlatego kiedyś będę mogła matce wybaczyć. Ech, lepiej pójdę po to krzesło.

– Spadnie jej kamień z serca, kiedy dojrzyje do wybaczenia – powiedziała z westchnieniem Marg, gdy Breen zniknęła za drzwiami. Podniosła imbryk i naląła herbatę Sedricowi. – A teraz, Marco, pomyśl, czego potrzebujesz w czasie pobytu tutaj, bo przecież nie miałeś czasu zabrać żadnych rzeczy, no i może masz jakieś życzenia? Zrób listę dla Sedrica, a on wszystko załatwi.

– Może pan to zrobić?

– Mogę, i z przyjemnością się tym zajmę.

– Bo pan jest... czarnoksiężnikiem? Magiem?

– Po trosze. Jestem Hybrydem.

Ręka Marco zawisała nad paterą z cytrynowymi ciasteczkami.

– Wilkołakiem?

– W żadnym razie, chociaż mam wśród nich paru znajomych. I zapewniam cię, że oni wcale nie są żadni ludzkiego mięsa i krwi w pełni księżyca. Jestem kotołakiem.

– Coś jakby lwem?

Marg zachichotała i machnęła ręką.

– No, Sedricu, zademonstruj to młodzieńcowi.

Sedric z uśmiechem wzruszył ramionami i zmienił się w kota. Fąfel pod stołem entuzjastycznie zamachał ogonem, bijąc nim o podłogę.

Oślupiały Marco znieruchomiał z wytrzeszczonymi oczami.

– Och! – Breen wróciła z krzesłem. – Dotąd tego nie widziałam. Jak łatwo ci to przychodzi!

Kot na powrót stał się człowiekiem i podniósł filiżankę.

– Jesteśmy jednością; człowiek i duchowe zwierzę. Geny czarowników odziedziczone po przodkach ułatwiają mi podróże pomiędzy światami. Powiedz, czego potrzebujesz, a ja ci wszystko dostarczę.

Marco podniósł palec.

– Na pewno przyda się dużo wina.

– Mamy tutaj nieco pysznego wina – zaczęła Marg.

– Dzięki, ale nawet po tym wszystkim dla mnie pora jest trochę za wczesna. Może później się napijemy. Czego potrzebuję, jeszcze nie wiem, to zależy. Breen bała się wracać. Była cholernie zdecydowana, a jednocześnie wystraszona. Keegan coś powiedział – to wszystko działa się tak szybko i beładnie – coś o tym, że może ją zwolnić z obowiązku, z przyrzeczenia.

– Tak było? – upewniła się Marg.

– Taak. Wtedy ona mi powiedziała o Wielkim Złu i wszystko wyjaśniła. Ale nie będę wiedział, czego potrzebuję, dopóki nie usłyszę, dlaczego ten ktoś chce skrzywdzić Breen.

– Nie powiedziałaś mu o Odranie?

– Babciu, nie wiedziałam, że on wskoczy za mną do portalu, a później, jak się domyślasz, był wstrząśnięty i fatalnie się czuł. Wszystko spisałam, chcę, żeby Marco najpierw to przeczytał, a potem porozmawiamy.

– O najważniejszych sprawach powinien dowiedzieć się tutaj i teraz, a parę łyków jabłkowego wina nikomu nie zaszkodzi, niezależnie od pory.

Sedric położył dłoń na ramieniu Marg.

– Ja się tym zajmę.

## Rozdział 2

– Kiedy byłam młoda – zaczęła Marg – znacznie młodsza od ciebie, wydobyłam miecz z jeziora, przejęłam buławę i zostałam *taoiseachem*. Odran przybył do Stolicy i zobaczyłam go takim, jakim chciałam, żeby go widziała; przystojnym, szarmanckim, czarującym i romantycznym. Zakochałam się w iluzji i wyszłam za niego za męża.

Opowiadała o ich powrocie na rodzinną farmę w dolinie, o miesiącach, kiedy oszukiwał ją i jej bliskich, o przyjsciu syna na świat, radości, jaką dawało jej dziecko.

Później, kiedy ocknęła się z narkotycznego snu, ujrzała prawdziwe zamiary Odrana. Nocami wysysał moc z dziecka, żeby zwiększyć swoją potęgę. W Talamh rozpętała się wojna z mrocznym bogiem, jego demonami, niewolnikami i wszystkimi zbirami, którzy ściągnęli tu za nim, i trwała do czasu porwania dziecka. Tym dzieckiem była Breen.

Marco poczuł przyptyw wdzięczności za wino.

– Breen okazała się cenniejsza od swojego taty, prawda? Jej matką była kobieta.

– Szybko kojarzysz, Marco. Nasza Breen stała się mostem pomiędzy światami Fey, ludzi i bogów. Właśnie dlatego ta zaledwie trzyletnia dziewczynka potrafiła oswobodzić się ze szklanej klatki. Okazała się silniejsza, niż Odran przypuszczał. Myślę, że ona nadal nie zdaje sobie sprawy ze swojej mocy. I wtedy Eian, *taoiseach*, poprowadził Fey do ataku na Czarny Zamek. Zniszczył twierdzę Odrana, na nowo zablokował portale między naszymi światami, zrobił wszystko, co było możliwe.

– Mama chciała, żeby ojciec wybrał pomiędzy nią i mną a Talamh – wtrąciła Breen. – Jak mógł to zrobić? Ale przekazał farmę O’Broinom, czyli rodzinie Keegana. Ich ojciec poległ w walce w mojej obronie. Był serdecznym przyjacielem taty. Grał w Guślarzach – pamiętasz tamten zespół? Jest na zdjęciu, które dostaliśmy od Toma Sweeneya, właściciela pubu w Doolinie.

– Mieliliśmy tam trafić. – Marco znowu wychylił parę łyków wina. – To jasne jak słońce, musieliśmy spotkać Toma, żeby nam opowiedział, jak poznali się twoi rodzice.

– Oni naprawdę się kochali. Myślę, że zawsze tak było. Tata z miłości przeniósł się do Filadelfii. Starał się sprostać oczekiwaniom mamy i zobowiązaniom wobec swojego ludu.

– I tylko udawał, że wyjeżdża na koncerty?

– Tak. A ona, oczywiście, o tym wiedziała. Wzbierał w niej gniew, rosła frustracja i w końcu powiedziała mu to samo, co ja usłyszałam. Nazwała mój dar aberracją i ostrzegła, że mam nie wnosić tego do jej domu, jeśli chcę być w nim mile widziana.

Marco poszukał dłoni swojej przyjaciółki i zamknął ją w serdecznym uścisku.

– Wierzyła, że roztacza nade mną ochronny parasol, była o tym święcie przekonana, a w rzeczywistości broniła siebie i takiego obrazu świata, jaki wolała widzieć.

– Tak mi przykro, Breen. – Marco cały czas ścisnął jej rękę.

– Mnie też.

– Myliła się. Nie miała racji. Jej również jest mi żal. Aberracja, jasna dupa! – gorączkował się. – Oj, przepraszam – zreflektował się i zażenowany spojrzął na Marg.

– Nie ma za co, zgadzam się z tobą.

– Jesteś wyjątkowa, zawsze wiedziałem, tylko nie wpadłem na to, że, no wiesz, mam do czynienia z boginią i czarownicą. – Obejrzał się na Marg. – Jak zginął Eian? Skoro zniszczył twierdzę Odrana i zamknął portale, jakim cudem ten gość nadal zagraża Breen?

– Nie samej Breen, ale ona stanowi klucz. Odran zabił mojego syna. Po jakimś czasie usłużna wiedźma, biegła w czarnej magii, pomogła mu odbudować siły i wtedy ponownie zaatakował Talamh. Podejrzewam, że uknuł ten podstęp, żeby przyciągnąć Eiana i go zamordować. Zabić syna, który nie podporządkował się woli ojca.

– A teraz wyciąga łapy po Breen. Przykro mi, że musicie prowadzić te wojny z jakimś szalonym bogiem, ale zapytam, z całym szacunkiem, czy dla niej nie byłoby lepiej, gdyby jednak została w domu? Tam, gdzie ten oszołom nie może jej dopaść? Breen, ja nie zgadzam się z twoją

mamą. Bądź, kim chcesz, rób to, co kochasz, ale, dziewczyno, żadna z ciebie wojownicza księżniczka.

– Trenowałam całe lato, oczywiście nie mówię o roli księżniczki. Uczylałam się walczyć mieczem.

Pacnął ją w ramię.

– Akurat.

– Potrafię się bronić. I, Marco, żadne miejsce nie jest bezpieczne. Ani dla mnie, ani dla nikogo.

– On nie odpuści – odezwała się Marg. – Dojdzie do kolejnej bitwy, poleje się krew, będą ofiary. Stawimy opór, do ostatniego wojownika. Ale jeżeli nas pokona i obróci Talamh w perzynę, przyjdzie kolej na twój świat. Znajdzie się wielu chętnych, gotowych pójść za nim, żeby zabijać i palić. On będzie rósł w siłę, a wraz z nią jego apetyt na więcej.

– Chcesz powiedzieć, że on zniszczy ziemię, całą planetę?

– Nasz świat, twój, wszystkie światy. Z każdym kolejnym podbojem będzie rosła jego pewność siebie. Czy rozumiem dążenie Jennifer do trzymania Breen pod kloszem? Owszem. Niestety, ona nigdy nie przyjęła do wiadomości, że jej córka jest najważniejsza w tej sprawie. Nie można jej skutecznie ukrywać. Prędzej czy później on ją znajdzie; ją albo jej dziecko. Jako bóg dysponuje nieskończonym czasem.

– Chciałabym kiedyś mieć dzieci. Jednak wiedząc to wszystko, nigdy się nie odważę.

– Jezu, Breen.

– Muszę go powstrzymać. To jest mój lud. Wiem, jak to brzmi, ale...

– Brzmi przyzwoicie.

– Będą walczyć. Jestem im potrzebna.

Pokiwał głową z przeciągłym westchnieniem.

– Widziałem *Wonder Woman*, wiem, o co chodzi.

– Cztery razy. Oglądałeś ten film czterokrotnie.

Poprawił ją, pokazując pięć palców.

– Tylko bóg może zabić boga, tak to działa, no nie?

– Córka syna jest mostem pomiędzy światami. – Breen poczuła wagę tych słów, tej myśli. Prawdy, która wraz z tymi słowami przez nią przepłynęła. – Most wiedzie do światła albo ciemności. Droga ma trzy etapy. Przebudzenie, przemiana, wybór.

Marco zaniemówił na moment.

– Co to było? Przepowiednia? Potrafisz także przewidywać przyszłość?

– Czasami. Ale nadal jestem tą samą Breen, Marco.

– A kto mówi, że nie? Dobra, w takim razie, zaczynam mniej więcej ogarniać, co mi się przyda. O ile zechce mi pan pomóc – zwrócił się do Sedrica.

– Z przyjemnością.

– Jest tego sporo, bo trudno przewidzieć, ile czasu tutaj zostanę. Nie ruszę się stąd, dopóki nie pošlemy tego pieprzonego boga do piekła.

– Marco...

– Ja też mam prawo wyboru, dziewczyno, i właśnie go dokonałem.

– Brakuje ci mocy. Nie masz pojęcia, do czego Odran jest zdolny.

– Wystarczy mi to, co usłyszałem, i boję się jak cholera. Ale zostaję. – Wyprostował i uniósł wskazujące palce. – Koniec, kropka. Jeśli zamierzasz zrzędzić, poproszę babcię o gościnę. Breen, popatrz mi prosto w oczy i powiedz, że gdybym ja był na twoim miejscu, zostawiłabyś mnie i poleciała do Filadelfii.

– Jeżeli coś się tobie stanie...

– To samo dotyczy ciebie. A więc temat zamknięty. Chyba muszę pożyczyć coś do pisania i zrobić listę.

Breen wiedziała, że nie ma sensu dłużej z nim się spierać. Po cichu liczyła, że za parę dni przejdzie mu zapał. Dobrze wiedziała, że Marco był stuprocentowym mieszczuchem, przywykłym do nowoczesnych udogodnień.

Im dłużej będzie siedział w Talamh bez dostępu do technologii i wygod, tym łatwiej będzie nim... manipulować. Szczególnie, jeśli uda się jej go przekonać, że ma dla niego ważne zadanie po drugiej stronie.



W tej chwili nic takiego nie przychodziło jej do głowy.

Gdy wracali na farmę, pokazała mu dwa smoki z jeźdźcami sunące pod niebem.

– Zwiadowcy.

– A więc te smoki są w różnych kolorach. A ludzie? Znajdę kogoś podobnego do mnie?

– Tak, i o twojej orientacji. Tutaj miłość jest miłością.

– Miło słyszeć. W tej chwili nie szukam przygód, ale dobrze wiedzieć, że ludzie tu mają otwarte umysły.

– I serca. Niestety, jak wszędzie, tak i tutaj znajdziesz grupę ksenofobów. To Świętobliwi – członkowie religijnej sekty. Na początku byli nieszkodliwi, ale stopniowo schodzili na drogę ciemności. Niektórzy Fey poszli w ich ślady. Pamiętaj, że jeżeli chcesz zostać i swobodnie się poruszać, musisz nauczyć się jeździć konno.

– Myślisz, że nie dam rady? – Zahaczył kciuki za pasek spodni i kroczył z dumnie wypiętą piersią. – Chętnie spróbuję. A skoro ty nauczyłaś się machać mieczem, ja też mogę.

– Kiepsko mi to wychodzi.

– Akurat.

– Zapytaj Keegana. Trenował mnie i pierwszy ci to powie.

Marco ją objął, Fąfel trzymał się blisko nich.

– Zamierzasz romansować z tym ciachem?

– W tej chwili mnie także nie interesują romanse. I wątpię, aby on miał na nie ochotę. Coś wisi w powietrzu.

– Idziesz na całość. – Zamachał rękami.

– Cała w tym tkwię. – Powtórzyła jego gest. – Wyczuwam coś w rodzaju napięcia. O to mu właśnie chodzi. Nie ma go tutaj, ale się zbliża. – Wzdrygnęła się. – Jeszcze nie teraz. Zabierzemy moje rzeczy i przeniesiemy się do chaty. Chyba będzie łatwiej, jak przeczytasz wszystko, co napisałam. Jeżeli będziesz miał jakieś pytania, chętnie na nie odpowiem.

– Dobra, czyli przejdziemy stąd do Irlandii? Przez któryś z tych wietrznych tuneli?

– Tym razem będzie inaczej, nie tak dramatycznie.

Fąfel z radosnym szczenięciem odłączył się od nich. Zwinnie przeskoczył murek i popędził do dwójki dzieci i pilnującej ich suczki wilczarza irlandzkiego.

– Te chłopaczki to Finian i Kavan. Widzisz tamtą kobietę w ogrodzie? To Aisling, ich mama. Siostra Keegana i Harkena.

– Wszyscy tu są tacy urodziwi.

Przeszli przez furtkę. Aisling, z ciemnymi włosami zwiniętymi w węzeł, wytarła ręce o spodnie i z dłonią opartą na zaokrąglonym brzuchu zbliżyła się do nich.

– Witaj, Breen Siobhan. Witaj. Wróciłaś, tak jak obiecałaś. Nigdy nie powinnam w to wątpić. – Zamknęła Breen w objęciach. – Ogromnie mi wstyd.

– Niepotrzebnie. Wiem, jak bardzo się tym gryzłaś, i rozumiem dlaczego. Poznaj Marco.

– Już słyszałam o tobie. Podobno przekoziołkowałeś do Talamh. Jak się czujesz?

– Już dobrze. Dzięki. Miło mi cię poznać.

– I wzajemnie. Napijcie się herbaty? Mab popilnuje chłopców, a my pójdziemy do domu.

– Wracamy od babci, piliśmy tam i herbatę, i wino. Chciałabym zabrać moje rzeczy i przenieść je do Fey Cottage.

– Och, już zostały przeniesione. Morena zajęła się twoją elegancką garderobą. A Marco ma wyczyszczone ubranie.

– Dzięki. Pożyczyłem rzeczy od twojego brata. Od Harkena.

– To nie problem. Ma ich sporo.

Starszy z chłopców przygalopował do nich z toczącym się z tyłu młodszym bratem.

– Niedługo mam urodziny – ogłosił Finian. – Będziecie tutaj wtedy.

– W Samhain. – Breen przykucnęła. – Pamiętam. Skończysz trzy lata.

– Fin, przywitaj się z przyjacielem Breen. Pan ma na imię Marco.

Chłopczyk opuścił głowę.

– Dzień dobry.

– Jest trochę nieśmiały przy obcych. Natomiast ten – dokończyła Aisling, kiedy Kavan zrównał się z nimi i uczeplił nóg Marco – wręcz przeciwnie.

Marco wziął malucha na ręce.

– A ty jak masz na imię?

– To nasz Kavan – powiedziała Aisling, kiedy malec, gaworząc, opowiadał coś Marco. – Pierwszy raz widzi obcego.

Kavan, zaśmiewając się, zamknął w piąstce pęk warkoczyków.

– Cacy!

– Mnie też się podobają.

Potem, nie przestając gaworzyć, wyciągnął ramionka do Breen.

– Kiedy masz termin? – Marco zwrócił się do Aisling.

– Około święta Imbolc. Na początku lutego – zreflektowała się, widząc jego niepewną minę.

– Jestem na półmetku. Liczę, że tym razem będzie dziewczynka, bo jak widzisz, mam już dwóch łobuziaków.

– Tęskniłam za tymi urwisami – powiedziała Breen i połaskotała Kavana nosem po policzku, zanim postawiła go na ziemi. – Jutro wracamy. Będę tak samo jak wcześniej pracowała z babcią. Przekaż Keeganowi, że jeśli chce, możemy zacząć trenować.

– Och, na pewno będzie chciał. On i mój mąż Mahon – wyjaśniła Marco – wrócą przed wschodem księżyca. Zaglądajcie do mnie, kiedy znajdziecie czas. Oboje jesteście mile widziani. Chodźcie, dzieci. Czy obiecaliśmy wujkowi Harkenowi, że zrobimy porządki w warzywniku? Błogosławieństwo dla was obojga – powiedziała na pożegnanie, oddalając się z chłopcami.

– I dla ciebie! – zawołała za nią Breen. – Fąfel, do nogi.

Kiedy wyszli za bramę, Breen wskazała ręką pas ziemi za drogą.

– Portal jest w tamtym drzewie. Albo drzewo jest portalem, sama nie wiem.

Powiodł spojrzeniem za jej ręką. Po drugiej stronie drogi wyrastał kolejny kamienny murek, a za nim, aż po wzgórze, ciągnęły się łąki z pasącymi się stadami owiec.

Drzewo z koroną o średnicy ponad sześciu metrów wyrastało ze skalnego usypiska. Grube konary zwisały ku ziemi, niektóre nawet jej dotykały i w połowie długości z powrotem wyginały się ku górze. Liście, które Breen zapamiętała z lata jako soczyste zielone, miały teraz czerwonawą barwę.

– Co to za drzewo?

– To Powitalne Drzewo i portal, chyba ten główny, pomiędzy Talamh i Irlandią.

Zaprowadziła go pod drzewo. Fąfel wysforował do przodu, wdrapał się na usypisko po siedmiu skalnych występach, przycupnął na konarze i szczechnął, jakby ich ponaglając.

– No dobra. Jeżeli zemdleję, możesz odratować mnie tamtym piwem albo tym czymś, co w nim było.

– Mogę, ale nie będzie takiej potrzeby. Sam zobaczysz różnicę – uspokajała go, kiedy wspinał się za nią po skałkach. – Będzie wiało, ale nie tak mocno jak wtedy. Zobaczysz błysk i już znajdziemy się po drugiej stronie. Nie zdziw się, jeżeli trafimy na deszcz. Nigdy nie wiadomo.

– Myślę, że mnie już chyba nic nie zdziwi. Nigdy.

Obejrzała się i wyciągnęła do niego rękę. Widziała, że się boi, jednak przeważała lojalność.

– Trzymaj się mnie. Rusz się, Fąfel. Już idziemy. Postaw stopy na tym konarze. Pewnie będziesz miał wrażenie, że spadasz, ale...

Błysnęło światło, powiew wiatru wzburzył jej włosy.

– Widzisz, nic się nie stało.

– Przeszliśmy? Poczułem jedynie szarpnięcie w okolicy żołądka, ale... Na pewno jesteśmy po drugiej stronie?

– Tak, teraz czeka cię już tylko zejście w dół.

– Trochę trzęsą mi się nogi – wyznał. – Ale to pestka w porównaniu z tym, co było wtedy. I wcale nie pada.

– Mamy szczęście, nie zmokniemy, chata stoi jakieś półtora kilometra stąd.

– Wszystko wygląda mniej więcej tak samo.

– Pozornie. Wczoraj padało i byłeś w szoku, dlatego nie widziałeś, że w Talamh są dwa księżyce.

– Dwa?

– Gdy jeden jest w nowiu, drugiego ubywa.

– Super. Koniecznie muszę je zobaczyć. Wiesz co, Breen, przechodziłem przez ten las, kiedy próbowałem uczyć się irlandzkiego w wiosce, i nigdy nie widziałem tego drzewa. A przecież

trudno je przeoczyć. Jest potężne i wyrasta ze skały. Zresztą może odwrotnie, to skała wyrasta z pnia.

– Nie miałeś go zobaczyć. Spójrz na zegarek.

Zerknął i cicho się zaśmiał.

– No i proszę. Chodzi. – Wyciągnął komórkę z kieszeni pożyczonych spodni. – Też działa.

– Pierwsza rzecz, telefon do Sally – zdecydowała. – Najlepiej, jak mu powiesz, że postanowiłeś mi towarzyszyć i wczoraj poleciliśmy samolotem. Chcesz posiedzieć tu kilka dni i...

– Nie wiem, jak długo zostanę, i tak właśnie mu powiem. Nie sprzeczasz się ze mną, Breen. Jesteś na mnie skazana. Damy radę. Przejdziemy przez to razem. I nauczę się jeździć konno. Wio!

– Nie myśl, że to takie proste. Przez wiele dni chodziłam z obitym tyłkiem. Jestem zła na siebie, że cieszę mnie twoją obecnością.

– I nie pozbędziesz się mnie. Słuchaj, czy w tym, co napisałaś, jest coś o seksie z Gorącym Wodzem?

– Ja... cholera. Słuchaj...

– Za późno. Obiecałaś, że dasz przeczytać całość. Może oboje nie jesteście teraz w nastroju na pieszczoty, ale nie myśl, że nie widziałem, jak on na ciebie patrzył.

– Jakbym była dla niego kolejnym wrzodem na tyłku?

– Nie. Chciałbym, żeby na mnie ktoś tak kiedyś patrzył. – Z romantycznej duszy Marco wydarło się ciche westchnienie. – Nawet nie próbował mi oddać, jak go uderzyłem, gdy myślałem, że chce cię skrzywdzić. A przecież mógł mną wytrzeć podłogę albo zmienić mnie w kumkwat czy jeszcze co innego, a jednak tego nie zrobił.

– Keegan szanuje lojalność i przyjaźń.

– Sally twierdzi, że on ma klasę.

– Pewnie ma.

– Pamiętam tę ścieżkę. Jasna dupa! Tędy można dojść do wsi. Zatoka jest po tamtej stronie. Przynajmniej była po tamtej stronie. Wiesz co, to niesamowite!

Wciągnął głęboko powietrze.

– Czujesz? To chyba zapach zatoki. I... dymu.

– Napalili dla nas w kominkach. – Wskazała rzędniejące drzewa. – Zobacz.

Chata stała na swoim miejscu, strużki dymu z kominów wiły się nad dachem krytym strzechą. Ogród, który Seamus nauczył ją pielęgnować, nadal mienił się kolorami. Bujnie rosły kwiaty w doniczkach, zasadzone pod jego okiem.

– To twój dom, Breen. Tak mówiła babcia, stworzyła go dla ciebie. Teraz bardziej to do mnie dociera. Ja też cudownie się w nim czuję.

– Wiem. – Obejrzała się na psa, drepczącego przy nich w miejscu. – Biegnij, Fąfel.

Szczeniak podskoczył, puścił się galopem po zielonej trawie, zbiegł ze skarpy na łupkową plażę i wpadł do wody.

– Morski pies – podsumował Marco ze śmiechem. – Jest niesamowity.

– Wejdźmy do środka. O, w tamtym miejscu zwykle siadywałam z herbatą. Boże, musisz skosztować lemoniady Finoli. Czysta magia. Mam nadzieję, że pamiętali, aby zrobić zapas coca-coli.

To zupełnie jak powrót do domu, pomyślała, sięgając colę z lodówki. Wypiła parę łyków i rozejrzała się po swojej ładnie urządzonej kuchni. Świeżo upieczony chleb, przykryty ściereczką, czekał na blacie w kolorze łupków. Na parapecie obok wazonu z kwiatami stała kamionkowa misa ze świeżymi owocami. To samo zastała tutaj za pierwszym razem. Tak też wszystko wyglądało, kiedy stąd wyjeżdżała.

– Zrobię nam na kolację makaron – obwieścił Marco, przeglądając zawartość szafek. – Popatrz na te pomidory. Pierwsza klasa. – Spojrzał na zegarek, przeliczył czas. – Poczekam z godzinę i zadzwonię do Sally. O tej porze mogą jeszcze spać. Lepiej, żeby zdążyli napić się kawy, zanim usłyszą, że dałem dyla.

– Sprytnie – pochwaliła. – Zorganizuję miejsce do pracy dla siebie w sypialni na parterze. – Przeszła do pokoju z widokiem na ogród. – No proszę. Zrobili to za mnie. – Pogładziła laptop ustawiony na małym biurku, w rogu zobaczyła starannie zwiniętą matę do jogi. Znalazła się tutaj, chociaż Breen jeszcze nie pomyślała, żeby ją przywieźć.

– Sedric już tu był i zniknął – poinformowała Marco.

– Co? Jak to?

– Z czasem do tego przywykniesz. – Poszła otworzyć drzwi Fąflowi. Pies bez wahania ruszył prosto do salonu i po trzech rytualnych obrotach, z psim westchnieniem ulgi zwinął się w kłębek przed kominkiem.

– Myślisz, że ja też znajdę swoje rzeczy w dawnej sypialni?

– Zobaczmy. Chcę się rozpakować, a potem sięść do pisania. Prawdopodobnie wrzucę też na blog post o powrocie do chaty. A ty znajdź sobie jakieś wygodne miejsce do czytania.

Przeszli przez salon z kanapami z obiciem w kolorze leśnej zieleni, ze świecami, kryształami, kwiatami w wazonach i oknami z widokiem na błękitną wodę.

Ogień syczał i potrzaskiwał w kominku.

Pies podniósł się i podreptał za nimi na piętro. Na podeście Breen najpierw skrzyła do sypialni Marco.

Gitara stała oparta na statywie, harfa wyjęta z futerału połyskiwała na stole obok keyboardu.

Marco znieruchomiał, a ona zajrzała do szuflady.

– Swetry, koszule.

On dopiero po chwili otworzył drzwi garderoby.

– Wszystko na swoim miejscu – stwierdził.

– To coś w rodzaju powitalnego gestu. Założę się, że nasze kurtki i peleryny wiszą w szafie w korytarzu.

– Naprawdę myślisz, że do tego przywyknę?

– Mam nadzieję. Widzisz, kim jestem – dodała z lekkim ukluciem w sercu.

– Zawsze będę cię kochać, niezależnie od tego, kim jesteś. – Podeszedł do stołu, trącił palcem struny harfy. – Chcę się nauczyć na niej grać. To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałem.

– Tata mnie kiedyś uczył i co nieco jeszcze pamiętam. Mogę ci pokazać, ale wiem, że sam świetnie sobie poradzisz.

– Dobra, dobra. – Obszedł pokój, wyjrzał przez okno. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętał. – Może po kolacji zrobimy wieczór muzyczny. Gotowanie i muzyka mogą pomóc mi się odnaleźć. Zejdę do kuchni i zrobię sos. Niech perkocze na wolnym ogniu i śle aromat do nieba. Wtedy zadzwonię do Sally. – Wyciągnął rękę i wzburzył palcami jej płomiennorude kędziory. – Jesteś, kim jesteś, Breen.

Umościła się na łóżku, Fąfel zwinął się w kłębek obok niej. Najpierw zajmie się blogiem, postanowiła. Tylko krótki wpis. I wyśle go dopiero po telefonie Marco do Sally.

Jak zacząć? – dumiała. Przecież nie napisze na blogu o *taoiseachu* Talamh i o tym, że przyleciała razem z Marco przez portal.

Siedziała przez chwilę, myśląc o tym, że znowu tu jest, że wróciła i czuje się u siebie. Wspominała, jak latem cieszył ją samotny pobyt w chacie i świadomość, że nareszcie żyła, jak chciała.

Z kuchni dochodził głos Marco. Podśpiewywał, przyrządzając coś z tamtych dorodnych pomidorów. Jego obecność była dla niej niczym ciepły pled w chłodny poranek. Po prostu podnosiła na duchu, tak jak widok psa drzemiącego tuż obok czy kwiatów tuż za drzwiami do ogrodu.

Zacząła post od powrotu do Irlandii. Dopiero teraz napisała na blogu o spotkaniu z babcią, o śmierci ojca i o tym, jak smutek po tej stracie zrekompensowała radość z odnalezienia rodziny i przyjaciół.

Zadowolona zamknęła blog i otworzyła plik z powieścią.

Skupiła się na pisaniu, zatopiła w fabule.

### Rozdział 3

W końcu oderwała wzrok od klawiatury. Była jak wyrwana z transu. Owszem, w mieszkaniu w Filadelfii też nieźle jej szło, ale nie tak, jak tu. Może po powrocie do miejsca, gdzie zaczęła podróż, obudził się w niej jakiś rodzaj szczególnej energii. Napisała ciurkiem dziesięć stron!

Dopiero teraz poczuła zapach sosu pomidorowego, dostrzegła zmianę światła. Fąfel zniknął.

Zamknęła komputer i przeszła do kuchni. Znalazła Marco przy stole w części jadalnej. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w ekran laptopa. Fąfel podniósł się z miejsca przy palenisku i otarł o jej nogi.

– Sally? – zapytała.

– Załatwione. Jest zadowolony, że przyjechałem z tobą. – Oderwał wzrok od tekstu i popatrzył jej w oczy. – Breen, to, co tutaj wyczytałem, nie wygląda dobrze. Naprawdę. Ja piernicę, o mało nie zginęłaś. Dwukrotnie.

– Ale przeżyłam. Marco, on nie chce, żeby umarła. Szykuje coś gorszego. – Przeszła do kuchni i nasypała Fąflowi karmy do miski. – Mam więcej siły niż kiedyś. I będę jeszcze silniejsza.

– Jak zamierzasz go pokonać?

– W tej chwili nie znam odpowiedzi. – Wybrała wino. – Ale przypuszczam, że dojdzie do pojedynku mocy.

– On jest pieprzonym bogiem. Taki drugi Loki, tyle że pozbawiony zabawnych cech.

– W moich żyłach jego krew miesza się z krwią pozostałych przodków. Mam przewagę. Nie pytaj mnie, czy się boję.

– Jasne, byłabyś głupia albo szalona, gdybyś się nie bała. Czy Keegan sam nie może go załatwić? No, dobra. – Wstał i gestykulując, krążył po pokoju. – Rozumiem, że zrobiłby to, gdyby mógł. Trochę go poznałem i dowiedziałem się co nieco o ludziach po tamtej stronie. Jeszcze nie przeczytałem całości, ale mniej więcej wiem, jak wygląda sytuacja. W każdym razie z twojego punktu widzenia.

– Mój ojciec usiłował go powstrzymać.

– Wiem, kochana. Wiem. A tamta wiedźma z dwugłowymi węzami. – Wzdrygnął się, zanim odebrał od Breen kieliszek. – Panicznie ich się boję, zupełnie jak Indiana Jones.

– Raz mnie podeszła. – Uniosła kieliszek w geście toastu i upiła kilka łyków. – Więcej mnie nie zaskoczy.

Przez chwilę przyglądał się jej z zaciekawieniem.

– Wczoraj bardziej się bałaś.

– Może powrót tutaj obudził we mnie odwagę. Nie dlatego, że jestem głupia czy szalona. Wiem, że nieraz sparaliżuje mnie strach. Ale czegoś o sobie się dowiedziałam, a ile jeszcze się dowiem? Im lepiej siebie poznaję, tym więcej czuję. Radzę sobie, będę bardziej się starać, ale już teraz nieźle mi idzie. I to mi daje satysfakcję.

Bałam się pisać, długo mnie musiałeś namawiać, aż w końcu się odważyłam. I udało się. Będę się rozwijać, ale już jest dobrze. Cieszę się. Zamierzam zgłębiać magię. Sporo umiem, a jeszcze więcej się nauczę. To też sprawia mi radość.

Przeszedł do kuchni i pomieszał sos.

– Pisanie nie budzi śmiertelnych snów – rzucił przez ramię.

– Przeczytałaś tamtą wizję o chłopcu na ołtarzu? Co Odran i jego demony z nim zrobili?

– Ośłupiałem. To nie był film, gdzie wszystko jest na niby. To działo się naprawdę.

– Czy mam prawo odwrócić się od nich, jeżeli jestem tą, która może postawić tamę złu?

– Niby jak, zapalaniem świeczek? Fakt, to niesamowite, ale tym go nie powstrzymasz.

– Zapalanie ognia jest podstawową umiejętnością. – Odstawiła kieliszek i wyprostowała dłoń. Wykwitł na niej czerwony płomień. – Parzy. – Na drugiej dłoni wzniciła niebieski ogień. – Albo chłodzi.

Podrzuciła oba płomienie wysoko w górę. Zderzyły się z hukem piorunu, zaskwierczały, sypnęły iskrami i zgasły.

– Można wprawiać powietrze w ruch. – Pokręciła palcem. – Masz ciepły, łagodny wiatr. –



Machnęła uniesioną dłonią. – Albo lodowaty wichur.

Powiew pomieszanych wiatrów potargał jej włosy i unióś warkoczyki Marco. Potem Breen szybko otworzyła drzwi i wyszła na dwór.

Nakryła dłonią doniczkę.

– Ziemia daje życie. – Zamknięte pączki otwarły się pod jej dotykiem. – Albo je niszczy.

Grunt zadrżał.

– Woda karmi glebę i gasi pragnienie. – Uniosła i opuściła ramię. Wystawiła dłoń na deszcz, który pokropił z chmur. – Albo staje się topielą. – Machnęła ręką. Zatoka zawirowała, słup wody wystrzelił wysoko w górę i opadł. – Cztery żywioły łączą się we mnie z piątym. Z magią odziedziczoną po przodkach. Wiem o tym, Marco. Mam wszystko, co posiadał ojciec, i jestem też człowiekiem. On, dla mojej matki, po tamtej stronie starał się funkcjonować jak zwykły mężczyzna. Musiał czuć się rozdarty, rozterki nadwątlily mu ducha, a Odran znalazł sposób, żeby to wykorzystać. W końcu go zabił. Mam to coś, czego brakowało ojcu. Nie wiem, co to jest, jak tego użyć, ale wiem, że mam tego czegoś więcej niż on.

– Dobra, wystarczy. Muszę się napić. Doleję wina.

Wrócił do kuchni. Nie mógł utrzymać butelki w trzęsącej się ręce.

Dołączyła do niego, nakryła dłonią jego dłoń.

– Nie bój się mnie. Chyba pękłoby mi serce, gdybyś zaczął się mnie bać.

– Nie. Możesz mi nalać? Nie boję się. Ja... osłupiałem. To chyba najlepsze słowo. – Duszką opróżnił kieliszek. – Ty świeciłaś. Jakby płonęło w tobie jakieś wewnętrzne światło. Zdażyłem przeczytać co nieco o tym, czego się nauczyłaś, ale oglądanie tego...

Otoczył ją ciągle trochę drżącym ramieniem i przytulił.

– Zawsze ci mówiłem, że jesteś wyjątkowa. Po prostu na otrzaskanie się z tą częścią twojej wyjątkowości potrzebuję więcej czasu.

– Ile tylko chcesz. Może zajmę się czymś normalnym i zrobię surówkę do twojego makaronu? Co ty na to?

– Jasne. Idę zamknąć laptop. Resztę przeczytam później. Chyba na razie mi wystarczy. Włączę muzykę.

Zajmie się czymś normalnym, przemknęło jej przez głowę, gdy obierała i kroila warzywa. Czy wsunięcie Marco pod poduszkę rozmarynu i kryształów na mocny sen będzie czymś normalnym?

Dla niej tak, a więc postanowione.

Przy kolacji będą rozmawiać o zwykłych rzeczach. Potem pójdzie do jego sypialni po harfę – przy okazji wsunie amulet pod poduszkę – i pokaże mu parę akordów, które zapamiętała. Może znieśie też jego gitarę.

Kiedy wrócił i nastawił wodę na makaron, pomyślała, że wszystko wygląda tak normalnie. Jak zwykle u nich. Marco sprawdził, czy surówka gotowa i pomógł jej zrobić dressing, zanim wrzucił makaron do wody.

– Jak w starych, dobrych czasach – powiedział, a ona się roześmiała.

– Wyjąłeś mi to z ust. Pomyślałam dokładnie to samo. Nakryję do stołu i będziemy ucztować.

Fąfel szczerknął. Zabrzmiało to bardziej jak zaproszenie niż ostrzeżenie. Obejrzała się akurat, gdy Keegan zapukał do przeszklonych drzwi.

Mignął jej jeszcze złotozielony koniec ogona Crogi wlatującego pod chmury.

Z talerzem w dłoni poszła otworzyć drzwi.

– Przepraszam – zaczął. – Widzę, że siadacie do posiłku. Nie zajmę wam dużo czasu.

– Hej, wchodź śmiało! – zawołał Marco od kuchenki. – Jadłeś kolację?

– Ehm, nie. Wpadłem tylko...

– Dołącz do nas. Ugotowałem mnóstwo makaronu. Dziewczyno, przynieś jeszcze jeden talerz i nalej gościowi wina.

– Nie chcę przeszkadzać.

Breen cofnęła się od drzwi.

– Nie przeszkadzasz. Marco naprawdę zrobił furę jedzenia.

– Miło z waszej strony. Ładnie pachnie.

– Mam nadzieję, że lubisz spaghetti marinara.

– Lubię. Dawno tego nie jadłem.

– Czekaj cię miła niespodzianka. – Breen, już nie taka pewna, czy reszta wieczoru upłynie normalnie, nalała wina do jeszcze jednego kieliszka. – Marco świetnie gotuje.

– Chciałem sprawdzić, czy już się urządziliście, i przypomnieć ci, Breen, że jutro spotykamy się jak zwykle. A tymczasem trafiłem prosto na kolację.

– Zaslugujesz na nią. Zdejmij tę piękną kurtkę. Wyznam, że na jej widok skręca mnie z zazdrości. Przynies surówkę, dziewczyno. Możesz po swojemu pozapalać świece. Prawie się z tym oswoiłem.

Breen stanęła za nim i objęła go ramionami.

– Marco się o mnie martwi – powiedziała do Keegana.

– Taki los przyjaciół. Zdecydowanie lepiej wyglądasz. Morena mówiła, że doszedłeś do siebie. I poznałeś Marg i Sedrica.

– Sedric jest szczęśliwym mężczyzną. Czy kotem. Spotkałem też twoją siostrę i chłopczków. – Marco, jak zawsze w swoim żywiole w kuchni, wyrzucił makaron na cedzak. – Widziałem smoki. Jeszcze nie wiem, co o tym myśleć. Breen podobno latała na twoim, przynajmniej tak przeczytałem w jej dzienniku.

– Prowadzisz dziennik?

– Tak – odparła, skupiona na nakładaniu sałatki do salaterek.

– Przyda się więcej wina – ocenił Marco. – Keeganie, mógłbyś otworzyć butelkę? A ja wymieszam makaron z sosem i przełożę go do miski. – Cały czas krzątał się w kuchni. Pokroił chleb, zrobił dip, posypał makaron posiekaną bazylią.

Kiedy wszystko było gotowe, usiadł i uniósł kieliszek.

– Miło jeść kolację w towarzystwie. Nasze mieszkanie w Filadelfii było za małe na podejmowanie gości i najczęściej siedzieliśmy U Sally.

– Dobre miejsce na spotkania towarzyskie.

– Najlepsze. – Marco nabrał trochę surówki na widelec i posmakował. – Wyszła ci, Breen – pochwalił. – Czyli Keeganie, jesteś wielką szychą w okolicy. Znaczy po tamtej stronie.

– Jestem *taoiseachem*.

– Przeczytałem w dzienniku, jak się nim zostaje. Wskakuje się do jeziora i takie tam. Znalazłeś miecz, wyłowiliś go, no i bum. A przecież mogłeś powiedzieć: „nie, dzięki” i szybko odpłynąć.

– To wybór.

– Założę się, że w twoim przypadku niełatwy. Byłeś młodym chłopakiem.

Keegan wzruszył ramionami.

– Wystarczająco dojrzałym. Od urodzenia uczy się nas i wdraża do pełnienia roli *taoiseacha*.

– Breen też teraz się uczy i wdraża. Ale nie zostanie od razu ważną figurą.

– Jeżeli polegnę, może wskoczyć do jeziora i podjąć miecz.

– Nie mów o śmierci. – Zdenerwowany Marco omiół niespokojnym spojrzeniem jej twarz.

– Mogłaby, mimo że jest na poły człowiekiem, ziemianką, czy jak wy tu mówicie? – drażył.

– Należy też do Talamh, w jej żyłach płynie krew Widzących i Sidhe. Wszystko, co pochodzi od jej matki i dziadka, czyni ją wyjątkową. Sprawia, że jest, jak wiesz...

– Kimś szczególnym. – Marco przytaknął skwapliwym skinieniem głową. – Zawsze jej to powtarzam. Jej mama usiłowała wpędzić ją w kompleksy. Nic z tego nie wyszło. – Nie przestając mówić, nałożył sporą porcję spaghetti na talerz gościa.

– Szczerze mówiąc, cieszę się, że wpadłeś, bo chciałem cię jutro odszukać. Hej, jak właściwie powinienem się do ciebie zwracać? Sir, wasza wysokość czy jeszcze jakoś inaczej?

– Nic z tych rzeczy – zaoponował zmieszany Keegan. – Absolutnie nie.

– Marco, jedną trzecią tego. Ożeż kurde! – jęknęła Breen, kiedy porcja makaronu wylądowała na jej talerzu. – Zawsze za dużo mi nakłada – poskarżyła się Keeganowi.

– Przybyło ci tkanki mięśniowej, dziewczyno. Mięśnie potrzebują węglowodanów. Ty – zwrócił się do Keegana – masz w tym swój udział.

– Ehm...

– Trenując ją. Byłem na ciebie nieźle wkurzony, ważniaku, za to obijanie mojej dziewczyny i rzucanie nią o ziemię.

– Marco, proszę. – Breen czuła, jak rumieńce (przekleństwo rudzielców) wypływają jej na policzki. – Zajmij się jedzeniem.

– Zaraz się zajmę. A potem przyszło mi do głowy, że byłeś twardy, bo chciałeś, żeby ci się postawiła. Żeby obudzić w niej wolę walki. Mama Breen... nie zamierzam jej dyskredytować... bo widzisz, kiedy się ujawniłem, rodzina mnie nie wsparła. Siostra była po mojej stronie, ale rodzice i bracia to już inna historia. A pani Wilcox okazała się życzliwa, nie robiła z tego problemu, i dlatego nie mogę za mocno na nią najeżdżać.

– Ujawniłeś się? A gdzie się ukrywałeś?

Marco parsknął śmiechem.

– W szafie, chłopie. Jestem gejem.

– No tak, Breen mówiła, że gej to ktoś, kto woli seks z mężczyznami. W Talamh nie mamy takich szaf.

Marco się uśmiechnął. Keegan nawinał spaghetti na widelec i wsunął go do ust.

– Uhm, wyśmienite. Chyba lepiej doprawione niż tamto, które zapamiętałem z Włoch.

– Byłeś we Włoszech? – Marco wycelował w niego dłoń z widelcem. – Zaraz cię o to zapytam, ale najpierw dokończę wcześniejszy wątek.

– Kończ, jak chcesz. Ja tymczasem zajmę się jedzeniem.

– Chcę przez to powiedzieć, że wcale nie jest łatwo się przeciwstawiać, walczyć o siebie, skoro przez większość życia, a w zasadzie przez całe, słyszysz, że masz być potulna. Co więcej, wmawia ci się, że nie wygrasz, bo jesteś za słaba.

Keegan, skupiony na jedzeniu, przytakiwał mu głową.

– Matka Breen się myliła – stwierdził. – Bez względu na motywy, jakimi się kierowała, błędnie ją oceniała. – Spojrzał prosto na Breen zielonymi oczami w złote cętki. – A teraz już siebie znasz. Jednak nie myśl, że cię nie położę na łopatki albo nie nabiję ci kilku guzów na treningach.

– Bo chcesz widzieć ją żywą – podsunął Marco.

– Taa, chcę ją widzieć żywą.

– I dlatego postanowiłem nie wkurzać się na ciebie. Poza tym uratowałeś ją. Dwukrotnie.

– Jej życie nie było aż tak zagrożone.

– Spróbuj ten dip. Mój własny przepis. Spikowałeś z nieba na swoim smoku, kiedy jakiś walnięty Elf chciał ją porwać.

– Smaczny. Ciekawie dobrane składniki.

– A gdy pogryzły ją węże tamtej podłej wiedźmy, usunąłeś jad z jej krwi.

– W dużej mierze sama ją oczyściła.

– Inaczej to przedstawia, ale skłaniam się ku twojej wersji. Tak czy owak, ona jest dla mnie całym światem i cokolwiek zrobisz, nie będę na ciebie bardzo się wkurzał. Ale pamiętaj, nie wolno ci jej skrzywdzić. Chyba powinienem trzymać się z daleka od miejsca, gdzie ćwiczycie.

– Dobrze wybierasz sobie przyjaciół, Breen Siobhan.

– Potraktuję to jako komplement. Marco, lepiej, żebyś dzisiaj już o tym nie myślał. Miałeś ciężki dzień.

– Prawie skończyłem. Chcę, żeby ktoś, może nawet ty, mnie podszkolił. Poza przypadkowymi celnymi ciosami, jestem do niczego.

– Twierdzi, że zostaje – wyjaśniła Breen, kiedy Keegan spojrzał na nią pytająco.

– Nie twierdzą, tylko postanowiłem. Ta dziewczyna jest całym moim światem – przypomniał Keeganowi. – Nie wyjadę, dopóki ona tu będzie.

– W takim razie, bracie, odpowiednio cię wyszkolimy, chociaż nie wiem, czy będziesz mi za to wdzięczny. Powinieneś nauczyć się walczyć na tyle, aby móc obronić siebie i innych. Ale zamiast walczyć na pięści i miecze, możesz inaczej nam pomagać.

– Niby jak? Nie potrafię ziać ogniem jak niektórzy z tu obecnych.

– Właśnie miałem poprosić o dokładkę. Tylko nałóż mniejszą porcję niż za pierwszym razem, bo nawet Croga nie da rady dowieźć mnie do domu.

– Masz na myśli gotowanie?

– Wojownicy muszą jeść, solidnie się odżywiać. Zorganizuję ci treningi. – Obejrzał się na Breen. – Na początek najlepiej go oddać pod skrzydła Morenie. Jest zdyscyplinowana i stanowcza, ale ma więcej cierpliwości ode mnie.

– Czy ktoś może mieć jej mniej?

– Nie spotkałem nikogo takiego – odparł swobodnie. – Widać, że masz talent do gotowania i szkoda go zmarnować. I potrafisz wyprowadzić porządną cios, co sprawdziłem na własnej skórze, może więc, tak jak to było z Breen, stać cię na więcej, niż myślisz.

Marco oparł podbródek na pięści.

– Ty, taki przystojny i wspaniale zbudowany facet, mówisz mi takie rzeczy? I jak tu się w tobie nie zakochać?

Keegan parsknął śmiechem pomiędzy kęsami makaronu.

– Gdybym lubił robić te rzeczy z mężczyznami, na pewno zalecałbym się do ciebie, choćby ze względu na samą kuchnię.

– Nikt nie zabrania marzyć. No to opowiedz nam o Włoszech. Gdzie byłeś, co widziałeś, co tam robiłeś?

Porozumieli się, ucieszyła się Breen. Siedziała zapomniana i patrzyła, jak rodzi się i rozkwita ich przyjaźń, gdy Keegan opisywał dzieła sztuki we Florencji, opowiadał o fontannach w Rzymie, drogach wijących się wzdłuż wybrzeży i wąskich wiejskich uliczkach.

Kiedy rozmowa zesłała na równiny i góry Montany, podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Nie, zostańcie – powiedziała, gdy obaj zerwali się z miejsc.

– Ty gotowałeś, a ty posiedź z Marco i jeszcze coś opowiedz.

Opowiadał. Myła naczynia, słuchając historii o odległych światach. O złotych piaskach, gigantycznych wydmach i soczysto zielonych oazach. O tętniących życiem miastach z latającymi wysoko samolotami i drapaczami chmur.

I o światach, gdzie kwitnie magia, ludzie wiodą proste życie, budują chaty z gliny i słomy, a mężczyźni polują z oszczepami.

Uderzyła ją myśl, że takiego Keegana nie знаła. Był rozluźniony i rozmowny.

– Ile ich jest? – zapytał Marco. – Ile jest tych światów?

– Kto to zgadnie? My wiemy o dwudziestu, ale być może jest ich znacznie więcej.

– Dwadzieścia? Byłeś we wszystkich?

– Nie, gdzie tam. Obowiązki nie pozwalają mi swobodnie podróżować. Poza tym istnieją miejsca, do których prawo zakazuje nam jeździć, bo tam jeszcze trwa ewolucja. Są tam wody o nieprzewidywalnym nurcie i groźne góry. Czynne wulkany.

– Ha. I dinozaury?

– Słyszałem historie o tych wielkich bestiach.

Breen zostawiła ich samych. Poszła na górę i wsunęła Marco amulet pod poduszkę.

Kiedy wróciła z harfą, Keegan podniósł się z krzesła.

– Trochę się zasiedziałem. – Podszedł do Breen i obejrzał instrument. – Prawdziwe dzieło sztuki.

– Breen mi ją przywiozła.

– Mówiła, że muzykujesz. Wspaniały instrument.

– Muszę nauczyć się na niej grać. A ty umiesz?

– Trochę.

Marco klepnął go w ramię.

– Poważnie? Pokaż nam.

– Powinienem wracać.

– Słyszałam, jak grałeś na skrzypcach – wtrąciła Breen.

– Kiedy? – Zerknął na nią, ściągając brwi.

– Tuż przed moim wyjazdem.

– Na pewno uczył cię Eian. Ten człowiek wycisnąłby muzykę z wydrążonej trzciny – zauważył Marco.

– Owszem, ale bardzo dużo już zapomniałem. Przyjemnie byłoby posłuchać kogoś, kto ma lepszą pamięć. – Keegan jeszcze się wahał.

Marco dźgnął go palcem w ramię.

– Hej, wyobraź sobie, że śpiewasz przy kolacji. Następnej wspólnej kolacji.

– Trudno nie ulec takiej zachęcie. No dobrze, jedna melodia i znikam.

Usiadł w salonie z harfą na kolanach, trącił smukłymi palcami każdą ze strun po kolei.

– Dobrze nastrojona – orzekł.

Odczekał moment i zaczął grać.

Dźwięki zdawały się spływać płaczem ze strun. Piękna, nostalgiczna melodia wypełniła pokój.

– Znam tę piosenkę – wyszeptała Breen. – Pamiętam ją.

– Powinnaś. To jeden z utworów Eiana. Nazwał ją *Serce we łzach*. Posmutniałaś. – Keegan przestał grać.

– Nie, to nie tak. Pamiętam, jak ją grał. Siedział w ogródku za naszym małym domem. Późnym wieczorem, sam. Obserwowałam go z okna mojej sypialni, wydawał się taki samotny. Wysłałam mu motyle. – To wspomnienie przywołało uśmiech na jej twarz. – Ściągnęłam je myślami i one przyleciały, krążyły wokół taty. A wtedy on zadarł głowę, zobaczył mnie, uśmiechnął się i posłał mi całusa. Grał w księżycową letnią noc, otoczony wirującymi motylami. Zasnęłam z głową opartą na parapecie, a rano obudziłam się w łóżku. To wszystko było jak sen.

– Proszę cię, zagraj to jeszcze raz.

Keegan powtórzył kawałek piosenki, a następnie dla zmiany nastroju zastąpił ją jakąś pogodną i skoczną melodią. A potem podał harfę Marco.

– Spróbuj.

– W sklepie muzycznym, gdzie pracowałem, mieliśmy sporą kolekcję instrumentów, ale takie rarytasy do nas nie trafiały.

Powiódł palcami po strunach, ustawił harfę i jeszcze raz sprawdził ich ton. I odtworzył coś, co grał na pianinie U Sally w dniu Świętego Patryka.

– No proszę. – Keegan obdarzył go szerokim uśmiechem. – Albo masz wielki talent, albo chciałeś nas nabrać, mówiąc, że wcześniej na tym instrumencie nie grałeś.

– To miała być *Black Velvet Band*, tradycyjna piosenka irlandzka, ale pogubiłem melodię. Muszę wejść na YouTube.

– Mówi o instruktazu – wyjaśniła Breen Keeganowi. – Demonstracji chwytów w Internecie, którą obejrzy na komputerze.

– Można i tak, ale jeżeli chcesz, zabierz harfę do nas. Aisling na niej grywa i da ci jedną czy dwie lekcje. Z tego, co widzę, więcej nie potrzebujesz. – Podniósł się z krzesła. – Dziękuję za poczęstunek i muzykę. Muszę wracać. Harken wyrwie mnie z łóżka przed świtem.

– Ja też mieszkam z takim skowronkiem. – Marco wskazał kciukiem Breen. – Cieszę się, że wpadłeś. Zobaczmy się jutro po twojej stronie. Chyba zaczynam się przyzwyczajać – rzucił. – Albo wino tak działa.

– Odprowadzę cię – powiedziała Breen, wstając. – Fąfel kręci się przy drzwiach, gotowy do wieczornej kąpieli w zatoce.

Keegan narzucił kurtkę.

– Dobranoc, Marco.

– Na razie, Keeganie.

Breen wyszła na rześkie wieczorne powietrze, a Fąfel pędem ruszył do zatoki.

– Marco jest zdecydowany zostać – zaczęła, nie tracąc czasu. – Zrozum, on ma kruchą konstrukcję. Nie nadaje się do walki, nie jest przygotowany na to, co będzie się działo. Muszę go przekonać do powrotu. Jesteś *taoiseachem*.

– I co, powinienem kazać mu się wynieść? Nie mam tu nic do gadania, a zresztą on jest dorosłym mężczyzną, który poważnie traktuje przyjaźń. Powinnaś to uszanować.

– Szanuję, cholera jasna, ale on jest słaby i...

Poła kurtki załopotana, gdy gwałtownie odwrócił się do niej, piorunując ją wzrokiem.

– Wiesz co, akurat ty, ze wszystkich ludzi, nie powinnaś tak o nim mówić. Jest lojalny wobec ciebie, więc bądź z nim solidarna. Ani słowa więcej! – uprzedził, zanim zdążyła otworzyć usta. – Nie umniejszaj go.

– W życiu! Nie miałam zamiaru...

– Oto, co mogę ci przyrzec. Będę go bronić nawet za cenę życia, tak samo jak ciebie.

– Postąpiłbyś tak dla wszystkich bez wyjątku. Masz to we krwi. Jednak, posłuchaj, nie wybaczę sobie, jeżeli coś mu się stanie.

– Zadbam o to, żeby był bezpieczny, i ty też nad nim czuwaj. Ale nie traktuj go protekcjonalnie. Sama najlepiej wiesz, jak to niszczy umysł i serce, jak osłabia ducha.

– Nie mam zamiaru. – Przycisnęła powieki palcami. – A jednak to robię. – Opuściła ręce. – Masz rację. Postąpiłam bezdusznie, nazywając go słabym. Obraziłam go. Ale, Keeganie, Marco

jest człowiekiem. Śmiertelnikiem.

– Ciebie chroni Smocze Serce od Marg. – Postukał palcem w klejnot, który nosiła na szyi razem z obrączką ojca. – Daj mu coś od siebie. Zrób dla niego amulet. Owszem, to nie zapewni mu pełnej ochrony, ale będzie pochodzić od ciebie.

– Włożyłam mu rozmaryn i ametyst pod poduszkę na mocny sen.

– Myślę, że wino załatwi sprawę. Trzeba przyznać, że ma mocną głowę. – Zatrzymał spojrzenie na Fąflu. Psiak wyszedł na brzeg i energicznie otrząsał wodę z gęstego futra. – Muszę ci coś powiedzieć.

– O jutrzejszym treningu?

– Nie. Właściwie już raz o tym napomknąłem, ale ty byłaś wtedy wzburzona. Jest mi bardzo przykro, że zareagowałem tak grubiańsko, kiedy powiedziałaś, że musisz tam wracać. Przepraszam, że nie uwierzyłem w twój powrót do Talamh, nawet kiedy dałaś słowo. A powinienem.

– Zabolalo.

– Wiem. Miało zaboląć. – Przybiegł Fąfel. Keegan gładził go chwilę, ścierając ostatnie krople wody z sierści. – Wybacz. Ciągle wracam myślami do tamtej sytuacji i fatalnie z tym się czuję. Dlatego chcę zamknąć ten temat.

– To wszystko?

– Zanim wyjechałem ze Stolicy, matka prosiła, żebym był wobec ciebie cierpliwy i postępował dyplomatycznie. Ona mnie zna, wie, że jestem w gorącej wodzie kąpany i kiepski ze mnie dyplomata. Żałuję, że jej nie posłuchałem. Nie chciałem cię upokorzyć, niemniej tak się stało.

– Nie upokorzyłeś, więc nie mówmy już o tym. Nie czułam się upokorzona. Byłam rozdarta, przerażała mnie myśl, że mogę nie zobaczyć więcej Marco, Sally czy Derricka. Że nie ujrzę mojej wydrukowanej książki albo nie skończę tej, którą piszę. Że jestem za słaba, aby stawić czoło temu, co nastąpi, i zginę, kiedy tak naprawdę dopiero zaczęłam żyć.

– A jednak wróciłaś. Jesteś córką swojego ojca.

Podniosła oczy na księżyc, samotny na tym świecie, i pomyślała o dwóch w świecie ojca. Oba światy były jej.

– Jeżeli nie spróbuję nią być, cała reszta jest bez znaczenia. Pomogłeś mi się wyzwolić.

– Tak. I dalej będę pomagał, jeżeli tak wybierzesz.

– Nie. Ja już wybrałam.

– W takim razie spotkajmy się jutro na placu, jak dawniej. Jeżeli cię rzucę na ziemię, podniesiesz się.

Przeniosła spojrzenie na zatokę, odbicie półksiężyca falujące na wodzie.

– Nie ma wiele czasu, prawda?

– Nie tak dużo jak myślałem, jak byśmy chcieli.

– Będziemy gotowi?

– Tak, bo nie mamy innego wyjścia. Tak jak dawniej, zostaw otwarte okno. Pojawię się, gdyby Odran próbował wtargnąć w twoje sny.

– Jeszcze nie wie, że wróciłam. Jest zajęty napieraniem na portale.

Chwytał ją za ramię.

– Wiesz to? Widzisz?

– Wyczuwam. Może się mylę, ale...

– Nie, nie możesz się mylić. Ty też włóż amulet pod poduszkę. Zablokuj Odrana. Zyskamy na czasie.

Pojawił się Croga. Przelatując nad wodą, na moment zasłonił tarczę księżyca.

– Kiedy związałeś się ze swoim smokiem?

– Miałem jedenaście lat. Croga wylądował na łące, wprawiając ziemię w drżenie. Wtedy obaj byliśmy mniejsi.

Energicznym krokiem podszedł do Crogi, a gdy smok podrzutem ogona posadził go w siodle, obejrzał się na dziewczynę. Stała nieruchomo, ze srebrną poświatą księżyca na włosach.

– *Oiche mhaith*, Breen Siobhan.

Smok wzbił się w górę. Poczwała na policzku powiew wiatru wzbudzony ruchem ogona. Wierzchowiec i jego jeździec zakręcili nad las i zniknęli w ciemnościach w powrotnej drodze do Talamh.

## Rozdział 4

Rankiem z pierwszą filiżanką kawy w ręce Breen otworzyła kuchenne drzwi. Fąfel, mącąc ciszę radosnym szczeniem, wybiegł na poranne pluskanie w zatoce.

Przeszła leniwie przez taras do ogrodu. Trawa wilgotna po nocnym deszczu ugięła się miękko pod stopami. Powietrze miało zapach rozmarynu i róż.

Zeszła bosko z trawnika na piaszczysty skrawek na granicy łupkowej plaży. Sącząc kawę, patrzyła, jak kudłaty łeb psa podskakuje w białoszarej wodzie, a pasma mgły unoszą się ku dopiero budzącemu się niebu.

Filadelfia wydawała jej się snem; przybladły kolory zastygłych obrazów z tamtych kilku tygodni pomiędzy pobytami tutaj.

Stała w porannej mgle, gdy noc powoli ustępowała przed dniem. Cisza zakłócana jedynie nawoływaniem ptaków i poszczekiwaniami psa napełniała ją błogim spokojem. Żałowała, że nie może pochwycić tej chwili i zamknąć jej w dłoniach. Zatrzymać na zawsze.

Postała jeszcze chwilę, prowadząc wzrokiem czerwoną łódkę, która wyłoniła się z mgieł rozpraszanych coraz silniejszym blaskiem słońca.

Czas zająć się pracą, czekały ją obowiązki. Wróciła do domu, napełniła psie miski i zostawiwszy otwarte drzwi dla Fąfla, weszła na piętro. Myślą rozpałała ogień w kominku w salonie, a potem w sypialni, gdy przebierała się na przebieżkę.

Marco przespał jej poranne rutynowe zajęcia. Nadal spał, kiedy usiadła przy biurku, z psem zwiniętym na łóżku.

I jak tamta łódka we mgle, tak ona zanurzyła się w fabule.

Z transu wyrwało ją pragnienie. Zadowolona z postępu pracy, pomyślała, że napije się coli i pobudzona zimną kofeiną, popisz jeszcze z godzinę.

Marco siedział z laptopem przy stole w jadalni. Miał na sobie wyprasowane džinsy i czerwony sweter, a warkoczyki zebrał w gruby pęk frotką w odcieniu swetra.

Nieraz zastanawiała się, jak on radzi sobie z ich zaplataniem.

– Dzień dobry. Nie słyszałam, kiedy zszedłeś.

– Staram się zachowywać cicho. Poza tym z takim zacięciem waliłaś w klawiaturę, że nawet gdybym puścił Beyonce na cały regulator, pewnie i tak byś nic nie usłyszała.

– Szło mi jak z płatka. – Wzięła z kuchni colę i pociągnęła nosem. – Czuję bekon.

– W piekarniku grzeje się solidny brunch.

Uchyliła drzwiczki i zobaczyła omlety, plasterki bekonu i pieczone ziemniaki.

– Uhm, wygląda bosko. Zazwyczaj robię sobie grzanki.

– Nie, kiedy Marco jest tutaj. – Wstał od stołu i podszedł do lodówki. – Mamy deser z owoców i mrożonego jogurtu. Muszę zarobić na swoje utrzymanie i podejrzewam, że potrzebujesz solidnego podkładu przed tym twoim treningiem.

– Naprawdę nie myślałam, że będę się cieszyć, że tu jesteś. Pokrzyżowałeś mi szyki.

– Siadaj. – Podał jej kubeczki z deserem. – Przyniosę talerze. Dzisiaj fajnie mi się czytało twój blog – dodał. – To, co napisałaś wieczorem, było czymś w rodzaju bonusu. Widziałaś komentarze?

– Nie. Wolałam się skupić na książce.

– Mnóstwo ludzi wrzuciło wyrazy współczucia z powodu śmierci taty. I bez wstydu się przyznaję, że uroniłem kilka łez. Odkąd podpieliśmy blog do twojej strony internetowej, zwiększył się ruch na twoich profilach społecznościowych i masz ponad dwa razy więcej obserwujących.

– Odkąd podpiąłeś – poprawiła go. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że nie muszę tego ogarniać.

– Pogoniłaś mnie do roboty swoim zrządzeniem. – Rozstawił talerze. – Sprawdziłaś pocztę po przyjeździe?

Skrzywiła się.



– No, nie.

– Dobrze, że kopiuję wiadomości z Nowego Jorku. Jednak powinnaś częściej zaglądać do poczty. Zobacz.

Usiadł, dał jej znak, żeby zrobiła to samo, i obrócił laptop w jej stronę.

– Przyszło dziś rano. – Otworzył załącznik.

Breen z wrażenia zapało dech.

Fąfel, a właściwie jego artystyczna, jeszcze bardziej kudłata wersja, jakby zatrzymany w skoku, patrzył na nią z ekranu z szerokim, psim uśmiechem na pysku. Powyżej biegł łukiem tytuł z jaskrawoczerwonych liter: MAGICZNE PRZYGODY FAFLA, a pod spodem widniało nazwisko autorki: BREEN KELLY.

– Och, Fąfel, chodź tu! Zobacz! – Odwróciła ekran w stronę psa, który w odpowiedzi pomauchał ogonem. – Wygląda zupełnie jak on. Super. Czyż to nie cudowne? A może tak myślę, bo widzę swoje nazwisko? Marco, to okładka książki z moim nazwiskiem!

– Napisałaś ją, nie?

– Cholerka, no tak, napisałam. Ale mi się podoba! A tobie? Jak myślisz, powinnam być zadowolona z okładki?

– Ochłoń. Zjedz trochę jogurtu. – Obrócił laptop tak, aby jedząc, widziała ekran. – Myślę, że jest zagrzebiście fantastyczna.

– Szczerze? – Nabrała na łyżeczkę odrobinę jogurtu z owocami. – Nie ufam sobie, bo z wrażenia ledwo widzę.

– Miałem czas się przyjrzeć. Kiedyś dawałem lekcje muzyki dzieciakom, do których ta książka jest adresowana. Ty przecież też uczyłaś mnóstwo dzieci w podobnym wieku. Powiedz, czy można nie zakochać się w psie, który tak wygląda? I jeszcze ta radosna kolorystyka, no i tajemniczy las w tle. Pies biegnie beztrudnie w stronę lasu. Co go czeka? Może jakaś niebezpieczna przygoda? Może nasz bohater, żeby wyjść z opresji, będzie musiał wykazać się sprytem?

Marco, kiwając głową, jakby na potwierdzenie własnych słów, podniósł widelec i odkroił kęs omletu.

– Dzieciaki będą chciały to odkryć, nie? Na dodatek, Breen, on jest zabawny i mądry. Cała historia taka jest. A to zachęci i rodziców, i nauczycieli.

– Chyba masz rację.

– Mam, bo to oczywiste. Jedz.

– Zaledwie rok temu nie uwierzyłabym w to wszystko. A jednak jesteśmy tutaj, fakt.

– Chcą twoje zdjęcie z Fąflem na tylną okładkę. Pstryknę ci kilka fotek, zanim się przenieśmy, no wiesz, w tamto miejsce. Ale musisz coś zrobić z włosami i trochę się umaluj.

Jedząc, przyglądał się jej krytycznie. Miała na sobie jasnoniebieski sweter i ciemnobrązowe spodnie.

– Przydadzą ci się wysokie buty, pożyczę ci brązową, skórzaną kamizelkę. Załóż kolczyki – małe, na sztyftach, żeby nie przesadzić – i będzie super.

– Potrzebuję jeszcze z godzinę. Rano siedziałam nad powieścią dla dorosłych. Chciałabym dopisać kolejną przygodę Fąfla.

– Dobra. Mam co robić.

Po godzinie zajęła się włosami. Pomyślała o makijażu, ale stwierdziła, że jest za leniwa.

Marco przyniósł kamizelkę i z aprobatą pokiwał głową.

– Włosy w porządku, swobodnie i zabawnie ułożone. Nie chcieliby wyszukanej fryzury do książki dla dzieci. Ale, dziewczyno, pomaluj oczy.

Powiesił kamizelkę na haczyku na drzwiach łazienki i podniósł pędzelek do cieni.

– Zamknij powieki.

Poddała się, pozwalając mu poszaleć z cieniami, konturówką i tuszem do rzęs.

– Musisz dobrze wypaść na swoim pierwszym autorskim zdjęciu. No, gotowe.

Kiedy obrócił ją do lustra, westchnęła z zadowoleniem.

– Ładnie – pochwaliła.

Podał jej kamizelkę.

– Z przykrością stwierdzam, że wyglądasz w niej lepiej niż ja. Ale jakoś to zniosę dla dobra sprawy, bo chyba uzyskaliśmy właściwy efekt. Idziemy robić zdjęcia.

Myślała, że zrobi ich kilka, a wyszło kilkanaście. Na stojąco z Fąflem nad wodą, w bujanym

fotelu na tarasie z Fąflem przy nogach, razem z nim na trawie.

Fąfel niespodziewanie oparł przednie łapy na jej udzie i polizął ją po twarzy, a ona, śmiejąc się, go uściskała.

– Zdjęcie warte fortunę! – podsumował Marco. – Wybiorę pięć najlepszych do wysyłki. Nie wiem, czemu akurat pięć, ale dobrze to brzmi.

– Musimy się zbierać.

– Daj mi pięć minut na pięć zdjęć i spadamy.

Kiedy wreszcie weszli w las, Fąfel natychmiast puścił się w pogoń za wiewiórką, wypłuskał się w strumyku i pędem wrócił do nich.

– Ten psiak wie, co znaczy dobra zabawa – zauważył Marco. – To... co ja tam będę robił?

– Pewnie Morena ci coś wymyśli.

– Chyba nie każe mi zajmować się tym wielkim ptaszyskiem, co?

– Amiszem. Nie wiem, czemu miałaby chcieć, żebyś trenował jej jastrzębia.

– A ty co będziesz robić?

– Zazwyczaj ćwiczę trochę z babcią. Magia wymaga praktyki.

– Jak joga.

– Można tak powiedzieć. – Widząc, że się denerwuje, objęła go ramieniem w pasie. – Dziś możesz mi potowarzyszyć, resztę odłóż na później.

– Równie dobrze mogę zacząć od zaraz. To wszystko znowu wydaje mi się nierealne. Wczorajszy wieczór z Keeganem był taki zwyczajny. Dziś rano oboje pracowaliśmy. Ale przechodzenie przez opasłe drzewo do innego świata? To nie mieści mi się w głowie.

– Zaraz się zmieści. – Machnięciem ręki wskazała Powitalne Drzewo.

– No widzę, stoi. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Ktoś je tu posadził?

– Babcia mi mówiła, że jakieś tysiąc lat temu Birget z Widzących, późniejszy *taoiseach* Talamh, spisał porozumienie z innymi światami. Kiedy ludzie odwrócili się od magii i stali się wobec niej podejrzliwi, zaczęły się prześladowania wszystkich, którzy posiadali tajemną moc. A przy okazji wielu, którzy wcale jej nie mieli.

– Coś jak szaleństwo w Salem?

– Tak, jak tamto. Tylko wcześniej, w tym samym czasie i później. W Talamh postanowiono zachować dawny porządek i dlatego pomiędzy światami Fey i ludzi stało graniczne drzewo, które stało się również portalem, gdy Talamh oderwał się od Irlandii. Nie wszyscy przestrzegali porozumienia, większość po tej ludzkiej stronie o nim nie pamiętała. Zapomniano, że w ogóle istnieją jakieś inne światy. Talamh pamięta i strzeże pokoju. I walczy o niego, kiedy zachodzi taka konieczność.

– Jak teraz.

– Jak teraz – powtórzyła za nim i wzięła go za rękę. – Gotowy?

Wstrzymał oddech i zebrał się w sobie.

– Zobaczymy.

Razem z nią stanął na jednym z grubych, zakrzywionych konarów.

I wdrapał się na jeden wyżej.

– Fąfel do przodu – usłyszał głos Breen. Pies z ochoczym szczeknięciem wskoczył pomiędzy gałęzie i zniknął.

Tym razem ani błysk światła, ani poryw wiatru aż tak go nie przeraziły. Razem z Breen znalazł się po drugiej stronie w pogodny rzeński dzień. Pies już uganiał się za owcami.

– I jak?

– Dziwnie – wyznał. – Pewnie za każdym razem tak będzie. Ale nie kręci mi się w głowie. Nie dygoczę. Co za widok, Breen. Zdaje się ciągnąć bez końca. Keegan krząta się w obejściu. Nie, to ten drugi, Harken. Ta dziewczyna przy koniach to pewnie twoja przyjaciółka, Morena. A tam w oddali stoi jakiś dom. Wcześniej chyba go nie widziałem.

– To chata Mahona i Aisling, siostry Keegana. Wczoraj podeszła do nas z synkami. Mahon jest jej mężem i dobrym przyjacielem Keegana. Zdaje się, kimś w rodzaju jego adiutanta. Jest wojownikiem. Wywodzi się z Sidhe.

– W porządku, już kapuję.

Zszedł z Breen na ziemię po siedmiu kamiennych stopniach.

Kiedy przecięli łąkę, przeszli nad murkiem i znaleźli się po drugiej stronie drogi, Morena

pomachała do nich na powitanie. Długie włosy związane w koński ogon wystawały jej spod niebieskiej czapki z daszkiem, broszkę z jastrzębiem, prezent od Breen, miała przypiętą do kurtki.

Ciekawe, czy dlatego rozłożyła skrzydła i zamiast podejść, podleciała do nich, żeby zrobić wrażenie na Marco, zastanawiała się Breen.

– Przewidywałam, że pojawicie się mniej więcej o tej porze – odezwała się, stając na ziemi.  
– Marco, konie osiodłane.

– Okej. – Zafascynowany widokiem skrzydeł, nie zwrócił uwagi na konie. – Piękne. Mogę ich dotknąć? Czy to wypada? Nie obrażę cię?

– Nie, kiedy pytasz. Śmiało.

Wyciągnął rękę i opuszkami palców powiódł po srebrnej obwódce lawendowego skrzydła. – Są w dotyku jak jedwab. One... wyskakują, kiedy chcesz?

– No tak.

– Niesamowite.

– Słyszałam, Marco, że Keeganowi bardzo smakowała kolacja. Chętnie spróbowałabym twojej kuchni.

– Kiedy tylko masz ochotę.

– Fatalnie gotuję.

– Mogę cię nauczyć.

– Zobaczymy, ale dzisiaj to ja jestem nauczycielką. Popatrz, to jest mój Blue, a ta ładna gniadoszka nazywa się Cindie. Będiesz na niej jeździł.

– Będę?

– Oczywiście. Najpierw zrobisz kilka okrążeń na padoku, żebyście mogli się zaprzyjaźnić.

– A dlaczego ja nie robiłam żadnych okrążeń na padoku przed nauką jazdy? – chciała wiedzieć Breen.

W niebieskich oczach Moreny zamigotały kpiarskie iskierki.

– Powiedzmy, że ja i Keegan reprezentujemy różne szkoły. Marco, chodź, poznaj naszą Cindie. Już po tych słodkich oczach widać, że ma łagodną naturę. I jest niestrudzona. Będzie cię nosić bez końca, jeśli tego od niej zażadasz.

Breen podeszła do klaczy i nie musiała patrzeć w jej ciemne w oczy, żeby dostrzec jej łagodny charakter, lojalność i chęć współpracy z człowiekiem.

– Popatrzę sobie na was przez chwilę.

Obserwowała zza ogrodzenia, jak Marco pogładził Cindie po policzku, przeszedł nad barierką i przytulił się do jej szyi.

– Nigdy nie siedziałem na koniu.

– Pierwszy raz zawsze gwarantuje najlepszą zabawę, prawda? – podchwyciła Morena. – Jak wsiądziesz, sprawdzę, czy strzemiona są na odpowiedniej wysokości.

– Już się robi.

W przeciwieństwie do Breen, Marco nie próbował wsiąść po złej stronie ani nie narzekał, że siodło nie ma główicy. Po prostu wdrapał się na nie i roześmiał.

– Juhuu!

Morena pokazała mu, jak trzymać wodze i nimi kierować.

– Cindie to taka poczciwa dusza – tłumaczyła. – Musisz postępować łagodnie, a jednocześnie zdecydowanie, a będzie chętnie współpracować.

– Podoba mi się widok z końskiego grzbietu. Kto by pomyślał?

– A teraz okrąż padok. Pięty w dół, kolana do wewnątrz. Tak jest. I opuść dłonie.

– Jadę na koniu. Ale super! Breen, popatrz na mnie.

– A teraz zawróć i pojedź w przeciwną stronę. No proszę. On ma wrodzony dar.

Zdecydowanie, przyznała w duchu Breen. Ma większy talent od niej.

– Możesz spokojnie go ze mną zostawić – szepnęła jej Morena.

– Widzę. Tylko nie spuszczaaj go z oka. Gdyby ktoś od Odrana tu się przedostał...

– Przed wyjazdem z farmy przypnę miecz. Keegan i Mahon polecili ze zwiadowcami.

Będę na niego uważać, masz moje słowo.

– I na siebie – dopowiedziała Breen. Musi Morenie zaufać. – Marco! – zawołała. – Zostawiam cię z Moreną, później po ciebie wrócę.

– Później. Hej, możemy przejechać się po okolicy?

Breen odeszła od barierki, przywołała Fafla i ruszyła do domu babki.

Pomachała do Harkena, zadarła głowę i sprawdziła, czy nie widać zwiadowców. Dostrzegła sokoła wysoko pod niebem, smoków nie było. I ani śladu dzieci, pomyślała, zazwyczaj biegały w pobliżu drogi i buszowały w lesie. No tak, lato się skończyło i siedzą w szkole, tak samo jak dzieciaki w innych światach.

Teraz, jesienią, powietrze zrobiło się ostrzejsze. Na wzgórzach drzewa liściaste poprzetykane intensywnie zielonymi sosnami przybrały złote, czerwone i pomarańczowe barwy. Zauważyła Trolli przed głębokimi jaskiniami, pewnie wyszli na dwór odetchnąć, po czym wrócą wykopywać drogocenne kamienie i kryształy.

Na zakręcie do chaty babki natknęła się na jelenia. Zanim wtopił się w gąszcz, objął ją przeciągłym, aroganckim spojrzeniem.

Na pewno jeleni, nie jeleniołak, zdecydowała. Keegan miał rację, umiała już je odróżniać. Wystarczył jeden rzut oka.

Niebieskie drzwi chaty babci były otwarte, z kominów leciał dym.

Marg z Finolą przesypywały zioła do słoików.

– Witaj w domu! – Finola z kasztanowymi włosami związanymi do pracy w kok podeszła ją uściskać. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. Seamus jest w drodze do ciebie, chce zajrzeć do ogrodu.

– Szkoda, że się z nim minęłam. – Nachyliła się i pocałowała Marg w policzek. – Pomóc wam?

– Już kończymy. Napijesz się herbaty, a może coś zjesz?

– Nie, dziękuję. Marco zrobił dla nas obfite śniadanie.

– Słyszałam, że ten przystojny chłopak świetnie kucharzy.

Breen spojrzała na Finolę i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– W Talamh zdecydowanie. Chętnie ponownie z nim się zobaczę. Teraz jest z Moreną?

– Tak. I po pięciu minutach lepiej się trzymał w siodle niż ja po pięciu godzinach.

– Pewnie go spotkam w drodze do domu. Muszę się zbierać. Wpadłam na chwilę, przyniosłam Marg na spróbowanie naszą brandy z brzoskwini. Nieźle kręci. Zajrzyj do nas, Breen, i koniecznie przyprowadź przystojnego Marco.

– Oczywiście.

– Weź. – Marg podała przyjaciółce mały słoik. – Pamiętaj, wystarczy szczypta, żeby poprawić smak potrawy.

– Dzięki i podziękowania od Seamusa, bo mu bardzo odpowiada ten doprawiony mocniej smak.

Kiedy Finola zniknęła za drzwiami, Marg podeszła do słoja z psimi przysmakami. Fafler natychmiast postawił uszy.

– A jak mi się zrewanżujesz?

– Umie zatańczyć – pochwaliła się Breen.

– Naprawdę?

– Fafler, zatańcz dla babci. Czas na boogie!

Pies stanął na tylnych łapach i drobiać w prawo i w lewo, kołysał się na boki. Marg zaśmiała się, rzuciła mu herbatnik, a on złapał go w powietrzu. – Niezła z was para, co? No jak, przejdziemy do pracowni?

– Tak, chętnie. Chciałabym zrobić coś do ochrony dla Marco, bo nie daje się namówić na powrót.

– Dobrze. Chodź, piesku, weź swój smakołyk. Jest ładny ciepły dzień, pobiegasz sobie, wypluskasz się w strumyku. Da ci znać, żeby go wpuścić, prawda?

– Tak. – Wyszły na dwór, a ponieważ nikogo więcej w domu nie było, tym razem Marg zamknęła drzwi. – Po prostu czuję, o co Fafler prosi. Oczywiście, nie słowami, ale ja się domyślam.

– Łączy was prawdziwa więź.

Weszły do lasu. Fafler z herbatnikiem w pysku pobiegł na mostek nad strumykiem.

– Masz pożyteczny dar wnikania w żywe istoty. – Marg zatrzymała się na garbatym prześle kamiennego mostka. Po drugiej stronie ukryta między drzewami stała chata, w której miała swoją pracownię. – Wiesz, którego konia wybrali dla Marco?

– Klaczkę. Morena nazywa ją Cindie.

– Aha, dobry wybór. Jest łagodna, cierpliwa i dobrze ułożona. Ona zna swoje imię, więc przytrzymaj ją w umyśle. Zobacz oczyma duszy. Przyciągnij do siebie.

– Mam ją przywołać?

– Nie, nie, *mo stor*. Wniknij w nią, tak jak wnikasz w tego łobuziaka. Połącz się z nią.

Oczywiście wcześniej widziała klacz na łące Harkena, obejrzała ją uważnie, zanim Marco wdrapał się na siodło, ale jak połączyć się z nią, skoro nie zna dzielącej je odległości czy...

Odległość nie ma znaczenia, usłyszała kiedyś od Keegana.

Przytrzymała więc imię klaczy w myślach, przywołała ją, zestroiła się z nią. Poczowała, jak Cindie się zbliża i wnika w jej zmysły.

– Jest zadowolona. Czuje sympatię do człowieka i cieszy ją zapach powietrza. Lubi, kiedy jest przy niej Blue. Ona... z nim się parzyła.

Marg z uśmiechem popatrzyła w oczy Breen.

– Rzeczywiście, dwukrotnie, o ile mnie pamięć nie myli. Dobrze sobie poradziłaś.

– Nie wiedziałam, że mam takie możliwości.

– Masz o wiele większe. A jak tam Marco?

– Nie mogę...

– Nie myśl, po prostu czuj. Tu potrzeba czegoś więcej niż tylko rozumowania. Powiedziałabym, że ludzie i Fey są wyposażeni w pewnego rodzaju filtry, których nie mają konie, psy i pozostałe zwierzęta. Wiele cię z Marco łączy. Już nieraz nieświadomie czytałaś w nim jak w otwartej księdze, bo wasza więź ma długą historię. Co on czuje w tej chwili?

– Ekscytację. – Roześmiała się zaskoczona, że widzi wszystko tak wyraźnie. – Jest zadowolony. Trochę dumny z siebie. Och – poprawiła się – więcej niż trochę.

– No widzisz. – Marg poklepała Breen po ramieniu. – Kiedy coś cię martwi – tłumaczyła, gdy schodziły z mostka – zawsze możesz z tego skorzystać. Ale pamiętaj o dobrych manierach. Nie ingeruj bez powodu.

– Nie będę. – Breen weszła za babką do chaty. Marg już od drzwi roznieciła ogień w kominku. – Podobnie było z jeleniem. Kiedy go zobaczyłam w drodze do ciebie, od razu wiedziałam, że nie jest Hybrydem.

– To jeszcze co innego. Wszyscy Fey mają tę wiedzę. Nikt nie wypuści strzały, jeśli nie czuje i nie wie. Jednak tylko niektórzy są tak wyposażeni jak ty. Harken ma swój szczególny dar, Aisling w pewnym sensie też, bo potrafi uzdrawiać i zamykać rany. Ty masz wszystko.

– Naprawdę? Nigdy o to nie pytałam.

– Masz ogromny dar, ale jeszcze trzeba nad nim popracować.

– Tyle czasu straciłam. Tak wiele mogłam się nauczyć.

– Czas nigdy nie jest stracony, po prostu bywa wykorzystywany na inne sprawy. A teraz – szerokim gestem objęła półki zastawione słojami, koszykami, kryształami i najróżniejszymi akcesoriami – jakiego rodzaju ochrony chcesz dla swojego przyjaciela?

– Chciałabym go otoczyć nieprzeniknionym polem siłowym. Ale chyba nie ma takiej możliwości.

– To wymaga czasu i wprawy. – Marg zapaliła ogień pod kuchnią, z czajnikiem stojącym na fajerkach.

– Naprawdę?

– Takie amulety zapewniają ochronę, ale równie dobrze mogą stać się więzieniem. Co ja o nim wiem? Powiedziałabym, że... – Marg zakręciła palcem w powietrzu, jakby szukała odpowiednich słów. – Amulet musi mieć styl, tak aby chętnie go nosił. A trochę nawet nim się chwalił.

– Zdecydowanie. W takim razie naszyjnik – rzuciła Breen. – Albo bransoletka.

Marg ponownie wskazała półki.

– Rozejrzyj się, może coś wpadnie ci w oko.

Breen przechadzała się wzdłuż półek, brała do ręki rzemyki, łańcuszki, szlachetne kamienie, wstążki, skrawki skóry, oglądała je i odkładała na miejsce.

– Czy Trolle wydobywają kryształy?

– Owszem, tak.

– A ty handlujesz z nimi, wymieniasz się towarami. Chcę zacząć gromadzić materiały. Byłaś bardzo hojna, ale powinnam pomyśleć o własnych zapasach. Czy oni będą ze mną handlo-

wać?

– Oczywiście. Trolle, poza sytym posiłkiem i dużym kuflem piwa, niczego nie cenią sobie bardziej od wymiany handlowej. Najlepiej pojechać do faktorii przy najbliższej kopalni. Keegan może cię tam zabrać po treningu.

– Hmm. – Mruknięcie Breen wystarczyło za całą odpowiedź.

– Wybierz, co chcesz dla swojego i mojego przyjaciela. Praca nad ochronnym amuletem jest dla ciebie dobrym ćwiczeniem.

– Pomyślałam o skórze. Widzę rzemyki w różnych odcieniach czerni i brązu. Splotę je, a w plecionce umocuję różne kamienie. Wezmę malachit dla ochrony i wsparcia. Wiem, że Marco spodoba się kolor. Czarny turmalin zapewnia bezpieczeństwo i wsparcie. Obsydian osłania przed negatywną energią, neutralizuje ją i odsyła z powrotem do źródła. Cytryn skupia pozytywną energię i odpowiada za duchowe oczyszczenie. Ametyst i labradoryt chronią przed przemocą psychiczną.

Obejrzała się na Marg.

– Dobry wybór, szybko się uczysz, Breen Siobhan. Dodałabym jeszcze agat ognisty jako tarczę. Wybierz kamienie i gładko oszlifuj. Myślę, że kaboszony lepiej pasują do bransolety. Trzymam tutaj twoją różdżkę i nóż athame, żeby zawsze były pod ręką.

Marg podeszła do jednej z półek i otworzyła podłużne drewniane pudło. Wyjęła przyrządy Breen i ułożyła je na stole.

– Ułóż na blacie wszystko, co ci się przyda. Najpierw proste zadanie: własnoręcznie spleć rzemyki, przekładając je, bądź myślami przy przyjacielu i pamiętaj o swoich intencjach.

Na szczęście umiała robić plecionki – swego czasu Marco tego dopilnował.

– W każde przełożenie, w każdy supełek wprzęgam ochronę dla mojego bratniego serca. Mocna skóra, ciemna i jasna, trzy rzemyki splecione w jeden. I niech pulsuje w nim jego tętno.

Marg pokiwała głową z aprobatą.

– Dobra robota, dobrze powiedziane. A teraz ułóż kamienie na plecionce tak, jak uważasz.

Breen nie mogła się zdecydować, trzykrotnie je przekładała.

– Czy tak będzie dobrze?

– Myślisz i czujesz.

– Chyba nie będę nic więcej zmieniać. Spodobają mi się kolory i kontrast. To silne połączenie.

– Taak. A teraz tchnij w nie światło. Naładuj kamienie swoją i światła energią.

Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz zajmowała się praktyczną magią, a miała wrażenie, jakby to robiła wczoraj. Serce szybciej jej zabiło, gdy przywołując i wzbierając w sobie moc, ściągnęła z dworu światło i oblała nim bransoletę.

Kamienie załśniły w słońcu.

– Teraz różdżka. Wolą serca wtop kamienie w skórę. Przelej w nie swoje słowa i siłę.

– To dar zrobiony dla tego, który jest mi drogi. Niech go chroni przed wszelkimi zagrożeniami, odległymi i bliskimi. W moich dłoniach z trzech powstało jedno, moją mocą przywołałam słońce. Wybrałam kamienie i naładowałam energią, żeby on był chroniony. Niech ciało, umysł i duch stanie się jednością.

Trzykrotnie przesunęła różdżką nad plecionką.

– I tak za sprawą różdżki i mojej woli amulet jest gotowy.

Kamienie wsunęły się pomiędzy rzemyki i wtopiły w splot.

Breen odetchnęła głęboko, żeby pozbyć się ciągle wibrującej w niej mocy.

– To silny dar. – Marg pocałowała wnuczkę w czubek głowy. – I piękny.

Breen podniosła bransoletkę, odwróciła, sprawdziła, czy splot jest równy i gładki, a na koniec położyła ją sobie na nadgarstku i obejrzała kamienie.

– Jak mi tego brakowało – wyszeptła, podnosząc oczy na Marg. – Tego i ciebie. Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą i właśnie tym tęskniłam.

– Uszyjemy ładny miśzek na ten prezent.

Marg chciała podejść do półki, ale Breen przytrzymała ją za rękę.

– Odran mnie jeszcze nie widzi. Chroni mnie zasłona, ale jest w niej szczelina, przez którą zamiast światła wnika ciemność. To twoja zasłona, trzyma ją twoje zaklęcie.

– Na razie. Potrzebujesz więcej czasu, tak jak my wszyscy.

– Wkrótce ją rozsunie.

– Tak, tak się stanie. Ale żyjmy dniem dzisiejszym. – Ujęła w dłonie twarz Breen. – On wie, że jesteś silniejsza, niż sądził, ale nadal nie widzi potęgi twojej mocy. Ty też dopiero ją poznasz. – Marg podeszła do regału. – Mieszek z czerwonej skóry ze złotym sznurkiem. Jak myślisz, spodoba się Marco?

– Na pewno.

Breen poszła wpuścić Fąfla, bo wyczuła, że cierpliwie waruje pod drzwiami.

– Babciu, nie ruszę się stąd, dopóki ostatecznie nie rozwiążemy problemu. To moje przyrzeczenie, mój wybór. Pomóż mi odnaleźć we mnie więcej mocy, żeby tak mogło się stać.

– *Mo stor*, zawsze ci będę pomagać, ale sama musisz odnaleźć w sobie to, co masz i czego potrzebujesz.

Oby jak najprędzej, pomyślała Marg, bo z każdym dniem próby rozsunięcia zasłony stawały się coraz bardziej natarczywe.



## Rozdział 5

Po cudownym popołudniu wypełnionym praktykowaniem magii i twórczymi działaniami z babcią Breen wracała na farmę i myślała o tym, że jeśli nawet uda się jej uniknąć kompromitacji, na pewno zakończy wieczór poobijana.

Na widok Moreny, która na łące udzielała Marco wskazówek dotyczących walki wręcz, w głowie Breen zatliła się iskierka nadziei.

Keegan przyglądał się im oparty o ogrodzenie, Harken, zazwyczaj zajęty pracą w polu lub obrządkiem zwierząt, siedział na murku obok brata.

Kiedy Keegan z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki odwrócił głowę i szepnął jakieś słowa do Harkena, co wywołało uśmiech na jego twarzy, Breen uderzyło podobieństwo łączące braci. Mieli rysy twarzy podobne do mężczyzny ze zdjęcia z jej ojcem, tego jeszcze z czasów przed jej przyjściem na świat. Taki sam zarys szczęki, wykrój ust i identyczny kształt nosa.

Pomimo fizycznego podobieństwa mieli odmienne osobowości i zainteresowania. Keegan chodził z mieczem u boku, z kieszeni Harkena wystawały robocze rękawice. Wijące się włosy Harkena przykrywała stara brązowa czapka, głowę Keegana zdobił cienki warkocz wojownika, zapleciony przy skroni.

*Taoiseach* i farmer, podsumowała w myślach ich wygląd. Gdyby w Talamh działały aparaty fotograficzne, na pewno zrobiłaby im zdjęcie.

Kiedy szła wzdłuż kamiennego ogrodzenia, Harken pozdrowił ją uniesieniem dłoni, Keegan zaledwie odprowadził wzrokiem.

Na łące Morena zamarkowała niezgrabny lewy prosty, który Marco udało się zablokować, i natychmiast wyprowadziła prawy sierpowy, po czym zatrzymała pięść tuż przed jego szczęką. W odpowiedzi spróbował trafić ją hakiem w podbródek, ale osłoniła się łokciem i po raz kolejny jej pięść wylądowała o włos przed jego twarzą, tym razem na wysokości nosa.

– Marco, kochany, pamiętaj, oczy są tak samo ważne jak ręce. Oczy i praca nóg. I nie atakuj barkiem. Jeszcze raz.

Akurat kiedy go instruowała, zauważył Breen. Posłał jej szeroki uśmiech.

– Patrz na mnie. Ja...

Zakończył stęknięciem, bo Morena podcięła mu nogi.

– Wzrok tutaj. – Morena wskazała dwoma palcami swoje oczy. – Bez koncentracji za każdym razem wylądujesz na tyłku. – Podała mu rękę, pomogła wstać. – Jak na początek nieźle ci idzie, czas na krótką przerwę. – Chwyliła bukłak z wodą i podrzuciła w jego stronę.

– Miałem ciężki dzień – oznajmił Breen i sądząc po jego głosie, to rzeczywiście musiał być cholernie wyczerpujący dzień.

– Jak tam lekcja jazdy?

– Zapytaj instruktorkę.

– Ten facet czuje się w siodle jak ryba w wodzie.

– Poważnie?

– Mam ukryte talenty. – Napił się wody i otarł spoconą twarz. – Walka na pięści raczej do nich nie należy.

– Potrzebujesz więcej czasu. Ale na dziś koniec. Oddajemy plac – oznajmiła Morena.

– Och, mogę poczekać – zapewniła ją Breen.

– Nie ma potrzeby. Marco zdecydowanie zasłużył na obiecany kufel piwa. To jak, Keegan, widzimy się o zmierzchu?

– Tak.

Zrzucił kurtę i cisnął ją na barierkę.

– Nie mam nic przeciwko późnej kolacji! – zawołał Harken za odchodzącą Moreną. – Przy najmniej miałybyś czas coś ugotować.

– Wolno ci, skarbie, pomarzyć. – Posłała mu słodki uśmiech. – Ludzie powinni mieć marze-

nia. Możesz teraz osiodłać Blue – zwróciła się do Marco. – A potem przyjdzie czas na piwo i pier-  
nik, który moja babcia zamierzała dziś upiec.

– Chętnie.

– Przetestuj swoje ukryte talenty na Blue.

Kiedy zbliżali się do padoku, Amisz spikował na słupek przy bramie. Przestraszony Marco zatrzymał się w pół kroku.

– A ty co? Ja też mam skrzydła, a mnie się nie boisz.

– Skrzydła nie problem. Chodzi o dziób i te oczy. On patrzy prosto na ciebie i słyszysz, jak mówi: „Założę się, że twój język naprawdę dobrze smakuje”.

Morena, kręcąc głową, pociągnęła Marco na padok.

– Przysięgam solennie, że Amisz nie wydziobie ci języka ani żadnej innej części.

– Czy on o tym wie?

– Jeżeli ja wiem, to on też.

– Marco, poczekaj. Mam coś dla ciebie. – Breen weszła na padok i wyjęła mieszek z kie-  
szeni.

– Nagroda za utrzymanie się w siodle? Super. – Otworzył woreczek i wyjął bransoletę. –

Łał! Fantastyczna. Dzięki, dziewczyno. Skąd ją wytrzasnęłaś? Nie widziałem tu żadnych sklepów.

– Sama zrobiłam.

– No co ty! – Popatrzył na nią, tłumiąc śmiech, i zamrugał. – Poważnie?

– Och, Breen, naprawdę dobra robota. – Morena z rękami splecionymi na plecach pochyliła  
się nad bransoletką. – Piękna.

Harken zeskoczył z murku i zaciekawiony, dołączył do nich.

– Fakt. I dobrze dobrałaś kamienie.

– Będzie cię chronić. – Breen wyjęła bransoletę z dłoni Marco i zapięła ją na nadgarstku. –  
Twój umysł, ciało i ducha. Będę lepiej sypiać, jeśli będę wiedziała, że ją nosisz. W ogóle jej nie  
zdejmuj.

– Tak jest. Znaczy użyłaś magii? Zrobiłaś ją z hokus-pokus, czary-mary?

– Z najmocniejszym zaklęciem, jakie znam. To nie znaczy, że nie skręcisz sobie karku, ska-  
cząc z klifu, czy nie obijesz tyłka, gdy Morena rzuci cię na ziemię. Ale działa jako amulet.

– I ma klasę. – Nachylił się i pocałował Breen w policzek. – Kocham cię i tę bransoletkę. –

Znowu zamrugał zaskoczony. – Masz nóż przy pasku? Chodzisz z nożem?

– To mój athame. Potrzebny do rytuałów. Zostawiłam go u babci przed wyjazdem do Fila-  
delfii.

– Ten nóż też sama zrobiła – wtrąciła Morena. – I różdżkę. Pokaż mu, Breen.

– Masz magiczną różdżkę? No co ty?! – Jego rezerwę po dostrzeżeniu noża zastąpił entu-  
zjazm. – Pokaż. Zrób coś. A gdzie królik i cylinder?

– Pozwolę sobie zauważyć – zaczął oschle Keegan – że nie zamierzam tu sterczeć bez  
końca, kiedy będziecie podziwiać manualne zdolności Breen.

– Zostawmy tego tyrana. Chodź, Marco, pokaż swoje zdolności. Ciekawe, jak ci pójdzie  
z osiodłaniem Blue.

– Zobaczymy się później – rzuciła Breen. Gdy wychodziła z padoku, Harken dla dodania jej  
odwagi uściśnął ją za ramię.

Podczas gdy Morena nadzorowała siodłanie Blue przez Marco, Keegan przyniósł drugi  
miecz.

– Zaczniemy od pojedynczej zjawy. – Podał jej broń. – Ciekawe, co zostało ci w pamięci po  
tak długiej przerwie w treningach.

– Mówiłeś, że one nie ranią, zgadza się, bracie?! – zawołał Marco, gdy Breen wyciągnęła  
miecz z pochwy. – Są zaczarowane i takie tam.

– Nie tną, nie ranią i nie dziurawią żywego ciała. Ale... – Odwrócił się, zamachał rękami,  
kilkakrotnie wyrzucił ramiona w górę, dzięki czemu wprawił w ruch powietrze, a ziemię w drżenie,  
i wywołał mrocznego Elfa.

Breen wbiła spojrzenie w znajomą twarz jednego ze sługusów Odrana. To on zaatakował ją  
przy grobie ojca w drugim dniu pobytu w Talamh.

Stała skoncentrowana, nieczuła na dramatyczne okrzyki Marco.

– Ja pierdzielę! Kuźwa, co tu jest grane!

– To upiór – uspokajała go Morena. – Nie jest prawdziwy, nie tak jak myślisz.

– Eksponat szkoleniowy – rzucił do niego Keegan, nie racząc się obejrzeć. – Dalej, Breen, zobaczmy, jak sobie poradzisz po wakacjach. Broń się!

Elf z płonącymi oczami i uniesionym mieczem rzucił się do przodu.

Zablokowała cios, czując znajome drżenie ramienia aż po bark po zderzeniu się kling. Przerzuciła ciężar ciała na tylną stopę, bocznym koniędziem trafiła upiora w brzuch, chwyciła oburącz rękojeść, błyskawicznie się okręciła i z impetem zamachnęła się mieczem z półobrotu.

Głowa spadła i podrygując, potoczyła się po ziemi, zupełnie tak samo jak po cięciu Keegana w tamten słoneczny dzień.

– Cholera! Cholera! Dziewczyno, dałaś radę!

Breen odrzuciła włosy do tyłu i poczęstowała Keegana butnym spojrzeniem prosto w oczy.

– Nie marnowałam czasu, nie próżnowałam na wakacjach.

– Niedobrze mi – jęknął Marco.

Obejrzała się. Stał zgięty wpół z dłońmi wspartymi na kolanach.

– Skup się! – zażądał Keegan, ale uciszyła go machnięciem dłonią.

– Marco, to było coś w rodzaju obrazu generowanego komputerowo.

Ten uniósł głowę, odetchnął głęboko.

– Aha, generowany komputerowo, okej, rozumiem.

– Wkrótce – syknął Keegan – może być prawdziwy.

– Wiem, dlatego jestem i ćwiczę. Ale on potrzebuje czasu, musi przywyknąć. Weź to pod uwagę albo kończymy na dzisiaj.

Chyba usłyszała ironiczne prychnięcie Harkena, gdy Keegan spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Wróciłaś bardzo zadowolona z siebie, co? Dobrze, w takim razie teraz dostaniesz dwóch.

Zamiast wyczarować nowego przeciwnika Keegan ożywił i zdublował tamtego. Gdy obaj równocześnie ruszyli na nią, tego po lewej zgładziła strumieniem ognia, a drugiego przebiła mieczem.

– Trzy zero dla Breen Kelly! – wrzasnął Marco, naśladując kibica.

– Ćwiczyłam każdego cholernego dnia. Nie ty jeden potrafisz wywoływać upiory. – Ponieważ przewidywała, co może ją spotkać, miała coś w zanadrzu i postanowiła to wykorzystać.

Wywołała brodatego, masywnego, dwumetrowego Hybryda.

– Teraz twoja kolej!

Hybryd natychmiast zmienił się w niedźwiedzia. Stał na tylnych łapach i górując nad Keeganem, ruszył na niego z obnażonymi kłami.

– Zrobiła niedźwiedzia! – doszedł ją okrzyk Marco. – Breen zrobiła niedźwiedzia!

Keegan wyszarpnął miecz, okręcił się, a jednak niedźwiedź zdążył go drasnąć. Błyskawicznie uskoczył w bok i ciął bestię mieczem. Gdy rozjuszony bólem niedźwiedź ponowił atak, Keegan otworzył pod nim ziemię i posłał na niego słup ognia.

Breen, zapominając o złości, z fascynacją wpatrywała się w osmalone szczątki na dnie krateru.

– Tego nie znam. Pokaż mi.

– Później.

– Braciszku, zasypiesz tę dziurę, bo inaczej pomogę Breen złoić ci tyłek – odezwał się Harken.

Keegan skwitował tę groźbę wzruszeniem ramion i uniósłszy obie dłonie, wyrównał teren.

– Chcę tego spróbować. Daj mi...

– Później. Stawaj.

Zablokowała szarżę Keegana, czując, jak ból ramienia promieniuje do barku. Zaciśnęła zęby, gdy mierzyli się wzrokiem ponad skrzyżowanymi głowniami.

– Robisz postępy.

– Ćwiczyłam dzień w dzień.

Podciął nogi Breen, przez co straciła równowagę, i zanim zdążyła ją odzyskać, zamarkował cios.

– I tak jesteś martwa.

Cofnęła się i zebrała w sobie. Z mieczem w prawej dłoni gotowym do sztychu, lewą ręką

wyrzuciła potężny podmuch powietrza, który powalił Keegana na ziemię. Dołożyła jeszcze ognistą kulę, która rozprysła się przed uderzeniem i zmieniła w wodę.

– Teraz jest nas dwoje.

Nie wiedziała, czy ten błysk w jego pięknych oczach wyrażał podziw czy zacierzewienie.

– Jak widzę, opracowałaś kilka własnych zaklęć. – Podniósł się z ziemi. – Uważaj z ogniem, mogłem skończyć w płomieniach.

– Nie zagraża żywym, zaczarowałam go tak samo jak te miecze. Najwyżej skończysz mokry.

– W takim razie stawaj! – Przechesał palcami wilgotne włosy.

Szczękały klingi, wzbijał się dym, strzelały płomienie, w ruch poszły pięści.

Na padoku Harken przyciągnął Morenę do siebie i pocałował.

– Muszę wydoić krowy – oznajmił.

Kiedy się oddalił, Marco wdrapał się na siodło i wyciągając szyję, obserwował zmagania.

Widział, jak ogień, który strzelił z palców Breen, zderzył się z płomieniem wysłanym przez Keegana i zmienił w potok wody, posiekany głowniami.

– Dobra, powiem otwarcie – zaczął. – Przyznam, że mnie ta walka kręci. Czy to jakiś szczególny rodzaj gry wstępnej?

– Niewykluczone. Naharowała się i pokazuje, co potrafi. Ale widzę, że on nadal nie idzie na całość. Wiesz co, zostawmy ich i chodźmy na piwo i piernik.

Morena rozwinęła skrzydła i wzbiła się w górę razem z jastrzębiem.

– Marco, jedź za mną, Blue zna drogę do domu.

Breen słyszała, jak odchodzili. Nie zatrzymywała ich. Była obolała. Wprawdzie miecze nie cięły, ale za to dotkliwie kłuły. Po dziesięciu minutach sparringu bolał ją każdy mięsień.

Na szczęście płomienie nie parzyły, lecz jej płuca zdawały się płonąć żywym ogniem, a ponieważ on użył swojego podstępny z wodą (musiała oddać, że wykazał się pomysłowością), zdążyła przemoknąć do suchej nitki.

Wiedziała, że choćby ćwiczyła walkę na miecze przez rok, a nawet dziesięć lat, nigdy mu nie dorówna. Natomiast jej znajomość magii się powiększyła i rozwinęły się umiejętności. Jeszcze wiele tajemnic musiała zgłębić, wielu rzeczy się nauczyć. Gdyby mogła używać magii w pojedynkach z Keeganem, może tak często nie kładłby jej trupem.

Czuła, że słabnie, a on nawet się nie zasapał. Potrzebowała wsparcia. Ha, właściwie czemu nie?

Przywołała z powrotem swojego upiora, ustawiła go na lewej flance i gdy Keegan się przed nim bronił, zaatakowała go ogniem i sztychem.

– Sprytne – pochwalił, dając znak Breen, że został śmiertelnie trafiony.

– Nie uprzedziłeś, że to niezgodne z zasadami.

Odgarnął mokre włosy z czoła.

– Na wojnie obowiązuje jedna zasada: pokonać wroga i przeżyć. – Opuścił miecz, sygnalizując przerwę. – Gdzie trenowałaś w Filadelfii?

– W domu, kiedy nie było Marco.

– W takim ciasnym mieszkaniu?

– Innego nie mam.

– Chciałem powiedzieć, że to świadczy o poświęceniu. Myślałem, że będziemy zaczynać od etapu, na którym stanęliśmy, a tymczasem zrobiłaś krok czy dwa do przodu.

– No proszę, komplement. Niech zapiszę dzień i godzinę. I może minutę.

Widziała, że go zdenerwowała.

– Już wcześniej cię chwaliłem.

– Na tej łące bardzo rzadko.

Przeciagnął palcami po włosach, zawsze w ten sposób je suszył.

– Szczerze? Fechtunek nie jest twoją mocną stroną.

– No, to już bardziej w twoim stylu.

– Ale – ciągnął z lekką już tylko nutą irytacji w głosie. – Jest odrobinę lepiej, niż było. Najważniejsze, że potrafiłaś właściwie siebie ocenić i znalazłaś sposób na... jak to ująć? – maskowanie braku szczególnych umiejętności. To dobra cecha i taktyka każdego wojownika.

– Nigdy nie będę wojowniczką.

– Bzdura! – warknął. – Już nią jesteś. Odran o tym nie wie. Ale ty niewątpliwie wiesz. W ciągu godziny pięć razy śmiertelnie mnie trafiłaś.

Złościło ją, że jego uznanie tak wiele dla niej znaczy.

– Nie zliczę, ile razy odpłaciłeś mi tym samym.

Wzruszył ramionami.

– Kiedy zaczynaliśmy, ledwo mogłaś utrzymać miecz, a co dopiero mówić o jego użyciu. I chociaż w zasadzie nie jesteś niezdarna, potykałaś się o własne nogi. – Spojrzał na niebo, żeby na podstawie położenia słońca określić godzinę. – Za późno, żeby posadzić cię na konia. Jeździłaś konno w Filadelfii?

– Nie. Nie miałam ani na czym, ani gdzie.

– W takim razie jutro nad tym popracujemy.

– Chciałabym pojechać do kopalni. Muszę zrobić zapas kryształów, nie mogę wiecznie brać ich od babci.

Zatrzymał na niej wzrok, wyraźnie coś rozważał.

– To kawał stąd, a jazda wyczerpująca. Może i dobrze, przynajmniej nabierzesz doświadczenia. Co weźmiesz na wymianę?

– Jeszcze nie wiem.

– Trolle nie mają własnych uzdrowicieli. Wysyłają sygnał, gdy któryś z nich jest poważnie ranny czy chory. W tej chwili nic takiego się nie dzieje, ale na pewno mają drobne przypadłości czy skaleczenia. Możesz przygotować podstawowe medykamenty.

– Bardzo podstawowe.

– Wystarczy ci wiedzy. W razie czego pomogę ci na miejscu. No i jedzenie. Na pewno słodkie. Herbatniki, ciastka, słodkie pierożki. Również paszteciki z mięsem. Takie rzeczy. Poproś Marco. Jeżeli piecze równie dobrze, jak gotuje, zrobisz świetny interes.

Spojrzał w stronę gór.

– Długa, wyczerpująca jazda – powtórzył. – Przyda ci się trening albo weźmiemy Crogę. Musimy wyruszyć godzinę wcześniej, niż dzisiaj zaczęliśmy trening, jeżeli mamy wrócić przed wschodem księżyca.

– Nie ma sprawy. Jeżeli skończyliśmy na dziś, pójdę po Marco i weźmiemy się do roboty.

– Czy według ciebie już zmierzcha? – Podniósł miecz z bardziej zaczepnym niż przyjaznym uśmiechem. – Stawaj!

Gdy w końcu zapadł zmierzch, czuła się, jakby przejechała ją ciężarówka. Przejechała, powlokła za sobą ze dwa kilometry i jeszcze raz się po niej przetoczyła.

– Nieźle ci szło jak na pierwszy raz po takiej przerwie.

– Błagam. – Duma nie pozwalała jej osunąć się z jękiem na ziemię. – Taka wylewna pochwała może przewrócić mi w głowie.

Udał, że nie usłyszał.

– Myślę, że następne ćwiczenia zaczniemy od napinania cięciwy.

– Raczej nie masz na myśli gry na skrzypkach.

– Nie mam. Och, akurat wraca Morena z Marco. Ucieszył się z bransoletki, a ty mu zapewniłaś ochronę. Kiedy zbierzesz już kamienie i kryształy, mogłabyś zrobić kilka drobiazgów. Na prezenty i wymianę. Przydadzą ci się w Stolicy.

– W Stolicy? Nigdy nie wspominałeś...

– Moja matka przyjeżdża na parę dni w dolinę. Chce odwiedzić rodzinę, zobaczyć wnuki. Spędzić tutaj Samhain. W przyszłym miesiącu, gdy będzie wracać, zabierzemy się z nią. Dolina nie jest całym światem. Dla mnie niewątpliwie najlepszym, ale nie całym.

– Nie mamy dużo czasu do przyszłego miesiąca.

Widząc, że ją zaskoczył tą wiadomością i trochę przestraszył, dał znak Morenie, żeby poczekała z Marco za bramą.

– Będzie dobrze, *mo bandia*. – Wziął ją za rękę, spróbował uspokoić. – Wiedza jest taką samą bronią jak miecz.

Splotła palce z jego palcami, popatrzyła mu w oczy, opanowała się.

– Zasłona się rozchyła. Nie wytrzymuje. A kiedy się rozsuwa, on widzi. Dziecko, most, klucz. Krew z jego krwi. Córę Fey, bogów, człowieka. Kiedy widzi, wie. Oni wślizgują się przez szpary, żeby wnosić mrok tam, gdzie białe opończe uprawiają bałwochwalstwo, spiskują i knują.

Krwawa ofiara, krwawa magia. Tam się zaczyna.

– Kiedy zasłona zrzednie – dokończył, bo widział to samo, co ona. Czuł razem z nią i w sobie przez nią.

Zadrżała.

– Nie wiem, co to znaczy, poza tym, że on się zbliża.

– Nie, nie on, jeszcze nie teraz. – Nieobecny myślami, przycisnął wargi do jej czoła. – Ale wybrał już czas, miejsce i bezwolnych spośród tych, którzy go zawsze wspierają.

– Nie wiem gdzie, nie widziałam dokładnie.

– Popracujemy nad tym, prawda? – powiedział tak samo roztargniony jak przy pocałunku.

– Była woda, chyba ocean i... klify, a na nich kamienna budowla. Nie tutaj ani na klifie Odrana.

– Nie, nie tutaj. Na południu. – Skinął na Morenę i Marco.

– Breen, wszystko w porządku? Jesteś taka błąda. – Marco instynktownie otoczył ją ramieniem. – Keegan, co jest grane?

– Nic złego się nie dzieje. Nie przywykła do wizji. Ale zobaczyła, co trzeba, tak jak i ja. – Zwrócił się do Moreny. – Wiemy, kiedy i gdzie spróbuje uderzyć, i będziemy przygotowani.

– Na południu, mówisz? Świętobliwi? – Odsłoniła zęby z wściekłości. – Przekłęci fanatycy. A złożyli przysięgę.

– Niektórym łamanie przysięg przychodzi tak łatwo jak miażdżenie butem gałązek. A więc w Samhain. Muszę wysłać sokoła do matki.

– Amisz zaniesie wiadomość. Jest szybszy od większości sokołów. Mam ściągnąć Harkena?

– I Mahona, gdybyś mogła.

– Wojna wisi w powietrzu. Dlaczego się uśmiechacie? – nie rozumiała Breen.

– I tak miała nadejść. Ale teraz wiemy, jak, kiedy i gdzie. Dałaś nam broń do ręki, a my jej użyjemy. Och, na litość boską, on zamierzał albo nadal planuje nas zaskoczyć, nasłać swoje demony w tę świętą noc, kiedy czcimy pamięć tych, którzy byli przed nami. Kiedy łączymy się z nimi poprzez rytuały, urządzamy uroczystości i składamy im hołd. Tymczasem dzięki twojemu darowi to my zastawimy pułapkę na niego.

– Babcia! Muszę ją ostrzec.

– Nie martw się. Nasza w tym głowa, żeby się w porę dowiedziała. Dzisiaj ani ona, ani ty nie musicie się niczego obawiać. Niesamowite, świetnie się spisałaś. Możesz być z siebie dumna. A teraz wracaj do domu i pomóż Marco przy wypiekach.

– To znaczy, że pojedziemy? Do kopalni?

– A czemu nie? Twój trening nadal trwa i podobno czegoś tam od nich potrzebujesz. Marco, zaprowadź Breen do domu. Na pewno kieliszek wina dobrze jej zrobi.

– Mnie też.

– W takim razie do jutra. – Keegan narzucił kurtkę i podniósł miecz, który ona bezwiednie upuściła. – Godzinę wcześniej. Nie spóźnij się.

– Jego to... podnieca – wyjąkała zdziwiona Breen.

– No, dobra, piesku, wracamy do Irlandii – powiedział Marco, gdy zniecierpliwiony Fąfel kręcił się im przy nogach. – Chyba już rozkminiam – zwrócił się do Breen. – Jakies typy spod ciemnej gwiazdy planują podstępny atak, ale dzięki tym twoim wizjom nic z tego nie wyjdzie, bo znacie ich plan. Samhain to Halloween?

– Taa.

– Muszę sprawdzić w Google. To chyba było jakieś celtyckie święto. – Obejrzał się, kiedy stanęli przed murkiem po drugiej stronie drogi. – Ha, popatrz tylko. Dwa księżyce. Naprawdę mają dwa księżyce. Później to wszystko sobie przemyślę. Najpierw zajmę się tobą.

– Nie ma potrzeby. Już ochłonęłam. Masz rację i on też. Wiemy, jak się obronić. I aż do Samhain nic się nie wydarzy.

Poza tym, że Odran w końcu zedrze babciną zasłonę i ją zobaczy. Nie wiedziała, jak to znieśie, kiedy nadejdzie ten dzień.

– Rany, nie pomyślałem. Przecież musimy przejść przez ten las w kompletnych ciemnościach.

– Nie przejmuj się. Umie wzniecić światło.

– Ona umie wzniecić światło – wymamrotał Marco, kiedy wspinali się po siedmiu stop-

niach, i roześmiał się, gdy jego towarzyszka podrzuciła w górę kilka małych, idealnie okrągłych świetlistych kul. – Jesteś fenomenem, dziewczyno. Mam ci tyle do opowiadania. Cała kupa tego się nzbierała. I muszę cię zapytać...

Zaafcerowany nawet nie zauważył, że już przeszedł przez drzewo. Ze zdziwieniem zatrzymał się po drugiej stronie.

– Jeżeli się okaże, że to wszystko jest tylko snem, naprawdę się wkurzę. Zanim zmieniliśmy światy, miałem cię zapytać, co ja takiego mam upiec i po co?

Wyjaśniła mu w drodze do chaty i wysłuchała jego opowieści o wrażeniach z dnia. Najlepsza była nauka jazdy, a zaraz po niej wizyta u dziadków Moreny.

– Czy każdy dzień po tamtej stronie jest taki zwariowany? – zapytał, kiedy Fąfel pokłusował do zatoki.

– Z początku chyba tak się wydaje. Nigdy nie wiesz, na kogo się natkniesz i co będziesz robić. – Kierując się do kuchni, rozpałała ogień w kominku.

– O jak to! Patrzą, jak moja dziewczyna rozpala ogień na odległość. Sięgnijmy po największe kieliszki do wina.

– Jasne, sięgnijmy.

– Och, został jeszcze makaron z wczoraj. Wystarczy na kolację – zdecydował. – Dobrze się składa – orzekł, kiedy Breen nalewała wina. – Skoro mam piec dla Siedmiu Krasnoludków.

– Pomogę ci. Posprzątam kuchnię na błysk.

– Wszystko po kolei. Najpierw wezmę długi, gorący prysznic i przebiorę się w piżamę. Ty zrób tak samo. Potem dolejemy sobie wina i zjemy makaron. Dopiero wtedy zajmiemy się wypiekami.

– Prysznic i siup w piżamkę. Najlepszy pomysł pod słońcem. Najpierw dam jeść Fąflowi. – Przystanęła na chwilę oparta o blat, wyczerpana wydarzeniami dnia. – Jak twój tyłek?

Odwrócił się i pokręcił biodrami.

– Wysoko sklepiiony i jędrny.

– Pytam o wrażenia po siodle.

– Trochę obolały tu i tam, ale da się wytrzymać.

– Boże, ja po pierwszym razie ledwo łąziłam. Gdybym tak bardzo cię nie kochała, pewnie bym ciebie znienawidziła.

Oderwała się od blatu i nappełniła psie miski. Dała znać Fąflowi, że kolacja czeka.

– Poszliście z Keeganem na ostro. Aż iskrzyło.

– Ta sztuczka z ogniem zmienionym w wodę była moją tajną bronią. Teraz już nie jest.

– Ja nie o tym, dziewczyno. – Przewrócił oczami i pomachał ręką przed jej twarzą. – Hej, mówię, że zaiskrzyło.

– Przestań. – Gdy zamykała drzwi za Fąflem, zobaczyła skrzaty stróżujące nad chatą. – Tu nie chodzi o seks.

– Wiem, co widziałem. Jeżeli nie zafundujesz sobie romansu, będzie mi ciebie żal, dziewczyno.

– Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż seks.

Jeszcze raz przewrócił oczami.

– Dlatego nie przepuszczaj okazji, gdy trafia ci się taki towar. – Gdy wchodzili na piętro, otoczył ją ramieniem w pasie. – Idę o zakład i stawiam moją nową harfę, że ten facet to niezły towar.

– Może. Tak. Ale teraz zajmuje nas ratowanie światów.

– Niespecjalnie ma to sens, jeżeli odpuścisz takie ciacho. Ech, chyba wejść pod zimny prysznic.

Pchnęła go w stronę drzwi jego sypialni i skręciła do siebie.



## Rozdział 6

Breen, typowy skowronek, wstała przed świtem. Wyciskając siódme poty w trakcie porannej zaprawy, obserwowała skrzaty wirujące nad bramką do ogrodu. Wołała popracować nad kondycją, bo znając upór Keegana, raczej nie liczyła, że będzie ją oszczędzał.

Kiedy pierwsze promienie słońca padały na szyby, uzupełniła blog i napisała kolejny rozdział o nowej przygodzie Fąfla. Wreszcie uznała, że zasłużyła na przerwę, i zeszła na dół przywitać się z Marco.

– Wcześniej wstałeś – zauważyła, gdy zastała go przy kuchence nad parującym garnkiem. – Słyszałam, jak się krzątasz, ale byłam w transie.

– To tak jak ja. – Obrócił coś w garnku łyżką cedzakową. – Robię bajgle, skarbie.

– Marco, zawsze myślałam, że bajgle się piecze.

– Nie, kiedy zaczynasz od zera.

– No co ty. – Zajrzała do garnka. We wrzątku pływały krążki ciasta. – Najpierw je się gotuje? W życiu bym nie zgadła.

– Po minucie na stronę. Potem obsypujesz je po wierzchu makiem albo sezamem – ja dałam jedno i drugie – i hop do piekarnika.

Spojrzała na blat przy kuchence. Na blaszce wyłożonej papierem czekały ugotowane bajgle.

– Wczoraj zrobiliśmy herbatniki i ptifurki, a dzisiaj mnie natchnęło. Bajgle! Ilu z tych po tamtej stronie zna ich boski smak? Mieliśmy wszystkie potrzebne składniki, więc pomyślałem, czemu nie? Spróbuję, może się uda.

Wyłowił z garnka trzy gotowe, nastawił sekundnik w zegarku i wrzucił do wrzątku trzy krążki surowego ciasta.

Przyglądała się, jak po kolei obtacza bajgle w ziarenkach na talerzyku deserowym i przekłada je na blachę.

– Zjemy na spółkę jeden upieczony – obiecał jej. – Kontrola jakości.

– Jestem za. Pomóc ci w czymś?

– Nie, panuję nad sytuacją. To czas eksperymentu naukowego.

– Daj znać, kiedy nadejdzie czas testowania.

Widziała, że on jest w swoim żywiole, i żeby nie kręcić mu się pod nogami, wzięła colę i wróciła do siebie. Zrobiła notatkę – dopisać kawałek o muzycznej piekarni w przygodach Fąfla – i położyła ją na biurku.

Bajgle i banjo? Placek i pikolo? Recital, racuszki i roladki?

Niechętnie odłożyła notatkę na bok i skupiła się na swojej powieści fantasy.

Oderwała się od klawiatury dopiero, gdy Marco zapukał we framugę.

– Czas coś wrzucić na ruszt, dziewczyno. Kiszki mi marsza grają.

– Już idę. Tylko zamknę komputer.

Zeszła na dół. W kuchni czekały dwa talerze, na każdym połowa bajgla, pieczone jabłko oprószone cynamonem i porcja jajecznicy na szynce.

– Przy takim jedzeniu będę musiała wydłużyć treningi.

– Najpierw bajgiel. – Podsunął jej maselniczkę, a sobie nałożył twarożek na bajgiel. – Nie rozumiem, jak można go jeść bez smarowidła. W takim razie na trzy, okej?

Maznęła bajgiel masłem.

– Raz, dwa trzy! – Odgryzła kęs. – Boże! Pycha!

– Dobrze wyrosnięte ciasto. – Komentował, żując. – Lekka słodycz z miodu. Sprężysty, nie za twardy. Bajgle godne Trolli. Dostaną tuzin. Drugi tuzin pójdzie dla babci, Moreny i całej reszty.

– Zrobiłeś dwadzieścia cztery bajgle?

– Dwadzieścia sześć. Został jeden dla nas na jutro.

– Pomyślałam, że mógłbyś otworzyć muzyczną piekarnię, ale zmieniłam zdanie. Lepiej muzyczną restaurację. Zrobiłbyś furorę.

Przed południem przenieśli kartony z bajglami przez las i przerzucili przez drzewo do Talamh.

– Nie ma mowy o nudzie – podsumował Marco, gdy prosto ze słońca wyszli na mgłę i mżawkę.

Breen przystanęła na skraju drogi, postawiła pakunki na ziemi i z zadartą głową obserwowała Crogę, który akurat wyłonił się zza chmur. Smok i jeździec, obaj mokrzy, wylądowali na środku drogi.

Ziemia odpowiedziała drzeniem.

– Jezu, rany! Ale on wielki! Istne monstrum. Chyba zapomniałem zabrać coś z chaty.

– Spokojnie, Marco. Oddychaj.

– Co tam macie? – Keegan zsunął się z grzbietu smoka i pogłodził go po lśniących, wilgotnych łuskach.

– Wypieki na wymianę.

– Chcecie ogołocić Talamh ze szlachetnych kamieni? – zapytał, wodząc wzrokiem po pudłach.

– Nie bardzo umiałam ocenić, ile tego potrzebuję. Ten mniejszy karton jest dla babci i Sedrica. Marco osobno zapakował ciastka na farmę i dla rodziny Moreny.

– Niech zajrzę. – Podniósł pokrywę jednego z kartonów. – Co to za maleństwa?

– Zrobiłem ptysie z kremem – wyjaśnił Marco, ani na moment nie odrywając oczu od Crogi.

– Czy ten tam cały czas będzie tak stał i gapił się na nas?

– On ci nic nie robi, bracie. – Keegan wyjął ptysia i w całości wsunął do ust. – Przysięgam, to słodkości godne bogów. Och, widzę tartaletki.

– Jeżeli zamierzasz skosztować wszystkich wypieków po kolei, lepiej schowajmy się przed deszczem.

– Ta nie jest dla mnie – oznajmił i wyjął babeczkę, nie zwracając uwagi na Breen. – Trzymaj, Marco. Croga uwielbia słodycze. Daj mu ją.

– Wiesz co, sam to zrób.

– Ech, sądziłem, że masz więcej odwagi. Śmiało.

Marco, postawiony pod ścianą, niepewnie rzucił babeczkę. Croga zadarł łeb, pochwycił ją w locie i wydał z siebie triumfalny ryk. Tak zapewne zaryczałby lew, który właśnie upolował antylopę.

– To znaczy, że mu smakowała?

– I to jak. Wygląda na to, że Croga potowarzyszy nam do kopalni.

– Polecimy na nim?

– Pojedziemy konno, a na niego załadujemy kartony, bo inaczej potrzebowalibyśmy jucznego konia i stracilibyśmy dużo czasu. – Keegan spojrział na chmury. – Około południa niebo powinno się przetrzeć, ale lepiej byśmy wyruszyli wcześniej. Breen, przyjadę po ciebie do Marg.

Podkradł dwa herbatniki i wracając do smoka, przełamał jeden na pół. Kawałek rzucił Fąflowi, a resztę Crodze. Gdy umościł się w siodle, z apetytem schrupał drugi herbatnik.

– Marco, jeśli bogowie to widzą, muszą zalewać się łzami.

Smok pionowo wbił się w górę, machaniem skrzydeł wprawiając w ruch powietrze, i już po chwili zniknął wraz z jeźdźcem za chmurami.

– Dałem smokowi tartaletkę.

– No. Zanieśmy to wszystko na farmę. Część zabiorę ze sobą do babci. Zobaczymy się dopiero po moim powrocie.

– Poradzę sobie. Jeżeli nie zastanę Moreny na farmie, pójdę do Finoli. Znam drogę. A poza tym nakarmiłem babeczką ogromniastego smoka.

Breen zaniósła wypieki do Marg i przez resztę poranka uczyła się zakłęb potrzebnych do tworzenia barier.

Kiedy deszcz przestał padać, tak jak przepowiedział Keegan, Marg wzięła ją na przechadzkę do lasu.

– Powiedz mi, co tutaj widzisz?

– Tu? – Breen rozejrzała się. – Drzewa, strumyk, twoją pracownię.

– Tworzysz jedność z powietrzem, z ziemią. Jesteś zespolona ze światłem, z wodą. Wszystko, co żyje, integruje się. Otwórz się na serca, które biją, na to, co sięga światła, co rozprze-

strzenia się na ziemi.

– Słyszę bicie mojego serca.

Breen wiedziała, że pierwszym krokiem jest wyciszenie umysłu. Zamknęła oczy, spowolniła i pogłębiła oddech. I wtedy otworzyła się na Marg. To było tak proste jak oddychanie.

– Babciu, słyszę cię, słyszę twoje silne serce. Widzę twoje światło. I czuję podniecenie Fąfla. Akurat goni kunę, nie, zaraz, to wiewiórka. Jak szybko bije jej serduszko, kiedy ucieka na drzewo. Na kasztanowiec. To stare drzewo z głęboko pobrużdżoną korą i niezniszczalnym rdzeniem. Jesienią wiatr strąca z niego złote liście. Rok w rok, dekada po dekadzie, wiosną liście na nowo się zielenią, śpiewają w nich ptaki, szukają schronienia i wiją gniazda. Wiewiórka jest młoda, fuka na Fąfla już bezpieczna wysoko na gałęzi. Nie rozumie, że Fąfel nie zamierzał jej skrzywdzić. On chciał się bawić.

Otworzyła oczy zdumiona, że widzi wszystko tak wyraźnie i tak dokładnie wie.

– Babciu...

– Co jeszcze jest?

– Jeleń, ten sam, którego spotkałam wczoraj. Skrył się głębiej w lesie, dlatego Fąfel go nie zwęszył. Podąża za nim łania z jelonkiem, bardzo młodym, bo jeszcze ma cętki. Przechodzą przez strumień, przystają i piją wodę, przez co pływają ryby. Fruwa mnóstwo ptaków. To kowaliki, sójki, sroki, szpaki, kruki i dzięcioły. Jest i lis. – Machnięciem ręki wskazała na zachód. – Biegnie z pola do lasu. W pysku niesie mysz. Nie ma w niej życia. W norze pod ognistoczerwonym dębem królicza ukrywa swoje małe przed jastrzębiem. Opodal z powalonego pnia wyrasta grzyb, szuka życia tam, gdzie rozgościła się śmierć.

– Wystarczy na jeden raz. – Marg uściśnęła jej rękę. – Natłok wrażeń może wywołać zawroty głowy.

– Wszędzie kipi życie. Walczy i rośnie, przysypia, karmi, poluje i ukrywa się przyczajone. Czy wszyscy Fey to samo widzą, jednakowo czują?

– Nie, tak nie jest. Elfy łączy więź z drzewami, skałami i ziemią, jednak nie da się tego porównać z twoimi możliwościami. Hybrydzi są zespoleni ze swoimi duchowymi zwierzętami. Sidhe mają wiele z tego, czym ty dysponujesz, a kropla ich krwi w twoich żyłach wzmacnia to, co odziedziczyłaś po Widzących.

– Babciu, też to wszystko widzisz? – spytała Breen, kiedy szły w stronę chaty.

– Nie aż tak szybko, wyraźnie i dokładnie jak ty.

– Niesamowite doznanie. – Breen nadal przepełniały emocje. Wręcz ją unosiły. – Takie krzepiące.

– Tak, zgadza się. Podobnie jak zakłęcie do tworzenia bariery, którego się nauczyłaś, pozwala zarówno się bronić i atakować.

– Bo mogę usłyszeć serce, poznać zamiary wroga?

– Pamiętasz spotkanie z Yseult? Skrzywdziła cię, bo nie zdążyłam obudzić w tobie tej umiejętności.

– Wtedy nie byłam gotowa. Nie miałam takiej siły.

– Ona jest potężna i przebiegła. Jej wygórowane ambicje zbliżyły ją do Odrana.

– Znałaś ją wcześniej.

– Dorastałyśmy razem. Nie przyjaźniłyśmy się, co to, to nie. Mnie odpowiadało życie w dolinie, ją ciągnęło do Stolicy. Siedziby władzy, jak ją postrzegala.

Kiedy przechodziły przez most, Fąfel wyskoczył z wody i pognął prosto do chaty. Breen, nawet bez korzystania ze swojego daru, wiedziała, że liczy na przysmak.

– Tamtego dnia obie weszłyśmy do jeziora. Nikt bardziej od niej nie pragnął podjąć miecza. Aby rządzić, ale nie służyć czy chronić i dźwigać na barkach ciężar odpowiedzialności. Kiedy wyłoniłam się z mieczem na powierzchnię, czułam jej palącą zawiść.

Gdy weszły do chaty, Marg zdjęła płaszcz i spełniając życzenie Fąfla, skierowała się prosto do kuchni po słów z psimi przysmakami.

– Dobry piesek. Ładnie poproś.

Fąfel siadł i cicho szczechnął.

– Zjesz ze mną zupę przed podróżą. I weź na drogę ciastka Marco.

Marg podgrzewała zupę, a Breen, znając tutejsze zwyczaje, zajęła się krojeniem okrągłego bochna chleba.

- Dzisiaj jemy same, *mo stor*. Sedric wyjechał w interesach.
- Babciu, kiedy ona przeszła na jego stronę? Znaczący Yseult? Nigdy o tym nie mówiłaś.
- Starannie ukrywała swoje plany przede mną, przed rodziną i dobrze się kamuflowała.

I tamtego dnia cały czas w tajemnicy praktykowała czarną magię. Kontaktowała się z nim, niepostrzeżenie przeprowadzała się tam i z powrotem przez portal w wodospadach. Czy odkryłabym to, gdybym uważniej jej się przyglądała? Trudno powiedzieć, ale wiem, że korzystając ze swoich umiejętności, pomogła mu znaleźć się pośród nas i mnie omamić. Wiem też, że z jej pomocą on odbudował potęgę, kiedy sądziliśmy, że raz na zawsze został pokonany. Pomogła mu zgromadzić armię i maczała palce w twoim porwaniu w tamtą straszną noc.

To wszystko zobaczyłam w ogniu i wyczytałam z kryształów – ciągnęła Marg, kiedy usiadły do stołu. – Pragnęła władzy i mściła się na mnie z zazdrości.

- Czy ona go kocha?

– Och, nie. Osoby pokroju Yseult nie są zdolne do kochania. Ona może pożądać, ale miłość to zupełnie inna sprawa. Myślę, że darzy go uwielbieniem. Widzi w nim źródło władzy. Odpowiedź na swoje nienasycone ambicje. To jej prawdziwy bóg, kochanek, ukochane dziecko... Oczywiście niezachwianie wierzy w niego i stąd bierze się jej lojalność.

– Każde z nich ma swoje cele i w pogoni za nimi będą się wzajemnie niszczyć. Pamiętasz wizję, którą miałam, kiedy Yseult nie udało się mnie porwać? Odran był gotów ją zabić, ale w ostatniej chwili się opanował, bo wiedział, że ona jeszcze może mu się przydać. A ona, tak jak mówiłaś, sprytnie rozegrała tamtą sytuację.

– Zachowuj w pamięci takie rzeczy. One też są bronią. No a dzisiaj wykaż się sprytem podczas spotkania z Trollami. Oni uwielbiają się targować, w handlu postępują uczciwie, ale nie omieszkają wykorzystać sytuacji, jeżeli im na to pozwolisz. Na czele tutejszej zachodniej wspólnoty stoi Loga, bardzo łebski Troll. A Sul, jego żona, jest nader obrotną osóbką.

– Doradź mi. – Breen otworzyła karton i wyjęła kilka rodzajów wypieków na talerz. – Powiedz, na których zyskam najwięcej.

Marg po chwili zastanowienia wybrała ptifurki, które Marco polał zielonym lukrem.

– Te zrobią wrażenie. Duże wrażenie. W życiu nie spotkałam Trolla, który stroniłby od słodczy. Owszem, jedzą mięso, piją miody, ale przepadają za słodkościami. Dobrze wyjdiesz na tej wymianie.

Przez otwarte drzwi Breen usłyszała stukot końskich kopyt na ścieżce.

- To się okaże.

Marg razem z nią wyszła na zewnątrz.

– Ładny dzień na przejażdżkę – powiedziała do Keegana. Spojrzała na krążącego w górze Crogę. – Widzę, że smoka też bierzecie.

– Taką ilością słodczy można zaspokoić apetyt całego klanu Trolli. Croga poniesie kartony.

– Jeżeli się okaże, że tego wszystkiego jest za dużo, dopilnuj, żeby dali jej uczciwy kredyt na następną wymianę. Ładny dzień – powtórzyła. – Chyba też spędzę trochę czasu na powietrzu.

- Osiodłam ci konia – zaproponowała Breen.

– Nie. – Marg machnęła ręką – Lepiej już jedźcie. Keegan będzie chciał przedostać się przez góry przed zmierzchem. – Pocałowała Breen w policzek. – Będziesz miała okazję podziwiać widok z Sliabh Siog.

Breen pochyliła się nad Fąflem.

– Zostań tutaj albo wracaj na farmę. Biegnij pobawić się z dziećmi lub dołącz do Marco i Moreny. Dzisiaj nie możesz mi towarzyszyć, za daleka droga dla ciebie.

Zaskomlał, kiedy się wyprostowała. Poświęciła chwilę na przywitanie się z Boyem, walechem o jeleniej maści, którego Keegan dla niej przyprowadził.

- Będę z powrotem, gdy wzejdą księżycy – obiecała psu. – I natychmiast cię przywołam.

Wdrapała się na konia i z ulgą stwierdziła, że dobrze się czuje w siodle.

- Babciu, ściągnę go, gdy wrócimy, a jutro zajrzemy do ciebie.

- Udanego handlu i błogosławieństwo dla was obojga.

Kiedy jechali kłusem po ścieżce, Breen przebiegła w myślach podstawowe zasady jazdy konnej. Doskonale wiedziała, że każdy błąd nowicjuszki spotkałby się z ironicznym uśmiechem Keegana.

– Spróbujmy nadgonić czas. – Keegan obejrzał się na nią, kiedy wyjechali na bitą drogę i spiał konia do galopu. Grunt zdawał się śmigać pod kopytami potężnego czarnego ogiera.

– No Boy, mam nadzieję, że pamięć nas nie zawiedzie. – Ruszyła galopem za Keeganem i podekscytowana pędem oraz siłą wierzchowca, natychmiast wszystko sobie przypomniała.

Boy nie był tak rączy jak Merlin Keegana, ale i tak miała wrażenie, że płynie wraz z koniem nad wstęgą drogi. Nie pomyślała o spięciu włosów i teraz rozwiane unosiły się w powietrzu, a podmuchy wiatru przyjemnie chłodziły twarz.

Z naprzeciwka sunął mozolnie wóz zaprzężony w dwa konie. Powoził mężczyzna, a kobieta trzymała na kolanach niemowlę. Gdy się mijali, siedzący z tyłu mały chłopiec głośnym okrzykiem pozdrowił Keegana i dopiero po chwili przypomniał sobie o Breen.

Zbliżali się do zakrętu na drogę wiodącą do baszty, kamiennego kręgu i ruin budowli, w której dawniej modlili się Świętobliwi. I cmentarza, gdzie prochy jej ojca spoczywały pod dywanem z kwiatów, które razem z Marg przywróciły do życia.

Jednak Keegan minął zakręt i skierował się w stronę odległego zakola zatoki.

Zobaczyła Syrenę. Siedziała na skale, miała owinięty wokół ciała błyszczący jak klejnot ogon i rozczesywała długie, złote włosy. W wodzie koloru modrego nieba baraszkowały Syreniątko. Nurkowały i wynurzały się na powierzchnię, wzbudzając fale mieniącymi się ogonami.

Breen, oczarowana niezwykłym widokiem, zwolniła i wsłuchała się w echo dziecięcych śmiechów.

Syrena obejrzała się i uniosła dłoń w geście pozdrowienia.

Błogosławieństwo dla ciebie, Córo Fey.

Breen usłyszała te słowa w głowie i z sercem przepełnionym wzruszeniem w myślach ułożyła odpowiedź.

Błogosławieństwo dla ciebie, Córo Morza.

Nadal pod urokiem chwili dołączyła do czekającego na nią Keegana.

– To jej dzieci?

– Dwoje, a pozostała trójka to kuzyni. Poznasz ich innym razem. Kawał drogi przed nami.

– Boy daje z siebie wszystko i wielkością dorównuje Merlinowi, ale nie jest tak wytrzymały jak on.

– Słusznie. – Keegan ruszył niespiesznym truchtem.

– Dotąd tylko raz spotkałam Syrenę. Właściwie Syrenkę. Alę. Fąfel świetnie się z nią bawił.

– Jak go tutaj weźmiesz, w mgnieniu oka pojawi się mnóstwo młodych.

– Tak zrobię. Gdy Marco pewniej poczuje się w siodle, przyjadę z nim na grób ojca. On też go kochał. A przy okazji zobaczy Syreny.

– Widziałem wczoraj, jak jeździł. Nie powiedziałbym, że brakuje mu pewności siebie. Gdy będziecie tutaj jechać, nie zapomnij o mieczu. Dni robią się krótkie – dodał, zanim zdążyła otworzyć usta. – On ma uderzyć w Samhain i będziemy przygotowani na atak. Jednak nie można wykluczyć, że nie ma tu jego szpiegów i zwiadowców.

– Będziemy gotowi? Jak? – Kiedy Keegan nie odpowiedział, niespokojnie poruszyła się w siodle. – Jakim cudem mogę stawić czoło Odranowi, jeżeli nie wiedziałam, jak mamy powstrzymać tamten atak, który zobaczyłam? Wyczułam – poprawiła się.

– Wczoraj późnym wieczorem poleciałem z Mahonem i kilkoma wojownikami na południe. Na razie tam zostaną. My też mamy szpiegów i zwiadowców, a także swoich ludzi, którzy obserwują frakcję Świętobliwych i informują nas o ich planach.

– Wrogowie nie zobaczą, że skrzykujesz oddziały, nie zorientują się, ile wiemy?

– Zobaczą tyle, ile zechcemy im pokazać. Niektórych ze świeżych nowicjuszy zwabiło powołanie do życia zakonnego, inni żłopiają piwo w pubach albo oddają się flirtom na nadbrzeżu, żeglują, i tak dalej. – Wzruszył ramionami, jakby rozmowa o wojnie była czymś zupełnie zwyczajnym. – Matka będzie podróżować ze Stolicy ze zbrojnymi i część jej eskorty odbije na południe. Mamy tam koszary. Upozorujemy wymianę oddziałów, ale nikt stamtąd się nie ruszy. Ludzie rozproszą się po lasach, polach oraz jaskiniach i tam będą czekać na sygnał.

– A kiedy ty wyjedziesz?

– Mahon wraca na urodziny Finiana. Polecimy na południe w Samhain, musimy tam dotrzeć przed zachodem słońca. – Zamilkł na chwilę. – Bo widzisz... najważniejsza jest taktyka. Należy błyskawicznie zmiażdżyć przeciwnika, wziąć do niewoli jak najwięcej jeńców, dostarczyć ich do

Stolicy i postawić w stan oskarżenia za złamanie traktatu. Liczy się siła i zdecydowanie.

– To nie zakończy sprawy – szepnęła.

– Nie, ale pomoże osłabić morale w szeregach Odrana i wzmocni wolę walki u Fey.

– Nie chcesz, żebym była z wami?

– Tam nie ma miejsca dla ciebie. Nie mówię tego, żeby cię obrazić. Sama wiesz, że nie jesteś jeszcze gotowa.

– A kiedykolwiek będę?

– Będiesz, bo musisz.

Popatrzył w górę. Breen poszła za jego spojrzeniem. Croga majestatycznie sunął po niebie niczym statek po wodzie. Nie był sam. Towarzyszył mu rubinowo-szafirowy smok z jeźdźcem na grzbiecie.

– Przecież to... babcia! Nie wiedziałam, że ona ma smoka, że lata. Znaczący... w tamtej wizji w płomieniach widziałam ją na smoku, ale chodziło o sytuację sprzed wielu lat.

– Oczywiście, że lata. Dilis, jej smoczyca, wydała na świat ponad tuzin smocząt. Croga jest jej pra-, nie, praprawnukiem.

– Jest piękna. Oba są piękne. – Breen tknęła niepokojąca myśl. – Ona chyba nie weźmie udziału w bitwie na południu? Mówię o babci.

– Nie. Nie ma takiej potrzeby. Gdyby jednak jej obecność okazała się konieczna, dołączy do nas i będzie walczyć. Jedźmy, Boy już odpoczął. Czeka nas jeszcze z godzina jazdy, a kolejną zajmie wspinaczka do factorii.

Tym razem Merlin dopasował tempo do Boya. Pnąca się pod górę droga była równa i gładka.

Keegan zwolnił na leśnym dukcie meandrującym między drzewami. Ziemię zaścielały liście porzucane przez wiatr. Świat mienił się barwami jesieni. Zupełnie jakby znaleźli się w kalejdoskopie prześwietlonym migotliwymi promieniami słońca.

Breen otworzyła się, by sprawdzić swoje możliwości. Poczła bicie serca sarny i niedźwiedzia, który szukał żeru. Trzech polujących Elfów. Jej własne serce załopotało, kiedy Merlin swobodnym susem pokonał strumień.

– Nie wiem, jak to zrobić.

– Boy wie. Nie pozwoli ci spaść. Poproś go.

– Lepiej przejdę strumień w bród i wsiądę na drugim brzegu.

– Poproś go – powtórzył Keegan. – Obiecuję, że nie spadniesz.

Nigdy jej nie okłamał, więc na wstrzymanym oddechu powiedziała: „Skacz” i Boy przepłynął strumień. Musiał niedokładnie zrozumieć piskliwie wydane polecenie, ale na szczęście utrzy-mała się w siodle.

– Pomogłeś?

– Tylko trochę. Jesteś lepszą amazonką, niż myślisz. Wkrótce się przekonasz.

Szybko zrozumiała, o czym mówił. Kamienisty trakt piął się stromo, coraz bardziej podobny do gruzowiska po lawinie. Po jakimś czasie las zrzedniał i wyjechali na wąską drogę poro-tytą koleinami, na której hulał wiatr.

Spojrzała w górę i z wrażenia zaschło jej w gardle. Pośród zieleni sosnowego lasu wił się szlak ze skalnymi wystęgami, bardziej odpowiedni dla kozic niż koni.

– Jechałeś już tędy, tak?

– Jasne. Boy jest zwinny. – Obejrzał się na nią. – Nie da ci spaść.

Cały czas będzie patrzeć prosto przed siebie, zdecydowała. Żadnego spoglądania na boki, zerkania w górę i w dół. Zda się na Boya.

Gdyby Keegan się nie zatrzymał i nie zawrócił Merlina, na pewno tak właśnie by zrobiła i ominęłaby ją zapierająca dech w piersiach sceneria.

– Nazywamy to miejsce Dłonią Boga. Widać stąd panoramę Talamh. – Wskazał ręką na południe. – Aż po Morze Smutków.

Kiedy spojrzała w dal, poczuła drżenie serca. Nie ze strachu, lecz z zachwytu. Pod kryszta-łowo czystym niebem aż po niewiarygodnie niebieskie wody ciągnęły się wzgórza, pola i lasy. Patchwork z różnych tonów zieleni, poprzątkany jaskrawymi barwami jesieni, szarością kamiennych murów, starych budowli i skupisk wiejskich chat.

– Poszczyło ci się. Dzień jest bardzo pogodny, a często Talamh tonie we mgle.

– To wszystko przypomina obraz zatopiony w kryształach. Idealnie wyrazisty. Przesadnie perfekcyjny, a jednak realny. Widzę ruch. Życie. Gdzie leży Stolica?

– Na wschodzie. Jesteśmy teraz na zachodzie i góry zasłaniają nam widok. Popatrz tam. – Położył dłoń na jej ramieniu i ją obrócił. – Na tamtych wzniesieniach z lasami pełnymi zwierzyny nikt nigdy nie zaznał głodu. Dalej, za wzgórzami, ściany wysokich klifów wcinają się pionowo w Morze Zachodnie, morze, które sięga końca świata.

– Twojego świata, który jest także moim. Chciałeś, żebym takim go zobaczyła. Pełnym harmonii i spokoju.

Obraz zatopiony w kryształach, powtórzyła w myślach. Najchętniej zamknęłaby w dłoniach tę chwilę.

– Będziesz walczył, żeby utrzymać ten spokój – dodała. – Keeganie, ja wróciłam – zapewniła go.

– Nie, do diabła, nie było w tym żadnej ukrytej myśli. Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś. Po prostu chciałem, żebyś zobaczyła to, co chronisz tak samo jak ja.

– Myślę, że to najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. I pewnie piękniejszego nie zobaczę. Czuję się związana ze wszystkim, co zapamiętałam, a także z tym, co umknęło z mojej pamięci. I tak pozostanie na zawsze.

Zatrzymała wzrok na twarzy Keegana.

– Którzy bogowie nam sprzyjają?

– Wszyscy.

– Nie Odran.

– Upadły bóg jedynie z nazwy pozostaje bogiem. – Podał jej bukłak z wodą. – On chce ciebie, bo jesteś kimś więcej.

Czyżby?, pomyślała, przechylając głowę z bukłakiem przytkniętym do ust.

– Koza! Och, zobacz, tam wysoko! To kozioł.

Zadarł głowę.

– One na wyżynach czują się w swoim żywiole. Prawie jesteśmy na miejscu. Czekają tam na nas.

– Tak?

– Od jakiegoś czasu nas obserwują. Nikt nie dostanie się na Sliabh Siog niezauważenie. Gdybyśmy byli niemile widziani, już daliby nam to jasno do zrozumienia.

– Czy *taoiseach* nie jest wszędzie chętnie witany?

Keegan odebrał od niej bukłak.

– Trolle bywają drażliwi.

Zawrócił konia i ruszył pod górę.

Widziała coraz więcej kóz i muflonów, przybywało oszałamiających widoków.

Nagle na ścieżce ponad nimi wyrósł mężczyzna o potężnych barach, z ogorzałą twarzą, włosami w kolorze łupiny orzecha i warkoczykiem wojownika do pasa.

Jego głowę osłaniał zmatowiały brunatny hełm, a tors napierśnik noszący ślady wielu stoczonych walk. Mężczyzna stał na szeroko rozstawionych nogach, z węzłowatymi pięściami wspartymi na biodrach i wpatrywał się w nich, mrużąc intensywnie niebieskie oczy.

– Uszanowanie dla ciebie, Logo, i twoich pobratymców. Prosimy o pozwolenie na wejście. Niesiemy towar na wymianę.

– Taa? – burknął. – A to jest dziecko Eiana O’Ceallaigha?

– Mam na imię Breen – przedstawiła się, zanim Keegan zdążył ponownie się odezwać. – Jestem córką mojego ojca. Błogosławieństwo dla ciebie, Logo, dla Sul, twojej żony, i dla wszystkich waszych krewnych.

Mężczyzna uniósł wysoko brwi.

– Nie brakuje ci urody. Jesteś podobna i do ojca, i do Mairghread. Podobno Odran się tobą interesuje. – Odwrócił głowę i splunął.

– Mam o Odranie takie same zdanie jak mój ojciec i wszyscy, którzy patrzą nieprzychylnie na niego oraz tych, którzy mu sprzyjają.

– Nie brakuje jej ikry – podsumował Loga. – Lubię takie z ikrą. Powiadają – zwrócił się do Keegana, unosząc kciuk – że parzyłeś się z nią raz czy dwa.

Breen ze wszystkich sił starała się nie oblać rumieńcem ze wstydu i złości.



– To sprawa prywatna – rzuciła.

Logo zaśmiał się warkliwie.

– Ma ikrę! Możecie przejechać ze swoimi towarami. Na znak gościnności dostaniecie po kuflu piwa.

– Breen woli wino – poinformował go Keegan.

– W takim razie dla niej kielich wina.

Zręcznie jak kozica, przynajmniej według Breen, wskoczył na skalną półkę, wyjął zza pasa zakrecony róg i trzy razy przeciągle zatrąbił.

A potem jakby rozplynął się w powietrzu.

– Zostaliśmy przywitani – oznajmił Keegan.

Wjechali na ostatni odcinek biegnącej zakosami drogi.

## Rozdział 7

Na kamienistym wzniesieniu tłoczyły się chaty. Pozostałe, luźno rozrzucone na zboczu, przypominały ryzykownie, choć celowo poukładane kamienne bloki. Skalne półki i stopnie na stromiźnie wyglądały jakby wyrąbane siekierą.

Za skupiskiem chat Breen zobaczyła stodołę, a może oborę, i padok z mułami i krępyimi końmi. Kilka świń, pochrzäkując, ryło w wąskim pasie ziemi za chlewem. Stadko rozgdakanych tłustych kur dreptało przy kurniku.

Przed każdą z chat paliło się niewielkie ognisko w kręgu z kamieni. W rozrzedzonym powietrzu unosił się zapach torfowego dymu i piekącego się mięsa.

Breen była pewna, że na obracającym się różnie rozpoznała tuszkę królika.

Dzieci zakrzywionymi kijami odbijały drewnianą kulkę. Zabawa do złudzenia przypominała grę w hokeja na trawie. Kobiety się krzątały, nosiły niemowlęta w chustach zawiązanych na plecach lub piersi. Któraś poiła starsze dziecko na topornej kamiennej ławie. Breen widziała tu wszelkie możliwe odcienie skóry; od czarnej przez brązową, miedzianą, rumianą aż do bladej. Kiedy wjechała u boku Keegana do osady, wszystkie twarze zwróciły się ku nim.

Loga oraz towarzysząca mu kobieta i mężczyzna zeskoczyli z punktu obserwacyjnego na skale.

– Oni przyjechali na handel – obwieścił Loga. – Mają moją zgodę. Witamy cię, *taoiseachu*. Witaj, Córo Rodu O’Ceallaigh.

Keegan zeskoczył z siodła.

– Uszanowanie dla was i całego klanu.

Breen też zsiadła z konia.

– Dziękujemy – odpowiedziała.

– Zajmijcie miejsce przy ogniu! – zadysponował Loga. – Przynieście wino dziewczynie. A ty, chłopcze, zaprowadź konie do wodopoju.

Loga powiódł ich do ogniska przed chatą z łukowymi drzwiami i usiadł na ziemi.

– Tyle, jeśli chodzi o kurtuazję – odezwał się, kiedy Breen z Keeganem do niego dołączyli. – Teraz przystąpmy do interesów.

– Oczywiście. – Keegan skinął na krążącego nad nimi Crogę. – Smok ma w jukach towar, który córka O’Ceallaigha pragnie wymienić. Czy może wylądować?

– Może. A moi ludzie przyniosą bagaże.

Kiedy Croga opadł na skałę, kilku pomocników wdrapało się do niego i odwiązało pakunki przytroczone do siodła. Mały chłopiec z wypiekami na twarzy oraz tęsknotą w oczach pogładził Crogę po łuskach.

– Twój wnuk. Jeśli pozwolisz, wezmę go na przejażdżkę.

Chłopczyk opuścił głowę. Tęsknota zmieniła się w palącą nadzieję.

– Próbujesz mnie obłaskawić, zanim przejdziemy do handlu?

– Wiem, że takie próby spełzyłyby na niczym. Poza tym ja w tej wymianie nie biorę udziału.

Loga kiwnął na wnuka.

– Jedno krótkie okrążenie. A więc – kontynuował, kiedy chłopczyk z radosnym okrzykiem wdrapał się na Crogę – najpierw się napijemy, potem będziemy handlować.

Breen wzięła kubek podany jej przez kobietę. Była dobrej myśli.

– Smaczne – pochwaliła. Bardzo, bardzo mocne, dodała w myślach. Jak brandy z jabłek z dodatkiem kwasu do akumulatorów.

Drzwi chaty otworzyły się i stanęła w nich wysoka kobieta z ramionami niczym konary. Była ubrana w zgrzebne spodnie, tunikę przepasaną rzemieniem i wysokie buty z niewygarbowanej skóry. Miała bursztynowe oczy lwicy, ciemnobrązowy warkocz sięgający talii i warkoczek plemienny zwisający wzdłuż policzka.

Keegan zerwał się z ziemi.

– Witaj, *taoiseachu* – odezwała się.

– Witaj, Córo Fey.

Breen, podnosząc się, nie układała w myślach pozdrowienia; wymówiła słowa, które poczuła.

– Uszanowanie dla ciebie, Matko Trolli.

Sul skinęła głową.

– Przywieźliście towar na handel.

– Tak. A jeżeli ktoś jest w potrzebie, mogę zaoferować drobne usługi medyczne. Umieję uzdrawiać.

Breen podsunęła jej jeden ze stojących obok kartonów.

– Spróbujesz, pani, żeby ocenić towar?

Sul podeszła i zajrzała do środka.

– Słodczyce?

Kiedy sięgała po ciastko, Breen zauważyła u niej na ramieniu pęcherz po oparzeniu. Już wyciągała rękę, gdy Sul powstrzymała ją ostrym syknięciem.

– Nikt ze świata ludzi nie dotknie Trolla bez jego zgody.

– Wybacz, pani.

– To moja wina – odezwał się spokojnie Keegan, sącząc piwo. – Breen nie zna tradycji, a ja zapomniałem ją uprzedzić. Ona jest także córką i wnuczką *taoiseachów* Talamh.

– I wnuczką kogoś, kto chce nas zniszczyć.

– A jednak porzuciła znajomy świat, w którym czuła się bezpiecznie, żeby stanąć w naszej obronie.

– Proszę wybaczyć, nie chciałam pani urazić. – Breen pilnowała się, aby słowa, które same cisnęły się jej na usta, przypadkiem się nie wymknęły. – Przyjechałam po kamienie i kryształy, które wydobywacie, abym mogła ich użyć do magii w walce z Odranem.

Błyszczące oczy Sul zwróciły się w szparki.

– Boisz się go, co?

– Tak, nie ukrywam.

– Na nadgarstku masz słowo *Odwaga*. – Sul wskazała tatuaż Breen. – Wypaliłaś je tak sobie czy naprawdę ją masz?

– Mam jej więcej niż kiedyś i liczę, że zdobędę jej jeszcze więcej.

Sul zasznurowała usta i pokiwała głową z namysłem.

– Dobra odpowiedź. – Popatrzyła na Logę. – Dobra odpowiedź – powtórzyła z uznaniem.

Obejrzała ciastko w dłoni. Powąchała. Odgryzła kawałek. Uśmiechnęła się.

– Ty je robisz?

– Nie mam do tego talentu. Piecze je mój przyjaciel. Ja trochę pomagam – sprzątam po nim bałagan. On potrafi robić najróżniejsze słodkie wypieki, herbatniki i lukrowane ciasteczka.

Sul odgryzła jeszcze kawałek i resztę podała Lodze. Podsunęła Breen oparzone ramię.

– Masz moją zgodę.

Breen musnęła oparzone miejsce opuszkami palców. I tak, jak cierpliwie instruowała ją Aisling, powoli, bardzo powoli się otworzyła.

Poczuła ból, pieczenie. Pulsowanie.

I coś jeszcze.

– Ma pani bardzo silne światło i serce.

Mogła złagodzić ból. Stopniowo. Powoli. Obniżyć gorączkę. Ostrożnie. Delikatnie.

Ramię Breen przeszył palący prąd, ale pęcherz się spłaszczył, purpurowy obrzęk przybladł.

– Przydałby się balsam – zaczęła.

– Coś tam mamy w faktorii. Ale szkoda czasu na takie zawracanie głowy.

– Mogłaby pani kogoś tam posłać? Czy poświęci mi pani chwilę na osobności?

– Balsam weźmiemy przy okazji, kiedy przejdziemy do handlu. – Sul ruszyła w kierunku drzwi, dając znak Breen, by podążyła za nią.

Wnętrze chaty sprawiało surowe wrażenie. Stołki w pobliżu płyty z żarzącym się torfem, a na fajerkach perkoczący garnek. Stół, krzesła, kaganki i świece. Drabina przystawiona do wejścia na stryszek.

– Jestem chora? – zapytała Sul ze stanowczym wyrazem twarzy i twardym spojrzeniem.

– Nie sądzę, aby...

– Zbyt często i szybko się męczę. Mam problemy z jedzeniem. Ulecz mnie, jeżeli potrafisz, albo jasno powiedz, że nic nie możesz poradzić. Nie należę do tchórzy.

– Nie wyczułam choroby. To raczej... stan.

– Co za różnica? Chciałaś rozmawiać ze mną sam na sam. Więc mów.

– Nie byłam pewna, czy pani wie albo czy życzy sobie, aby inni o tym się dowiedzieli.

Myślę, że pani jest w odmiennym stanie.

Sul cofnęła się o krok.

– Skąd takie podejrzenie?

– Wyczułam w pani bicie dwóch serc. Mogę sprawdzić jeszcze raz dla nabrania pewności?

Za pani zgodą.

Skinięcie głową.

Breen przytknęła jedną rękę do jej podbrzusza, drugą położyła na piersi, a Sul wpatrywała się w nią bursztynowymi oczami.

Breen przywołała wspomnienie lekcji z babcią. Marg uczyła ją, jak otwierać się na życie, jak je wyczuwać.

Przymknęła powieki, wsłuchiwała się w Sul.

– Czuję bicie serca tutaj. – Otworzyła oczy i delikatnie przycisnęła dłoń do jej piersi. – I tu.

– Wskazała okolicę macicy. – Te uderzenia są cichsze, ale mocne. Nie mam takiej wprawy, żeby określić, ile zostało czasu do rozwiązania.

Sul machnęła dłonią i cofnęła się w głąb izby. Stała w otwartym oknie i wsparta o kamienny blat, głęboko oddychała.

– Kiedy dwa miesiące z rzędu nie pojawiła się u mnie kobieca przypadłość, pomyślałam, że skończył się płodny czas, bo blisko mi do przekwitania. Czułam się słabo i często byłam zmęczona. A przecież powinnam pamiętać, że te przypadłości towarzyszą tworzeniu się miejsca na nowe życie. – Sul odwróciła się od okna z błyszczącymi oczami. – Wychowałam dzieci, które już mają potomstwo. Nasz najmłodszy syn skończył dwanaście lat.

– To dla pani wstrząs.

– Wstrząs? Nie, to prawdziwy dar. – Przycisnęła obie dłonie do brzucha. – Dzięki tobie wiem, że mogę znowu wydać na świat życie. To wielki prezent. Ze wzruszenia zbiera mi się na płacz.

Odeszła od okna i zdjęła z uszu kolczyki w kształcie trójkątów.

– Złoto z naszych kopalni, przekute w biżuterię przez naszych rzemieślników. Prezent za prezent.

– Dziękuję. Jakie piękne! Ale przecież ja nie mam z tym nic wspólnego.

Sul zaniósła się śmiechem i klepnęła ją w ramię z taką siłą, że to miejsce, jak Breen obliczyła, może ją boleć przez tydzień.

– Nie brakuje ci ikry, co?

– Coś podobnego powiedział Loga. Będę z dumą je nosić. – Mimo bólu w ramieniu założyła kolczyki.

– A teraz skupimy się na handlu.

Faktoria okazała się przestronną, głęboką jaskinią oświetloną pochodniami. Straż przed wejściem pełnili Trolle z maczugami.

Skarbiec Aladyna, pomyślała Breen, oszołomiona widokiem połyskliwych kamieni i kryształów. Niektóre były wielkości kamyków, inne miały gabaryty sporego psa.

W następnej komorze przechowywano złoto, srebro i miedź. Broń, zbroje oraz użytkowe przedmioty z odpowiednich stopów metali. W kolejnej biżuterię, naczynia, misy, czary i kielichy.

– Skup się na tym, czego potrzebujesz – studził jej zapal Keegan, kiedy bez końca zwiedzali jaskinię. – Nie na tym, na co masz chęć.

– Potrzebuję i chcę mieć własny kociołek. O, właśnie taki jak ten. – Oparła się pokusie zakupu biżuterii i świecidełek (tym razem) i ograniczyła się do wyboru rzeczy, po które tutaj przyjechała.

– Powiedz mi, kiedy wyczerpię limit wymiany.

Keegan prychnął ironicznie.

– Nie ma obawy. Loga to skrupulatnie kontroluje.

Jedną sakwę napełnili oszlifowanymi i surowymi kamieniami, miedzianym drutem i srebrnym pyłem.

– Nie wiem, kiedy tu znowu przyjadę. – Obejrzała się na Keegana, sięgając po drugą sakwę.

– Wystarczy ci tego na dwa życia.

– Prawie skończyłam, więc... – urwała.

Kula. Nic więcej już jej nie interesowało. Gładka kula z labradorytu, mieszcząca się w dłoniach.

Wzięła ją do rąk i poczuła, jak przenikają w nią wibracje kamienia.

Kula połyskiwała smugami błękitów i zieleni poprzeplatanych pasemkami złotego brązu. Sztormy i burze, pomyślała, trawa i ziemia. Poczuła, że trzyma w dłoniach światy.

Ujrzała w kamieniu siebie, a potem...

– Widzisz?

Keegan, który też odczuł migotanie mocy, położył dłoń na jej ramieniu.

– Co tam zobaczyłaś?

– Wodospad, rzekę, która płynie po obu stronach, las, drzewa przygięte wiatrem. Dwa księżycy wędrujące po niebie, jeden w nowiu, drugi w pełni.

– Odran. – Kiedy na głos wymówiła to imię, niektórzy z towarzyszących im w faktorii Trolli wymruczeli zaklęcie przeciwko mrocznym siłom i uczynili znak chroniący przed złem.

– Popatrz. To druga strona. Ta jego. Yseult z włosami poprzetykanymi siwizną. Traci moc, słabnie, bo z wielkim wysiłkiem, drżąc na całym ciele, wykrzykuje jakieś słowa pod wiatr. Nie słyszę dobrze. Brzmią niewyraźnie. Chyba ich nie znam. To jakiś obcy język. Kiedy ona coś krzyczy i wzmaga się wiatr, on uderza mieczem. Czarna koza, demoniczny pies, dziewczyna płacząca za matką. Rzeka spływa krwią, nad nią unosi się czerwona mgła i barwi wodę w wodospadzie.

Breen zakręciło się w głowie, poczuła przyływ mocy.

– Mgła podnosi się coraz wyżej, już księżycy są splamione krwią. Zwierzę, demon, dziewczyna złożona w ofierze. Rzeka i wodospad pienią się, gotują. Ona opada na kolana, teraz ma więcej siwych włosów niż rudych. Odran prześlizguje się po gotującej się rzece i z hukiem piorunu, z błyskiem błyskawicy jego dłoń przedziera się przez wodospad do Talamh.

Breen, drżąc na całym ciele, z trudem chwyciła oddech.

– Widzisz to?

– Niewyraźnie i jedynie przez ciebie, nie w kuli. Kula jest twoja. – Podtrzymując Breen w pasie, odwrócił się do Logi. – Dam ci za nią, cokolwiek zażadasz. Przywiozę to jeszcze dziś wieczorem. Masz moje słowo.

– Nie ma potrzeby. Należy do niej. My tutaj nie jesteśmy głupi. Czy to było wcześniej, jest teraz czy dopiero nadejdzie?

– Nie teraz, nie wcześniej. – Breen stała wsparta na Keeganie, zaciskając dłonie na kuli. – Nie wiem, kiedy nadejdzie. Tego nie wiem, ale on mnie nie widzi. Nadal mnie nie widzi.

– Przynieście dziewczynie wina – zarządziła Sul.

– Nie, dajcie mi wody. Tylko wody.

– To było lato – rzucił Keegan. – Drzewa miały liście, a w Talamh kwitły naporstnice i dzikie róże. Nie powiem, czy chodzi o przyszłe lato, czy jeszcze następne. Ruszamy w drogę, jak tylko dojdiesz do siebie.

– Mogę jechać.

– W takim razie zbieramy się.

\*

Nie sądziła, że droga na dół okaże się trudniejsza od wspinaczki pod górę. Teraz widziała podstępne zwężenia ścieżki i karkołomne zakręty. I ten szmat drogi do pokonania.

– Wiesz, jak oczyszczać i ładować kryształy? – zapytał Keegan.

– Tak – odparła Breen.

– Musisz znaleźć dla nich odpowiednie miejsce.

– Mam takie. U nas w korytarzu na piętrze stoi stół. Seamus go dla mnie zrobił.

– Powinien się nadać. To moja wina – zmienił temat. – Nie ostrzegłem cię, że Trolli nie wolno dotykać. Nie pomyślałem. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się takiej reakcji po Sul. Jest mądrą, rozsądną kobietą, chociaż trochę nieufną. Ale jak ci mówiłem, Trolle bywają drażliwi.

– W ciąży ma prawo być nadpobudliwa.

Gwałtownie odwrócił się w siodle.

– Uważaj, jak jedziesz! – krzyknęła przez ściśnięte gardło.

– Merlin uważa. Mówisz, że Sul się spodziewa?

– Jeżeli nie chcesz, żeby serce mi stanęło, patrz na drogę. Tak, jest w ciąży. – Odetchnęła z ulgą, kiedy Keegan się odwrócił. – Nie byłam pewna, czy o tym wie i czy chce, żeby inni się dowiedzieli.

– Dlatego poprosiłaś ją o rozmowę na osobności. Wysłałaś z jej kolczykami w uszach, więc jak rozumiem, nie wiedziała i się ucieszyła.

– Nie wiedziała i się ucieszyła.

– Loga będzie zadowolony, gdy mu powie. Elegancko to załatwiłaś, z resztą też sobie dobrze poradziłaś.

– Zazwyczaj nie jesteś rozmowny, a teraz buzia ci się nie zamyka. Jesteś dla mnie miły, bo nie chcesz, żebym wpadła w panikę na tej stromiźnie.

– Mówię, kiedy mam coś do powiedzenia.

– Zagadujesz mnie, bo wiesz, że to działa. Jesteś pewien, że widziałam lato? Skupiłam się na Odranie, Yseult i na tym, co się działo. Nie zwróciłam uwagi na liście czy kwiaty.

– Taa, jestem pewien. Mamy innych jasnowidzów, sprawdzą to, co im przekażę.

– Nie chcesz, żebym znowu w to spojrzała.

– I tak to zrobisz, obojętnie czy chcę, czy nie, prawda? Nie zaszkodzi kilka dodatkowych par oczu. Dobrze się bawiłem, kiedy tłumaczyłaś Lodze, jak podpiekać i jeść bajgiel. Muszę spróbować.

– Nie jadłeś bajgli? Nigdy?

– Nie, ale jeżeli Marco je robi, na pewno są pyszne. No a... ta książka? Jak ci idzie pisanie?

Na siłę szuka tematów, pomyślała i uznała, że to wzruszające.

Zagadywał ją, dopóki nie zjechali z kamienistego szlaku do lasu. Zmierzchało już, ale nie poprosiła o postój, mimo że marzyła, aby choć na dziesięć minut zsiąść z konia, bo każdy mięsień w jej ciele błagał o odpoczynek.

Kiedy Keegan zatrzymał się nad strumieniem, żeby napić konie, została w siodle. Bała się, że jeżeli zsiądzie, nie da rady się wdrapać z powrotem na Boya.

Rozluźnij się, nakazała sobie, wsłuchaj w okolicę.

Leśną ciszę zakłócał jedynie szmer wiatru w koronach drzew. Suche liście opadały na ziemię, wirując. Jagody, te jeszcze niepozjadane przez ptaki i niedźwiedzie, przypominały klejnoty zawieszane na огоłonych gałązkach. Światło robiło się miękkie, wydłużały się głębokie cienie.

Konie, pijąc, mąciły wodę w strumyku. Jego plusk był cichym akompaniamentem dla żwawych nut wody toczącej się ze skał.

Zaszeleściły gałązki poruszone przez lisa, który przemykał w gęstwinie, drapnęły o korę pazury przebudzonej sowy, ruszającej na nocne łowy.

Uderzyło ją, że ze wszystkich darów, jakie w sobie odkryła, ten świeżo poznany wydawał się najcenniejszy.

– Amisz. – Podniosła dłoń. – Morena musiała go wysłać, żeby sprawdził, czy wracamy.

Keegan podążył spojrzeniem za jej ręką. Jastrząb akurat zdążył opaść, potąńczył między gałęziami, przycupnął na konarze i wpatrywał się w nich chłodnym wzrokiem.

– Nie patrzyłaś na niebo, wymawiając jego imię. Miałem wrażenie, że drzemiesz – zauważył Keegan, zawracając Merlina znad strumienia.

– Nie spałam. Wyczułam go. I sowę. – Wyprostowała palec. – Posłuchaj. – Zaśmiała się, gdy z gałęzi odpowiedziało jej pohukiwanie. – Babcia mnie nauczyła wczuwać się w bicie serca i oddech. Też je słyszysz?

– Nie tak jak ty. Moja wrażliwość nie sięga tak głęboko, chociaż oboje mamy domieszkę krwi Sidhe.

– Naprawdę?

– Tak, Sidhe, Elfów, Hybrydów i trochę Trolli. Mój ojciec wielokrotnie się zaklinał, że jego praprababka miała Syreny wśród przodków.

– I to dotyczy wszystkich Fey?

– Podobno.

Zadumana, nie zauważyła, kiedy wjechali na równinę.

– To może okazać się istotne.

– Taka mieszanka nie jest niczym zaskakującym, skoro mówimy o tysiącleciu albo i dłużej.

We wszystkich światach działo się podobnie.

– Ale w innych nie mają *taoiseacha*. W innych nie prowadzi się Fey na wojnę z Odranem.

Ty po trosze należysz do wszystkich plemion, masz w sobie część każdego z nich. To może być ważne. Wręcz powinno mieć znaczenie.

– Po prostu tak jest i nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Może powinieneś bliżej temu się przyjrzeć.

– Słuchaj, gdyby miały wyrosnąć mi skrzydła, już od dawna bym latał.

– Traktujesz to zbyt dosłownie. Do przymiotów Sidhe nie należy wyłącznie latanie, a u Elfów szybkość.

– To prawda. – Puścił konia truchtem, kiedy dukt przeszedł w szeroką ścieżkę. – Jednak bardzo bym się zdziwił, gdyby udało mi się przegonić Elfa.

– Może tak, a może nie. Zapewne możesz biegać szybciej, niż sądzisz, bo nigdy nie włożyłeś wielkiego wysiłku w rozwijanie tej umiejętności. Uwierz mi, wiem wszystko o godzeniu się z ograniczeniami i wmawianiu sobie, że nie można ich pokonać. Miałam mnóstwo takich sytuacji.

– Ciekawe. Muszę to przemyśleć.

– Gdybyś był Hybrydem, z jakim duchowym zwierzęciem czułbyś się związany?

– To nie kwestia wyboru.

Dosłowny, pomyślała, zawsze taki konkretny.

– Ale gdybyś miał wybór. Ja chyba byłabym psem, takim jak Fąfel, przy którym wszyscy się uśmiechają. Mówimy o gdybaniu – podkreśliła. – Tu nie ma błędnych odpowiedzi.

– Wybrałbym smoka. Bo nikt nie ma duchowego smoka i byłbym jedyny.

– Ech, to twoje ego. Nie ma smokołaków w Talamh?

– Ani w żadnym ze światów, jakie znam. Niemniej mamy siebie nawzajem. Fey i smoki stanowią jedność. Hej, Breen, skoro mowa o wyczuwaniu, nie czujesz w sobie galopu? Zbliżamy się do bitej drogi, najwyższy czas, żebym wreszcie coś zjadł.

Poprosiła w myślach Boya i koń wydłużył krok.

Miała ochotę spytać Keegana, w jaki sposób smok i jeździec się odnajdują, jak to się odbywa i co się wtedy czuje, ale wizja gorącego posiłku i galop jeszcze pogłębiły znużenie.

Gdy wjechali na drogę, Breen wyczuła niecierpliwość Boya. Wiedział, że dom już blisko, że czeka obrok i szansa na odpoczynek. Jak dobrze go rozumiała!

Nad zatoką wzeszły księżyce, rozjarzyły się gwiazdy. Na tle ciemnego nieba dostrzegła sylwetki czterech smoków bez jeźdźców. Dwa duże i dwa o jedną czwartą mniejsze.

Rodzina, pomyślała.

Skierowała myśli ku Marg i Sedricowi i dała znać babci, że wróciła.

Gdy dojechali do zakrętu, coś prześliznęło się po niej i przez nią. Lekko ściągnęła wodze i Boy przeszedł do stępa.

– Co jest? – zapytał Keegan, zawracając Merlina. – Śpieszno mi do jedzenia i kufla piwa.

– Ruiny. Tam... – Widziała ich ciemny zarys na tle wieczornego nieba. – To, co poczułam, nie jest biciem serca, nie oddechem, ale... Intuicją?

– To, co tam chodzi, nie należy do żywych.

– Masz na myśli zjawy?

– Niektóre duchy nie odpoczywają, inne nie mogą.

– Kamienie śpiewają, ale nie tamte, nie tamte. To śpiewa krąg. Słyszysz go?

– Tak, często, lecz nie z tej odległości. Pewnie słyszę go poprzez ciebie. To święte miejsce, takie jak cmentarz. Uświęcone, oczyszczone.

– Ale nie tamte ruiny – powiedziała, gdy ruszyli.

– Gdy doszło do rozłamu wśród Świętobliwych, fanatyczni odszczepieńcy zaczęli oddawać się okrutnym i mrocznym praktykom. Składali ofiarę bogom ciemności z krwi niewinnych. Takie rytuały nawet w tamtych czasach były zakazane. Niektóre z nich są naznaczone piętnem. Duchy oprawców stały się zakładnikami.

– Tak myślisz?

– Słyszałem głosy przeklętych oraz tych, których oni torturowali i zabijali. Razem znaleźli

się w potrzasku.

Gdy się obejrzała, po kręgosłupie przebiegł jej lodowaty dreszcz.

– Byłeś tam?

– Tak i widziałem ich, słyszałem głosy intonujące pieśni na cześć fałszywych bogów. –

Rzucił Breen chłodne, ostrzegawcze spojrzenie. – Ale ty tam nie chodź.

Spiął Merlina do galopu. Breen też zrównała się z Keeganem, szczęśliwa, że zostawiają ruiny za sobą.

Ledwo pomyślała, żeby przywołać Fąfla, a pies już biegł im na spotkanie. Ponure myśli i ciężki nastrój Breen rozproszyła czysta radość w oczach psa, kiedy zataczał koła wokół koni, podskakując, szczekając i szaleńczo machając ogonem.

– On na pewno dostał swoją miskę. Nakarmimy konie, oporządziemy je, a potem zajmiemy się sobą.

Światło lamp sączyło się przez okno, z kominów unosił się dym. Merlin bez najmniejszej zachęty przeskoczył kamienny murek. Breen, wstrzymując oddech, zaufała Boyowi, ale i on ochoczo pokonał przeszkodę.

– Wrócili nasi podróżnicy.

Morena wyszła przed próg z Harkenem i z Marco za plecami.

– To był dla was długi dzień. Mam nadzieję, że okazał się owocny.

– Dostałam wszystko, czego potrzebuję, a nawet więcej. – Podekscytowana Breen zsunęła się z siodła. Joga, powiedziała w myślach. Dużo jogi w najbliższej przyszłości.

– Idźcie się odświeżyć – odezwał się Harken, biorąc od nich wodze. – I siadajcie do potrawki z kurczaka, dzieła Marco. My z Moreną zajmiemy się końmi, bo już jesteśmy po tym niebiańskim posiłku.

– Dzięki. Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. A tej dwójce należy się po jabłku. – Keegan poklepał Merlina po boku. – Jakies wieści od Mahona?

– Nic się nie dzieje – uspokoił go Harken. – Matka powinna tu być przed południem.

– To dobrze.

Marco objął Breen w pasie.

– Założę się, że marzysz o winie i gorącym jedzeniu – powiedział.

– Bardzo na to liczę.

– Zaraz wszystko wjedzie na stół. Ale miałaś dzień, co?

– Nawet sobie nie wyobrażasz.

Razem z Keeganem poszli do studni, żeby obmyć się z kurzu.



## Rozdział 8

Pomimo serii rozciągających ćwiczeń rano nadal czuła w mięśniach skutki długiej wyczerpującej jazdy. Dobrze, że nikt nie widział, jak kuśtykając, wypuściła psa i na raty wносиła do domu kryształ, które oczyściła i naładowała wieczorem.

Cieszył ją ich widok i dotyk, z radością układała swoje skarby na stole w korytarzu na piętrze.

Kulę zaniósła do gabinetu. Za dnia będzie ją trzymać na biurku, a na noc zabierać do sypialni.

Delektując się ciszą panującą w chacie, usiadła z kawą na progu i patrzyła, jak brzask rozprasza mgły nad zatoką.

Potem wzięła się do pisania. Wplotła w powieść wątek o czarnej magii, węzach snu i o smoku, który ognistym oddechem stopił lód na jeziorze, żeby utopić tam demony.

Miała w głowie obraz bitwy. Rozgrywała się bardzo wysoko w górach, gdzie wiatr siekł igiełkami lodu i wzbijał tumany śniegu, Trolle walczyli o utrzymanie pozycji, a demoniczne psy skakały do gardeł.

Na moment zatrzymała palce nad klawiaturą. Skąd u niej taka żądza krwi, pomyślała i wróciła do pisania.

Zanim poszła z Marco i Fałem do lasu, zdążyła odhaczyć dwie sprawy: poćwiczyła jogę i nadrobiła zaległości w pisaniu.

– Gotowy na kolejny trening?

– Gotowy i chętny – oświadczył. – Nawet podoba mi się ta zabawa z mieczami. Przypomina te przebieranki i gry historyczne. Ale wolę jazdę. Wiesz co, obojętnie gdzie wylądujemy, musimy kupić sobie konie. Och, miałem ci powiedzieć: wieczorem masz na Zoomie telekonferencję z ludźmi od marketingu. Wieczorem według naszego czasu. Musimy odpowiednio wcześniej wrócić do chaty, abyś była gotowa przed siódmą. Problem w tym, że po tamtej stronie nie umiem określić czasu.

– Oni jakoś to robią. Nie pytaj mnie jak. Wiem, że słońce zachodzi około piątej – zawsze to sprawdzam – i wtedy ruszymy w drogę.

– Jakoś to robią. Wszystko jakoś robią. Nie pytaj mnie jak – przedrzeźniał ją.

– Liczę, że dzisiaj uda mi się trzymać z daleka od koni. Ale zapytam Morenę, czy jutro moglibyśmy pojechać na cmentarz. Chcę, żebyś zobaczył, gdzie spoczywa mój tata.

– Bardzo bym chciał. – Zatrzymał się przed drzewem. – Za każdym razem się denerwuję.

Chwycił Breen za rękę i przeszli razem.

– Ostre słońce – skomentował. – Właśnie na to liczyłem. – Sięgnął do kieszeni i wyjął okulary słoneczne. – Teraz wyglądam stylowo.

– Zawsze tak wyglądasz. – Breen przystanęła na stopniach i osłaniając oczy dłonią, spojrzała na wschód. – Zbliżyła się duża grupa konnych.

– No, to chyba jakaś parada. Widzę proporce i różne emblematy. O rany, smoki. Leci ich chyba z pół tuzina.

– Pewnie matka Keegana jedzie ze Stolicy.

Ledwo to powiedziała, gdy z innego kierunku, z południa, jak się domyśliła, nadleciał Keegan na Crodze. A więc jednak tam się wybrał. Gdy tylko jeździec zeskoczył z siodła, Croga natychmiast dołączył do pobratymców sunących nad orszakiem.

Keegan długimi krokami podszedł do kobiety na białym koniu. Odebrał od niej wodze, a gdy zsiadła, objęli się na środku drogi, otoczeni konną asystą złożoną z ponad dwudziestu kobiet i mężczyzn oraz smoków kołujących nad głowami.

Miodowoblond włosy tej kobiety były zaplecione w warkocz zwinięty w kok nad karkiem. Miała na sobie sweter w kolorze październikowego nieba, długą skórzaną kamizelę oraz spodnie, obcisłe prawie jak legginsy, wsunięte w wysokie buty.

– To na pewno jego mama? – odezwał się Marco, zsuwając okulary niżej na nos. – Przecież ona wygląda jak dziewczynka.

Gdy matka ucałowała Keegana w oba policzki i wypuściła z objęć, on skierował się do kobiety z brzoskwinową cerą i kruczoczarnymi włosami. Ujął jej dłoń i z zaskakującą galanterią złożył na niej pocałunek.

– To pewnie przyjaciółka tamtej. – Marco zahaczył zausznik okularów za kieszonkę i zaczął schodzić po stopniach. – Chodźmy się przywitać.

– Powinniśmy pozwolić im...

Urwała na widok Aisling i chłopców wybiegających z chaty.

– Babciu! – wołali malcy jeden przez drugiego, a roześmiana jasnowłosa kobieta wyszła im naprzeciw i kucając, zagarnęła obu w ramiona.

Chwilę później Aisling dobiegła do drogi, podtrzymując ręką brzuch. Jasnowłosa, z chłopcami uczepionymi u nóg, zamknęła ją w objęciach.

Harken przybiegł z pola, przeskoczył przez kamienne ogrodzenie i też wyściskał gościa.

– Poczekajmy – szepnęła Breen. – To rodzinne spotkanie.

– Miła scena. – Marco położył dłoń na jej ramieniu. – Przyjemnie się na to patrzy.

Fąfel nie wytrzymał i puścił się pędem po schodach. Przesadził murek, tym razem nie zwracając uwagi na owce. Do Breen doleciał śmiech kobiety, gdy pochylona nad psem, gładziła go na powitanie.

A potem się obejrzała.

Breen poczuła, jak żołądek zaciska się jej w ciasny supeł.

Jasnowłosa powiedziała coś do Harkena, skinęła na Keegana i z nim u boku przeszła przez drogę.

– Jezu, ona porusza się jak królowa. Ma w sobie coś z godności koronowanych głów – wymamrotał Marco. – Wiesz, o co mi chodzi.

Wiedziała i dlatego zmusiła się, żeby zejść ze stopni.

– Błogosławieństwo dla ciebie, Breen Siobhan O’Ceallaigh. I dla twojego przyjaciela. Jesteś Marco, prawda?

– Tak, madam.

– Moja matka, Tarryn O’Broin.

– Jestem bardzo rada, że mogę cię poznać. – Tarryn wyciągnęła rękę do Breen, a ona się zastanawiała, czy powinna się uklonąć, czy może dygnąć. – Twoja babka jest dla mnie prawdziwym skarbem, a w twoim ojcu, niech spoczywa w pokoju, miałam przyjaciela i ojca dla moich dzieci, kiedy ich rodzony stracił życie. Keeganie, gdzie twoje maniery? – Tarryn pacnęła go w ramię. – Pomóż dziewczynie przejść przez murek.

– Wiele razy sama sobie poradziła – bąknął, a jednak podniósł ją i przesadził na drugą stronę.

– Mogłabym powiedzieć, że jego gburowatość wynika z moich błędów, ale tego nie zrobię, bo sam jest sobie winien. Nie będę dłużej trzymać cię na drodze, na pewno śpieszno ci do Marg. Serdecznie pozdrów ją ode mnie i zapytaj, czy zechciałaby mnie odwiedzić po południu.

– Dobrze.

Ku zaskoczeniu Breen ujęła jej twarz w dłonie i nachylając się, pocałowała ją w policzek.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny – wyszeptała. – Wiedz o tym.

Uśmiechnięta kobieta cofnęła się o krok.

– Znam was oboje z opowieści Eiana. Wiem, że jesteście uzdolnieni muzycznie. Wieczorem zorganizujemy ceilidh, nasze tradycyjne tańce.

– Ma...

Uciszyła Keegana machnięciem ręki.

– Wkrótce rozpocznie się wojna, czekają nas bitwy. Dopóki możemy, cieszymy się tym, co radosne i jasne. Przyjdźcie – zwróciła się do Breen i Marco – zapraszam na radosne i jasne.

– Nie chcemy się narzucać – zaczęła Breen, ale Tarryn już zeszła na drogę, po czym posadziła sobie Kavana na biodrze, a Finiana wzięła za rękę.

– Jeżeli chce was widzieć, będzie was widzieć. Ale lepiej poćwiczcie. I nie spóźnijcie się – rzucił Keegan na odchodnym, zanim dołączył do Harkena na polu, gdzie jeźdźcy już rozstawiali namioty.

– To było niesamowite – wydukał Marco, gdy odzyskał mowę. – I nadal jest. Oni rozkładają się tutaj obozem, konie pasą się na łące, smoki latają nad głową. O rany, one zlatują. Gdzie oni ulokują smoki?

Lądowały gęsiego na drodze. Ziemia trzęsła się pod ich łapami, gdy ustawiały się jeden za drugim niczym samoloty na pasie startowym.

Klejnoty, pomyślała Breen. Zjawiskowe klejnoty. Kobiety i mężczyźni zsiadali lub zeskakiwali z ich grzbietów, zdejmowali siodła, odwiązywali torby i pakunki. Gdy rozjuczone smoki po kolei odrywały się od ziemi, serce Breen wpadło w drzenie z podziwu i trochę z zazdrości.

Obładowani bagażami jeźdźcy kierowali się na pole, gawędząc między sobą. Gdy przechodzili obok Breen i Marco, pozdrawiali ich skinieniem głowy.

Jeden z nich, z siodłem przerzuconym przez ramię i sakwą na plecach, zerknął na Breen i zawiesił spojrzenie na Marco.

– Masz piękne włosy, przyjacielu.

– Och, dzięki, ty też.

Przystanął na chwilę. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, płowa grzywa opadała mu na plecy, a warkocz wojownika zwisał z ramienia.

– Gdzie mieszkasz po tamtej stronie?

– Uhm, w Filadelfii.

– W Fi-la-del-fii – powtórzył powoli i się uśmiechnął. – Aha.

Kiedy odchodził, Marco odprowadzał go wzrokiem.

– Myślisz, że on mnie podrywał?

– Nie wiem. Naprawdę, nie umiem powiedzieć. Mną zdecydowanie nie był zainteresowany.

– Myślę, że jednak podrywał. Zatkano mnie i dlatego nie nawiązałem flirtu. Jakie miał intensywnie niebieskie oczy! Powinienem wysłać jakiś sygnał. A tak, nie wiem nawet, jak ma na imię.

– Marco, czas na trening.

– Racja. – Nałożył z powrotem okulary słoneczne. – Pójdę tędy – zdecydował, rozglądając się za właścicielem smoka. – Nie zapomnij o telekonferencji na Zoomie. Potem posprzątamy, przebierzemy się w eleganckie ciuchy i wrócimy na imprezę.

– Naprawdę, nie wiem, czy my...

– To królowa, wiem, że właściwie nią nie jest, chociaż powinna być, a królowej się nie odmawia. – Delikatnie trzepnął Breen w ramię. – Zobaczymy się później.

Szkoda jej było czasu na imprezowanie. Nie widziała siebie na zabawie, gdzie spotka zaledwie garstkę znajomych. Aby za wiele o tym nie myśleć, przywołała psa i ruszyła do chaty babci.

Zastała Marg w ogrodzie za domem, gdzie akurat zbierała warzywa z niewielkiej grządki. Powiadomiła ją o przyjeździe Tarryn, przekazała zaproszenie i napomknęła o ceilidh.

– Ceilidh to wspiania okazja. Wrócę z tobą na farmę i urządzimy sobie babski sabat z Tarryn.

– Sabat?

– Plteczki przy herbacie. Zerwijmy kilka dyń, zrobimy ciasto oraz zupę i zabierzemy je na ceilidh.

– Chcesz upiec ciasto i ugotować zupę z tych dyń?

– Naturalnie. Nie twierdzą, że gotuję tak dobrze jak Sedric, ale dotąd nikt nie kręcił nosem na moje kuchenne wyczyny. Gotowanie ma w sobie magię, Breen, trzeba tylko włożyć w nie ochotę, pracę, no i miłość.

Breen pierwszy raz w życiu obrała dynię i pod okiem Marg usunęła pestki. Gdy kawałki dyni miękły, podczas gotowania na wolnym ogniu, uprzyła pestki na patelni.

Tym razem, zamiast spędzić czas w pracowni, towarzyszyła Marg w kuchni, otoczona aromatami jesieni. Nauczyła się ścierać na tarce gałkę muszkatołową, miażdżyć ząbki czosnku i rozdrabniać cynamon w moździerzu.

Co prawda raczej nie podejrzewała, że będzie często korzystała ze świeżo zdobytych umiejętności, ale musiała przyznać, że praca w kuchni sprawiała jej przyjemność.

Nadmiar składników pozamykały w słojach. Kiedyś na pewno przydadzą się do gotowania czy magii.

W rezultacie na stole stygły dwa ciasta nadziewane dynią, dwa okrągłe chleby dyniowe i garnek zupy.

– Dobrze sobie radzisz w kuchni.

– Jako wyręka. Kuchnia w naszym mieszkaniu jest bardzo ciasna i przede wszystkim staram się nie kręcić Marco pod nogami, ale kiedy potrzebuje pomocy, siekam i mieszam różne rzeczy.

Breen przypadło w udziale zmywanie naczyń; średnio przyjemny obowiązek, gdy w grę wchodzi dźwiganie wody ze studni.

– Martwisz się o Sedrica? – zapytała babkę, wiedząc, że udał się na południe, kiedy one były zajęte pieczeniem.

– Gdzie jest miłość, jest też niepokój. Po ścieżce miłości niepokój kroczy ręką w rękę z radością. Sedric jest tam, gdzie powinien się znaleźć. Podobnie jak i ja – dodała i pogładziła Breen po ramieniu.

– Czy gdyby nie ja, też teraz byłabyś na południu?

– Ale jesteś, *mo stor*, a gdyby nie ty, być może nie wiedzielibyśmy, że musimy zachować tam czujność. A więc to pytanie stanowi środek koła z nieskończoną liczbą odpowiedzi na okręgu.

Marg wytarła ręce i kiwnięciem głową zaakceptowała stan kuchni.

– No, skończone. Weźmiemy te pyszności na farmę, ale jeden dyniowy chleb zostawimy dla Sedrica.

Breen niosła garnek, a Marg koszyk z ciastami i chlebem.

Liście, kolorowe dzieci drzew, toczyły się po drodze, podrzucane wiatrem. W górze latały smoki, niektóre z jeźdźcami na grzbiecie. Breen zauważyła tamtą grupkę dzieci, którą w myślach ochrzciła Gangiem Sześciorga. Akurat biegły w stronę zatoki. Zerknęła na Fafla.

– Idź się pobawić – powiedziała, gdyż wyczuła jego pragnienie.

Roześmiała się, kiedy puścił się biegiem.

– Trudna decyzja; figle z dziećmi czy raczej kąpiel w zatoce.

– Połączy obie przyjemności. A jak ci idzie nowy tom o przygodach tego łobuziaka?

– Nie najgorzej. Siadam do historii o Faflu z rana, traktując to jako coś w rodzaju rozgrzewki. Ostatnio pracowałam nad powieścią dla dorosłych i dobrze wyszła mi naprawdę krwawa scena walki. Muszę odetchnąć od tego ponuractwa i skupić się na czymś pogodnym.

– Czy taka mnogość talentów nie jest wielkim darem?

– Jestem tym zaskoczona i dziękuję za to każdego dnia. Babciu, jestem ci ogromnie wdzięczna za tę chatę. Dzięki tobie oboje z Marco mamy miejsce do pracy. Zaledwie rok temu, dzień w dzień wstawałam rano i szłam do pracy, której nigdy nie lubiłam, bo wierzyłam, naprawdę wierzyłam, że nie mam wyboru. A teraz? Wstaję rano i robię to, co kocham, co sama wybrałam. Ale wiem, że czekają mnie inne zadania.

– I sprostasz im.

– Tak. Dlatego zgadzam się na te bolesne treningi z Keeganem – Spojrzała na Marg spod oka. – To nie jest moja ulubiona część dnia.

– Kiedy masz ją już za sobą, reszta dnia jeszcze bardziej powinna cię cieszyć.

– Postaram się tak o tym pomyśleć, kiedy uśmierci mnie z dziesięć razy z rzędu. Bardzo mi się podobała wizyta u Trolli i nigdy nie zapomnę tamtych widoków z gór. Wiem, że w życiu nie dotarłabym tam, gdyby Keegan nie nauczył mnie jeździć na koniu. Widziałam cię na smoku. Tego też nie zapomnę. Wyglądałaś bardzo dystygowanie.

– Pochlebca z ciebie.

– Zabierzesz mnie kiedyś ze sobą?

– Czemu nie. Aha, widzę, że Keegan ustawia tarczę. A więc dzisiaj strzelanie z łuku.

Spojrzała na pole, Keegan opierał tarczę o stertę beli siana.

– Nie tak źle. Może jestem nie najgorszą łuczniczką.

– Idź i sprawdź. Wezmę od ciebie garnek z zupą.

– Miłego sabatu z jego matką.

– Na pewno będziemy dobrze się bawić.

Rozdzieliły się przy bramie. Jak mocno dzisiaj dostanie w kość?, zastanawiała się. Zauważyła odłożony dla niej miecz. A więc nie obejdziesz się bez fechtunku. Czyli znowu oberwie. Jednak jeżeli fatygował się z ustawianiem tarczy, może strzelanie zajmie większą część treningu.

Czekał na nią z dłonią wspartą na główicy miecza. Wybrał łuk odpowiednio do siły jej mięśni. Miał nadzieję, że strzelanie pójdzie jej lepiej niż walka na miecze.

Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że kobieta z taką siłą i gracją – bo przecież ani jed-

nego, ani drugiego jej nie brakowało – tak kiepsko radzi sobie z bronią. Denerwowało go to i budziło frustrację.

Owszem, podciągnęła się, przyznał w duchu, żeby zachować cierpliwość. Niewątpliwie już lepiej jej szło. Ale nigdy nie będzie po mistrzowsku władać mieczem, ani nie zostanie wyrafinowanym taktykiem. Dopóki ktoś nie odrąbie jej ręki. A ponieważ właśnie na nim spoczywał obowiązek czuwania, aby nigdy do czegoś takiego nie doszło, miał prawo czuć się sfrustrowany.

Jednak w tej chwili musiał się skupić na czekającym go zadaniu i natychmiast przestać myśleć o tym, że jej włosy mają bardziej ognisty odcień od jesiennych liści.

– Tak jak z mieczem – rzucił bez wstępów. – Ostrym końcem do tarczy.

– Tyle sama wiem.

Wręczył jej łuk.

– Twardość dobrana do twojej siły – oświadczył

– Twardość?

– Naciąg cięciwy, rozumiesz. Ile siły potrzebujesz, żeby ją napiąć. Najpierw się przyjrzyj. – Podniósł inny łuk i przyjął postawę. – Na razie bez strzały. Łuk w jedną rękę, cięciwę chwytam trzema palcami drugiej ręki.

Pokazał jej otwartą dłoń.

– Wiesz, która to linia życia?

– Tak.

– Zamykam dłoń na łączyisku, tak aby kciuk spotkał się z linią życia, potem unoszę ramię na wysokość barku. Równy z barkiem – powtórzył z naciskiem. – I dopiero napinam cięciwę.

Patrzyła, z jaką łatwością odciąga ją ku prawej połowie twarzy.

– Teraz oko, ta sama strona – prawa w twoim przypadku, w moim też, u niektórych ludzi lewa – i skupiasz się na celu. Ściągnięte łopatki, pierś do przodu – dla większej siły i napięte mięśnie pleców, widzisz? O tak.

– Dobrze.

– Zdejmujesz palce z cięciwy, która wypuszcza strzałę, napięte mięśnie cofają rękę wzdłuż szyi pod uchem.

– Jest tego więcej, niż sądziłam. – Skoncentrowana, usiłowała zapamiętać kolejne kroki. – Myślałam, że po prostu naciągasz łuk, celujesz i puszczasz strzałę.

– Nie. Spróbuj tak, jak ci mówiłem.

Starła się naśladować jego mimikę i postawę, pamiętała, żeby trzymać ramię na wysokości barku, uchwyciła łączyisko i cięciwę, jak pokazał, i napięła łuk.

Cięciwa ustąpiła zaledwie kilka centymetrów, ponowiła więc próbę, tym razem z większą siłą. Kiedy wypuściła domniemaną strzałę, cięciwa zawibrowała z brzękiem i smagnęła ją po przedramieniu.

Miała na sobie kurtkę, ból okazał się niewielki, za to szok ogromny.

– Jeszcze raz. Powoli i dokładnie.

Posłusznie napięła łuk. Powtarzała tę czynność wiele razy, aż wreszcie uznał, że może założyć strzałę.

– Prawą ręką – pokazał – umieszczasz strzałę wcięciem na cięciwie i przytrzymujesz je razem trzema palcami.

Jednym, zdawałoby się, płynnym ruchem, nałożył strzałę, uniósł łuk, naciągnął i strzelił. I naturalnie trafił w sam środek tarczy.

Naturalnie.

Odtworzyła wszystkie czynności w myślach i wypuściła strzałę, a ta po chybotliwym locie wbiła się w ziemię niecałe dwa metry przed nią.

– Nie – powiedział krótko i podał jej następną. – Ramiona wyprostowane, łopatki ściągnięte. Napinaj łuk powoli, pewnie.

Tym razem strzała wylądowała nieco dalej, jakiś metr w bok od tarczy i zniknęła w krzewach fuksji.

– Nie – powtórzył, stając za Breen. Odgiął jej ramiona. – Strzała poleci tam, gdzie ją pošlesz. Ona nie ma wyboru, prawda? A ty masz.

Przybliżył twarz do policzka dziewczyny, żeby razem z nią widzieć cel, poprowadził jej rękę.

– Skup siłę w mięśniach pleców, właśnie tak. A teraz puść cięciwę.

Strzała wbiła się w tarczę – nie w środek, jednak w niej utkwiała.

Breen pachniała cynamonem. To mąciło mu umysł.

Na wszelki wypadek cofnął się o krok.

– Co robiłaś? – zapytał.

– Próbowałam celować w cholerną tarczę.

– Nie, wcześniej. Nad jakim zaklęciem pracowałaś?

– Dzisiaj nie było zaklęć. Dlaczego pytasz? – Próbowała rozruszać ścierpnięte ramię. – Piekłyśmy ciasta i chleb, zrobiłyśmy zupę z dyni z ogrodu.

– Pachniesz przyprawami.

Wiedział, że olejki z przypraw służą do zaklęć budzących pożądanie, a nawet miłość. Zakazanych zaklęć.

– Do roboty – rzucił, wręczając jej strzałę.

– Czy aromat dyniowego ciasta cię odrzuca?

– Nie. Masz zapach przypraw na włosach, na skórce. Używa się ich zarówno do gotowania, jak i tworzenia różnych zaklęć.

– Wiem. Uczylałam się tego, ćwiczyłam, wykorzystywałam je w magicznych praktykach. Ale dziś było gotowanie.

Już zakładała strzałę, gdy tknęła ją pewna myśl. Obraziła i do głębi nią wstrząsnęła.

– Miłosne eliksiry, tak? Oczywiście, z tych przypraw można je sporządzać. Myślisz, że posunęłabym się do czegoś takiego? Wiem, że to zabronione, podchodzę do rzemiosła z szacunkiem. Respektuję twoje uczucia. Masz prawo czuć, co chcesz. I nie jestem tak zdesperowana, żeby przyciągać cię czarami.

– Ja tylko zapytałem, bo... ech, niech to diabli! Jestem tutaj, żeby cię szkolić, przygotować do tego, co nastąpi. Nie wszyscy Fey wrócą do domu po Samhainie. Wiem o tym, a jednak muszę wysłać ich na pole walki. Nie powinienem myśleć o tym, że cię pragnę, a jednak tak jest.

– To cię wkurza. Twój problem, *taoiseachu*. – Wściekła, wypuściła strzałę. Grot wbił się w trawę, zaledwie trzydzieści centymetrów przed noskami jej butów.

– Cholera! Cholera! Cholera!

Nie opanował się i parsknął śmiechem, a ona odwróciła się i pchnęła go dłonią w pierś.

Ciągle się śmiejąc, przyciągnął ją do siebie i postawił na palcach.

– Niech to szlag. Tylko raz, ten jeden raz i koniec.

Opadł wargami na jej usta, wziął, czego pragnął. Spłynęła na niego ulga, choć pożądanie nadal wibrowało w nim jak napięta cięciwa. Tamte wszystkie tygodnie bez zapachu Breen, jej smaku, dotyku... Choć przez ulotną chwilę mógł sycić swoje zmysły.

Z początku nie odpowiedziała, ani nie stawiała oporu. A jednak wyczuwał w niej ten sam żar. Wreszcie poddała się pragnieniu i przywarła do Keegana na łące pachnącej trawą i owcami w poświacie gasnącego słońca.

Kiedy wypuścił ją z ramion, przycisnęła dłoń do serca.

– Dlaczego jeden raz?

– Bo niektórzy już nie powrócą i nie wolno mi się rozpraszać i skupiać na własnych pragnieniach. Muszę być myślami przy tych, którzy staną do walki, świadomi, że mogą zostać tam na zawsze.

Jeszcze przez chwilę trzymała rękę na sercu.

– Dobrze – zgodziła się, opuszczając dłoń. – Oboje będziemy o nich myśleć.

\*

Marg z Tarryn, stojąc przy oknie, przyglądały się zmaganiom Breen z łukiem.

– Ależ ona do ciebie podobna, Marg. Nie mówię jedynie o włosach, choć bogowie mi świadkami, są piękne. Ale rysy twarzy, budowa. Wiem, ile znaczy dla ciebie jej powrót.

– Jakże nieciekawe życie urządziła jej Jennifer. Konsekwentnie tłumiała w niej ambicje, usypiała pragnienia. Nie wyobrażasz sobie, jaką radość czułam, obserwując, jak ta dziewczyna się budzi. Teraz, kiedy jest już gotowa, z wielkim bólem myślę o tym, co ją czeka.

– Mówiłaś, że pokłady jej mocy sięgają bardzo głęboko, nawet głębiej niż twoje.

– Tak, ale musi je do końca odkryć. – Marg zachichotała, kiedy strzała wypuszczona przez

Breen wbiła się w ziemię. – Jak myślisz, kiedy wyczerpie się cierpliwość Keegana?

– Zapewne wkrótce. Uczy ją walczyć i oczywiście musi to robić, lecz to nie miecz i łuk są jej przeznaczone. – Kolejna strzała utkwiała w trawie i Tarryn pokręciła głową.

– I dzięki bogom. Ale trzeba jej oddać, że się stara, prawda?

– Zobacz, gdyby on od początku tak ją prowadził... – Marg uśmiechnęła się pod nosem, gdy Keegan stanął za Breen i zbliżył twarz do policzka dziewczyny, po czym poprowadził jej rękę. – Ładny widok.

– Oj, tak. – Tarryn, uśmiechając się, otoczyła ramieniem talię Marg. – No i proszę, tym razem trafiła w tarczę. Nie rozumiem, czemu oni podchodzą do siebie z taką rezerwą. Słyszałam, że... Co się dzieje? Czym go tak rozsierdziła?

Tarryn ze ściągniętymi brwiami obserwowała scenę na łące.

– Nie pojmuję, jak on, raczej łagodny z natury, może postępować tak bezwzględnie. Przecież widać, że ona się stara.

Gdy Breen założyła kolejną strzałę, zdziwiona Tarryn uniosła brwi, oburzona zachowaniem Keegana.

– Padły słowa wypowiedziane w złości. Nie trzeba ich słyszeć, żeby wiedzieć. Widzę, że ona mu się postawiła, i to mnie cieszy.

– Tak się dzieje, kiedy wzbiera w niej gniew.

– Według mnie pokazała mu, gdzie jest jego miejsce. I dobrze. – Tarryn skrzywiła się, bo strzała wylądowała trzydzieści centymetrów przed butami Breen. – O, a teraz ten idiota z niej się śmieje. Nic nie wyjdzie z nauki, kiedy... Brawo, dziewczyno, należało mu się! – Ucieszyła się, gdy Breen uderzyła Keegana w pierś.

Kiedy Keegan przyciągnął Breen do siebie, przy oknie zapadło milczenie.

– No proszę – mruknęła Marg, sącząc herbatę. – Tak się sprawy mają.

– Tak się sprawy mają – powtórzyła jak echo Tarryn. – Doszły mnie słuchy, że oni sypiali ze sobą. Teraz rozumiem, dlaczego on tak rzadko zagląda do Stolicy i omija łożę Shany. Jemu się wydaje, że o niczym nie wiem, a tymczasem ja uważnie śledzę poczynania moich dzieci.

– Ech, młodość. – Marg pokręciła głową, kiedy Breen wysunęła się z ramion Keegana i podniosła łuk. – Minał im zapał – skomentowała.

– On już jakiś czas temu odwrócił się od Shany. To było krótko po pojawieniu się Breen. I uczciwie ci powiem, że jestem z tego zadowolona.

Tarryn poszła po dolewkę herbaty i obie kobiety usiadły przy stole.

– Powiem ci coś, co dotąd usłyszała ode mnie wyłącznie Minga, która jest dla mnie jak siostra. Darzę wielką sympatią rodziców Shany. Jej ojciec dobrze pracuje w Radzie, matka jest silną i mądrą kobietą. Jednak zmartwiłam się, kiedy ta dziewczyna – rzeczywiście wielkiej urody – zaczęła uwodzić Keegana. Niepokoiło mnie, że w moim chłopcu widzi przede wszystkim *taoise-acha*. Czułam, że nie kieruje nią miłość, lecz ambicja i żądza władzy. A ja chcę, żeby moje dzieci były kochane.

– Każdej matce na tym zależy.

– Rozgniewał ją, kiedy jasno dał jej do zrozumienia, że między nimi wszystko skończone. Mam tylko nadzieję, że nie złożył wcześniej konkretnych deklaracji. Ona robi dobrą minę do złej gry i spędza mnóstwo czasu z Lorenem Mac Niadhem. Ze świecą szukać ładniejszej pary w całym Talamh. Liczę, że Loren swoim urokiem, a ma go mnóstwo, ostudzi gniew, który w niej wyczuwam.

– To cię niepokoi. Akurat dziś Breen powiedziałam, że gdzie jest miłość, jest też niepokój.

– Szczera prawda. – Tarryn uściskała dłoń Marg. – Tak bardzo stęskniłam się za tobą.

– A ja za tobą, córko mojego serca. Powiem ci coś, co wcześniej nie chciało mi przejść przez usta. Kiedy Eian z Jennifer przenieśli się na tamtą stronę, po cichu liczyłam, że ty i mój syn się zejdziecie.

– Wyznam coś, czego wcześniej nie umiałam ubrać w słowa. Myślę, że tak by się stało, gdyby Eian nie zginął. Niecałe dziesięć lat po śmierci Kavana – mojego męża, mojej miłości, serdecznego druha Eiana, bliskiego mu jak brat – między nami rozkwitło uczucie. Poszczęściło mi się, Marg, bo kochałam i byłam kochana przez dwóch wspaniałych mężczyzn.

– Jestem rada, że związał się z tobą, zanim zginął.

– A teraz to może być jego córka i mój syn. – Tarryn z nadzieją, ale z niepokojem spojrzała

na okno. – Niewątpliwie na nich spoczywa największy ciężar zmagania z Odranem. Miejmy nadzieję, że dane im będzie nacieszyć się sobą.

– Tarryn, kto wie, czy ona zechce tu zostać. Kiedy, niech bogowie pozwolą, Odran zostanie zmiażdżony i świątynie będą bezpieczne, Breen może uznać, że woli wrócić na tamtą stronę.

– To możliwe i musimy zostawić jej wybór. Dobrze, że wkrótce pojawi się w Stolicy. Zobacz, kim jest Keegan. Lepiej pozna Talamh. Dowie się więcej o polityce i wojnie. – Westchnęła. – Oboje znajdują się na językach, ale ona powinna przyrzeć się z bliska, jak wyglądają nasze rządy. – Odchyliła się na oparcie i wypila parę łyków herbaty. – Miło tak siedzieć z tobą i nie rozmawiać ani o wojnie, ani o polityce i obserwować, jak rozkwitają sprawy sercowe.

– Prawda? Jaki to wdzięczny temat!

Tarryn zaśmiała się.

– Oj, tak. A kiedy Harken wreszcie skłoni Morenę do podjęcia decyzji? Chciałabym więcej wnucząt.

– Harken jest powolny i rozważny, a wszystko zależy od tego, jak Morena na to się zapamiętuje. Kto wie, czy nie wyprzedzi ich młody Finian. A jak mają się rodzice Moreny? Co słychać u jej braci i ich rodzin?

– Ach, u nich wszystko dobrze. Jej tata siedzi w Stolicy, bo Flynn jest w Radzie. Natomiast Seamus i Phelin polecili na południe, niech nasze światło będzie z nimi. Żona Seamusa, Maura, pamiętasz ją, uczy maluchy. Ma teraz też pełne ręce roboty ze starszakami. Mają po dziesięć lat i palą się, żeby wziąć udział w walkach na południu. A Noreen jest w ciąży z pierwszym dzieckiem.

I tak kolejna godzina upłynęła im na rozmowie o rodzinie i przyjacielach.



## Rozdział 9

Kiedy się pożegnały, Tarryn wyszła do ogrodu po świeże kwiaty. Wiedziała, że żaden z jej synów nie wpadnie na to, żeby przystroić izby bukietami. Zauważyła, że Keegan szkolił Breen w walce wręcz i na miecze z wywoływanymi zjawami.

Przez jakiś czas obserwowała dyskretnie scenę rozgrywającą się na łące i stwierdziła, że jak na nowicjuszkę dziewczyna całkiem sprawnie włada mieczem. Szczęśliwie jej ezoteryczne moce i rzemiosło magiczne były ponadprzeciętne.

Ten widok sprawił jej ulgę i obudził nadzieję. Tak wiele zależało od córki Eiana. Zbyt wiele, pomyślała, ale los rzadko bywa sprawiedliwy.

Kiedy układała ścięte kwiaty w koszu, usłyszała tętent kopyt. Pomachała do Moreny i Marco zmierzających w stronę padoku.

– Elegancko trzymasz się w siodle! – zawołała do Marco. – Twoja nauczycielka ma prawo być z ciebie dumna, a koń zadowolony.

– Dzisiaj galopowałem. – Oczy błyszczały mu z podniecenia, kiedy pochylił się w siodle i obiema dłońmi pogładził klacz po szyi. – Rany, myśmy frunęli!

– Nie wiem, czy w ogóle jest w tym moja zasługa. – Morena zeskoczyła z Blue. – W innym życiu ten facet musiał być centaurem.

Zaśmiał się, zsiadając z konia.

– Tych u siebie nie macie, co?

– Daleko na północy żyje takie nieliczne plemię – rzuciła Morena. – Ich świat nazywał się Greck czy jakoś tak. Zaledwie garstka z nich przywędrowała tutaj i osiadła.

– Jaja sobie robisz? – Marco szturchnął ją palcem w ramię.

– Wcale nie. Chodź, oporzędzimy konie, bo musisz zdążyć na spotkanie i upiec ciasto na wieczór. Marco jest umówiony na rozmowę z ludźmi po drugiej stronie – wyjaśniła Tarryn. – Z Nowego Jorku. Skontaktuje się z nimi przez komputer.

– Czyż to nie cud? A więc na tym polega twoja praca? – zainteresowała się Tarryn.

– Poniekąd, proszę pani. Chodzi o książkę Breen.

– Marg wspominała, że jej wnuczka pisze taką historię o swoim psie. – Obejrzała się na Fąfla, który akurat rozganiał krowy na obrzeżu strzelnicy łuczniczej. – Podobno jest bardzo udana.

– To prawda.

– Dziadek dał nam jabłek i Marco obiecał zrobić szarlotkę na ceilidh.

– I ciasto, i cukiernik będą mile widziani.

Kiedy czyścili konie, Marco zerkał w stronę namiotów.

– Widzieliśmy, jak ci wojownicy ćwiczili na polanie. Czy... oni przyjdą na imprezę?

– Oczywiście, są zaproszeni.

– To dobrze.

– Marco, zabierzesz się z nami do Stolicy?

Obejrzał się i wytrzeszczył oczy na Tarryn.

– Ja? Do Stolicy?

– Breen na pewno chciałaby, żebyś jej towarzyszył, i my wszyscy też będziemy radzi. Mam nadzieję, że do nas dołączysz.

– Rany, dzięki. Dziękuję pani. Bardzo chętnie.

– A ty, Moreno? Wiem, że twoja matka za tobą tęskni.

– Mogę tam pojechać na dzień lub dwa. Dłużej nie wytrzymuję hałasu i widoku tłumów, nawet dla rodziców. Jednak tym razem nie wybiorę się z wami. On – wskazała kciukiem Marco – lubi rwetes i przeciskanie się w ciżbie.

– Spokój też lubię – zaoponował. – Ale tak, jestem chłopakiem z miasta.

Drgnął przerażony, bo zobaczył, jak Breen pada na ziemię, gdy jedna ze zjaw, jakby żywcem wyjęta z horroru, drasnęła ją prawie metrowymi szponami. Już ruszał do barierki padoku.

– Nic jej nie będzie. – Morena przytrzymała go za ramię. – Daj jej chwilę.

Breen, leżąc na plecach, wystrzeliła z palców snop lodowych igieł ostrych jak grot strzał. Zjawa zaskowyczała, podskoczyła i puf! Rozsypała się w pył.

– Widziałaś to? Widziałaś, co ona zrobiła? To niesamowite! – Marco odtańczył krótki taniec zwycięstwa, a Breen w tym czasie potraktowała dwie pozostałe zjawy pchnięciami mieczem, pięściami, kopniakami i dobiła piorunem. – Niesamowite! – powtórzył. – Kiedy ją widziałem w podobnej akcji? Tylko raz. Mieliśmy po jakieś dziesięć lat, byłem wtedy bardzo drobny. Naprawdę mikry. Taki jeden dupek dwa lata starszy ode mnie i dziesięć kilo cięższy zaczepił mnie, kiedy wracaliśmy ze szkoły. Pewnie uznał, że takie chuchro nie ma prawa żyć. Przewrócił mnie na chodnik i okładał pięściami. Breen przybiegła z wrzaskiem i wskoczyła mu na plecy. Próbował ją strząsnąć, ale ona wczepiła się w niego. Posiniaczył ją, rozbił jej nos, ale nie odpuściła. – Sapnął głośno. – Zawsze myślałem, że przez przypadek udało jej się pokonać tego luja, ale teraz nie jestem pewien. Poszliśmy do jej domu, bo tam mieliśmy bliżej. Oboje z krwawiącymi nosami, ja z rozciętą wargą i siniakami na żebrach. Jej mama mnie opatrzyła, odprowadziła do domu i opowiedziała mojej mamie, co się stało. A Breen uziemiła na tydzień za to, że się biła.

– Uziemiła?

– To taka kara, bardzo popularna pośród rodziców tam, skąd pochodzę – wyjaśnił Tarryn. – Nie wolno nigdzie chodzić, z wyjątkiem szkoły. Tylko dom i szkoła. Żadnego łązikowania z przyjaciółmi. To nie było sprawiedliwe. Nie powinna jej tak ukarać.

– A gdzie był Eian? – spytała Tarryn.

– Gdzieś na występach. Nie, teraz myślę, że pewnie był tutaj. Nie wiedzieliśmy o tym miejscu.

Serce Tarryn ścisnęło się z bólu na myśl o krzywdzie, jaka spotkała Breen.

– Na pewno nie wiedział. Nie dopuściłby do tego. Nie pozwoliliby ukarać córki za to, że ruszyła na pomoc przyjacielowi.

– A tamten bandzior, co z nim? – chciała wiedzieć Morena.

– Nigdy więcej mnie nie zaczepił. Niby taki ważniak, a rozłożyła go dziewczyna. Wyobrażasz to sobie? Nic gorszego nie mogło go spotkać.

Marco wzruszył ramionami.

– Niewiele wiem o bogach i różnych bóstwach, ale zdaje się, że ten cały Odran jest kimś takim jak Morena określiła tamtego chłopaka. Zwykłym bandziorem, który lubi się znęcać nad słabszymi. Stawiam całą forszę na Breen.

– Jesteś mądrym człowiekiem, Marco. – Tarryn obejrzała się na łąkę. Breen odpoczywała zgięta wpół z dłońmi wspartymi na kolanach. – Ona ma za sobą cały Talamh.

– Ma też mnie. – Podniósł torbę z jabłkami. – Hej, Breen! Spadamy.

Kiwnęła głową, wyprostowała się, oddała miecz Keeganowi i skierowała się na padok.

– Nie skończyliśmy. – Keegan ruszył za nią. – Została jeszcze godzina.

– Nie dzisiaj. – Dzwoniło jej w uszach po uderzeniu głową o ziemię, piekło ramię po zadrapaniu szponami zjawy. – Marco musi wrócić do chaty i załatwić pewną sprawę przez Internet.

– Niech sam idzie. Przecież już zna drogę. Została godzina treningu.

– Odrobie to innym razem.

– Musimy przygotować się do imprezy – przypomniał mu Marco. – Dziewczyna chce się przebrać.

– Po co? Dobrze wygląda. – Keegan nie zamierzał ustąpić. – To ceilidh, a nie jakiś bal w pałacu.

– Chłopie – jęknął Marco.

– Jestem brudna – warknęła Breen. – Cuchnę pyłem z demonów. Ty też capisz. Wracam do chaty na kieliszek wina i długi, gorący prysznic. Przyjmij to do wiadomości.

Odwróciła się na pięcie i dopiero teraz się zorientowała, że obok stoi Tarryn.

– Proszę wybaczyć, pani O'Broin.

– Nie ma sprawy i bardzo proszę, mów mi po imieniu. Jak pewnie zauważyłaś, w dolinie unikamy zbędnych korowodów. I przepraszam za zachowanie mojego syna. No cóż, to mężczyzna. Oni tak mają. Do zobaczenia wieczorem, liczę, że dla nas pośpiewacie.

– Do zobaczenia wkrótce. Odrobie tę godzinę – rzuciła do Keegana, odchodząc.

– Ja też znikam – oznajmiła Morena i wzięła wodze Blue. – Wrócę w pantoflach do tańca.

Powiedz Harkenowi, żeby się przygotował.

– Nie omieszkałam – zapewniła ją Tarryn, a kiedy Morena wyszła z koniem na drogę, uśmiechnięta odwróciła się do syna. – Polubiłam Breen.

– Taak, ona daje się lubić, ale...

– Keeganie, ona morderczo trenuje.

– Ponieważ musi jak najwięcej się nauczyć. Jeszcze godzina...

– Niczego by nie załatwiła, jak sam dobrze wiesz. Ona nie jest wojownikiem, *mo chroi*.

– Tym bardziej powinna... Ech, masz rację, jak zawsze. Godzina niczego nie zmieni.

– Ona też miała rację. Zalutuje od ciebie pyłem z demonów.

Krzywiąc się, powąchał ramię i kiwnął głową.

– Wyszoruj się porządnie. Ale najpierw odsapnij z piwem przy kominku, a ja w tym czasie powstawiam kwiaty do wazonów i przy okazji opowiem ci, co usłyszałyśmy o Breen od Marco.

\*

Breen mimo nacisków Marco nie zgodziła się włożyć wystrzałowej zielonej sukienki i dobranych do niej szafowych sandałków; prezentu od Derricka i Sally przed pierwszą podróżą do Irlandii. Strój nieodpowiedni do okazji, orzekła, nalewając sobie wino, gdy Marco pilnował jabłek gotujących się na kuchence.

Kiedy on usiadł do spotkania na Zoomie, wyszła z kieliszkiem na powietrze. Z westchnieniem ulgi opadła na fotel, oparła stopy o balustradę tarasu i obserwowała Fąfla pluskającego się w zatoce.

Siedziała tak, kiedy pies wyszedł z wody i położył łeb na jej nodze. Siedziała, nie zwracając uwagi na gęstniejący zmierzch. Wreszcie ją tknęło, że powinna nakarmić Fąfla i w końcu wejść pod prysznic. W kuchni Marco wlewał ciasto do okrągłej formy.

– Dziewczyno, myślałem, że już dawno poszłaś na górę. Leć się wykapać. Wstawię ciasto do piekarnika i zaraz pogadamy o twojej garderobie. Ja też wskoczę pod prysznic.

– Możemy pogadać, ale na pewno nie ubiorę się w błyszczącą kieckę.

Nasypała Fąflowi suchej karmy i z ochotą przyjęła od Marco pałkę do ucierania ciasta.

– Boże, ale pycha – mruzczała, zlizując resztki surowego ciasta. – Muzyczna piekarnia albo restauracja Marco Polo. Lepszego pomysłu nie widzę.

Nadal oneśmiały ją imprezy, na których pojawia się wiele nieznanych jej osób, więc pozwoliła sobie na jeszcze jeden kieliszek wina przed prysznicem.

Rozpylony strumień gorącej wody łagodził ból sińców i zadrapań. Przyszło jej do głowy, że leczenie guzów, sińców i otarć w tym świecie będzie rutyną. No i jeszcze doszły pęcherze na dłoniach.

Łuczniństwo jest do bani, oceniła.

Wyszła spod prysznica, w duchu uzalając się nad sobą. Miała prawo. Najchętniej wskoczyłaby w piżamę, wrzuciła do mikrofali mrożoną pizzę i napiła się wina przy kominku, ale w poczuciu obowiązku zajęła się makijażem i fryzurą.

Nie pokaże, że jest zmęczona i w kiepskim nastroju. To nie ma sensu. Zostanie na godzinę, będzie miła i towarzyska, a potem dyskretnie się wymknie. Niech Marco, twardy imprezowicz, zostanie tak długo, jak zechce. Ktoś go odprowadzi do chaty albo przenocuje na farmie.

Cofnęła się od lustra, sprawdziła efekt swoich wysiłków i uznała, że powinny się spotkać z aprobatą Marco. Może ocena nie będzie entuzjastyczna, ale przynajmniej przychylna.

Czarne spodnie, sweter i wysokie buty, zdecydowała, zbierając z toaletki szczotki do włosów i kosmetyki. Założy kolczyki, może omota szyję eleganckim szalikiem.

I tyle musi wystarczyć.

Wyszła z łazienki i zobaczyła sukienkę na łóżku.

Z mięsistego niebieskiego aksamitu, w odcieniu morza muśniętego światłem księżyca. O prostym fasonie, z długimi rękawami i średnio głębokim dekoltem w kształcie kropli.

Podniosła leżącą obok kartkę i ogarnęło ją zażenowanie, że zaledwie przed chwilą rozczulała się nad sobą.

*Breen Siobhan, pomyślałam, że może Ci się przyda na dzisiejszy wieczór. Nie przejmuj się, jeżeli okaże się nie w Twoim guście. Babcia*

– Oczywiście, że jest w moim stylu – wymruczała pod nosem.

Prosta, bez bajerów. Czy mogła jej się nie spodobać?

Pasowała idealnie, jak uszyta na miarę, i niewątpliwie tak właśnie była pomyślana. Mięiste fałdy spódnicy sięgały kostek. Czują się w niej bosko.

Założyła kolczyki od Sul, zapięła na szyi łańcuszek z kamieniem Smoczego Serca oraz obrączką ojca i uznała, że trafiła w punkt z ilością biżuterii.

Kiedy zastanawiała się nad butami, a wybór miała niewielki, bo pakowała się w pośpiechu, Marco zapukał do drzwi.

– Wchodź.

– Pogadajmy o konkretach – zaczął i urwał, zapatrzony na nią. Zakręcił wskazującym palcem, dając znak, że Breen ma się obrócić.

– Dziewczyno, normalnie odlot! Skąd wzięłaś tę sukienkę?

– Babcia przysłała. Naprawdę jest odlotowa?

– Ciało pod nią jest odlotowe, a kiecka tylko podkreśla walory.

– Ech. – Zrezygnowana, odwróciła się z powrotem do lustra.

– Breen, wyglądasz szykownie. Jezus, sexy, ale bez przesady. Potrzebne ci odpowiednie buty – najlepiej tamte czarne botki na słupku, z imitacją sznurówki.

– Potrzebne mi?

– Jasne. – Sam ich poszukał. – Ani kowbojki, ani buty sportowe zdecydowanie nie pasują.

– Chylę czoło przed twoim wyczuciem mody. A skoro o tym mowa, wyglądasz super.

– Wymiatam, co nie? – zgodził się z nią i zapozował przed lustrem.

Miał czarne obcisłe dżinsy, trampki, golf w kolorze spatynowanego brązu i skórzaną kamizelkę. Lewe ucho zdobiło srebrne kółko, a nadgarstek ochronna bransoletka, dzieło Breen.

– Wskakuj w buty, będziemy napawać się naszym czadowym wyglądem.

Posłusznie usiadła, włożyła botki, zaciągnęła zamki. Gdy się podniosła, stanęła obok niego i z dłonią wspartą na biodrze przybrała pozę modelek na wybiegu.

Marco parsknął śmiechem.

– Właśnie tak. Wyglądamy szalowo. Niemożliwe, żebyśmy dziś wieczorem nie mieli brania.

– Nie szukam brania.

Wydał z siebie głośnie westchnienie.

– Dziewczyno, psujesz mi humor przed imprezą. Lepiej pójdę po gitarę.

Zawrócił do swojej sypialni, przymocował do gitary kolorową taśmę do przytrzymania instrumentu na plecach. Fąfel, amator wszelkich atrakcji, zbiegł ze schodów, entuzjastycznie merdając ogonem.

– Musimy pomyśleć, jak bezpiecznie donieść ciasto.

– Marco, ale cudo! – Złotobrazową kopułę pokrywała cienka warstwa połyskliwego lukru. Szarlotka stygła na desce, rozsiewając aromat w całej kuchni. – Klamka zapadła. Otwierasz własną firmę.

– Ważne, żeby dotarła na miejsce w jednym kawałku. – Ostrożnie przesunął ciasto z deski na talerz. – Chyba nakryjemy je ściereczką do naczyń.

– Coś znajdę! – Breen pobiegła do spiżarni i wróciła z kartonem.

– Dobry pomysł. Może to nie wygląda zbyt estetycznie, ale będzie bezpiecznie.

– Coś znajdę – powtórzyła. Wodziła dłońmi po górze i bokach kartonu, aż uwidoczniło się to, co chciała.

Brąz powoli wybarwiał się na czerwono; odcień, z początku blady, stawał się coraz głębszy i zdecydowany.

– Ja pierniczę! Jak ty to zrobiłaś? Pomalowałaś karton, dotykając go rękami?

– Nie, kryje się pod tym coś więcej. Zamiar, wizualizacja i wola. To tylko powierzchowny efekt, potrwa kilka godzin. A może krócej, bo tego akurat nigdy wcześniej nie robiłam. Ale wystarczy, żeby z fasonem wnieść ciasto.

– Jesteś ósmym, dziewiątym i dziesiątym cudem świata. – Wstawił talerz z ciastem do kartonu. Kawałkiem sznurka zabezpieczył wieko.

– Wstażki pewnie nie umiesz wyczarować?

– Wyzwanie przyjęte. Pewnie najlepsza byłaby srebrna, żeby współgrała z gwiazdami.

Przesuwała sznurek między palcami, aż się spłaszczył, poszerzył i nabrał srebrnego połysku.

– Zawsze kiepsko mi wychodziło wiązanie kokard, ale może w ten sposób...

Roześmiała się szalenie zadowolona, gdy pętelki sznurka zmieniły się w efektowną kokardę. Marco podniósł karton.

– Moja psiapsiółko na całe życie i czarownico z prawdziwego zdarzenia, czy na ten jubel polecimy na miotle?

– Sztampa – skwitowała. – Fąfel, idziemy. Nabrałam ochoty na zabawę.

Światło, które wznieciła, przeprowadziło ich przez las. Fąfel wyrывał się do przodu, z drzew dochodziło pohukiwanie sów.

– Słuchaj, kiedy zechcę się zmyć, nie musisz ze mną wracać. Prześpisz się na farmie czy, jeśli wolisz, w moim pokoju u babci. Albo ktoś cię odstawi na drugą stronę.

– Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. Nie ma sensu rozmawiać o wyjściu, skoro nawet tam nie dotarliśmy.

– Daj mi ciasto – powiedziała, gdy stanęli przed drzewem. – Fąfel, leć przodem, my za tobą.

Marco po przejściu przez portal, dla równowagi oparł dłoń na jej ramieniu. Spojrzał przed siebie i z wrażenia zapomniał ją zdjąć.

Światła jarzyły się we wszystkich oknach rozłożystej chaty, na łące przed namiotami płonęły ogniska. Z obejścia i pola niosła się muzyka. Breen widziała ruchome cienie w oknach. Ludzie tańczyli w chacie i na trawie. Część gości siedziała na kamiennym ogrodzeniu i balach słomy z talerzami, kubkami i kuflami w dłoniach.

– Wygląda na prawdziwą zabawę i mają niezłą muzę. – Marco pierwszy ruszył w dół po kamiennych stopniach, pociągając ją za sobą. – Nie traćmy czasu.

Tyle ludzi, pomyślała spięta. Nieważne, będzie tam babcia, Morena i sporo znajomych. Musi tylko znaleźć jakieś spokojne miejsce, napić się wina z Marco, posłuchać muzyki.

Gdy szli do chaty, goście siedzący na murku wykrzykiwali pozdrowienia.

Marco zapukał do drzwi.

– Bez sensu, nikt nie usłyszy – stwierdził i wszedł do środka.

Z izby buchnęło gorące powietrze. Ogień strzelał w kominku. Harken wygrywał jakąś skoczną melodię na skrzypkach przy akompaniamencie akordeonu i mandoliny, ktoś wybijał rytm na *bodhranie*, irlandzkim bębnie obręczowym. Kobiety siedziały z podrygującymi maluchami na kolanach. Ludzie wirowali w tańcu, stopy migały w powietrzu.

Finola precyzyjnie się do nich przez ciżbę.

– Jest mój przystojniak. Marco, muszę z tobą zatańczyć, zanim skończy się noc.

– Tylko raz?

Roześmiana, pogładziła go po policzku.

– Breen, jak ładnie wyglądasz. Ach, Marg się ucieszy, że spodobała ci się sukienka.

– Jest śliczna. Babcia tu jest?

– Tak, w kuchni. Pomaga Tarryn szykować jedzenie. Wystarczyłoby tego dla dwóch armii, ale dobrze się składa, przynajmniej możemy wszystkich ugościć.

– Zaniosę ciasto do kuchni, sprawdzę, czy im się przydam. – Konkretnie zadania pomagały jej rozluźnić się w takich miejscach. – A ty, Marco, zatańcz z Finolą.

Odchodząc, usłyszała pytanie Finoli:

– Mój drogi, zagrasz coś dla nas?

Breen roześmiała się bezgłośnie. Niech spróbuje go powstrzymać, pomyślała.

W drodze do kuchni zauważyła kilka znajomych twarzy i wyraźnie jej ulżyło.

Tarryn z Marg wynosiły z kuchni półmiski z jedzeniem i ustawiały je na stole w jadalni, który już się ugiął pod ciężarem pełnych talerzy, misek, kociołków i pater.

Aisling siedziała na krześle, przytrzymując dłonią wypięty brzuch.

– A oto i Breen z prezentem. Odkąd wróciłaś, rzadko cię widuję.

– Wszystko przez mój egoizm. – Marg podeszła do wnuczki i otoczyła ją ramieniem. – Cieszę się, że sukienka przypadła ci do gustu.

– Jest śliczna. Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Tarryn, dzięki, że nas zaprosiłaś. Marco upiekł ciasto. Nie bardzo wiem, gdzie je postawić.

– Wiesz co, daj mi je. – Wyciągnęła ręce po karton. Nawet ze ścierką przewiązaną w pasie rdzawej sukni wyglądała olśniewająco. – Wieść o kuchennych talentach Marco już się rozniosła. Zobaczymy, czym tym razem nas zaskoczy.

Zrobiła miejsce na stole i otworzyła karton.

– Słodka Bridget, co za zapach! A jak apetycznie wygląda. – Wyjęła talerz z szarlotką i podniosła do góry. – Jeżeli smakuje chociaż w połowie tak dobrze, jak wygląda, zniknie w minutę.

– Z doświadczenia wiem, że smakuje jeszcze lepiej. Marco tańczy teraz z Finolą. Możemy zostawić po kliniku dla niej i dla Seamusa? Marco przełożył ciasto jabłkami z jego sadu.

– Zajmiemy się tym. Marg, może schowasz dwa kawałki w bezpiecznym miejscu?

– Macie dla mnie jakieś zajęcie? – spytała Breen.

– Na początek nalej sobie wina. – Tarryn obejrzała się na Aisling. – Nie, nie uciekaj, posiedź z nami jeszcze chwilę. Dzidzius musi lubić muzykę, skoro cały wieczór się wierci.

– Ten akurat chyba będzie uzdolniony muzycznie. – Aisling, uśmiechając się, pogładziła brzuch.

Tarryn podała Breen kieliszek wina i talerz z serem i chlebem.

– Podjedz trochę. Mamy tego duże zapasy. Harken z Aisling sami robią sery. My z Keeganem też, kiedy jesteśmy na farmie.

– Smaczny – pochwaliła Breen po pierwszym łyku. – Naprawdę dobry.

– W całym Talamh nie znajdziesz lepszych serów od tych z doliny.

Tarryn obejrzała się, gdy przez tylne drzwi Morena wpadła do kuchni.

– Dzieciaki mnie zajeżdżyły, błagam o wino. Mab i Fafel ich pilnują. W pobliżu kręci się kilkoro dorosłych.

– Cześć, Breen! – rzuciła, chwytając za kieliszek. – Ubrałaś się w sukienkę.

– Podobnie jak ty. Wyjątkowo, na szczególne okazje, wbijam się w kiecki.

Była w fiołkowej sukience w odcieniu skrzydeł, sięgającej ciut za kolana i ciemnofioletowych kozaczkach. Długie, falujące włosy miała rozpuszczone.

Zauważyła ciasto.

– Robota Marco? Dajcie spróbować. – Nie wzięła talerzyka, od razu odkroiła szeroki klin i odgryzła spory kęs. – Uhm, bogowie, niebo w gębie. Zobacz. – Odłamała kawałek i ku zaskoczeniu Breen, w palcach podała go Tarryn do ust.

– Rzeczywiście, pyszne. – Obejrzała się na tylne drzwi. – Och, jest Minga. Chodź, poznaj Breen i spróbuj ciasta Marco. W życiu nie jadłaś lepszego.

– Chętnie. Zagnałam starsze dzieci do mycia naczyń. Zaczyna brakować talerzy. – Podeszła do Breen i przytuliła brzoskwinowożłoty policzek do jej policzka. – To tradycyjne powitanie w naszym plemieniu z kimś nowo poznanym – wyjaśniła.

– Minga jest moją serdeczną przyjaciółką. Przywędrowała z pustynnej krainy Largus za swoim ukochanym i zamieszkała w Talamh.

– Mój ukochany siedzi na łące, gra w kości i bawi towarzystwo opowieściami nie z tej ziemi. Mieście się na bacności, bo wkrótce przyślą tu umyślnego po kolejną dostawę jedzenia. – Wzięła z rąk Tarryn talerzyk z kawałkiem szarlotki, nie przestając uśmiechać się do Breen. – Nigdy nie byłam w twoim świecie, podobno też macie takie upalne tereny ze złotymi piaskami, na których wyrastają miasta.

– Tak, ale ich nie znam. Nigdy tam nie byłam. Właściwie nigdzie nie byłam, zanim przyjechałam do Irlandii. No i tutaj.

– Nie przepadasz za podróżami? Ja też nie. Dobrze, że Og ma duszę podróżnika. Spotkałam moją miłość, kiedy wędrował po Largus. Muszę poznać autora tego boskiego ciasta. Przedstawisz nas sobie, prawda?

Pod tym pretekstem wyprowadziła Breen z kuchni. Obejrzała się w drzwiach i puściła oko do Tarryn.

– Minga pomoże jej się odprężyć. No, moje panie, na tym koniec. – Zdjęła przewiązaną w pasie ścierkę. – Zrobiłyśmy, co do nas należało. Moreno, zabierz skrzyпки Harkenowi i weź go do tańca.

– Tak właśnie zrobię. Aisling, zwalniam ci miejsce.

– Nie ma potrzeby. – Podniosła się ociężale. – Już dość się nasiedziałam. A skoro maleństwo domaga się tańców, muszę ustąpić.

Minga, kobieta z jeszcze innego świata, w ognistoczerwonej sukni przedstawiała Breen następnym osobom. Imiona, twarze, wypowiedane grzeczności wirowały jej w głowie.

Marco dołączył do kapeli i natychmiast pochwyił rytm i tonację melodii, którą słyszał

pierwszy raz w życiu. Jest w swoim żywiole, pomyślała. A ona? Już dawno zapomniała o skrepowaniu, na każdym kroku spotykając się z życzliwością.

– Chodź, Breen! – zawołał Marco. – Dajmy czadu.

– Doskonale radzisz sobie beze mnie – odparła.

Niestety, Morena zdążyła wypchnąć ją do przodu. Rozległy się oklaski i tupanie. Marco uśmiechnął się szeroko, a ona w odpowiedzi posłała mu mordercze spojrzenie „później się z tobą policzę”.

– Nie znamy jeszcze żadnych piosenek Talamh – oznajmił Marco z typową manierą prezentera. – Zaśpiewamy coś z naszego świata. Breen, spróbujmy *Shallow* Lady Gagi i Bradleya Coopera.

Wolałyby coś szybkiego, krótkiego i łatwego, ale Marco już zagrał pierwsze akordy i w izbie zapadła cisza.

Kiedy zaczął śpiewać, dostroiła się do niego, tak jak setki razy wcześniej i gładko weszła w swoją partię, zapominając o tych wszystkich parach oczu i uszu. Ledwo odnotowała, że Harken podniósł skrzypki i zawtórował gitarze, a chwilę później dołączył do nich mandolinista.

Teraz istniała tylko muzyka i radość, jaką z niej czerpała.

Gdy dokończyli balladę w duecie, patrząc sobie w oczy jak Gaga i Bradley, jeszcze przez moment w izbie panowała cisza. A potem huknęły gromkie brawa.

Breen speszył ten entuzjastyczny aplauz. Z powrotem była sobą; nieśmiałą dziewczyną oblaną rumieńcem. Dostrzegła Tarryn i Marg. I łyż w oczach babki.

Marg przycisnęła dłonie do piersi i uniosła złączone, pokazując, że oddaje jej całe serce.

– Dziewczyno, ukłoń się – podpowiedział szeptem Marco, składając wyszukany ukłon.

Breen przewróciła oczami, ale posłusznie dygnęła, co wywołało kolejną porcję braw i prośby o bis.

– Zaśpiewamy jeden kawałek. – Marco nachylił się do jej ucha. – A potem się zmywam, ruszam na podryw.

Spojrzała w stronę, gdzie Marco słał promienne uśmiechy. Najpierw zobaczyła Keegana. Stał, nie odrywając od niej oczu, jak zwykle w skórzanej kurtce i z rozwichrzonymi włosami. Towarzyszył mu tamten jeździec, z którym Marco rozmawiał rano.

Zaśpiewali jeszcze jedną piosenkę i kolejną, zanim udało im się dyskretnie usunąć w cień. Breen zamierzała dołączyć do babci i wtedy wyrósł przed nią Keegan z kieliszkiem w dłoni.

– Dzięki.

– Powinnaś częściej śpiewać. – Wziął ją pod rękę i skręcił do kuchni. – Niech cię lepiej poznają, oczywiście, o ile nie zdecydujesz się stąd zniknąć. Twój pies szaleje między namiotami.

– Powinam go przywołać i wracać do chaty.

– Czemu?

– Bo... – zdobyła się na szczerość – czuję się nieswojo na imprezach, gdzie jest tylu obcych ludzi. Iluś tam poznałam, ale imion już nie pamiętam.

Pokiwał głową, wypił parę łyków piwa.

– Kręcą się pod nogami i hałasują, też miałem ochotę od nich odpocząć. – Odkroił pajdę chleba, pacnął na wierzch kawałek sera i zimnego mięsa. – Wyjdźmy na powietrze. Zajrzałem do chaty wyłącznie dlatego, że Brianowi zależało na odszukaniu Marco.

– Brianowi? Tak ma na imię?

– Brian Kelly – wyjaśnił, wyprowadzając ją na dwór. – Twój kuzyn. Jego przodek sprzed czterech chyba pokoleń i twój byli braćmi. Zaniośło go na północ, tam poznał kobietę imieniem Kate, ożenił się i został. Twój prapradziad nie ruszał się z doliny.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Jakim cudem zapamiętujesz takie rzeczy?

– W pewnym sensie to mój obowiązek i chyba los mi sprzyja. Ten Brian to dobry człowiek, nie musisz się martwić o Marco.

– W porządku.

Spojrzał na namioty oświetlone blaskiem z ognisk.

– Jutro część z nich wyruszy na południe, a reszta dzień później. Rozumiesz, nie wszyscy udadzą się tam jednocześnie. Jedna grupa zostanie tutaj na straży po Samhain, gdy uporamy się z tym, co ma wydarzyć się tej nocy. Niektórych z tych ludzi przyjdzie nam opłakiwać. – Szybko odsunął od siebie tę ponurą myśl. – A część będzie towarzyszyć nam w drodze do Stolicy.

– Jak długo mam tam zostać?

– Kilka dni. Rozejrzysz się i dasz obejrzeć. Moja matka wyprawi kolejne cholerne przyjęcie.

– Przyjęcie? W pałacu?

Skrzywił się zniesmaczony.

– To nie jest żaden pieprzony pałac, tylko zamek. Powinnaś znać różnicę. Zamek służy do obrony. Jest jednocześnie domem i fortyfikacją. No i tym razem nie zabieraj całej walizy ciuchów. To tylko kilka dni i zależy nam na szybkiej i sprawnej podróży.

Przez chwilę mierzył ją intensywnym spojrzeniem.

– Pięknie dziś wyglądasz i wiesz, że trudno mi trzymać ręce z daleka od ciebie. Wracajmy, dostanie mi się od matki za to, że tak długo cię przetrzymuję.

– Wcale nie chcę, żebyś trzymał ręce z daleka ode mnie.

– Bogowie. Nie zaczynaj, nie teraz. – Wziął ją pod ramię i zaprowadził z powrotem do chaty.



## Rozdział 10

Breen dołączyła do gości na przyjęciu. Marco i Brian Kelly siedzieli na murku granicznym farmy z kuflami piwa.

– Mówisz, że ty i moja najlepsza dziewczyna jesteście kuzynostwem?

– Tak, ze strony ojca. Jak wieść niesie, mój odległy przodek pojechał na głęboką północ w poszukiwaniu przygód. Poznał tam moją pra-, pra-, prababkę. Młodzi zakochali się w sobie, pobrali i mieli ośmioro dzieci. Dożyli sędziwego wieku.

– Ośmioro dzieciaków?

Brian uśmiechnął się i wysączył parę łyków piwa.

– Tam, na północy zimowe noce są długie i lodowate. Jestem ich potomkiem w którejś linii, a Breen potomną brata mojego pra-, pra-, pradziada. Ten brat został w dolinie, gospodarzył na tej właśnie farmie i ze swoją kobietą dorobił się dziewiątki dzieci.

– Czyli mieszkasz na północy?

– Moi krewni tam mieszkają, przynajmniej większość z nich. Ja albo stacjonuję w Stolicy, albo przenoszę się tam, gdzie wezwie mnie *taoiseach*. Słyszałem, że po Samhainie jedziesz z Tarynu do Stolicy.

– Tak. Jestem wdzięczny za zaproszenie, bo muszę trzymać się blisko Breen. – Jakie Brian ma błyszczące oczy, pomyślał. Jakby tliły się w nich iskierki. – Ty też wracasz do Stolicy, prawda?

– Tak, kiedy uporządkujemy sprawy na południu.

Marco przyszło do głowy, że „porządkowanie spraw” oznacza nic innego jak wojnę.

– Będziesz tam walczył z czarnymi charakterami?

– Tak postępujemy, kiedy ktoś zagraża pokojowi w naszym świecie. My tutaj cenimy pokój i przestrzegamy ustanowionych praw.

– Obawiasz się tego wyjazdu na południe i, no wiesz, wojny?

– Ci, co nie czują strachu przed wojną, przeważnie ją rozpętują. My do niej nie dążymy, ale jesteśmy na nią gotowi i nie cofniemy się. – Uśmiechnięty odwrócił się przodem do Marco. – Keegan mówił, że przyłożyłeś mu pięścią w twarz, bo myślałeś, że zagraża twojej przyjaciółce.

– No, hmm, tak wyszło. Ale ogólnie nie lubię przemocy.

– A lubisz spacerować? W taką noc widok dwóch księżyców nad zatoką sprawia niesamowite wrażenie.

W brzuchu Marco zatańczył rój motyli.

– Jasne. Przepadam za przechadzkami. – Podniósł się i tak jak Brian postawił kufel na murku. – Tam, gdzie mieszkam, ludzie w zasadzie mało siedzą w domach.

– Jesteś z Filadelfii.

– Mamy mnóstwo sklepów, restauracji i klubów, do których warto zaglądać. Nie ma zatoki, natomiast jest rzeka. I tylko jeden księżyc.

– Widziałem taki pojedynczy księżyc, kiedy podróżowałem – opowiadał Brian, kiedy szli w stronę zatoki. – W Irlandii, Szkocji, no i we Francji.

– Byłeś we Francji? Może w Paryżu?

– Tak, pojechałem do Paryża.

– Rzeczywiście jest taki piękny?

– Tak. Pełen kolorów i dźwięków. Historia miesza się z nowoczesnością. Cenię sztukę, zarówno dawną, jak i współczesną. Lubię malować.

Motyle szybciej zatrzepotały skrzydełkami.

– Jesteś artystą?

– Hmm, lubię rysować i malować, kiedy mam możliwość.

– W Filadelfii mamy galerie sztuki. To jedno z moich ulubionych miejsc. Nie mam talentu do rysowania, malować też nie potrafię, ale lubię patrzeć na sztukę.

– Kiedy będziemy w Stolicy, pokażę ci kilka moich prac, ocenisz, czy są cokolwiek warte.

Ja natomiast nie znam się na muzyce. Ale to, co słyszałem, było niesamowite. Akurat wszedłem, gdy śpiewaliście taką romantyczną balladę. Brzmienie waszych zgranych głosów chwyciło za serce. I chociaż sam nie jestem muzykalny, podziwiam ludzi z tym talentem.

– Możemy nad tym popracować. Właśnie tym się zajmuję. Uczę ludzi grać na różnych instrumentach, jestem trenerem emisji głosu. O rany! – Marco zastygł wpatrzony w dwa księżycy odbijające się w wodzie zatoki; jeden między nowiem a pierwszą kwadrą i drugi ubywający. – Niesamowite! Och, popatrz tam! – zawołał zafascynowany. – Syreny!

– Syrenoludzie – poprawił go Brian.

Wziął Marco za rękę i pociągnął go za sobą na plażę.

– Masz tam Syreny i Trytonów.

– Słyszysz? Śpiewają.

– Są muzykalni z natury, głos jest częścią ich mocy. Mogą z wielkiej odległości przyzywać swoich pobratymców i inne morskie istoty. W razie zagrożenia potrafią głosem unieszkodliwić przeciwnika.

– Jak Aquaman?

– Nie wiem, nie znam.

– Och, to taka postać, superbohater z komiksów. Aktor, który gra go w filmie, jest absolutnie boski.

Wszystko, co działo się w tej chwili, przyprawiało Marco o zawrót głowy. Patrzył na Syrenoludzi, pływających pod dwoma księżycami, trzymając się za rękę z zabójczo przystojnym mężczyzną, który na dodatek latał na smoku.

– A ty... masz takie magiczne umiejętności? Jak Breen?

– Nikt nie ma tego, co ona. Co prawda wśród moich przodków było kilkoro Oświeconych, ale należę do Sidhe.

Rozwinął przed Marco chabrowe skrzydła w takim samym odcieniu jak oczy.

Serce podeszło Marco do gardła, lecz natychmiast przypomniał sobie, że to dzioby, nie skrzydła, tylko dzioby budzą w nim paniczny lęk.

– Czy to cię niepokoi?

– Nie. Znaczący wszystko jest niesamowite, dziwne, ale i fascynujące. Nie mogę do tego przywyknąć. Nie chcę przywyknąć – wyznał, nagle to sobie uzmysławiając. – Bo wtedy nie docenia się piękna, traktując je jak coś oczywistego. A tymczasem tutaj wszystko jest piękne.

Ty jesteś piękny, pomyślał i motyle podfrunęły mu do gardła.

– Słuchaj, muszę zapytać, bo jestem tu od niedawna i nie wiem, czy niektóre sprawy tak samo wyglądają. Muszę wiedzieć, czy właściwie odczytuję niektóre sygnały. Czy to się dzieje, czy zaiskrzyło między...

Nie dokończył, bo Brian objął go i odpowiedział pocałunkiem.

Długim, głębokim z czułością, która stopiła Marco mięśnie nóg. W powietrzu niósł się syreni śpiew, fale z pluskiem uderzały o brzeg, dwa księżycy sunęły po niebie obsypanym gwiazdami.

Świat wpadł w szalony płas, pomyślał, kiedy Brian odsunął się od jego ust. Chabrowe oczy błyszczały, lekko drżały chabrowe skrzydła.

– Bardzo dobrze odczytujesz – zapewnił i znowu go pocałował. – Zobaczyłem cię z góry i coś we mnie drgnęło. – Kostkami dłoni delikatnie pogładził Marco po policzku. – Potem na ziemi bliżej się tobie przyjrzałem. W twoich oczach jak w zwierciadle odbija się serce, widać tam lojalność i odwagę. No i jesteś bardzo przystojny, masz piękne włosy. I wtedy pomyślałem, że z tym mężczyzną chciałbym spędzić chwilę, może dwie.

– Pomyślałem dokładnie to samo, w tym samym czasie.

– A potem usłyszałem waszą piosenkę i już wiedziałem, że chwila czy dwie to za mało. Mam nadzieję, że los więcej nam obiecuje.

– Chcę więcej. – Marco przytulił Briana i pocałował. – O wiele więcej.

– Spełnimy nasze pragnienia po moim powrocie.

Idzie na wojnę, pomyślał Marco. Nie mieściło mu się w głowie, jak to możliwe, że zadurzył się w mężczyźnie ze skrzydłami, który właśnie wybiera się na wojnę.

– Chodź ze mną. Przejdziemy na drugą stronę, do chaty.

– Nie. Nikt z Fey nie może wyjechać poza Talamh, dopóki w Samhain nie rozwiążemy pro-

blemu. Marco, będziesz czekał na mnie, tak jak ja na ciebie? Chcę więcej wspólnych spacerów, więcej rozmów, więcej czasu. Chcę z tobą zlegnąć. Ale teraz przede mną walka za Talamh, za Fey, za twój świat i wszystkie pozostałe.

– Będę czekał. – Uściskał mocno Briana i poczuł na dłoni muśnięcie skrzydeł.

\*

Breen w końcu udało się wymknąć z ceilidh. Rozejrzała się za Marco i doszła do wniosku, że wybrał którąś z wcześniej ustalonych możliwości. Może bawiła się lepiej, niż się spodziewała – nie, zdecydowanie lepiej się bawiła – ale była wyczerpana. Rozmowy z tyloma ludźmi, wino i tańce bez końca, bo nikt jej nie przepuścił. Marzyła, żeby wreszcie znaleźć się w łóżku.

Pomyśleć o Keeganie. Nie, nie myśleć o nim, poprawiła się. Gdyby została, myśli o nim same cisnęłyby się do głowy. Musi je tłumić przez dwa dni, bo może się spełnić jej proroctwo o bitwie na południu. Najlepiej w ogóle o niczym nie myśleć przynajmniej przez kilka godzin, a to właśnie zapewni jej sen. Nie, ona nie ucieka od rzeczywistości. Po prostu musi zregenerować siły, żeby później stawić jej czoło.

Gdy przechodziła przez drogę, Fąfel radośnie zaszczekał. Obejrzała się i zobaczyła Marco z tamtym jeźdźcem od smoka, który podobno był jej kuzynem.

Trzymają się za ręce, zauważyła i zrobiło jej się ciepło na sercu.

– Wracasz do chaty?! – zawołał Marco.

– Padam z nóg. A ty, jeśli chcesz, jeszcze się pobaw. Została twoja gitara, na pewno będą chcieli, żebyś im jeszcze coś zagrał.

– Nie, wracam z tobą. Jutro zabiorę gitarę. Nie poznałaś jeszcze Briana.

– Twój kuzyn Brian – przedstawił się, gdy podszedł do Breen, i pocałował ją w oba policzki. – Bardzo mi się podobały wasze piosenki.

– Dzięki. Cieszę się, że mogę cię poznać. Nie wiedziałam, że poza babcią mam jeszcze jakichś krewnych.

– Wszechpotężna Mairghread wystarczy za całą rodzinę, ale owszem, masz sporo kuzynostwa i w Talamh, i po tamtej stronie. Wszyscy są zadowoleni z twojego powrotu, a ja się cieszę, że zabrałaś ze sobą Marco. – Spojrzał w stronę Powitalnego Drzewa. – Przepraszam, ale nie mogę was odprowadzić na tamtą stronę. Zakaz w Samhain.

– Nie wiedziałam. – W tej samej chwili ją oświeciło. – No tak, jedziesz na południe.

– Przed świtem. Ale niedługo zobaczymy się w Stolicy i będziemy mieć czas na rozmowy. – Uśmiechnął się do Marco. – I na spacer. Na o wiele więcej.

Kiedy się pocałowali, Breen stłumiła westchnienie.

– Uważaj na siebie. – Marco uściskał jego dłonie.

– Do wojownika mówimy: „Walcz dzielnie i pozostań silny”.

– Dobrze, walcz dzielnie i pozostań silny.

– Tak będzie. Dobrej nocy dla was obojga.

– I uważaj na siebie – dodał szeptem Marco, kiedy Brian oddalał się do namiotów na łące.

– Masz maślane oczy, Marco Polo. – Breen, żeby przywołać go do rzeczywistości, potrząsnęła jego obiema dłońmi. – Musisz mi wszystko opowiedzieć po drodze.

– Słuchaj, czy ja na pewno dotykam stopami ziemi? – Przeszedł z nią przez drogę. – Bo mam wrażenie, że płynę w powietrzu.

– Twoje stopy trzymają się gruntu, reszta zdaje się unosić. Powiem ci, że on jest czarujący, zniewalająco przystojny, no i widziałam, jak na ciebie patrzył.

– Ma magnetyczne oczy. – Kiedy przeszli ponad murkiem, Marco westchnął za nich oboje.

– Naprawdę magnetyczne. Przysiedliśmy na ogrodzeniu farmy i trochę sobie pogadaliśmy.

Breen na wszelki wypadek nie puszczała jego ręki, bo był jak zamroczony.

– O czym?

– Och, o przyjęciu, muzyce, waszych rodzinnych koligacjach. To dość niesamowite, co?

On naprawdę jest półprzytomny, pomyślała Breen, bo tym razem nawet nie zauważył, kiedy przeszedł z Talamh do Irlandii.

– Rzeczywiście, dość niesamowite. On mieszka na północy?

– Nie. W tej chwili w Stolicy. Chyba tam stacjonuje. Zeszliśmy na plażę, widziałem Syreny, słyszałem ich śpiew, świeciły dwa księżycy, a on ma skrzydła. Chabrowe jak jego oczy.

– Jest z Sidhe?

– No, coś takiego.

Tym razem Fąfel, zamiast pobiec przodem, kręcił się przy nich i przechylając łeb, co rusz zerkał na Marco, jakby łowił każde słowo.

– Ja to czułem, naprawdę wyczuwałem, ale wiesz, nie byłem pewien, czy w Talamh te sprawy tak samo wyglądają. Pomyślałem więc, że lepiej zapytam, zamiast wszystko spieprzyć nieopatrznym gestem. I wtedy on mnie pocałował.

– Marco, zdumiewasz mnie. Na plaży, z Syrenami i księżycami?

– Prawda? Nie przestawaliśmy się całować i on powiedział, że musimy poczekać, aż skończy się ta głupia wojna. Brian jest artystą i był w Paryżu. Chyba się zakochałem. Wiem, dopiero się poznaliśmy, ale nigdy czegoś podobnego nie czułem. To coś więcej niż zamroczenie pożądaniem, niż zwykła fascynacja.

– W takim razie ja też go pokocham.

– Może mi przejdzie, kiedy znajdziemy się w Irlandii.

– Marco, od jakiegoś czasu jesteśmy w Irlandii i prawie dochodzimy do chaty.

– Co? – Rozglądał się wokół siebie w świetle, które Breen wznieciła dla nich na drogę. – Ha, Jezu, wcale mi nie przeszło i mam odpowiedź. Breen, on będzie walczył z tamtymi świrami. A jeśli coś mu się stanie? Jezeli...

– Przestań. Nie myśl tak. Wiem, że to trudne, ale nie wolno mieć takich myśli.

Zdenerwowany, potarł bransoletkę.

– Możesz zrobić dla niego coś takiego jak dla mnie?

– Tak. Zaraz się tym zajmę. Mam w chacie wszystko, czego potrzebuję.

– Wiem, że na jutro nie zdążymy, ale kiedy wróci... Chciałbym ci jakoś pomóc. Nie znam się na czary-mary, ale może do czegoś się przydam?

– Wobec tego poszukasz rzemyków i zbierzesz kamienie.

– Dzięki. Posiedźmy chwilę na dworze, co? Muszę ochłonać.

– Nie ma sprawy. Fąfel na pewno chciałby zażyć wieczornej kąpeli. Posiedzimy, napijemy się wina. Mogę sobie pozwolić na jeszcze jeden kieliszek. Niewiele dziś piłam, bo cały wieczór albo rozmawiałam, albo śpiewałam, albo tańczyłam. A ty byłeś zajęty amorami w świetle księżyców. Wypijemy za tych, co muszą dzielnie walczyć i pozostać silni.

– Nie ma na świecie lepszej przyjaciółki od ciebie. – Uściskał ją wzruszony, gdy stanęli przed chatą.

\*

Nazajutrz usiadła wcześniej do pisania. Chciała podgonić pracę nad książką, zanim wstanie Marco. Gdy usłyszała, że krząta się w kuchni, zamknęła komputer. Z doświadczenia wiedziała, że skupienie się na jakimś zajęciu co prawda nie usuwa zmartwień, ale pozwala o nich choć trochę zapomnieć.

Stał w drzwiach z kubkiem kawy w ręce i zadumany patrzył na zatokę. Nie miała wątpliwości, że był myślami na przeciwległym brzegu.

Podeszła i od tyłu objęła go ramionami.

– Jadłeś już?

– Chyba jestem chory z miłości. Nie mam apetytu.

– Wiesz co? Dzisiaj ja robię śniadanie. – Wróciła do kuchni i wyjęła paczkę płatków zbożowych. – Moja specjalność.

Rozśmieszyła go.

– W porządku.

– A jak zjemy, zrobimy bransoletę dla Briana.

– To może poczekać. Wiem, że chcesz pisać.

– Akurat jestem w takim miejscu, że po prostu zrobię sobie przerwę. Bransoletka ważniejsza.

– Dzięki.

– Co my dzisiaj mamy w planie? – Udając, że się zastanawia, nasypała płatków do misek. – Wyjdziemy wcześniej. Weźmiemy konie i pojedziemy – pierwszy raz we dwójkę – na grób taty. Wieczorem obiecałam babci, że wracając, do niej zajrzemy. Później czeka mnie trening.

Postawiła miseczki na stole, przyniosła mleko i jeszcze jedną miseczkę z jagodami. Ani na moment nie zamykała jej się usta.

– Wczorajem zjemy pizzę, zrobimy popcorn i obejrzymy jakiś film na platformie streamingowej. A jutro są urodziny Finiana i mam już pomysł na prezent.

– Zagadujesz mnie, żeby zagłuszyć moje myśli.

– I swoje. Też martwię się o nich i boję. Wiesz, że... mam dar, ale na razie on jeszcze się nie rozwinął. Nie zabierają mnie, bo moja moc jest za słaba.

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek w tym uczestniczyła. Ale pewnie cię nie przekonam.

– Nie wiem, czego spodziewają się po mnie, co będę robić, kim się stanę. Trudno przewidzieć, kiedy nie wie się wszystkiego. Ale to, co tu mam – położyła dłoń na sercu – wiąże się z wyjazdem na południe. Dobra, dość na ten temat. Jutro w nocy w Talamh odbędą się różne obrzędy i rytuały. Mamy sabat Samhain, ważne święto. Nie wnikniesz w społeczność, ale możesz tam być, patrzeć i uczestniczyć w obchodach sercem i umysłem.

– Dobra, zaangażujemy się w to wszystko.

– I spakujemy rzeczy na parę dni w Stolicy.

– Brian pokaże mi swoją sztukę.

Wycelowała w niego łyżkę.

– Czy to eufemizm?

– Nie potrzebuję eufemizmów. Obejrzymy jego prace, a potem pościągamy z siebie ciuchy. Albo w odwrotnej kolejności. Co się nosi w Stolicy?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Zapytam babcię. A ty spakuj tę nową sukienkę. – Uśmiechnął się do niej. – Dzięki tobie trochę się rozluźniłem.

– Taka moja rola. Ponieważ to wyrefinowane śniadanie jest dziełem moich rąk, ty posprzątasz ze stołu, a ja w tym czasie zgromadzę wszystko, co może się przydać na prezent dla twojego przyjaciela...

– Na razie nie nazywaj go tak, bo jeszcze zapeszysz.

Podniosła się z krzesła.

– Widziałam, co widziałam, wiem, co wiem – powiedziała uroczystym tonem.

Kiedy wróciła, porozkładała rzemyki, wybrała ochronne kamienie.

– To duży facet. – Marco krytycznie przyglądał się jej działaniom. – Możemy zrobić plecionkę z sześciu rzemyków?

– Nie wiem, jak posplatać sześć.

– Ja wiem. Pokażę ci.

– Sam to zrób.

Marco szybko cofnął rękę.

– Lepiej nie, jeszcze osłabię działanie.

– Nie, wręcz przeciwnie. Dodasz swoje wibracje.

– Dobra, skoro tak mówisz. Zobacz, to trochę przypomina tkanie. – Wybrał pięć rzemyków w różnych odcieniach brązu i jeden czarny na środek i zręcznie je ze sobą połączył.

– Dobrze, już robi wrażenie. A teraz wybierz kamienie i ułóż je tak, jak chcesz.

– Powiedz, co to za kamienie i jakie mają działanie.

Zrobiła mu mały wykład, a on umieścił kamienie zygzakiem na pleciance.

– I co, nie za dużo?

– Nie, kurczę, wygląda lepiej niż twoja. Zupełnie jakbyś kupił ją w jakimś artystycznym butik czy sklepie z rękodziełem.

– Nie obrażaj bransoletki, którą zrobiła moja najlepsza przyjaciółka. – Zadowolony, rozparł się na krześle. – Co teraz?

– Magia. – Wzięła różdżkę. – Połóż dłoń na mojej ręce z różdżką.

Zawahał się.

– Naprawdę, mogę? Nie spieprzę czegoś?

– Moc pochodzi ode mnie, ale uczucie od ciebie. Spłeciemy je razem, tak jak zaplatałeś rzemyki.

– Super.

– Daj się prowadzić sercu i intencjom. Myśl o nim.

Wezwała światło, wymówiła zaklęcie i z dłonią Marco na swojej dłoni trzykrotnie przesunęła różdżką nad plecionką i kamieniami.

– One... one jakby wtopiły się między rzemyki. Breen, ja poczułem coś dziwnego. – Podniecony Marco wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. – Czuję energię, która płynie z ciebie.

– I z ciebie. Z twojej ufności, z serca. – Przechyliła ku niemu głowę. – Lepiej, żeby on cię docenił, bo w przeciwnym razie usmażę mu tyłek.

– Nie wątpię, że mogłabyś to zrobić. Mam nadzieję, że prezent mu się spodoba. To nie jest jakiś zobowiązujący podarunek i wcale nie jest za wcześnie na taki gest.

– Na pewno się ucieszy i nie jest za wcześnie. A teraz uszyjesz mieszek. Wybierz kolor. Przyniosłam skórę, bo on jest smoczym jeźdźcem.

– Myślę o niebieskim, jak jego oczy. Czy to kiepski pomysł?

– Nie, świetny.

Marco radził sobie z szyciem lepiej od niej, zostawiła go więc nad robotą, a sama poszła pochować kawałki skóry i kamienie. Potem włożyła wysokie buty i kurtkę, a ponieważ dzień był chłodny i wilgotny – przynajmniej po tej stronie – owinęła szyję szalikiem.

Gdy zbliżali się do Powitalnego Drzewa, ze skłębionych chmur spadł drobny, przenikliwy deszcz.

Za to w Talamh wyszli na słoneczny dzień z krystalicznym powietrzem pachnącym jesienią.

Chłopcy Aisling bawili się w przykuchennym warzywniku pod czujnym okiem cierplivej Mab, wilczarki irlandzkiej. Breen pozwoliła Fąflowi pobiec przywitać się z przyjaciółką.

– Za jeden dzień są moje urodziny – oświadczył z dumą Finian, wychodząc im na spotkanie.

– Słyszałem. – Marco przykucnął, żeby znaleźć się twarzą w twarz z malcem. Kavan natychmiast wdrapał się mu na kolano. – Skończysz piętnaście lat, tak?

Podeksycytowany Finian uśmiechnął się szeroko i podniósł trzy paluszki.

– Harken przewiezie mnie na smoku, bo nie mam skrzydełek jak Kavan. A kiedyś będę mieć własnego smoka, tak jak Harken i Keegan.

Breen też przykucnęła.

– Odziedzyczyłeś dar po Widzących jak twoja mama.

Popatrzył na nią z powagą.

– Mamusia tak mi mówiła, ale ja nic nie umiem.

– Nauczysz się. Będziesz robił dobre i wielkie rzeczy. Ja to widzę. I czuję.

– Przyrzekasz? – Wpatrywał się w nią z napięciem. Przytknęła dłoń do jego drobnej piersi. Poczowała, jak z biciem serca pulsuje tam młode i delikatne światło.

– Tak. Przyrzekam. A twój smok jest teraz o taki. – Rozsunęła rękę. – Jeszcze musi pobyć ze swoją mamusią. Jest zielony jak wasze pola, a na skrzydłach ma niebieskie plamki w kolorze wody w zatoce.

Finian rozdziawił buzię.

– Widziałaś mojego smoka?

– Widzę go w tobie. W serduszkę nazwałś go Comradai. On jest twoim braciszkiem tak samo jak Kavan.

– Wybrałem mu imię! Naprawdę. Ale go nie widziałem. Muszę powiedzieć o tym mamusi. Chodź, Kavan. Muszę powiedzieć mamie o moim smoku.

Kavan przestał się bawić dredami Marco, uśmiechnięty zsunął się z jego kolana i pobiegł za bratem.

– Naprawdę to wszystko widziałaś?

– Taak. Nie spodziewałam się. Ja... w nich obu budzą się aspiracje. Już tam są. Boże, mam nadzieję, że nie narozrabiłam, mówiąc mu to wszystko.

– Wiesz, co myślę? – Marco podniósł się z kucek, wziął Breen pod ramię i podciągnął. – Myślę, że widziałaś i powiedziałaś wszystko, co powinnaś. I zdecydowanie uszczęśliwiłaś dziecka.

Mab ruszyła za chłopcami, a Fąfel, drżąc z emocji, z nadzieją prowadził ją wzrokiem.

Breen pogładziła go po kosmatym czubie.

– Leć, zawołam cię, gdy będziemy gotowi do jazdy.

– Myślisz, że ze smokami jest podobnie? Coś jak z tobą i Fąflem?

– Tak mówią. A teraz chyba czas poszukać Harkena. Jeżeli go nie znajdziemy, zajrzemy do chaty i uprzedzimy ich, że zabieramy konie.

Skreśliła do stajni. Harken, nucąc coś pod nosem, w skupieniu wodził dłonią po boku klaczy. Tej samej, jak Breen się domyśliła, którą w tamten deszczowy, letni dzień pokrył ogier Keegana.

– Dzień dobry wam – rzucił do nich i powiedział coś szeptem do klaczy, pocierając policzkiem o jej policzek.

– To Eryn, prawda? Wszystko z nią dobrze?

– Bardziej niż dobrze. Zanim wypuszczę ją na pastwisko, chcę na nią rzucić okiem. I ona, i źrebię są w doskonałej formie. A wy jak się macie po wczorajszej imprezie?

– Bardziej niż dobrze – odpowiedział Marco. – Mogę ją pogłaskać?

– Jasne. Lubi, gdy poświęca się jej uwagę. Minęliście się z Moreną, wzięła Amisza, chce, żeby trochę popolował. Matka z Mingą wybrały się na przejażdżkę.

– Możemy pojechać z Marco na grób taty, tak jak mówiliśmy?

– Oczywiście. Przyniosę osprzęt dla koni.

– Sami sobie poradzimy. Wiem, co gdzie leży.

Marco nie przestawał gładzić Eryn.

– Pewnie część żołnierzy już pojechała na południe?

– Przed świtem. Keegan jest z nimi. Wróci z Mahonem na urodziny Finiana i pojedzie z powrotem.

Breen położyła mu dłoń na ramieniu.

– A ty?

– Nie tym razem. Muszę zostać tutaj. Keegan chce, żebym czuwał nad matką, siostrą i chłopcami. Oni nikogo nie przepuszczą przez granicę, ale lepiej dmuchać na zimne.

– Pojedziesz z nami do Stolicy?

– Nie i dzięki bogom. Nie lubię tłoku i hałasu. Mam robotę na farmie i pilnuję doliny. To moja rola. Dzisiaj jest piękny dzień na przejażdżkę. Bawcie się dobrze. Chodź, Eryn, moja ślicznotko.

Klacz bez kantara i lejców posłusznie wyszła za nim ze stajni.

– Bardzo go przypominasz – odezwała się Breen po wyjściu Harkena.

– Ja? Harkena?

Położyła dłoń na sercu.

– Tutaj. Wrażliwość, cierpliwość, lojalność. Teraz rozumiem, czemu tak szybko przy nim poczułam się bezpiecznie.

Zanieśli siodła, czapraki i puśliska na padok, gdzie Harken już czekał z Boyem i Cindy.

W międzyczasie zaprzął do pługa masywnego konia pociągowego. Breen, siodłając Boya, patrzyła, jak Harken idzie za koniem, a pług przewraca skiby ziemi na ugorowanym polu.

Co on tam zasieje o tej porze roku? A może ta orka ma tylko spulchnić i napowietrzyć glebę? Nie miała bladego pojęcia o pracach rolnych, a przecież jej ojciec był farmerem.

– On nie sprawia wrażenia, no wiesz, wojownika – zauważył Marco, kiedy wiatr przyniósł dźwięki piosenki śpiewanej przez oracza przy pracy.

– Harken? To farmer z krwi i kości, czarodziej w swoim fachu. Woli pług od miecza, ale możesz mi wierzyć, że doskonale posługuje się jednym i drugim. Ojciec uczył go fechtunku, a po jego śmierci zajął się nim mój tata.

Otworzyła bramę, wspięła się na siodło i zawołała Fąfla. Gdy czekali na psa, z uśmiechem obejrzała się na Marco.

– Co w tej chwili pomyśleliby o nas nasi przyjaciele z gejowskiej dzielnicy?

– Pomyśleliby, że na tych koniach wyglądamy supersexy.

Gdy wyjechali na drogę, Breen odgarnęła włosy z twarzy i rzuciła wyzywające spojrzenie Marco.

– Gotowy na galop?

– A ty? Juhuu! – zawołał i spiął konia.

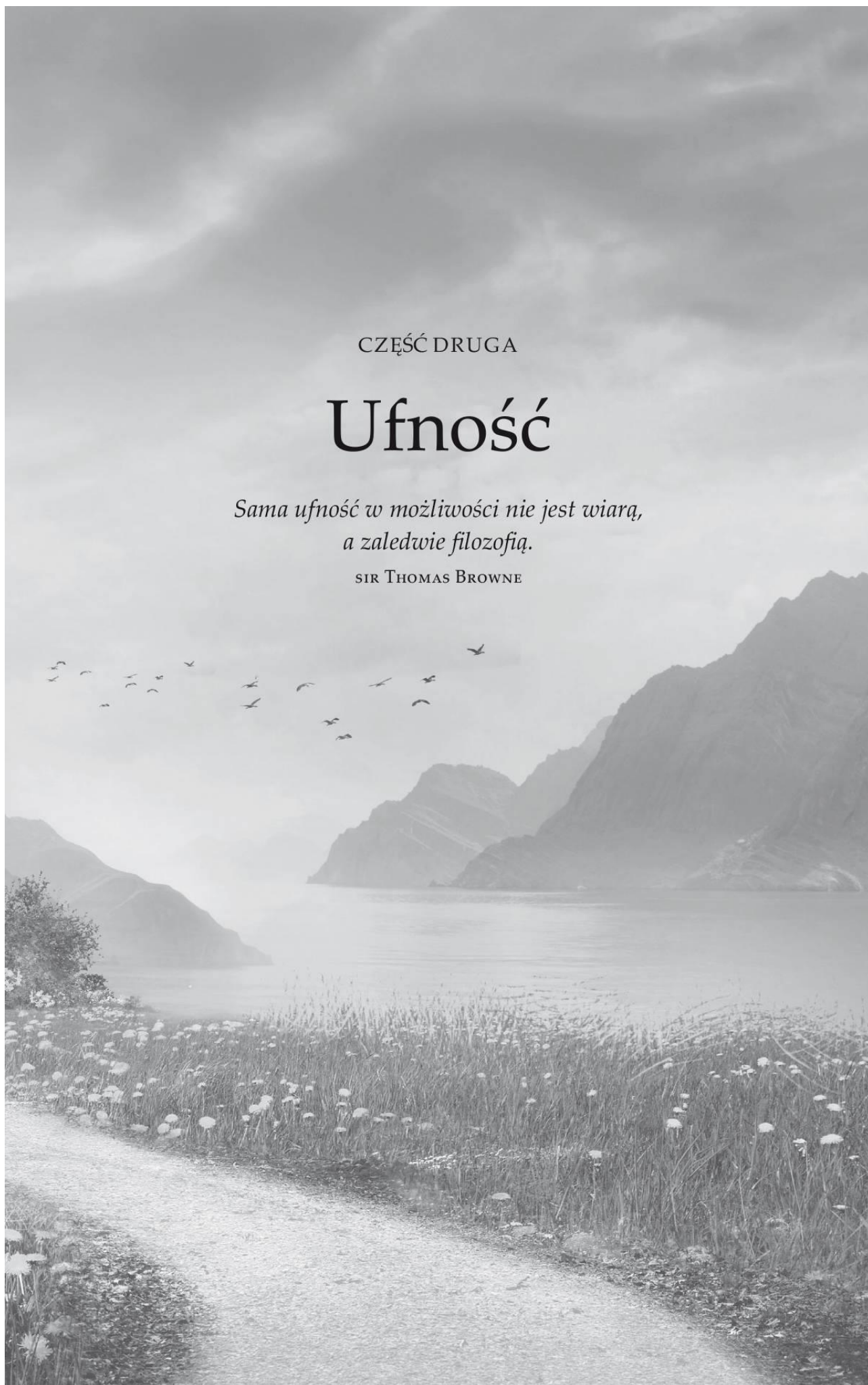
– Miastowy kowboj – powiedziała do Fąfla i śmiejąc się, ruszyła za nim w pościg.

CZĘŚĆ DRUGA

# Ufność

*Sama ufność w możliwości nie jest wiarą,  
a zaledwie filozofią.*

SIR THOMAS BROWNE





## Rozdział 11

Marco zatrzymywał się i pozdrawiał spotykane po drodze osoby. Kobiętę wieszającą pranie z berbeciem przy nogach, starego mężczyznę z długouchym psem idącego poboczem, parę zbierającą jesienne warzywa w ogrodzie.

Podobnie jak Keegan kojarzył już imiona i twarze, a Breen, polegając na jego pamięci, spokojnie szła w ślady przyjaciela.

– Teraz tędy – wskazała drogę na rozstajach. – Jeździłeś tu z Moreną?

– Nie. Przecinaliśmy tamten las i jeździliśmy wzdłuż nadbrzeża.

– Nie widziałam nadbrzeża. A właściwie oglądałam je ze szczytu góry. Widok zapiera dech w piersi.

– To niedaleko, mamy mnóstwo czasu, jeśli chcesz, możemy się tam przejechać. Powiem ci, że okolica robi wrażenie.

– Jasne, że chcę. Podjedziemy tam, jak będziemy wracać, a potem zajrzemy do babci. –

Wskazała ręką parę lecących smoków. – To bliźnięta Magee. Bria i... ehm...

– Deaglan – odpowiedział Marco. – Już wczoraj na nie się natknęliśmy. Mieszkają blisko Stolicy.

– Racja. Lecą na zwiad albo patrolują okolicę.

Kiedy wjechali na wyżynę, Marco ponownie zatrzymał Cindy.

– Po prostu obłąd. Wiem, że podobne widoki mieliśmy w Irlandii, ale te tutaj wymiatają. Cholera, szkoda, że nie mogę porobić zdjęć. Tamta baszta, kamienny krąg na wzgórzu, ruiny jak z horroru. Cmentarz, las, pola. I ani żywego ducha, tylko owce. – Rozglądał się dokoła z siodła. – Budzi grozę, nie? Aż dziw, że nad takim upiornym miejscem niebo pozostaje błękitne i pogodne. Zawsze powinno być szare i przytłaczające.

– Takie jest powietrze w tamtych ruinach.

– Byłaś tam?

– Nie. – Poczula mrowienie na plecach, jakby po skórze przebiegło ileś pajęczych nóg. – Czuję to. A wcześniej nie czułam, nie aż tak. Jest prawie Samhain, może stąd ten niepokój. Kamienie wydają pomruki. Słyszę to i czuję. Światło równoważy mrok. Marco, nie zapuszczaj się w ruiny, a dzisiaj nawet się do nich nie zbliżaj.

– Uwierz mi, nie musisz mnie przekonywać. Czy na cmentarzu jest bezpiecznie?

– Tak. To miejsce uświęcone. – Wskazała Fafla, który już siedział nieruchomo przy kępie kwiatów na grobie jej ojca. – Zobacz, on wie. Dzisiaj będzie trzymać się blisko. Czeka przy grobie taty.

– Jest mądrym psem – wychrypiał Marco przez ściśnięte wzruszeniem gardło. – Piękne te kwiaty, które tu posadziłaś. Nie mogę pogodzić się z myślą, że go nie ma. Że odszedł na zawsze.

– Wiem.

Zsiedli z koni i Breen odprowadziła wierzchowce na drugą stronę drogi, żeby popasły się na bujnej łące, a Marco mógł spędzić kilka minut w samotności.

Kiedy dołączyła do niego, odwrócił się i przytulił czoło do jej ramienia.

– On cię kochał – pocieszała go szeptem. – Umiałeś go rozśmieszyć. A twoja gra napawała go dumą.

– Dał mi muzykę i coś jeszcze bardzo ważnego. Był pierwszym dorosłym, przed którym się otworzyłem.

– Tego nie wiedziałam.

– To było przed jego ostatnim wyjazdem. Wahałem się, czy mu się zwierzyć, bałem się, co o mnie pomyśli. Najpierw cię odstawił do mamy, a potem odprowadził mnie do domu. Wiesz, myślałem, że pojedziemy autobusem, bo od nowego mieszkania twojej matki do nas był kawał drogi, ale on chciał się przejść. Mówił, że na mnie polega, wierzy, że będę nad tobą czuwał, gdy go nie będzie.

Marco wyrównał oddech, otarł oczy i zapatrzony na grób Eiana, mówił dalej.

– Jak szczęśliwie się złożyło, że znalazłem się w jego i twoim życiu. Kiedy popatrzył na mnie, rozplakałem się, bo widziałem, że on się domyśla. Otoczył mnie ramieniem i tak szliśmy objęci. Powiedział, że byłby mną rozczarowany, gdybym się wstydził tego, kim jestem. I wtedy wyrzuciłem z siebie: „Jestem gejem!”.

Breen cicho się roześmiała i pogładziła go po policzku.

– A co on na to?

– Powiedział, że ma nadzieję, że kiedy dorosnę, spotkam mężczyznę, który na mnie zasługuje, i że bym się nie rozdrabniał. „Marco, żyj w zgodzie ze sobą”, mówił, „i pamiętaj, że każdy, kto nie akceptuje cię takim, jakim jesteś, czy próbuje wzbudzić w tobie wstyd, nie jest wart nawet jednej twojej myśli”.

Teraz z kolei Breen, z oczyma wilgotnymi od łez, przytuliła twarz do ramienia Marco.

– Tak, to cały tata. Prawie zapomniałam, jak on myślał, jaki był. – Wyprostowała się z głębokim westchnieniem. – Ten przyjazd tutaj, powrót do tego miejsca, pomógł mi wydobyć z pamięci wiele faktów.

– Tamten spacer do domu miał dla mnie ogromne znaczenie. – Marco przysiadł przy grobie i musnął dłonią główki kwiatów. – Bardzo mi pomogłeś, Eianie.

Breen przycupnęła obok niego.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie wspomniałeś?

– Nie podziękowałem mu wtedy, bo nie mogłem wydusić słowa. Chciałem mu podziękować, kiedy wróci, i znowu z nim porozmawiać. Ale...

– Zginął. Nie wiedzieliśmy, że nie żyje, nie wiedzieliśmy o Talamh. Już nie wrócił.

– Breen, nie chciałem ci o tym mówić, bo byłaś bardzo smutna. Czekalaś na niego i z każdym dniem robiłaś się coraz smutniejsza. Dzisiaj ci o tym mówię i dziękuję Eianowi. Tutaj jest pięknie. To jego dom, prawda? Piękne miejsce, mimo że leży w cieniu tamtych koszmarnych ruin.

– To jego dom i tutaj jest pięknie. Kiedy wzniesiono tamtą budowlę – obejrzała się na ruiny – ludzie, którzy tam zamieszkali, pracowali i czcili bogów. To było święte miejsce. Miejsce pożytecznej pracy, sztuki, modlitwy i uzdrawiania. Niestety, część jego mieszkańców wymusiła zmiany. Zeszła na złą drogę, zmieniła to miejsce w ciemnogród. Zniknęła tolerancja, pojawiły się prześladowania i tortury.

– Zawsze pojawi się ktoś, kto zniszczy to, co dobre, a potem znajdzie popleczników i pociągnie ich za sobą.

– Słyszę ich – wyszeptwała.

– Co takiego? – Przestraszony, obejrzał się na ruiny. – Tam?

– Rozbudzili się. Nie słyszę wyraźnie, ale... Zaczekaj tu.

– Nie ma mowy. Wykluczone. Nie puszczę cię tam.

– Nie wejdę do środka – zapewniła go. – A chcieliby. Uważają, że nie jestem gotowa stawić im czoło. Zapewne mają rację i nie dam się zwabić.

– Trzymajmy się z daleka od tego miejsca. – Zerwał się na równe nogi i chwycił ją za ramię.

– Stąd nie słyszę ich wyraźnie. A muszę. Przysięgam, nie ruszę się o krok dalej, gdy uznam, że robi się niebezpiecznie. Zostań tu. Fąfel, waruj. Zostajesz z Marco.

Wywinęła się Marco i pobiegła między nagrobkami, przeskakując kamienie. Zbliżając się do ruin, coraz lepiej słyszała dochodzące stamtąd pomruki i szept.

Zatrzymała się, gdy poczuła, jak powietrze, dotąd jasne i świeże, staje się zatęchłe i ciemne. Widziała poruszenie w szparach okiennych i szerokim otworze, który – jak wiedziała – dawniej zakrywały masywne drewniane podwoje z wyrzeźbionymi świętymi symbolami. Snuły się tam jakieś anemiczne cienie.

Słyszała stłumione, a jednak pobliskie echo monotonnych śpiewów, jęków i modłów wznoszonych do mrocznych, potępieńczych bogów.

W rześkim jesiennym powietrzu niósł się odór ciepłej krwi i palących się ciał.

Odezwały się dzwony, zabiły bębny.

Bardzo powoli uniosła rękę i spróbowała rozgarnąć powietrze. Poczuła opór, coś ją odpychało.

Sięgnęła po różdżkę, niepewna, czy to wystarczy, czy uda jej się przedrzeć. I wtedy usłyszała tętent kopyt. Obejrzała się. Tarryn z płonącym wzrokiem i rozwianymi włosami pędziła pro-

sto do niej.

– Cofnij się! Niemądre dziecko, natychmiast się wycofaj!

– Nie sięgną mnie. Nie mogą się wydostać. Na razie. Słyszysz to? Widzisz?

Tarryn zeskoczyła z konia i zamknęła ramię Breen w żelaznym uścisku.

– Ani kroku dalej. Tak, słyszę ich. Widzę. To za szybko i za dużo. Na bogów, to robota Yseult i jej zwyrodniałych wiedźm. Co masz przy sobie?

– Tylko kilka kamieni i amuletów w torbie przy siodle. Różdżkę i athame.

– Przynieś wszystko, tylko się pospiesz. Szkoda, że nie ma nas pięciu czy chociaż Marg, żeby zebrać się we trzy, ale trudno, musimy sobie poradzić. Mingo, ty zostajesz z Marco.

– Co robicie? Co się dzieje?! – zawołał Marco, gdy Breen go mijała, biegnąc po torbę. – Co jest grane?

– Nie wiem. Robię, co mi każe. A ty nie ruszaj się stąd.

Zarzuciła torbę na ramię i szybko wspięła się na wzniesienie naprzeciw ruin, gdzie czekała na nią Tarryn. Po chwili dołączył do niej Fafla.

– Wracaj – poleciła, ale pies twardo siedział przy jej nodze, szczerząc kły na ruiny.

– Nie, niech zostanie. Jest z tobą połączony, a więc będzie nas troje. Otworzymy krąg, a dla Fafla przeznaczymy miejsce w środku. Nic nie może przerwać kręgu, dopóki nie skończymy. Ułóż dłonie w miseczkę. – Tarryn przesypała sól z mieszka w złączone dłonie Breen. – Zakreślmy go solą. Nie mam świece. Narysujesz symbole na soli, zaczniesz od północy, a potem zachód, południe i wschód. Będziemy przy tym wymawiać zaklęcia.

Rozsypały sól, wykreśliły symbole. Obie używały słów chroniących przed złem.

Niebo pozostawało błękitne, a jednak Breen usłyszała dudnienie przetaczającego się grzmotu. Wiatr, który się zerwał, niósł zapach siarki.

Z gardła Fafla wydobyło się przeciągłe warknięcie.

– Ochronne kamienie na północy i zachodzie, południu i wschodzie na symbolach wyciśniętych w soli – wymówiła zaklęcie Tarryn. – Powtarzaj ze mną.

Breen czuła wzmaganie się złej energii, widziała, jak nad ruinami na czysto błękitnym niebie przetaczają się burzowe chmury. Gdy dołączyła do Tarryn, w samym środku kręgu pojawiły się widmowe palce, chwyciły za krawędź kamienia, który zamykał wejście i próbowały go wyciągnąć. Przez wirujący wiatr przebiły się wściekłe wrzaski oraz jęki nabrzmiałe bólem i przerażeniem.

– Usłyszcie nas! – wołała Tarryn. – Poznajcie! Drżycie ze strachu przed nami! Współczujemy wszystkim uwięzionym przez ciemne moce. Kiedy w końcu klucz obróci się w zamku, wasze wyzwolone duchy wyjdą na światło. Gardzimy wami, czciciele mroku. Zaznacie tortur, które zgotowaliście niewinnym.

Postać bezcielesna jak dym usiłowała precyzyjnie przesuwać się przez okienną szparę.

– Yseult i jej idol, upadły bóg, nie uwolnią was ani dziś, ani nigdy. Poznajcie moje imię. Jestem Tarryn z Talamh, matka *taoiseacha*. Jestem córką Tuatha De Dananna. Nie przejdziecie w świat życia i tchnienia.

Zamknęła w uścisku dłoń Breen.

– Wydobądź to, co masz w sobie. Uwolnij. Powiedz swoje imię.

Breen poczuła, jak elektryzujący wstrząs mocy przeszył ich złączone dłonie.

– Jestem Breen Siobhan O’Ceallaigh, córka Eiana, wnuczka Mairghread. Płynię we mnie krew kobiety, boga, Sidhe i Widzących. Jestem córką Fey. Nie przejdziecie w świat życia i tchnienia.

Nie puszczając dłoni Tarryn, drugą rękę położyła na łbie Fafla. Pies groźnie warknął.

– Zaklęcie za zaklęcie, urok za urok. – Jej słowa płynęły wraz z mocą. – W kręgu utworzonym na tej świętej ziemi zamykamy światłem siły mroku. Mocą zaklęcia zniszczymy każdy atrybut i talizman Yseult.

Błyskawica rozerwała niebo, piorun osmalił pas ziemi między ruinami i wzniesieniem. Zawisł nad nim pulsujący, czarny jak smoła dym.

– Zasuńcie zasuwę, zamknijcie zamki przeciwko wszelkim pukającym do was duchom. –

Gdy Breen usłyszała jakby rzeczywisty łoskot zasuwę i zgrzyt klucza, jej serce mocniej zabiło. Razem z Tarryn wypowiedziała końcowe słowa magicznej formuły. – Tylko nasze zaklęcie może was wyzwolić. Niech tak się stanie.

Dym zrzedniał, ucichł wiatr.

– Zamknij krąg – poleciła Tarryn i podniosła woreczek z solą. – Uważaj na psa. Pilnuj, żeby

nie wszedł do środka.

– On wie.

– Przynieś swój nóż athame.

Po zamknięciu kręgu Tarryn zeszła ze wzniesienia, kierując się ku otworowi po bramie w ruinach.

– Yseult jest przebiegła i potężna. Przez jej czary połała się niewinna krew. Kiedyś pochłonie ją mroczna głębia własnej mocy. Ale dziś ułożymy jeszcze jedną zaporę przeciwko niej.

Usypała linię z soli i położyła swój athame na otwartej dłoni.

– Ty i trzeci musicie zrobić to samo. Krew mocy przeciwko krwi przeklętych.

Breen, nieczuła na zaduch i krzyki ciągle dźwięczące jej w uszach, przykucnęła przy Fąflu i podniosła jego łapę.

– Zaboli tylko przez sekundę. Zasklepię ranę. Wybacz, piesku.

Patrząc jej w oczy, nawet nie drgnął, kiedy utoczyła kilka kropli krwi. Potem zrobiła nacięcie na swojej dłoni, przycisnęła ją do psiej łapy, podniosła się i powtórzyła ten sam gest z Tarryn.

– Solą wiążemy i krwią pieczętujemy to zaklęcie.

Po obu stronach otworu połączoną krwią namalowały znaki broniące przed złem.

Jęki przycichły do szmeru, dym rozrzedził się do mgły.

– Skończone i dobrze wykonane – podsumowała Tarryn i przykucnęła przy Fąflu. – Cudowny z ciebie pies. Nigdy nie było lepszego.

Poczekala, aż Breen zasklepi ranę na jego łapie, i uśmiechnęła się z uznaniem, kiedy dziewczyna, unosząc rękę, uśmierzyła mu ból i dopiero potem zajęła się swoją dłonią.

– Dobrze cię Marg wyszkoliła. Zajrzemy do niej po drodze, opowiemy, co zaszło, i powiadomimy Keegana – mówiła, wchodząc na wzniesienie i zbierając pozostawione rzeczy. – Odran nie będzie zadowolony z Yseult, kiedy się dowie, że jej plan spalił na panewce.

– Miał się wypełnić jutro, w Samhain. Oprócz duchów i upiorów zamierzała przysłać ożywieńców. Żeby urok zadziałał, musiałyby złożyć ofiarę z jelonka, jagnięcia i dziecka, obojętnie czy Fey, czy ludzkiego. A nawet wtedy...

Tarryn pokiwała głową.

– Na tę jedną noc potrzebowała skrzyknięcia wielkich sił.

– Zaatakowałyby w dolinie, a w tym czasie na południu Świętobliwi otworzyliby przejście sprzymierzeńcom Odrana. Chcieli nas wziąć w kleszcze, przekonani, że nic nie wiemy.

– Zmyślna taktyka – podsumowała krótko Tarryn, kiedy wracały po Mingę, Marco i konie.

– Ale wydarzyło się coś więcej. – Przystanęła przy grobie Eiana. – On byłby z ciebie dumny.

Wzięła za rękę Mingę i Marco.

– No i jak? Chyba wystarczy wrażeń na jedno słoneczne popołudnie, co?

– Oni próbowali się wydostać – wydusił Marco. – Minga mówiła, że musiałyście złamać zaklęcie i rzucić nowe, żeby zatrzymać ich w środku.

– Tak też zrobiłyśmy.

– Nic dziwnego, że was obie tutaj zaniósł w ten sam dzień i o tej samej porze – zauważyła Minga. – To, co zrobiłyście, uratowało wiele istnień. – Nachyliła się i pogładziła Fąfla. – Ty też masz w tym swój udział. Mądry z ciebie psiak. Chcecie wysłać sokoła do Keegana?

– Myślę, że lepiej nie ryzykować wysyłania listów. Porozmawiam z nim przez lustro. – Wsiadła na konia i przez chwilę przypatrywała się ruinom. – Teraz kiedy wiedzą, że nic tu nie wskórają, wzmocnią atak na południu. Jednak nie zaszkodzi postawić tutaj straż.

– Co powiecie na porządny galop? – rzuciła. – Muszę oczyścić nos z tego smrodu. No i miejmy nadzieję, że Marg poczęstuje nas czymś mocniejszym od herbaty.

\*

Po rozmowie z matką Keegan nerwowo krążył po izbie, którą dzielił z Mahonem. Do koszar na południowej flance dotarł przed świtem i tylko garstka ludzi o tym wiedziała.

– Przecież sobie poradziły – argumentował Mahon. – Masz jakiś powód, żeby w to wątpić?

– Nie, gdzie tam. Skoro matka mówi, że sytuacja pozostaje pod kontrolą, to na pewno tak jest. Jednak z tego wynika, że zintensyfikują atak na południe i przerzucą tutaj większe siły. Mogą zebrać w dolinie armię ożywieńców.

– Gdzie, jak sądzą, znajdują ciebie, *taoiseacha* z twardą ręką, i twoją matkę. I być może liczą,

że uda im się dopaść Breen w czasie sabatowych obrzędów.

– Myślisz, że ryzykowaliby i próbowali ją zabić? Duchy w cielesnej powłoce są nieobliczalne, nie przejmują się strategią. Kieruje nimi wyłącznie żądza krwi.

Krążąc po izbie i spekulując, popadał w coraz większą frustrację.

– Jeden, a może dwóch zaufanych Odrana przeniknęło bliżej, niż nam się wydaje. On chce dostać ją żywą, Mahonie. Martwa jest dla niego bezużyteczna, na niej kończy się jego linia. Ktoś, o kim nie wiemy, może ją zwabić albo porwać w czasie świątecznego zamieszania. Takie mam podejrzenia.

– Nie będzie żadnego zamieszania. Ale tak, masz rację. Musimy wytropić i wyeliminować tego kogoś, kto czai się blisko domu.

– A może i tutaj.

Keegan przysiadł na krześle i szybko się z niego poderwał. Co prawda, w izbie było tylko jedno okno, ale nie mógł ryzykować, że ktoś go przez nie zobaczy.

– Jak obaj chyba słusznie podejrzewamy, przywódcą tej krwawej sekty jest Toric. Mówi cichym głosem, porusza się ze spuszczoną głową, zawsze ubrany na biało, w albę, ale widać, że rozpiera go ambicja.

Mahon nalał im piwa.

– Na bogów, usiądź w końcu, bracie, bo zaczyna mi wirować w głowie. Rozmawiałem z nim o wymianie handlowej z tymi, co tutaj ćwiczą i pilnują południa. I dałem mu do zrozumienia, oczywiście mimochodem, że jutro wybieram się na urodziny syna.

– Zostawiliśmy mu wolność wyznania, bo tak mówi prawo. Ale on nagina to prawo, dokonując dziwnych wyborów.

Keegan z bezpiecznej odległości popatrzył w okno.

– Niedługo przyjdzie mu zapomnieć o balsamicznej bryzie od morza.

– Nie zdążyłem ci powiedzieć o wiadomości, jaka nadeszła z doliny. On planuje w Samhain złożyć rytualną ofiarę Odranowi.

Keegan błyskawicznie odwrócił się do niego.

– Ośmieli się?

– Och tak. Porwali dziecko, małą dziewczynkę. Zakłębem wprowadzili ją w letarg i trzymają w podziemiach baszty. Mają ją złożyć w ofierze Odranowi, w intencji utrzymania otwartego portalu, kiedy zbliżą się jego zastępy. Dziewczynka zostanie spalona na stosie w ostatniej godzinie Samhainu.

– I tak wygląda ich wiara. – Keegan z impetem odstawił kufel. – Jak się dowiedziałeś?

– Przeniknęło do nich dwóch z naszych Elfów, jeden z nich podsłuchał rozmowy przez mury. Powiem ci w zaufaniu, że Toric dysponuje niecałą dwudziestką ludzi.

– Skaptuje kolejnych w Talamh. A i tu, na południu, może znaleźć chętnych pośród tych, co nie chodzą w albach. Ilu pilnuje dziewczynki?

– Nikt. – Mahon pokręcił głową z niedowierzaniem. – Tacy są zadufani albo według ich mniemania głęboko wierzący. Mała mocno śpi i jest pod kluczem.

– Trzeba to jeszcze sprawdzić. Wyślemy tam Elfy, niech czuwają nad nią do jutra, do czasu, kiedy ją uwolnimy. Na razie mamy związane ręce, zbyt szybko byśmy się odkryli. Toric i wszyscy od Odrana, którzy przeżyją noc, zostaną przewiezieni do Stolicy na Osąd.

– Modlą się. Kiedy rozmawiałem z Torikiem, słyszałem ich chóralne modły o pokój i dostatek. Nie mieści mi się w głowie, jak według nich spalanie dziewczynek na stosie i mordowanie Fey ma zapewnić pokój.

– Dla nich pokój oznacza władzę absolutną. Nie zdobędą jej. Muszę wyjść na dwór.

– Keeganie...

– Chcę się przejść po wsi, zajrzeć na rynek, złożyć wizytę w Domu Modlitewnym. – Na moment zakrył dłońmi twarz.

W jednej chwili jego włosy się przerzedziły i posiwiały, czoło porały zmarszczki, obwisły mu policzki. Na podbródku wyrosła mała, spiczasta broda.

– Twarz w porządku, ale co z resztą? – Rozbawiony Mahon ręką z kuflem wskazał jego umięśniony tułów.

– Proszę bardzo.

Keegan wychudł i przygarbił się. Ciało okryła złachana tunika i połatane spodnie. Na sto-

pach pojawiły się łapcie przywiązane sznurkiem, na głowie czapka z daszkiem. Miecz zmienił się w sękaty kostur.

– Dobrze, starcze, idź odetchnąć świeżym powietrzem. Gdyby ktoś cię zaczepił, mów, że jesteś dawnym przyjacielem mojej rodziny i dopiero przyjechałeś na południe podkurować się w nadmorskim klimacie.

Keegan potarł szyję.

– Jestem Sean – przedstawił się ochrypłym, drżącym głosem. – Święty mąż i eremita, który przybył nad morze dokonać żywota.

Pamiętał, żeby skrócić krok, kiedy Mahon wyprowadził go na przechadzkę po wsi słynącej ze świeżych ryb i warzyw. Ludzie z radością wymieniali się produktami. Keegan wiedział, że też wielu z nich przyjechało spędzić tutaj wakacje. Chcieli popływać albo pożeglować, pozwolić swoim pociechom pobawić się na złotym piasku plaży. Przyjechali, myślał, nie mając pojęcia, że za niecałą dobę rozpęta się tu bitwa.

Nie było sposobu, żeby ich ostrzec, bo wtedy mroczne siły skryłyby się do nory jak szczury. Mógł jedynie ich obronić, pokonać tych, którzy sprowadzili zło, i na koniec oddać zdrajców w ręce sprawiedliwości.

Patrzył na falujące morze. Piękniejszego nie widział w żadnym ze światów. Słyszał dziecięcy śmiech, odprowadzał wzrokiem kochanków spacerujących brzegiem, wdychał zapach morskiej wody, ryb i świeżych wypieków.

Ten świat, jego świat, był pogodnym, spokojnym miejscem, dającym radość i obfitość. A teraz ta uśpiona czarami dziewczynka miała zostać złożona w ofierze temu, który pragnął ciemności i krwi.

– Nie chciałbyś odpocząć, ojczulku?

– Męczy mnie pragnienie, chłopcze, ale zanim je ugaszę, złożę uszanowanie Świętobliwym. Dołączę do ich modlitwy o pokój w Talamh i we wszystkich światach.

Keegan, kuśtykając, oddalił się od morza, przeciął wieś z kramami i poczłapał przez las na wzgórze z basztą i Domem Modlitewnym.

To tam składali śluby, przysięgali służyć z oddaniem wszystkim zwracającym się do nich o moc, spędzać życie na modlitwie i pracy na rzecz wsi, farm, morza i statków.

Eian, *taoiseach* przed nim, Marg i wszyscy wcześniej sprawujący rządy *taoiseachowie* honorowali te śluby przez ponad sześćset lat. Świętobliwym, którzy nie brali udziału w prześladowaniach, i wszystkim, którzy po nich przywdziali alby, dano to miejsce na południu, aby mogli w spokoju oddawać cześć bogom.

A teraz on, pomyślał Keegan, będzie tym, który po tylu wiekach położy kres ich błogiemu spokojowi.

Kiedy się wspinał po krętych schodach na zboczu, jego bystre oczy, pozornie zamglone przez wiek, śledziły ubrane w alby postaci pracujące w ogrodzie lub przechadzające się na wzgórzu ze złożonymi dłońmi wsuniętymi w rękawy.

Pomyślał o uśpionej dziewczynce i rodzinie, która w tej chwili jej poszukuje. Myślał o darach wotywnych i ofiarach dziękczynnych składanych na progu Domu Modlitewnego każdego dnia. O fałszu w sercach ukrywanym pod pozorami dobrotliwości i współczucia.

Kiedy wszedł do nawy, strach zimnym, twardym palcem przejechał mu po kręgosłupie. Podobne wrażenie spotkało go w ruinach w dolinie. Wtedy też pojawił się ten niepokojący ucisk w piersi.

A więc i tu duchy krążą pomiędzy żywymi, pomyślał. I przelewa się krew w czasie tajemnych, ponurych rytuałów.

W kryptach pod posadzką i w zdobnych sarkofagach spoczywali czczeni zmarli. W niszach stały naczynia ze świętymi olejami, święconą wodą i pobłogosławionymi ziołami. Mimo że słońce sączyło się przez witraże w łukowych oknach, w lichtarzach pełgały dziękczynne i pokutne świece. Aromat kadzidlanego dymu wypełniał powietrze, niósł się modlitewny śpiew Świętobliwych sunących kolumnadą.

Keegan powoli, jak na starca przystało, zbliżył się do ołtarza, przed którym klęczało kilka postaci w albach pogrążonych w cichej modlitwie. Lśniące kamienne płyty ozdobione płaskorzeźbami zapraszały wszystkich, których przywiodła w to miejsce potrzeba duchowego wsparcia.

Właśnie tu, przed ołtarzem, przez modlitewne śpiewy w intencji pokoju i szlachetnej pracy

przedarli się do niego rozpaczliwe krzyki tych, co mieli zostać złożeni w ofierze. Koźlecia, owieczki, jelonka, dziecka.

W słodkawym zapachu olejów i świec wyczuł zaduch czarnej magii. Gotując się w środku z gniewu, pochylił głowę w udawanym szacunku. Dłonią, w której zaciskał kostur, najchętniej zadałby cios miażdżący iluzję.

– Zbyt długo zwlekałem z odbyciem tej pielgrzymki.

– A jednak dotarłeś tutaj, starcze.

Keegan skinął głową i sklepieniem pasażem poczłapał do biblioteki, w której trzech osobników przy długim stole w skupieniu pisało kroniki, modlitwy i psalmy. Czwartym, tak starym jak wcielenie Keegana, drzemał przy kominku. Ciszę zakłócało jedynie jego ciche pochrapywanie starca i skrzypienie piór.

Przeszedł przez kolejne pomieszczenia, gdzie mężczyźni i chłopcy wyplatali kosze, tkali derki, rzeźbili w drewnie i polerowali kamienie. Jak zapamiętał, kuchnie i refektarze oraz kilka ciasnych izb dla obsługi mieściło się po drugiej stronie. Przystanął przed wijącymi się kamiennymi schodami. Pamiętał, że na górze znajdowały się sale modlitwy i dormitoria. Zajrzy tam, sprawdzi, jak powodzi się Toricowi i reszcie hierarchów, czy zmieniło się coś od jego ostatniego pobytu. Tak, od roku tutaj nie zajeżdżał, a powinien.

Chłopak, na oko czternastoletni, zbiegł ze schodów z koszem brudnej bielizny. Przyodziełek sięgał mu zaledwie za kościste kolana i miał długawe włosy, nie był więc mnichem. Przed złożeniem ślubów będzie musiał ogolić głowę. Nowicjusz i posługacz, ocenił Keegan.

Na widok intruzów oczy podrostrka zrobiły się duże ze strachu.

– Błogosławieństwo czystego serca dla ciebie – wyjąkał pozdrowienie.

– I dla ciebie, i twoich. – Keegan z uśmiechem odpowiedział na tradycyjne powitanie Świętobliwych.

– Panie, nie możesz tutaj przebywać. Tylko Świętobliwym i tym, którzy im usługują, wolno wchodzić na górę.

– Chcę dać odpocząć moim starym kościom. Od dawna daleko mi do twojej żwawości, młodzieńcze.

– Mam przynieść krzesło albo garnczek wody?

– Masz dobre serce. – Keegan położył dłoń na ramieniu chłopaka. Nie miał daru Harkena, ale wierzył, że potrafi wyczuć niewinność.

– Chłopcze, błogosławi cię święty mąż o wielkiej mądrości – odezwał się Mahon stanowczym, a jednocześnie łagodnym tonem. – Sprowadź tu Torica, żeby godnie przywitał pielgrzyma.

– Panie, dzięki za błogosławieństwo – wymamrotał podrostek i natychmiast zniknął.

Zadowolony Keegan bez przeszkód przeszedł galerią z małymi ołtarzami i wiekowymi ikonami na skąpany w słońcu wirydarz z kolumnadą.

Na środku wyrastał dolmen otoczony kamiennym kręgiem. Soczyście zielony trawnik sięgał murów i podstaw kolumn. Świętobliwi w albach, z ogolonymi głowami, dreptali po kamiennej ścieżce, śpiewając hymny. Keegan wiedział, że te dwugodzinne modlitewne śpiewy odbywają się trzy razy w ciągu dnia: o świcie, w południe i o zmierzchu.

Otoczony kolumnadą wirydarz był wystawiony na działanie żywiołów. Akurat trafił się ładny słoneczny dzień, lecz odprawiano te modły w intencji pokoju i czystości serc niezależnie od pogody; w spiekotę, ulewy i wichury.

Zastanawiał się, ilu z tych pokornie drobiących w koło, z dłońmi skromnie wsuniętymi w rękawy, brało udział w składaniu ofiar z ludzi, w rzezi? Ilu o tym wiedziało lub coś podejrzewało, zachowując kamienne milczenie?

Keegan usłyszał plaskanie sandałów o kamienną posadzkę. Odwrócił się powoli i zobaczył Torica. Zauważył, że przywódca Świętobliwych przybyło tuszy. Na czubku głowy, równie okrągłej jak cała sylwetka, tkwiła piuska, symbol rangi.

Szare brwi tworzyły ostre łuki nad wodnistoniebieskimi oczami. Pod gładko ogoloną twarzą zwisał tłusty podbródek. Brody były zakazane, bo świadczyły o próżności, od której sekta się odżegnywała.

Keegan wąpił, czy Toric przestrzega ścisłych jednodniowych postów.

– Mahon! Nie poinformowano mnie, że zaszczyisz nas wizytą. Witam ciebie i starca, który ci towarzyszy. Błogosławieństwo czystego serca dla was.

– I dla ciebie, i twoich. – Keegan położył rękę na sercu i zgarbiony oparł się na kosturze. – Dziękuję, bracie, za serdeczne powitanie.

– Ten szlachetny starzec jest przyjacielem mojej rodziny – przedstawił go Mahon. – To święty mąż, który pielgrzymował po Talamh, szerząc dobre uczynki i dzieląc się dobrym słowem.

– Proszę, proszę, chodźcie, siadajcie. – Toric szerokim gestem wskazał kolumnadę i sklepionym przejściem zaprowadził ich do wnęki z rzędem kamiennych ław i palącym się niewielkim ogniem. Potem poruszył małym dzwoneczkiem.

Na jego dźwięk natychmiast stał się inny podrostek. (Kobiety, nawet posługaczki, nie miały wstępu do Domu Modlitewnego).

– Wino i owoce dla naszych gości. Czy ty, starcze, szukasz schronienia?

– Jak uprzejmie, że pytasz. – Keegan usiadł ze znużonym westchnieniem. – Och, jak trzeszczą moje stare kości! Ten młodzieniec – poklepał Mahona po kolanie – zaoferował mi nocleg.

– Zapewnię ci, starcze, wygodne łoże – obiecał Mahon.

– Mam skromne potrzeby. – Keegan uniósł dłoń. – Ale obawiam się, że długo nie pomieszkać w jaskini na wzgórzach.

– Ile lat liczysz sobie, starcze?

– Sto sześćdziesiąt i mój cykl życia dobiega końca. Przybyłem tu dla morskiego powietrza i bliskości tych, co żyją dla wiary i modlitwy.

Chłopak przyniósł dzban wody i misę owoców.

– Pomarańcze! – Keegan nadał głosowi zachwycone brzmienie. – A więc pośród wiernych są Sidhe.

– Mamy kilkoro, ale więcej ich przynosi je z doliny w ofierze. – Toric przyglądał mu się z uwagą, kiedy chłopak nalewał wodę do kubków. – Sto sześćdziesiąt lat to zacy wiek. Ale wydaje mi się, że jesteś starszy.

– Niewykluczone. Serdeczne dzięki. – Keegan przyjął kubek z rąk służącego i powoli sączył wodę. – Śmierć krąży nade mną, widziałem moje ostatnie lato. Nie boję się, bo zawsze żyłem w wierze, że z końcem cyklu przenosimy się w inny wymiar. W ten z jaśniejszym światłem i głębszą wiarą. Jestem gotowy na wezwanie bogów.

– Starcze, do tego dnia jesteś u nas mile widziany. Wiem, że jutro Mahon wraca do domu. Sprawisz nam zaszczyt, spędzając czas, jaki ci pozostał, wielbiąc bogów i modląc się z nami. Każę przygotować izbę dla ciebie.

Keegan skłonił głowę.

– Przez szczodrość dla pielgrzyma spływa na ciebie błogosławieństwo.

W powrotnej drodze Keegan wsparty na Mahonie rozmawiał z nim jedynie o morzu, okolicznych wzgórzach i lesie. Dopiero w kwaterze Mahona strząsnął z siebie iluzoryczną postać.

– Bogowie, teraz widzę, że wiekowe kobiety i mężczyźni należą do najbardziej dzielnych z nas, bo dla nich samo wstanie z łóżka jest aktem odwagi. – Opadł na krzesło, wyciągnął nogi przed siebie i uśmiechnął się z zadowoleniem. – Harken przejrzałby każdą jego myśl, ale mnie wystarczy to, czego się dowiedziałem. W ostatnich miesiącach na głównym ołtarzu składali ofiary z ludzi i to nie jeden raz. A Toric planuje jutro poderżnąć mi gardło, żeby ofiarować Odranowi i jego wyznawcom krew świętego męża u schyłku cyklu życia.

– Jasna cholera.

– Ale to on zakończy swój cykl życia, bo mam pewien plan.



## Rozdział 12

Wieczorem, mniej więcej w tym czasie, gdy Keegan wyłuszczał swój plan Mahonowi, Breen z Marco przez godzinę rozmawiali z Sally i Derrickiem na Zoomie. Oczywiście, zgodnie z przewidywaniami, obaj byli już w strojach i makijażu na Halloween.

– Idziemy jako Morticia i Gomez Adamsowie – wyjaśnił Sally.

– Cara mia! – Derrick dla żartu cmoknął w ramię swojego męża.

– Przyślijcie nam zdjęcia! – zażądał Marco. – Zróbcie też fotki klubu. Założę się, że zanoszą się na szaloną zabawę.

– Temat przewodni *Rodzina Adamsów*. Geo przebiera się za wujka Festera. A wy?

– Ja wybrałem strój kowbojski – palnął bez namysłu Marco.

– Ja będę czarownicą. – Łatwe, pomyślała Breen. – Dobrą czarownicą.

– I bardzo seksowną – dopowiedział Sally. – Też chcemy zdjęcia. To pierwsze Halloween bez was od blisko dziesięciu lat.

Niby jak mają zrobić te zdjęcia, zastanawiała się Breen, kiedy Marco wdał się z nimi w pogawędkę. Będzie musiała coś wykombinować.

– Wiem, że musicie biec do klubu – powiedziała pod koniec godzinnej rozmowy. – Słuchajcie, wybieramy się na wycieczkę krajoznawczą. Tam, gdzie jedziemy, kiepsko działa Internet. Nie przejmujcie się, jeżeli przez kilka dni nie będziecie mieć od nas wiadomości.

Nie do końca kłamstwo, usprawiedliwiła się przed sobą. Ale czy miała wybór?

A jednak dręczyło ją poczucie winy, kiedy krojła w słupki dynię piżmową, którą Marco zamierzał usmażyć w głębokim tłuszczu.

– Powinniśmy przewidzieć, że będą chcieli zdjęcia – rzucił, posypując pieprzem piersi z kurczaków na główne danie. – Skąd wytrzaśniemy kostiumy?

– Nie spodziewają się niczego wymyślnego. – Skwitowała śmiechem jego zawiedzione spojrzenie. – No dobra, liczą na oryginalność. Coś wymyślimy i wieczorem wrzucimy im selfie.

– Powiedziałem, że będę kowbojem. Co to za kowboj bez kapelusza?

Zadumana patrzyła, jak Marco sieka czosnek.

– Masz bejsbolówkę.

– Żaden szanujący się kowboj nie chodzi w bejsbolówce. Nic się tu nie zgadza.

– Mogę stworzyć iluzję. Umiem to robić. Na pewno. Na przykład...

Odwróciła się do Marco i z wizerunkiem w głowie, przesunęła po nim dłońmi. Zachichotał.

– Hej, to nie w porządku. Nie wolno mnie łaskotać. Trzymam nóż!

– Sześciostrażowy pistolet – zabawka z rękojeścią wyłożoną masą perłową – dorzuciła szybko.

Spojrzał w dół i oniemiał.

– Znam cię, musisz cały świecić jak ten kowboj z piosenki *Rhinestone cowboy*.

Koszula obsypana strasami mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Pojawił się czerwony pas z kaburą, a na dzinsach skórzane ochraniacze. Trampki zmieniły się w kowbojki z wąskimi nosami, również wysadzane strasami.

– Jestem kowbojem pełną gębą!

– Leć po bejsbolówkę – poleciła. – Moją też przynieś.

Teraz musiała pomyśleć o sobie. Wypróbowała czarną suknię z asymetrycznym dołem. Do tego botki na szpilkach.

– Wyglądam jak prawdziwy macho! – zawołał, wbiegając do kuchni. Zatrzymał się w pół kroku i przyglądał się Breen, mrużąc powieki. – Głęboki dekolt w szpic, dziewczyno – doradził. – I dołóż czerwony gorset. Najlepiej z koronki. No, teraz lepiej.

Obrócił ją, kiedy pracowała nad poprawkami.

– Chcę zobaczyć karminowe usta i mocno podkreślone oczy. Możesz śmiało przegiąć. Przecież to przebranie.

Burzył palcami jej włosy, aż potargane wyglądały tak, jak według jego mniemania powinna wyglądać fryzura czarownicy.

Potem włożył czapkę.

– No, współniczko, zrób z tego wysoki kowbojski kapelusz.

Dołożyła jeszcze do denka wstążkę ze strasami i dopiero wtedy zmieniła swoją bejsbolówkę w klasyczny kapelusz czarownicy.

– Za wysoki – ocenił i zalotnie przechylił go na bakier.

Rozochociona Breen chwyciła ścierkę do naczyń, narzuciła na Fąfla i zmieniła ją w powiewną pelerynę.

– Fąfel, super!

Marco parsknął śmiechem. W tej samej chwili do kuchni weszła Morena.

– Co tu się wyprawia? – zdziwiła się.

– Cukierek albo psikus! – Marco z dłonią na kaburze przybrał pozę kowboja. – Jestem Marco Kid.

– Widziałam kowboi u was na zachodzie. Żaden tak nie błyszczał.

– Znasz moich przyjaciół? Super Fąfla i Dobrą Czarownicę Breen?

– Powiem ci, że jeśli w tej sukni pojawisz się na przyjęciu powitalnym w Stolicy, nie przesiedzisz jednego tańca. Przywieźliście to wszystko z Filadelfii?

– To iluzja. Nasi przyjaciele poprosili o zdjęcia, musieliśmy coś wymyślić.

– Mogę wam zrobić parę fotek. Wiem jak. A potem przy kieliszku wina powiem wam nowinę.

– Stało się coś złego?

– Nie, nie. Mahon i Keegan wrócili do domu. Brian przesyła ci pozdrowienia – rzuciła do Marco.

– Och, dzięki.

Po dziesięciu minutach pozowania razem i osobno, wyglupach i robieniu min Breen naląła im wina.

– Co to za nowina? Ach, zczekaj chwilę.

Przerwała iluzję i zdjęła z głowy bejsbolową czapkę.

– A tak mi się podobała ta koszula. Trudno. Robię kurczaka z rozmarynem w białym winie – obwieścił Marco. – Jesteś chętna?

– Kto powiedziałby „nie” na taką propozycję? – spytała Morena. – Mam wam przypomnieć, żebyście rozsądnie się spakowali. Wyjedziecie z farmy w dzień po Samhain, godzinę po świcie.

– Szkoda, że ty nie jedziesz – powiedziała Breen.

– W tej chwili jestem tutaj potrzebna. Przekaż ode mnie pozdrowienia mojej rodzinie. Powiedz im, że za tydzień lub dwa wpadnę na krótko do Stolicy.

– A więc, wracając do wiadomości – podjęła przerwany wątek. – *Taoiseach* i Mahon po wizycie na południu nabrali podejrzeń, że ktoś, może nawet więcej niż jedna osoba od nas z doliny, kontaktuje się z Odranem czy Świętobliwymi.

– Znaczą szpieguje? – upewnił się Marco, podsmażając czosnek.

– No właśnie. To może być ktoś, kogo znamy, któryś z bliższych lub dalszych sąsiadów. Co więcej, obaj nie mają wątpliwości, że to Toric przygotowuje atak na południu.

– Kim jest Toric? – chciała wiedzieć Breen.

– Pierwszym Bratem Świętobliwych. Tak nazywają tego, który nimi rządzi, choć twierdzą, że nie ma ponad nimi nikogo oprócz bogów i takie tam dyrdymały. Porwali małą dziewczynkę, wprowadzili ją w sen i trzymają w baszcie. Jutro w nocy zamierzają złożyć ją w ofierze.

– Co takiego? – Marco wpatrywał w się w nią z niedowierzaniem. – Chcą zabić dziecko?

– Nie powinni jej tam zostawić – obruszyła się Breen.

– Zaraz, spokojnie. – Morena wyrzuciła w górę ręce. – Dobrze wiedzą, co robią. Nie dopuścimy do krzywdy dziewczynki, w tej chwili czuwają nad nią Elfy.

Gdy Breen dołączyła do krzątającego się Marco, Morena usiadła na blacie kuchennym i z zainteresowaniem śledziła ich działania.

– Keegan – opowiadała – wywołał iluzję i pod postacią świętego starca udał się prosto do Domu Modlitewnego. Ponieważ Mahon już wcześniej miał pewne podejrzenia, Keegan w trakcie rozmowy z Torikiem tylko je potwierdził. Toric zaproponował starcowi gościnę. Miał dożyć swoich

dni pośród Świętobliwych, a tymczasem zamierzał już w następną noc złożyć go w ofierze razem z dziewczynką.

– Przecież on jest tutaj, więc...

– Wraca tam jako święty starzec. Z pozoru nieświadomy podstępu, da się zwabić Toricowi w pułapkę, żeby mówiąc w skrócie, pokrzyżować mu szyki i doprowadzić do jego upadku.

Zsunęła się z blatu.

– Nie należę do tych, co palą się do wojny. Ale kiedy myślę o tym, co Toric i jemu podobni robili przez pokolenia, robią nadal i będą robić, ilu ludzi zabili albo torturowali w imię swojej wypaczonej wiary, mam ochotę chwycić za miecz i walczyć ze złem.

Pokręciła głową i doląła sobie wina.

– Keegan już wie, że ta dziewczynka ma na imię Alanis. Jej rodzina szaleje z rozpaczy, cały czas jej szuka. Boją się, że stało się z nią coś złego.

– A on nie może im nic powiedzieć – wyszeptała Breen. – Bo jeżeli przez ten jeden dzień nie dotrzyma tajemnicy, stracimy przewagę nad wrogiem.

– Powiem ci, że ciąży mu ta sytuacja. I powiem coś jeszcze. W Stolicy będziesz widzieć sklepy i dzieła rzemieślników, tłumy i tańce na Powitanium. Ale zobaczysz też, jak wymierza się sprawiedliwość, kiedy Keegan zasiada na Krześle Sprawiedliwego i wydaje wyroki na szubrawców pokroju Torica.

\*

Breen źle spała tej nocy, bo myślami i sercem była przy małej Alanis. Żeby dłużej się nie katować, wstała przed świtem. Czuła, że ucieczka w pracę na nic się nie zda, więc o brzasku poszła z Fąflem nad zatokę i patrzyła, jak pies radośnie buszuje w wodzie.

Niebo na wschodzie poróżowiło, nad wzgórzami zawisły złotawe smugi obwiedzone pasemkami szkarlatu. Wstęgi połyskującej srebrzyście mgły, unoszące się znad wody ku światłu, okryły świat zwiewną kurtyną. Kropelki wody wzbijane przez dokazującego psa skrzyły się na niej niczym klejnoty.

Wschodzące słońce rozproszyło mrok nocy. Fąfel wyszedł z wody, usiadł przy Breen i oboje w ciszy patrzyli na budzący się dzień.

Kiedy Marco dołączył do nich z kubkami parującej kawy, pies przywitał go energicznym machaniem ogonem. Jednak Breen nie usłyszała kroków.

– Zobaczyłem cię tu, na dole, i przyniosłem kawę. Co za widok! – Gdy wyciągnął rękę z kubkiem, uderzył go wyraz jej oczu. – Hej, dziewczyno, co jest?

– Zanim znowu wstanie słońce, zanim dzień nadejdzie po nocy, pojawi się śmierć. Płynie krew. Bitewne odgłosy rozrywają powietrze. Kiedy welon mgły zrzędzie w Samhain, nawet umarli będą opłakiwać straconą niewinność. Leci smok, ogień, którym zieję, ma oczyszczającą moc. Niewinność utracona i odzyskana, wyznawców upadłego boga spotka nieuniknione.

Podciągnęła kolana, oparła na nich podbródek. Marco usiadł obok i gładził ją po plecach, a Fąfel przywarł do jej zgiętych nóg.

– Usiłowałam odsunąć od siebie ten obraz, ale wiem, że muszę na to patrzeć. Muszę obserwować. Dziś wieczorem.

– Chyba nie powiesz mi, że się tam wybierasz?

– Nie, nie muszę tam być, żeby widzieć. Swoją obecnością jedynie niepotrzebnie zwiększyłabym ryzyko. Marco, ja czuję, że jest coś, co muszę odnaleźć, stać się tym czymś, osiągnąć to, czego jeszcze nie mam. Nie sięgam tam. I nie wiem, czy ta wizja oznacza, że już się do tego przybliżam.

Uniosła głowę, oparła ją na ramieniu przyjaciela, objęła psa.

– Wiem natomiast, że za kilka godzin ludzie będą ryzykować życie, żeby nas obronić. Część z nich zginie. I wiem, że w tej chwili w Talamh budzi się mały chłopiec. Jest szczęśliwy i podniecony, bo dziś ma urodziny. Wiem, że to ma znaczenie.

– Oczywiście, że tak. – Podniósł z ziemi kubek z kawą i podał go Breen. – Dlatego zawsze znajdzie się jakiś skurwysyn gotowy to wszystko rozpieprzyć.

Zaśmiała się krótko.

– Święte słowa. Dlatego posiedzmy tutaj z tym cudownym psem i popijając kawę, cieszymy oczy pięknie. To ma znaczenie.

\*

W dolinie porywy wiatru czesały wysokie trawy i podrywały w górę wirujące liście. Słońce przebijało przez chmury, miejscami przecierało się niebo.

Na padoku Harken trzymał na lonży ładnego konia o jelenim umaszczeniu z zaplecioną grzywą. W siodle siedział siostrzeniec Harkena, Finian, który zataczał kolejne koła wzdłuż ogrodzenia wybiegu. Jego młodszy brat, Kavan, z wysokości ramion Keegana machał rączkami i wydawał radosne okrzyki. Rodzice chłopców stali objęci i przyglądali się tej scenie.

Babka małego jeźdźca przysiadła na ogrodzeniu padoku jak młoda dziewczyna. Wiatr burzył jej długie włosy.

– Patrzcie na mnie! Zobaczcie! – zawołał Finian na widok nowo przybyłych. – Harken podarował mi konia. Nazwałem go Stoirm. Dostałem siodło od Keegana. Nawet jest na nim moje imię. Mogę jeździć każdego dnia.

– Wyłącznie na padoku, mój drogi – zaznaczyła jego matka. – Dopóki nie pozwolę na więcej.

Kavan z wyciągniętymi ramionami wychylił się ku Breen. Wzięła go na ręce, podrzuciła kilka razy i posadziła sobie na biodrze, pozwalając mu bawić się jej włosami.

– *La breithe shona duit.* Jeżeli coś pokręciłam, to: wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

– Bardzo dobrze sobie poradziłaś – pochwalił ją od razu Keegan.

– *Mile buiochas!* – odkrzyknął Finian.

– Dziękuję ci – przetłumaczył Keegan.

– To akurat zrozumiałam, znam kilka zwrotów. Tata mnie trochę uczył, ale dużo słów zapomniałam. Teraz to i owo sobie przypominam.

– Mama mówi, że im więcej znasz języków, tym więcej miejsc zobaczysz. – Finian przytulił policzek do końskiej szyi. – Nauczę się ich tyłu co Keegan, żebym mógł wszędzie podróżować.

Uśmiechnął się z udawaną skromnością na widok małego pudełka w rękach Marco i torby Breen.

– Przynieśliście prezenty?

– Najlepsze prezenty to te, o które nie prosimy.

Finian posłał ojcu przymilny uśmiech.

– Ja tylko byłem ciekawy.

– Mój prezent zdecydowanie nie może konkurować z koniem czy siodłem, ale chcę dać ci coś, co od dawna należy do mnie. – Marco wyciągnął rękę z pudełkiem.

– Kiedy oddaje się coś swojego, prezent staje się jeszcze cenniejszy – odpowiedział jubilat.

– Ładnie powiedziane i bardzo prawdziwe – pochwaliła go Aisling. – No, a teraz zsiądź z konia i odbierz swój ważny prezent.

Harken chciał go zsadzić, ale Finian pokręcił głową.

– Nie, ja sam. Dam radę.

Przełożył nogę, zsunął się z siodła i szybko zeskoczył na ziemię.

– A kto będzie zajmował się twoim pięknym koniem? – zapytał Mahon, kiedy Finian przechodził przez ogrodzenie.

– Ja sam, tato. Obiecuję, że zawsze będę o niego dbał.

– Wiem. Zobaczmy, co Marco dla ciebie przygotował.

Finian otworzył pudełko i zobaczył w środku drugie, mniejsze. Rozbawiony tym pomysłem, mocował się z wieczkiem.

– To błyszczący! Widzę jakiś napis, ale nie potrafię go przeczytać.

– Harmonijka. Dostałem ją od taty Breen, kiedy byłem niewiele starszy od ciebie.

Finian aż sapnął z wrażenia.

– Podarunek od *taoiseacha!* Musisz go zatrzymać.

– Czuję, że *taoiseach* chciałby, żebym ci ją dał. To pierwszy instrument, na którym uczył mnie grać.

– Fin, to naprawdę wspaniały prezent – odezwała się Tarryn, podchodząc do nich. – Ma historię, są w nim zaklęte serce i muzyka.

– Tysięczne dzięki. Zagrasz mi coś?

Marco przytknął harmonijkę do ust i zagrał krótki riff.

– To było wesołe.

– Można grać wesołe i smutne melodie. – Na dowód zagrał fragment rzewnej piosenki. – Albo straszne. – Wydobył z harmonijki kilka dramatycznych dźwięków i oddał ją Finianowi. – Spróbuj. Trzymaj ją w ten sposób.

Gdy ćwiczył z Finianem, mały Kavan podrygiwał do rytmu i klaskał.

– Z góry przepraszamy za hałasy. – Marco uśmiechnął się porozumiewawczo do Aisling.

– Nie ma problemu! Muzyka zawsze jest mile widziana.

– Nauczysz mnie grać różne piosenki?

– Po cichu liczyłem, że mnie poprosisz. Popracujemy nad tym. Możesz ją nosić w kieszeni.

Pod tym względem to bardzo praktyczny instrument, bo zawsze masz go przy sobie i grasz, kiedy chcesz.

Podniósł się z kucek i odebrał Kavana od Breen.

– Twoja kolej.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Finian schował harmonijkę do kieszeni, otworzył torbę i zajrzał do środka.

– Książka! Lubię takie różne historie. Mama i tata zawsze mi je opowiadają przed snem.

Wyjął książkę i zaintrygowany przez chwilę wpatrywał się w odręczny rysunek na okładce (wykonany z pomocą Moreny).

– To moje imię. Znam te literki i jeszcze parę innych. Tu jest napisane coś, coś i Finian.

– *Dzielny i szlachetny Finian.*

– A niżej jest *br...* i jeszcze jakieś litery.

– To moje imię i nazwisko. Breen Kelly.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Napisałaś dla mnie książkę?

– Dla ciebie, o tobie. Wymyśliłam dla ciebie przygodę.

– Nie umiem przeczytać tych wszystkich słów. Poczytasz mi?

– Pewnie.

– Wejdźmy do środka. Uciekajmy z tego wietrzyska. Napijemy się herbaty – zarządziła Taryn. – Chodź, mój jubilate. – Pociągnęła go ze sobą. – Posłuchamy opowieści o Finianie przy torcie i herbacie.

Gdy Breen wchodziła ze wszystkimi do środka, Keegan dotknął jej ramienia.

– To bardzo piękny prezent. Nigdy go nie zapomni.

– Niezależnie od tego, co się dzieje, każde dziecko zasługuje na beztrioskie urodziny. Wiem od Moreny, czego się dowiedziałeś i co planujesz. Jesteś pewien, że dziewczynka jest bezpieczna?

– Jest i będzie. Na szczęście śpi i nie zdąży się przestraszyć. – Obejrzał się na południe. – Za kilka godzin będzie po wszystkim. A co do urodzin, masz rację. Malcowi należy się beztrioski dzień. I chętnie posłucham tej historii o nim.

Przeczytała opowiadanie, a gdy zjawiała się Marg z prezentem i życzeniami, musiała przeczytać je jeszcze raz. Tego dnia zamiast praktykować magię i doskonalić się w walce, pojechała na przejażdżkę z Moreną, Marco i Amiszem krążącym nad ich głowami.

Marco wzdrygał się za każdym razem, gdy jastrząb łądował na ramieniu Moreny.

– Kiedyś – zaczęła Breen – chciałabym znowu pojechać do lasu oblatywać jastrzębia. A ty wtedy dostaniesz wolne – rzuciła do Marco.

– I bardzo dobrze.

– Jak wrócisz ze Stolicy, weźmiemy Amisza na polowanie. – Morena zadarła głowę i odprowadziła pupila wzrokiem. Potem przez chwilę śledziła sunące po niebie smoki i unoszące się wróżki.

– Dzisiaj trzeba mieć oczy dookoła głowy. Chciałabym przespać dobrą i obudzić się jutro. To samo Harken. Ciężko mu, że musi siedzieć w dolinie, kiedy bracia będą nadstawiać karku. Niestety, jest tutaj potrzebny, ma czuwać nad Aisling i chłopcami. Tylko pamiętaj, nie powtórz jej tego, co powiedziałam.

– Nie powtórzę. Mnie również strzeże, zgadza się?

– Nigdy czegoś takiego nie mówiłam, ale tak, masz rację.

– I ty też mnie pilnujesz?

Morena poprawiła się w siodle.

– Po swojemu. Ale dosyć o tym. Posłuchaj, w Stolicy masz mieć oczy i uszy otwarte. Chcę poznać wszystkie nowinki i plotki, tam zawsze krąży mnóstwo plotek. I chętnie się dowiem, co teraz jest w modzie, bo się tam wybieram.

– Od tego ja będę twoim człowiekiem. – Marco podniósł rękę. – Relacja Marco Olsena dla magazynu „Wiadomości Modowe”.

Morena ze śmiechem pacnęła go w ramię.

– Trzymam cię za słowo.

Wszystko jest takie normalne, pomyślała Breen, a może po prostu do tego przywykła. Dzień mija za dniem. Po południu krótka ulewa odświeżyła zieleń. Na wzgórzach pasą się owce, a krowy na pastwiskach.

Widziała dzieci bawiące się na dworze, Samhain był dniem wolnym od lekcji. Farmerzy pracowali na polach, znosili do stodół plony na zimę albo ładowali je na wozy i wieźli na wymianę.

Wieczorem na plaży zapłoną ogniska i ona razem ze wszystkimi będzie świętować swój pierwszy Samhain.

Przyszły jej na myśl duchy uwięzione w ruinach. Niektóre wyrwą się stamtąd wygłodzone i żądne krwi. Inne będą rozpaczliwie gnać się do światła.

Przed zachodem razem z Marco zjedli kolację u Marg, a potem pozbierali rzeczy, które mieli zabrać nad zatokę.

– Część z naszych – zaczęła Marg, dosiadając klaczy – świętując, otwiera własny krąg, składa ofiary w domu albo na wzgórzach. Kto chce, może do nas dołączyć. Z każdego plemienia wyłania się siedmioro przedstawicieli do kowenu, który zakreśla krąg i przewodzi rytuałom, ale wszyscy są częścią całości.

– Jak się ich wybiera?

– Sidhe wybierają spośród siebie, podobnie Hybrydzi i cała reszta. Widzącym przeważnie przewodzi Keegan, jako że jest *taoiseachem* i pochodzi z doliny.

– Przecież on wyjechał na południe.

– Tak i na pewno niektórych zdziwi jego nieobecność. Będziemy trzymać się wersji, że uczestniczy w ceremoniach w Stolicy. Zastąpi go Tarryn. Dołączą do niej Harken i Aisling, ja, młody Declan, bo skończył już trzynaście lat, stary Padric, który dobiegł setki, i ty.

– Ja? Babciu, nigdy nie uczestniczyłam...

– Podobnie jak Declan. Wszyscy z wybranej siódemki wciągnęli pierwszy oddech właśnie tutaj, w dolinie.

– A jeżeli coś źle zrobię...

– Co ty gadasz? – interweniował Marco. – Przestań, dziewczyno. Niczego nie schrzanisz. Obserwuję cię, odkąd to wszystko się zaczęło. Według mnie już masz większy rozmach niż wtedy, gdy po raz pierwszy przeleciałem przez tę króliczą norę. Zobacz, jak wczoraj dałaś czadu z tymi kostiumami. I to bez najmniejszego wysiłku. Abrakadabra i już były.

– To było tylko... – Coś, czego nigdy wcześniej nie robiła, dokończyła w myślach.

– Marco zna swoją przyjaciółkę, a ja znam moją wnuczkę. On dobrze mówi, a ja myślę tak samo. Twoja siła rośnie, pamięć się rozjaśnia. Według mnie, jedno łączy się z drugim. To bardzo uroczysta noc, *mo stor*, ale też radosna. – Zatrzymała konia i zatoczyła dłonią krąg. – Rozpala się ogniska, ustawia ołtarz. Gromadzi się lud Fey. A wszyscy z zewnątrz, którzy mają ochotę do nas dołączyć, zawsze są mile widziani.

Kiedy ogniska będą płonąć, na południu rozgorzeje bitwa, pomyślała Breen. Nie popełni błędu, przyrzekła sobie w duchu, kiedy prowadzili wierchowce na plażę. Otworzy się i pośle to, co ma w sobie, tym, którzy będą walczyć w ciemności.

## Rozdział 13

Breen kojarzyła niektóre twarze oraz imiona z ceilidh. Marco, oczywiście, zapamiętał ich więcej, wiedziała, że na pewno ktoś objaśni mu ryt i nie będzie musiała zajmować się nim przez całą ceremonię.

Jak zaznaczyła babcia, wszyscy mieli prawo składać ofiary na ołtarzu. Symbole, wizerunki przodków, jedzenie, wino, kwiaty. Kiedy skończy się składanie ofiar, nadejdzie czas na rozpięcie kręgu, zaklęcia i rozpalenie ognia.

Breen widziała teraz mnóstwo złożonych ofiar, a cały czas donoszono kolejne. Obok wizerunku Eiana, który przyniosła Marg, jego córka położyła bukiet z zasadzonych przez siebie kwiatów. Wzruszona, uściśnęła dłoń Marco, który przyniósł okrągły pszenny chlebek.

– Dobry obrzęd – szepnęła jej. – Z początku nie wiedziałem, co o nim myśleć, ale to jest dobre. Takie... osobiste i pełne szacunku.

Zanim się oddalił, pocałował ją w policzek.

Osobiste, powtórzyła w myślach. Rzeczywiście, też tak uważała. Wizerunki, symbole, jedzenie, kwiaty, to wszystko miało bardzo osobisty charakter.

Wycofała się w cień, żeby tam poczekać na wezwanie. I wtedy jakiś mężczyzna zapytał ją o *taoiseacha*.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo uprzedziła ją dziewczynka, która mu towarzyszyła.

– Tłumaczyłam ci, wujku, że on obchodzi Samhain w Stolicy. – Przewróciła oczami jak chyba większość jej rówieśniczek we wszystkich światach.

– Powinien być tutaj. Tu jest jego miejsce.

– Cały Talamh jest jego miejscem – wyrwało się Breen. Zaskoczona swoją reakcją, uśmiechnęła się do mężczyzny, żeby złagodzić ostrą wymowę odpowiedzi.

– Co ty wiesz? Kim jesteś, żeby tak mówić? Całe życie spędziłaś w świecie ludzi.

– Wujku... Proszę wybaczyć – zwróciła się do Breen jego towarzyszka. – Mój wujek parę tygodni temu przyjechał z północy, żeby spędzić z nami Samhain. Liczył, że *taoiseach* poprowadzi rytuał.

Za plecami wujka dotknęła szyi kantem dłoni, dając tym gestem do zrozumienia, że mężczyzna jest nietrzeźwy, i jeszcze raz przewróciła oczami.

Breen, tłumiąc śmiech, starała się okazać mu sympatię.

– To zrozumiałe, że pan jest rozczarowany. Mam nadzieję...

– Jeszcze się dowiesz, co to rozczarowanie – burknął.

I wtedy to poczuła. Coś jakby wylało się z niego i na moment owinęło wokół jej trzewi jak wąż. To były nienawiść i złość. I przebijający przez nie ponury cel.

Fąfel warknął ostrzegawczo.

– Podniósłbyś na mnie rękę, ty, który jesteś splamiony krwią?

– Tak.

Ze złowrogim błyskiem w oczach spróbował ją popchnąć. Nie cofając się, błyskawicznym ruchem, który i ją, i jego zaskoczył, podcięła mu nogi.

Fąfel natychmiast oparł przednie łapy na piersi mężczyzny i obnażył kły.

Wokół nich zaczął gromadzić się tłum.

– Zostań – poleciła psu. – Harken! Potrzebuję Harkena.

– Jestem. Już jestem. Co się dzieje? – zapytał niby swobodnym tonem, stając nad mężczyzną. – Ktoś wypił o kilka piw za dużo przed rytuałem? No cóż, bywa.

– Ja przepraszam za wujka! Sprowadzę rodziców. – Dziewczynka odbiegła z istic elfią szybkością.

– Chyba zasłabł. – Breen, wołając przytrzymując mężczyznę na ziemi, szepnęła Harkenowi do ucha: – Myślę, czuję, że to szpieg. Jeżeli się mylę...

Harken z uśmiechem położył dłoń na ramieniu leżącego. Ponieważ drugą ręką trzymał

Breen, natychmiast poczuła przepływ jego gniewu.

– Zaśnij – szepnął, nie przestając się uśmiechać, i ciało mężczyzny zwiotczało. – Zemdlał, nic mu nie będzie. No, a teraz cofnijcie się, jeżeli nie chcecie nałykać się jego wyziewów. Odciągniemy go kawałek dalej, niech chłopina sobie pośpi.

– Och, bogowie, Lordan. – Kobieta, która przybiegła za dziewczynką, zakryła twarz rękami. – To brat mojego ojca, od początku czarna owca w rodzinie. Przepraszam za przykrości. Zabierzemy go do domu.

– Nie ma potrzeby – zapewnił ją Harken. – Po prostu dajmy mu się wyspać. – Skinął na jednego z gapiów, żeby pomógł mu odciągnąć nieprzytomnego awanturnika daleko od ołtarza.

– Krewniak czy nie, jutro musi się wynieść z naszego domu. Breen Siobhan, przepraszam za jego zachowanie. Córka mówiła, że cię obraził.

– Nic się nie stało.

Obejrzała się i zobaczyła dwóch mężczyzn czuwających przy śpiącym Lordanie z północy.

Harken wrócił i wziął ją na stronę.

– Nie myliłaś się i możliwe, że jest ich więcej. Damy mu pospać, dopóki tego nie sprawdzimy. A jutro zostanie przewieziony do Stolicy na Osąd. Chodź, brakuje nas do siódemki.

Przed odejściem nachyliła się i cmoknęła Fafla w nos.

– Kochany z ciebie psiak. Dołącz do Marco. Stoi z Finolą, Seamusem i dziećmi. Trzymaj się ich.

Kiedy zajęła miejsce obok Marg, poczuła bicie serca w gardle.

Patrzyła, jak gromadzą się pozostałe siódemki. Sidhe, Elfy, Hybrydzi i Trolle. W zatoce siedmioro Syrenoludzi utworzyło swój krąg.

Tarryn uniosła ku niebu otwarte dłonie.

– Koło czasu się obraca i stary rok ustępuje. Witamy nowy. W Samhain czcimy tych, którzy opuścili ten świat i zapraszamy ich do siebie.

– Niech będą błogosławieni. – Breen dołączyła do chóru głosów.

Potem wszyscy z podniesionymi mieczami rytualnymi trzy razy obeszlili ołtarz, recytując zaklęcie: „Rozpinamy krąg mieczem, mocą, energią naszej Matki Ziemi”.

Kiedy wezwano Cztery Żywioły, Strażników Wschodu, Południa, Zachodu i Północy, Breen poczuła, jak rośnie, rozlewa się i rozkwita w niej światło. Światło, które było mocą; mocą, która była darem.

Po inkantacji Marg do boga podziemi płomienie świec wzniosły się strzeliście ku ciemniejącemu niebu.

Breen wokół siebie i w sobie usłyszała swoje wołanie do bogini.

– O Wielka Pani, Ukochana Księżyców, ześlij nam swoje błogosławieństwo. Obdarz nas mądrością, daj nam odwagę zmierzyć się z tym, co nieuniknione. Jesteśmy twoimi dziećmi, synami i córkami. Pomóż nam przeniknąć przez cienką zasłonę do ukochanych i utraconych. Niech się ziści.

Na ołtarzu zapłonął ogień. Uniósł się strumień dymu.

Kiedy Breen wraz ze wszystkimi w błagalnym geście wyciągnęła ramiona ku księżycom, prosząc, aby wlały światło w ich dusze, usłyszała głos ojca. Brzmiał tak wyraźnie, jakby on stał tuż obok.

„Moje serce, moja nadziejo i nieustająca miłości. Byłaś, jesteś i będziesz dla mnie wszystkim. Breen, miej siłę stawić czoło temu, co nadchodzi, przed czym nie udało mi się ciebie uchronić”.

W jej głowie wciąż rozbrzmiewał głos ojca. Zapaliła Samhainowy ogień. Wzięła świecę, tchnieniem wzbudziła płomień.

Dla ciebie, tato, pomyślała, stawiając świecę na ziemi.

– Oto ogień! – zawołała Tarryn. – Oto światło. Oto – położyła dłoń na brzuchu Aisling – obietnica nowego życia.

– O Panie i Pani, boże i bogini, ofiarujemy chleb i wino w hołdzie dla was i wszystkich, którzy byli przed nami. – Aisling uniosła kielich i bochen chleba. – Niech się ziści.

W ciszy, z czcią przekazała je dalej, na końcu sama wypila łyk wina, resztę zostawiając przodkom.

– Dziękujemy Wielkiej Matce za błogosławieństwo – odezwał się Harken. – Prosimy, aby



obdarzała nas siłą w mroku i w świetle.

– Niech się ziści.

– Dzięki składamy Panu Słońca za jego błogosławieństwo – wyrecytował Declan. – Prosimy, aby obdarzył nas siłą w mroku i w świetle.

– Niech się ziści.

Złożyli podziękowanie Czterem Żywiołom i zamknęli krąg.

– Niech teraz otworzy się ten krąg i nigdy nie przerwie. – Tarryn przycisnęła skrzyżowane dłonie do serca. – Trwamy w nadziei, świetle i miłości. Pielęgnowujemy pamięć o tych, którzy odeszli od nas w nadziei, świetle i miłości. Błogosławieństwo dla was, dzieci Fey i dla wszystkich stojących po waszej stronie.

Marg dotknęła policzka Breen.

– Czułaś go jak i ja.

– Słyszałam go, babciu.

– Ja też. Jakim mocnym jest duchem. Ile ma miłości do ciebie. – Pocałowała Breen w oba policzki. – W tę noc spływa na nas błogosławieństwo. A teraz zgodnie z tradycją Fey obdzielimy dzieci słodyczami.

– Ale na południu się zaczyna... musimy... na południu.

– Miejmy wiarę.

Tu potrzeba czegoś więcej niż wiary, pomyślała Breen. Ojciec mówił o sile. Muszą mieć siłę, żeby stawić czoło temu, z czym walcząc, zapłacił najwyższą cenę.

A więc użyje swojej siły i stawi czoło. Będzie czujna.

Kiedy dzieci objadały się ciasteczkami, zbliżyła się do Samhainowego ogniska.

Wpatrzona w płonienie, czerpała z nich siłę.

Na plażach południa też płonęły ogniska. I na wzgórzach. A także na polach i w obejściach.

Kręgi tworzone przez siedmioro wskazanych.

– Widzę jedynie obrzędy i spokój – odezwał się Harken, stając obok niej. – Może źle odczytałem wizję. Może się pomyliłem.

Wziął ją za rękę. Poczowała, jak przeszedł ją prąd nowej mocy.

– Będziemy czuwać. Jeżeli wizja okaże się prawdziwa, wyślemy nasze światło.

Marg ujęła ją za drugą rękę, powiększając jej moc.

– Ja tam widzę tylko wielkie ognisko – odezwał się Marco, stając za plecami Breen.

– Chcesz zobaczyć? – zapytał Harken.

– Ja... taak. Mam tam przyjaciół. Nie mogę niczego wysłać, ale...

– W tobie też jest światło, bracie. Jak we wszystkich żywych istotach. Połóż jedną rękę na moim ramieniu, a drugą oprzyj na ramieniu Breen. Pokażemy ci, co widzimy.

Nadzieja, siła i wiara sprawiły, że zobaczyli wszystko.

\*

Jeden ze Świętobliwych otworzył kluczem drzwi do ciasnej celi w czeluściach baszty, gdzie spało dziecko. Gdy tylko zbliżył się do dziewczynki, natychmiast troje Elfów wychynęło z muru. Elfka z nożem w zaciśniętej dłoni, walcząc z przemożną chęcią wbicia ostrza, uderzeniem rękojeścią powaliła postać w albie na posadzkę. Od razu schowała nóż do pochwy i wzięła dziecko na rękę.

– Mam cię, *blaith beag* – wyszeptwała, mocno je tuląc. – Skrępujcie go i zostawcie pod kluczem. Czekają go Osąd. I zaraz wracajcie na posterunek – rzuciła i wyfrunęła z celi z trzepotem skrzydeł.

Gdy Elfka ratowała dziecko, święty starzec wsparty ciężko na kosturze stał na wzniesieniu nad plażą.

– Widziałem w życiu wiele Samahainów. Jakim blaskiem płoną rytualne ogniska na tle ciemnego nieba i morza. – Z łagodnym uśmiechem obejrzał się na Torica. – Jak rozumiem, tutejsi wyznawcy nie obchodzą tego święta, nie łączą się w tę jedną noc z bliskimi, którzy odeszli.

– Nie podważamy wyroków bogów, którzy zakończyli ich żywot, nie chcemy zakłócać spokoju umarłych ani ingerować w nałożone na nich kary. Jesteśmy wdzięczni, że będąc u nas, szanujesz nasze zwyczaje.

– Każda wiara, która chwali szlachetne uczynki, nie czyni krzywdy i krzewi tolerancję,

powinna być szanowana – odparł Keegan ukryty pod postacią zgarbionego starca. – Kiedyś odwiedziłem świat, gdzie wierzą, że leży on na złotym talerzu wyniesionym z morza przez ogromną rybę, utrzymującą go na ogonie. Tam, jeśli nawet ktoś umierał z głodu, nie miał prawa spożyć ryby, bo wszystkie były święte. Ale mieszkańcy tamtego świata żyli w zgodzie, kochali swoje dzieci, odnosili się życzliwie do sąsiadów i przybyszów.

– Bywałeś w wielu miejscach, starcze. Może wejdziemy do środka, usiądziemy przy kubku wina i opowiesz mi o swoich podróżach?

– Z przyjemnością.

Dwóch mnichów stało w nawie z dłońmi ukrytymi w rękawach.

Jaka odwaga, pomyślał Keegan. Trzech przeciwko jednemu starcowi.

– Widzę, że wszystkie świece są pozapalane, mimo że nie świętujecie Samahainu.

– Nie, bo to bezbożna noc pogan i heretyków. My podążamy ścieżką jedyne prawdziwego boga, boga ciemności.

Starzec chwiejnie przesunął się o krok.

– Mój synu...

– Nie twój, nigdy twój. Jesteśmy synami Odrana. A ciebie złożymy w ofierze naszemu bogu. – W ręce, którą wysunął z rękawa, trzymał nóż. W świetle świec ostrze połyskiwało ponuro. – Tej nocy wypijemy twoją krew, a ciało rzucimy na stos pogrzebowy.

Starzec podniósł kostur, jakby chciał nim się zasłonić. Kiedy Toric, rozbawiony tym gestem, zaśmiał się złowieszczo, Keegan opuścił nieco kostur, w mgnieniu oka zmieniając go w miecz i przyłożył mu sztych do szyi.

– Mam ci poderznąć gardło, jak ty zamierzałeś starcowi? Z radością bym to zrobił.

Chwyił Torica za nadgarstek dłoni z nożem, wykręcił mu rękę i powalił go na kolana. Jednego z dwóch zbiorów, którzy ruszyli na niego z krótkimi mieczami, unieszkodliwił potężnym ciosem, drugiego przygwoździł butem do posadzki.

– Zamknijcie ich – polecił Elfom, które wysunęły się ze ścian. – Rozbierzcie z alb i trzymajcie pod kluczem. Zajmijcie budynek i wzgórze. Zachowajcie pozycje.

Gdy odezwał się dzwon, zadarł głowę.

– To pewnie sygnał dla ich boga. Nie przelewajcie krwi bez potrzeby. – Spojrzał na leżącego Torica. – A ciebie czeka Osąd.

Wybiegł na zewnątrz, wezwał Crogę i też wysłał sygnał.

Gdy smok wzbiał się w powietrze, z lasów, zza wzgórz i wydm wysypali się Fey. Część z nich zajęła się ewakuacją wieśniaków i pomagała im zabierać dzieci. Reszta na ziemi, w powietrzu i na morzu z obnażonymi mieczami, strzałami napiętymi na cięciwach, pałkami i dzidami czekała na rozkazy.

Na zachodzie, na klifie nad zakolem zatoki, Keegan dostrzegł słabe światło migoczące w ciemnościach.

– Na zachód! – wydał rozkaz, wskazując mieczem kierunek z grzbietu Crogi.

Wyskoczyli z portalu na koniach, pieszo, na skrzydłach i kopytach.

– Łucznicy!

Sypnął grad strzał, niektóre miały płonące groty. Jęki pierwszych konających rozdarły nocną ciszę.

Keegan dostrzegł wycelowany w niego miecz mrocznej Wróżki i cięciem po skrzydle posłał szczerzącą kły zjawę prosto do morza. Kiedy walczył z kolejną, Croga ogonem zmiotł do wody demona, a tam zajęły się nim walczące Syreny.

Trwał nieprzerwany atak szponów, mieczy, kłów i strzał, mimo że kowen Widzących pracował nad zamknięciem portalu. Na rozkaz Keegana Croga zionął ogniem i spalił na popiół szóstkę napastników pędzących ku dzieciom kulącym się za skałami przy ścianie klifu.

Moment później bok Keegana liznęła potężna fala gorąca. Skręcił w tamtą stronę. Zobaczył rozwiane czarne szaty czarnoksiężnika i leżących wokół martwych Fey. Magiczną mocą uderzył w żar płatami lodu. Powietrze zasyczało, buchnęła para. Zanurkował w nią i rzucając moc przeciwko mocy, zmienił opary w krąg gęstej mgły.

Teraz chroniony przed siłami mroku, zeskoczył z Crogi i stanął naprzeciw wroga na osmalonym piasku.

– Znam cię! – O tak, pomyślał, dobrze pamiętał tę twarz, szalone dzikie oczy, zapadnięte

policzki, rozwiane czarne włosy i brodę. – Wściekły Nori.

– A ty jesteś Keegan Słabeusz. Będziesz moim trofeum! – Cisnął piorunem. Keegan go odbił i grom rozpuścił się we mgle.

Rozbawienie błysnęło w szalonych oczach Noriego.

– *Taoiseach* przed tobą chciał mnie skazać na banicję i gdzie on teraz jest? Zabity przez Odrana, błąka się w zaświatach, skomląc o litość. Ty zginiesz z mojej ręki, Odran będzie pił twoją krew, a demoniczne psy na twoim ścierwie...

Keegan przebił mieczem serce Noriego i odrąbał głowę od padającego ciała.

– I po co tyle gadania?

Machnięciem dłoni rozproszył mgłę.

Przywołał uzdrowiaczy, żeby zajęli się rannymi Fey, a sam rzucił się w wir walki.

Na brzegu morza dostrzegł Sedrica. Z rozwianą srebrną czupryną zmagął się z trójką przeciwników. Zanim Keegan zdążył posłać tam strumień mocy, aby wyrównać szanse, Sedric przebił prężącego się do skoku demonicznego psa i użył jego truchła jako tarczy i zarazem tarana. Drugiemu przeciwnikowi odrąbał rękę na wysokości łokcia i w fontannie bryzgającej krwi pionowym cięciem rozplątał brzuch trzeciemu.

– Zamyka się! – Czyjś okrzyk przebił się przez szczęk stali, jęki rannych i wojenny tumult. – Portal się zamyka!

Keegan ponownie wezwał Crogę i polecał pomagać drużynie przy portalu w odcinaniu drogi ucieczki, wyłapywaniu niedobitków i dławieniu czarnej magii światłem.

Portal został zamknięty i zabezpieczony przez kowen, a jednak walka ciągle trwała. Kłęby gęstego dymu unosiły się nad płonącymi chatami i kramami. W gryzącym powietrzu słychać było zduszone błagania o pomoc.

Spocony, z bryzgami krwi na twarzy i ubraniu, walczył z resztkami wrogich zastępów, dla których Talamh stało się śmiertelną pułapką, i rozsyłał ludzi w pościg za tymi, którzy podejmowali desperackie próby ucieczki przez wzgórze, morze, lasy i pola.

Gargulca, który wskoczył wojownikowi na plecy, zmienił w kamień, a gdy ten spadł na ziemię, rozdeptał go na miazgę. Torując sobie drogę mieczem, po wezwaniu Crogi ruszył w pościg za trzema uciekinierami wspinającymi się na klify. Zaklął szpetnie, gdy wdepnął w szlam – pozostałość po demonie – i siekąc mieczem na prawo i lewo, dotarł do Mahona. Stali plecami do siebie i walczyli z rzadziej liczbą przeciwników.

Gdy nad polem bitwy unosiły się jedynie jęki i płacz, zaduch i dym, Keegan nareszcie opuścił miecz.

– Po wszystkim – podsumował. – Poślemy zwiadowców, niech pojną tych, którym ewentualnie udało się przedrzeć. Na pewno nie będzie ich wielu.

Obrócił się i znowu zaklął.

– Ty krwawisz. – Wskazał ranę na ramieniu Mahona.

– Zajmij się tym – odparł Mahon i pokazał palcem bok koszuli Keegana nasiąknięty krwią.

– Niech to szlag, trzy psy rzuciły się na mnie jednocześnie, jeden zdążył mnie ugryźć. Opatrzę cię i pójdę poszukać mojej siostry.

Jednak obaj, wcześniej znieczuleni w bitewnym tumultcie, zaczęli coraz mocniej odczuwać ból. Keegan zasklepił rozcięcie na ramieniu Mahona i syknął z bólu, gdy przyjaciel zamknął rany po zębach demonicznego psa na jego boku.

– Resztą zajmie się ktoś, kto ma większe umiejętności od nas. – Wytarł twarz wierzchem dłoni i powiódł wzrokiem po plaży, wzgórzach i wsi. Wszędzie zgliszcza, krew i ruiny. Śmierć.

– Najpierw zaopiekujemy się naszymi ludźmi. Tymi tam zajmujemy się w drugiej kolejności. Tych, co przeżyli, zwiążemy i oddamy pod Osąd. A zabitych spalimy i posypimy solą popioły. Ciała naszych zabierzemy do domu.

– O bogowie, marzę o beczce piwa i łóżku.

– Jestem za piwem i kąpielą, ale wiele bym oddał, gdybym mógł się znaleźć w objęciach mojej ukochanej. Trudno, muszą mi wystarczyć twoje ramiona.

Mahon położył dłonie na barkach przyjaciela, a gdy ten się roześmiał, dotknął czołem do jego czoła.

– Dobra robota, bracie.

– Dobra robota. Jednak idę o zakład, że to były dziecinne igraszki w porównaniu z tym, co

nas czeka.

– A więc będziemy walczyć, leczyć rany, czcić naszych zabitych. Nie ugniemy się. Będziemy walczyć za Talamh i wszystkie światy.

– Za Talamh i wszystkie światy – zawtórował mu Keegan i schował miecz do pochwy. – Bogowie, jaki odrażający jest smak zabijania. Przysięgam, ruszę w tany w dniu, gdy więcej nie będę musiał go czuć. – Zadarł głowę i popatrzył na Dom Modlitewny. – Dopilnuję, aby Toric i ci wszyscy, którzy leżą teraz powiązani, zostali osądzeni.

– *Taoiseachu!* – Pędził do niego jeden z Elfów zostawionych na posterunku w Domu Modlitewnym.

– Pilnujcie budynku i wszystkiego, co jest w środku?

– Tak, tak, ale... – Miał łzy w oczach. – Znaleźliśmy jednego z tych bydlaków w celi pod dzwonnica. Z nożem w ręce ociekającym krwią. I trzech chłopców. Dwóch już nie żyło. Mieli podcięte gardła. Zanim zdążyliśmy go powstrzymać, podciął gardło trzeciemu. To byli mali chłopcy. Po prostu dzieci.

– A on żyje?

– Zabiłem go. Nie powinienem. Postąpiłem wbrew rozkazom. Ja...

– Myślisz, że mogę cię za to winić? Ty jesteś... Colm, zgadza się?

– Tak, panie.

Sam jesteś dopiero подростkiem, pomyślał Keegan.

– Wiedz, że nie żywię do ciebie pretensji. Odszukamy rodziny pomordowanych chłopców. Jeżeli byli sierotami, uhonorujemy ich wraz z naszymi poległymi.

Spojrzał na wzgórze i poczuł pałący gniew. Gniew i smutek roznieciły płomień trawiący jego duszę.

– I ja, *taoiseach*, przysięgam ci, Colmie, że z tamtej budowli nie zostanie kamień na kamieniu. Zniknie wszelki ślad po niej i po złu, które tam rosnęło. Wzniesiemy pomnik na tej uświęconej krwią ziemi. Monument ku czci poległych, niewinnych i dzielnych i każdy, kto żyje w świetle, będzie mile widziany w tym miejscu. – To powiedziawszy, westchnął głęboko. – Tak postanowiłem.

Zanim skierował się ku stopniom wiodącym na wzgórze, na moment położył dłoń na ramieniu Elfa.

– Dobra robota – powiedział i odszedł, dźwigając swój gniew i żal.

Gdy pierwsze gwiazdy rozbłysły na niebie, Keegan nareszcie mógł wrócić w dolinę. Poleciał Mahonowi i Sedricowi sprowadzić do domu zwłoki mieszkańców doliny, reszcie drużyny rozkazał postąpić tak samo z ciałami wojowników z całego Talamh.

Nie ruszył się z południa, dopóki ciała wrogów trawione smoczym ogniem nie zmieniły się w popiół razem ze stosem.

Część wojowników musiała zostać, by pomóc miejscowym odbudować to, co zostało zniszczone, i zetrzeć Dom Modlitewny z powierzchni ziemi.

Keegan pragnął jak najprędzej znaleźć się w domu. Gdy Croga obniżył lot, nachylił się nad smoczą szyją.

– Odpocznij porządnie, *mo dhearthair*. Wielkie dzięki za twoją odwagę i talent – wyszeptał, chociaż wcale nie musiał tego robić, bo obaj doskonale rozumieli się bez słów.

Śmiertelnie znużony, zsunął się na ziemię i ciężkim krokiem ruszył na farmę, do chaty z zapraszająco rozświetlonym oknem.

Mógł pójść prosto na górę, paść na łóżko w poplamionym krwią ubraniu, przesiąkniętym wonią potu i dymu, ale w kuchni też paliło się światło.

Matka z bratem pili herbatę przy kuchennym stole. Sądząc po zapachu, szczerze dolali do niej whiskey.

Tarryn podniosła się i objęła go, nim zdążył ją powstrzymać.

– Jestem brudny.

– Jesteś cały i żyjesz, podobnie jak Mahon i Sedric. Czuwaliśmy nad wami. – Cofnęła się na tyle, by pocałować go w policzek i spojrzeć mu w oczy. – Dobra robota – przyznała.

– Portal zamknięty i zabezpieczony – zaczął.

– Czuwaliśmy – powtórzyła. – Cały czas. Breen otworzyła Samahainowe ognisko, wszyscy patrzyliśmy. Siadaj. Napij się whiskey. Potowarzyszmy ci z herbatą.

Posłusznie usiadł.

– Nie spaliście.

– Tak jak ty – odezwał się Harken. – Jakieś niecałe dwie godziny temu rozmawiałem z Mahonem i Sedrikiem. Nasi zmarli już wrócili do domu. Jutro o świcie ciała wojowników ze Stolicy i całego Talamh wyekspedujemy w ich rodzinne strony. Osobiście tego dopilnuję.

Podziękował smętnym skinieniem głową.

– Wypijmy za tych, których straciliśmy, i za ich dalsze życie w świetle. – Podniósł kubek podsunięty mu przez matkę.

Po spełnieniu toastu Tarryn pocałowała go w czubek głowy.

– A teraz coś zjesz.

Kiedy sięgnęła po patelnię, Harken zerwał się z krzesła.

– Ja się tym zajmę, mamó.

Posłała mu chłodne spojrzenie.

– Myślisz, że nie umiem usmażyć jajecznicy na bekonie dla moich chłopców?

– Myślę, że w Stolicy niezbyt często zagładasz do kuchni.

– Posadź tyłek na krześle. Zjecie, co wam przygotuję, i ma wam smakować.

Postawiła patelnię na kuchni, odwróciła się i otoczyła ich ramionami. – Moi chłopcy – powtórzyła i tym razem obu pocałowała. – Keeganie, jak się najesz, pójdziesz porządnie się wyszorować. Cuchniesz.

– Jakbym nie wiedział. – Przechylając się do niej, zamknął dłoń na dłoni Harkena. – Kazałem zburzyć Dom Modlitewny, poświęcić ziemię i zbudować pomnik ku czci poległych. Tamci dwukrotnie nas zdradzili – ciągnął, kiedy Harken i matka patrzyli na niego w milczeniu. – Nie pozwolę, żeby dopuścili się zdrady po raz trzeci.

Tarryn odwróciła się do kuchni, położyła na patelni plastry bekonu.

– Niektórzy członkowie Rady, a i zwykli zjadacze chleba będą się sprzeciwiać, widząc w tym zamach na wolność i prawo wyboru.

– A ty?

Pokręciła głową, wybierając jajka.

– Mnie jako dowód zbrodni wystarczy porwanie dziecka na ofiarę czy knowania z Odranem. Mahon nam powiedział, że zabili trzech chłopców, którzy pojechali tam usługiwać i zdobywać wiedzę.

– Na pewno byli też inni, nieświadomi ich zdrady i ofiar z krwi na rozkaz Torica.

– To wszystko mogą potwierdzić empaci. Wyślemy tam z troje. Wyjątkowo wrażliwi, widzą i czują więcej niż inni, ich argumentów nikt nie odeprze.

– Widziałem tych chłopców – wyznał Keegan i gestem ręki uciął ewentualną dyskusję. – Załatwię to. Koniec z chronieniem tych, którzy uprawiają tajemne praktyki i rytuały, przelewając naszą krew na cześć Odrana czy jakiegokolwiek innego boga.

– Bez końca ci powtarzam, żebyś nauczył się powściągać gniew i działał bardziej dyplomatycznie – komentowała Tarryn, smażąc jajecznicę. – Jednak w tym wypadku masz prawo kierować się gniewem. Czy tamta dziewczynka i jej rodzice przyjadą do Stolicy na Osąd?

– Tak, wszystko już ustalone.

– To dobrze. Zobaczają ją i poznają. – Rozłożyła jedzenie na talerze i postawiła je na stole. – A teraz podjemy. Potem się prześpimy, a ty – zwróciła się do Keegana – zmyjesz z siebie bitewny odór i brud i dopiero odpocznesz. Czeka nas mnóstwo pracy.

## Rozdział 14

Breen kiepsko spała, prześladowana obrazami, które zobaczyła w ogniu. Zdążyła już się spakować na podróż na wschód. Ograniczyła się, zgodnie z poleceniem, do rzeczy, które jak sądziła, mogły się przydać w Stolicy. Na wszelki wypadek dorzuciła do bagażu papier i pióro wyczarowane przez babkę.

Może nadarzy się okazja, żeby trochę popisać.

Przed świtem zeszła na parter, zaparzyła kawę i wypuściła Fąfla. Bała się, że pies zostawiony u Marg, kierując się węchem i umysłem, może próbować podążyć za nią.

Ewentualnie mogła go zabrać ze sobą i robić przerwy w podróży. Bardzo urósł, pomyślała, obserwując pupila pływającego w zatoce. Trudno, jakoś sobie poradzi.

Marco zszedł na kawę.

– Jesteś pewna co do Briana? Nic mu się nie stało?

– Jest cały i zdrowy i już wrócił do Stolicy. – Bo do niego należał transport zwłok, pomyślała, ale tę wiadomość zostawiła dla siebie. – Zobaczysz go za kilka godzin.

– Lepiej się poczuję, jak sam to sprawdzę. Zrobię nam ciepłe śniadanie. Czeka nas długa podróż.

Pięć do sześciu godzin w siodle w zależności od tempa, uprzedziła ją Marg, a potem kawałek na smoku albo na skrzydle wróżki.

Zjadła, ubrała się, spakowała karmę i przysmaki dla Fąfla, przyznając w duchu, że i ona, i on woleli się nie rozstawać.

– Jak sądzisz, mogę wziąć harfę? Wiem, że to dodatkowy...

– Skoro ja biorę psa, myślę, że ty możesz zabrać harfę.

– Jedzie z nami? – Twarz Marco rozjaśniła się. – Świetnie! Też się lepiej poczuję. Widziałem, jak wczoraj załatwił tamtego faceta, który do ciebie doskoczył. Wiem, że jeszcze jest wcześniej, ale...

– Lepiej być tam za wcześniej niż się spóźnić.

Wznieciła światło, żeby lepiej widzieć drogę, i ruszyli do Talamh w chłodny mglisty poranek.

Breen słyszała głosy i pobrzękiwanie uprząży siodłanych koni i widziała krzątających się podróżnych.

Kiedy przeszli przez drogę, zobaczyła babkę w pelerynie, a obok niej Sedrica. Podeszła do nich i oboje uściskała.

– Widziałam cię w ogniu. Widziałam, jak walczysz – zwróciła się do Sedrica. – Dobrze, że już wróciłeś. – Przytrzymała jego dłoń. – Cieszę się, że wyszedłeś z tego cało. Jedziesz z nami do Stolicy?

– Nie, jestem tutaj potrzebny. Ale kawałek was odprowadzę. Trzymaj głowę wysoko, Breen Siobhan. Jesteś córką swojego ojca.

Obejrzała się na Harkena, który przyprowadził Boya.

– Bezpiecznej podróży – powiedział.

– Dzięki. Czy dla Boya to będzie za duży wysiłek, jeżeli wezmę Fąfla na siodło, kiedy się zmęczy?

– Nie, ale będzie ci niewygodnie. Keegan jedzie na Merlinie, a Croga też leci. Niech weźmie naszego chłopaka na grzbiet.

– Och, nie wiem, czy... – to możliwe, dokończyła w myślach.

Później się tym zajmie, jak minie zamieszanie. Jeźdźcy wyprowadzali konie na drogę, smoki krążyły pod jaśniejącym niebem.

Zobaczyła Keegana wyłaniającego się z mgły.

– Wszyscy się zebrali? Jeżeli jesteście gotowi, ruszamy.

Przechylił się do Harkena, poklepał go po ramieniu i szepnął mu coś do ucha. Mahon, zanim

wzbił się w powietrze, objął Aisling i uściskał chłopców.

Sedric podniósł z ziemi torbę na ramię Breen i przytroczył ją do siodła.

– Spakowałam widzące zwierciadło – uprzedziła babkę.

– Będę tutaj, gdybyś mnie potrzebowała. – Marg pocałowała ją w policzek. – Czerp przyjemność z tej podróży.

– Dobrze. – Przynajmniej spróbuję, pomyślała. Wsiadła na konia i razem z Marco dołączyli do kolumny. Konie szły żwawym truchtem, Fąfel biegł obok, dotrzymując tempa. Kierowali się na wschód tam, gdzie słońce malowało niebo światłem i kolorami, piętrzyły się wzgórza, połyskiwały jeziora i wiły się wstęgi rzek.

Breen zobaczyła dzieci. Część szła pieszo, a część jechała w stronę pojedynczego budynku na pustkowiu. Domyśliła się, że to szkoła na krańcu doliny. Tu i ówdzie między szachownicami pól wyrastały skupiska chat. Kamienne murki rozdzielały łąki, na których pasły się owce, konie i krowy. Ogrody przybrały jesienne barwy i tylko gdzieś tam kwitły jeszcze pojedyncze kępy kwiatów.

Kiedy zobaczyła, że Fąfel przestaje nadążać, zjechała na pas trawy pomiędzy drogą i murem. Nie zdążyła zsiść z konia i podsadzić psa na siodło, gdy Croga ślizgowym lotem opadł w dół. Spłoszone owce rozpierzchły się po pastwisku niczym rozsypane kule bawełny. Smok przysiadł na łące i złożył skrzydła.

– Dziewczyno, wracaj. – Marco skierował konia na przeciwległy kraniec drogi. – Może Smocze Panisko chce się kimnąć. Podjedźmy jeszcze kawałek.

– Dobrze, tylko wezmę Fąfla na siodło.

Akurat gdy już miała przetrzucić nogę ponad końskim grzbietem, łukiem podjechał do niej Keegan.

– Każ mu sięść na Crodze. Inaczej cię nie odstąpi.

– Nie jestem pewna, czy powinien...

– Nic mu nie będzie, sama zobaczysz. Nie będzie pierwszym psem, którego Croga poniesie na grzbiecie. Za godzinę zrobimy postój, odpoczniemy i napoimy konie. Pies już wyraźnie słabnie. Pokaż swojej pani, co potrafisz – rzucił do Fąfla.

Ku zaskoczeniu i zdenerwowaniu Breen Fąfel przesadził murek, a kiedy Croga rozłożył skrzydło, wdrapał się po nim na jego grzbiet.

– Słyszałem, że wczoraj Fąfel zachował się jak bohater, więc nie traktuj go jak dzieciaka. – Dał znak Crodze i smok z psem w siodle gładko wzniosł się do góry.

– No teraz jest smoczym jeźdźcem. – Zadowolony Keegan pogalopował z powrotem na czoło kolumny.

– Smok niesie psa na barana. – Marco, kręcąc głową z niedowierzaniem, dołączył do Breen. – Czegoś takiego nie zobaczy się w Filadelfii.

– Podoba mu się. – Breen czuła, że Fąfla cieszy lot, szybkość i opór wiatru.

Wjechali na równiny.

Jak okiem sięgnąć wszędzie były patchworki z zieleni, złota i brązu. I lasy z drzewami o pniach tak grubych, że objąć je mogłyby dopiero trzy osoby, gdyby mocno wyciągnęły ramiona.

Gdy Breen otworzyła się na otoczenie, wyczuła tętniące tam życie. Słyszała lisa i niedźwiedzia, wróbla i jastrzębia, sarnę i królika, Elfa i Hybryda. Dotarli do mostu nad rzeką o barwie mocnej herbaty. Na północy wysokie góry wbijały się w chmury, ich szczyty zdawały się nad nimi unosić.

– Schody Olbrzyma – wyjaśnił jej ktoś jadący obok. – Najwyższa góra to Smocze Gniazdo. Niedługo ich szczyty przykryje śnieg i będzie tam leżał aż do święta Lammas.

Kojarzyła tego przystojnego młodzieńca z rumianą cerą z ceilidh, ale za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Marco nie miał problemu.

– Hugh, a tu, na dole, pada śnieg?

– Rzadko. Wyższe partie gór są oszronione, bo tam nieźle mrozi. Ale po co się pchać tak wysoko? Raz tylko, na podnóżu Schodów Olbrzyma, poczułem, co znaczy siarczysty mróz. To są moje rodzinne strony. Tutaj się urodziłem.

– Znasz Briana Kelly?

– Jasne, że znam. Dorastaliśmy razem, nasze matki są kuzynkami. Nasze rodziny osiadły na północy Talamh.

– Brakuje ci północy. – Breen słyszała tęsknotę w jego głosie.

– Och, tak. Wróć na dobre do domu, jak tylko pokój zapanuje w Talamh. Czekam na mnie żona i niespełna dwuletni synek. Kiedy oddamy cześć tym, którzy zginęli w walkach na południu, pojedę do siebie i tam będę czekał na kolejne wezwanie.

Przejechali przez most i zaprowadzili konie nad wartki strumień wijący się w kępie drzew.

Breen zsiadła z Boya, oddała wodze Marco i pobiegła do miejsca, gdzie opadł Croga. Fąfel zeskokczył z jego grzbietu z taką samą radością, z jaką wcześniej tam wskoczył.

– Mój ty ujeżdżaczu smoków. Napiszę o tym w kolejnym rozdziale. – Wyglaskała go, a potem pozwoliła mu pobiec na szybką kąpiel w strumieniu.

Kiedy wracała, dołączył do niej Keegan.

Nie sprawiał wrażenia wyczerpanego brutalną walką ani wieloma godzinami spędzonymi w siodle. Wręcz przeciwnie, wyglądał absurdalnie romantycznie, tak jak rano, gdy na czarnym ogierze wyłonił się z mgły.

Mądrzej i dojrzej, poprawiła się w duchu, bo zamiast myśleć o jego wyglądzie, powinna się skupić na czekających ich zadaniach.

– Miałaś rację co do Fąfla. Straciłam poczucie czasu, nie wiem, jak długo jeszcze będziemy jechać.

Wycelował palec w niebo.

– Widzisz słońce?

– No tak, widzę. – Zdążyło wyłonić się zza chmur i jasno świeciło.

– Od wyjazdu z doliny trzy godziny przesuwało się po niebie, a więc tyle czasu jesteśmy w drodze. Ponieważ utrzymujemy dobre tempo, powinniśmy dotrzeć do Stolicy za dwie godziny z kawałkiem. Teraz damy odpocząć koniom, a w tym czasie ludzie się posilą. Prowiant masz w torbie przy siodle, moja matka o to zadbała.

– Och, jak miło z jej strony.

– A pies... – Urwał, wpatrując się w nią ze zdziwieniem. – Co ty robisz? Coś ci się stało w nogę?

– Czemu? – Trzymając lewą nogę za kostkę, przyciągała ją do poślądka. – Ćwiczenie rozciągające. – Postąpiła tak samo z prawą nogą i pomasaowała udo. – Rozluźniam te mięśnie.

– Hmm, a wracając do psa. Może lecieć na Crodze do przedmieść Stolicy. Potem powinien biec obok ciebie. A ty razem ze mną i matką wjedziesz do miasta na czele kolumny.

– Dlaczego mam się wysunąć na czoło?

– Bo jesteś wnuczką Mairghread i córką Eiana. Oboje byli *taoiseachami*. A ty jesteś... kim jesteś. Rozpoznają cię po włosach, oczach. Chcą cię zobaczyć. Do tego czasu możesz jechać, jak chcesz. Przyślę kogoś po ciebie, gdy nadejdzie pora.

– Co ja mam robić? Och, daj spokój. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji.

Keegan przecesał włosy palcami.

– Ludzie wylegną na ulice. Wiedzą o zwycięskiej bitwie. To budzi dumę. Słyszeli o ofiarach i wiedzą, że ich rodziny przeżywają żalobę. To przynosi smutek. Siedz w siodle wyprostowana i trzymaj głowę wysoko. Patrz ludziom w oczy, bo im zależy, żebyś ich dostrzegła. I dobrze by było, gdybyś się pojawiła na ceremonii ku czci poległych.

Skinał ręką, dając znak, żeby wrócili do koni, i wskazał torbę przy jej siodle.

– Zjedz coś.

– Co zrobiliście z pojmanymi Świętobliwymi? I z tamtym człowiekiem, szpiegiem, z doliny?

– Siedzą w areszcie, pilnuje ich straż. Najpotężniejsi pozostaną skuci aż do Osądu.

W torbie przy siodle znalazła zawiniątko z chlebem i serem oraz jabłko.

– Kiedy będziesz ich sądził?

– Jutro. Może nawet dwa dni, jeżeli zajdzie potrzeba.

– Mogę to zobaczyć?

– Tak, nawet powinnaś przy tym być. – Podniósł dłoń, zanim zdążyła zadać kolejne pytanie.

– Zjedz, porozciągaj się, czy co tam chcesz. Za dziesięć minut wyruszamy. Ktoś wytłumaczy ci wszystko, co powinnaś wiedzieć, odpowie na wszelkie twoje pytania. Fąfel niech leci na Crodze do czasu, kiedy po ciebie poślę.

Kiedy odszedł, odgryzła kęs chleba.



– Ciężar świata spoczywa na twoich barkach – podsumował Marco. – Chciałem go rozluźnić jakimś żartem, ale pewnie to byłoby nie na miejscu.

– Mówił, że będzie nam towarzyszyć duma i smutek. Ja widziałam jedynie smutek. – Podsunęła jabłko Boyowi. – Wcześniej zaskoczył mnie jego wygląd... – Szukała bezpiecznego określenia. – Po tym, co przeszedł w ciągu ostatniej doby, nadal wygląda świeżo i tryska energią. Masz rację, Marco, z tym ciężarem świata. A właściwie światów. To on go dźwiga.

– Też masz w tym udział, moja Breen.

– Nie w takim stopniu jak on.

Wsiedli na konie, a ona sprawdziła, czy Fąfel leci na Crodze. Droga wznosiła się i opadała, patchworki pól w środkowej, nizinnej części Talamh zastąpił pofałdowany krajobraz typowy dla wschodu.

Zobaczyła na polu kamienny krąg z kamienną kolumną pośrodku. Gdy tamtędy przejeżdżali, usłyszała szepty płynące z kręgu. Na cmentarzu obok niewielkiej budowli przypominającej kaplicę owce skubały trawę między stelami. Nie wyczuła tam mroku, a jedynie spokój i miękkie światło.

Marco gawędził z innymi jeźdźcami. Breen usypiał ten szmer głosów i monotony stukot końskich kopyt, odurzało chłodne powietrze pachnące torfowym dymem i trawą. Od czasu do czasu mijali ich samotni jeźdźcy lub pojedyncze wozy zaprzężone w konie. Wszyscy z szacunkiem pozdrawiali orszak.

Miała za sobą nieprzespaną noc. Znużona, zapadła w drzemkę.

Stoi blisko wodospadu w zielonej poświacie, gruby kożuch mchu na pniach drzew odbija się w wodzie. Białe chochliki tańczą nad szmaragdową kaskadą i w toczącej się z szumem wodzie. Biją serca, wiele serc, ich rytm wypełnia jej serce. Małe smoki, jak kolorowe kreski, wzbijają się w górę i opadają w dół. Oczarowana, schodzi na brzeg rzeki.

Wie, że wiele lat wcześniej na dnie tej rzeki siedziała uwięziona w szklanej klatce. Jakis czas temu w tym samym miejscu Yseult rzuciła na nią urok. Ale to już przeszłość.

Teraz, w towarzystwie chochlików i smocząt, otoczona muzyką trzepotu ich skrzydeł, czuje się bezpiecznie.

W rzece przejrzystej jak zielone szkło połyskuje wisior z czerwonym klejnotem. Kiedyś już widziała go we śnie. To Smocze Serce. Wtedy był poza jej zasięgiem.

Kłęka, wyciąga rękę i zanurza dłoń w wodzie. Nad wodą, nad nią przesuwają się cienie.

Spogląda w górę, serce jej wali. Nad głową krąży smok. Czerwony jak klejnot, ze złotymi cętkami jak łańcuch naszyjnika.

Wyciąga rękę do smoka. Drugą sięga po naszyjnik.

Smok kołuje, nie spuszczać z niej złotych oczu. Wisior mieni się w wodzie, czeka, aż go wyciągnie.

Wybierz i stań się, słyszy w głowie głos Marg. Dokonaj wyboru, stań się. Zajmij swoje miejsce, a oboje będą należeć do ciebie.

Nie sięgam ani do smoka, ani do wisiora. Jeszcze nie.

Wyciąga rękę ku niebu, drugą ku wodzie. Cofa się, czuje, jak grunt ucieka jej spod nóg.

Stoi teraz po drugiej stronie wodospadu. Stoi jak duch za Odranem. Jego głos huczy jej w uszach. Ma ochotę przycisnąć do nich dłonie.

Posiwiła Yseult wtóruje mu monotonię. Otaczające ich demony i przekłeci śpiewają z nimi w jakimś obcym języku. Breen go nie zna, ale rozumie słowa.

*Przelewaj krew, karm się śmiercią. Tą uczną wylam zamek. Na mój rozkaz wyważ drzwi. Niech wezmę, co moje, czego mi odmówiono. Niech leje się krew, niech szerzy się śmierć, gdy nastąpi, co ma nastąpić.*

Teraz Breen widzi dziecko, małą wróżkę. Przerazona, rozpaczliwie trzepocze bladoporóżnymi skrzydłami i woła matkę, usiłując uwolnić się z łańcuchów, które trzymają ją w płytkiej wodzie.

Kiedy Odran unosi sztylet, Breen działa bez namysłu. Skupia strumień mocy i wytrąca mu go z dłoni. Z ust zaskoczonego Odrana wyrzywa się bolesne syknięcie. Sztylet przecina łańcuch i spada na dno.

Mała wróżka wlatuje między drzewa.

Po złej stronie, jestem po złej stronie, myśli gorączkowo Breen.

Odran odwraca się gwałtownie i na ułamek sekundy ich szare oczy się spotykają.

Breen czuje, jak wokół niej zamyka się ciemność.

Ktoś wypowiada jej imię, ściska ją za ramię.

Chce się uwolnić, otwiera oczy. To Keegan.

– Siedź prosto – warknął i dopiero wtedy zobaczył jej twarz. – Gdzie byłaś?

– Ja... Odran. Więził dziecko, małą wróżkę. Wodospad, ofiara. Powstrzymałam go. Nie wiem jak. Nie wiem kiedy. W tej chwili czy wcześniej. Nic nie wiem. Ona odleciała, ale on mnie zobaczył. Widział mnie, a mała wróżka została po tamtej stronie.

– Nie, na pewno nie wcześniej, bo wiedziałbym o tym. Jeżeli w tej chwili, to ją znajdziemy, a ona do tego czasu pozostanie w ukryciu. Odnajdziemy każde zaginione dziecko z Talamh. Dopilnujemy, żeby mała wróżka była bezpieczna. Uspokój się – polecił. – Teraz nie czas na to. Sam się tym zajmę. Wsuń się na przód orszaku. Croga przyprowadzi psa. Ustaw się za moją matką. – Mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu. – Odnajdziemy ją. Tak długo będziemy jej szukać, aż ją znajdziemy.

– Dilly. To jej imię. Ma brązowe włosy, złote oczy, śniadą cerę i różowe skrzydła. Chyba ma około sześciu lat. Nie, ponad siedem.

– Znajdziemy ją.

Dał znak jednej z wrózek lecących nad ich głowami i ponaglił Boya klepieniem w bok.

Gdy wydając rozkazy, wracał na przód orszaku, trzech jeźdźców, dotąd trzymających się razem, rozjechało się w różne strony.

– Rozmawiałem z Hugh i Caitem. – Marco zrównał się z Keeganem. – Nie dopilnowałem jej. Ja...

– Nic się nie stało. Jedź teraz za mną, będziesz się trzymać za Breen.

Keegan wysforował się na czoło i zajął miejsce obok matki. Jeźdźcy rozstąpili się, żeby zrobić korytarz dla Marco i Breen.

– Nic mi nie jest – uprzedziła jego pytanie. – A dziewczynka była taka mała i bardzo się bała. Muszę uwierzyć, że ją odnajdą, i pomyśleć o reszcie. Ale nie teraz. Tam, na wzgórzu, masz zamek, fortecę czy jak oni to zwą. Widać coraz więcej chat i ludzi.

– Coś jak przedmieście – podsumował uśmiechnięty, licząc, że ten żart i wygłupy Fąfla płaczącego się między ich końmi, pomogą jej się zrelaksować – Wersja Talamhańska z luźną zabudową. Jasna dupa, Breen, to prawdziwe zamczysko! Dobrze, że zdążyłem się oswoić z takimi miejscami, przecież mieszkaliśmy w zamku w Irlandii.

– Raczej nie liczyłabym na Wi-Fi i platformy streamingowe.

– Niestety.

Mogłaby spokojnie bez tego się obejść, stwierdziła w duchu, myśląc o wizjach, snach i niezwykłych doświadczeniach, które jej się przydarzały, gdy w samotności otaczała ją cisza.

Teraz przyglądała się chatom na farmach z polami ciągnącymi się aż na wzgórza i ludziom, którzy przerywali pracę w obejściach albo wychodzili przed domy. Niemowlętom siedzącym na biodrach matek lub na barana u ojców, brykającym, roześmianym dzieciakom. Młodym Sidhe, którzy rozwijali skrzydła i lecąc nad orszakiem, rzucali jeźdźcom świetlne błyski.

W niektórych zabudowaniach musiały mieścić się warsztaty, bo ludzie, którzy stamtąd się wyłaniali, mieli na sobie skórzane fartuchy, a niektórzy nawet trzymali jakieś narzędzia.

Z jednej z chat wybiegła kobieta, rozwinęła skrzydła i poleciała na spotkanie wróżki, która odbiła od orszaku. Kobiety objęły się i wyczuły w powietrzu.

– One ślubowały przed naszym wyjazdem w dolinę – wyjaśniła Minga. – Keegan będzie udawał, że nie widział, jak Dalla złamała szyk, żeby przywitać się z ukochaną. Na pewno zobaczysz wiele osób z czarnymi opaskami na prawym ramieniu. To matki, ojcowie, bracia, siostry, synowie, córki, żony i mężowie poległych.

– Ile mamy ofiar? Wiesz?

Minga pokręciła głową.

– Keegan wie.

Breen widziała zachwyty w oczach Fąfla. Dzieci! Ludzie! Owce! Krowy! Spojrzała na niego, akurat gdy zadarł łeb. Miał uśmiechnięty pysk.

– Żadnego biegania samopas – ostrzegła go. – Dopóki nie rozejrzemy się po okolicy.

Czuła, jak bardzo go to korciło. Ale posłusznie dreptał przy koniach, zadowolając się zerka-

niem na prawo i lewo.

Za mostem rozpiętym nad wąską rzeką przez szeroko otwartą bramę wjechali do miasta. Ludzie stali wzdłuż drogi albo na dachach krytych strzechą chat, sklepów, gospód i warsztatów. Breen zauważyła, że przeważały tutaj miejskie stroje. Najwyraźniej zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn panowała moda na kamizelki. Kobiety miały spódnice kończące się powyżej kostki albo dopasowane, barwne spodnie. Kolorowe szale albo długie płaszcze chroniły je przed jesiennym chłodem.

Z otwartych drzwi gospód sączyła się muzyka i niosły się powitalne okrzyki. Na ulicach czuło się zapach potrawek duszonych na wolnym ogniu i smażonych mięs. Od czasu do czasu nadlatywała woń kwiatów z okiennych skrzynek lub zaduch z obory.

Breen przypomniała się wycieczka do parku etnograficznego w Bunratty w hrabstwie Clare. Była nim oczarowana. Jak dziwnie tamto wspomnienie przenikało się z tym, co teraz tutaj czuła. Już kiedyś przebywała w Stolicy. Oczywiście tego nie pamiętała, ale wiedziała, że rodzice przywieźli ją na Osąd nad stronnikami Odrana, którzy uczestniczyli w jej porwaniu.

– Mamy pięć studni w Stolicy. – Minga gestem ręki wskazała miejsce, gdzie ludzie gromadzili się z wiadrami i dzbanami. – Czerpiemy z nich wodę dla szkół, do nawadniania pól, dla inwentarza, a także dla zamku. Zboża zostały już zebrane i zwiezione do młynów. Mamy trzy wiatraki. Ci, co mieszkają na terenie zamku, także wnoszą wkład we wspólne dobro.

– Jak w komunie – zauważył Marco.

– Tak, to jest komuna. Wymieniamy się i handlujemy tym, co wytwarzamy czy hodujemy, a także naszymi umiejętnościami i usługami. Konflikty zawsze rozsądza *taoiseach*. Albo Rada w jego imieniu. Cenimy pokój i uczymy go utrzymywać.

– Zasiadasz w Radzie? – zainteresowała się Breen.

– Tak. Chociaż nie urodziłam się w Talamh, przypadł mi w udziale ten zaszczyt. Jest nas siedmioro, a razem z *taoiseachem* i Tarryn, jego prawą rękę, dziewięcioro.

Od głównego traktu wiodącego na zamkowe wzgórze odchodziły boczne drogi. Cały zamek, blanki, wieże i wieżyczki były z kamienia w różnych odcieniach szarości.

Na najwyższej z wież łopotała flaga i czerwony smok zdawał się fruwać na białym polu. W jednej łapie trzymał miecz, a w drugiej buławę.

Breen zobaczyła Crogę. Sunał ponad zamkiem ze skrzydlatym chłopczykiem na grzbiecie. Radosny śmiech malca spływał w dół jak światło słońca.

Pokonali kolejny most i wjechali przez bramę na dziedziniec z fontanną bijącą wysoko pod niebo. Krystalicznie czysta woda mieniła się kolorami tęczy. Na obrzeżach dziedzińca ciągnęły się ogrody o różnej fakturze i barwach. Zamkowe mury, tarasy i balkony zdobiły donice ze zwisającymi kwiatami. W oddali, za ciągle zielonymi błoniami rósł gęsty wysoki las.

Gdzieś w górze zaskrzeczał jastrząb. Rój motyli poderwał się z trawy niczym potężna fala, trzykrotnie zatoczył krąg nad głową Breen i odleciał w stronę kwietnego dywanu.

– Witają cię – powiedziała Minga z uśmiechem.

– Niesamowite. – Zachwyty Marco przygasł, kiedy spojrzał na twarz Breen. – Przestraszyły cię, dziewczyno?

– Nie, zaskoczyły.

Z zakamarków pamięci wyłoniło się jakieś mgliste wspomnienie. Ojciec trzyma ją przed sobą na koniu, ona szeroko otwartymi oczami podziwia potężny zamek, flagę łopoczącą na wietrze, strzelistą fontannę. Słyszy plusk fal obmywających klify. Dokoła wirują motyle. Śmiejąc się, wyciąga ręce, motyle siadają na jej ramionach. Ojciec uśmiecha się i całuje ją w czubek głowy.

Smocze serca, jak twoje włosy – wyjaśnił.

Keegan powiódł ich na tyły potężnej kamiennej budowli. Minga mówiła coś o sokolarni, klifach, ogrodach, ale Breen nie bardzo jej słuchała, chcąc jak najdłużej zatrzymać tamto wspomnienie.

Niestety, rozproszył je gwar; to jeźdźcy zaczęli zsiadać z koni.

Podszedł do niej Mahon i odebrał wodze.

– Ktoś zajmie się końmi i przeniesie wasze rzeczy. Minga wskaże wam komnaty i oprowadzi po zamku, bo Keegan i Tarryn teraz będą zajęci. Do Odprowadzenia zostało trochę czasu, możecie odpocząć, pospacerować albo coś zjeść. Kiedy nadejdzie pora, ktoś po was przyjdzie albo was odszuka, gdybyście wybrali się na zwiedzanie.

– Pewnie chętnie rozprostujecie kości po takiej długiej jeździe. Tędy. – Minga wskazała wejście. – A dalej korytarzem do holu.

– Ale wielki. – Marco rozglądał się, wyciągając szyję. – I wysoki.

– Rzeczywiście, ale to również dom rodzinny. Myślę, że będzie wam wygodnie w komnatach, które wybrała dla was Tarryn. Będziecie mieszkać obok siebie.

– Ogrody są piękne. Mówiłaś, że macie tu sokołarnię?

– Tak. – Minga kiwnęła głową. – Ta ścieżka – wskazała ręką – prowadzi do kwatery, w której szkoli się jastrzębie i uczniów. Dalej jest padok do ćwiczeń z końmi, a za nim teren do nauki łucznictwa i sztuk walk. Jeżeli pójdziecie czy pojedziecie konno do wsi, zobaczycie sklepy, w których wymienia się towary. Materiały, biżuterię, wyroby ze skóry, kowalstwo artystyczne czy akcesoria do magii. Są też warsztaty szewskie i zakłady krawieckie. W gospodach można coś zjeść i wypić, posłuchać muzyki.

Prowadziła ich przez ogród wijącymi się kamiennymi ścieżkami. Po drodze mijali szerokie tarasy i na koniec dotarli do masywnych podwójnych drzwi.

– Bramy pozostają zawarte jedynie w czasie wojny. Wtedy też ryglujemy te drzwi.

Minga przycisnęła wizerunek smoka wyrzeźbiony na kamiennej framudze i drzwi się otworzyły.

Weszli do wysokiego holu z posadzką z wypolerowanego kamienia. Ściany zdobiły gobeliny i rzeźby wykonane z brązu. Promieniście ułożone, sklepione łukiem przejścia prowadziły do kolejnych pomieszczeń, światło słoneczne wpadało do środka przez szklaną kopułę sufitu.

Pod ścianami stały ławy nakryte kilimami i krzesła z wysokimi oparciami. Kompozycje z kwiatów i płonący kominek tworzyły pogodny, ciepły nastrój.

– Pięknie tutaj. A myślałam, że znajdziemy się w czymś bardziej przypominającym... fortecę.

– Kiedy zachodzi potrzeba, zamek zmienia się w fortecę. Tamte schody. – Minga wskazała głową bieg kamiennych schodów.

W przeciwieństwie do kręconych schodów, jakie Breen widywała w zniszczonych oraz odrestaurowanych zamkach Irlandii, te były proste i szerokie.

– Kiedy bramy i drzwi muszą pozostać zamknięte... one, hmm, nie wiem, jak to powiedzieć... – Minga zawiesiła głos i przymknęła oczy. – One... – Wykonała pionowy ruch ręką. – Podstopnice się składają i powstaje stromy szyb.

– No właśnie. Ale gdy nic się nie dzieje, takie szerokie schody są bardzo wygodne.

– I cholernie okazałe – dodał Marco.

W tej samej chwili po schodach zbiegła młoda kobieta w dopasowanych spodniach i zielonym swetrze. Miała brzoskwiniowożółtą cerę, brązowe oczy i wijące się ciemne włosy sięgające do łopatek.

– Mama!

Lekkość, z jaką dziewczyna sfrunęła ze schodów, podpowiedziała Breen, że w jej żyłach musiała płynąć elfia krew.

– Jesteś! Wróciłaś! – Zarzuciła Mindze ramiona na szyję. – Akurat pilnowałam dzieci Gwain, gdy usłyszałam, że wjechaliście do wsi. – Już jesteś!

– Jesteśmy. – Minga serdecznie ją uściskała i po chwili wypuściła z objęć. – Moja córka, Kiara. Przywitaj się z Breen Siobhan i Marco.

– Witam serdecznie. Bardzo się cieszę, że mogę was poznać. Och, jakie piękne włosy! Oboje macie niesamowite włosy!

– Kiara ma talent do układania pięknych i misternych fryzur – wyjaśniła Minga. – Skarbie, od rana jesteśmy w podróży. Chodź, pomożesz mi ulokować gości w komnatach.

– Są bardzo ładne. Zajrzałam tam, kiedy Brigid i Lo roznosiły pościel i ustawiały wazony z kwiatami.

Gdy pogrążone w rozmowie, ruszyły ku schodom, zbiegła z nich zjawiskowa piękność.

Pukle płowych włosów opadały jej luźnymi falami aż do szczupłej talii. Blask złotych jak u kota oczu podkreślała odrobina połyskliwego cienia na powiekach. Urody owalnej twarzy o delikatnych rysach dodawały różowe, idealnie wykrojone usta, wygięte teraz w czarującym uśmiechu.

Miała na sobie tunikę w kolorze oczu, ściągniętą w talii złotym paskiem i wpuszczone w wysokie buty spodnie opływające kształtne nogi.

Otoczająca ją mgiełka uwodzicielskiego zapachu kojarzyła się Breen z wonią dzikich roślin ukrytych w głębi lasu.

– Mingo, witaj w domu. Bardzo nam ciebie brakowało. – Posłała Marco powłóczyście spoj-  
rzenie, okraszone trzepotem długich ciemnych rzęs i skierowała wzrok na Breen.

– Breen Siobhan, prawda? Wszyscy tutaj bardzo na ciebie czekaliśmy.

– To jest Shana – zaczęła prezentację Minga. – Córka Uwina, który jak ja służy w Radzie,  
i Gwen. Breen, córka Eiana, wnuczka Mairghread, i Marco, jej przyjaciel z tamtej strony.

– Nie byłam jeszcze w twoim świecie. Ale teraz czuję, że koniecznie muszę go zobaczyć.

Podążyła mu dłoń, unosząc ją jak do pocałunku. Tymczasem on nią potrząsnął.

– Jeżeli kiedyś zajrzysz do Filadelfii, z radością cię oprowadzę.

– Och, jasne, teraz nie omieszkam tego zrobić. Dopiero przyjechaliście, a ja was zatrzy-  
muje! Mingo, jeżeli chcesz odpocząć albo przywitać się z resztą rodziny, my z Kiarą zaprowadzimy  
gości do ich komnat.

– Bardzo miło z twojej strony, ale *taoiseach* mnie o to poprosił.

Prowadziła ich schodami coraz wyżej, wyjaśniając przeznaczenie mijanych pomieszczeń.  
Ogromna biblioteka, izba kontemplacyjna, przedszkolna sala dla dzieci, pracownia magii i warsztat  
rzemieślniczy. Na następne piętro weszli gęsiego po wachlarzowych schodach. Pokoje muzyczne,  
sale do nauki tańca, atelier dla artystów.

Po pokonaniu kolejnego biegu kręconych schodów, Minga skrzyła w korytarz.

– Twoja komnata, Marco. – Otworzyła drzwi.

Wysokie łoże ze strzelistymi kolumnami, na nim udrapowany pled w odcieniu nocnego  
nieba. W nogach skrzynia z namalowanymi na wieku dwoma księżycami przeglądającymi się  
w gładkim morzu. Na skrzyni karafki, a obok taca z owocami, serami i chlebem. Przepastna szafa  
z drzwiami na wysoki połysk, fotel uszak z podnóżkiem i stół, a na nim kwiaty w wazonie z niebie-  
skiego szkła.

I jego harfa ustawiona obok wazonu.

Przeszklone drzwi prowadziły na taras. Stamtąd rozciągał się widok na ładny podwórzec,  
a z boku, na wschodzie, na pofalowane morze.

– Panorama i pół widoku na dodatek – skomentował Marco.

– Mam nadzieję, że dla nas zagrasz. – Shana podeszła do harfy i przesunęła palcami po stru-  
nach. – Słyszałam, że jesteś bardzo muzykalny.

– Dopiero się uczę gry na harfie. Dostałem ją od Breen.

Shana się obejrzała.

– Jaka dobra przyjaciółka.

– Twoja dobra przyjaciółka zamieszka tuż obok. – Minga wzięła córkę za rękę, wyprowa-  
dziła ją na korytarz i podeszła pod drzwi komnaty przeznaczonej dla Breen. – Tak jak w przypadku  
Marco, jeżeli coś ci nie odpowiada albo będziesz czegoś potrzebować, wystarczy, że dasz nam  
znać.

Łoże Breen też było wielkie i na dodatek miało baldachim z migotliwego jak gwiazdy  
muślinu. W kominku palił się ogień, w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Miała biurko i szafę  
oraz skrzynię pomalowaną w kwietną łąkę. Na biurku stojącym pod ścianą, za którą szumiało  
morze, zobaczyła papier i swoje pióro.

Nie oparła się pokusie; otworzyła szeroko balkonowe drzwi, żeby wpuścić do wnętrza mor-  
skie powietrze, i zobaczyła taras opasujący narożnik.

– Jak tu pięknie! I w środku, i na zewnątrz. Dziękuję, Mingo.

– Cieszę się, że komnata ci się podoba. Tarryn też będzie zadowolona. A teraz damy wam  
się odświeżyć po długiej podróży. Jeżeli macie jakieś życzenia czy pytania, wystarczy kogoś zawo-  
łać. Dziewczęta, wychodzimy, czas zostawić gości w spokoju. – Minga wyprowadziła Kiarę  
i Shanę i zamknęła za nimi drzwi.

– Hopsasa! – Marco z impetem klapnął na łoże Breen. – Co powiesz na małą przekąskę  
i wino? A potem pójde się odświeżyć, bo mam nadzieję spotkać Briana.

Breen, nalewając im wina, zastanawiała się, czemu ta piękna dziewczyna (Elfka, jak  
wyczuła) ze śliczną twarzą patrzy na nią (to też wyczuła) z pogardą.

## Rozdział 15

Keegan spotkał się z rodzinami poległych. To zawsze był najbardziej przytłaczający z jego obowiązków. Potem poszedł sprawdzić, jak wyglądały przygotowania do Odprowadzenia. Do niego, jako *taoiseacha*, należało zapalenie ognia, to on musiał dopilnować, aby do rodzin ofiar trafiły urny na popioły.

Uspokojony, szedł do lochu upewnić się, czy ci, których będzie osądzał, nie poluzowali więzów.

Wszyscy spali. Byli pod wpływem tego samego zaklęcia, którym Świętobliwi uspili tamtą dziewczynkę przeznaczoną na krwawą ofiarę. Oceniał, że pozostaną w magicznym letargu do chwili Osądu, czyli do jutra.

Wrócił na górę, marząc o szklanicy piwa, ogniu w kominku i godzinnej drzemce w miękkim łóżku.

Tymczasem u stóp okazałych schodów czekała na niego Shana.

– *Taoiseachu*, chciałabym z tobą pomówić.

– Teraz nie bardzo mam czas – zaczął.

– Muszę się usprawiedliwić. – Popatrzyła mu głęboko w oczy.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Dla mnie jest. Proszę, tylko chwilę, wiem, jesteś zajęty ważnymi sprawami. Wyjdźmy na dwór, *taoiseachu*. Poświęć mi chwilę.

– Dobrze, ale naprawdę chwilę – ustąpił, myśląc tęsknie o piwie, kominku, łóżku. I spokoju.

Wyprowadziła go na dziedziniec w pobliżu wału nadmorskiego, co dla niego oznaczało niepotrzebną stratę kolejnych cennych minut. Pamiętał jednak, jak niezręcznie ułożyły się ich relacje. Była też w tym jego wina.

Shana przesunęła się krok do przodu i głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Przede wszystkim, chcę powiedzieć, że wiem, jak dobrze i dzielnie walczyłeś, i wiem, że razem z nami wszystkimi oplakujesz poległych.

Położyła dłoń na jego piersi, a drugą na swoim sercu.

– Mój przyjaciel Cullin O'Donahue należy do odchodzących do bogów.

– Przykro mi. Był dzielnym i oddanym wojownikiem.

– Tak. – Łzy zalśniły jej w oczach, gdy wzięła Keegana za rękę. – Wstyd mi za słowa, które padły z moich ust, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, i przepraszam cię za nie.

– Niewłaściwie się zrozumieliśmy i po części to moja wina.

– Nie, wyłącznie moja. Nie składałeś żadnych obietnic. – Przytuliła jego dłoń do swojego policzka. – Chciałam czegoś, czego ty nie chciałeś, i o tym wiedziałam. Zachowałam się agresywnie, bo mnie rozgniewałeś. Budowałam marzenie, którego nigdy ze mną nie dzieliłeś. I nigdy nie udawałeś, że chcesz je dzielić. Wybaczysz mi?

– Shano, nie mam ci czego wybaczyć.

Spuściła oczy, żeby ukryć ogień, który te słowa w nich rozpały.

– Jeśli zechcesz, znowu możemy być przyjaciółmi.

– Byliśmy nimi, jesteśmy i będziemy. – Odczekała moment, zanim podniosła oczy. – Mile wspominać dzielenie z tobą łoża. Jesteś wprawnym kochankiem. Zaprosiłabym cię z powrotem, ale... – Widząc odmowę i niechęć malujące się na jego twarzy, szybko dokończyła: – Teraz jestem z Lorenem Mac Niadhem.

– Cieszę się – odparł po prostu, czym doprowadził ją do wewnętrznego wrzenia. – Zależy mi na tobie. Zawsze tak było.

– To prawda. – Podniosła dłoń do ucha i bawiła się kolczykiem, prezentem od Lorena. – Jeszcze nie złożyłam mu przysięgi, ale zapewne to zrobię. Za jakiś czas.

– Kiedy ta chwila nadejdzie, będzie uszczęśliwiony. Shano, niech szczęście ci sprzyja we wszystkich wyborach i sytuacjach.

– Wiem, że mi dobrze życzysz, że zawsze tak było i dlatego jeszcze bardziej mi przykro z powodu tamtych gniewnych słów. Życzę ci tego samego, Keeganie. Jesteś szczęśliwy?

– Poczuję się prawdziwie szczęśliwy, kiedy w Talamh zapanuje pokój.

– Tak mówi *taoiseach*. – Pokryła uśmiechem gorycz tych słów. – Ale czy Keegan jest szczęśliwy? Podobno gustujesz teraz w rudych włosach. – Widok jego obojętnej miny obudził w niej nadzieję. – Córka O’Ceallaigha. Przywiozłeś ją z doliny. Jest cicha, a niektórzy powiadają, że w tych cichych płonie najgorętszy ogień.

– Nie zawsze bywa cicha, a ognia jej nie brakuje. Ona potrzebuje czasu, jeszcze musi sporo się nauczyć i żadne z nas nie może marnować energii na... flirty.

– No, cóż. Z tego, co mi wiadomo – dotknęła palcem jego policzka – ona do ciebie nie pasuje. Ale życzę ci szczęścia, Keeganie, cokolwiek czy ktokolwiek miałby ci je dać. Całus na przypieczętowanie życzeń. – Przycisnęła miękkie usta do jego warg. – I na potwierdzenie – dodała z westchnieniem – że będę tęsknić za naszymi spotkaniami w ciemności. Błogosławieństwo dla ciebie, Keeganie.

W powrotnej drodze zerknęła w górę i pogratulowała sobie idealnego wycucia czasu, bo Breen akurat stała na tarasie.

Nie będzie musiała podstępem zachęcić Kiary do rozsiewania plotek o jej schadzce z Keeganem. Kobieta, która według niej stała na drodze do spełnienia planów, na własne oczy zobaczyła to, co trzeba.

\*

Keegan ani nie napił się piwa, ani nie wygrzał się przy kominku. Kiedy sokół przyleciał z raportem z południa, zwołał zebranie Rady.

– Zostało niewiele czasu na dokończenie przygotowań do Odprowadzenia – przypomniała mu Tarryn, kiedy paru pomocników, uwijając się jak w ukropie, rozstawiało filiżanki i roznosiło dzbanki z wodą.

Szkoda, że na zebraniach Rady nie podawano alkoholi, pomyślał Keegan, bo bogowie świadkami, że w tej chwili przydałby mi się łyk czegoś mocniejszego.

– Wszystko gotowe, mamó, a zebranie nie potrwa długo.

– Musisz jeszcze zmyć z siebie kurz po podróży i zmienić ubranie.

– Zatrzymano mnie, no i nie traktuj mnie jak dziecka. – Z roztargnieniem poklepał ją po ramieniu, podszedł do okna, otworzył je szeroko, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

– Dopóki Rada się nie zbierze, jestem twoją matką i widzę, że mój syn jest zmęczony.

– Tak jak jego matka, prawda? Więc załatwmy to szybko i sprawnie.

Pierwsza pojawiła się Minga z przedstawicielem Trolli. Bok miał na ramieniu czarną opaskę na znak żałoby po wnuczce, która zginęła na plaży południa.

Wkrótce ściągnęli pozostali. Wchodzili, rozmawiając cicho między sobą, do sali ozdobionej freskami, mapą Talamh i gobelinami symbolizującymi wszystkie plemiona Fey.

Radni stanęli za swoimi krzesłami z wysokim oparciem przy długim stole.

– Pozdrowienia, błogosławieństwo i podziękowania dla wszystkich członków Rady.

Usiadł, a radni poszli w jego ślady.

– Prosimy, jak zawsze, o mądrość dokonywanych wyborów. Oby nasze decyzje wzmacniały pokój w Talamh dla wszystkich tutaj żyjących.

– Wszyscy o to prosimy – padła chóralna odpowiedź.

Po dokonaniu formalności Keegan podniósł rękę.

– Wiem, że wiele spraw czeka na przedyskutowanie, ale mamy mało czasu do Odprowadzenia. Jutro odbędzie się Osąd i Powitanie. Spotkamy się ponownie pomiędzy tymi zdarzeniami. Dziś zaprosiłem was tylko w tej jednej sprawie. Otóż wygraliśmy bitwę na południu, jednak koszt tego zwycięstwa jest ogromny. Każde przerwane życie oznacza stratę dla nas wszystkich. Niestety, o wiele więcej kosztuje nas zdrada tych, co chodząc w białych albach ze złożonymi dłońmi, widzieli w przebaczeniu i tolerancji oznakę naszej słabości.

– Zostaną za to osądzeni – odezwał się Bok.

– Tak będzie. Świętobliwi, tak samo jak w mrocznej przeszłości, w Domu Modlitewnym pod pozorami pobożności ukrywali swój prawdziwy cel. W murach, uważanych za święte, torturowali Fey i składali ofiary z krwi Odranowi.

Dostrzegł gniewny błysk w oczach Flynna; wiedział, że ma sprzymierzeńca w dawnym przyjacielu swojego ojca i zarazem przedstawicielu Sidhe.

– *Taoiseachu* – zabrał głos Uwin, ojciec Shany, reprezentujący Elfy. – Nie możesz mieć co do tego pewności.

– Jestem pewien. Jutro będą zeznawać ci, co porwali, a potem zakłębem uśpili dziecko i planowali je złożyć w ofierze Odranowi. Ja również pod postacią świętego starca miałem podzielić los tego dziecka.

– Muszą zostać osądzeni za porwanie dziecka – odezwał się Rowan z Widzących. – I za rzucenie czaru. Ale jak osądzić czyn, który nie nastąpił, bo mu zapobieżono?

– Tę kwestię zostawmy na jutro. Jednak oznajmiam tu i teraz, że to dziecko nie było jedyne. Chodząc po tym przeklętym miejscu, czułem wcześniejsze śmierci, słyszałem echo psalmów śpiewanych na cześć Odrana. Nie wolno na to pozwalać. Trzeba położyć temu kres. A to przeklęte miejsce musi zniknąć. Zostanie zrównane z ziemią.

– *Taoiseachu!* – Uwin wyrzucił w górę obie ręce. – To pachnie zemstą, a sprawiedliwość rzadko idzie w parze z represjami. Nie wszyscy, na pewno nie wszyscy Świętobliwi uczestniczyli w tych barbarzyńskich praktykach.

– Nie, nie wszyscy.

– W takim razie musimy zostawić im wybór, nie pozbawiać ich miejsca do kontemplacji i czynienia dobra.

– Jeśli mogę – odezwała się łagodnie Tarryn, gdy przy stole rozgorzała gorąca dyskusja. – Nie zburzyliśmy Domu Modlitewnego w dolinie, gdzie Świętobliwi ongiś żyli, modlili się i czynili dobro. Później dobre uczynki zastąpiły prześladowania, czarna magia i tortury. To działo się dawno temu, zanim ktokolwiek z tu obecnych zaczerpnął pierwszy oddech, ale Fey pamiętają. Fey zdobyli się na wybaczenie i dali Świętobliwym tamto miejsce na południu. W ramach zadośćuczynienia za krzywdy przejęli ruiny w sąsiedztwie Bożego Tańca, blisko cmentarza, gdzie spoczywają prochy Eiana O’Ceallaigha i wielu bliskich nam zmarłych. Przejęli je, żeby poruszyć uwięzione duchy prześladowanych i ich prześladowców. Żeby pozwolić im wszystkim swobodnie przejść przez całun rzędniący w Samhain.

Neo, przedstawiciel Syrenoludzi, którym na życzenie wyrastały nogi, uderzył obiema pięściami w stół.

– Jesteś tego pewna?

– Los zrządził, że tam byłam; widziałam, słyszałam, czułam wszystko to samo co Breen Siobhan, córka Eiana O’Ceallaigha. Powiem wam pod jej nieobecność, że aby złamać zakłęcie Yseult, wzmocnione przez Świętobliwych, potrzeba kowenu wiedźm. I powiem wam jeszcze, że w Samhain ożywieńcy rozpięzchli się po całej dolinie i daleko poza nią.

Ruchem głowy wskazała Mingę.

– Minga świadkiem.

– Rzeczywiście. Co prawda nie jestem z Fey i nie posiadam waszego daru, ale nawet ja czułam walkę sił światła i ciemności. Nawet ja widziałam cienie, które przybierając cielesne powłoki, przedzierały się na zewnątrz.

Ponownie zabrał głos Rowan z Widzących.

– Ruiny muszą zostać oczyszczone.

– Co więcej – wsparła go Tarryn – duchy należy porozsyłać do krainy mroku i światła. To będzie wymagać czasu i siły, ale nie wolno siedzieć z założonymi rękami. Oczyszczenie i poświęcenie – oto nasze zadanie.

– Można to samo zrobić na południu – zasugerował Uwin.

– Dwukrotnie nas zaatakowali – odezwał się zniecierpliwiony Flynn. – Sprzeniewierzyli się, poświęcali niewinnych. Pozwolimy im ponownie dopuścić się tej wielkiej niegodziwości?

– Absolutnie nie. Mury runą, nie zostanie po nich kamień na kamieniu. Zemsta, powiadacie?

– Za radą matki dłużej nie tłumił gniewu. – W takim razie niech to będzie zemsta i zarazem wymierzenie sprawiedliwości. Patrzcie!

Wstał, uniósł ramiona, rozcapierzył palce i wykreował na ścianie wizję wspomnienia. Pojawiło się tam trzech chłopców z podciętymi gardłami, leżących w kałuży krwi.

– Te dzieci wysłano tam, aby usługiwały i pobierały nauki. Miały zacząć życie, którego celem było czynienie dobra. Świętobliwi podcięli im gardła. Zamordowali w nadziei, że ich krwią



wzmocnią atak przeciwko nam. Patrzcie teraz!

Przywołał kolejne wspomnienie. Tym razem na posadzce leżał rozciągnięty mężczyzna, zalany krwią.

– Tak skończyli ci w albach, którzy nie wiedzieli albo udawali, że nie wiedzą o niegodziwości panującej w tamtych murach, o prawdziwych zamiarach Świętobliwych. Pomordowani. Nie przez nas, lecz przez swoich braci, żeby zamknąć im usta, gdyby przypadkiem zechcieli zeznawać.

Powiódł spojrzeniem po wszystkich twarzach przy stole.

– Nie ustąpię. Każdy wyrwany kamień będzie symbolem siły, sprawiedliwości i celowego działania. Wysłałem troje empatów w to siedlisko zła i dzisiaj sokół dostarczył ich raport. Możecie go przeczytać. I powiem wam, że wszyscy troje byli przerażeni tym, co tam zobaczyli, usłyszeli i poczuli.

– Nie ustąpię – powtórzył. – Ta ziemia zostanie oczyszczona i poświęcona. A na wzniesieniu, w miejscu Domu Modlitewnego, stanie monument dla upamiętnienia poległych we wczorajszej bitwie oraz zamordowanych rękami tych, którzy ślubowali uzdrawiać, nieść pomoc i kierować się honorem. Jestem *taoiseachem* i taka jest moja decyzja. Nie ustąpię niezależnie od zdania Rady. Przysięgam, że jestem gotów rozebrać te mury własnymi rękami, jeżeli zajdzie potrzeba.

Podniósł się Flynn.

– Masz moje poparcie, *taoiseachu* – oznajmił z gniewem i dumą wypisanymi na twarzy. – Tego wymaga sprawiedliwość i honor.

– Jestem z tobą – zadeklarował Rowan, wstając. – Niech światło powstanie z ciemności. Niech honor rośnie z krwi niewinnych ofiar i tych, co polegli w boju.

– Popieram cię – oświadczył Neo i też się podniósł. – Niech ten monument będzie widoczny z morza i łądu.

Członkowie Rady po kolei podnosili się z miejsc.

Uwin też dźwignął się z krzesła.

– Jestem za rozważą, tolerancją i przebaczeniem, bo one dają nadzieję na utrzymanie pokoju. Jednak wiem, że czasem takie poglądy torują drogę zła do niektórych serc. Dzieci, najcenniejszy dar, pomordowane. Popieram twoją decyzję, *taoiseachu*.

– A więc jesteśmy jednomyślni. Dziękuję za wasze opinie. Jutro poproszę o kolejne w innych sprawach. Niech bogowie nam błogosławią.

To był znak, że zebranie zostało zamknięte. Ponieważ paru maruderów ociągało się z wyjściem, Tarryn taktownie, a zarazem stanowczo wyprosiła ich z sali.

– Dobrze walczyłeś – pochwaliła Keegana, przystając w drzwiach. – Teraz trochę odpocznij. Czekają cię kolejne batalie.

\*

Breen poświęciła scenie na dziecińcu tyle myśli, na ile zasługiwała.

Czyli niewiele.

Zrobiła sobie długą relaksującą kąpiel w miedzianej wannie w ciasnej łazience, pozwalając odpłynąć wszelkim myślom. Ponieważ w jej wypadku podróżowanie z małym bagażem oznaczało minimalną ilość kosmetyków, wykorzystując więc to, co miała, nałożyła delikatny makijaż.

Może i poświęciłaby więcej uwagi tamtej scenie na dziedzińcu, gdyby nie musiała się skupić na włosach. Cokolwiek z nimi zrobi, jakkolwiek je ułoży, wiatr zniweczy jej wysiłki i zmieni fryzurę w siano.

Szkoda, że nie pomyślała, żeby wymienić coś na szal. Niestety, musi jej wystarczyć żakiet. W niebieskiej sukni – chyba odpowiedniej na tutejszą odmianę pogrzebu – i w kozaczkach nie powinna zmarznąć.

Raczej.

– To wszystko, co mam – rzuciła do Fafla, po czym otworzyła szafę i ku ogromnej radości znalazła tam pelerynę z kapturem w tym samym odcieniu co suknia z przypiętą karteczką od Marg.

*Nadmorskie wiatry bywają porywiste. To i niebieska suknia są odpowiednim strojem na Odprowadzenie w Stolicy. Trzymaj się ciepło i uważaj na siebie, Mo Stor. Babcia*

Uśmiechnęła się do Fafla.

– Taka babcia to skarb.

Było jeszcze wcześniej, ale włożyła sukienkę i pelerynę, żeby zobaczyć, jak prezentuje się

całość, no i – teraz ciepło ubrana – mogła sprawdzić, czy Marco nie miałby ochoty na przechadzkę.  
Wykręciła piruet w pelerynie i roześmiała się.  
– Nie wiem czemu, czuję się w tym stroju jak bohaterka powieści. Ale to mi się podoba!  
Chodźmy, zobaczymy, co Marco o tym sądzi.  
Odwróciła się do drzwi i wtedy Fąfel czujnie postawił uszy.  
Ktoś zapukał.  
– Pewnie oboje z Marco pomyśleliśmy o tym samym.  
Otworzyła drzwi i na progu zobaczyła Shanę.  
– Och, przyszedłam ci pomóc ubrać się na Odprowadzenie, ale widzę, że jesteś gotowa.  
– Taak.  
Podobnie jak ty, dodała w myślach, widząc ją w sukni w odcieniu leśnej zieleni z głębokim dekoltem karo i naszyjnikiem ze sporym cytrynem połyskującym w rowku pomiędzy piersiami.  
– Jaka... – Ze śladem wahania Shana zmierzyła Breen spojrzeniem. – Słodka suknia. Przywiozłaś ją z tamtej strony?  
– Nie. Dostałam od babci.  
– Aha. – Nie czekając na zaproszenie, uśmiechnięta, weszła do środka. – Babcie bywają staromodne, prawda? Wygodnie się czujesz w tej komnacie? Podoba ci się widok z tarasu?  
– Wygodnie, a widok ładny. Dzięki.  
Jednak nieproszony gość zamiast skierować się do wyjścia, zawędrował do biurka, więc Breen zdjęła pelerynę i położyła ją na łóżku.  
– Mogę cię czymś poczęstować?  
– Och, jak miło! Marzę o kubku wina. Słyszałam, że pisziesz. Ja nie umiałabym tyle czasu wysiedzieć w jednym miejscu, przelewając słowa na papier. Poza tym długie przesiadywanie może... – Rozłożyła ręce i pokazała szerokie biodra.  
Wzięła od Breen kubek z winem i jakby była u siebie, opadła na fotel.  
– Musisz dziwnie się tutaj czuć.  
Och, znam cię, pomyślała Breen, przysiadając na skrzyni. Miałam okazję cię poznać.  
Wtedy nie najlepiej sobie poradziła, ale to już przeszłość.  
– Czemu?  
– No wiesz, obca ziemia, obcy ludzie.  
– Uważam, że ziemia jest piękna, a ludzie wspaniali. Urodziłam się tutaj.  
– Naprawdę? Chyba już gdzieś to słyszałam. Oczywiście to też część problemu, nie uważasz? Jesteś, kim jesteś, twój ojciec spłodził cię z ziemianką, a Odran z twojego powodu wszczyna wojnę. Nie ma w tym twojej winy, naturalnie, że nie. Ale mamy dzisiaj Odprowadzenie tych, którzy zginęli dlatego, że Odran ciebie chce. To musi ci ciążyć.  
Breen niespiesznie napełniła swój kubek.  
– Owszem. Cięży mi, że on chce wykorzystać to, kim jestem, do unicestwienia Talamh oraz innych światów. Marzy o zniewoleniu takich osób jak ty.  
Sączyła wino, myśląc o czasach, kiedy schodziła wszystkim z drogi i ze spuszczoną głową zносиła przytyki.  
Koniec z tym.  
– A ponieważ mi to ciąży, uczę się walczyć. Magią. – Ruchem palca zapaliła świecę na kominku. – A także na pięści, mieczem i na wiele innych sposobów.  
– Hmm. – Shana odchyliła się na oparcie i objąwszy kubek obiema dłońmi, obserwowała Breen znad jego krawędzi. – Podobno Keegan cię trenuje i często łądujesz twarzą w błocie. On nie należy do cierpliwych.  
– A ty jak sobie radzisz z mieczem?  
Shana się roześmiała.  
– Nie wszystkich wdraża się do walki, nie tutaj, w Stolicy. Elfy, jak może wiesz, mają inne umiejętności. Są szybkie i potrafią skutecznie się ukrywać. Ja, podobno, jestem świetną łuczniczką.  
Zakręciła na palcu luźny lok przy uchu. Włosy zaplecione w warkocz miała zwinięte w węzeł nad karkiem.  
– Słyszałam, że raz czy dwa dzieliłaś łożę z Keeganem. – Zanim przytknęła kubek do ust, rozciągnięte w uśmiechu wargi wygiął ironiczny grymas. – Nie za wysoko mierzysz?  
– Słucham?

– Mówię to jako kobieta kobiecie, z czystej życzliwości. Nie pasujesz do niego.

Breen wysiliła się na najbardziej niewinny z uśmiechów.

– Nie pasuję do niego?

– Oczekiwania wobec partnerki *taoiseacha* są wygórowane, spoczywa na niej wiele obowiązków. Zbyt wiele, pewnie się ze mną zgodzisz, dla kogoś, kto nie poznał ich, dorastając, nie został w nie wdrożony.

No jasne, kuźwa, Breen znowu się uśmiechnęła, tym razem już nie tak niewinnie.

– Szybko się uczę.

Maska odrobinę osunęła się z twarzy Shany, gdy nachyliła się ku Breen.

– W takim razie dowiedz się, że między mną i *taoiseachem* istnieje coś, co można nazwać porozumieniem.

– Porozumieniem?

– Oboje nie mamy nic przeciwko flirtom, bo czemu nie, skoro jego obowiązki często nas rozdzielają. Oczywiście, wraca do mego łóża, gdy pojawia się szansa, ale zgodnie ustaliliśmy, że gdy nie ma takiej możliwości, każde z nas ma prawo korzystać z nadarzających się przyjemności. Kiedy zakończy się to zamieszanie związane z tobą i wrócisz do swojego świata, złożymy śluby i zamieszkamy razem tutaj, w Stolicy. – Uśmiechnęła się uroczo. – Naturalnie, będę przeszczęśliwa, jeżeli będę mogła ci przedstawić młodzieńców chętnych do nawiązania flirtu w czasie twojego krótkiego, jak mniemam, pobytu w Stolicy.

Breen zamiast się zrewanżować uśmiechem, przechyliła głowę i z zaciekawieniem przyglądała się tej idealnie pięknej twarzy.

– Zaskakuje mnie i jednocześnie mi pochlebia, że ktoś taki jak ty uważa za zagrożenie kogoś takiego jak ja.

– Ach, jaką niemądrą rzecz powiedziałaś. Wcale nie jesteś dla mnie zagrożeniem.

– Shano, przysłaś tutaj, bo tak właśnie myślisz. I o dziwo... – Breen ściągnęła ramiona i nieznacznie je uniosła. – To budzi we mnie chęć rywalizacji. Normalnie nie lubię konkurować, a Keegan nie jest łupem czy trofeum, ale proszę bardzo, skoro tego chcesz... Może jeszcze wina?

Shana odstawiła kubek i podniosła się z fotela.

– Ostrzegam cię, możesz mieć we mnie przyjaciółkę albo wroga.

Breen, zaskoczona swoją asertywnością, też wstała i położyła dłoń na łbie Fafla, który czujnie dźwignął się z posadzki.

– Już wybrałaś, skieruj więc to ostrzeżenie do siebie. Nie przestraszysz mnie. Ani nawet nie onieśmielisz, bo widzę w tej rozmowie nieudolną, kiepsko zakamuflowaną próbę odebrania mi pewności siebie. Miałam poczuć się niechciana i nieporadna. Czekają mnie poważniejsze zadania niż walka o męczyznę.

Przez moment patrzyły na siebie w napiętej ciszy.

Przerwało ją pukanie do drzwi. Marco wsunął głowę do komnaty.

– Hej, Breen, zbieraj się... Och, cześć. Emmm, Sharla, zgadza się?

– Shana – poprawiła go, momentalnie przybierając ten swój uwodzicielski ton. – Bardzo atrakcyjnie się prezentujesz.

– Dzięki. A ty ładnie wyglądasz.

– Przystojny i szarmancki. Czas na mnie. Cieszę się, że mogłam cię bliżej poznać, Breen Siobhan.

– Nawzajem.

– Nie wolno się spóźnić na Odprowadzenie – nauczyła ich jeszcze, kierując się posuwistym krokiem do wyjścia. – To wielki nietakt.

Kiedy Marco zamknął za nią drzwi, Breen posłała mu szeroki uśmiech.

– Ty nigdy nie zapominasz imion, a kiedy Marco Olsen takim tonem mówi komuś, że „ładnie wyglądasz”, zdecydowanie nie brzmi to jak komplement.

– Wyglądasz niesamowicie, ale nie budzi mojej sympatii. Sprawia wrażenie przewrotnej kocicy. Ma na twarzy wypisane *wredota*.

Breen podeszła do Marco, ujęła w dłonie jego twarz i głośno cmoknęła go w usta.

– To jeden z wielu powodów, dla których cię kocham. Ona jest jadowita jak żmija.

– Czego chciała?

– Powiem ci, ale najpierw... skąd wytrzasnąłeś ten elegancki płaszcz?

– Prawda? – Obrócił się, prezentując skórzaną jesionkę w kolorze czekolady, sięgającą nieco poniżej kolan. – Babcia mi przysłała. Najlepsza babcia w całej historii babć.

– To prawda. – Na dowód narzuciła pelerynę i zakręciła się teatralnym ruchem.

– Popatrz tylko! Popatrz na nas! – Objął ją wpół i przechylił jak w tangu. – Wyglądamy jak para z okładki romansu.

– Po scenie, jaką urządziła mi Shana, rzeczywiście czuję się jak bohaterka powieści.

– Chrzań to!

– Chodź, przejdziemy się i pogadamy. Zrywajmy się stąd. Muszę wyjść na powietrze i ochłoniąć po rozmowie z tą arogantką.

– Ty siebie słyszysz? – Zachwycony Marco kuksnął ją łokciem w bok. – Oto Breen – twardejka.

– Byłam gotowa kopnąć ją w ten idealny elfi zadek. Co więcej, już sama myśl o tym mnie rajcowała. Co się ze mną dzieje?

– Cokolwiek to jest, podoba mi się. A teraz opowiedz, jak to wyglądało.

Streściła mu rozmowę z Shaną, milknąc na wszelki wypadek, gdy ktoś ich mijał lub znalazł się na tyle blisko, by ją podsłuchać.

Breen naprawdę chciała odetchnąć świeżym powietrzem. Gdy wcześniej wyszła na taras, rozejrzała się po okolicy i teraz zaprowadziła Marco na dziedziniec, który widzieli z okien swoich komnat.

– Rzucił ją – orzekł stanowczo Marco. – Mówię ci, Keegan puścił ją w trąbę i jest wkurwiona. I wyszło jej, że to przez ciebie.

– Ponieważ bywałam rzucana, rozpoznaję oznaki. Powiedziałabym, że tutaj pojawił się głębszy problem. Keegan zorientował się, że jest ślepo ambitna i zakłamana do szpiku kości. To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Nie bagatelizuj mocy Breen.

– Naprawdę, nie chodzi o mnie. Mówiła, że tutaj nie ma monogamii. I akurat w to wierzę, a więc tym bardziej, nie chodzi o mnie, tylko o nią. Wcześniej widziałam ich, jak...

Przerwała na widok rozpromienionych oczu Marco. Gdy Fąfel zamachał ogonem, obejrzała się i zobaczyła śpieszącego przez dziedziniec Briana.

– Ciąg dalszy nastąpi – skwitowała pod nosem.

Została w tyle, gdy Marco ruszył mu na spotkanie.

– Breen zapewniała mnie, że nic ci się stało. Wszyscy tak mówili i podobno cię widzieli, ale musiałem się upewnić na własne oczy.

– Mam tylko kilka minut, bo czekają mnie obowiązki przy Odprowadzeniu. Ale bardzo chciałem się z tobą zobaczyć.

Kiedy się objęli i pocałowali, serce Breen zatańczyło z radości.

Westchnęła i pogładziła psa.

– Chodźmy stąd, Fąfel, dajmy im tych kilka minut.

## Rozdział 16

Breen niemal od początku ceremonii czuła, że Odprowadzenie stanie się dla niej najbardziej rozdzierającym serce wspomnieniem z pobytów w Talamh.

Stała ze wszystkimi na porywistym wietrze pomiędzy murami zamku i falochronem. Fale z hukiem rozbijały się o skały. Nad głowami zebranych pod ciemniejącym żałobnie niebem krążyli w szyku jeźdźcy na smokach.

Ci, co walczyli ramię w ramię z poległymi, ustawili się wzdłuż muru z uniesionymi w górę mieczami lub łukami.

Po przeciwnej stronie zgromadziły się rodziny zabitych. Na tle smutnej melodii granej na dudach z każdej rodziny po kolei występowała jedna osoba i wymieniała imię poległego, a zebrani powtarzali je chórem.

Kiedy tratwa z ciałami wypłynęła na pierwszą falę, zakołysała się na drugiej i zaczęła podróż na otwarte morze, Keegan, cały w czerni, z mieczem u boku i buławą w lewej ręce, stanął pomiędzy wojownikami i rodzinami.

– Odprowadzamy do bogów walecznych i prawych. Osłabieni stratą, jesteście wzmocnieni ich męstwem. Bohaterowie Talamh, ojcowie, matki, synowie, córki, bracia, siostry i przyjaciele, zawsze będziemy was pamiętać i czcić. Oddajemy was światłu.

Odwrócił się twarzą do morza, wyjął miecz z pochwy i uniósł.

Kiedy połyskliwa stal zapłonęła ogniem, posłał płomień łukiem, jak strzałę. I czystym, mocnym głosem zaintonował pieśń.

Stopniowo dołączały kolejne głosy, a już po chwili śpiewali wszyscy. Choć słowa były w prastarym języku talamhańskim, Breen słyszała w nich żal, wiarę i dumę. Stojący obok Marco poszukał jej dłoni i mocno ją uściskał. Obojgu łzy popłynęły z oczu. Kiedy Fąfel zadarł łeb i przeciągle zawył, Breen wiedziała, że pies też zapłakał.

Smoki ryknęły i zionęły ogniem pod pociemniałym niebem powleczonym miejscami odcieniem mosiądzu.

Werbliści dołączyli do dudziarza, uderzenia w bębny przybierały na sile, mieszając się z łoskotem fal.

W gasnącym świetle dnia, przy błyskach smoczego ognia, smugi dymu wzbiły się znad tratwy. Ci, którzy wymawiali imiona poległych, unieśli wysoko urny. I wirujące strzeliście pasma dymu, jedno po drugim, wracały do domu.

Keegan zgasił miecz, schował go do pochwy. Odwrócił się do żałobników i uniósł buławę.

– Z ziemi na wodę, przez ogień i powietrze. W światło, w ramiona bogów odchodzą waleczni i prawi.

Wszyscy chórem powtórzyli jego słowa. Keegan opuścił buławę, stanął przed rodzinami, zwinął prawą dłoń w pięść i położył na sercu.

– Dokonało się.

Kiedy Keegan dołączył do rodzin, część żałobników została i rozmawiała cicho między sobą. A część, jak Breen zauważyła, dyskretnie się oddalała. Dostrzegła Shanę w zielonej pelerynie obramowanej złotą taśmą. Towarzyszył jej mężczyzna w czerni i srebrze z ciemnobrązową czupryną okalającą pociągłą twarz o regularnych rysach.

Mężczyzna uniósł dłoń Shany do ust i złożył na niej pocałunek, ona przechyliła się ku niemu i szepnęła coś, co wywołało uśmiech na jego twarzy. Razem przemknęli przez tłum i zniknęli.

Breen była ciekawa, czy towarzysz Shany zauważył, jak ona na odchodnym jeszcze się obejrzała i na moment zawiesiła spojrzenie na Keeganie.

– Kurde, to było piękne. Wzruszyłem się do łez. – Marco otarł oczy wierzchem dłoni. – Opisałaś mi, jak to będzie wyglądać, ale uczestniczenie w tym... Ścięło mnie z nóg.

Oparła głowę na jego ramieniu.

– Wiem, czułam to samo. – Wzięła go za rękę, gdy wycofywali się z tłumu. – Gdzie się umówiłeś z Brianem?

– Och, właśnie tutaj. Musi jeszcze, no wiesz, wylądować i odmeldować się. Pomyśleliśmy, że wybierzemy się gdzieś na kolację czy coś w tym guście. Chodź z nami.

– No, na pewno pójdę. – Wbiła mu palec w bok. – Głupek.

– Nie zostawię cię samej.

– Chcesz poznać prawdę? Chętnie zostanę sama, oczywiście z Fałsem. Może trochę popiszę i wcześniej pójdę spać.

– Powinnaś coś zjeść, dziewczyno. Brian wspominał o gospodzie. Pod Gdaczącym Kurczakiem czy Brzydką Kaczką, jakoś tak.

– Poza tym, że zdecydowanie nie chcę być piątym kołem u wozu na waszej romantycznej kolacji, nie mam ochoty na posiłek w gospodzie. Poważnie, Marco. Zamierzam spokojnie spędzić ten wieczór.

– Spójrz mi w oczy. – Otoczył dłońmi jej twarz, lustrował ją przez moment. – Dobra, mówisz prawdę, w takim razie odpuszczę. Ale musisz coś zjeść.

– Minga mówiła, że mam dać znać, jeżeli zgłodnieję. No to dam. I przestań mną się przejmować, szczególnie, że właśnie nadchodzi twój nowy, gorący chłopak.

Obejrzał się i znowu oczy rozbłysły mu jak gwiazdy. Breen skinęła na psa i czmychnęła.

Czekał nieruchomo z trzepoczącym sercem, a gdy Brian stanął przed nim, wyciągnął do niego rękę.

– Powiem ci, że nigdy nie byłem tak wzruszony jak podczas tej ceremonii czy też rytuału.

– Płakałeś – stwierdził jego nowy przyjaciel i powiodł palcem po wilgotnym śladzie pod okiem Marco.

– Właśnie mówiłem Breen... – przerwał, teraz dopiero widząc, że zdążyła wejść do zamku.

– Wróci? Idzie z nami?

– Powiedziała, że ma ochotę na spokojny wieczór, więc nie nalegałem. – Przeniósł spojrzenie na Briana. Różne myśli wirowały mu w głowie. – Chcesz od razu pójść do gospody?

– Nie. Myślałem, że potem coś zjemy. Później.

– Lepiej później. – Zbliżył się do Briana i dotknął dłonią jego policzka. – U mnie czy u ciebie?

– Do ciebie jest bliżej. – Z promiennym uśmiechem, złożył na ustach Marco delikatny pocałunek, obietnicę czegoś więcej.

Kiara dogoniła Breen tuż przed drzwiami komnaty.

– Szukałam cię! – Była w ciemnoczerwonej sukni w odcieniu burgunda, a włosy ściągnięte do tyłu związała czarną wstążką. – Mama chciała, żebym... och, ale najpierw ci powiem, że bardzo mi się podoba twoja peleryna. – Wyciągnęła rękę i pomacała materiał. – Jaka miękka! I do tego ta suknia. Prostota i elegancja, a tak szykownie się prezentujesz. Ja w takich strojach przeważnie wyglądam mdło, ale ty błyszczysz.

Szczery komplement, oceniła Breen.

– Dzięki. Nie widziałam cię na Odprowadzeniu. Tyle tam było ludzi. Piękna uroczystość.

– Smutna i zarazem podniosła.

– Znałaś kogoś z poległych?

– Tak. Znałam. – Głos jej zadrżał. – Wszystkich.

– Tak mi przykro, Kiara. – Odruchowo uściśnęła jej dłonie. – Bardzo ci współczuję.

– Tak, to bardzo smutne. Ale pociesza mnie myśl, że oni wkroczyli w światło. Jest mi lżej, kiedy wyobrażam ich sobie w tym świetle. Mama pyta, czy zechciałabyś z nią i tatą zjeść kolację, bo Tarryn i *taoiseach* są zajęci. A jeżeli ty, Marco i twój słodki psiak macie ochotę na coś żywego, to część z nas wybiera się do wsi, więc czujcie się zaproszeni.

– Bardzo dziękuję, ale...

– Mama mówiła, że masz prawo być zmęczona po takim długim dniu i może wolisz zjeść posiłek w komnacie. I że nie mam ci się narzucać, jeśli chcesz pobyć sama. Och, ja chyba właśnie się narzucam – przyznała bez odrobiny zażenowania. – Jestem gadatliwa i o tyle rzeczy chciałabym cię zapytać, bo jeszcze nigdy nie byłam po tamtej stronie.

Breen roześmiała się rozbawiona.

– Teraz chcę wrócić do siebie, ale z chęcią porozmawiam z tobą innym razem i postaram się

odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

– Och, cudownie. Mogłabym ci rano ułożyć włosy. Nie mogę cię uczesać przed Powitaniem, bo już jestem umówiona, ale bardzo chciałabym zająć się twoimi włosami. Są wspaniałe.

– To chyba... no dobrze. Świetnie. Dziękuję.

– Och, to ja się cieszę, szczerze. W takim razie zajrzę do ciebie jutro przed Osądem. Teraz dopilnuję, żeby przyniesiono ci kolację. A Marco?

– Umówił się z przyjacielem.

– Aha. – Z jej oczu nie zniknęły wesołe iskierki. – W takim razie kolacja dla ciebie i dla tego fajnego chłopaka. – Pochyliła się i pogładziła łaszącego się Fąfla. – No to do zobaczenia rano. A gdybyś przypadkiem zmieniła zdanie, będziemy w gospodzie Pod Pstrokatą Kaczką.

Oddaliła się pędem, a Breen, ciągle uśmiechnięta, weszła do komnaty.

Wzniciła płomień z żaru, który nadal tlił się w kominku. Pozapalała świece i lampy. Najchętniej przebrałaby się w piżamę, ale została w sukni, bo przed nocą musiała jeszcze wyprowadzić psa.

Fąfel umościł się przed kominkiem, a ona usiadła przy biurku. Prędzej czy później wplecie w fabułę dzisiejszą uroczystość, jednak w tej chwili jej bohaterom przyda się nieco spokoju. Parę szczęśliwych chwil, a może nawet niewinny romans.

Tym bardziej że w przyszłości czekają ich dramatyczne wydarzenia.

Popisała trochę i zjadła z Fąflem kolację, przyniesioną przez dwie wesołe nastolatki.

W tym czasie w sąsiedniej komnacie Marco i Brian leżeli na łożu spleceni w uścisku.

Brian, z zamkniętymi oczami, gładził Marco po plecach.

– Marzyłem o tym od chwili, gdy zobaczyłem cię na tamtej drodze. Stałeś i rozglądałeś się dokoła szeroko otwartymi oczami. Teraz widzę, że tamte marzenia były niczym w porównaniu z tym, co teraz.

– Może zostalibyśmy tutaj... nie wiem, na zawsze?

Brian ze śmiechem obrócił się na bok i leżeli teraz twarzami do siebie.

– Moglibyśmy przejść się do wsi, coś zjeść, posłuchać muzyki, a potem tu wrócić. Mogę zostać do rana, jeśli chcesz.

– Zostań dziś, jutro i kiedy tylko będziesz miał ochotę. Wiem, że to stało się bardzo szybko, ale...

– Nie, nie dla mnie.

– Wiesz, tyle emocji się we mnie kłębi. – Przycisnął usta do warg Briana, przesunął między palcami jego warkocz wojownika. – Byłem przerażony, kiedy oglądałem w ogniu to, co się działo. Breen wywołała wizję, żebym widział, musiałem widzieć. Ciebie. Ten dym, tyle krwi...

– Nie myśl o tym teraz, *mo chroi*.

– Nie, chcę powiedzieć, że podziwiałem ciebie. Widziałem, jak walczyłeś. Latałeś na smoku, przedzierając się przez dym. I rozumiałem dlaczego. Ech... Wojny są do bani, Brianie. Są beznadziejne, ale widziałem, dlaczego musiałeś tam być. Wiesz, patrzę na to wszystko jak na jakąś baśń. Niektóre momenty przerażają, ale ogólnie to zupełny odjazd. Wiedziałem, że choćby nie wiem, co się działo, nie zostawię Breen samej, ale...

– Bo jesteś lojalny. – Brian wodził opuszkami po policzku i szyi Marco. – To twój wielki dar. Ubóstwiam go.

– Jest moją dziewczyną. Na dobre i na złe. Ale widziałem ciebie i innych. Z kim walczyliście i dlaczego. A dziś byłem na Odprowadzeniu i wiem, ile to dla was znaczyło. Cholernie stąd daleko do gejowskiej wioski.

Brian się uśmiechnął.

– To twoje miejsce po drugiej stronie?

– Tak, chciałbym ci je kiedyś pokazać. Poznać cię z Sally, Derrickiem i całą bandą. Ale teraz? Teraz całym sobą jestem tutaj. Dla Breen, dla ciebie, dla światła. Kiepsko walczę, ale...

Brian położył palec na jego ustach.

– Masz inne umiejętności, zalety i talenty. – Pogładził go po smukłym boku, czując pod dłonią gładką skórę i twarde mięśnie. – Jesteś piękny. Masz piękne ciało, serce i duszę.

– Ty też. – Marco uniósł się na łokciu i powiodł ustami po jego muskularnych ramionach. – Pragnę cię, Boże, znowu cię pragnę.

– Ja ciebie też.

\*

Breen wcześniej wstała, narzuciła pelerynę na piżamę, włożyła wysokie buty i wyszła z Fąblem na dwór. Marząc o kawie lub choćby mocnej herbacie, czekała cierpliwie, aż pies się wybiega, nawącha i pozałatwia potrzeby.

Nie była jedynym rannym ptaszkiem. Słyszała odgłosy krzątania, gdy prowadziła Fąfla zamkowymi korytarzami do wyjścia najbliższej stajni. Na dworze, zza ściany sokolarni niosły się śmiechy. Idąc dalej, natknęła się na ludzi pracujących w ogrodach i czerpiących wodę ze studni. Ktoś niósł wiadra, może z mlekiem, bo szedł od strony zabudowań wyglądających na gospodarskie. Zobaczyła, jak wynurza się stamtąd kilka kotów. Niestety, Fąfel też zdążył je zauważyć.

– Och, nie. Nie dzisiaj. Żadnych pościgów za kotami i wiewiórkami, najpierw musimy poznać teren.

Chciała zrekompensować mu rozczarowanie, więc wzięła go nad rzekę, żeby mógł wskoczyć do wody i trochę popływać.

Z mostu miała widok na pole, na którym ćwiczyli młodzi chłopcy, chyba rekruci czy jak ich tutaj nazywano. Trenowali walkę na miecze i wręcz, rzucali dzidami, strzelali z łuków.

Nad polem garstka wrózek też szkoliła się w sztukach walki. Dostrzegła Keegana. Wiatr targał połami jego skórzanej kurtki. Rozmawiał z jakąś kobietą. Gdy po przyjacielsku klepnął ją w ramię i odwrócił się w jej stronę, czym prędzej przywołała psa.

– No, wyskakuj z wody. Pewnie jest lodowata. Wracamy. Obeschniesz po drodze.

Posłuchał niechętnie i z ociąganiem wyszedł na brzeg. Gdy zwietrzył Keegana, zamiast wrócić do swojej pani, z radosnym szczekaniem puścił się pędem do niego.

– No super – mruknęła pod nosem. Bez zastrzyku kofeiny, w piżamie i rozczochrana po spaniu. On, oczywiście, świetnie się prezentował. Pochylił się nad obskakującym go psem i porządnie go wygłaskał.

Nie ruszyła się z miejsca. Keegan podszedł do niej z truchtającym obok Fąblem, który zdał się mówić: no, zobacz, znalazłem dla ciebie prezent.

– Dzień dobry! Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

– Tak, dzięki. – Owinęła się ciasniej peleryną targaną przez wiatr. – Fąfel chciał wyjść na spacer i trochę popływać.

– Mamy tu psy, gdyby potrzebował towarzystwa. Dwa wilczarze irlandzkie, kilka spanieli i kundelków.

– Och, nie widziałam żadnych psów.

– Zobaczysz. Idziesz dalej?

– Nie, wracam.

– Ja też.

– Odprowadzenie było piękne – zaczęła, kiedy ruszyli w stronę zamku. – Piękne i bardzo wzruszające. Nie wiedziałam, że śpiewasz.

Wzruszył ramionami.

– Śpiewanie sprawia mi przyjemność po kwarcie piwa albo dwóch.

– Komu nie? Nie wiem, kiedy i gdzie mam się później udać.

– Osąd zaczyna się za dwie godziny. Ktoś po ciebie przyjdzie.

– Jaki strój tam obowiązuje? Jak powinnam się ubrać? Może to wyda ci się zabawne, ale nie chciałabym popełnić nietaktu.

Obrzucił ją spojrzeniem.

– Myślę, że powinnaś się przebrać.

– Ale śmieszne. Tak jak sobie życzyłeś, spakowałam niewiele rzeczy i nie za bardzo mam w czym przebierać.

– Zdecydowanie nie powinnaś przyjść wystrojona. Włóż to, co zwykle nosisz. To, w czym cię widziałem, zupełnie wystarczy. Przykro mi, że nie miałem czasu oprowadzić ciebie i Marco po zamku ani nie przedstawiłem was ludziom, którzy tutaj mieszkają i pracują.

– Kilkoro zdążyłam poznać. Brigid i Lo przyniosły mi kolację.

Przystanął.

– Jadłaś w swojej komnacie? – sarknął wzburzony. – Wybacz mi.

– Nie przejmuj się. Potrzebowałam spokoju. Marco zniknął z Brianem. Kiara, którą już zdą-



żyłam polubić, przyszła z zaproszeniem na kolację u rodziców i proponowała też wyjście na wieś z jej przyjaciółmi. Naprawdę chciałam trochę popisać i posiedzieć w ciszy.

Objął ją spojrzeniem, wyciągnął rękę i nawinął na palec pukiel jej włosów.

– Podobają mi się takie, jak je nosisz, ale słyszałem, że ona ma talent do układania włosów.

– Poznałam również Shanę.

– Hmm, nic dziwnego, bo Shana i Kiara są jak papużki nierozłączki.

– Naprawdę? W takim razie jestem zdumiona, bo wydają się takie różne. Jedna jest czarująca i przyjazna, a druga... Jak by to ująć? Już wiem. Bezwzględna suka.

Znowu przystanął.

– Niewątpliwie szkoda, że tak ją postrzegasz, ale najlepiej, abyś unikała jej towarzystwa – podsumował oględnie, wchodząc, jak podejrzewała, w rolę *taoiseacha*.

– Tak uważasz? – Z satysfakcją posłała mu szeroki uśmiech. – To raczej trudne, skoro nieproszona wpakowała się do mojej komnaty.

Zachował chłodny wyraz twarzy, ale pod maską obojętności dostrzegła irytację.

– Porozmawiam z nią, bo cenimy tutaj dobre maniery.

– Sama z nią porozmawiam, niemniej dzięki. Specjalnie przyszła do mnie krótko po waszym spotkaniu na dziedzińcu, tym, na który wychodzi moje okno.

– Na bogów. Nie mam czasu na jakieś wasze kobiece gierki...

Wymierzyła mu potężny cios pięścią w żołądek.

– Ha, przybyło ci siły – przyznał, zamiast się skulić.

– Uważaj się za szczęściarza, że celowałam powyżej pasa. Gierki są jej. Wtargnęła, żeby mnie obrażać, niby subtelnie odnosząc się do mojego wyglądu i sposobu ubierania się. A na koniec przestrzegła mnie przed tobą.

– To jakiś nonsens i ja...

– Zamknij się. Dała jasno do zrozumienia, że ty i ona jesteście parą i że żadne z was nie ma nic przeciwko przygodom na boku – miałam być dla ciebie odskocznią. Bo ona też się zabawia, gdy nie jesteś w pobliżu. Ja, taka biedna i nic niewarta, nie powinnam zbyt wysoko mierzyć. Mało tego, przeze mnie poginęli ludzie. Gdybym się nie urodziła...

Zacisnął dłoń na jej ramieniu.

– Dość. Przestań. Nie miała prawa mówić takich rzeczy. To okrutne kłamstwa. Wstyd mi za nią. Porozmawiam z nią.

Breen poczuła, że bardziej przejęła się konfrontacją z Shaną, niż sądziła. Dotąd dusiła w sobie gniew. Dłużej nie zamierzała go tłumić.

– Nie obchodzi mnie, czy z nią porozmawiasz, czy nie. Wiem, że nie miała prawa mnie o nic obwiniać. I nie interesuje mnie – bo niby czemu? – że ze sobą sypialiście.

– Z tym sypianiem to przesada. Nie mam na to czasu. Ale teraz znajdę dla niej chwilę, bo to, co zrobiła, co mówiła, było podłe. A ta scena na dziedzińcu nie ma znaczenia.

– Ma – poprawiła go, już spokojniejsza, bo rozładowała gniew. – Wyreżyserowała ją, licząc, że was zobaczę, a jeśli nie ja, to ktoś inny i prędzej czy później się dowiem.

– Nie możesz...

– Keeganie, przez większą część życia zajmowało mnie obserwowanie ludzi – weszła mu w słowo. – Bo z trudem wchodziłam z nimi w relacje. Siedziałam w autobusie i przyglądałam się twarzom, gestom i tak dalej. Spekułowałam, kim oni byli, co czuli. Widziałam twój język ciała, kiedy z nią rozmawiałeś.

– Moje ciało przemawia teraz, prawda?

– Sposób, w jaki stałeś, uchylając się przed jej dotykiem. Byłeś uprzejmy i chłodny. Rzuciłeś ją, to też wyczytałam, znam te oznaki, bo kiedyś też zostałam porzucona. A ona była temu przeciwna. Nie zgadzała się na rozstanie – wyjaśniła, kiedy pytając uniósł brwi.

– Próbowałem ci to powiedzieć, nim zaczęłaś swoją przemowę. Skończyłem z nią, gdy zorientowałem się, że chciała tego, czego nie mogłem i nie zamierzałem jej ofiarować. Nie spałem z nią, odkąd z tobą poszedłem do łóżka.

To istotne, przyznała w duchu, chociażby ze względu na zwykły szacunek.

– Nie chcę, żeby ta sprawa kręciła się wokół ciebie i mnie.

– No cóż, jesteśmy w tym, prawda? – zaprotestował. – Nigdy nie pragnąłem jej w taki sposób jak ciebie. I to było nie w porządku wobec niej. Teraz nie czas na spełnianie pragnień, ale i tak

cię pragnę.

I to też miało dla niej znaczenie, chociaż wolałaby myśleć inaczej.

– Nie mówię ci tego wszystkiego, żeby wzbudzić w tobie gniew czy ubiegać się o twoje względy. A może trochę tak, bo też bywam małośtkowa i jak wszyscy potrzebuję uwagi. Jednak przede wszystkim czułam jej wściekłość, desperację i... ambicję.

– Wiem, że głównie widzi we mnie *taoiseacha*. Zawsze tak było, ale to nie miało znaczenia. A teraz ma. Rozmówię się z nią.

– Na twoim miejscu byłabym ostrożna.

– Ale na nim nie jesteś – uciał. – Muszę się zająć moimi sprawami, a ty się przebierz.

Kiedy odszedł, spojrzała na Fąfla.

– Dobrze wypadło? Nie jestem przekonana. Ale musiałam to wyrzucić z siebie. Chodź, doprowadzimy się do porządku i poszukamy śniadania.

Marco czekał na nią w jej komnacie. Miska Fąfla była pełna, stół nakryty dla dwojga, a łóżko starannie zasłane.

– Hmm, cześć, a... – Stała zaskoczona, a Fąfel pobiegł prosto do miski. – Kto to wszystko zrobił?

– Brigid i Lo. Przydzielono je do nas. Mają się nami zajmować. Ktoś widział, jak idziesz, i obie zakręciły się po komnacie jak – ci, jak im tam? – wirujący derwisze. Nie bardzo wiem, kto to taki, ale podobno bardzo szybko się poruszają. Powiedziałem, że być może zechcesz zjeść ze mną śniadanie i bum!

Breen ruszyła prosto do imbryka z herbatą.

– Gdzie Brian?

– Z powrotem na służbie.

– Siadaj – poleciła i klapnęła na krzesło. – Opowiadaj, jak było. – Podniosła pokrywkę wazy. – To chyba owsianka. Spróbujemy. Jak było? – powtórzyła.

– Mnóstwo czasu spędziliśmy w sąsiedniej komnacie.

– No coś ty! Poczekaj, zrobię zszokowaną minę.

Marco parsknął śmiechem i nalał sobie owsianki.

– Ale też sporo rozmawialiśmy. A potem poszliśmy do wsi – fajne miejsce – zjedliśmy kolację w gospodzie, posłuchaliśmy muzyki. Była tam Kiara z jakimś towarzystwem, chwilę z nimi pogadaliśmy, ale szybko się zmyśliśmy, i Brian został na noc, a rano musiał się stawić w oddziale.

– Marco, wyglądasz na szczęśliwego.

– Dziewczyno, wariuję ze szczęścia. Chyba się zakochałem. I myślę, że on mnie kocha. – Wpatrywał się badawczo w jej twarz wielkimi brązowymi oczami. – Można tak się zakochać? Tak na poważnie? Zazwyczaj to pożądanie, a ten facet jest cudny, zabawny i interesujący. I tak błyskawicznie wszystko się zadziało. Sam nie wiem, czy to możliwe.

– Miłość raczej nie ma wbudowanego zegara. Szybko, późno i gdzieś pomiędzy, po prostu się zdarza. A ciebie rozpiera szczęście.

– Kiedy jesteśmy razem, nic innego się nie liczy. Dałem mu bransoletę. Powiedział, że dzięki niej w pewnym sensie zawsze będzie miał mnie przy sobie.

– Sama mogłabym się w nim zakochać. – Posmarowała kromkę razowego chleba grubą warstwą masła i dżemu. Podsunęła ją Marco. – Jedz, Szczęśliwy Chłopaku.

– No, a ty co robiłaś wieczorem?

– No cóż, nie zakochałam się, nie byłam na romantycznym spacerze, nie uprawiałam szalonego seksu, ale akurat robiłam to, na co miałam ochotę. Popisałam, posiedziałam w ciszy i porządnie się wyspałam. Och i znowu wpadłam na Kiarę, zaproponowała, że rano mnie uczesze.

– Szczerze ją polubiłem.

– Ja też! I nie potrafię zrozumieć, czemu trzyma się z tą zmiją. Na spacerze natknęłam się na Keegana. To było interesujące spotkanie.

Marco szeroko się uśmiechnął.

– Opowiadaj.

Streściła mu rozmowę z Keeganem, kiedy strzepywali okruchy po śniadaniu ze stołu. Potem go wyprosiła, bo chciała się przebrać.

– Weź skórzane spodnie, białą koszulę i ten puszysty czarny sweter z dekoltem w serek. Koszulę wyrzuć na wierzch, dół ma wystawać spod swetra – dyrgował Marco.

– Nie spakowałam skórzanych spodni, których w życiu bym nie kupiła, gdybyś nie suszył mi głowy.

– Dlatego ukradkiem wrzuciłem je do twojej torby. Superowo w nich wyglądasz. Normalnie wymiatasz. A na nogi buty z cholewkami. Brian mówi, że Osąd to poważna sprawa – dodał, celując w nią palcem, i wyszedł z komnaty.

Żeby za dużo nie dumać i nie kombinować, ubrała się tak, jak radził Marco, a potem zrobiła delikatny makijaż, odpowiedni do okazji.

Akurat gdy skończyła, do komnaty wbiegły Brigid i Lo pozbierać naczynia po śniadaniu. Razem z nimi przysła Kiara.

– Ach! – Złożyła dłonie. – Ślicznie wyglądasz i na dodatek bije od ciebie siła. Styl raczej męski, ale świetnie podkreśla twoją figurę.

– Dzięki. Nie bardzo wiedziałam, jaki strój będzie odpowiedni.

– Bardzo dobry wybór, naprawdę. Dopasuję uczesanie do całości.

– Podoba mi się twoja fryzura.

Kiara podrzuciła do góry kręcone włosy zebrane w koński ogon.

– Bardzo prosta, bo mam opiekować się maluchami.

– Nie będziesz na Osądzie?

– Będę, na części. – Gestem dłoni dała znak, aby Breen usiadła, po czym otworzyła kuferek pełen szczotek, grzebieni, spinek, słoiczków, opasek i wstążek.

– Co poniektórzy przyprowadzą dzieci na Osąd – dobrze, gdy one widzą, jak wymierza się sprawiedliwość – ale maluchy robią za dużo zamieszania. – Nie przestając opowiadać, zanurzyła dłonie we włosach Breen. – Och, jakie mocne i gęste! Zdrowe. Piękny kolor. Widziałam twojego ojca, gdy przyjechał do Stolicy. Był bardzo przystojny.

– To prawda.

– Ach, skoro mowa o przystojnych, w gospodzie natknęłam się na Marco i Briana. Bardzo udany wieczór, świetna zabawa.

Przez cały czas nie zamykały się jej usta, opowiadała o muzyce, chłopaku, w którym zamierzała się zakochać, o nieznanym Breen ludziach, o tym, kto z kim akurat flirtował i kto o co się obraził.

– Byłaś w rodzinnych stronach mamy?

– Tak, byłam. Pięknie tam, wszędzie złoto i błękit – piasek i morze. A w miastach mają takie wysokie, kolorowe wieże. Słońce tak praży, że zapomina się, co to chłody i deszcze. Ale moim domem jest Talamh, broniąc go, bronimy wszystkich miejsc.

Odstąpiła parę kroków i krytycznie oceniła swoje dzieło.

– Jestem za prostotą i chyba dobrze to wyszło. Jeżeli uda mi się znaleźć choć chwilkę przed Powitaniem, upnę ci włosy w fantazyjną fryzurę.

Wyjęła z kufereka dwa lustra, jedno przytrzymała przed twarzą Breen, a drugie za głową.

– Jeżeli nie jesteś zadowolona, zmienię uczesanie.

Breen zobaczyła parę pasem swobodnie wijących się wzdłuż policzków, a z tyłu warkocz spleciony luźno w kłos.

– Zadowolona? Jestem zachwycona. Jak szybko się z tym uporałaś! Ja, choć walczyłam godzinę, nie osiągnęłabym takiego efektu. Od dawna je tylko prostuję. Co prawda Marco pokazał mi, jak robić różne fryzury, ale niewiele z tego wyszło.

– On też ma boskie włosy, prawda? A jaki głos i... Zaraz, poczekaj. – Kiara przystanęła, ściągnęła brwi. – Powiedziałaś... znaczy, prostujesz włosy, żeby ci się nie kręciły? Czemu to robisz, skoro z lokami jest ci do twarzy?

– Długa historia.

– Chętnie jej posłucham, jak znajdziemy na to czas. Uwielbiam historie.

– Dziękuję ci, Kiara – odezwała się Breen, gdy dziewczyna pakowała swoje przybory. – Co mogę dać ci w zamian?

– Innym razem, to był prezent powitalny.

– Najładniejszy, jaki kiedykolwiek dostałam. – Kiara rozpromieniła się po tym komplementcie. – Słuchaj, chcę cię zapytać o Fafla. Myślisz, że mogę zabrać go ze sobą na Osąd?

Dziewczyna zerknęła na psa, który całe fryzjerskie zabiegi grzecznie przesiedział w jednym miejscu.

– Oczywiście. Czemu nie? Jest dobrze ułożony. Popatrz tylko na ten słodki pysk. – Posłała psu buziaka i pogładziła go po grzbiecie, a on w odpowiedzi zamachał ogonem. – Ale to jeszcze szczeniak i na pewno woli się bawić z dziećmi niż posłusznie tkwić przy swojej pani. Poszedłby ze mną?

Breen widziała, z jakim uwielbieniem Fąfel wpatruje się w Kiarę.

– Pewnie.

– To może go wezmę, gdy będę wychodzić z Osądu? Pobawi się z dziećmi i pobaraszkuje na dworze z innymi psami.

Uśmiechnęła się do Breen.

– Tak jak ja masz rękę do zwierząt. Poznam, gdy wyczuje, że go wołasz. Do tego czasu z radością się nim zajmę. A i dzieciaki się ucieszą.

– Bardzo mi ułatwiasz życie.

– A czemu nie? – Odwróciła się jeszcze i wesoło machnęła swoim końskim ogonem. – Dam ci znać, kiedy będę wychodziła. Oboje z Fąflem będziemy się dobrze bawić. Na wszelki wypadek – do zobaczenia na Powitaniu, gdyby nie udało nam się wcześniej spotkać.

Kiedy wyszła, Fąfel położył łeb na kolanach Breen.

– Zdaje się, że nawiązaliśmy pierwszą przyjaźń w Stolicy – powiedziała do niego.

## Rozdział 17

Kiara ruszyła biegiem do swojej komnaty. Musiała zostawić kuferek, sprawdzić, czy wygląda zalotnie i koniecznie nałożyć trochę perfum, żeby ładnie pachnieć, gdy zajmie miejsce obok Aideny O'Briana, który też pojawi się na Osądzie. Oczywiście pozdrawiała wszystkie osoby mijane po drodze i nawet chwilę poplotkowała z koleżanką o awanturze, jaką ich wspólna znajoma urządziła przy ludziach swojemu kochankowi.

Ciągle się uśmiechając, weszła do swojej komnaty.

Shana podniosła się z fotela do czytania.

– O, jesteś! – ucieszyła się Kiara. – Ostatnio widziałam cię wczoraj, gdy wymykaliście się chyłkiem z Lorenem. A więc wy...

– Jak możesz? – wysyczała z wściekłością Shana. – Jak śmiesz?

– No co? O co ci chodzi? – Przeżrana dziewczyna upuściła kuferek na posadzkę i podbiegła do swojej najbliższej przyjaciółki. Jednak, kiedy próbowała ją objąć, ta ją odtrąciła.

– Czesłałaś ją? Myślałaś, że się nie dowiem. Układasz jej włosy, zapraszasz do gospody, bratasz się z kolesiem, którego przywlokła z tamtej strony.

– Ja... czemu nie miałbym jej uczesać czy zaprosić do gospody?

– Zachowała się niegrzecznie. Potraktowała mnie bezwzględnie.

– Nie! – Kiara, szczerze zszokowana, przycisnęła dłoń do szyi. – Och, Shano, tak mi przykro, strasznie przykro. Ja... ta Breen wydaje się taka miła. Nie miałam pojęcia... Co takiego ci powiedziała? Co zrobiła?

Tym razem Shana pozwoliła się objąć, gdy przyjaciółka wyciągnęła do niej ramiona.

– Chce mi ukraść Keegana, postawić się nade mną.

Kiara przestała ją gładzić po falujących włosach i powoli się odsunęła.

– Ale, Shano, mówiłaś, że zerwałaś z Keeganem, że wolisz Lorena, bo Keegan więcej myśli o obowiązkach niż o tobie i że kiedy ci się oświadczył w czasie ostatniej wizyty w Stolicy, zrozumiałaś, że on nie jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

Shana bez odrobiny zażenowania przemilczała zacytowane kłamstwa.

– Zmieniłam zdanie. A co, nie wolno mi? Ona nie ma prawa do Keegana. Jak śmie rozmawiać ze mną w taki sposób? A ty ją czeszesz? I uważasz się za moją przyjaciółkę?

– Skąd miałam wiedzieć? Shano, a co... z Lorenem? Jesteś z nim od... zanim... – urwała ostrożnie. – Mówiłaś, że wyznał ci miłość i już dwa razy się oświadczył.

– Loren nie jest *taoiseachem*, prawda?

– Nie. – Smutek wypełnił serce Kiary. – Nie jest. Och, proszę, usiądźmy.

– Nie chcę siadać!

– A ja tak. – Potrzebowała chwili na pozbieranie myśli. Wiedziała, jak pocieszyć Shanę, jak żartami rozładować jej gniew czy poprawić nastrój, ale tym razem było jakoś inaczej.

– Wiesz, że od dawna chcę Keegana i byłam na każde jego skinienie. A teraz mnie odtrąca dla kogoś takiego? Ja na to nie pozwolę.

– Przecież mu odmówiłaś. – Kiara przypomniała słowa przyjaciółki, chociaż wyczuwała w nich obłudę. Ogarniał ją coraz większy smutek. – Przykro mi.

– Nie obchodzi mnie, że jest ci przykro. – Shana miotła się po komacie z zaciśniętymi pięściami.

Kiara dobrze знаła ten widok. Niewiele mogła zdziałać, gdy tamta wpadała w szał. Pozostało jedynie odczekać, aż jej gniew się wypali.

– Będziesz szeptać do uszu, a jesteś w tym dobra, i wiele uszu chętnie się będzie nadstawiać. Masz mówić, że ona jest wredna i tylko maskuje podłość uśmiechem i dobrymi manierami. Że pod płaszczykiem sympatii ukrywa pogardę dla Fey.

– Shano, nie mogę. To potworne kłamstwa.

– To prawda! Moja prawda! Będziesz rozpowiadać, jak obraziła mnie i *taoiseacha*. – Krą-

żyła po komnacie przy szumie spódnicy i piętrzyła kłamstwa. – Ona chce rządzić Fey i rzuci czar na Keegana, żeby osiągnąć swój cel. A gdy wreszcie zdobędzie władzę, odda Talamh Odranowi. Ma jego krew.

– Przestań! – Kiara, wzburzona i przestraszona słowami przyjaciółki, zerwała się z krzesła. – Przemawia przez ciebie gniew. Uspokój się. Jak możesz rzucać takie oskarżenia przeciwko drugiej osobie? To jest złe.

Shana długimi krokami podeszła do okna i utkwiała w nim wzrok. Opuściła ramiona i się rozszlochała.

– Nie gniew przeze mnie przemawia, tylko rozpacz. Och, Kiaro, jak ja cierpię! Kiedy zobaczyłam Keegana, zrozumiałam, jaki błąd popełniłam. Chcę tylko go naprawić. A ona mówiła mi takie wstrętne rzeczy.

– No, już, już. – Kiara stanęła za nią i pocieszająco gładziła ją po plecach. – Wszystko się ułoży. Ja to wiem. Doszło do zwykłego nieporozumienia. Keegan wyznał ci miłość i nic tego nie zmieni. Może trochę uraziłaś jego dumę, ale szybko go ułagodzisz. Tylko bądź delikatna w rozmowie z Lorenem.

– Nie widzisz, że ona stoi mi na drodze? – Obróciła ku Kiarze mokrą od łez twarz. – Keegan uważa, że Talamh jej potrzebuje.

– Bo tak jest. Jeżeli padły między wami jakieś przykre słowa, naprawimy to jakoś, prawda? Pomogę ci. Breen ma dobre serce, uwierz mi.

Shana odskoczyła jak oparzona.

– Ja odkryłam prawdę. Jeżeli nadal jesteś moją przyjaciółką, masz się od niej odsunąć i namawiać innych, żeby tak samo postąpili.

Owszem, Kiara wiedziała, jak ją udobruchać, kiedy miewała te swoje humory, ale tym razem Shana naprawdę przesadziła.

– Jestem twoją przyjaciółką. Traktuję cię jak siostrę. Ale mama i tata polecili mi zająć się Breen i Marco. Chcą, żeby oni dobrze się czuli w Stolicy. Nie możesz ode mnie żądać, abym postępowala wbrew woli rodziców.

– Rób, co chcesz. – Łód w głosie przyjaciółki mógłby oszronić szybę.

– Shano...

– Pokazałaś, kim jesteś – Zamaszystym krokiem skierowała się do wyjścia. – Nie zapomnę ci tego – warknęła i z traskiem zamknęła za sobą drzwi.

\*

Przyszła po nich Minga.

– Kiara musiała zostać z dziećmi – zaczęła z uśmiechem, jednak Breen wyczuła, że pokrywa nim jakieś zmartwienie. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, Brigid z chęcią zaprowadzi do niej psa.

– Och, naturalnie. Dziękuję. Fąfel, pójdiesz teraz z Brigid, pobawisz się z dziećmi. Kiedy wrócę, zawołam cię.

Ochoczo ruszył za dziewczyną, a Minga poprowadziła ich w przeciwnym kierunku.

– Będzie tłoczno, bo to ważne wydarzenie, ale trzymamy dla was miejsca. Możecie wyjść w każdej chwili. Wszyscy mają prawo uczestniczyć w Osądzie, ale nie ma przymusu.

Zeszli na parter. Przed wejściem do głównego holu zgromadził się tłum, pomruk głosów odbijał się echem od ścian. Minga doprowadziła ich do sklepionego przejścia z otwartymi drzwiami.

Tutaj oraz w sali bez okien, oświetlonej pochodniami i świecami, panował jeszcze większy tłok. Ogromne to pomieszczenie, oceniła Breen, omiatając wzrokiem rzędy ław ustawionych jak w kościele. Na ścianach wisiały portrety. Poruszył ją widok podobizn ojca, babki, Keegana.

– Tu są wszyscy *taoiseachowie*, którzy zasiadają na Krześle Sprawiedliwego, dokonywali Osądu – wyjaśniła Minga, przeciskając się w ciżbie do drugiego rzędu ław po lewej stronie przejścia. – Tam – wskazała dłonią na prawo – siedzą członkowie Rady i ich rodziny. – Pierwszy rząd jest przeznaczony dla świadków. – Możesz zostać powołana na świadka, bo obserwowałaś bitwę i twoja wizja była dla nas ostrzeżeniem.

– Och! – Przestraszona odruchowo złapała Marco za rękę. – Nie wiedziałam.

– Wystarczy, że będziesz mówiła prawdę, jeżeli *taoiseach* zwróci się do ciebie. Możesz

odmówić zeznań. Możesz opuścić salę. – Minga z powagą położyła dłoń na jej ramieniu. – Mam nadzieję, że tego nie zrobisz.

Zostawiła ich i przeszła do rzędu dla Rady.

– Nie denerwuj się – wyszeptał Marco.

– Łatwo powiedzieć.

– Hej, ja też wszystko widziałem. Mnie też mogą wezwać.

Słabe pocieszenie, pomyślała i skupiła wzrok na Krześle Sprawiedliwego ustawionym na tle chorągwi ze smokiem.

Nie nazwałaby go tronem, chociaż niektóre detale, a szczególnie wysokie, strzeliste oparcie, mogłyby tak sugerować. Wykonano je z połyskliwego ciemnego drewna i pokryto misterną snyderką. Na pewno było bardzo stare i wyglądało imponująco, a jednocześnie nie budziło skojarzeń z dworskim przepychem, tylko z powagą urzędu.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła na nim swoją babkę, ojca. Jej ojciec, wróciła wspomnieniem do czasów dzieciństwa, osądził i wydał wyrok na tych, którzy pomogli Odranowi ją porwać.

Obejrzała się na portrety. Wzruszyła się, patrząc na babcię; taką młodą, kwitnącą, ubraną na biało. Na szyi Marg połyskiwał wisior; Smocze Serce na złotym łańcuchu. Ten sam klejnot, który wielokrotnie pojawiał się w jej snach i wizjach.

– Ten wisior... – zaczęła i zamilkła, bo akurat do sali wszedł Keegan.

I tym razem też był ubrany na czarno, w kamizelce, a może kaftanie nałożonym na koszulę. On również miał na szyi taki wisior, nawleczony na czarny rzemień.

Kiedy z migotliwym Smoczym Sercem na piersi usiadł na Krześle Sprawiedliwego, w sali zapadła cisza.

Breen kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Obejrzała się i zobaczyła Shanę w rubinowoczerwonej sukni. Akurat zdążyła usiąść obok siwowłosego mężczyzny. On poklepał ją po dłoni z aprobującym kiwnięciem głową, lecz natychmiast ściągnął brwi na widok szatyna w czarnym stroju, który zajął miejsce u boku Shany.

Przybywało ludzi, wypełniały się kolejne rzędy ław.

Breen rozpoznała tamtą dziewczynkę śpiącą na pryczy w ciemnej celi zamkniętej na klucz. Zobaczyła ją w płomieniach ogniska w Samhain. Miała rozpuszczone kasztanowe włosy, kurczowo trzymała za ręce kobietę i mężczyznę, którzy jej towarzyszyli. To muszą być jej rodzice, pomyślała. Z tyłu za nimi podążał Elf, który wyniósł dziewczynkę z podziemi. Wszyscy czworo skierowali się do pierwszego rzędu. Dołączali do nich kolejni świadkowie.

Nadal nikt się nie odzywał.

W drzwiach pojawił się Brian i teraz Marco ścisnął dłoń Breen. Za nim weszła do środka grupa mężczyzn, niewątpliwie jeńców, bo wszyscy mieli więzy na nadgarstkach i trzymali nisko spuszczone głowy. Całą jedenastkę, jak policzyła, łącznie ze szpiegiem z doliny, posadzono na ławach z boku sali. Brian trzymał straż z jednej strony, a z drugiej jakaś kobieta. Mahon i dwóch towarzyszących mu mężczyzn stanęło za ławami.

Breen drgnęła, gdy Keegan opuścił buławę.

– To jest Osąd. Ja, *taoiseach*, zajmuję Krzesło Sprawiedliwego. Tych jedenastu pojmanych oskarżamy o zbrodnie przeciwko Fey, przeciwko Talamh, o złamanie spisanego prawa. Niech wszyscy usłyszą o ich zbrodniach z ust prawej ręki *taoiseacha*.

Tarryn podniosła się, podeszła do pulpitu i stanęła twarzą do aresztantów. Ona też miała na sobie czarny strój, złożony z wąskich spodni wpuszczonych w wysokie buty i długiego żakietu bez guzików.

– Wy, którzy oczekujecie na Osąd, jesteście oskarżeni o porywanie dzieci. Jesteście oskarżeni o składanie ofiar z dzieci i Fey. Jesteście oskarżeni o mordowanie niewinnych. Jesteście oskarżeni o zdradzieckie działania przeciwko Talamh na rzecz Odrana, wyklętego boga.

Szmer głosów podniósł się znad ław. Tarryn gestem dłoni uciszyła zebranych.

– Każdy z was ma prawo odnieść się do tych oskarżeń. Udzielić wyjaśnień, zaprzeczyć, zaprotestować. Usłyszycie zeznania świadków waszych przestępstw. Zanim *taoiseach* wyda wyrok, każdy z was będzie mógł przemówić w swojej obronie albo błagać o litość. – Cofnęła się od pulpitu i odwróciła do syna. – Tak głosi prawo Talamh. Tak głosi prawo Fey.

– Tak głosi prawo – powtórzył za matką i odczekał, aż ona wróci na miejsce.

– Alanis Doyle. – Keegan z uśmiechem przeniósł wzrok na dziewczynkę. – Nic ci tutaj nie

grozi. Możesz wstać? Niech twoi rodzice też wstaną.

Podnieśli się razem, mocno trzymając się za ręce.

– Chcę usłyszeć twoją historię, opowiedz ją dokładnie.

Alanis stała z zaciśniętymi ustami. Dopiero gdy matka nachyliła się nad nią, coś szepnęła i pocałowała w policzek, odważyła się odezwać.

– *Taoiseachu*, zbierałam ostatnie jesienne jagody do ciasta, które miałyśmy piec z mamusią i siostrą. I wtedy przyszedł pan.

– Czy ten pan jest tutaj?

Wskazała palcem drugiego aresztanta od lewej.

– Tak. On podszedł, powiedział, że tam jest ranny szczeniaczek i spytał, czy mu pomożę. Słyszałam tego pieska, słyszałam, jak skomli, i poszłam z tym panem mu pomóc. Ja wiem, że nie wolno mi się oddalać poza krzewy z jagodami, ale...

– Chciałaś pomóc – dokończył Keegan.

– Tak, tak, pomóc. A potem... nie wiem. Byłam gdzieś indziej i śniły mi się straszne rzeczy. Nie mogłam się obudzić.

– Opowiesz nam te sny?

– Przychodzili panowie w białych szatach, było ciemno i zimno. Tamten pan od pieska i ten. – Pokazała palcem na Torica. – Śpiewali i wtedy było mi bardzo niedobrze. I oni mówili, znaczy, ten pan mówił, nie ten od psa, ten drugi mówił... mówił... – Przytuliła buzię do nogi ojca.

– *Taoiseachu*, mogę mówić za nią? – Ojciec dziewczynki przykucnął i gładził ją po głowie.

– Mogę powtórzyć, co usłyszeliśmy od niej? Proszę.

Keegan nie zdążył wyrazić zgody, gdy Alanis popatrzyła na niego ze łzami toczącymi się po policzkach i pokręciła głową.

– Mówił: Obudzimy ją w Samhain i związaną ułożymy na stosie. A kiedy będzie płonąć, jej... jej krzyki będą się nieść wysoko. Skwierczenie młodego ciała i trzask kości ucieszą Odrana. – Wytarła twarz dłońmi. – Bardzo się bałam. *Taoiseachu*, chciałam do mamy. Chciałam do taty. Ale nie miałam siły ich zawołać.

– Każdy bałby się na twoim miejscu, nasza mała siostrzyczko.

– Ty byś się nie bał. Jesteś *taoiseachem*.

– Bałbym się. I mam nadzieję, że wystarczyłoby mi odwagi, żeby mówić o tym tak śmiało jak ty. Jak wróciłaś do rodziców?

– Ona przyszła. – Alanis obróciła się i z uśmiechem wskazała Elfkę siedzącą na ławie. – Widziałam wszystko jak przez sen, a ona przyszła, wzięła mnie na ręce i wyniosła. Biegła szybko, bardzo szybko. Bo Nila jest Elfem. Przez całą drogę ze mną rozmawiała, mówiła, że już nic mi nie grozi i wszystko będzie dobrze. I ciągle powtarzała moje imię. – Nie przestając opowiadać, dziewczynka otarła piąstką ciągle kapiące łzy. – Ja już się nie bałam i zaczęłam się budzić. Tak naprawdę budzić. I nagle znalazłam się w domu, wszyscy płakali i mnie przytulali, i ściskali Nilę, a ona powiedziała, że nie może zostać na piwo, bo czekają ją obowiązki, ale na pewno wróci, kiedy znajdzie czas.

– Alanis, bardzo dobrze sobie poradziłaś. Oczywiście możesz zostać z nami na rozprawie, ale są tutaj inne dzieci i może chciałabyś je poznać, o ile twoi rodzice wyrażą...

Drugimi drzwiami weszła Brigid z łaciatym szczeniakiem wijącym się w jej ramionach.

– Ta suczka szuka kogoś, kto się nią zaopiekuje i zapewni jej dom.

Łzy Alanis w jednej chwili obeschły i wyciągnęła ręce po pieska.

– Będę mogła ją zatrzymać?

– Jasne, czekała na ciebie.

– Brigid, pokażesz Alanis, gdzie może pobiegać z psem, dobrze?

– Stokrotne dzięki. – Kiedy uradowana dziewczynka wyszła z ojcem, który cały czas obronnym gestem trzymał dłoń na jej ramieniu, jej matka jeszcze odwróciła się w drzwiach z dłonią przyciśniętą do serca.

– Świetliste błogosławieństwo dla ciebie, *taoiseachu*.

– I dla ciebie.

Odczekał, aż za wychodzącymi zamknęły się drzwi.

– Nila, przemówisz?

– Tak, chętnie.



Młoda Elfka była wysoka i wiotka, lecz głos miała mocny i dźwięczny.

Kiedy skończyła i usiadła, Keegan wezwał kolejną pokrzywdzoną osobę.

Teraz podniósł się mężczyzna, który nerwowo miał w dłoniach czapkę. Siedząca obok kobieta bezgłośnie szlochała.

– Panie, oni zabili nasze dziecko, najmłodszego syna. Toric osobiście zjawił się u nas i oznajmił, że rozpoznał powołanie u naszego chłopca. Opowiadał o dołączeniu do zakonu, życiu w modlitwie, czynieniu dobra. Syn miał zostać nowicjuszem, służyć braciom i kontynuować naukę. Widzicie, dla nas to było wyróżnienie, na dodatek chłopak mieszkałby niedaleko, a raz w tygodniu przychodziłby do domu. On, Toric, mówił, że nowicjusze ciężko pracują i śpią na twardych pryczach, że tak jest dobrze dla duszy. Ale chodzą syci i dużo się uczą. – Mężczyzna stłumił szloch. – Kiedy ostatnio wracał do domu – ciągnął łamiącym się głosem – był bardzo cichy, wyraźnie coś przeżywał. Powiedział nam, że musi mocno się modlić, bo dwóch chłopców uciekło z klasztoru i jest mu smutno.

Po ataku w Samhain – głos mężczyzny przybrał na sile – nie mogliśmy dotrzeć do syna, ale wierzyliśmy, że tam, w murach jest bezpieczny. I wtedy, *taoiseachu*, zjawiłeś się u nas z wiadomością, że on nie żyje.

Keegan wzywał po kolei Fey, którzy widzieli chłopców i ich rodziców.

Gdy już wszyscy złożyli zeznania, przeniósł wzrok na Breen. Chociaż świadomość, że musi wstać i przemówić, napawała ją przerażeniem, zwróciła się do oskarżonych.

– Co macie do powiedzenia o tych zbrodniach? O porwaniach, morderstwach i krwawych ofiarach?

Wszyscy milczeli. Dopiero po chwili jeden z nich wysunął się do przodu.

– Zwiedziono mnie. – Wyciągnął w błagalnym geście związane ręce. – Litości. Byłem chłopcem, kiedy wstąpiłem do zakonu, wierzyłem we wszystko, czego mnie uczono. We wszystko, co głosił Toric. Zostałem oszukany i nigdy nie przelałem niczyjej krwi.

– Tylko patrzyłeś, jak inni ją przelewali? – wtrącił Keegan.

– Gdybym pisnął choć słowo, straciłbym życie.

– Tchórz – prychnął pogardliwie Toric ze swojego miejsca.

– Niech mówi – polecił Keegan, gdy Brian chciał go uciszyć.

– Tchórz, kłamca i zdrajca prawdziwej wiary. Przelewał krew, pił ją i ofiarował Odranowi, tak jak mu kazano, a teraz szlocha jak dziecko.

– Ty nie zaprzeczasz oskarżeniom, słowom, które tutaj padły?

– Nie zaprzeczam, przeciwstawiam się marnym prawom i płytkiej wierze Fey. One nie powstrzymają wyniesienia boga. A kiedy on przejmie władanie, zetrzemy wasze kości na proch. Kiedy on przejmie władzę. – Wstał i wbił wzrok w Breen. – A ciebie wysączy do cna i z odrazą rzuci nam twoje truchło, a my je spalimy ku jego chwale. Ku jego chwale! – krzyknął.

Nagle jego więzy pękły, Lordan, szpieg z doliny, runął na posadzkę, a Toric cisnął mocą w Breen.

Keegan zerwał się z krzesła, ale ona już zdążyła wyciągnąć rękę i odeprzeć jego moc swoją. Rozpalona płomieniem wewnętrznej siły, wstała i uniosła wysoko drugą rękę.

Słyszała swój głos, lecz słowa, wiedza, światło płynęły z samej głębi jej trzewi.

– Ty mnie sprawdzasz, w tym miejscu, w takim czasie? Ty, zabójca dzieci, morderca niewinnych, profanator prawdziwej wiary, zdrajca Fey, Talamh i wszystkich światów?

Powietrze wokół niej zawirowało. Wysunęła się przed rząd ław, odpychając to, czym on napierał na nią. Widziała rosnący strach w jego oczach.

– Jestem wnuczką Mairghread, córką Eiana. Jestem dzieckiem Fey. Dzieckiem Widzących, Sidhe, kobiety i bogów. Wysłuchaj mych słów i poznaj prawdę. Patrz na mnie. Patrz i drżij z trwogi przed tym, co spotka ciebie i twojego ciemnego boga.

Jej siła opłotła go, zamknęła w klatce światła.

Podchodziła coraz bliżej, przechylając głowę raz w prawo, raz w lewo, a on kulił się w świetlnej pułapce.

– Widzę twoją śmierć, twoja krew spływa po kamieniach, a martwe oczy wpatrują się w ciemność. Ciesz się, Toricu, morderco dzieci, że nie ja cię dzisiaj osądzam, lecz czyni to *taoiseach* zgodnie z prawem. Jednak wiedz, że nadejdzie czas mojego sądu.

Opuściła rękę, a wtedy on osunął się na posadzkę.

Moc opuściła ją tak samo gwałtownie jak wcześniej w niej wezbrała. Sala zawirowała. Breen czuła, że słabnie.

Otoczyło ją czyjeś ramię, podtrzymało.

– Nie wolno ci zemdleć i nie zobaczyć takiej chwili – usłyszała szept Tarryn.

– Dobrze.

– Musisz wrócić na miejsce o własnych siłach, wyprostuj się, patrz przed siebie, wysoko trzymaj głowę. I usiądź.

Posłuchiwała. Posuwała się wśród narastającego gwaru i zamieszania. Usiadła na ławie, a Marco drżącą ręką poszukał jej dłoni.

– Mahon, Brian, odprowadźcie oskarżonych tam, gdzie ich miejsce.

Mahon nachylił się nad Lordanem, żeby pomóc mu wstać.

– *Taoiseachu*, ten nie żyje, jest zimny.

Keegan gestem uniesionej dłoni powstrzymał rosnący chaos.

– A więc tak przerwałeś więzy – zwrócił się do Torica. – Wybrałeś najslabszego, wydrenowałeś go z siły, zostawiając jej tyle, aby tu wszedł na własnych nogach. Wzmocniony, użyłeś reszty jego światła i życia do ataku. My, tutaj zebrani, byliśmy tego świadkami. Słyszeliśmy, jak z twoich ust padały pogrążające cię słowa. Wszyscy, co do jednego, jesteście winni. Potwierdzają to zeznania świadków. Zawiedliście święte zaufanie, złamaliście święte prawa. Wszyscy, co do jednego, za to zapłacicie. Karą jest banicja do Świata Mroku. Będziecie tam bezzwłocznie przeniesieni i pozostaniecie w zamknięciu po wieczny czas.

– On nas uwolni! – krzyknął butnie Toric, choć w jego głosie czaił się strach. – Uwolni wiernych.

– Wątpię – odpowiedział spokojnie Keegan. – Chyba się przekonał, że jesteście tchórzami i słabeuszami. A jeśli się mylę, wiedźcie, że to ze mną, a nie z Breen Siobhan, spotkacie się na polu walki.

Wszyscy skazani na banicję – powtórzył i opuścił buławę. – Taki jest Osąd. Wyprowadźcie ich z sali i zabierzcie do dolmenu w lesie. Osobiście otworzę, a potem zapieczętuje portal.

Ponownie opuścił buławę i wstał.

– Zamykam Osąd.

– Naprawdę muszę na powietrze – wydusiła Breen.

– Dobra, skarbie, ale poczekajmy, niech ten tłum się nieco przerzedzi.

– Najlepiej teraz wyjdźmy. – Tarryn podeszła i wzięła Breen za rękę. – Wszyscy będą cię zaczepiać, zagadywać. Chodźcie ze mną. Pokażę wam drogę.

Wyprowadziła ich bocznymi drzwiami na korytarz i skręciła do biblioteki.

– Posiedź tu w ciszy, napij się wina. Marco, kochany, otwórz tamte drzwi i wpuść świeże powietrze.

– Nie wiem, jak to się stało.

– Jeżeli nie wiesz, to się dowiesz – odparła spokojnie Tarryn i naląła jej wina z karafki. – Mogłabym cię wziąć do siebie i przygotować ci detoks, ale widzę, że wino wystarczy. Jesteś silniejsza, niż myślisz, i wspaniale to dzisiaj udowodniłaś. Marg będzie z ciebie dumna.

– Wrzałam z gniewu, słuchając rodziców... tych chłopców i wszystko tak nagle się stało.

– Twój dar, twoja moc bierze się z serca, trzewi i umysłu. Gniew gnieździ się w trzewiach, współczucie w sercu, a wola w umyśle.

Posadziła Breen w fotelu, potem napełniła kieliszek Marco.

– Wino pomoże ci się odprężyć. Jesteś dobrym przyjacielem. Widziałaś, Breen, jak on cię wspierał? Cały czas stał przy tobie. Przy tobie i dla ciebie.

– Nie, nie widziałam. Ale wiem, że tak było.

– To samo zrobiłabyś dla mnie.

– Muszę was zostawić, Keegan mnie potrzebuje. Możecie tu siedzieć, jak długo macie ochotę. Nikt wam nie będzie przeszkadzał.

– Tarryn, dziękuję. Dziękuję, że mnie wsparłaś, bo prawdopodobnie zemdlałabym i wszystko zepsuła.

– Ale na to nie pozwoliłyśmy, prawda? To była cholernie elektryzująca chwila.

Kiedy wyszła, Marco przypadł do Breen.

– Dziewczyno, o mało nie narobiłem w gacie. Niewiele brakowało. Byłaś... To było moc-

niejsze niż wtedy w nocy. Mocniejsze niż wszystko. Praktycznie płonęłaś. Biła z ciebie jasność i żar. Powietrze wirowało, światło pulsowało i... Uff, muszę się jeszcze napić.

– Marco, nie wiem, skąd brały się tamte słowa, ale ja je znałam, chciałam je wypowiedzieć. A to coś we mnie? Było bardzo silne, ale wcale się tego nie bałam. Bo wypływało ze mnie. Dopiero po wszystkim omal nie zasłabłam. Tak samo się czułam, gdy pierwszy raz przeszłam przez portal. Ale już dobrze, dochodzę do siebie.

– Co teraz czujesz?

– Spokój – stwierdziła zdumiona. Wyciągnęła rękę przed siebie, sprawdziła, czy drży. – Spokój.

– Moja dziewczynka. A nie doradziłem ci, jak masz się ubrać? Ten zestaw normalnie powala. I to właśnie zrobiłaś, powaliłaś ich.

Parsknęła śmiechem, wychyliła spory łyk wina.

– No, całą robotę odwaliły skórzane spodnie.

\*

Keegan stał w głębi lasu. Towarzyszyli mu tylko matka i Mahon. Patrzył w czerni, słyszał zawodzenie wiatru w otwartym portalu. Wyłącznie *taoiseach* miał tę władzę i znał słowa, które go otwierały i pieczętowały. Widział, jak czeluść wchłonęła osądzonych i skazanych na banicję. Wiedział, że dokonana się sprawiedliwość.

Odtąd zdrajcy będą żyć w świecie mroku, pozbawieni magii, radości, pokoju i wolności; owych wielkich zalet życia w Talamh. Pozostaną przy życiu i to właśnie był okrutny aspekt sprawiedliwego wyroku.

Trzymał w dłoni buławę. Ręka nadal lekko mu drżała pod wpływem przywołanej energii, jednak to drżenie stopniowo ustępowało. Wiedział, że wyciszenie umysłu zajmie mu więcej czasu.

Odwrócił się do Mahona.

– Wracaj do domu, do żony i dzieci.

– Wrócę razem z *taoiseachem*.

Keegan pokręcił głową.

– Nie ma sensu, żebyś tutaj dłużej siedział. Dokonało się to, co powinno. Teraz, niech bogowie mnie oszczędzą, pozostają tylko formalności i polityka. Wieczorem mamy Powitanie, czeka mnie jeszcze zebranie Rady w pełnym składzie, a jutro otwarty Osąd. Wykorzystaj wolny czas, bracie, bo będę chciał mieć cię przy sobie, gdy udam się na południe nadzorować pracę przy rozbiórce klasztoru.

– Leć do domu. – Tarryn objęła dłońmi twarz Mahona. – Moja córka jest silna, ale dobrze, gdy kobieta, która nosi w sobie życie, może się wesprzeć na silnym ramieniu. Wykorzystaj wolny czas, jak radzi Keegan, bo nie wiemy, kiedy Odran znowu uderzy.

– W takim razie polecę. Przy okazji zrobię rekonesans. Mogę zboczyć na południe i sprawdzić, jak się sprawy mają.

– Zostali tam Mallo i Rory, mają czuwać nad oczyszczaniem terenu. Ale mógłbyś odbić na północ i sprawdzić, czy tam nie dzieje się nic podejrzanego.

– Dobrze, wrócę, jeśli zobaczę coś, o czym powinieneś wiedzieć. W takim razie bawcie się dobrze wieczorem, bo uczta na pewno będzie przednia, ale ja robię lepszy interes: zjem kolację przy własnym stole w domowym stroju.

– Zazdroszczę ci. Zostań tu za mnie, a ja pojedę do domu.

– Za późno. Słucham rozkazów *taoiseacha*. Błogosławieństwo dla was. – Pocałował Tarryn, uściśnął ramię Keegana, po czym rozwinął skrzydła, wzbił się w górę i poleciał na północ.

– Poprosiłeś go, żeby rozejrzał się na północy, dlatego ochoczo i bez dyskusji zgodził się odlecieć. To – Tarryn postukała palcem w pierś Keegana – jest właśnie dyplomacja i polityka.

– Oszczędziłem sobie jednego bólu głowy, bo już widzę kolejny na horyzoncie.

– O czym mówisz?

– Chodźmy stąd w jakieś miejsce z lżejszym powietrzem.

Po drodze zdał jej relację z porannej rozmowy z Breen.

– Och bogowie, ta pannica jest przebiegła i samolubna. Zawsze taka była.

Keegan przystanął i uniósł wysoko brwi.

– Czy to dyplomacja i polityka sprawiły, że dotąd trzymałaś język za zębami?

– W ostatnim roku, a może dłużej, bardzo często odwiedzałeś jej łożę. Jesteś dorosłym mężczyzną, cóż miałam mówić? Bardzo lubię i cenię jej rodziców. Według mnie szkoda, że nie doczekali się więcej dzieci. Mieliby mniej czasu i chęci na rozpieszczanie jedynaczki.

– Zamierzam z nią porozmawiać.

– Tak, koniecznie. Ale uważaj na nią, Keeganie. Urocze dziewczęta wyrastają na piękne kobiety nawykłe do forsowania swojej woli i bywają niebezpieczne, gdy coś nie układa się po ich myśli. Ja trzymam język za zębami, natomiast ona ochoczo nim miele.

– Ona nie stanowi dla mnie zagrożenia. Na bogów, dzisiaj wszyscy mieli okazję poznać siłę Breen Siobhan O’Ceallaigh. Ona łatwo się nie poddaje.

– Bądź ostrożny – powtórzyła Tarryn. – Zemsta nie zawsze przychodzi na ostrzu miecza, nie zawsze bywa błyskawiczna. Przebiegli i samolubni szukają podstępnych sposobów. – Westchnęła.

– Ach, Uwin i Gwen będą przygnębieni zachowaniem ich córki wobec Breen.

– Nie muszą o tym wiedzieć. A z nią porozmawiam, tak, koniecznie muszę to załatwić. Temat zamknięty.

Mężczyźni, westchnęła w duchu, jakże bywają naiwni, gdy chodzi o kobiety. Niemniej on jest dorosły i sam musi do tego dojść.

## Rozdział 18

Shana już dawno miała gotowy plan, nosiła się z nim w przeszłości, ale potem z niego zrezygnowała.

Po Osądzie ruszyli konno z Lorenem do jego chaty. Przecięli pola i wjechali do lasu na południowych obrzeżach wioski. Loren nie przestawał mówić o Breen, o nagłym i niespodziewanym objawieniu się jej mocy na rozprawie.

Jego towarzyszka natomiast zastanawiała się, czemu musi znosić towarzystwo mężczyzn, którzy patrzą na tę rudą przybłędę jak na boginię?

– Może to ją powinieneś zaprosić na przejażdżkę? – zapytała głosem ociekającym miodem.  
– Mogę zawrócić i poszukać jej dla ciebie.

Och, znał ten ton, bardzo dobrze znał, skupił więc całą uwagę na swojej bogdance. Patrzył na nią z miłością w oczach.

– Shano, przecież wiesz, że poza tobą świata nie widzę. Pragnę ciebie sercem, umysłem, ciałem i duchem. Jestem wdzięczny za moc, którą widziałem u Breen, bo wiem, że ona pomoże ocalić Talamh. I ciebie. Przede wszystkim ciebie.

Dobrze ją znał i kochał, dlatego więcej ani słowem nie wspominał już o Breen ani kimkolwiek innym. Od tej chwili na jego ustach była wyłącznie Shana.

– W co się dziś ubierzesz, żeby oczarować mnie i wszystkich, którzy cię zobaczą?

– Jeżeli ci powiem, mogę cię nie oczarować.

– Jestem tobą oczarowany każdego dnia, w każdej godzinie i chwili. Będę najszcześniejszym mężczyzną we wszystkich światach, jeżeli wieczorem zechcesz usiąść przy mnie, tańczyć ze mną i dotrzymywać mi towarzystwa.

Obdarowała go szczerym uśmiechem, bo wiedziała, że on mówi prawdę. Kochał ją i to stanowiło jego słabość.

Ach, gdyby Loren był *taoiseachem*, wszystko ułożyłoby się idealnie. Niestety, nie był, nie miał ambicji przywódczych i nigdy ich nie nabędzie. Czy mogła ulec słabości, zaakceptować miłość, która nie zapewniała władzy i wszystkiego, na czym jej zależało? W pewnym sensie Loren był przystojniejszy od Keegana. Miał zdecydowanie łagodniejszy wygląd i sposób bycia. Zawsze chodził drogo i modnie ubrany. Wiedziała, że wyglądali na idealną parę, obojętnie czy spacerowali, jechali konno czy razem tańczyli. Loren obsypywał ją prezentami, a dzięki znajomości alchemii tworzył dla niej migotliwe klejnoty i wykwintne tkaniny. Zawsze ochoczo obdarzał ją komplementami i poświęcał jej całą uwagę.

Ale...

Mieszkał w chacie w lesie, bez wieży z komnatami jak *taoiseach*. Nigdy nie będzie przewodził Radzie, ludzie nie będą na jego widok wiwatować.

Nigdy też nie zasiądzie na Krześle Sprawiedliwego, nie będzie osądzać wrogów. A ona przy Lorenie nie zostanie prawą ręką *taoiseacha*. Nigdy nie zdobędzie władzy i wpływów. A pragnęła je zdobyć w taki czy inny sposób.

Kiedy dotarli do chaty, pozwoliła, by Loren zszedł ją z konia i zaplotła mu ramiona na szyi.

Gdy opadł wargami na jej usta, przejął ją dreszcz pożądania. Wprawny kochanek wiedział, jak zaspokajać jej potrzeby i znajdować nowe podniety. Kiedy Keegan już jej się oświadczy, gdy się pobiorą, weźmie Lorena Mac Niadha o zręcznych dłoniach na kochanka. Będzie wypełniał jej noce, kiedy obowiązki każą *taoiseachowi* opuszczać Stolicę.

Oczywiście zadba, aby to z nią, a nie na zachodzie, Keegan spędzał jak najwięcej czasu. Niech jego matka tam wróci, bo tutaj już nie będzie potrzebna.

Och tak, pomyślała, dopilnuje, aby Tarryn odesłano w dolinę. Nie zamierza konkurować o uwagę Keegana z jego bystrooką matką.

– Mam ochotę na ciebie – wyszeptła, przytulając się do Lorena. – I na wino. – Zaśmiała się po tym wyznaniu. – Kubek wina, a potem ty. Oczaruj mnie, Lorenie z Widzących.

Machnął ręką, pokręcił dłonią w prawo i lewo. Drzwi chaty – zawsze zamykane jego zaklęciem – otworzyły się.

– Nalej wina, *mo chroi*, a ja zajmę się końmi. Niczego bardziej nie pragnę niż cię oczarowywać.

Z elfią rzutkością weszła do środka, naląła im wina i z fiołki, którą wyjęła z kieszeni, dodała do jego kubka dwie krople – dokładnie dwie – eliksiru na sen. Loren zaśnie na kilka minut, a to jej w zupełności wystarczy.

Zerknęła na poddasze. Tam miał swoją pracownię. Pamiętała jej rozkład, bo wielokrotnie mu towarzyszyła, gdy tworzył dla niej zaklęcia albo wyczarowywał urocze błyskotki. To były takie niewinne błahostki. Loren miał dużą moc i wszystko, czego potrzebował do poważniejszych, już nie tak niewinnych uroków, trzymał w szafie zamkniętej zaklęciem. Tylko on gestem dłoni mógł otwierać tę szafę. Pewnego razu wyznała mu miłość i drocząc się z nim zalotnie, rzuciła, że na pewno nie kocha jej aż tak bardzo, żeby jej pokazać, jak otwiera szafę. I wtedy poznała ten gest.

Miłość potrafi dać do rąk potężny oręż.

Kiedy wszedł, posłała mu zachęcające spojrzenie przez ramię i z kubkami wina w dłoniach rozkołysanym krokiem skierowała się do sypialni.

– Napaliłbyś w kominku, *mo leannan*? – Zadrżała lekko.

Pstryknięciem palcami wzniecił płomień. Kiedy zbliżał się do niej, pokręciła głową. – O nie, mój złoty bogu. Najpierw się rozbierz. – Wypiła łyk wina z kubka w prawej dłoni. – Muszę zobaczyć to, co do mnie należy.

Kolejnym pstryknięciem palcami zrzucił ubranie na podłogę.

– Podoba mi się to, co widzę. Skoro spełniłeś moje polecenie, dołączę do ciebie.

Wyciągnął się na łożu ze złożonymi kolumnienkami, miękkim i wygodnym, o czym doskonale wiedziała, bo on tak samo jak ona uwielbiał pławić się w luksusach.

– Jestem i zawsze będę twoim niewolnikiem.

Sącząc wino, podeszła do łoża. Odstawiła swój kubek, podała mu ten z lewej ręki.

– Będziesz walczył z moimi wrogami? – zapytała, rozpuszczając włosy.

– Będę walczył i pokonam ich wszystkich co do jednego.

– Będziesz stroił mnie w jedwabie i satynę, obsypywał klejnotami?

– Dostaniesz wszystko, czego zapragniesz, i jeszcze więcej.

– Napij się wina, mój niewolniku, żebym czuła jego smak na twoich wargach, na języku.

Kiedy pił, rozpięła suknię i pozwoliła jej się osunąć tak, aby zobaczyć, że pod spodem jest naga.

– Shano. Jesteś wizją, marzeniem. Cudownie grzesznym zjawiskiem.

Zaśmiała się, odrzucając włosy do tyłu.

– Leż, nie ruszaj się. Daj mi najpierw zaspokoić moje pragnienia.

Weszła do łoża i podpełzła do niego wężowymi ruchami. Nie spuszczać oczu z jego twarzy, pieściła go wargami, skubała zębami, czuła, jak jego ciało pulsuje i pręży się pod nią.

– Czekaj, zobaczysz... – szeptała, sunąc palcami po jego bokach. – O ile więcej możemy osiągnąć w łożu niż... – Zawisła tuż nad jego ustami. – Zaśnij.

Zasnął po tym słowie i dwóch kroplach eliksiru.

Odpięła łańcuszek z kluczem na jego szyi, wybiegła z sypialni i jak wicher popędziła na poddasze. Z bijącym sercem przycisnęła dłoń do pierwszej z trzech gwiazd wyrzeźbionych na drzwiach szafy. Potem dotknęła pierwszego z dwóch księżyców, a na koniec najmniejszej planety w konstelacji siedmiu planet.

Włożyła klucz do zamka i drzwi puściły. Wiedziała, czego szuka. Kiedyś Loren, uległy po seksie, dał jej się omotać i wyciągnęła od niego formułę zaklęcia. Błyskawicznie zgromadziła wszystko, czego potrzebowała. W małych ilościach, aby się nie zorientował.

Zamknęła szafę na klucz, zbiegła na dół i wrzuciła składniki do mieszka w kieszeni porzuconej sukni.

Podkscytowana myślą o tym, co zrobi, co osiągnie, z powrotem opadła na niego całym ciałem.

– Zbudź się – wyszeptała, a kiedy uniósł powieki, przywarła ustami do jego warg.

Miał zawroty głowy, zaćmiony umysł i dziwnie bezwolne ciało. Shana uniosła się, oplotła go nogami i posiadała.

W tej chwili nic poza nią dla niego nie istniało.

\*

Ponad godzinę później, zadowolona i odprężona, wracała konno do zamku. Och tak, zdecydowanie zrobi z Lorena kochanka, jak zdobędzie należną jej pozycję w Talamh. Na Powitaniu całą uwagę poświęci Lorenowi. Niech Keegan cierpi – na pewno będzie cierpiał – przekonany, że już nic dla niej nie znaczy. A kiedy zrealizuje swój plan, *taoiseach* na klęczkach u jej stóp będzie błagał, aby do niego wróciła. Ofiaruje jej wszystko, czego tylko zapagnie, i ona to weźmie, bo na to zasługuje.

Powiodła spojrzeniem po wsi z gospodarzami krzątającymi się w obejściach i ogrodach, objęła wzrokiem zamek i serce rosło jej z radości, bo wkrótce to wszystko będzie należeć do niej.

W szampańskim nastroju podjechała do stajni i chociaż sama umiała zajmować się końmi, rzuciła wodze jednemu z chłopców stajennych. Nie chciała tracić czasu, musiała się przygotować na wieczór.

Wchodząc do wielkiego holu, zsunęła kaptur z głowy i pomacała kieszeń.

– Pani! – zawołał za nią jeden z kręcących się tam mężczyzn. – *Taoiseach* pani szuka. Chce rozmawiać.

– Ach tak? A gdzie on jest?

– W Komnacie Map, ale...

Machnęła dłonią i ruszyła przed siebie. Za Salą Sprawiedliwości i biblioteką, obok gabinetu Rady, gdzie kiedyś będzie zasiadać, mieściła się Komnata Map. To wysokie na dwa piętra pomieszczenie zajmowały gabloty ze zrolowanymi mapami wszystkich znanych światów, z naniesionymi miastami, wsiami, puszciami i morzami. Na środku stał okrągły stół do studiowania map. Mniejsze stoliki ustawione wzdłuż ścian służyły uczonym i podróżnym do ewentualnej aktualizacji zbiorów.

W tych wszystkich światach, spekulowała Shana w cudownym nastroju, na pewno jest mnóstwo pięknych przedmiotów. Kiedy będzie rządzić, wyda przepis, zgodnie z którym podróżnicy będą zobowiązani przywozić jej te cuda w zamian za prawo korzystania z portalu.

Keegan z kilkoma osobami stał przy dużym stole. Rozpoznała Elfa, który zeznawał na Osądzie. Resztę obecnych знаła. Byli tam, zwiadowcy bliźniacy, smoczy jeździec Brian z Sidhe, jeden z braci Moreny i oczywiście Tarryn, która według Shany jak na zwykłą matkę dysponowała zdecydowanie zbyt dużą władzą.

Kiedy przystanęła w łukowym wejściu, Keegan zwinął mapę.

– Dziękuję wam – zwrócił się do obecnych. – Zobaczymy się na Powitaniu.

Gdy wyszli, podszedł do serwantki i nalał sobie pół kufła piwa.

– Shano, proszę, zamknij drzwi.

– Oczywiście. – Przyspieszyło jej tętno. Może się opamiętał i nie będzie musiała użyć tego, co chowa w kieszeni.

– Przede wszystkim mówię teraz jako *taoiseach* i powiem ci, że bardzo mnie rozczarowałaś swoim zachowaniem.

– Ja? – Zadarła podbródek.

– Po drugie, mówię to jako twój przyjaciel. Przykro mi, że wykorzystowałaś naszą przyjaźń przeciwko trzeciej osobie.

Patrzyła mu prosto w twarz z wyrazem szczerego smutku w oczach. Jednak pod tym smutkiem, wcale nie udawanym, czaił się gniew.

– Nie wiem, o co ci chodzi, co takiego zrobiłam, i wiesz, że mnie ranisz. – Jej głos lekko drżał pod wpływem tłumionego gniewu. – Ranisz mnie, Keeganie, i obrażasz, strofując jak dyrektor szkoły uczennicę.

Wysączył powoli łyk piwa, a ponieważ go znała, widziała, że on też powstrzymuje gniew. Przebiegły ją pierwsze ciarki strachu.

– Powiedz, widziałaś się wczoraj z Breen?

– Z Breen? Oczywiście. Minga i Kiara prosiły, żeby okazywać jej i Marco serdeczność i gościnność.

– Zaczepiłaś ją, aby powiedzieć, że nadal dzielimy łóżce, a to, co było między mną i nią nie ma znaczenia. Nie życzę sobie, abyś używała kłamstw na mój temat do ranienia innych osób.

– To jakaś bzdura. Kompletna bzdura! No tak, naturalnie, powinnam mieć więcej rozumu.

Po co w ogóle starałam się być dla niej miła? – Wirowała po komnacie, tymczasem on stał bez ruchu. – Nie powinnam pozwolić, żeby mnie obrażano i obrzucano wyzwiskami.

– Tak było? – zapytał Keegan, nim odstawił kufel.

– Wyraźnie jej powiedziałam, że to, co było między nami, należy do przeszłości, bo kocham kogoś innego, ale ona, zazdrosna i zawzięta, nie odpuszczała. A teraz wszystko przekręca, tak? Biegnie do ciebie i kłamie jak najęta.

– A więc to kłamstwa?

– No pewnie! – Otworzyła szeroko oczy, drżała jej dolna warga. – Jak w ogóle mogłeś pomyśleć... Przecież przeprosiłam cię wczoraj. Bardzo mnie uraziłeś, a jednak okazałam żal za swoje zachowanie. Pierwszy raz ją widziałam, a ona już patrzyła na mnie jak na wroga. Poszłam do niej, bo chciałam zaproponować jej przyjaźń, towarzystwo i ewentualną pomoc we wszelkich sprawach w Stolicy. – Przycisnęła rękę do serca. – Zaatakowała mnie z taką furją, bałam się, że mnie uderzy.

– To było przed czy po tym, jak jej zarzuciłaś, że przez nią polegli ludzie na południu?

Opuściła rękę. Czowała, jak dłoń piecze ją z wściekłości. Jeszcze bardziej bolała świadomość, że błędnie oceniła sytuację.

– Dlaczego miałabym powiedzieć coś tak okrutnego?

– Właśnie, Shano, dlaczego?

– To nieprawda. Nigdy bym tego nie zrobiła. Niestety, widzę, och tak, widzę, że ty tej kobiecie z zewnątrz, którą znasz zaledwie od kilku miesięcy, ufasz bardziej niż mnie. – Chwyciła jego kufel, resztką piwa splukała gorycz w ustach. – Rzuciła na ciebie czar, ot i cała prawda. Wszyscy dzisiaj widzieli siłę jej gniewu. – Cisnęła kuflem o ścianę. – Musiała rzucić na ciebie kłutwę, bo inaczej jak to możliwe, że ty, *taoiseach*, dajesz się wodzić za nos komuś z zewnątrz, w kogo żyłach płynie krew Odrana?

Przez chwilę się nie odzywał. Ten brak reakcji ponownie wywołał u niej ciarki. Gdy Keegan hamował gniew, zazwyczaj bardzo starannie dobierał słowa, a każde z nich bolało niczym smagnięcie batem.

– Uważaj, Shano, na to, co mówisz. Dobrze się zastanów, zanim rzucisz bezpodstawne i nieprawdziwe oskarżenia. A jeżeli będziesz je powtarzać poza tą komnatą, spotkają cię przykre konsekwencje.

Zszokowały ją te słowa, przeraził bezwzględny wyraz jego twarzy i twarde spojrzenie lodowatych oczu.

– Ty... mi grozisz?

– Ostrzegam. Jako *taoiseach* radzę ci ważyć słowa. Masz trzymać się z daleka od Breen Sio-bhan O’Ceallaigh. Zwalniam cię z przywileju jej powitania.

Shana zacisnęła pięści. Poczowała, jak paznokcie wbijają się jej w dłoń.

– Zakazujesz mi pojawić się na Powitaniu?

– Nie, to przyniosłoby wstyd twoim rodzicom. Ale ostrzegam dla twojego i ich dobra, żebyś trzymała się z daleka od Breen. Ona zostanie w Stolicy krótko. Ufam – muszę ufać – że za każdym razem, kiedy będzie tutaj się pojawiać, ty zachowasz się należycie.

– Ja zachowuję się należycie, *taoiseachu* – oznajmiła chłodno z kamiennym wyrazem twarzy. – Jak najbardziej należycie. A teraz ja ci powiem: jeszcze pożałujesz, że związałaś się z kimś takim jak ona.

Nie próbował jej zatrzymać, gdy się odwróciła i wybiegła z komnaty.

Dwa razy, pomyślał. Dwa razy Shana pokazała mu, kim jest. Bardzo żałował, że swego czasu coś ich łączyło.

Sprawa została zamknięta.

Podszedł do ściany, podniósł wgnieciony kufel i z nim w dłoni przyglądał się mapie Talamh wiszącej na ścianie. Miał na głowie wiele spraw, znacznie ważniejszych od gniewu byłej kochanki.

\*

Brian był na służbie, więc Marco namówił Breen na wypad do wsi. Długi spacer bardzo ucieszył Fąfla, bo potem mógł skorzystać z kąpieli w rzece.

A Breen nareszcie miała szansę przyjrzeć się życiu Stolicy poza zamkiem.

Oblegający studnię Talamhańscy przypominali jej pracowników biurowych, którzy gro-



madzą się w firmie przy automacie ze schłodzoną wodą. Mężczyźni i kobiety gawędzili, napełniając wiadra i dzbany. Niektórzy, oparci o cembrowinę, toczyli dyskusje ze znajomymi.

Za chatami na sznurach powiewało pranie; na łąkach pasły się owce i krowy.

Breen obejrzała się na parę zdejmującą z wozu brykiety torfu, odprowadziła wzrokiem kobietę w zaawansowanej ciąży, która weszła do gospody z koszem jesiennych warzyw. Z otwartych drzwi popłynęła melodia na flecie przypominająca beztroski śmiech.

To był idealny jesienny dzień z lekkim wiatrem i ostro świecącym słońcem. Sklepiarze porozkładali towary na straganach i wabili przechodniów kolorowymi warzywami, pieczywem, wyrobami ze skóry, drewnianymi zabawkami, dębanymi misami i łyżkami, błyskotkami, biżuterią, wstążkami i guzikami.

Obok kramu z porozwieszanymi na kołkach szalami, chustami, czapkami i swetrami szewc w swojej budce przybijał teksami zelówkę do buta, podśpiewując pod nosem.

– Brian mówił, że tu zawsze jest duży ruch – powiedział Marco. – Ludzie przyjeżdżają na handel, ustawiają kramy, zwiedzają tereny zamkowe i miejscowe zabytki.

– Wieś jest bardziej rozległa, niż się wydawała z daleka zauważyła Breen.

I tętni życiem, dodała w myślach. Jest ruch i energia.

– Jeżeli będziemy mieli okazję jeszcze raz tutaj przyjść, koniecznie musimy wziąć coś na wymianę. Zrobiłam kilka bransoletek, ale nie pomyślałam, żeby je ze sobą zabrać. Mam w kieszeni mieszek na amulety i mały woreczek z kryształami. Coś z nich poskładam i następnym razem przyniosę na handel. Chciałabym przywieźć babci jakiś upominek ze Stolicy.

Kiedy to mówiła, jej uwagę przyciągnęła kobieta z kruczoczarnymi włosami zwiniętymi w luźny koczek na czubku głowy. Owinięta szalem w kolorze dyni, siedziała na bujanym fotelu. Kołysząc się, robiła na drutach kocyk z białej włóczki i stopą w trzewiku wystukiwała jakiś sobie znany rytm. Z Widzących głosił napis na tabliczce nad jej głową. Odłożyła robótkę i zgiętym palcem skinęła na Breen.

Dopiero z bliska dziewczyna zobaczyła czerwonego smoka w locie na polu z białej włóczki.

– Jaki śliczny kocyk – powiedziała.

– Robię go dla mojej prawnuczki, która przyjdzie na świat przed świętem Yule. Będzie dwunastą z prawnucząt. Dla każdego z nich robię taki kocyk, żeby gdy będą szli przez życie, pamiętali, że nad Talamh unosi się smok.

– Wspaniały podarunek.

– Znam cię – dodała, odkładając robótkę do koszyka przy fotelu. – Wyglądasz tak jak ci, co byli przed tobą. Brzemienna z siódmym dzieckiem stałam dokładnie w tym miejscu, kiedy Mairghread wjeżdżała do Stolicy jako *taoiseach*. A potem stałam tutaj, gdy wjechał twój ojciec.

Dźwignęła się z fotela.

– Wejdz do środka, Breen Siobhan. Ty, twój przyjaciel i ten okazały pies jesteście mile widziani w moim domu.

– Dzisiaj nie mam nic na handel... – zaczęła Breen, wchodząc za kobietą do chaty. Zatrzymała się za progiem i oszołomiona, wodziła oczyma po wnętrzu.

– Podoba ci się to, co widzisz?

– Jestem zachwycona. Wspaniały sklep. – Kojarzył się jej z jaskinią skarbów Trolli, tylko był od niej o wiele mniejszy.

– O rety! – Marco obrócił się wokół własnej osi. – Jaki niesamowity aromat!

Czarny kot, którego Breen brała za posążek, bo siedział nieruchomo na stole, zeskoczył na podłogę. Fąfel zamiast rzucić się za nim w pogoń, usiadł i pozwolił mu obejść się w koło.

– Moja Sira nic mu nie robi. Chce tylko pokazać, kto tu rządzi. – Rozbawiona, powiedziała coś do kota w pradawnym języku.

Kot jeszcze raz okrążył Fąfla, z powrotem wskoczył na stół i zaczął się myć.

– Chodźcie tutaj. – Kobieta podeszła do półki z barwnymi kryształami i minerałami w kształcie sześciątów, walców, kul i graniastosłupów. Zdjęła z niej ciemnofioletowy ametyst o idealnie kwadratowych ścianach.

– Piękny – zachwyciła się Breen, kiedy kobieta wyciągnęła do niej rękę z kryształem. – Ale ja... Och, to świecznik. – Zaintrygowana, zajrzała do okrągłego otworu na jednej ze ścian.

I wtedy usłyszała głos kamienia.

– Dla duchowego ładu i pokoju umysłu w tych burzliwych czasach – odezwała się kobieta. –

Myślałaś o prezencie dla babci, prawda?

– Tak, byłby idealny. Ale nie przyniosłam nic na wymianę.

– Nie, nie, pojawiłaś się w Talamh i za to daję ci go dla Mairghread. Mój mąż, ojciec naszych siedmiorga dzieci, poległ w bitwie o Czarny Zamek.

– Przykro mi.

– Bronił światła. Dla ciebie, dla mnie, naszych dzieci i wszystkich, którzy przyjdą po nas. Był dobrym człowiekiem, widzę jego cechy w naszych dzieciach oraz w dzieciach i wnukach naszych dzieci. Tak jak w tobie widzę twojego ojca i jego matkę. Oni stali po stronie światła, ty też po niej staniesz, a dziecko po narodzinach owinięte w ten kocyk, który teraz robię, będzie żyło w pokoju. Przekażesz Mairghread błogosławieństwo od Ninii Colconnan ze Stolicy? Być może mnie pamięta.

– Tak. I ja zachowam ciebie w pamięci, Matko.

Kobieta ujęła wyciągniętą rękę Breen. Gdy ją uściśniła, jej niebieskie oczy pociemniały.

– Uważaj na siebie, dziecko. Miej otwarte oczy, oglądaj się za siebie. Ktoś chce cię skrzywdzić.

– Odran i jego poplecznicy.

– On i jemu podobni, zawsze, ale ten ktoś jest tutaj, blisko. Uważaj na siebie, bo jesteś dla nas cenna. Uważaj – powtórzyła po raz trzeci. – Teraz to się nie uda, ale ten ktoś na tym nie poprzestanie. – Zamknęła drugą rękę na dłoni Breen. – Więcej nie widzę, ale słyszę złe myśli wysyłane ku tobie, myśli tak bezwzględne i ostre, które mogą ranić jak sztylet.

– Będę ostrożna.

Kobieta pokiwała głową i odstąpiła kilka kroków.

– Widzę, że nosisz amulet ochronny – zwróciła się do Marco. – W takim razie weź to. – Podeszła do półki i wybrała małą, białą świeczkę. – Zapach pochodzi z kwiatów jaśminu, które otwierają się nocą. Podobnie jak rozkosze miłości. Kochasz i jesteś kochany. Kiedy będziesz oddawał się tym rozkoszom, ten zapach i światło... je pogłębią.

A ty? – zwróciła się do Fąfla. – Myślałeś, że o tobie zapomniałam? – Pochyliła się i go pogładziła, a kot przyglądał się tej scenie z wysokości stołu. Potem z niewielkich słoików wyjęła trzy malutkie kamienie i ułożyła je na obroży Fąfla. – Niech ten amulet chroni szczere serce, oto moje życzenie i cel. Niech osłania je na ziemi, morzu i w powietrzu. Taka jest moja wola. Niech z mojej woli tak się stanie.

Przy delikatnym migotaniu światła kamienie przylgnęły do obroży.

– Jesteś taka dobra – odezwała się Breen.

– Przeszłaś zwycięsko przez różne próby i czekają cię następne. To jest podziękowanie. A dobroć? Dobroć nic nie kosztuje.

Marco nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Jestem szczęśliwy, że miałem okazję cię poznać, uhm... Matko.

– Ach, której kobiecie nie sprawi radości całus przystojnego młodego mężczyzny? – Odwzajemniła pocałunek. – Jeszcze się zobaczymy. A teraz już idźcie, żebyście zdążyli się wystroić na Powitanie.

Uważaj na siebie, Córko. – Jeszcze raz uściśniła dłoń Breen.

– Niesamowita kobieta – podsumował Marco, kiedy wracali do zamku. – Trochę mnie przstraszyła tym wieszczaniem, że ktoś na ciebie czyha, ale tak w ogóle była świetna.

– Chyba wiem, kogo wyczuła w swojej wizji, ale to drobiazg. Nie przejmuję się złymi myślami.

– Kogo? Będę posyłał mu groźne spojrzenia.

– Shanę. Ośmieszyła się – i przy okazji wszystkie kobiety – próbując mnie wciągnąć w walkę o Keegana.

– Ach to. – Jako że Breen wcześniej opowiedziała mu o tamtej sytuacji, zbagatelizował ją tak samo jak ona. – Ale i tak będę na nią patrzył Porażająco Twardym Wzrokiem Marco Olsena. Nikt nie będzie mi tu krzywdził mojej dziewczyny.

– Dostanie nauczkę. – Kuksnęła go biodrem. – A teraz przejdźmy do istotnych spraw. Myślisz, że głupio zrobię, jeżeli na dzisiejszy wieczór zmienię kolor niebieskiej sukni? Nie mam innej.

– A umiesz to zrobić?

– Pewnie. Może zdecyduję się na fiolet albo coś z brązów.

– To wcale niegłupie, wręcz przeciwnie, bardzo pomysłowe. Co powiesz na to, abym przyszedł do ciebie ubrany na Powitanie i wypróbowałambyś na mnie różne kolory? Wiesz, co jeszcze powinnaś zrobić? Odszukaj Kiarę, zobacz, czy nie ma jakichś błyszczących spinek do włosów czy innych ozdóbek. Żeby dodać trochę bajeru do całości.

– Mówiła, że obiecała kogoś uczesać, więc pewnie nie znajdzie dla mnie czasu. Ale... mogłabym coś od niej pożyczyć, a ty pomógłbyś mi zrobić fryzurę.

– Coś błyszczącego – powtórzył z namysłem. – A jeżeli nie znajdziesz Kiary, możemy wpleść kwiaty w warkocz.

Wzięła go pod rękę.

– Wiesz, prawie jakby nabieram ochoty na ten wieczór.

– Prawie? Jakby? Przestań, dziewczyno. Impreza na zamku! Nic świetniejszego nie mogło się trafić. Ten wczorajszy wieczór był taki smutny i uroczysty. Kurczę, nigdy go nie zapomnę. Mieliśmy dramat, spotkanie z niesamowitą wiedźmą, a teraz czas na bal. Witaj w Stolicy, Breen Siobhan Kelly.

– Zaraz, co takiego? Sądysz, że chodzi o mnie?

– Nie sądzę, wiem. A ty co myślałaś? Zresztą Brian to potwierdził. Oficjalnie cię przywitają – dostałem tę informację jako najbliższy przyjaciel gwiazdy.

Twarz Breen błyskawicznie pobladła o trzy odcienie.

– Boże, Marco, ja nie chcę być gwiazdą.

– Nie musisz wychodzić na scenę i śpiewać. Chociaż mogłabyś. Żadne przemowy czy inne publiczne występy nie są wymagane. Po prostu pogadasz z ludźmi. Zapowiada się huczne przyjęcie z mnóstwem alkoholu i tańcami. Prawdziwy bal, Breen.

Parsknął śmiechem, gdy Fąfel wskoczył z mostu do rzeki.

– Ten pies nie przepuści żadnej kałuży, nie mówiąc o strumykach. Och, on też jest zaproszony. Dziewczyno, rozchmurz się. Wszyscy mówią, że wieczorem czeka nas dobra zabawa.

## Rozdział 19

Z płonącym umysłem i krwią gotującą się w żyłach Shana rozłożyła na stole w swojej komnacie zioła, olejki i esencje wyniesione z chaty Lorena. Z szkatułki ukrytej w szafie wyjęła pasma włosów, które zebrała ukradkiem z grzebienia, gdy zalotnie nalegała na czesanie Keegana.

W głębi serca zawsze zamierzała to zrobić, nawet gdy była święcie przekonana, że on jej się oświadczy. Żeby osiągnąć wszystko, czego pragnęła, musiała sprawić, by nie widział poza nią świata. Miał kochać ją, tylko ją i nikogo więcej. Nawet matki. Jak mogłaby zająć miejsce Tarryn jako prawa ręka *taoiseacha*, jeśli on choćby cząstkę należnej jej miłości oddawałby matce?

Sięgnęła po miseczkę z różowego kwarcu – podarek od niego – i napędzana gniewem oraz ambicją zapaliła czerwoną świecę.

– Czerwień dla namiętności i serca, światło dla miłości do mnie jedynej. – Jej własne serce tłukło się w piersi, gdy przelewała olejki do miseczki. – Niech ekstrakty z cynamonu i maku opuszczą zasłone mgły na wszystkie kobiety poza mną. Dodaję ten kamień. Niech mu leży ciężarem na sercu, jeżeli sprawi mi zawód.

Ostrożnie wsypała sproszkowane zioła.

– Rozmaryn, waleriana i szałwia, aby nie odmawiał niczego, o co poproszę. – Po kolei dorzuciła pasma włosów. – To, co jest jego; trzy, dwa, jeden, prawie zamyka zakłęcie. – Wzięła mały nożyk i płytko nacięła linię serca na lewej dłoni. – Dodaję krew z mojego serca i moje łzy.

Uniosła dłoń, aby krople krwi skapnęły do miseczki. Ponieważ od dziecka miała talent do udawania, zmusiła się do płaczu i pochyliwszy się, spowodowała, że łzy poleciały do mikstury.

– Pijąc to, wypije mnie i jego miłość będzie należeć do mnie do końca moich dni. Mieszaj się i łącz, musuj i rozbełtaj. – Zataczała świecą koła nad miseczką i spuściła do środka trzy krople czerwonego wosku. Zawartość zaskwierzała, uniósł się dym. – Niech jego miłość nigdy nie wygaśnie. Gdy wypije ten eliksir, jego serce połączy się z moim i na zawsze będzie należeć do mnie. Niech z mojej woli tak się stanie.

Z lekkim drzeniem niepokoju zdmuchnęła świecę.

Już wcześniej stworzyła kilka zaklęć, ale zawsze pod okiem Lorena, gdy dawał się na to namówić. Jednak dotąd nie robiła nic tak złożonego i to na własną rękę.

Uśmiechnęła się z satysfakcją do przejrzystego płynu w miseczce. Musi poznać więcej tajników magii, postanowiła. W końcu ma w żyłach kilka kropli krwi Widzących po matce i jej przodkach.

Przełala eliksir do fiolki i zabezpieczyła ją zatyczką.

Przebierze się i dopilnuje, żeby odpowiednio wystrojona wyglądać oszałamiająco. No i przed Powitaniem zajrzy do komnat Keegana. Wiedziała, co mu powiedzieć, co zrobić.

Jeszcze przed wzejściem księżycy dostanie wszystko, czego chce.

Breen Kelly zostanie odesłana do swojego świata, Tarryn wróci w dolinę.

A ona zajmie miejsce przy stole Rady. Będzie dzielić z Keeganem jego eleganckie komnaty w wieży – oczywiście wprowadzi tam pewne zmiany. I zaplanuje wystawną ucztę weselną godną królowej.

Widząc to wszystko oczyma wyobraźni, otworzyła szafę, żeby wybrać odpowiednią kreację na tę chwilę, gdy Keegan wyzna jej miłość. Kiedy wyciągała rękę po pierwszą suknię, ktoś zapukał do drzwi i uchylił je, zanim zdążyła powiedzieć: „proszę”.

Do środka zajrzała Kiara z nieśmiałym uśmiechem i kuferkiem w ręce.

– Przyszłam cię uczesać. Jeszcze jesteś zła? Och, Shano, nie chcę, żebyś się na mnie gniewała. Tak mi z tym ciężko!

Od wczoraj Shana ani razu o niej nie pomyślała i w pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, o czym ona mówi. Dopiero po chwili naburmuszona wydeła usta. Oczywiście, że chce, aby Kiara ułożyła jej włosy, ale najpierw niech się trochę popłaszczy.

– Aha, czyli już uczesałaś swoją nową przyjaciółkę, tak? A teraz znalazłaś chwilę dla mnie?

– Och, Shano, wcale nie! – Szybko wsunęła się do komnaty i zamknęła drzwi. – Przychodzę prosto do ciebie z dyżuru u maluchów. Absolutnie nie chciałam cię dotknąć, a po naszej rozmowie czułam się taka nieszczęśliwa. Przyrzekam, nigdy więcej jej nie uczeszę. Usiądź, proszę, zgoda? Mam pomysł na nową fryzurę. Wszyscy będą za tobą się oglądać.

Kiara ruszyła do toaletki.

– Shano, co robiłaś? – Zaciekawiona przystanęła na widok czerwonej świecy, miseczki i resztek składników na zaklęcie.

Shana, przeklinając w duchu swoją bezmyślność, zbyła to pytanie machnięciem ręki i pozbierała ze stołu zioła i olejki.

– Pomyślałam, że wymieszam sobie perfumy, ale zapach się nie udał.

Kiara położyła dłoń na jej ramieniu.

– Nie, to było coś innego. Nie wolno, Shano, nie wolno ci robić takich złych rzeczy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Wściekła, szarpnięciem otworzyła szufladę i niedbale zgarnęła wszystko do środka. Potem zrobi porządek.

– Ty już to zrobiłaś, poznaję po twojej minie. – Przestraszona Kiara zacisnęła palce na ramieniu przyjaciółki. – Widzę, że paliłaś tę świeczkę. Och, Shano, jak mogłaś? Dobrze wiesz, że nasze prawo tego zakazuje. Rzucenie uroku miłosnego powoduje, że taka osoba, kierując się zazdrością czy rozpaczą, robi rzeczy, których normalnie nigdy by nie robiła.

– Pouczasz mnie? Wyjdź, po prostu idź już sobie. Sama ułożę włosy.

Kiara, zszokowana, cofnęła się o krok.

– Och, bogowie, miejcie nas w opiece. Shano, ty chcesz rzucić urok na Keegana! *Taoiseacha!* Wyrzucą cię ze Stolicy. Przyniesiesz hańbę rodzinie! Gorzej, możesz w ogóle zostać skazana na banicję za złamanie Fundamentalnych Praw.

– Ani mnie nie wyrzucą, ani nie wygnają, ani nic w tym rodzaju, bo on będzie mi oddany. Zostanę jego żoną i prawą ręką. To mi się należy. A ty nie piśniesz o tym słowem – dodała i pchnęła Kiarę. – Masz milczeć jak grób, rozumiesz? Bo sprawię, że to ty wylecisz ze Stolicy.

– Bardzo mi przykro, że jesteś aż tak rozgniewana i rozżalona. Zrozum, ty nie myślisz jasno – tłumaczyła łagodnie Kiara, patrząc błagalnie na przyjaciółkę. – Daj mi ten eliksir. Wyleję go. Więcej nie będziemy o tym rozmawiały. Nikt się nie dowie.

– Masz rację, lepiej nikomu nie mów, bo przyrzekam, drogo za to zapłacisz – wysyczała i ponownie szturchnęła Kiarę. – Zabieraj swój cholerny kuferek i wynoś się stąd. Teraz widzę, jaka jesteś fałszywa.

– Nigdy nie miałaś bardziej oddanej przyjaciółki ode mnie. Dlatego uchronię cię przed samą sobą. – Nie biorąc kufereka, ruszyła do drzwi. – Nie chcesz mi oddać eliksiru, ale raz dwa oddasz go mojej matce.

– Zdradzisz mnie?

Kiara obejrzała się na nią oczyma pełnymi łez.

– Nie, ocalę.

Shana ruszyła za nią, po drodze chwyciła wazon i cisnęła nim w Kiarę.

Dziewczyna runęła na posadzkę. Być może za mocno ją uderzyła, pomyślała Shana na widok sączącej się krwi.

– Trudno – wymamrotała. – Obróciłaś się przeciwko mnie, mogłaś wszystko zepsuć. Twoja wina.

Błyskawicznie zmieniła suknię i upięła włosy. Gdy Kiara się ocknie – o ile się ocknie – natychmiast poleci do matki.

Keegan wypije eliksir, ona zdobędzie jego serce i przeciągnie go na swoją stronę. A wtedy on zrobi porządek z nimi wszystkimi.

Obeszła Kiarę, zamknęła drzwi na klucz i skierowała się do wieży, do komnat *taoiseacha*.

\*

Po powrocie z wycieczki Breen schowała prezent dla Marg, napełniła wodą psią miskę, rozpałała płomieniem jarzący się torf w kominku i nalała sobie wina.

– Stolica jest ciekawa – zwróciła się do Fafla. – Ale chętnie wrócę w dolinę. Do naszej chaty. A teraz muszę powoli wprawić się w rozrywkowy nastrój.

Otworzyła szafę, miała wyjąć niebieską suknię, ale obok zobaczyła inną, z przyczepionym

liścikiem od babci.

*Powitanie jest trochę większą okazją od zwykłej zabawy, lecz nie tak szumną jak bal. Pamiętaj, że przez te wszystkie lata nie miałam okazji dawać Ci ładnych rzeczy. Niech ta suknia sprawi Ci radość, tak jak mnie cieszy, że mogę zrobić Ci prezent. Świetliste błogosławieństwo, mo stor.*

– Babcia. – Westchnęła zachwycona, zdejmując suknię z wieszaka. Spódnica udrapowana ze zwiewnej tkaniny jakby utkanej z migotliwej księżycowej mgły sięgała nieco powyżej kostek. Długie rękawy miały owalne zakończenie, a dekolt karo odsłaniał znacznie więcej niż skromne wycięcie w niebieskiej sukni.

– Och, jest cudna. Mogłabym do niej wpiąć we włosy jakąś błyszczącą ozdobę, tak jak sugerował Marco. Chodź, Fąfel, poszukamy Kiary, może mi coś pożyczycy.

Wyszła z psem i wtedy ją tknęło, że przecież nie ma pojęcia, gdzie jest komnata dziewczyny. Może Marco będzie wiedział i już miała do niego zapukać, gdy zobaczyła Brigid.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Mam prośbę do Kiary, ale nie wiem, gdzie jej szukać.

– Jej komnata jest w głębi tamtego skrzydła. Chętnie cię zaprowadzę.

– Jesteś bardzo miła.

– Jak ci się podobało na wsi? – zagadnęła ją Brigid, gdy szły korytarzem.

– Bardzo. Tyle tam miejsc do oglądania.

– To prawda. I pogoda wam dopisała. Wieczór też nieźle się zapowiada. O, to komnata Kiary. Ma cię uczesać? Po mistrzowsku układa włosy.

– Chcę ją tylko zapytać, czy nie pożyczycie mi jakiejś klamry czy spinek. – Breen zapukała do drzwi. – Mówiła, że już wcześniej obiecała kogoś uczesać.

Brigid przeniosła spojrzenie na sąsiednie drzwi.

– Chyba miała na myśli Shanę. Pewnie jest teraz u niej i upina jej fryzurę.

– Och, w takim razie nie będę przeszkadzać.

– Może ja coś znajdę. Jakich spinek potrzebujesz?

– Nie kłopotz się. To drobiazg. Po prostu... – Urwała, bo Fąfel pobiegł do sąsiednich drzwi i zaskomlał. – Fąfel, do mnie. Odejdź stamtąd. Wracajmy i...

Jednak udzielił się jej niepokój psa. Zwietryzył krew, ona też wyczuła ten zapach.

– Coś musiało się stać. – Podeszła do drzwi i nie bawiąc się w pukanie, nacisnęła klamkę. – Zamknięte na klucz, coś musiało się stać – powtórzyła, a Fąfel zawył jakby na potwierdzenie jej słów.

– Myślisz? – Brigid nerwowo splotła dłonie. – Jeżeli jesteś pewna, pójdę po klucz do Taryn. Tylko że, to jest...

– Nie ma czasu. – Breen zwolniła zamek siłą myśli i pchnęła drzwi.

Natychmiast przykucnęła przy nieprzytomnej Kiarze.

– Ona jest ranna! – Brigid rzuciła się do drzwi. – Sprowadzę pomoc.

– Zaczekaj.

Tylko bez paniki, upomniała siebie Breen. Odtwarzając w pamięci nauki Aisling, położyła dłonie na krwawiącej ranie na potylicy.

– Widzę to, czuję.

Skupiona, wznieciła światło.

– Rana nie jest głęboka – wymruczała. – Ale sprawi ból. A więc ostrożnie. – Wciągnęła oddech i wypuściła, zamykając nim długie, na szczęście, płytkie rozcięcie. Krwawy skrżep i zasinienie powoli się kurczyły.

Kiara jęknęła i spróbowała się dźwignąć.

– Poleż chwilę nieruchomo – poleciła łagodnie Breen. – Wiem, że głowa ci pulsuje. Czuję to. Masz mdłości, ale leż spokojnie, pozwól mi dokończyć.

– Przyniosę dekolt od któregoś z uzdrowiaczy – zaproponowała Brigid.

Kiara znowu spróbowała się podnieść.

– Shana – jęknęła.

– Dobrze. Zaraz ją zawołam.

Dziewczyna dźwignęła się na czworaki i wodziła po ich twarzach przerażonym wzrokiem.

– Shana. *Taoiseach!*

– Co się stało? Czyżby Odran...

– Och, bogowie. – Podniosła się, przytrzymując się ramienia Breen. – Gdzie jest *taoiseach*?  
– W swojej komnacie. Ja...  
– Sprowadźcie jego matkę, moją, poślijcie do niego. Szybko. Pospieszcie się.  
Brigid wybiegła z komnaty. Kiara ledwo trzymała się na nogach.  
– Masz zawroty głowy. Usiądź. Pozwól mi dokończyć leczenie.  
– Nie ma czasu. Musimy ją powstrzymać. Pomóż mi. Nie mam siły biec.  
– Dobrze. Oprzyj się o mnie. Co się stało?  
– Uderzyła mnie.  
– Shana? Rozbiła ci głowę?  
– Jest wściekła. Chyba straciła rozum. Och, bogowie. Przyrządziła miłosny eliksir i chce go podać *taoiseachowi*. Muszę ją powstrzymać. Och, moja najdroższa przyjaciółka ściąga na siebie nieszczęście i akurat ja muszę ją oskarżać.

\*

Podczas gdy Kiara leżała nieprzytomna, Shana wspięła się po schodach w wieży. Przybierając możliwie skruszona minę, zapukała do drzwi komnaty Keegana.

– Wejść.

Gdy zobaczyła, że nie jest sam, z trudem ukryła irytację. A Keegan był wyraźnie niezadowolony z wizyty.

– Przeszkadzam – odezwała się i uśmiechnęła lekko do Flynnna.

– Obecność ładnej kobiety zawsze jest mile widziana. Poza tym właśnie skończyliśmy, prawda, Keeganie?

– Tak. Zobaczymy się na Powitaniu, a jutro wrócimy do tematu.

– Mogę liczyć na jeden taniec? – Flynn zwrócił się do Shany.

Obdarzyła go zalotnym uśmiechem, zatrzepotała rękami.

– Ależ oczywiście – odparła.

Kiedy wyszedł, ze smutkiem w oczach splotła dłonie na wysokości talii.

– Kolejny raz muszę cię przeprosić. Nie chcę, żeby to stało się zwyczajem, dlatego wyjaśnijmy wszystko do końca i więcej do tego nie wracajmy

– Nie mnie jesteś winna przeprosiny.

Przytaknęła głową i podeszła do kominka. Ten wykwintnie urządzony salon już wkrótce miał należeć do niej.

– Wiem, że tak uważasz. Kiedy ochłonęłam z gniewu, pomyślałam, że Breen mogła opacznie zrozumieć moje słowa. Keeganie, nigdy nie zamierzałam jej obrazić, ale widzę, że jednak tak się stało. A ja przecież nie mówiłam poważnie o tobie i o nas. Kobiety często tak robią. Ona wpadła w gniew, usłyszałam od niej wiele nieprzyjemnych słów.

Kręcąc głową z ubolewaniem, odwróciła się do niego. Wyraz jego twarzy, którą tak dobrze знаła, wskazywał, że miał serdecznie dość tej rozmowy.

– Kobiety czasami postępują niemądrze, gdy w grę wchodzi męsko-damskie sprawy. Przyznaję, byłam trochę zazdrosna. Tak się zdarza, gdy spotyka się kochankę mężczyzny, z którym kiedyś się sypiało. To było niemądre, dziecinne i przeproszę ją. Prosto stąd pójde do jej komnaty i zrobię to. A tobie jestem winna przeprosiny za moje zachowanie podczas naszej rozmowy. Czuję się zażenowana.

Z nieśmiałym uśmiechem uniosła dłonie.

– Znasz mnie, wiesz, jak głęboko zakorzeniona jest moja duma. Czy i tym razem mi wybaczysz?

– Tak, naturalnie.

Jednak nie umknął jej uwagi sztywny ton jego głosu ani chłód w oczach.

– Napijesz się ze mną wina na zgodę? Przyda mi się kubek dla kurażu przed wizytą u Breen.

– Muszę dopilnować paru spraw, zanim...

– Jeden kubek wina – zaznaczyła, podchodząc do stolika, gdzie stała karafka. – I zamknijmy tę sprawę raz na zawsze.

Odwrócona do niego plecami, wlała zawartość fiolki do kubka. Podała mu wino, trąciła kubkiem o jego kubek. Wypiła kilka łyków. Widząc, że on się ociąga, spróbowała inaczej.

– Wznieśmy toast za moje zaręczyny z Lorenem i życzy mi szczęścia.

Spojrzał jej w oczy.

– Za taką nowinę chętnie wypiję i życzę ci szczęścia.

Gdy podnosił kubek, do komnaty wbiegła chwiejnie Kiara.

– Nie, *taoiseachu*! Nie pij tego!

– Sporządziła eliksir miłosny – wyjaśniła Breen, pomagając zataczającej się Kiarze usiąść w fotelu.

– Co za wstrętne kłamstwo! Co zrobiłaś Kiarze, mojej przyjaciółce? Ona krwawi. Keeganie, ta...

– Milcz! – Odstawił kubek i machnięciem dłonią zapieczętował zawartość. – Myślałaś, że się nie zorientuję? Że nie wyczuję zapachu? Za kogo ty mnie masz?

Nie zdążyła się ruszyć, Keegan przytrzymał ją za ramię i z kieszeni spódnicy wyciągnął fiolkę.

– Ja mogłaś się posunąć do czegoś takiego? Tylko po to, żeby dopiąć celu. Przez swoją nienasyconą dumę złamałaś święte prawo, zawiodłaś moje zaufanie i skrzywdziłaś przyjaciółkę.

– Obdarzałam cię tym, o co prosiłeś, czego pragnąłeś, a potem mną wzgardziłeś. – Z wściekłości nie była w stanie wycisnąć łez.

– Obdarzaliśmy się wzajemnie przez jakiś czas, a potem, zdaje się, oboje mieliśmy już siebie dość.

– Wolisz zostać z nią niż ze mną?

– Nigdy bym z tobą nie został – wycedził okrutną prawdę, patrząc jej prosto w oczy.

– Ty cholerny skurwielu, zapłacisz mi za to! – Wyszarpnęła ramię. – Przysięgamy, zapłacisz.

I ty, i ta twoja bura suka poznacie mój gniew.

Shana wypadła z komnaty przy akompaniamencie szlochów Kiary.

– Daleko nie uciekniesz. – Keegan na moment przycisnął palce do oczu, po czym podszedł do fotela i przykucnął przed Kiarą. – Skarbie, co cię boli?

– Uderzyła mnie. Myślę, że mnie uderzyła.

Próbowała dotknąć głowy, ale Breen przytrzymała jej rękę i położyła na ranie swoją dłoń.

– Wiem, że boli. Pozwól mi dokończyć.

– Zobaczyłam... zobaczyłam to na jej toalecie, powiedziałam, nie, nie wolno. Poprosiłam, żeby dała mi ten eliksir, chciałam go wylać. Nikomu słowem nie wspomniałabym o tym. Tak mi przykro, tak bardzo przykro. Ona jest moją przyjaciółką i milczałabym, nawet wbrew prawu.

– Już dobrze. – Zerknął na Breen, dostrzegł lekki grymas bólu na jej twarzy i wielkie skupienie przy zasklepianiu rany. – Każdy z przyjaźni postąpiłby tak samo.

Kiara, łkając, chwyciła Keegana za rękę.

– Ale teraz... myślę... Że tak naprawdę nigdy nie była moją przyjaciółką.

– Nie, choć ty byłaś jej.

Minga wpadła do komnaty, a tuż za nią wbiegła Tarryn.

– Och, moja malutka!

– Mingo, pozwól dokończyć Breen. Kiara już dochodzi do siebie. Prawda, skarbie?

Kiwnęła głową, chociaż łzy strumieniem płynęły jej z oczu. Minga przykucnęła obok Keegana i wzięła ją za rękę.

– Uderzyła mnie, tak mi się wydaje. Powiedziałam, że jeżeli mnie nie posłucha, to posłucha mojej matki. Chciałam po ciebie pójść, mamuś, a wtedy ona mnie uderzyła, bo moja głowa... strasznie bolało i wtedy przyszły Breen i Brigid. Teraz już mniej boli, naprawdę jest lepiej.

– Pewnie cię mdli? – Tarryn sięgnęła kubek i naląła do niego płynu z przyniesionej butelki.

– Tak, ale już nie tak bardzo. Co będzie z Shaną? Nie myślała jasno, niemożliwe. Miała jeden z tych swoich napadów złości. Jeżeli ona...

– Nie kłopot się już, to nie twój problem. – Tarryn pocieszającym gestem pogładziła ją po twarzy. – Masz, wypij to. Tak, wysącz do ostatniej kropli.

Kiedy Breen odstała od Kiary, Tarryn powiodła dłońmi po jej głowie, szyi, ramionach. Uśmiechnęła się do Breen i z uznaniem pokiwała głową.

– A teraz mama zaprowadzi cię do komnaty, poleżysz trochę i raz-dwa wydobrzejesz. Obiecuję.

– Na pewno. Moja córuś ma twardą głowę. Chodź, kochanie, zdrzemniesz się w moim łóżku, zupełnie jak za dawnych lat, kiedy byłaś malutka.



– Kiaro. – Keegan pomógł jej się podnieść. – Wiesz może, skąd ona wzięła te składniki? Gdzie nauczyła się zakłéć?

– Nie bardzo. Gdybym wiedziała, że o czymś takim myśli, dla jej dobra znalazłabym sposób, żeby ją powstrzymać. Przysiégam.

– Nie ma w tym twojej winy. – Pocałował ją w czoło. – Zrobiłaś, co w twojej mocy. Teraz musisz odpocząć.

Minga objęła córkę ramieniem w pasie. W drodze do drzwi uściśnęła jeszcze dłoń Breen.

– Zawsze będę ci wdzięczna.

Keegan, rozcierając kark, odwrócił się do Breen.

– Usiądź.

– Muszę zaczerpnąć powietrza.

Machnięciem ręką otworzył okno.

– Proszę bardzo, masz powietrze. Siadaj. Jesteś blada jak księżyc.

– A twoje powarkiwanie niewątpliwie bardzo jej pomoże – ofuknęła go Tarryn. – Mój drogi, nalej wina i dodaj trzy, nie więcej niż trzy krople środka wzmacniającego – zarządziła.

– Muszę... Trzeba ją odszukać. Wyślę po cichu paru zwiadowców. Niech się tym zajmą możliwie dyskretnie.

– Och, bogowie. W takim razie idź. Ja zaopiekuję się Breen.

– Jest wściekły. – Tarryn podeszła do kredensu i wyjęła stamtąd małą buteleczkę. – Mój syn nawet w dobrych chwilach bywa niecierpliwy, ale kiedy jest zły, jego cierpliwość znika jak mgła w słoneczny dzień.

– Taak, zauważyłam. – Nie miała ochoty siadać, podeszła do okna, naprawdę potrzebowała odetchnąć świeżym powietrzem. Wyrzała na dwór, objęła spojrzeniem ogrody, fontannę, rzekę oraz wieś z szachownicą pól i wzgórzami w tle.

– Proszę, napij się. To pyszne wino z naszych winnic z paroma kroplami środka wzmacniającego. Przejdzie mu złość, kiedy zobaczy, że rumieńce wróciły na twoje policzki. Ach, z tego wszystkiego ja też się napiję.

Nalała sobie wina.

– Jak rozległa była rana Kiary?

– Nie jestem pewna. Nadal się uczę, nigdy wcześniej nie zamykałam rany na głowie. Musiałam spróbować. Leżała na podłodze w komnacie Shany. Fąfel ją zwęszył.

W okolicy kominka psi ogon zastukał o posadzkę.

– A poprzez niego ja ją wyczułam. Leżała w kałuży krwi, rana na głowie mocno krwawiła. Podejrzewam, że doznała wstrząśnienia mózgu, bo kiedy się ocknęła, miała problemy z widzeniem i zawroty głowy. Na posadzce leżał kryształowy wazon, woda była rozlana, kwiaty rozsypane. Shana zamknęła drzwi na klucz. Zostawiła krwawiącą Kiare samą w komnacie.

– Wszystko mogłoby skończyć się o wiele gorzej, gdybyś w porę jej nie znalazła. W pewnym sensie czuję się odpowiedzialna za to, co się stało.

Breen obejrzała się na nią.

– Jak to? Dlaczego?

– Bo dość dobrze znałam Shanę. Te jej nienasycone ambicje. Spryt i skłonność do intryg. Ale bardzo lubię jej rodziców, a oni bezgranicznie ją kochają. I z tej miłości przesadnie rozpieszczają.

– Miała wybór. Ani ty, ani Kiara, ani jej rodzice nie jesteście niczemu winni. Sama dokonała wyboru.

Tarryn, sącząc wino, przyglądała się Breen.

– To samo powiedziała by Keegan, takim samym stanowczym tonem – mimo że po części czuje się winny.

– W takim razie jest głupi.

Tarryn roześmiała się serdecznie, odrzucając głowę do tyłu.

– Och, podobasz mi się. Naprawdę mi się podobasz.

– Co się stanie, jak znajdą Shanę?

– Osąd – odpowiedziała krótko. – I tu martwię się o syna, bo niezależnie od wyroku, będzie mu z tym ciężko.

Podeszła do kredensu i nalała wina do trzeciego kubka, bo właśnie wrócił Keegan.

– Trzy Elfy przeczesują zamek. Jej, jako Elfce, łatwo się schować, ale nie wytrzyma długo w ukryciu. Kilka wrózek sprawdzi teren wokół zamku, lasy i wieś. Musiałem posłać po Lorena. Jego chata i okoliczny las też zostaną przeszukane. Mogła do niego udać się po pomoc. Muszę się dowiedzieć, czy przypadkiem to nie od niego wyciągnęła zaklęcie.

Wypił wino, spojrzła na Breen.

– Powiedz mi, co wiesz, co widziałaś.

Niewiele, pomyślała, ale skrupulatnie zdała relację.

– Nie zamierzałaś tego wypić – dodała na koniec. – Kiedy przyszłyśmy cię ostrzec, już wiedziałeś.

– Tak. Jak ty to kiedyś nazwałaś? Mowa ciała, tak? Sposób, w jaki zaślaniała kubek, nalewając wino. To uparte namawianie do przypiecztowania zgody toastem. I pomyślałem sobie – oho – chyba chce dosypać mi czegoś do wina. Może mam zachorować przed Powitaniem, bo jej przeprosiny brzmiały tak fałszywie jak pęknięty dzwon.

Podniósł kubek, który zapiecztował zaklęciem.

– Przesadziła z olejkiem cytrynowym, poczułem jego zapach, poznałem też pozostałe składniki. Ona nie ma ręki do mieszania eliksirów.

Opadł ciężko na fotel. Breen nie widziała go jeszcze aż tak znużonego.

– Odesłałbym ją. Jej ojciec ma rodzinę na północy, wysłałbym ją tam na jakiś rok. Poprzeostałbym na tym, gdyby chodziło wyłącznie o konflikt między nami. Ale doszła historia z Kiara. A więc musi odbyć się Osąd. Okryje hańbą swoich rodziców.

– Pozwól mi z nimi porozmawiać. Lepiej, żeby dowiedzieli się o wszystkim ode mnie.

– Mamo, z ochotą sceduję na ciebie ten obowiązek. I prosimy bogów, żebyśmy szybko ją znaleźli.

– Jej nie chodziło o ciebie. – Tarryn podeszła i usiadła na poręczu jego fotela. – No, może trochę, jeżeli mówimy o zranionej dumie i próżności, bo została odrzucona przez mężczyznę. Zawsze jej zależało na buławie i mieczu.

– Wiem, i szczęśliwie ani moja duma, ani próżność z tego powodu nie cierpią.

– Rozczarowałaś mnie, gdyby było inaczej. Pójdę teraz porozmawiać z jej rodzicami, a potem zajrzę do Kiary. Biedaczka ma złamane serce. Breen, doskonale sobie poradziłaś. Kiara jest dla mnie jak córka. A teraz muszę powiedzieć moim przyjaciółom, co zrobiła ich jedynaczka. – Podniosła się. – Zobaczymy się na Powitaniu.

– Myślałam... że je odwołasz – Breen zwróciła się do Keegana, kiedy zostali sami.

– Nie, najlepiej trzymać się planu. Unikniemy niepotrzebnych plotek i spekulacji.

– No to będziemy cudownie się bawić.

Odpowiedział ponurym spojrzeniem na tę cierpką uwagę.

– To obowiązek, tak samo mój jak i twój, chociaż chętnie bym z niego zrezygnował. Jednak najważniejsze, aby ludzie mieli okazję cię poznać i przywitać.

Na moment przymknął powieki.

– Nie wolno dopuścić, aby jej zachowanie wszystko przyćmiło.

– Dobrze, w porządku. Ale nazwałaś to zachowaniem? Myślę, że kryje się pod tym coś więcej niż wybuch złości czy zranione uczucia. Ona jest... Sprawia wrażenie obłąkanej.

– Wiem. Zauważyłem. Znajdziemy ją.

W drzwiach stanął mężczyzna, którego wcześniej widziała z Shaną. To zapewne Loren, domyśliła się. Podniosła się i odstawiła kubek.

– W takim razie pójdę się przygotować.

– *Taoiseachu* – Loren przywitał Keegana skinieniem głową, a ją obdarzył szerokim uśmiechem. – Breen Siobhan O’Ceallaigh, cieszę się, że nareszcie mam okazję cię poznać.

– Loren Mac Niadh – przedstawił go Keegan, kiedy przybyły ujął dłoń Breen i podniósł do ust.

– Miło mi. Właśnie wychodziłam.

– Zobaczymy się na Powitaniu. Mam nadzieję, że poświęcisz mi jeden taniec.

Nie przyszła jej do głowy jakaś zręczna odpowiedź, toteż jedynie uśmiechnęła się i wyszła, uznając za stosowne zamknąć za sobą drzwi.

Loren usiadł.

– Powiedziano mi, że chcesz mnie pilnie widzieć. Jakiś problem? Coś z Odranem i jego

demonami?

– Rzeczywiście pojawił się problem, lecz tym razem nie z nimi. – Keegan podniósł się, przyniósł zapieczętowany kubek, otworzył go i podał Lorenowi. – Przypadkiem nie wypij. Wiesz, co to jest?

Ten, zdziwiony, zajął do kubka, marszcząc brwi.

– Cóż, to wino, zgadza się? Czymś zaprawione i... – Powąchał zawartość i wbił wzrok w Keegana. – Po co to przyrządziłeś? Dlaczego *taoiseach* tworzy eliksir miłosny i łamie jedno z Fundamentalnych Praw?

– Nie ja. Miałem go wypić, ale podobnie jak ty zorientowałem się, co to jest.

– Chcesz powiedzieć, że córka O’Ceallaigha posunęła się...

– Nie, to nie Breen. – Odebrał od niego kubek i zanim go odstawił, z powrotem zapieczętował. – Shana.

– To jakieś szaleństwo, nie wiem, kto powiedział ci takie kłamstwo, ale...

– To nie kłamstwo. – Teraz podsunął mu fiolkę. – W tym przyniosła eliksir i dodała go, nalewając wino do kubka. A wcześniej Kiara poszła do komnaty Shany i zobaczyła, co ona planuje. Kiedy próbowała ją powstrzymać, ochronić przed surową karą, Shana uderzyła ją w głowę, została zakrwawioną i nieprzytomną w swojej komnacie zamkniętej na klucz.

– To niewątpliwie jakaś pomyłka. – Loren podniósł się z fotela. – Jakieś nieporozumienie, błąd. A Kiara? Co z nią?

– Bogom dzięki, że Breen ją znalazła. Na tyle zaleczyła ranę na jej głowie, że przerażona dziewczyna znalazła siłę, żeby tu przyjść i mnie ostrzec. Biedaczka miała krew na twarzy, we włosach, na ubraniu. Krew przelaną przez przyjaciółkę. Chcę wiedzieć, czy dałeś jej składniki potrzebne do sporządzenia zaklęcia?

– Bogowie, nie. To wszystko brzmi niewiarygodnie. Posłuchaj, wiem, nie jesteśmy bliskimi przyjaciółmi, ale nigdy nie użyłbym magii ani nie pomógłbym jej wykorzystać w takim celu. Gwałt na sercu i umyśle? I ryzyko, jakie to...

Loren urwał, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

– Coś ci przyszło na myśl – zainteresował się Keegan.

– Nie, nie, to nic takiego. Ot taka zabawa, igraszki kochanków. Gdzie ona jest? Gdzie jest Shana?

– Szukamy jej. Jaka zabawa?

– To było dawno, jeszcze latem. Udawałem, że robię eliksir, ale tylko udawałem. O bogowie, podyktowałem jej słowa, opisałem, jak się go sporządza, a ona na niby miała zniewolić moje serce. Wiedziałem, że ona nie kocha mnie w pełni, ale wierzyłem, że jej uczucie się pogłębia. Pozwól mi ją zabrać.

– Musi odbyć się Osąd.

– Wywiozę ją. – Zdesperowany złapał Keegana za ramię. – Gdziekolwiek każesz, nawet z Talamh, jeśli takie jest twoje życzenie. Nie skazuj jej na banicję do tamtego miejsca. Wywiozę ją stąd nawet na zawsze.

– Chcesz ją, mimo tego, co usłyszałeś?

– Kocham ją.

– A więc przemówisz na Osądzie, przedstawisz swoją propozycję. Jeżeli jesteś przekonany, niech z tobą jedzie, masz moją gwarancję. Szczerze mówiąc, uwalniasz mnie od problemu. Ale najpierw musimy ją znaleźć.

## Rozdział 20

Marco, siedząc na skrzyni w nogach łóżka, z ciekawością słuchał relacji krążącej po komnacie Breen.

– O kurde, ja pierniczę!

Co rusz przerywał jej monolog okrzykami w podobnym stylu.

– Zamierzała go uwieść, używając eliksiru miłosnego. Kurczę, jak komuś może zależeć na kimś, kogo trzeba otumanić eliksirem, żeby cię zechciał?!

– Jak widać, może, a jak się domyślam, przede wszystkim zyskałaby pozycję i Keegana na dokładkę.

– Ona bije na głowę wszystkie tak zwane wredne dziewczyny. Jesteś pewna, że Kiara już dobrze się czuje?

– Tak, ale nie wiem, czy otrząśnie się po takim rozczarowaniu. Marco, postaw się na jej miejscu i wyobraź sobie, że ja robię coś takiego tobie albo ty mnie.

Oczy Marco wypełniły się smutkiem.

– Shana nie tylko roztrzaskała jej głowę, ale i serce.

– Żebyś wiedział. To jasne, że w przeciwieństwie do Kiary Shana nie jest zdolna do prawdziwej przyjaźni, miłości czy lojalności. Ech, muszę przestać o tym myśleć. Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim pójdziemy na to cholerne przyjęcie.

– Będzie, co ma być. A jeżeli Kiara pojawi się na Powitaniu, musimy dopilnować, żeby dobrze się bawiła i choć na jakiś czas zapomniała o tym, co ją spotkało.

– Spróbujemy.

Znał swoją dziewczynę i żeby ją rozchmurzyć, zmienił taktykę.

– Pójdziemy i będziemy superowo wyglądać. Babcia przysłała mi odpowiednie ciuchy, założę się, że o tobie też pomyślała.

– Owszem.

Zerwał się ze skrzyni i otworzył szafę.

– Tadam!

Podeszła i zobaczyła spodnie w ciepłym odcieniu brązu (dałaby sobie głowę uciąć, że były ze skóry), kremową tunikę i długą, ciemnozieloną kamizelę.

– Będziesz kapitalnie wyglądał. Chyba czas, żebym poszła się przygotować. Fąfel, zbieramy się!

Kiedy już się przebrała i zadowolona okręcała przed lustrem, ktoś zapukał do drzwi.

– Włącz i podziwiał! – zawołała, przekonana, że to Marco.

Zaczerwieniła się na widok Mingi.

– Przepraszam, myślałam, że to Marco. Jak Kiara?

– Już znacznie lepiej, dziękuję. Chłopak... młody mężczyzna – ciągle muszę sobie przypominać, że Kiara już jest dorosła – ten młody mężczyzna, w którym się podkochuje, przyszedł z bukietem kwiatów i namówił ją, żeby nie rezygnowała z Powitania. Lepiej niech idzie, zamiast siedzieć i zadręczać się myślami o Shanie.

Coś ci przyniosłam. – Pokazała spinki wysadzone kamieniami. – Brigid mi mówiła, że szukałaś czegoś takiego. Gdyby nie ty, moje dziecko leżałoby tam nie wiadomo jak długo. Myślę, że spinki będą ładnie współgrać z twoją suknią. Obejrzałam tę kreację, kiedy Marg mi ją dała, żeby zrobić ci niespodziankę.

– Będą idealnie pasować. Muszę tylko pomyśleć, gdzie je wpiąć.

– Chętnie ci pomogę. Kiara odziedziczyła po ojcu elfie cechy, ale talent do układania włosów ma po mnie. A twoje uczeszymy o tak... – Minga część upięła wysoko, a resztę wijących się pasem puściła luzem. – Doskonale.

– Dziękuję.

– A teraz się odwróć. Och tak, właśnie tak ta fryzura powinna wyglądać. Na razie nie odna-

leźli Shany. – Minga zmieniała temat, wsuwając spinki w kok ze zwiniętych warkoczków. – Wiem od Tarryn, że jej rodzice są zdruzgotani.

– Tak mi przykro.

– Mnie również. Słyszałam, że kiedy ją odnajdą, Loren na Osądzie złoży deklarację, że jest gotów ją wywieźć i z nią żyć, oczywiście, o ile ona się zgodzi. Tak byłoby dla wszystkich najlepiej. Widzisz, ona zawsze miała wszystko na wyciągnięcie ręki, nigdy nie musiała o nic się starać i kiedy wyrzucą ją ze Stolicy, a być może nawet z Talamh, będzie jej ciężko, choć niewątpliwie na to zasłużyła. Z Lorenem miałyby dobre życie.

– On musi naprawdę ją kochać.

– Chyba tak jest, chociaż według mnie on się myli, sądząc, że gdy otoczy ją miłością i troską, utemperuje jej charakter. Zobacz, jak spinki ozdobiły fryzurę i naprawdę pasują do sukni.

– Dzięki. Sama w życiu bym na to nie wpadła. W tych kwestiach polegam na Marco.

– Myślisz, że on jest gotowy? Zaprowadzę was do sali bankietowej.

– Chodźmy, przekonamy się. Czy mogę zabrać ze sobą Fąfla?

– Jest gościem honorowym i moim oczkiem w głowie. – Minga w mieniącej się sukni koloru miedzi przykucnęła przed psem. – Wiedziałaś, że moja Kiara potrzebuje pomocy i dopilnowałeś, żeby ją dostała. Jesteś moim bohaterem. Bardzo chciałabym przeczytać tę książkę, którą o nim napisałeś – zwróciła się z uśmiechem do Breen, kiedy wychodzili.

– Jasne. Ukaże się dopiero w przyszłym roku na początku lata. Przyślę ci egzemplarz.

Marco otworzył im, zanim zdążyły zapukać.

– Właśnie wychodziłem sprawdzić, czy jesteś gotowa. Dziewczyno, wyglądasz olśniewająco. Obłędna suknia. Mingo, wymiatasz!

– To komplement – wyjaśniła Breen na wszelki wypadek.

– Tak też pomyślałam. Marco, ty też wymiatasz.

– Popatrz, Fąfel, trafiły się nam dwie wspaniałe damy. Moje panie, służę ramieniem.

Obie wzięły go pod rękę.

\*

Muzyka płynęła z galerii nad salą bankietową. Świece płonęły w wysokich kutych kandelabrach i na żelaznych kołach zwisających na łańcuchach ze strzelistego sufitu. Blask świec oświetlał długie stoły i ławy ustawione wzdłuż dwóch ścian. Pod trzecią stał jeszcze jeden stół. Za nim, wysoko nad płonącym kominkiem, wisiała chorągiew ze smokiem.

Szmer rozmów odbijał się echem od posadzki z kamiennych płyt i ścian ozdobionych gobelinami w przestrzeniach pomiędzy łukowymi oknami z szybami z ołowiowego szkła.

Niektórzy goście przechadzali się, inni stali w małych grupach i rozmawiali. Część już zajęła miejsca przy stołach i popijała wino albo piwo.

– Aha, Breen, widzę paru znajomych, którzy liczą na ponowne spotkanie z tobą.

Minga skierowała ich do stołu, przy którym trzy kobiety i trzech mężczyzn prowadziło ożywioną rozmowę, energicznie przy tym gestykulując.

Najstarszy z mężczyzn obejrzał się i zatrzymał wzrok na twarzy Breen. Prawdopodobnie widziała go na Osądzie, ale było tam tyle ludzi. Mężczyzna miał ciemnokasztanowe włosy, warkoczek wojownika założony za ucho i elegancko przystrzyżoną brodę.

Podniósł się od stołu, nie odrywając od niej oczu. Kiedy na nią patrzył, jakaś niewidoczna pięść zacisnęła się na jej sercu. Tak, zapamiętała tę twarz, ale wtedy była bez brody. Stał z ojcem na tamtym zdjęciu, które zrobiono Guślarzom, gdy grali w pubie w Doolin. W Doolin, po drugiej stronie.

Mężczyzna, prowadząc ją spojrzeniem, położył dłoń na ramieniu siedzącej obok kobiety, która machając ręką, opowiadała coś sąsiadom. Kobieta, nie przerywając rozmowy, zerknęła na niego, a potem się obejrzała. Ze łzami w oczach podniosła się z krzesła i już po chwili trzymała Breen w objęciach.

– Ach, słodka Matko Ludu, jest! Jest nasza dziewczynka. – Cofnęła się i ze łzami wzruszenia wpatrywała się w Breen szmaragdowymi oczami. – Flynn, popatrz na nią. Toż to dorosła kobieta. A jaka piękna! Nie pamiętasz mnie, skarbie? Ach, co tam, nie szkodzi, ja ciebie nie zapomniałam.

– Jesteś... matką Moreny. Ty... – Wspomnienia powoli wynurzyły się z zakamarków

pamięci. – Jesteś Sinead. Piekłaś dla nas ciasteczka w kształcie kwiatków.  
– Rzeczywiście. Tak było. Tobie najbardziej smakowały bławatki.  
– Ja... miałam przekazać, że Morena wkrótce was odwiedzi.  
– Och, mam taką nadzieję, tęsknimy za nią, ale wiemy, że ona nie przepada za Stolicą. –  
Otarła łzę z policzka Breen. – Zobacz, jak my wyglądamy. Przestańmy płakać, bo inaczej dostaniemy plam na twarzy. Flynn, czyż ona nie wyrosła na prawdziwą piękność?  
– Oj tak, prawda. I co u ciebie słyhać, Rudy Króliczku?  
Breen, śmiejąc się i chlipiąc, wtuliła się w ramiona Flynnna.  
– Tak mnie nazywałeś, bo ja zawsze biegałam. Pamiętam, jak w tajemnicy przed naszymi mamami, ukradkiem wsuwałeś nam żelki.  
– No ładnie, a ty po latach na mnie donosisz.  
– Mam zdjęcie zrobione w pubie w Doolin, na którym jesteś z moim tatą, ojcem Keegana i zdaje się... Briana.  
– Tak, matka mi mówiła. To były piękne czasy. – Ujął jej twarz w duże dłonie i pocałował.  
– Twój tata był dla mnie jak brat. Poza więzami krwi wszystko nas łączyło. Nie miałem lepszego przyjaciela.  
– Och, wybaczcie, to jest Marco, mój najlepszy przyjaciel.  
– Tak, dużo o nim słyszeliśmy. – Sinead uściśkała serdecznie Marco. – Finola jak zwykle miała rację. Rzeczywiście przystojniak z ciebie. Chodźcie, przywitajcie się z naszą rodziną. Breen, pewnie nie pamiętasz moich chłopców. To Seamus, on dostał imię po ojcu Flynnna, a to Phelin, on z kolei nosi imię po moim tacie i...  
– Napuściłam na ciebie żaby – przypomniała mu Breen. – Bawiłyśmy się z Moreną w ogrodzie w spotkanie przy herbatce, a ty nasłałeś na nas deszcz. Bardzo się wkurzyłyśmy. Przywołałam żaby i ropuchy, żeby ciebie przegoniły.  
– Że też ze wszystkich rzeczy akurat to musiałaś zapamiętać. – Phelin, skóra zdjęta z ojca z tamtego zdjęcia w Doolin, ze śmiechem zamknął ją w ramionach. – Poznaj Noreen, moją żonę.  
– Nie wstawaj – powiedziała Breen do ładnej kobiety z koroną z blond warkoczy w zaawansowanej ciąży. – Miło mi cię poznać.  
– Mnie też. Liczę na więcej opowieści o wybrykach mojego męża w młodości.  
– Powoli to i owo sobie przypominam. Ciebie też pamiętam – zwróciła się do Seamusa. – Miałaś kotkę. Nazywała się Maeve. Akurat urodziła. Obiecałeś dać mi kotka, kiedy ona przestanie je karmić. Nie zdążyłeś, bo... myśmy wyjechali.  
– Zostawiliśmy sobie kotkę z tamtego miotu i daliśmy jej twoje imię. Była bardzo łowna. Witam cię serdecznie. – Seamus z oczami matki i budową ojca pochylił się i pocałował Breen w oba policzki. – A to moja Maura.  
– Naszemu najmłodszemu synkowi daliśmy imię po twoim ojcu – odezwała się. – Był dobrym i wielkim człowiekiem. Moi rodzice walczyli u jego boku. A teraz ja uczę młodych walczyć u boku naszego *taoiseacha*. – Jej zielone oczy błyszczały w śniadej twarzy. Poza warkoczem wojownika zwisającym poza ramię włosy miała krótko obcięte i gładko uczesane.  
– Tata czułby się zaszczycony. Niech jasność błogosławi waszemu synkowi.  
– Na pewno macie sobie dużo do opowiadania – wtrąciła Minga. – Ale wszedł *taoiseach*, czas zaprowadzić Breen i Marco do stołu, bo wszyscy umieramy z głodu.  
– Później do was dołączę – obiecała Breen. Wzięła Sinead za rękę. – Teraz widzę, jak bardzo mi was brakowało.  
– Moja słodka dziewczynka. – Sinead ponownie zamknęła Breen w objęciach. – Kochałam cię i nadal kocham jak własne dziecko – wyszeptala jej do ucha.  
Breen dopiero teraz zauważyła, że gdy rozmawiała z krewnymi, w sali przybyło gości i zrobiło się gwarnie. Wcześniej pochłonięta wspomnieniami i wzruszona, nie zwróciła na to uwagi.  
Kochała ich, kochała wszystkich, tak jak tylko dziecko potrafi kochać. Miłością czystą i bezwarunkową.  
Kiedy wyjechała, płakała z tęsknoty za nimi.  
Keegan z matką stanęli za głównym stołem. On w czerni przełamanej matową, srebrną kamizelką, ona w sukni w białe kwiaty na niebieskim tle.  
– Zajmiesz miejsce po lewej ręce Keegana – poinstruowała ją Minga. – A Marco obok ciebie. Nie siadajcie, dopóki on nie usiądzie. Puchary z winem podnosicie dopiero po jego przemowie.

– Dobrze. – Breen przebiegł nerwowy prąd aż po czubki palców u nóg. – Mam obowiązek coś powiedzieć? Błagam, nie!

– Tylko jeżeli chcesz. Celem wieczoru jest powitanie i zabawa.

– Nie widzę Briana – zaniepokoił się Marco.

– Na pewno wkrótce się pojawi. Keegan podejrzewał, że będziesz chciał, aby on zajął miejsce obok ciebie.

Zaprowadziła ich do stołu, a sama usiadła obok Tarryn. U boku Mingi wyrósł mężczyzna o płowych włosach i łagodnych niebieskich oczach i podniósł jej dłoń do ust. Og, domyśliła się Breen. To on przemierzył świat złotych piasków i błękitnych mórz w poszukiwaniu miłości.

– Masz przed sobą swoich ludzi – Keegan powiedział szeptem do Breen. – Nie ma powodu ich się bać.

– Nie boję się. – Rzeczywiście tak myślała.

Keegan odczekał, aż gwar głosów zniży się do szeptu i powoli ucichnie.

– Znamy walkę i rozlew krwi. Znamy radość i smutek. Nie wiemy, co przyniesie przyszłość, ale tak jak przysięgliśmy i od ponad tysiąca lat przysięgali ci, co byli przed nami, wywalczymy pokój i go utrzymamy. Wie to każdy z nas z osobna i wszyscy razem. Jesteśmy jednością. Jesteśmy Talamhem.

Przeczekał entuzjastyczne wiwaty.

– Dziś wieczorem zebraliśmy się tutaj, w tym miejscu. Żyjemy na wzgórzach i w dolinach. W jaskiniach, na klifach, na wybrzeżu i morzu. Jesteśmy jednością. Jesteśmy Talamhem. I wszyscy dziś witamy Breen Siobhan O’Ceallaigh, wnuczkę Mairghread, córkę Eiana, dziecko Fey, ludzi i bogów.

Podniósł kufel i obrócił się do Breen.

– Weź puchar – szepnął.

Wzniósł toast po talamhijsku i zaraz go przetłumaczył.

– Jako że jesteś nasza, a my twoi, po tysiąckroć witamy cię w domu, Breen Siobhan O’Ceallaigh, córo ludu Fey. – Trącił kuflem o jej puchar. – *Sláinte!* Spełnij toast – dodał szeptem, kiedy okrzyk *Sláinte!* przetaczał się echem po sali.

Wypiła wino przy akompaniamencie radosnych wiwatów. Podniosła się z krzesła. Oddech uwiązał jej w gardle, wcale nie ze strachu, tylko ze wzruszenia i wdzięczności.

– Ja...

Marco wziął ją za rękę.

– Dasz radę.

– Ja... – Zaczerpnęła powietrza. – Dziękuję wam... – Ponieważ te słowa utonęły w gwarze, powtórzyła jeszcze raz. – Dziękuję wam za przywitanie, za życzliwość i cierpliwość... – Zerknęła na Keegana. – Tak, przede wszystkim za cierpliwość.

Zaskoczyły ją radosne okrzyki i śmiech. Może coś zabrzmiało nie tak, pomyślała.

– Wróciłam do Talamh. Co prawda moja rodzina została po drugiej stronie, ale zabrałam ze sobą brata. – Uśmiechnęła się do Marco i uniosła ich splecione dłonie. – Mam też rodzinę pośród Fey, odnalazłam się w niej i poprzez nią. Wróciłam do Talamh. Wróciłam do domu.

– Dobrze powiedziane. – Pochwała Keegana utonęła w wiwatach. – Usiądź, bo inaczej nie dadzą ci spokoju.

Z ulgą opadła na krzesło i położyła dłoń na łbie Fąfla, kiedy oparł pysk na jej kolanach.

– Co teraz?

– Uczujemy – odparł krótko.

Stoły uginały się pod półmiskami z mięsiwem, deskami z bochnami chleba, wazami z parującą zupą oraz mnóstwem najróżniejszych przekąsek. Muzyka i rozmowy na nowo wypełniły salę i Breen wykorzystwała okazję, żeby półgłosem zapytać Keegana o Shanę.

– Znaleźliście ją?

– Jeszcze nie. Ma niewiele możliwości – powiedział bardziej do siebie niż do niej. – Rzadko wychylała nos poza miasto, więc nie zna ani terenu, ani okolicznych mieszkańców. Nie da rady długo się ukrywać.

– Kiedy pracowałam w szkole, zawsze trafiała się garstka uczniów, takich rozpieszczanych przez rodziców, którzy uważali, że ich zasady nie obowiązują, a łamanie tych zasad nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji. I rzeczywiście wiele wybryków uchodziło im płazem, a gdy jednak

spotykała ich kara, rozzłoszczeni szukali odwetu.

– Miałaś do czynienia z dziećmi. Shana jest dorosła. – Po chwili pokiwał głową. – Masz rację. Ona pod wieloma względami przypomina dziecko.

– I to cię niepokoi.

Zobaczyła Kiarę. Akurat weszła w towarzystwie rudowłosego młodzieńca. Gdy dotarli do stołu, siedzący przy nim goście zerwali się z miejsc i serdecznie wyściskali dziewczynę.

Jeżeli wokół jest tyle czułych serc, zatwardziałość jednego musi jeszcze głębiej ranić, pomyślała.

Odwróciła się do Marco, żeby podzielić się tą refleksją i wtedy bocznymi drzwiami do sali wszedł Brian. Zauważyła go wcześniej niż Marco. Brian, mijając przyjaciela, dotknął jego ramienia dłonią z bransoletką na nadgarstku i nachylił się nad Keeganem. Wymienili szeptem parę zdań. Keegan kiwnął głową.

– Siadaj, posil się. – Zamyślony, rzucił kawałek wołowiny Fałłowi. – Dotąd nikt jej nie widział – zdradził Breen. – Ale robimy wszystko, co w naszej mocy, więc nie zaprzataj sobie tym głowy.

Tarryn zwróciła się do niego półgłosem, a on przechylił się ku niej, żeby lepiej ją słyszeć, po czym wypił duży łyk wina.

– Czas rozpocząć tańce. – Wstał i wyciągnął dłoń do Breen. Wpatrywała się w niego zaskoczona. – Z tobą. – I nie czekając na jej zgodę, wziął ją za rękę.

Kiedy wyprowadzał ją zza stołu na środek sali, poczuła, jak serce osuwa się jej do żołądka i zamarza tam na kamień.

– Co mamy tańczyć? Nie znam...

– Lewa dłoń w mojej prawej, prawa ręka wsparta na biodrze, trzy razy zmiana stron, naśladowuj mnie. Umiesz tańczyć. Widziałem. I patrz mi w oczy.

Skupiła się na nim, wyłącznie na nim, żeby o niczym nie myśleć. Słyszała muzykę i rytm wybijany klaskaniem. Gdy patrzyła na niego, nie myślała o wszystkich obserwujących ją oczach.

Podpowiadał figury, nawet gdy wzrosło tempo. Obrót, spotkanie rąk. Obroty zmieniły się w wirowanie, spotkanie rąk w objęcie. Z krwią pulsującą w rytm muzyki chciała więcej i więcej.

Zaparło jej dech, gdy trzymając ją w pasie, uniósł ją, wykonał półobrót i stawiając z powrotem, na ułamek sekundy przycisnął do siebie.

Cofnął się, złożył pocałunek na jej dłoni i nie puszczać jej ręki, odprowadził do stołu. Kiedy muzyka zagrała na nowo, środek sali zapełnił się tancerzami.

– Muszę zatańczyć z matką, Mingą i innymi paniami. A wolałbym z tobą. I to dla mnie problem.

– Problem?

– Tak. – Wysunął krzesło. – Odpocznij, bo długo nie posiedzisz.

– Nie znam tych wszystkich tańców.

– Złapiesz kroki. – Po chwili wahania nachylił się nad nią. – Tańcz z innymi, bo tak wypada, i baw się dobrze. Ale proszę, żebyś nie patrzyła na żadnego z nich, jak patrzyłaś na mnie. To spojrzenie rezerwuję dla siebie – powiedział cicho.

Wyprostował się, odwrócił do matki i poprosił ją do tańca.

– Seksowny taniec! – skomentował Marco, przechylając się do niej.

– Odczep się.

– Widzę, co widzę, wiem, co wiem.

– Idź, zatańczyć z Brianem.

Ledwo to powiedziała, gdy podszedł do niej Phelin, brat Moreny.

– Mogę prosić? Zatańczmy za przelotny deszcz i skaczące żaby.

– Nie zawsze byłeś nieznośny. – Podniosła się z uśmiechem. – Pamiętam, że wymyślałeś dla nas różne gry, zniżając się do zabawy z siusiumajtkami, jak nas pięknie nazywałeś.

– No wiesz, w końcu miałem sześć lat, mogłem patrzeć na was z góry.

Jej duży brat. Tak wtedy o nim myślała i teraz, jak się zorientowała, tak samo czuła.

– Nie znam tego tańca.

Puścił do niej oko.

– Pozwól, że cię poprowadzę, siusiumajtko.

\*



Shana obserwowała tańczącą Breen. Obserwowała tych wszystkich, którzy mienili się jej przyjaciółmi, a teraz płaszczyli się przed tą wiedźmą z zewnątrz. Frustracja, która w niej rosła, gdy odkryła, że sługusy Keegana pilnują chaty Lorena, odcinają jej drogę ucieczki i pomagają w tej niepojętej zdradzie, zmieniała się w palącą wściekłość.

Przeczesywali las i wieś, tropili ją z nieba. Jakby złamała prawo, a nie broniła siebie, swojego miejsca i swoich praw.

A kiedy utrudzona ukrywaniem się w drzewach, skałach i wysokich trawach pośród owiec, wróciła w nocy do zamku, zakradając się tam jak złodziejka, odkryła, że drzwi jej komnaty zostały zabarykadowane. Drzwi komnat rodziców pilnowała straż.

Jej pobratymcy przeszukiwali zamek i okolicę. Empaci całą wrażliwość skupiali na uchwyceniu choćby śladu jej myśli czy emocji. Wkrótce nie będzie bezpieczna we własnym domu.

A wszystko dlatego, że tamta z drugiej strony, tamta, która tutaj nie należała, jakimś sposobem obróciła *taoiseacha* przeciwko niej. Przekabaciła jej pobratymców i tak omamiła, że traktowali ją jak boginię.

Ale ona, Shana, złamie zaklęcie i odzyska należne jej miejsce. Kiedy tamta z drugiej strony będzie leżeć martwa w kałuży krwi, wszyscy jej podziękują za uwolnienie spod czaru fałszywej bogini. Keegan zapłaci tę samą cenę co ta uzurpatorka.

A ona nie zostanie żoną *taoiseacha*.

Ona będzie *taoiseachem*. I ci wszyscy, którzy odwrócili się od niej, tak jak Kiara, trafią do Świata Mroku i będą tam cierpieć niedolę.

Niech tańczy. Shana w zamieszaniu na balu porwała nóż z tacy. I choć niejedna głowa obróciła się za nią, gdy przemykała wzdłuż kamiennej ściany, widziała na tych twarzach najpierw niedowierzanie, a po nim niechęć i dezaprobatę.

Niech tańczą, pomyślała, gdy skradała się ku ścianie za głównym stołem.

Tego wieczoru powinni świętować jej zaręczyny z Keeganem. Ten wieczór zakończy się krwawo, bo poderżnie gardło Breen.

\*

Breen zastanawiała się, czy uda jej się wrócić do stołu i choć przez dwie minuty dać odpocząć nogom. Fey okazali się niezmordowanymi tancerzami.

Kiedy Marco chwycił ją za rękę, przypomniała sobie, że on też był z tych nie do dobicia.

– Chodź, dziewczyno. Pokażemy im, jak się tańczy w Filadelfii.

Nici z odpoczynku, pomyślała, nawet nie zdążyła dotrzeć do stołu.

– Powietrza. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Pięć minut. Nie wymiguję się, naprawdę. Oboje z Fąflem musimy wyjść na dwór, on, jak podejrzewam, z innego powodu niż ja. Zaraz wrócimy.

Marco popatrzył na psa.

– Dopilnuj, aby twoja pańcia wróciła.

Wyszła na taras, a Fąfel pognał prosto jak strzała do ogrodu, gdzie przechadzało się kilka par. Zadarła głowę i zapatrzona na dwa księżyce, oddychała głąboko.

Może stopy trochę bolały, ale poza tym nie czuła zmęczenia. Muzyka płynęła z okien i drzwi, ludzie śpiewali. Wino się łało, śmiech niósł się echem. Czuła, jak powietrze tętni radością płynącą z niezliczonej liczby otaczających ją serc. Gdyby mogła wybrać jedną noc i ją zamknąć, aby do niej wracać, kiedy tylko zapragnie, to wybrałaby właśnie tę.

Nagle wyczuła łomot innego, wrzącego z wściekłości serca. Fąfel, ujadając i warcząc, natychmiast znalazł się przy niej.

Odwróciła się i zobaczyła Shanę. Akurat z uniesionym nożem oderwała się od zamkowego muru. Breen, wiedziona instynktem, błyskawicznie przystąpiła do ataku.

Nóż w dłoni Shany stanął w ogniu. Zaskoczona, wypuściła go z ręki z okrzykiem bólu. Kiedy spadł na kamienie i ciągle płonął, Shana rzuciła się do ucieczki.

– Nie, nie. – Breen chwyciła Fąfla za obrozę, nim zdążył puścić się w pościg. – Nie dogonisz jej, a Bóg jeden wie, co by zrobiła, gdyby jednak ci się udało.

Trzęsąc się jak osika, opadła na kolana i przytuliła się do psa.

Nie, Shana nie jest zepsuta, myślała, powoli dochodząc do siebie. Czy zaledwie nadpobu-

dliwa. Ona jest zwyrodniała. To, co zobaczyła, co poczuła, świadczyło o wynaturzeniu.

– Breen! – Kiara z mężczyzną o miedzianych włosach przybiegli z ogrodu na taras. – Co się stało? Usłyszeliśmy twój krzyk.

– Nie, nie, nic takiego. – Podniosła się i zasłoniła sobą osmalony nóż.

– Jestem Aiden. – Przedstawił się rudowłosy, podając dłoń. – Wiem, że dziś pomogłaś Kiara. Ona jest bardzo droga mojemu sercu i ty też jesteś mi droga.

– Miło cię poznać. Kiara, cieszę się, że wyglądasz na szczęśliwą. Czy mogę was poprosić o przysługę?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – zapewnił ją Aiden.

– Czy moglibyście sprowadzić Keegana? – Starła się, aby jej głos zabrzmiał pewnie i pogodnie, chociaż wszystko w niej dygotało, a nogi trzęsły się w kolanach. – Chcę mu coś powiedzieć, a tam jest tak głośno i trudno rozmawiać. Może zechciałby tu przyjść na minutę.

– Jasne, zaraz go poszukamy. Pewnie z ochotą zostanie z tobą dłużej niż minutę. – Kiara objęła ją i wyszeptła do ucha: – Nigdy ci tego nie zapomnę. Zawsze będę twoją przyjaciółką.

Kiedy odeszli, Breen ostudziła i podniosła nóż.

– Chciała mnie zabić. Taki miała zamiar. – Na miękkich nogach podeszła do ławki i usiadła z Fąblem przyklejonym do boku. – Jesteś najlepszym psem na świecie. We wszystkich światach. Wiesz, wcześniej było mi jej trochę żal. Nie zabiła mnie, ale uśmierciła tę część mnie, która jej współczuła.

– Wolałbym, żebyś nie chodziła nigdzie sama, dopóki nie uporamy się z tym problemem – odezwał się Keegan, podchodząc do ławki.

Bez słowa pokazała mu nóż.

– Shana właśnie próbowała się z nim uporać. Spaliłam jej... ja...

– Zraniła cię? – Chwycił ją za ramiona i podniósł z ławki.

– Nie. Ona jest ranna. Poparzyłam ją. Ma oparzoną rękę, w której trzymała nóż. Tak jak ty kiedyś... gdy... walczyliśmy na miecze. Nie było czasu na myślenie. Zaatakowała mnie tak niespodzianie i...

– Poczekaj. Gdzie uciekła?

– Pobiegła w tamtym kierunku. Coś w niej pękło, Keeganie. Widziałam, czułam to... Musisz wiedzieć...

– Zostaw to nam. – Croga zatoczył koło nad ich głowami i opadł na ziemię. – Wsiadajcie oboje – poleciał Keegan i podsadził ją, po czym sam wskoczył na smoczy grzbiet.

– Będziemy ją ścigać?

Wzniesli się nad najwyższą z wież i kiedy Croga zawisł w powietrzu, Keegan opuścił się na balkon, pomógł zejść Breen i klepieniem dłonią po nodze zachęcił Fąfla do skoku. Stanął przodem do drzwi balkonowych i otworzył je gestem ręki.

– Tutaj będziesz bezpieczna.

– Keeganie...

– Muszę zagwarantować ci bezpieczeństwo. Muszę mieć pewność, że nic ci nie grozi, kiedy udamy się na poszukiwania Shany. Nie zraniła cię – tłumaczył – bo umiałaś ją powstrzymać, ale może skrzywdzić innych, jeśli nie zdążą obronić się przed atakiem.

– Tak, masz rację.

– Siedź tutaj. Wrócę najszybciej jak to możliwe.

Podszedł do drzwi.

– Zamknij je za mną. Powiedziałaś, że coś w niej pękło. – Wsiadł na smoka. – A ja myślę, że raczej coś w niej się wyzwoliło i rozpętało.

Patrzyła, jak Keegan zlatuje w dół i zeskakuje z zawieszzonego nad ziemią smoka. Teraz zbierze drużynę tropicieli, pomyślała. Będą szukać czegoś, co po odnalezieniu jest z góry spisane na straty.

A black and white photograph of a misty landscape. In the foreground, a dirt path leads through a field of tall grasses and small white flowers. In the middle ground, a calm lake reflects the overcast sky. In the background, rugged mountains rise, partially shrouded in mist. Several birds are seen flying in the sky above the lake.

CZEŚĆ TRZECIA

# Wizje

*Całą trwoźną mocą wzroku  
wpatrywałem się w głąb mroku,  
Jakbym stanął nad otchłanią  
nie widzianą w ludzkich snach;*

EDGAR ALLAN POE, KRUK  
PRZEL. STANISŁAW BARAŃCZAK

## Rozdział 21

Shana biegła przed siebie bez wyczucia kierunku, bez orientacji w terenie, byle szybciej i dalej. Z ręką piekącą żywym ogniem pędziła przez las i pola, zostawiła za sobą wieś. Z suknią w strzępach, z rozdartym sercem, nie przestawała biec.

Kiedy ślepa panika przygasła i już tylko drżała ze strachu, zatrzymała się nad strumieniem. Z ręką zanurzoną w chłodnej wodzie zalała się gorzkimi łzami, które przeżerały jej duszę jak kwas. Rozpaczliwie szukając ulgi w bólu, dłońmi wykopała korzenie z ziemi, zmiażdżyła je zębami i zrobiła z nich okład. Po chwili ból nieco zelżał, ale dłoń cały czas pulsowała.

Rozedrgana, ciągle w szoku, podarła kawałek spódnicy na szarpie.

Łkając i złorzeczając pod nosem, owinęła rękę. Zaczerpnęła wody zdrową dłonią i zwilżyła zaschnięte usta i gardło.

Słyszała jeźdźców. Elfi słuch wyłapywał odgłos końskich kopyt. Polują na nią. Podniosła się z ziemi, przeklinając ich wszystkich co do jednego.

Znowu puściła się pędem, lecz teraz biegnąc, obmyślała zemstę.

Zaciekły, potworny, krwawy odwet.

\*

Kiedy Shana uciekała, Breen krążyła po jednej z komnat. Wskrzesała ogień w kominkach w sypialni i bawialni Keegana, jak się domyśliła po wyglądzie pomieszczeń. Pozapalała świece i lampy, ale nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wędrowała od drzwi do okien i w końcu, wbrew zaleceniom Keegana, otworzyła drzwi na balkon i wyszła na powietrze.

Widziała na niebie jeźdźców na smokach i frunące wróżki. Na pewno wyruszyło ich więcej – na dole dostrzegła trzech konnych. Będą patrolować drogi i wzgórze, a Elfy i Hybrydzi pieszo przeczesywać lasy i pola.

Podskoczyła nerwowo, słysząc pukanie do drzwi, ale Fąfel powachlował ogonem, a więc to nie mógł być wróg. Wróciła do środka i zamknęła drzwi balkonowe.

– To ja, Tarryn.

Z ulgą pobiegła jej otworzyć. Tarryn weszła i od razu wzięła Breen w ramiona.

– Chciałam sprawdzić, czy rzeczywiście nic ci się nie stało.

– Nie. Trochę mną telepie, to wszystko.

– Pewnie. Każdym by... telepało. Podoba mi się to określenie. – Zamknęła za sobą drzwi i zaprowadziła Breen do foteli.

– A Marco?

– Obiecałam, że sprawdzę, co z tobą, i zdam mu relację. Brian bierze udział w poszukiwaniach... Wiesz co, napijmy się wina. Cały czas tańczyłaś, niewiele piłaś.

Napełniła dwa kubki i usiadła.

– Prawdę mówiąc, muszę dodać sobie odwagi, bo prosto stąd idę do rodziców Shany. Nie mogę dopuścić, aby dowiedzieli się o wszystkim ostatni. To złamie im serca, takie rany już nigdy się nie zablżnią.

– Musi być ci ciężko.

– Obowiązki często bywają przykre. Wyznam ci, że z bólem serca myślę o tym, że być może wcześniej powinnam coś zrobić albo powiedzieć, żeby temu zapobiec.

– Ona dokonała wyboru. Czy wybór nie jest podstawową zasadą Talamh?

– Oczywiście. Bardzo lubię rodziców Shany, ale za nią nigdy nie przepadałam. Cynicznie wykorzystywała swoją urodę, miłość rodziców, zaangażowanie Lorena, lojalność takich wrażliwych osób jak Kiara. Nie byłam zachwycona, kiedy urodą, wdziękiem i inteligencją przyciągnęła uwagę Keegana, a jednocześnie czułam, że jego sercu nic nie zagraża.

Usiadła głębiej w fotelu, upiła parę łyków wina.

– Martwiło mnie to, co widziałam. Pewnie poczułabym do niej sympatię, gdyby jej zależało

na nim, a nie na tym, co sobą reprezentuje. Niepokoiło mnie, co Shana robi, kiedy w końcu do niej dotrze, że on nigdy nie da jej tego, czego ona chce. – Tarryn zacisnęła powieki. – Jednak przez myśl mi nie przeszło, że mogłaby posunąć się do tak ohydnych czynów. Spodziewałam się napadów złości, kalumnii, jakichś intryg, które mogłyby jej pomóc uzyskać wpływy w Radzie. Taką reakcją przewidywałam, ale nie coś takiego. Nie wpadłam na to, bo z jednej strony czułam do niej niechęć, a z drugiej uważałam, że być może przesadzam z moją oceną przez stronnictwo.

– Nie znam jej, trudno mi powiedzieć. Wygląda na to, że ten podstęp z eliksirem miłosnym miał być ostatnią deską ratunku. Ale reszta – to, jak postąpiła z Kiarą, do czego posunęła się wieczorem? Tego nie zaplanowała, działała impulsywnie zaślepiona złością.

– O mało nie pozbawiła cię życia. Osąd jest jasny, nie ma od niego odwrotu. Wcześniej jeszcze otwierała się przed nią szansa. Loren, którego tak perfidnie oszukała i okradła, żeby przywiązać do siebie Keegana, zaproponował, że nią się zajmie, gdy zakażą jej pobytu w Stolicy. Zapytał *taoiseacha*, czy pozwoli mu wyjechać z nią na prowincję.

– Tak. Wiem od Mingi.

– Keegan na to przystał i był gotów przekonać Radę. Miałyby dobre życie u boku kochającego ją mężczyzny. Co prawda nie takie, jak sobie wymyśliła, ale z czasem by przywykła i może nawet znalazła zadowolenie. A teraz, kiedy ją pojma, zostanie wyrzucona z Talamh do Świata Mroku. Natomiast ciężar tej decyzji spocznie na barkach mojego syna.

Tarryn nachyliła się do Breen i zamknęła jej dłoń w swojej.

– Jesteś kluczem do zamka, Breen Siobhan. Mostem, tarczą. Chciała cię wyeliminować. Za odebranie każdego życia spotkałoby ją potępienie. Ale gdyby cię pozbawiła życia, gdyby to jej się udało, nas wszystkich czekałaby tragedia. Nikt w Talamh nie udzieli jej schronienia.

– Co ona robi? Próbowałam wymyślić, gdzie ja bym się skierowała na jej miejscu. Do Powitalnego Drzewa?

Tarryn pokiwała głową.

– Będzie dobrze strzeżone. Podobnie jak wodospad.

– Wodospad? Ten, który prowadzi do...

– Tak, do Odrana. Nie możemy ryzykować. Mam nadzieję, że ją znajdą, zanim zdąży zrobić komuś krzywdę. – Odstawiła kubek. – Przysłać ci kogoś do towarzystwa?

– Nie, dzięki. Dobrze nam we dwoje.

Tarryn uśmiechnęła się do Fąfla i pogłodziła go po łbie. Przez całą rozmowę trzymał pysk na jej kolanach, jakby w ten sposób chciał ją pocieszyć.

– Tak, jesteś dobrze strzeżona przez to dzielne serce, poza tym nie ma bezpieczniejszego miejsca w całym Talamh. Keegan może być spokojny i z wolną głową skupić się na pościgu.

Wstała z fotela.

– Spróbuj odpocząć. Zobaczymy się rano.

Kiedy wyszła, Breen usiadła przed kominkiem i wpatrywała się w płomienie. Może coś zobaczy, chociaż na razie nie umiała przywoływać wizji, raczej widziała to, co ze sobą niosły.

Siedząc z Fąflem lojalnie zwiniętym w kłębek u jej nóg, usiłowała zajrzeć w serce przez zasłonę z płomieni i dymu. Nic się nie przedarło. Żałowała, że nie ma przy sobie szklanej kuli.

Przypomniała sobie, że kiedyś Keegan pokazał jej, jak teleportować coś tak banalnego jak szklanka z wodą.

Skupiona, przywołała obraz kuli leżącej na nocnym stoliku. Wielkość, krągłość, ciężar i barwę. Poczowała w dłoniach jej gładką powierzchnię, zobaczyła światy przesuwające się w środku. W wyobraźni wyznaczyła drogę kuli przez kamień, drewno i powietrze. Złożyła dłonie w miseczkę i ściągając kulę myślami, wyzwołała i rozprzestrzeniła wewnętrzną energię.

– Jestem Breen Siobhan O’Ceallaigh – usłyszała swój głos. – Jestem dzieckiem Fey, człowieka i boga. Jestem moim darem. Mój dar jest mną. Teraz użyję go dla przywołania światła.

Poczowała silną eksplozję czegoś gorącego i oślepiającego jasnego. Coś w niej gwałtownie zawirowało i na moment, dosłownie na ułamek sekundy, wyniosło ją z fotela i z zamkowej wieży.

Zapiekiłość, fala potężnego gniewu.

Na moment znalazła się w innym miejscu. Ogłuszył ją łoskot wody, śpiewy i rozpaczliwe jęki. Na moment jej oczy spotkały się z oczami Odrana.

I znowu stała przed kominkiem w komnacie w zamkowej wieży, wstrząsana energią płynącą przez ciało. W blasku kominka, w migotliwym świetle świec w złożonych dłoniach zobaczyła kulę.

– Czy na pewno ta sama? Boże, krew we mnie płonie. I czuję, że... tak ma być. – Spojrzała na kulę. Dłonie wcale nie drżały. – Jak to jest, że mogła zrobić coś takiego? Skąd takie uczucie, jakby przeprawiła się przez most, przekroczyła granicę, pokonała mur? Z wrażenia i dumy zaparło jej dech.

Uniosła kulę i obserwowała grę światła kominka na jej powierzchni, jak miesza się z poświęcą lamp i świec.

– Pokaż to, co muszę wiedzieć.

W głębi kuli ujrzała postać biegnącą w gęstym leśnym cieniu unoszącym się i kłębiącym jak woda.

Shana.

Ale cień się rozplątał, zniknął i biegnąca postać stała się dzieckiem. Wróżką, bo dostrzegła trzepotanie skrzydeł.

Breen skupiła się, wejrzała głębiej w kulę.

Dziecko. Dziewczynka. Z Sidhe. Naga.

– Dziecko z wodospadu. Ofiara. Po stronie Odrana, tam, gdzie sama przed chwilą była.

Zapagnęła wniknąć w kulę, wdrzeć się z powrotem do tamtego świata, dostać się do dziecka. Dziecka, które, jak teraz zauważyła, dzięki skrzydłom unosiło się kilka centymetrów nad ścieżką, trzęsąc się z przerażenia i zimna.

Dilly. Na imię ma Dilly. I zaledwie sześć lat.

– To się dzieje w tej chwili. To wszystko dzieje się teraz. – W życiu nie była niczego bardziej pewna. – Stałam dokładnie w tym miejscu. Znalazłam się tam, żeby powstrzymać nóż, zerwać łańcuchy krępujące to dziecko. Jak to zrobiłam i dlaczego nie mogę tam wrócić i jej pomóc?

Nagle srebrzysty kot przeciął ścieżkę. Dziewczynka zatrzymała się zdyszana, z oczyma szklanymi ze strachu. Kot zmienił się w człowieka. Sedric położył palec na ustach i przykucnął z ręką przyciśniętą do serca. Dziewczynka wbiegła w jego otwarte ramiona, a on ją przytulił, pocałował w potargane włosy i wtopili się w cień.

Po kilkunastu sekundach ścieżką przebiegła wataha demonicznych psów. Jeden przystanął, węszył chwilę z zadartym łbem i dołączył do znikającej sfory.

– Już jest bezpieczna. To się dzieje w tej chwili. Wróciła do Talamh. Jest z Sedrikiem i babcią.

Breen z wyczerpania głowa opadła na pierś. Wróciła na fotel i zasnęła z kulą na kolanach i psem u nóg.

Keegan znalazł ją śpiącą w fotelu godzinę przed świtem. Fąfel przywitał go kilkakrotnym uderzeniem chudego ogona o posadzkę i z powrotem zapadł w sen.

– Dlaczego ona śpi w fotelu, skoro w sypialni ma wygodne łóżko?

Zaskoczony i rozdrażniony jej widokiem z powodów, których wolał nie dociekać, potarł zeszywniały kark.

Powinien ją zbudzić, niech idzie spać do siebie. Jeżeli ma ochotę wyjść z psem na jeden z tych swoich spacerów, da jej obstawę.

Albo lepiej przeniesie ją na łóżko, a sam zajmie fotel, bo nie liczył na szybki sen.

Musiał się napić, odpocząć i pomyśleć.

Chciał ją podnieść, ale ocknęła się, ledwo zdążył jej dotknąć.

– Keegan. – Oparła dłoń na jego piersi. – Wróciłeś. Która godzina? Znaleźliście ją?

Wyprostował się i sięgnął po kubek.

– Jak widać, wróciłem – warknął, nalewając sobie whiskey na trzy palce. – Czy to ważne, która godzina? Nie, nie znaleźliśmy jej.

– Przykro mi.

– A mnie jeszcze bardziej. Nie sądziłem, że wystarczy jej sprytu na ukrywanie się dłużej niż parę godzin. Nie wiem, jak wytrzymuje w ciemnościach i w zimnie, ona przyzwyczajona do miękkiej pościeli i ciepłego kominka. – Wzburzony, usiadł z whiskey w dłoni. – Przyznaję z przykrością – zaczął mówić o tym, co go nurtowało w czasie poszukiwań – że jednak nie znałem jej tak dobrze, jak sądziłem. Owszem, widziałem jej wady i mankamenty, ale wydawały mi się błahе, więc je bagatelizowałem, bo tak mi było wygodnie.

– Przestań się obwiniać. Ona na to nie zasługuje.

Odpowiedział wzruszeniem ramion i pociągnął długi łyk whiskey.

– Widziałem to, co mało istotne, tymczasem ona skrzętnie ukrywała przed wszystkimi poważną skazę na charakterze. Ciemną stronę natury. Owszem, była przywiązana do miękkiej pościeli, dobrych win i blichtru, ale wywiodła w pole ponad dwudziestu ludzi poszukujących jej przez całą noc.

– Jest zrozpaczona. To desperacja daje jej przewagę.

– Kiedy wstanie dzień, wieść się rozniesie i przybędzie tropiciele. Ona wie, że nie ma nic do stracenia i może kogoś skrzywdzić, zanim uda się nam ją pojmać. A kiedy ją złapiemy, prawo dopuszcza tylko jedno rozwiązanie. – Obracał kubek w dłoniach, zapatrzony w złocisty płyn. – Przyjdzie jej zapomnieć o miękkiej pościeli. Przykro mi, ale oczywiście będziesz musiała złożyć zeznanie na Osądzie. Biedną Kiarę też to czeka i jej jeszcze bardziej mi żal.

Ma skołatanę nerwy, pomyślała Breen. Zadręcza się tym wszystkim.

– Ona nigdy ciebie nie rozumiała, nie obchodziło jej, jaki ciężar spoczywa na twoich barkach. Takie luksusy jak te gustownie urządzone komnaty tego nie zrównoważą.

Wyprostował się i pijąc, przyglądał się Breen znad kubka.

– A więc mam tu luksusy? – podchwycił i rozejrzał się. – Wolałbym teraz być w domu, w dolinie i delektować się spokojem.

– Ja też.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę?

– Stolica jest piękna i ekscytująca. Widoki są niesamowite, a ludzie przemili. Ale jest ich tutaj za dużo.

– Na bogów, masz rację. – Na moment przymknął powieki, a potem wznosił kubek i przepił do niej. – W takim razie lata temu powinnaś trzymać język za zębami, nie płynąć w jeziorze z włosami wijącymi się w wodzie jak płomienie i nie mówić mi, że miecz jest dla mnie przeznaczony.

– I tak byś go podjął. To leży w twojej naturze. Zaraz. Jak wyglądałam tamtego dnia, gdy zostałeś *taoiseachem*?

– Jak teraz.

– Nie, posłuchaj, tam, w wodzie, nie byłam dzieckiem? Przecież ty miałeś około czternastu lat, a jestem od ciebie dwa lata młodsza. Wyglądałam na dwanaście lat?

– Nie byłaś dzieckiem. Widziałem kobietę.

– Czekał, zaraz... – Wstała i krążyła po komnacie, obracając kulę w dłoniach. – A więc byłam bliżej tego czasu niż tamtego. Jako dziecko nie miałam takich możliwości.

– Gdybyś nie miała, nie widziałbym cię. Pleciesz.

– Wcale nie. Nie wiem, czy to był świadomy sen, podróż w czasie czy też projekcja astralna, w każdym razie byłam o wiele lat starsza niż w rzeczywistości. Wróciłam tam w taki czy inny sposób. Może tak? – Pokazała mu kulę. – Może to jest narzędzie, wehikuł czy nośnik. Skąd mam wiedzieć? Ale w nocy to powtórzyłam.

– Cofnęłaś się do tamtego dnia nad jeziorem?

– Nie. – Usiadła i przechyliła się ku niemu. – Nie tam i nie do tamtego czasu. Boże, oddałabym rok życia za coca-colę. Nie, próbowałam sprawdzić w ogniu, czy uda mi się pomóc odnaleźć Shanę. Byłam blisko, ale niestety, nie wyszło. A kula... Przypomniałam sobie, jak mi pokazałeś albo raczej jak mnie zmusiłeś do ściągnięcia szklanki wody z kuchni do sypialni.

– Nie do końca ci się udało.

– Nie, ale tym razem bardzo potrzebowałam kuli. Chciałam widzieć, pomagać, nie mogłam siedzieć bezczynnie. Wyobraziłam sobie kulę; jak wygląda, jaka jest w dotyku, i zobaczyłam miejsce, gdzie ją położyłam. Spróbowałam ją przywołać i wtedy poczułam coś jeszcze i coś powiedziałam. I na minutę, a może krócej znalazłam się przy wodospadzie, po stronie Odrana. Widziałam małą dziewczynkę, słyszałam te ich śpiewy. I Keeganie, to wszystko działo się w czasie rzeczywistym, teraz. Byłam tam, stojąc tutaj. Krew we mnie zapłonęła, poczułam falę potężnego gniewu i przypływ mocy, jakby naraz puściły wszystkie bezpieczniki.

Wyjęła mu kubek z dłoni. Nie przepadała za whiskey, ale męczyło ją pragnienie. Wypiła łyk, oddała kubek.

– Och nie. Kiepski wybór. A więc byłam tam, stojąc tutaj. I trzymałam kulę.

Siedział nieruchomo, wpatrzony w nią.

– I co było dalej?



– Widziałam w kuli dziewczynkę – z początku myślałam, że to Shana – lecz nie, ona była mała i biegła, poruszając skrzydełkami. Biegła potwornie wystraszona. Kiedy na to patrzyłam, wiedziałam, że to się dzieje teraz, i bardzo chciałam tam się znaleźć, pomóc jej. I wtedy pojawił się tam Sedric. Jako kot, a po chwili już jako człowiek zabrał ją stamtąd. Wiedziałam... czułam... że przeniósł ją do Talamh. Zobaczyłam, jak błysk światła przecina mrok i oni wrócili.

– Nie pytam, czy jesteś pewna, bo nie mam powodu w to wątpić.

– Wysłałeś go, żeby ją odnalazł.

– Posłałem jastrzębia po przyjeździe do Stolicy. Nie znam nikogo, kto tak jak Sedric potrafi prawie na życzenie tworzyć portale, a przeistaczanie się w kota to sprytny wybieg. Przyciął się i czekał. Być może informacja nadeszła, kiedy mnie tu nie było. Nie sprawdziłem. Dostałem od ciebie dobrą wiadomość. Lepszą, niż myślisz.

Odstawił kubek.

– Odprowadzę cię do twojej komnaty. Dopóki nie znajdziemy Shany, nie powinnaś nigdzie chodzić sama.

– Nie ma jej w Stolicy.

– Też tak sądzę, ale...

– Wiem, że jej nie ma. Ściągnęłam kulę, bo właśnie Shanę chciałam zobaczyć... sprawdzić, gdzie się zaszyla. I kiedy się skoncentrowałam i poprosiłam, żeby w kuli pokazało się to, na czym mi zależy, na początku, przez parę sekund chyba widziałam Shanę. A dopiero potem zobaczyłam dziewczynkę, bo to było pilniejsze. Dlatego ona pokazała się w kuli.

– Być może masz rację, ale lepiej nie ryzykować.

Podniosła się z fotela razem z nim. Miała podkrążone oczy, była blada ze zmęczenia, ale nie czuła się osłabiona. Absolutnie nie.

– Dziewczyna ubrana w gwiazdy.

– Słucham?

– Taka była moja pierwsza myśl, kiedy cię zobaczyłem w sali bankietowej. Dziewczyna ubrana w gwiazdy. Pragnę cię. Denerwuje mnie, że nie umiem uwolnić się od myśli o tobie. Byłoby mi łatwiej bez takich pragnień. I bez nich mam dość problemów na głowie.

– Dobrze stawiać sprawę jasno – odpowiedziała chłodno. – Co za utrapienie, żądza cię prześladowuje!

– Żądza rzadko bywa utrapieniem i gdyby na tym polegał problem, miałbym cię w łóżu każdej nocy od twojego przyjazdu do Talamh.

– Zakładając, że chciałabym tam się znaleźć.

– Zakładając. To nie tylko pożądanie, choć nie będę ukrywał, że bardzo cię pragnę. Jestem zmęczony powtarzaniem sobie, że powinienem trzymać się od ciebie z daleka. Rozpraszasz mnie, zajmujesz moje myśli. Jeżeli tak jest, skoro nie mogę tego zmienić, czemu nie miałbym cię wziąć?

On najwyraźniej przekonuje siebie, że powinien z nią się przespać, pomyślała niemal z rozbawieniem.

– Czy według ciebie tak wygląda uwodzenie?

– Nie, absolutnie. Normalnie o wiele lepiej radzę sobie w tej materii. Po prostu mówię, co czuję, bo oboje cenimy prawdę.

Wyciągnął dłoń i opuszkami palców dotknął jej włosów.

– Potrzebuję snu jak powietrza, ale nie zasnę, jeśli cię nie wezmę. Oto cała cholerna prawda. Czy dla dobra tego świata oddasz się *taoiseachowi*?

Dostrzegła wesoły błysk w jego oczach. Teraz naprawdę ją rozbawił.

– Mogłabym. – Odczekała moment. – Może?

– Chodź ze mną do łóża, Breen, bo cię pragnę, a widzę, że moje pragnienie odbija się w twoich oczach.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

– Może to moje własne pragnienie?

Ujął jej dłoń i tak jak za pierwszym razem, w innym świetle, poderwał ją z podłogi.

– Dziewczyna ubrana w gwiazdy – powtórzył, niosąc ją do łóża. – Zagubiłem się w ich blasku.

– Tęskniłam za tobą – wyznała. Niech pozna prawdę, zdecydowała, zasługuje na prawdę. – Tęskniłam, kiedy byłam po tamtej stronie i kiedy wróciłam.



Opuścił ją na łożę i wodząc dłonią po jej policzku, ułożył się na niej.

– Jestem tutaj. Zostań ze mną.

Opadł wargami na jej usta, zapominając o zmartwieniach. Dawła mu spokój i nie zamierzał dłużej dochodzić, czemu tak jest. Czuł pod sobą jej ciało, miękkie i uległe, a jednocześnie mocniejsze, niż przypuszczał. Dotyk tego ciała budził w nim nadzieję. Musiał utrzymać tę nadzieję, tak jak teraz trzymał Breen.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, błędziła dłońmi po jego plecach, wplatała palce we włosy. Rosła żarliwość ich z początku powolnych pocałunków. Przyspieszały skubiące ruchy pożądlivych warg, łapczywie smagały języki, ich ciała lgnęły do siebie.

Linia jej szyi, zarys szczęki, bicie serca niczym trzepot skrzydeł kolibra – to wszystko wabiło go i oszalało. Czemu ona, dlaczego to musi być ona, o tym pomyśli później. W tej chwili był tutaj i z nią.

Jego wargi poszukały krągłej piersi w gwiazdnej mgłę, dłonie wsunęły się pod warstwy cienkiej materii i suknia zrzucona zakłębieniem opadła na posadzkę. Naga, zadrżała, westchnęła i wygięła się ku niemu. Dłońmi i ustami pieścił jej piersi, sycił się, czując coraz większy głód.

Ona tego chciała, próbowała uwolnić się od tych pragnień i czasami nawet jej się udawało. Teraz, gdy tęsknota za jego dotykiem, jego smakiem, kształtem i ciężarem jego ciała wreszcie została zaspokojona, rozkosz i namiętność splotły się niczym sznur z delikatnego jedwabiu. Kiedy brzask rozproszył ciemność nocy, ustępując miejsca słońcu, powiodła rękami po jego biodrach i zakłębieniem wyłuskała go z ubrania tak jak wcześniej on ją. Poczwała na skórze jego śmiech.

– Zapomniałaś o bucie.

Wodził dłońmi po jej ciele, błędził po nim rozchylonymi ustami. Wysunęła się spod niego i przetoczyła na bok, żeby odwzajemnić pieszczoty.

– Trudno się skupić – wymruczała.

– Tak. – Przywarł wargami do jej ust. – Prawda. – Z powrotem znalazł się nad nią, zamknął dłonie na jej nadgarstkach i przeniósł jej ramiona nad głowę.

W pierwszych promieniach słońca zobaczyła złote cętki pływające w jego zielonych oczach.

– Następnym razem nie będziemy się spieszyć, ale teraz nie mogę dłużej czekać. Chcesz?

– Tak. – Splotła palce z jego palcami.

Wszedł w nią mocno, głęboko i znieruchomiał. Wyprężyła się, serce szybciej zabiło i spazm rozkoszy rozkołysał świat. Pchnął i znowu zastygł, wpatrzony w jej oczy.

– Chcę widzieć, co z tobą robię. Jeszcze raz.

Krzyknęła z szoku i ulgi drżąca i rozdygotana, gdy poczuła gwałtowny orgazm. Błyski światła niczym miniaturowe chochliki zatańczyły pod powiekami.

– Breen Siobhan.

Zawładnął jej ustami i chłonał te gorące, bezwolne okrzyki, coraz szybciej i mocniej zanurzając się w niej. Okryło ich miękkie światło nowego dnia, ptasi śpiew przeciął powietrze. A ona leciała, po prostu leciała, jak jeździec na smoku wirujący z wiatrem. Stopiona z Keeganem, niesiona tym wiatrem wspięła się wysoko, a potem razem z nim opadła w dół. Nie mogła złapać tchu, uznała, że nie warto go ścigać. Poczekaj, aż sam powróci. Keegan nadal trzymał jej ramiona wyciągnięte za głowę, ale zwolnił uścisk, bezwładnie leżąc na niej.

Ciągle z szumem w uszach i trzepoczącym sercem powoli przeniosła spojrzenie na sufit. Na plafonie pięły się złoto-brązowe wzgórza Talamh i opadały w doliny gamą odcieni zieleni. Fale obmywały srebrzyste łupkowe wybrzeża i złote piaski plaż. Syreny pływały w morzu albo wygrzewały się na skałach. Na stromych klifach stali Trolle z siekierami i kilofami. Farmerzy szli po polach za pługami. Nad łąkami i lasami fruwały wróżki. Elfy i Hybrydzi przechadzali się między drzewami. Na drogach poruszali się jeźdźcy i wozy zaprzężone w konie. Grupa Widzących kreśliła krąg. Pod niebem lazurowym jak morze latały smoki.

– Piękny ten plafon.

Keegan z pomrukiem przetoczył się na plecy i wyciągnął się obok niej.

– To malowidło powstało bardzo dawno temu, ma przypominać *taoiseachowi*, że ostatnią myśl przed zaśnięciem i pierwszą po przebudzeniu powinien poświęcić Talamh.

– Prawdziwe wyzwanie.

– Uważnie je obejrzałem w moją pierwszą noc tutaj.

– Byłeś wtedy chłopcem.

– Byłem *taoiseachem* i chłopcem, i zastanawiałem się, jak z tym wszystkim dam sobie radę. Tylu ludzi, tyle zadań. A ja chciałem żyć na farmie w dolinie i wstyd się przyznać, ale tęskniłem za mamą. Przespałem noc z Talamh nad głową, a rano, tak jak nakazuje tradycja, spotkałem się z Radą. Byłem przerażony. – Odwrócił się do niej i spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. – Jeżeli komuś piśniesz o tym słowem, zaprzeczę i powiem, że kłamiesz.

– Będę milczeć jak grób.

– I niech tak zostanie. Zanim wszyscy się zebrali, podszedł do mnie jeden z członków Rady i poradził, abym trzymał się prosto i nie przejmował się ściśniętym z nerwów żołądkiem. Kazał mi pamiętać, że wybrałem i zostałem wybrany. A gdyby ktoś próbował mnie zastraszyć, miałem go zignorować. Tych rad udzielił mi ojciec Shany. To on mnie wtedy podbudował.

Odwróciła się do niego i położyła mu dłoń na sercu.

– On wiedział, że wybrałeś i wie, że ona też wybrała, chociaż na pewno bardzo go to boli. Nie podejrzewam, że ona, leżąc z tobą w tej sypialni, patrzyła na Talamh tak jak ty.

– Nigdy jej tutaj nie przyprowadziłem. Ani jej, ani żadnej innej przed tobą. – Usiadł i przegarnął włosy palcami. Zastanawiał się, czy przypadkiem brak snu za bardzo nie rozwiązał mu języka. Gdy rozmyślał, co powiedzieć, Fąfel podszedł do łóżka i stojąc nieruchomo, znacząco wpatrywał się w Breen.

– O rany! Od dawna nie byłeś na dworze. Wybacz, piesku. Jesteś kochany – przemawiała do niego pieszczotliwie, wygrzebując się z pościeli. – Gdzie moja suknia?

– Gdzieś tam. – Keegan rozejrzył się po komnacie i machnął ręką. – O, leży.

– Wygląda na to, że muszę odbyć spacer wstydu.

– Wstydzisz się? Tego?

– Co? Nie, nie o to chodzi. To takie powiedzenie. Mówi się tak, kiedy kobieta – zawsze tylko kobieta – wraca do domu rano w tym, co miała na sobie wieczorem. Dziwne, ale ponieważ to mój pierwszy raz, w jakiś perwersyjny sposób mnie to bawi.

– Wyprowadzę go. Muszę sprawdzić pewne rzeczy, mogę go zabrać ze sobą.

Odwróciła się, otrzepując suknię. Keegan był już w koszuli, spodniach i naciągał drugi but.

– Jakim cudem tak szybko się ubrałeś?

– Od jakiegoś czasu sam się ubieram, więc mam to przećwiczone. Wracaj do siebie, też to przećwicz i absolutnie nigdzie nie wychodź bez Marco. Na razie.

Uśmiechnął się, kiedy stała przed nim ze wzburzonymi włosami, zasłaniając się pogniecioną suknią.

– Aleś ty wymiętolona. Mam ochotę rzucić cię na łóżko i jeszcze bardziej wymiętolić, lecz niestety, obowiązki wzywają.

Poklepał Fąfla po łbie.

– Gdybyś nas nie widziała ze swojego okna, po prostu go przywołaj.

– Dobrze, dzięki, ale...

W paru krokach znalazł się przy niej, przytrzymał ją za ramiona i długim pocałunkiem pomieszał jej myśli.

– Chodź, chłopaku! – Gwizdnął na Fąfla, a pies ochoczo potruchtał za nim.

## Rozdział 22

Co prawda nie przemykała się ukradkiem do swojej komnaty, ale pozostała czujna. Nie miała ochoty natknąć się na kogoś na schodach czy w którymś z korytarzy. Jednak najpierw musiała zajrzeć do Marco.

Otworzył drzwi, gdy tylko zapukała, i natychmiast zagarnął ją w ramiona.

– Przepraszam. Nie miałam jak...

Przytulił ją mocniej.

– Nie martwiłem się, bo Tarryn przyszła mi powiedzieć, że jesteś bezpieczna. Ukryli cię razem z Fąflem w komnacie Keegana w wieży. Ale dobrze cię widzieć, dziewczyno.

Odsunął ją na długość ramion i przyglądał się jej z szelmowskim uśmiechem.

– Widzę, że to ukrywanie się musiało ci służyć. Dawno nie widziałem cię takiej wyluzowanej.

– Przejdzie mi ten luz, jeżeli postoję tu dłużej w wieczorowej sukni.

Ani na chwilę nie puszczając jej ręki, poszedł z nią do jej komnaty.

– Możesz przebrać swoją wyluzowaną osobę w łazience czy w WC, czy jak ten przybytek tutaj się zowie. W każdym razie ja zostaję. Gdzie Fąfel?

– Poszedł na dwór z Keeganem. – Wyciągnęła ubranie z szafy. – Chcę wziąć prysznic i może uda mi się wyczarować gorącą wodę do wanny.

– Będziemy gadać przez drzwi – oznajmił, zamykając je za nią. – Czy ta zdzira naprawdę chciała wbić ci nóż w plecy?

– Powstrzymałam ją.

Starła się opowiadać mu wszystko w miarę składnie, kiedy się rozbierała i wyjmowała spinki z włosów.

W końcu udało się jej zakłębem podgrzać wodę.

Po gorącej kąpieli poczuła się jak nowo narodzona.

Kiedy wyszła z łazienki, Marco był w środku opowieści.

– Brian wrócił parę godzin temu i tuż przed twoim przyjściem ponownie poleciał. Twierdzi, że oni ją znajdą, bo po tym, co zrobiła, nikt w Talamh jej nie pomoże. Ale...

– Boi się, że zanim ją znajdą, ona może zrobić komuś krzywdę – weszła mu w słowo Breen.

– Nie tak łatwo, bo porządnie ją uszkodziłaś. Szkoda, że tego nie widziałem. Chodźmy na śniadanie i przy okazji trochę się rozejrzemy.

Wcale jej nie zdziwiło, że znał drogę do kuchni, a z jej obsadą był po imieniu. Zjedli jajka na bekonie w przestronnym ciepłym pomieszczeniu. Szary kot drzemał na szerokim kamiennym parapecie, a kobieta i mężczyzna, szorując garnki, spekulowali, czy deszcz spadnie w południe, czy dopiero w nocy.

Po śniadaniu wyszli na słoneczny dzień i Breen nie mogła zrozumieć, dlaczego tamta para w ogóle rozmawiała o deszczu. W drodze na most rozglądała się za Fąflem i w końcu zobaczyła go – i Keegana – na polu treningowym. Miała ochotę na spacer, przeszli więc jeszcze kawałek.

– Nie bardzo wiem, na co mogę sobie pozwolić w tej sytuacji. Chętnie pochodziłabym po lesie, ale idę o zakład, że wystaliby za mną połowę armii, a więc dam sobie spokój. Może spróbuję popisać przez parę godzin. Jeżeli złapię wenę, nie będę myśleć o problemach.

– A ja chyba złapię drzemkę. W nocy kiepsko spałem. Aż dziwne po takiej hucznej imprezie.

Kiedy doszli do skraju pola, Fąfel puścił się biegiem do Breen, jakby stęskniony nie widział jej od tygodni.

Keegan przywołał ich skinieniem. Stał na polu w otoczeniu kilku zbrojnych.

– Dobrze, że jesteście. Już miałem kogoś po was posłać. Muszę wyjechać. Hugh, popracuj z Breen. Niech poćwiczy strzelanie z łuku, ale ostrzegam, wszyscy trzymajcie się jakieś sześć metrów od tarczy, bo kiepsko celuje.

– Poprawimy to, co nie? – odpowiedział pogodnie Hugh i przyjaźnie klepnął ją w ramię.  
– A ty, Cyrilu, potrenujesz z Marco walkę wręcz. Godzinę, potem zamiana i znowu godzinę.  
– Co takiego? Po co? – obruszyła się Breen.  
– Dla wprawy – uciął Keegan. – Dostyc leniuchowania. Hej, Bran! – zawołał. – Czemu nie jesteś w szkole?

– Lekcje jeszcze się nie zaczęły, no nie? Szedłem porozmawiać z mamą. Ćwiczy na sąsiednim polu.

– Ach tak. To jest Bran, bratanek Moreny. Pierworodny Seamusa i Maury.

– Miło mi cię poznać! – zawołała Breen. Ma jakieś dziesięć lat, oceniła. Wygląda na bystrego dzieciaka. – Twoja szkoła jest gdzieś w pobliżu?

– Kawalek drogi stąd. Pomyślałem – zwrócił się do Keegana – że mógłbym jeden dzień odpuścić, żeby trochę poćwiczyć. Z mamą. Na pewno się zgodzi.

– Przekaż mamie, że postaram się odwieść ją od tego pomysłu.

Bran z czarującym uśmiechem wcisnął głowę w ramiona.

– Szkoła na pierwszym miejscu, chłopcze, dopiero potem treningi. Wojownicy oprócz ostrych mieczy muszą mieć sprawne mózgi. Zmiataj do szkoły.

Chłopak opuścił ramiona i powłókł się noga za nogą.

– Naucz się czegoś nowego i mnie zaskocz! – zawołał za nim Keegan. – To dam ci przelecieć się na Crodze.

Jak pod działaniem magicznego zaklęcia dzieciak odwrócił się cały w uśmiechach.

– Dobrze, *taoiseachu*. – Przebiegł w podskokach parę kroków, rozwinął skrzydła i odleciał.

– Ktoś tu oprócz ostrego miecza ma sprawny mózg – skomentowała Breen.

– Ktoś pamięta, jak w dzieciństwie niechętnie chodził do szkoły – odparł Keegan. – Porządnie z nimi poćwiczcie – rzucił i spojrzał na niebo. – Zapewne za dwie godziny będzie koniec, bo spadnie deszcz.

Croga sfrunął z bezchmurnego, jak Breen się wydawało, nieba. Keegan podszedł do smoka i dosiadł go bez słowa. Po chwili jeździec i jego skrzydlaty rumak wzbili się pod niebo i odlecieli na zachód.

– W takim razie idziemy. – Hugh, pogodny jak zawsze, wskazał tarcze na drugim końcu boiska. – Bierzemy łuki i kołczany.

Breen zdobyła się na uśmiech.

– Jak widzisz – mruknęła do Marco – już wiemy, co dzisiaj robimy. Do zobaczenia za godzinę.

Począpała za Hugh przez pole. Niechcący przekonała się, co czuł Bran, gdy odchodził, powłócząc nogami.

Deszcz rzeczywiście spadł w środku dnia. Marco położył się na drzemkę, a ona siadła do pisania. Bez oglądania się za siebie zorientowała się, że Fąfel zamiast miejsca przy kominku wybrał na drzemkę jej łóżko. Przymknęła oczy na ten wybryk i zamyślona zapatrzyła się na deszcz.

W końcu podniosła pióro i spróbowała schronić się w innym świecie – tym budowanym ze słów. Po kilku nieudanych próbach wreszcie udało jej się skupić i słowa same popłynęły.

\*

Siedziała skulona w przybudówce stajni. Błędym świtem ukradła suknię suszącą się na sznurze. Brzydką i za obszerną na jej smukłą figurę. Niestety, po długiej i wyczerpującej nocy jej własna suknia była cała w strzępach.

Kiedy wzejdzie słońce, skieruje się na zachód. Niewiele zapamiętała z lekcji geografii oraz ćwiczeń z mapami, więc na dobrą sprawę nie bardzo wiedziała, gdzie dokładnie jest.

Obudziła się z krótkiego płytkiego snu w zapadlinie pomiędzy skałami z poczuciem potwornego upodlenia. Marzyła o kąpieli w wodzie z aromatycznymi olejkami, swoich wysokich butach z kozłej skóry i dotyku puszystej wełny na skórze. Tymczasem miała na sobie zgrzebną suknię z samodziału utkanego przez jakąś wieśniaczkę. Brudna, z włosami w strąkach, schroniła się przed ulewą w przybudówce, w której stał koń. Dłoń pulsowała z bólu pod okładem. Gardło piekło z pragnienia, głowa ćmiła z głodu.

Zapłacą jej za to. A droga do tej zapłaty zdecydowanie prowadziła na zachód. Do zemsty potrzebowała siły i sojusznika. Wiedziała, że Odran prawdopodobnie miał po tej stronie swoich

szpiegów – przynajmniej tak twierdził jej ojciec, kiedy go naciągnęła na rozmowę o dyskusjach toczonych na Radzie.

Ale może jej zabraknąć czasu na odnalezienie tych szpiegów. Zbyt wielu ochotników włączyło się do poszukiwań.

Ktoś zbliżał się, pogwizdując, i chociaż każdy ruch sprawiał jej ból, zacisnęła w dłoni odłamek skały i przywarła do ściany. Zobaczyła podrostka z wiadrem. Klacz uwiązana postronkiem do belki wyczekująco odwróciła łeb w jego stronę.

– Ale leje, co Mags? A tutaj masz sucho i ciepło. – Nasypał ziarna do koryta i pogładził klacz po szyi, gdy zanurzyła w nim pysk. – Zgłodniałaś, prawda? Mam dla ciebie smakołyk w kieszeni, dostaniesz marchewkę, bo dzisiaj to ja tobą się opiekuję. I akurat musi tak lać, kiedy zamiast siedzieć w szkole pilnuję braci, bo mama i tata pomagają szukać tamtej obłąkanej kobiety.

Po tej zniewadze rzuciła się na chłopca z zaciśniętymi zębami. Z wściekłością uderzyła go w głowę odłamkiem skały. Spłoszony koń stanął dęba, a chłopak osunął się na ziemię. Wymierzyła mu drugi cios. Kiedy już miała zamachnąć się po raz trzeci, wyrachowanie wzięło górę nad ślepą furia.

Dzieciak był prawie jej wzrostu i miał czapkę. Spadła mu z głowy i nie zdążyła poplamić się krwią. A jego kurtka wyglądała na ciepłą.

Odrzuciła kamień i wyszarpnęła marchewkę z kieszeni kurtki. Pierwsze chciwe kęsy jedynie wzmogły głód, dlatego resztę przeżuła powoli. Potem rozebrała chłopca z kurtki i ściągnęła mu buty.

Od tej chwili ona będzie chłopcem, zdecydowała. Zrzuciła suknię i wciągnęła spodnie – trochę przyciasne, ale się nadadzą. Weźmie konia. Szybciej poruszała się na nogach, jednak bieganie zdążyło ją mocno zmęczyć. Resztę drogi pokona na końskim grzbiecie, z włosami ukrytymi pod czapką.

Ot, wiejski chłopak, który jedzie na oklep na koniu. Kieruje się na zachód.

\*

Pukanie do drzwi wyrwało Breen ze świata fikcji.

– To ja, Brigid, przyniosłam herbatę, może dobrze ci zrobi w ten ponury dżdżysty dzień.

– Chętnie się napiję. – Poszła otworzyć drzwi, a Fałel podreptał za nią, machając ogonem.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Pomyślałam, że podrzucę ci gorącą herbatę i coś do jedzenia. Przygotowałam porcję dla dwóch osób, bo sądziłam, że jesteś z Marco.

– On chyba drzemie. Straciłam poczucie czasu.

– Do zachodu słońca zostały jakieś dwie godziny. Och, widzę, że pisałaś – dodała Brigid, stawiając tacę na małym stoliku przy kominku. – Więc jednak ci przeszkodziłam.

– Wcale nie. – Żeby dziewczynę uspokoić, usiadła i nalała herbaty do dwóch filiżanek. – Jakież wiadomości?

– Nadal jej szukają. Tyle pogłosek krąży w zamku i na wsi. Jeden mówi, że natknął się na nią w tym miejscu, drugi twierdzi, że zupełnie gdzie indziej. A tak naprawdę nikt jej od wczoraj nie widział. Przeżyłam szok, gdy znalazłyśmy Kiarę. Wcale mnie nie zdziwiło, że Shana posunęła się do przemocy, ale byłam zaskoczona, że podniosła rękę na taką oddaną przyjaciółkę.

– Nie lubisz jej. Znaczą Shany?

– No jakby to...

– W porządku. Ja też jej nie polubiłam.

– Powiem tak; ona w życiu nie zaproponowałaby, żeby z nią usiąść i napić się herbaty. Zadzieriała nosa i mówiła: „Nie chcę czerwonych róż przy łóżku. Zabierz je i przynieś różowe. Do południa buty do jazdy mają być wyczyszczone”. Traktowała nas, pracujących w zamku, jak służących, a przecież nimi nie jesteśmy.

– Zgadza się. Pomagacie tutaj, bo ta praca sprawia wam przyjemność i macie do niej pre dyspozycje. Jeżeli tego nie umiała docenić, jej strata.

– Serce mnie boli, kiedy myślę o jej rodzicach, o Kiarze, no i Lorenie, bo to jasne, że on ją kochał. Myślę, że tak nadal jest. Aha, Hugh mówi, że dzisiaj dobrze ci szło strzelanie z łuku.

– Naprawdę?

– No, tak powiedział. W pewnym sensie on należy do mojej rodziny, bo mam kuzynów na północy, a Hugh przyjaźni się z jednym z nich. Twierdzi, że będzie ci jeszcze lepiej szło, jeżeli

będziesz ćwiczyć.

– Gorzej już iść nie może. Dał mi skórzany ochraniacz na przedramię, dzięki temu obyło się bez siniaków.

Marco zapukał delikatnie i włożył głowę w drzwi.

– Cześć, Brigid! O, ciastka!

Ruszył prosto do tacy, a Brigid poderwała się z fotela.

– Powinam wrócić do pracy. Dziękuję za wspólną herbatę. Powoli przestaje padać – skomentowała, ruchem głowy wskazując okno. – Wieczorem się przejaśni.

– Wypłoszyłem ją? – zapytał Marco, kiedy wyszła.

– Według mnie jest z tych, co nie mogą długo usiedzieć w jednym miejscu. Wypałeś się?

– Porządnie, kochana. Liczyłem, że Brian zdąży wrócić, zanim się obudzę, a ta Elfka z piekła rodem będzie siedzieć zamknięta w lochu czy innych kazamatach. Jak rozumiem, nici z tego. – Klapnęła na fotel i sięgnęła po kolejne ciastko. – Popisałaś?

– Porządnie, kochany. Za minutę czy dwie wydobędę się z tego fotela i wezmę mojego bardzo cierpliwego psa na spacer w deszczu.

– Pójdę z wami. – Marco przerzucił się na chleb z serem. – Znajdą ją i będzie po sprawie. Wtedy skoncentrujemy się na walce z Wielkim Czarnym Charakterem.

Szli w czymś, co bardziej przypominało rozpyloną mgłę niż deszcz. Tu i ówdzie niebo zdążyło się przetrzeć. Na zachodzie słońce przebłyskiwało przez chmury. Na tle szarych chmur i spłachetków błękitu przelatywały smoki. Breen zobaczyła Crogę z Branem na grzbiecie, a więc Keegan dotrzymał słowa. Wrócił, pomyślała, albo znowu pojechał gdzieś konno. Poszukiwania Shany nadal trwały.

Przespacerowali się do wsi, a kiedy wracali już o zmierzchu, Brigid wybiegła im na spotkanie.

– Dziewczyno, gdziekolwiek się obejrzę, wszędzie cię widzę – zażartował Marco i rozba-  
wiony parsknął śmiechem.

– Tak ci się wydaje? *Taoiseach* wysłał mnie po was. Jest w pracowni w wieży. Chodźcie ze mną.

Poprowadziła ich wijącymi się schodami do pomieszczenia na piętrze poniżej sypialni Keegana. Brigid zapukała. Ciężkie drzwi się otworzyły.

– Wejść!

Breen znalazła się w ogromnej sali, w której z powodzeniem zmieściłyby się sypialnia i salon Keegana. Ogień płonął w dwóch kominkach, pod ścianami stały stoły robocze, na półkach tłoczyły się tygły, miski, świece i słoje.

Zobaczyła Marg.

– Babciu!

Puściła się biegiem, ale Fąfel ją wyprzedził i już się łąsił do Marg.

– Jesteś. – Marg mocno ją uściśnęła. – *Mo stor*, co cię spotkało!

– Jak się cieszę, że cię widzę. Skąd tu się wzięłaś? Czemu tu jesteś?

– O tym potem. Marco, chodź do mnie, daj buziaka.

Potem przyszła kolej na Fąfla. Jego błaganie o uwagę zostało nagrodzone herbatnikiem, który Marg wyjęła z kieszeni.

– No, bierz i uciekaj. Posiedź chwilę spokojnie przy kominku. Keegan mnie tu ściągnął, przylecieliśmy na smokach. Mam nadzieję, że pomogę odnaleźć to podłe dziewczysko.

Keegan w czarnym swetrze z rękawami podwiniętymi do łokci ucierał coś w moździerz. Breen nie umknął ponury wyraz jego zapadniętej ze zmęczenia twarzy.

– Zbierzemy się całą grupą i zobaczymy, może się uda.

– Co ma się udać? – zaciekawiała się Breen.

– Zakłęcie pomagające w poszukiwaniach – wyjaśniła Marg. – Bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać. My, Fey, z natury unikamy takich zaklęć i nauczyliśmy się je blokować, bo one pozbawiają wyboru. Owszem, mamy spisane zaklęcia, ale wyłącznie do znajdowania zagubionych przedmiotów.

– Napij się wina – odezwał się Keegan. – Od przyjazdu nie dałem ci chwili oddechu. Usiądź, odpocznij.

– Dobrze, a ty powiedz im, co już wiemy i dlaczego mnie tu ściągnęłaś.

– Ona coś zrobiła. – Breen poczuła nerwowy ucisk w żołądku. – Skrzywdziła kogoś.

– Dwunastoletniego chłopca. Usiądźmy. Ja też się napiję – dodał, nalewając wino do szklanicy. – Na małej farmie w pobliżu rzeki Shein, w środkowej części Talamh. Dzieciak nie poszedł do szkoły, pilnował dwóch młodszych braci, jeszcze maluchów, bo rodzice dołączyli do grupy poszukiwawczej.

Marco bez słowa odebrał od niego szklanice dla Marg i Breen.

– Rozbiła mu głowę odłamkiem skalnym i zabrała jego rzeczy. Zostawiła go krwawiącego i bez ubrania na zimnie. Wzięła konia, którego przyszedł nakarmić.

– Bardzo z nim... źle? – spytała Breen.

Keegan pokręcił głową.

– Uzdrawiacze robią, co w ich mocy. Według nich musiał tak leżeć z godzinę, zanim maluchy, czteroletni bliźniacy, poszli go szukać. Na szczęście mieli tyle rozumu, aby okryć brata derką. Jeden z Sidhe patrolujących teren zobaczył ich z góry, kiedy biegli do sąsiedniej wsi, i sfrunął na dół. Uzdrawiacze wprowadzili chłopca w zakłęty sen, bo uraz jest poważny i gojenie się może potrwać kilka godzin, jeżeli nie dni. Kto wie, czy w ogóle uda się go uratować. Ona wyraźnie kieruje się na zachód.

– Dolina, twój dom, twoja rodzina. – Breen z napięciem popatrzyła na Marg. – I moja.

– Zostali uprzedzeni – uspokoiła ją babka. – Dadzą sobie z nią radę. A Shana? To nie było działanie pod wpływem emocji czy zwykły atak zazdrości. To leży w jej charakterze. Doskonale się maskowała, a może sama nie do końca wiedziała, co w niej siedzi. Ona jest wcieleniem zła. Trzy razy próbowała dokonać zabójstwa.

– Godzinę albo i dłużej jedzie konno, a pogoda jej sprzyja. Ona pewnie trzyma się na koniu, jeździ brawurowo – odezwał się Keegan, obracając w dłoni nietkniętą szklanicy. – Okazała się bardziej przebiegła, niż sądziłem, a może po prostu sprzyja jej szczęście. Myślę, że koń szybko padnie i dalej będzie zmuszona uciekać pieszo.

– Zmarznięta i przemoczona, no nie? – wtrącił się Marco. – Głodna, zmęczona i na pewno przestraszona.

– To bez znaczenia – stwierdziła Breen. – Bo babcia ma rację. Ona jest czystym złem. Maski opadła, prawda wyszła na jaw. Czego potrzeba do stworzenia zakłęcia? Zapewne czegoś, co należy do niej.

– Mamy włosy ze szczotek i grzebieni – wyliczał Keegan. – Noszone ubrania oraz biżuterię. No i zostawiła na toaletce parę kropli krwi, widocznie tam mieszała eliksir miłosny. Wykorzystamy ją.

– Spiszemy i wykonamy zakłęcie. I znajdziemy ją – stwierdziła z przekonaniem Marg.

Breen objęła spojrzeniem płonące bliźniacze kominki, magiczne przyrządy i troje Widzących, wliczając ją, gotowych do pracy pod sufitem ozdobionym gwiazdami i dwoma księżycami Talamh.

Powinna sprostać zadaniu. Mogła w tym pomóc.

– Od czego zaczniemy?

Ona i Tarryn, która właśnie do nich dołączyła, zajęły się układaniem słów i intencji. Marg z Keeganem dobierali i mieszała składniki tynktury, destylowali olejki.

Skupiona, zafascynowana, a jednocześnie zdenerwowana Breen odkryła, że Marco od jakiegoś czasu z nimi nie było, dopiero gdy stanął w drzwiach z garnkiem.

– Przerwa obiadowa – obwieścił, a kobieta i mężczyzna, którzy przedtem w kuchni dyskutowali o deszczu, weszli za nim z chlebem na desce i naczyniami. Ostatnia do pracowni wsunęła się Brigid z wodą i karmą dla Fafla.

– Wiem, że macie kupę roboty – powiedział – ale wiedźmy i wieduni muszą jeść tak samo jak wszyscy.

– Marco ma rację – stwierdziła Tarryn, zanim Keegan zdążył zaprotestować. – Z pełnym żołądkiem praca będzie nam lepiej szła. Co nam przyniosłeś?

– Nazwałbym to potrawką z tego, co wpadło do garnka. Poszedłem do kuchni, a Maggie i Teag pozwolili mi się porządzić.

– To świetny kucharz – wtrąciła Maggie, gdy z Teagiem nakrywali do stołu. – Spróbowaliśmy tego, co mu wyszło. Danie jest smaczne i pożywne. Niech bogowie błogosławią temu, co tu robicie. Palimy świece za tamtego chłopca z doliny.

– Maggie, Teag, dziękuję wam. Brigid, tobie też już dziękuję. Siadajmy. – Tarryn gestem ręki zaprosiła ich do stołu. – Sprawdzimy, co tam spadło do garnka.

– Dobrze pachnie – pochwalił Keegan, opanowując zniecierpliwienie. – Mam nadzieję, że będzie tego więcej niż tylko na spróbowanie.

– Och, spokojnie wystarczy dla wszystkich, *taoiseachu* – powiedział z uśmiechem Teag. – Ale błyskawicznie zniknie. Marco, kuchnia jest twoja, kiedy tylko zechcesz.

Tarryn nałożyła im potrawki do misek.

– Marco, dziękujemy za posiłek.

– Chcę się przysłużyć najlepiej, jak umiem. Po jedzeniu wyprowadzę Fafla, żebyście spokojnie mogli wrócić do pracy. Czy ja dobrze słyszałem? Musicie to dokończyć na zewnątrz? Teag mówił, że zapowiada się kiepska pogoda.

– Najlepiej na zewnątrz – powiedział Keegan, podnosząc łyżkę do ust. – Uhm, pyszne. W takim razie zwołamy kowen z siedmiu – kontynuował. – I po siedmiu ze wszystkich plemion.

– Jak w Samhain.

– Tak. Chcę cię prosić, żebyś też wziął w tym udział.

Marco otworzył szeroko oczy.

– Ja?

– Tak, stworzymy siódmkę z tych z zewnątrz, spoza Fey. Możesz dołączyć, jeżeli chcesz.

– Jasne, pewnie. Ha! Co mam robić?

– Po prostu być z nami – wyjaśniła Tarryn.

– To łatwe. Już jestem.

\*

W głębi lasu stał dolmen, który służył za ołtarz do odprawiania podniosłych rytuałów i zaklęć wielkiej wagi. Wokół niego siedmiu Widzących rozpięło magiczny krąg w ostatniej godzinie dnia.

Powietrze było ostre, wiatr przenikał przez ubranie, a jednak Breen czuła wewnętrzny żar, kiedy wraz z innymi sprawowała rytuał. W pierwszej chwili zaskoczył ją widok Lorena, ale szybko się domyśliła, że Keegan chciał jego obecności jako świadectwa niewinności i wiary.

Kiedy kręgi Sidhe, Hybrydów, Trolli, Elfów, Syren i siedmiorga z innych światów formowały się wokół nich, wezwali cztery żywioły. Świece oraz pochodnie ożyły i rozproszyły mrok.

– Dla naszych wartości, dla pokoju chcemy odnaleźć tę, która ucieka przed sprawiedliwością. – Keegan, wypowiadając te słowa, wlał do kociołka deszczówkę zebraną w ciągu dnia. – Za złamanie Fundamentalnych Praw czeka ją kara.

– Tynktury dla bystrości oczu, czystości serca sporządzone przez syna i córkę mieszajcie się z wodą. – Marg wytrząsnęła zawartość dwóch flakoników do kociołka.

Teraz Tarryn wysunęła się do przodu.

– Niech ziola oraz kryształy mocy i światła przyniosą wiedzę i wizję.

Przygnębiony Loren uniosł dłonie ponad kociołkiem.

– Oto spinka, którą jej dałem – zaczął zdławionym głosem. – Gdybym mógł ją ocalić, zrobiłbym to.

Kolejny Widzący dorzucił rękawiczkę, następny szczotkę i grzebień wysadzone kamieniami.

– Tym zaklęciem siedmiu szuka Shany O’Loinsigh. Kiedy ołtarz zapłonie, siedmiu po siedmiu wymówi jej imię.

Pod kociołkiem strzeliły płomienie i objęły dolmen. Zawirowała strużka białego jak księżycy dymu.

– Usłyszcie o jej zbrodniach i pozwólcie wejrzeć w wizję, aby dokonana się sprawiedliwość. Krwią chciała mnie związać, pozbawić mnie woli. – Keegan dodał krew.

Tarryn wrzuciła jeszcze dwie garście kryształowych odłamków.

– Tym wazonem, teraz rozbitym, uderzyła przyjaciółkę, aby ukryć prawdę.

Breen usłyszała szum płomieni, gdy stanęła przy dolmenie i uniosła poczerwiałą nóż nad kociołkiem.

– Tym nożem próbowała pozbawić mnie życia. To ostrze wymierzyła w moje plecy.

Marg przyniosła kawałek skały z plamami zakrzepłej krwi.



– Tym kamieniem uderzyła dziecko i zostawiła je nieprzytomne. Przez jej bezduszną życie dziecka wisi na włosku.

Głos Keegana wzniósł się ku górze jak dym.

– Zjednoczeni w tej godzinie, łączymy siły dla Talamh i jego praw. Ukażcie wizję w płomieniach i dymie, niech dokona się sprawiedliwość.

I Breen – w płomieniach i dymie – zobaczyła.

W lesie na zachodzie, gdzie gruba warstwa mchu porasta pnie, a zielona rzeka wartko płynie, Shana prześliznęła się w cieniu między drzewami.

Dawno zostawiła konia. Nawet kopniakami nie udało się zmusić umęczonej klaczy choćby do truchtu. Sama odnalazła drogę, zapamiętała ją z jedynej wycieczki z Keeganem w dolinę. Gdzieś dalej powinien być wodospad, a w nim portal do księstwa Odrana. Niewątpliwie strzegą go strażę, musi podstępem je ominąć, jakimś fortelem otworzyć przeklęte przejście.

Jak dotąd szczęście jej sprzyjało.

Nie znaleźli jej tropiciele na koniach i smokach ani ścigające ją Elfy (zdrajcy!). Ach, chętnie poszukałaby pochodni i podpaliła ukochaną farmę Keegana, ale wołała nie ryzykować. Przekradając się za jej opłotkami, zobaczyła, że jego brat idiota trzyma tam straż, a ta skrzydlata dziwka, Morena, pilnuje Powitalnego Drzewa.

Przechytrzy ich wszystkich, wyprowadzi w pole.

Niestety, musiała odpocząć, odzyskać siły, pozbierać myśli. Och, bogowie, marzyła o ciepłym posiłku, miała dość surowych warzyw wykradanych z ogrodów.

Kolejny raz odwinęła zranioną dłoń. Ze łzami w oczach oglądała podbiegłe ropą pęcherze. Prostowanie palców poznaczonych krwistoczerwonymi pręgami sprawiało nieopisany ból.

Nachyliła się nad wodą i zanurzyła w niej dłoń, tłumiąc jęk bólu i ulgi.

– Biedactwo! Co za ohydne oparzenie na takiej delikatnej skórze – usłyszała.

Odwróciła się, gotowa uciekać. Stojąca za nią kobieta uniosła ręce.

– Zostań – nakazała.

I Shana znieruchomiała.

– Shano, nie dopilnowałam, kiedy uciekłaś, znikłaś mi z oczu i musiałam cię na nowo odszukać. Jesteś sprytna. Przyznam, że sprytniejsza, niż podejrzewałam.

Krwistoczerwone włosy kobiety opadały idealnymi falami poza ramiona. Wspaniałą suknię w kolorze dojrzałych śliwek okrywała złocista peleryna. W jej uszach, na szyi, na nadgarstkach i palcach migotały drogie kamienie.

Shana, mimo strachu, z zazdrością patrzyła na jej biżuterię.

– Kim jesteś?

– Kimś, kto zostanie twoją najdroższą przyjaciółką. To jak, chcesz, żebyśmy wyleczyła ci dłoń? Nie ruszaj się, a zaraz się nią zajmę. Rzuć się do ucieczki, a dopilnuję, aby ci, którzy cię tropią, szybko cię znaleźli, bo dotąd krzyżowałam im szyki. – Uśmiech kobiety stał się drapieżny. – Chyba nie myślisz, że udałoby ci się pokonać taki kawał drogi bez pomocy, co?

– Dlaczego miałabyś mi pomagać?

– Bo mam wrażenie, że możemy sobie wzajemnie pomóc. Wstań, nie ruszaj się i wyciągnij rękę przed siebie.

Nareszcie mogła poruszyć nogami i posłusznie spełniła polecenie.

– Ech, brzydko to wygląda, prawda? – Kobieta zaczęła przesuwając dłonią nad ręką Shany. Ból stopniowo słabł, zniknęło pulsowanie.

Uszczęśliwiona, przymknęła oczy.

Gdy je z powrotem otworzyła, na dłoni już nie było pęcherzy ani czerwonych plam z czarną obwódką spalonej skóry. Został jedynie wypukły ślad w kształcie rękojęści noża.

– Mam bliznę.

– Widzę – warknęła kobieta, wpatrując się w dłoń oczyma błyszczącymi ze złości. – Zbyt dużo czasu upłynęło od oparzenia, będziesz musiała żyć z tą blizną. Jeżeli ci to przeszkadza, noś rękawiczkę. A teraz pójdziesz ze mną.

– Dokąd? Kim jesteś?

– Dokąd? Tam, gdzie chcesz trafić. Jestem Yseult i od dawna cię obserwuję. Liczyłam, że usidlisz *taoiseacha*, niestety, tak się nie stało, ale... nadal możesz nam się przydać.

– Znam to imię. Jesteś wiedźmą Odrana. Jak się tutaj dostałaś, skoro portale są zamknięte

i pilnie strzeżone?

– Mam swoje sposoby, jednak gdy tutaj stoimy, moje możliwości się kurczą. Chcesz dołączyć do Odrana, ukarać tych, co cię zdradzili? Musisz się zdecydować, jeżeli mam cię tam przeprowadzić, i pamiętaj, że gdy portal się zamknie, nie będzie drogi odwrotu.

Stała w szorstkim ubraniu zdartym z tamtego chłopca, blizna szpeciła dłoń, żołądek zwijał się z głodu.

– Chcę, żeby za to zapłacili. Pragnę zemsty.

– Więc chodź ze mną, tylko się pospiesz. Zostało zaledwie parę chwil.

Yseult uniosła spódnicę i ruszyła w stronę wodospadu. Biegąca za nią Shana zobaczyła czterech strażników.

– Śpią – uspokoiła ją Yseult. – Jednak za chwilę się obudzą.

– Dlaczego ich nie załatwiłaś? Mogłaś ich zabić.

– Śmierć zostawia ślad. W przeciwieństwie do Odrana i całej reszty mogę swobodnie przechodzić przez portal i dopóki ci, tutaj, o tym nie wiedzą, niewiele mogą mi zrobić.

– Uważaj, teraz.

Zarzuciła pelerynę na ramiona Shany, owinęła ją i wskoczyły do rzeki.

Światło zamigotało na powierzchni z początku jasnej, a po chwili pociemniałej wody.

## Rozdział 23

Za plecami Breen rozległ się cichy płacz, a właściwie nie płacz, odgłos rozpaczliwej wyrywającej się z bijącego serca.

Nie musiała się oglądać, żeby wiedzieć, że to była matka Shany, bo jej też żal ścisnął serce.

Tarryn położyła dłoń na ramieniu stojącego obok Lorena.

– Musimy zamknąć krąg, chłopcze. Już nie możesz pomóc Shanie.

– Poczekajcie. Widzę. A wy? To nie drzwi – mówiła dalej Breen. – I nie okno. Jakby... wyłom. Wąski, o wyszczerbionych krawędziach. Pod wodospadem. Nie w nim, tylko pod spodem. Widzicie?

– Nie. – Marg wzięła ją za rękę. – Co widzisz?

– Woda zawirowała, wyłom się zasklepił. Krawędzie o mało nie przycięły dołu peleryny. Tamte dwie po drugiej stronie walczą, żeby wypłynąć na powierzchnię. Zakłęcie słabnie. Dwie wróżki, nie, cztery, wskoczyły do wody, chciały te dwie wyciągnąć. Wypływają, ciężko dysząc. Krew barwi wodę. Nie ich. Jedna z tamtych potrzebowała krwi do otworzenia wyłomu. Pod wodospadem, głęboko pod nim. Nie przez wodospad. Jeszcze nie. Na razie nie.

– Zamykamy krąg.

Po wszystkim Keegan podszedł do rodziców Shany.

– Wasza rozpacz jest moją rozpaczą.

A potem zwrócił się do Lorena.

– Twój smutek jest moim smutkiem. Nie znajduję słów pocieszenia. Ona dokonała wyboru. – Popatrzył na matkę, a ona przytaknęła mu głową.

– Chodźcie ze mną. – Tarryn zwróciła się łagodnie do rodziców Shany. Otoczyła ramieniem płaczącą kobietę. – Gwen, kochana, chodź. Uwinie, idziemy. Lorenie, dołącz do nas. Zbierajmy się z tego zimniska.

– Ta rana nigdy się nie zagoi – powiedział cicho Keegan. Skinął na Briana. – Poślij sokoły. Odwołaj poszukiwania. Daj znać mojemu bratu, że wracam na zachód, pomoże mi zapieczętować wyłom. Marg, przykro mi, że muszę cię prosić, abyś ze mną wracała, przecież dopiero przyjechałaś.

– Pojadę, oczywiście, że pojadę. Keeganie, ona była stracona, jeszcze zanim poszła za Yseult. Właśnie dlatego za nią poszła.

– Wiem, bardzo dobrze to wiem.

– Jadę z tobą – powiedziała stanowczo Breen. – Mogę pomóc. Widziałam, którędy przeszły.

– Dobrze – zgodził się Keegan. – Spakuj się szybko, weź tylko niezbędne rzeczy. Marco jutro zabierze resztę ze sobą.

– Jutro? No... jasne. Nie ma problemu.

– Mam mnóstwo spraw i mało czasu. Bądź gotowa – rzucił do Breen. – Za pół godziny.

Odszedł energicznym krokiem. Po drodze zwoływał ludzi i wydawał rozkazy.

– Taka robota *taoiseacha* – skomentował Marco i głośno sapnął. – Rany, ona już definitywnie przeszła na ciemną stronę.

– Teraz jest w jego władzy. Należy do Odrana. Nie wiem, czy naprawdę rozumie, co to znaczy. Czy do końca zdaje sobie sprawę, co zrobiła.

– Wybrała – stwierdziła obojętnie Marg. – Chodźcie, pomogę wam się pakować, bo sama mam niewiele bagażu.

Breen zebrała zapisane kartki oraz notatki, wzięła kulę i pozostałe magiczne przyrządy, a resztę rzeczy przeniosła do Marco.

– Mam coś dla ciebie. – Wręczyła Marg świecznik z ametystu.

– Och, śliczny i jak zmyślnie wykonany. Zapewnia duchowy ład i pokój. Cudowny prezent. Gdzie na niego trafiłaś?

– W sklepie we wsi. Tamta kobieta nic za niego nie chciała, więc to jest również prezent od niej. Prosiła, żeby cię pozdrowić, mówiła, że może ją pamiętasz. Ninia Colconnan.

Marg się rozpromieniła.

– Oczywiście, że pamiętam. Co u niej? Jest w dobrym zdrowiu?

– Tak. A jej sklep jest fantastyczny. Robiła kocyk na drutach dla prawnuczki, która ma się wkrótce urodzić. Będzie dwunastą z prawnucząt, tak powiedziała.

– Jakie pełne, udane życie. Miło słyszeć. Mam nadzieję, że kiedy tu wrócę, znajdę czas, by ją odwiedzić. Ale teraz...

– Musimy się zbierać.

Wyszły na dwór i natychmiast przeszył je porywisty wiatr. Keegan i Fąfel czekali przy smokach.

– Dasz sobie radę? – Breen mocno objęła Marco.

– Mam to. – Pokazał bransoletę. – Uważaj na siebie, Breen, mówię serio. A ty pilnuj mojej najlepszej dziewczyny – zwrócił się do psa.

– Będę uważała. Obiecuję. Fąfel, idziemy. Do jutra! – zawołała, spiesząc do Keegana. – Jutro się zobaczymy!

Na polecenie Marg Fąfel wdrapał się na grzbiet jej smoka. Marco patrzył, jak Keegan podsadza Breen na Crogę. Z potężnym łopotem skrzydeł oba smoki wzbiły się w powietrze i zniknęły w ciemnościach nocy.

Brian otoczył go ramieniem.

– Nie martw się o nią.

– Rok temu bała się zamówić Ubera, a teraz lata na smoku.

– Ubera?

Marco zaśmiał się krótko.

– Taki serwis samochodowy. Kiedyś wyciągałem ją ze skorupy i już nie dałaby się tam wepchnąć.

– Masz prawo być dumny.

– Jestem. Ale boję się o nią. Zresztą o ciebie też.

Brian ujął w dłonie jego twarz i pocałował.

– Niepotrzebnie. Noszę twoją ochronę. Wejdzmy do środka. Pobądź ze mną. Za kilka godzin ruszamy na zachód.

\*

Lecieli w czerni nocy, przebijając się przez pędzone wiatrem chmury. W dole pod nimi spał świat, chociaż rzeki nadal płynęły, a trawy falowały. Breen widziała ciemne sylwetki gór i szeroki pas wzburzonego morza. Sowa, biała jak duch, zanurkowała z rozłożonymi skrzydłami w ciemną gęstwinę lasu.

Obok nich leciała Marg w pelerynie z kapturem, łopoczącej na wietrze. Trzymała przed sobą Fąfla. Pies siedział z oczami zamkniętymi z rozkoszy i uniesionymi uszami.

Dla niego to przygoda, pomyślała. A dla niej? Misja, bardzo istotna misja i musiała zachować spokój.

Żeby się wyciszyć, skupiła wzrok na widokach pod nimi, usiłowała ocenić, gdzie mniej więcej się znajdują. W nocy wszystko inaczej wyglądało ze smoczego grzbietu niż za dnia z wysokości końskiego siodła.

– Jak bardzo może zaszkodzić? – zapytała Breen, przekrzykując szum wiatru i skrzydeł. – Jakie szkody może wyrządzić Shana tobie i Talamh, teraz, kiedy jest u Odrana?

– Zna Stolicę, zamek i podzamcze. Wie, czym zajmuje się Rada, bo jej ojciec rozmawiał w domu o sprawach, o których zdecydowanie nie powinien mówić. Jeżeli uważnie słuchała, a zakładam, że tak było, zna nazwiska szpiegów i zwiadowców, ich bazy, strukturę. Bardzo dużo wie. I okazała się bardziej zdegenerowana i bezwzględna, niż przewidywałem.

– Naprawisz to. Zmienisz strukturę i strategię, przeniesiesz bazy.

– Tak, już to robimy. Ona całe życie spędziła w otoczeniu polityków, zna nastroje panujące w Stolicy. Jest cennym nabytkiem dla Odrana. Widzę, dlaczego wybrała go za cenę zdrady rodziny i przyjaciół. On może jej dać to, czego najbardziej pragnie.

– Władzę, pozycję. I wolną rękę, żeby mogła robić, co jej się żywnie podoba, nie bacząc, kto na tym ucierpi.

– I jeszcze nadzieję na twoją i moją krew. Mojej rodziny i być może wszystkich Talamhczy-

ków, bo ją odrzucili.

– Zakochana w sobie, nie rozumie, że jeśli nie spełni oczekiwań Odrana albo już nie będzie mu potrzebna, zabije ją bez wahania. Nie wiem, czy...

Poczuła niepokój w sercu, w żołądku, w umyśle. A potem lekkie drżenie gdzieś w trzewiach. Ono było uśpione razem z otaczającym ją światem. A teraz się budziło.

W niej, wokół niej.

Ocknęło się. Wyczekiwało.

Z mroku wyłonił się zarys wysokiej góry, jej szczyt ginął w otaczających go chmurach.

– A tam? – Wskazała górę. – Co to za miejsce?

– Nead na Dragain. Najwyższy szczyt Talamh. Smocze Gniazdo.

– Hugh... Tak, to Hugh pokazał mi go w drodze do Stolicy. Ale nie wydawał się taki... Inaczej teraz wygląda.

– Jest noc – skwitował. – Legenda głosi, że najpierw pojawiła się skała i czekała na oblu-bieńca. A kiedy się pojawił, ten szczyt wyrósł, zanim jeszcze pierwsi Fey zaczęli chodzić po ziemi i pływać po morzach.

Croga i Dilis równocześnie głośno zaryczały.

– Porozumiewają się ze swoimi siostrami i braćmi – wyjaśnił Keegan. – Część z nich odpoczywa w Smoczym Gnieździe, część odbywa gody, a część po prostu czeka w gotowości. Jeżeli w pogodny dzień spojrzysz na północny wschód, to z doliny też zobaczysz Nead na Dragain. Tak jak z drogi do Stolicy.

– Pamiętam, że zwróciłam na niego uwagę, zanim jeszcze Hugh mi go pokazał. Z góry inaczej wygląda. – Gdy oddalili się od szczytu, niepokój ją opuścił, ustąpiło drżenie. – Wszystko stąd wygląda inaczej. Nawet nie wiem, gdzie jesteśmy.

– Już blisko doliny. Tam dołączą do nas Sedric i Mahon i być może Aisling, o ile znajdzie kogoś do dzieci.

Już gdy to mówił, Breen zobaczyła sunącego ku nim smoka z rozpiętymi wielkimi skrzydłami, z Harkenem i Aisling na grzbiecie. Poświata księżycy odbijała się w jego połyskliwych łuskach i zabarwiała je na kolor srebrzystoniebieski. Z zamaszystym machnięciem ogonem błyskawicznie wykonał zwrot i zrównał się ze smokami Keegana i Marg.

– Szybko przylecieliście! – zawołał Harken.

– Wiatr nam sprzyjał.

– Mahon wcześniej poleciał. Zabrał ze sobą Morenę, była akurat u mnie i absolutnie nie zgodziła się zostać. Zdążyli sprawdzić portal i wrócić. Ciszka. Kompletnie nic się nie dzieje. Teraz polecili po Sedrica.

– W takim razie nie każmy im czekać.

Skręcili lekko na południe i Breen zaczęła rozpoznawać – albo przynajmniej tak jej się zdawało – wzgórza, pola i las. A kiedy światełka skrzatów rozbłysły nad wypieszczonym ogrodem Finoli i Seamusa, już wiedziała, gdzie jest.

Czuła rosnące napięcie, ale nie próbowała z nim walczyć. Zdenerwowanie, a nawet lekki strach jest lepszy od przesadnej pewności siebie.

Nie bardzo wiedziała, czego od niej oczekują.

Usłyszała wodospad, zanim go zobaczyła. Smoki, zwinne jak jastrzębie, zawisły nisko nad duktem między gęsto rosnącymi drzewami.

Keegan zeskoczył na ziemię.

– Skacz – nakazał Breen. – Śmiało! – dorzucił, kiedy się zawahała.

Ze wstrzymanym oddechem zsunęła się ze smoczego grzbieta. Keegan złapał ją w powietrzu i niezbyt szarmancko postawił na ziemi.

– Aisling jest w zaawansowanej ciąży. Och... – bąknęła zaskoczona, bo akurat dobił do nich Mahon z Aisling na rękach.

Smoki, uwolnione od brzemienia, wleciały ponad korony drzew i zataczały koła na tle ciemnego nieba.

Z lasu wyszedł jelen i zamienił się w człowieka.

– Czysto, *taoiseachu*.

– Pilnuj, Dak. Nie chcemy, żeby ktoś nam przeszkodził.

Podeksycytowany Fąfel biegał w koło jak szalony.

– Jak to zrobimy? – zapytała Breen, wydłużając krok, żeby nadążyć za Keeganem. – Jakie mam zadanie?

– Moc, światło, zamiar – wyliczył. – Połączone razem. Wiesz, gdzie szukać wylomu?

– Tak. Pod wodospadem, blisko tamtej strony. Stąd, z góry, go nie widzę, ale...

– Nie będziesz na górze... – nie zdążył dokończyć, bo Morena z gracją sfrunęła na ścieżkę przed nimi i złożyła skrzydła.

– Wszędzie czysto – zameldowała. – Miałaś ekscytującą podróż – zwróciła się do Breen.

– Żebyś wiedziała. – Kątem oka zobaczyła, jak Sedric składa pocałunek na dłoni Marg.

– Chętnie więcej o tym usłyszę, ale teraz, Keeganie, gdzie mnie wyślesz?

– Na przeciwległy brzeg. Ty z Mahonem obok Aisling i Marg. Sedric zajmie pozycję w wodospadzie. W odpowiednim czasie podam szczegóły. Sedricu, co do tamtego dziecka – dziękuję za sprawnie wykonane zadanie.

– Bystra dziewczynka z tej małej Dilly, a zadanie jeszcze nie jest doprowadzone do końca.

– Zapieczętujemy wylom, a gdy następnym razem Yseult wybierze się po kogoś z naszych, spotka ją rozczarowanie, gdy zacznie się topić. – Keegan uściśnął dłoń Sedrica. – Nasze światło. Jedno światło.

– Jedno światło.

– Nasz dar, jeden dar – wyrecytował, a wtedy Mahon z Moreną przenieśli Aisling i Marg na przeciwległy brzeg.

– Jeden dar.

Po tym zawołaniu z lasu wyszedł Dak, a za nim pozostali strażnicy i obstawili wodospad.

– Nasz cel. Jeden cel.

– Jeden cel. – Mahon przeleciał nad rzeką, otoczył ramieniem Sedrica i przeniósł go do wodospadu. Kiedy wrócił z powrotem na brzeg, Sedric stał jak posąg w huczącej wodzie.

– Pilnuje wylomu – wyjaśnił Harken, ściągając wysokie buty. – Wyczuje, jeżeli ktoś będzie próbował tamtędy przejść.

Musi potwornie marznąć, pomyślała Breen. Spływała na niego kaskada wody, a on stał jak na zielonej łące, wystawiając dłonie na słoneczne promienie.

– A ja co mam robić? – spytała.

Keegan obejrzał się.

– Rozbieraj się.

– Przepraszam. Co takiego?

– W namokniętych butach i ubraniu przegrasz z nurtem rzeki. – Tak jak wcześniej Harken, ściągnął buty, zrzucił kurtkę i rozpiął spodnie. – Rozbieraj się. Wejdiesz pod wodę ze mną i Harkenem, wskażesz nam wylom. Jedno światło, jeden dar, jeden cel. Zamkniemy go i zapieczętujemy.

Zdjął tunikę i czekał nagi i zniecierpliwiony.

– Pospiesz się.

– Tak jest wygodniej – tłumaczył jej Harken. Najwyraźniej czuł się swobodnie nago przy kilkunastu osobach. – No i bezpieczniej – dodał łagodnie.

– Do cholery! – Keegan szybkim gestem nadgarstka zrzucił z niej rzeczy.

– Jezu! – Upokorzona, zasłoniła się ramionami. – Nie możesz tak...

– Woda zakryje twój wstyd niewieści, ale będzie piorunsko zimna. – I rozwiązał problem: chwycił ją w pól i razem z nią wskoczył do wody.

Krzyknęłyby, gdyby kontakt z lodowatą wodą nie odciął jej dopływu powietrza do płuc.

Harken zamknął dłoń na jej ramieniu.

– Wciągnij oddech najgłębiej, jak możesz, bo będziesz go potrzebować. Musisz nam pokazać to, czego nie widzimy.

– Nie zastanawiaj się, nie zadawaj pytań – dodał Keegan. – Kieruj się intuicją. Jedno światło, jeden dar, jeden cel. Teraz wstrzymaj oddech. Schodzimy pod wodę.

Nie miała wyboru, zanurkowała, ściągnięta w dół przez Keegana. O dziwo, wszystko wyraźnie widziała w zdumiewająco zielonej wodzie. Trzymana za ręce przez Keegana i Harkena, płynęła w stronę wodospadu.

Jej serce zwolniło, opuściła ją panika, już nie myślała o wydostaniu się na powierzchnię. Przeważyły rosnące w niej emocje. Złożyły się na nie cicha odwaga Sedrica, niezłomna wiara babki, światło słane przez wszystkich stojących na brzegu. Wspólny cel mężczyzn, którzy trzymali

ją za rękę.

Widziała skały, muliste dno i kotłującą się wodę przed sobą. Przywołała obraz Yseult ciągnącej Shanę do wyłomu – czarnej szczeliny w zielono-białej kipieli, zabarwionej sączącą się ze środka krwią.

Wyszarpnęła dłonie i podpłynęła do czarnej jak atrament i cienkiej jak nitka rysy. Wyciągnęła przed siebie ręce, a wtedy światło, dar i cel stały się jednością. Odpychał ją prąd. Zmagała się z nim razem z pomocą Keegana i Harkena.

Światło, jedno światło, czyste i białe, świecące jak słońce, objęło szczelinę, ogrzewając wokół niej wodę.

Widziała, jak pęknięcie zwęża się opornie centymetr po centymetrze. Czuła, że ciemne siły próbują rozewrzeć je niczym paszczę. Na myśl o wciągniętym tamtędy śmiertelnie przerażonym dziecku wstąpiła w nią furia.

Żar zapłonął z sykiem, zaskwierczał i szczelina zasklepiła się z cichym szumem.

Młóciła wodę ramionami i nogami, aż wypłynęła na powierzchnię. Łapczywie chwyciła hausty powietrza. Keegan chciał ją objąć, podtrzymać, lecz zanim zdążyła pomyśleć, furia, która jeszcze w niej nie ostygła, wprawiła w ruch pięść. Cios wylądował na jego szczęce.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedziała.

Harken wdrapał się na brzeg, podniósł z ziemi pelerynę, pomógł jej wydostać się z wody i okrył ją peleryną.

– Breen, skarbie, już po wszystkim.

– Dziękuję – powiedziała, usiłując zachować resztki godności.

– Załatwione! – Keegan wyskoczył na brzeg. – Dziękuję wam wszystkim. Nadal będziemy tutaj trzymać straż i pilnować całego Talamh.

Wciągnął spodnie, a Breen mozolnie ubierała się pod peleryną. Dokończyła dopiero, gdy on wydawał rozkazy.

Kiedy Mahon sprowadził Sedrica na brzeg, podeszła do niego i mocno go objęła, żeby wysuszyć i ogrzać.

– Widziałam cię po stronie Odrana z tamtą dziewczynką. Widziałam, jak ją odnalazłeś i uratowałeś. Oni byli tak blisko, niemal deptali ci po piętach. Nie widziałam ich, ale wyczuwałam, tak jak ty.

– Mała była bardzo dzielna i pytała o ciebie. O tę boginię z czerwonymi włosami, która rozerwała łańcuchy.

– Nie wiem, jak to zrobiłam.

– Dowiesz się. Jaki dumny byłby z ciebie twój ojciec.

– Widziałam, jak walczyłeś na południu. Jakże dumny byłby z ciebie twój syn.

Wzruszony, nachylił się i pocałował ją w policzek.

– To dla mnie bardzo wiele znaczy. Twoje słowa są miodem na moje serce. Odpocznij teraz, a jutro będą czekały na ciebie cytrynowe ciasteczka. A tutaj już ktoś na ciebie czeka – dodał, gładząc Fafla. – Wskoczył za tobą do wody. Nie dla zabawy. On cię pilnował.

Sedric uśmiechnął się do Marg ponad głową Breen.

– Zbierajmy się, zawołaj swojego szalonego smoka, czas dać odpocząć starym kościom.

– Za chwilę. – Podeszła do nich i przytuliła wnuczkę. – Nie bądź dla niego zbyt surowa – szepnęła. – Na jego barkach spoczywa ogromny ciężar. Ale trochę sobie na nim poużywaj – dodała z uśmiechem, wypuszczając ją z objęć. – Bo zasłużył.

– Pogadamy jutro – powiedziała jej Morena. – Aisling chętnie do nas dołączy, bo ona, tak samo jak ja, serdecznie nie znosiła Shany. I zobacz, okazało się, że miałyśmy rację. Ale jakoś nie czuję satysfakcji. Mahon musi ją teraz zabrać do domu. Do jutra nic nowego się nie pojawi. Piękny cios – rzuciła na odchodnym, dołączając do Harkena i jego smoka.

Widok bladego sińca na zuchwie Keegana zrekompensował jej z nawiązką pulsowanie w kostkach dłoni.

Stanął przed nią i przez chwilę patrzył z uwagą.

– Zabiorę cię na farmę albo do Marg, albo... – odezwał się po chwili.

– Nie, do mojej chaty. Chcę się wyspać we własnym łóżku, potrzebuję spokoju i ciszy.

– Jak wolisz.

Gdy Croga opadł na ziemię, wspięła się na jego grzbiet, nie czekając na pomoc Keegana.

Zachwycony Fąfel natychmiast wdrapał się za nią. Ostatni dosiadł go Keegan. Lecieli ponad drzewami i polami. Breen widziała, jak smoki babci i Harkena, oba bez jeźdźców, odbiły na północ.

Przez portal w Powitalnym Drzewie przelecieli do Irlandii i tam trafili na mżawkę.

Breen zdziwiło zachowanie Fąfla, bo kiedy zeskoczył z Crogi, zamiast pobiec prosto do zatoki, usiadł przed chatą i cierpliwie czekał. Moment później spotkało ją kolejne zaskoczenie. Liczyła, że Keegan natychmiast odleci, a tymczasem on również zsiadł.

– Porozmawiajmy chwilę. Może nie na deszczu – dodał, kiedy nie zareagowała. – O ile to ci nie sprawia różnicy.

Marzyła o cieplej herbacie, płonąącym kominku i czasie dla siebie. Bez słowa otworzyła drzwi.

Wniósł zapomnianą przez nią torbę i postawił na stole.

– Nie będę cię przeproszał, bo w życiu się tyle nie kajałem, co przed tobą w ostatnich miesiącach.

Powiesiła kurtkę, przeszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę.

– Nie było czasu na subtelności, jeśli chodzi o tamto.

– Subtelności. – Starła się zachować spokój i obojętność, ale czuła, że lada moment może wybuchnąć. – Mówisz o rozebraniu mnie do naga bez mojej zgody na oczach ponad dziesiątki świadków?

– Nie byli tam po to, żeby się gapić na ciebie, a czas naglił. Cholera! – W paru krokach znalazł się przy kominku, machnięciem dłonią rozpalił ogień i wrócił do niej. – Na miłość bogów, to tylko ciało. Każdy je ma.

Sięgnęła ze słoja herbatnik dla Fąfla. Pies stał między nimi, spoglądając to na Keegana, to na swoją panią. Tym razem zamiast natychmiast pochłonąć smakołyk, zamknął go w pysku.

– Naprawdę?

– Tak, nie było innego wyjścia. W tych wszystkich ciuchach poszłabyś na dno jak kamień. Skąd mogłem wiedzieć, jak duża jest ta wyrwa? Ile nam zajmie uszczelnienie? Zanim dotarliśmy nad wodospad, Yseult miała czas się przygotować. Mogła spróbować ponownie przejść na naszą stronę, a wtedy musiałbym bardziej zaangażować już i tak zmęczonych Marg, Sedrica i moją ciężarną siostrę.

Wolałaby, żeby w tym, co mówił, nie było sensu, jednak musiała przyznać mu rację.

– Mogłeś mi wyjaśnić, na czym polega moje zadanie w drodze nad wodospad.

– Nie pomyślałem. Kobieta, z którą sypiałem, próbowała zamordować kobietę, z którą sypiam, a potem uciekła do Odrana. Jej ojciec, porządny i mądry człowiek, zrezygnował z uczestnictwa w Radzie i nie umiem znaleźć argumentów, które skłoniłyby go do zmiany zdania. Jej matka nie podniesie się po tym ciosie do końca życia, a kochający ją mąż, mój doradca, w tej chwili jest dla mnie bezużyteczny i tak zostanie, dopóki nie otrząśnie się po tej tragedii, o ile w ogóle kiedykolwiek do tego dojdzie.

Mówiąc, krążył po pokoju jak uwięziony w klatce.

– W przeszłości ona była dla mnie jakoś tam ważna. Przynajmniej na tyle, abym z nią był. A będąc z nią, w pewnym sensie miałem w tym wszystkim swój udział. Nie obwiniam się – zaznaczył, zanim zdążyła zaprotestować. – Ale taka jest prawda. Jakoś nie przyszło mi na myśl, aby cię ostrzec, że wchodząc do wody ubrana, pójdiesz na dno jak pieprzony kamień. Na dobrą sprawę sama powinnaś to przewidzieć.

– Pewnie bym przewidziała, gdybyś raczył mnie uprzedzić, że w ogóle wejdę do wody.

– A jak, do licha, mielibyśmy inaczej uszczelnić ten wyłom?

– Nie wiem.

– Chcesz, żebym cię przeprosił za to, że przypisywałem ci większą umiejętność logicznego rozumowania, niż masz w rzeczywistości?

Rozmyślnie powoli nalała sobie herbaty do kubka.

– W świecie, w którym w tej chwili się znajdujemy i gdzie spędziłam większość życia, mamy bardziej intymne podejście do nagości. Czy powinnam przeprosić cię za to, że przypisywałam ci większą wiedzę o tych sprawach, niż masz w rzeczywistości?

– Po tej stronie byłem raz w takim miejscu, gdzie kobieta na scenie zdjęła... – Urwał, widząc, że się pogrąża. – Ech, mniejsza z tym. To jest wojna, Breen. Chciałbym mieć pokój, a także czas i możliwości zapewnienia ci odpowiedniej przestrzeni, ale, niestety, nie mam. Dziś zrobiliśmy



coś, czego bez ciebie nie udałoby się osiągnąć. Potrzebuję cię. My ciebie potrzebujemy.

Zmiękła na tyle, aby wystawić drugi kubek.

– Oczekujesz, że nauczę się walczyć na pięści, posługiwać się mieczem, łukiem i używać mojego daru. I staram się.

Nalała mu herbaty i podała kubek.

– A ja oczekuję, że nauczysz się, jak wyjaśniać mi pewne sprawy, zamiast podejmować za mnie decyzje. Sporo ci opowiedziałam o swoim życiu i powinieneś rozumieć, co czuję, gdy coś mi się narzuca wbrew mojej woli.

– Uczciwie stawiasz sprawę. Tak, uczciwie – powtórzył. – Zapewne jestem w tym tak kiepski jak ty w strzelaniu z łuku.

Fąfel zadowolony, że kryzys minął, wyciągnął się z herbatnikiem przed kominkiem.

Keegan skosztował herbaty i westchnął.

– Dobra – pochwalił. – Nie dałoby się do niej dolać trochę whiskey?

Poszła do kredensu po butelkę. Keegan wyciągnął rękę z kubkiem, wlała mu kapkę, a on dał znak, żeby dolała więcej.

– Dzięki. – Pociągnął jeden długi łyk, a potem drugi. – Nie wiem, czy w nocy, a właściwie w tym, co z niej zostało, może wydarzyć się coś nieprzewidzianego, ale wolę nie ryzykować i nie zostawiać cię samej. Nie mówię o dzieleniu łóża.

Znowu wypił kilka łyków. Obserwowała go znad krawędzi swojego kubka.

– Szczerze mówiąc, jestem skonany i raczej żadne z nas nie miałyby z tego przyjemności. Mogę się przespać w pokoju Marco albo tutaj, na kanapie. Potrzebuję gwarancji, że nic ci nie grozi, a nie zasnę, dopóki nie będę pewien, że jesteś bezpieczna.

Rzeczywiście ma prawo czuć się wyczerpany, pomyślała, i nie tylko fizycznie, ale w każdy inny sposób. Jakoś nie wzięła tego pod uwagę.

– Możesz spać w moim łóżku. Ale spać – zaznaczyła z naciskiem.

Odstawiła kubek, wyjęła z torby notatki i położyła na stole.

– Daj, ja zaniosę ją na górę – odezwał się Keegan, gdy zakładała pasek torby na ramię.

Kiwnęła głową i skręciła na schody.

– Chodź, Fąfel. Czas spać.

Pies wyprzedził ją na schodach i zanim weszła do sypialni, już zdążył zwinąć się na posłaniu. Rozpaliła kominek, wyjęła kosmetyczkę z torby przyniesionej przez Keegana i zamknęła się w łazience.

Kiedy wróciła i Keegan, i pies twardo spali.

Przebrała się w T-shirt i flanelowe spodnie, zmniejszyła ogień do pełgających płomyków i wyciągnęła się obok Keegana. Pomyślała, że ten jej nowy mężczyzna jest potwornie skomplikowany. Zasnęła, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki.

## Rozdział 24

Leżała w łóżku sama. Obudziły ją refleksy słońca na szybach. Spojrzała na zegar; ósma z minutami. Dawno minęła pora, o której normalnie wstawała.

Z drugiej strony nie miała pojęcia, o której poszła spać.

Wstała, wzięła kurtkę z kapturem i zeszła na dół rozejrzeć się za Fąflem.

Przez przeszkłone kuchenne drzwi zobaczyła go w zatoce. Keegan stał na brzegu i rzucał mu piłkę. Fąfel raz za razem wylawiał ją z wody albo z wyskoku łapał ją w powietrzu.

Podejrzewała, że mogli tak się bawić już jakiś czas.

Zaparzyła kawę, nałożyła delikatny makijaż, wyrzucając sobie próżność i głupotę, i dopiero wtedy wyszła na dwór, niosąc kubki z kawami.

– Prędej ręka ci odpadnie, nim on się zmęczy zabawą! – zawołała.

Keegan jeszcze raz z wymachem rzucił piłkę i ruszył w jej stronę.

– Zauważyłem. Nakarmiłem go, to proste, ale nie bardzo wiedziałem, jak uruchomić to urządzenie do kawy.

– Na szczęście ja wiem. – Podała mu kubek.

– Dzięki. Smakuje mi. Myślałem, żeby poprosić Seamusa, aby spróbował wyhodować kawę, bo jest prawdziwym czarodziejem w tych sprawach, ale u nas tradycyjnie pije się herbatę. Może wrócę do tego pomysłu, kiedy sprawy się uspokoją i zapanuje normalność.

– Nigdy cię nie pytałem, co planujesz na czas, kiedy sprawy się uspokoją i zapanuje normalność. Znaczy, co chciałbyś osiągnąć.

– Hmm, dbanie o wspólne dobro nigdy się nie kończy. Trzeba pilnować, aby prawo było przestrzegane, drogi czyste, a pomoc trafiała do potrzebujących, żeby prosperował handel w naszym świecie i z innymi światami. – Wzruszył ramionami. – Nie ma szans na uwolnienie się od choleralnej polityki. Przeczytałem te twoje kartki.

– Co?

– Nie powinnaś zostawiać ich na widoku, jeśli nie mają rzucać się w oczy. Podobało mi się.

– Niewiele napisałam w Stolicy.

– Ale spodobało mi się to, co widziałem. Styl jest barwny. Opisałaś zamek i wieś, bardzo dobrze oddając ich wygląd, zapach, nastrój. Ludzie, którzy nigdy nie byli w tych miejscach, łatwo je sobie wyobrażą.

– Dziękuję. Jest nadzieja.

– Już się nie złościsz jak wczoraj. – Fąfel, ociekając wodą, położył piłkę przed nogami Keegana, który podniósł ją i żeby go zadowolić, rzucił kolejny raz.

– Może nie.

– A ja już nie jestem taki zmęczony. Chętnie namówiłbym cię na powrót do łóżka, ale muszę lecieć do Stolicy.

– Mniej zła nie znaczy, że mam ochotę na seks z tobą.

– I tu byłaby przestrzeń na perswazję. – Wyciągnął rękę i nawinał pukiel jej włosów na palec. – Niestety, muszę lecieć, zająć się tym bałaganem. Kiedy wrócę, wyprostuję to, co jeszcze nie zostało naprawione, a jeśli wystarczy czasu, zabiorę cię na Crodze w takie jedno miejsce.

– Dokąd?

– Powiem ci w swoim czasie. – Podniósł piłkę. – Fąfel, ty chyba jesteś demonem w psiej skórze – zażartował i cierpliwie rzucił mu ją jeszcze raz. – Później przejdiesz do Talamh. Pewnie teraz chcesz popisać, mieć trochę czasu dla siebie, ale wrócisz dzisiaj?

– Tak.

– Może uda mi się z tobą zobaczyć. Marco powinien się zjawić przed zmierzchem. Albo wcześniej, jeżeli przyłeci z Brianem.

– Raczej spodziewałabym się go o zmierzchu.

– Ostatni raz – Keegan uprzedził Fąfla, znowu podnosząc piłkę. – Lepiej się postaraj.

Upozorował rzut, a Fąfel popędził do zatoki i natychmiast wrócił. Gdy powtórzył blef z piłką, zachwycony pies odpowiedział radosnym szczekaniem i wykręcił parę szalonych kółek.

Breen, obserwując tę zabawę, zastanawiała się, jaki Keegan był jako chłopiec, nim podniósł miecz z jeziora. Nim spadła na niego odpowiedzialność za losy światów.

– Czas na mnie – powiedział do Breen. – Muszę porozmawiać z Harkenem, potem polecę na wschód i sprawdzę, co słyhać przy wodospadzie. Widzisz... próbuję ci tłumaczyć.

– Tak, widzę. – Kiwnęła głową, z trudem powstrzymując uśmiech.

– No dobra. – Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. – Pocałuj mnie. Wyznam, że wiele mnie kosztowało, żeby nie zbudzić cię o świcie, kiedy leżałaś obok taka ciepła i kusząca.

– Może nie miałabym nic przeciwko temu.

– Teraz mi mówisz. Następnym razem będę pamiętał. Pocałuj mnie, Breen, bo lot na wschód będzie zimny.

Zaplotła mu ramiona na szyi, wsunęła palce we włosy. Testując swoją moc, niespiesznie musnęła wargami jego usta, patrząc mu w oczy. Przechyliła głowę i jeszcze raz delikatnie pocałowała. Uśmiechnęła się.

– Zostawiasz mnie niezaspokojonego – powiedział chrapliwie.

– Mogłabym. – To ta władza, pomyślała, o którą wcześniej siebie nie podejrzewała. – Ale...

– Lekko skubnęła zębami jego dolną wargę. – Nie. Pocałuj mnie, Keeganie – szepnęła i objęła wargami jego usta.

Czuła, jak przelewa się w nią jego płomienne pożądanie, oszołamia ją, budzi napięcie i ból.

– Długo nie musiałyś perswadować.

– Bogowie, oszczędźcie mnie. – Na moment przycisnęła czoło do jej czoła, wyprostował się i odsunął. Podał jej kubek. – Muszę lecieć.

Croga wylądował na plaży za jego plecami. Keegan odwrócił się, dosiadł go, obejrzał się na nią i po chwili już go nie było.

Breen uzupełniła blog, przy okazji sprawdziła swoje magiczne umiejętności, tworząc obrazy z pamięci. Wzgórza, most nad rzeką, Fąfla wskazującego do wody, Marco na koniu.

Zadowolona, wysłała e-mail do Sally i Derricka, napiła się coca-coli i usiadła do pracy. Słowa niekoniecznie płynęły potokiem, ale cieszyła się, naprawdę cieszyła, że nareszcie znalazła się przy swoim biurku, przed swoim laptopem, otoczona ciszą. A jutro, obiecała sobie, jutro wróci do ulubionej rutyny.

Pisała bez przerwy do popołudnia. Wreszcie stwierdziła, że czas wstać od biurka, wziąć prawdziwy prysznic i przebrać się z piżamy.

Czas wrócić do Talamh.

\*

Akurat gdy Breen wchodziła z Fąflem do lasu, Shana ocknęła się ze snu. Pamiętała jak przez mgłę, że się wykapała... a może ją wykapano? Ciepła, pachnąca woda. Jak senne marzenie, lecz czy to istotne, skoro wszystko dokoła jest takie ładne i miękkie?

Leżała w łóżku, pościel z satyny pieściła jej skórę. Na suficie płąsali i kopulowali namalowani bogowie, elfy i jakieś dziwne stwory, demony z kopytami przygrywały im na fletni Pana, a bestie z chytrymi oczami ucztowały na piersiach roześmianych Fey.

Wszystko budziło radość.

Komnata z draperiami z białego jedwabiu i połączanymi meblami była ze dwa razy większa od tamtej, którą dotąd zajmowała. Izdecydowanie bardziej wykwintna dzięki marmurowej posadzce oraz kryształowym żyrandolom.

Właśnie tak urządziłaby buduar, gdyby zajęła należne jej miejsce w komnatach przeznaczonych dla *taoiseacha*.

Wstała z łóża z wysokimi złożonymi kolumnienkami i rozgarnęła cienkie jak gaza zasłony z białego jedwabiu. Polana, a nie wsiowy torf, paliły się w marmurowym kominku z gzymsem obstawionym świeżymi kwiatami.

Rozsunęła zasłony i wystawiła twarz do słońca, ogarniając spojrzeniem spienione morze.

Tutaj zamiast wąskiego balkonu, gdzie ledwo mogła postawić stopy, miała szeroki taras z pnącym obsypanym kwiatami, wijącym się na balustradzie. Chciała wyjść na zewnątrz, jednak zniechęcona ostrym wiatrem, czym prędzej z powrotem zamknęła przeszkłone drzwi.

Ucieszył ja widok stojących rzędem na toaletce ładnych flakoników z ulubionymi perfumami i kremami. Nie zabrakło też kredek i pasteli, szczotek z miękkim włosiem oprawionych w złoto, grzebieni wysadzanych drogimi kamieniami i lustra w złotej ramie, w którym mogła podziwiać swoją urodę, siedząc na krześle obitym blad różowym aksamitem.

Otworzyła czterodrzwiową szafę i w pierwszej części znalazła suknie, gorsety ozdobione kamieniami i udrapowane spódnice z najprzedniejszych tkanin. Piszcząc z zachwytu, otwierała kolejne drzwi. Chusty, szale, futra, pantofle, trzewiki, sztyblety do konnej jazdy, buty z cholewkami. Wyrafinowana powabna bielizna, nocne koszule, peniuary z jedwabiu i satyny. W szufladach wyłożonych aksamitem znalazła bogato zdobioną biżuterię ze szlachetnymi kamieniami.

To wszystko rekompensowało tamte potworne przeżycia w czasie ucieczki z Talamh.

Dla zabawy założyła kolczyki z szafirami w kształcie gwiazd z diamentowymi łezkami i nasunęła na palce pierścionki, które najbardziej wpadły jej w oko.

Kiedy podziwiała upierścienione ręce, jej wzrok zatrzymał się na bliźnie we wnętrzu prawej dłoni. Już nie bolała, za to rana w jej sercu paliła żywym ogniem.

Zapłata. Któregoś dnia się zemści.

A dzisiaj, dzisiaj myślała wyłącznie o przyjemnościach. Kiedy przeszła do bawialni, spotkały ją kolejne urocze niespodzianki. Ledwie zdążyła się rozejrzeć, gdy ktoś zapukał czy raczej poskrobał w drzwi. Dumnie zadarła podbródek.

– Wejść.

Dziewczyna z włosami koloru słomy zwiniętymi w ciasny koczek u nasady szyi, ubrana w szarą workowatą sukienkę, wniosła tacę z pokornie spuszczoną głową.

– Przyniesłam śniadanie, panienko.

Shana wskazała stolik w pobliżu tarasowych drzwi. Dziewczyna bezzwłocznie przeszła przez bawialnię i zdjęła z tacy imbryk z herbatą, filiżankę, paterę z ciastkami i talerz z kopulastą pokrywą.

– Czy mam nalać herbaty, panienko?

– Oczywiście.

– Jestem Beryl, będę panience usługiwać, dokąd panienka będzie ze mnie zadowolona.

– Gdzie Yseult?

– Nie umiem powiedzieć, panienko.

– Chcę zobaczyć się z Odranem.

– Kazano mówić, że Odran, nasz pan i władca, przyśle po panienkę.

– Kiedy?

– Nie umiem powiedzieć, panienko.

– Jak dotąd nie jestem z ciebie zadowolona.

Dziewczyna na moment podniosła oczy i Shana zobaczyła w nich paniczny strach. Ten widok sprawił jej przyjemność.

– Idź, pościel łóżko i przygotuj mi tamtą suknię z niebieskiego aksamitu z mankietami i dołem ozdobionymi klejnotami, niebieskie botki z kozłej skóry ze złotymi obcasami i wybierz odpowiednią bieliznę.

Zadowolona z siebie, usiadła przy stoliku, podniosła pokrywę i zobaczyła idealny omlet i plaster wysmażonego na chrupko boczku.

Pomyślała o głodzie skręcającym jej kiszki w Talamh, o tym, jaka czuła się poniżona, gdy żywiła się brudnymi marchewkami i rzepą wyrwanymi z ziemi. Jadła powoli, delektując się każdym kęsem, i przy każdym kęsie wyobrażała sobie spektakularną zemstę.

\*

Gdy Breen przeszła przez przydrożny murek, Morena z Amiszem na ramieniu zawołała ją na farmę.

– Nareszcie!

– Późno się zebrałam. Idę do babci.

– W takim razie tam się spotkamy. Polecę po Aisling. Moja babcia już jest u Marg.

Nadal z jastrzębiem na ramieniu rozwinęła skrzydła i poszybowała w stronę chaty.

Rozbawiona Breen poszła dalej. Zaledwie kilka dni nie była w tej okolicy, a już zdążyła zatęsknić za spacerami tą drogą wzdłuż farm i pastwisk z owcami. Brakowało jej widoku Harkena,

orzającego pole pługiem zaprzężonym w konie, a także cichego muczenia krów oraz zapachu trawy i torfowego dymu, niesionych lekkim jesiennym wiatrem.

Truchtający rażno obok niej Fąfel też wydawał się zadowolony.

– Nie pasujemy do zamku, co?

Zeszła na skraj drogi, gdy usłyszała za plecami dudnienie drewnianych kół. Z tyłu na wozie siedziała trójka dzieci.

– Nie są w szkole? – zdziwiła się na głos. – Jaki to dzień? Zupełnie się pogubiłam.

Kawałek dalej natknęła się na gromadkę, którą w myślach ochrzciła Gangiem Sześciorga. Dzieciaki bawiły się na pobliskim polu w jakąś grę, która polegała na odbijaniu czerwonej piłki spłaszczonymi kijami.

– Nie ma dziś szkoły?! – zawołała do nich.

– Przecież jest sobota! – odrzyknęła Mina, wyraźnie liderka tej grupy. – Witamy z powrotem! – Pomachała do Breen.

– Miło wrócić w dolinę.

Jeden z chłopców zmienił się w żrebaka, porwał piłkę w pysk i zaczął z nią uciekać.

– Faul! – wrzasnęła Mina i z elfią szybkością rzuciła się za nim w pościg. – To faul!

Cudne, pomyślała Breen, ruszając przed siebie. I takie radośnie proste. Te dzieciaki bawią się w sobotnie popołudnie, tak samo jak dzieci w każdym innym miejscu.

A przynajmniej powinny się bawić.

Skręciła na ścieżkę do chaty Marg. Nie mogła się nadziwić, że mimo chłodu u babci ciągle kwitły kwiaty. Niebieskie drzwi zastała otwarte, bo jej się spodziewano. Bo była mile widzianym gościem.

W chacie ogień trzaskał w kominku, w powietrzu unosił się zapach świeżego chleba i czegoś słodkiego.

Breen usłyszała perlisty śmiech Finoli. Marg i jej najbliższa przyjaciółka stały przy kuchennym blacie. Wróżka i czarownica, obie roześmiane. Marg wyłożyła z pieca na metalową kratkę okrągły bochen chleba z chrupiącą skórką.

– No to ja mu na to: Seamus, jeżeli twój tyłek nie jest odpowiednio rozgrzany, nie licz, że położę na nim moje zimne stopy. A on nic, tylko przetacza się i... Och, popatrz, jest Breen.

– Nie dowiem się, co było dalej? – zapytała Breen, wpadając w otwarte ramiona Finoli.

– Dalej było to, co zwykle dzieje się w nocy, gdy mężczyzna wtacza się na ciebie. – Znowu się roześmiała z figlarnymi iskierkami w niebieskich oczach.

– I dlatego nasza Fi jest dzisiaj taka radosna – dokończyła Marg.

– A pewnie. No i jak tam, kochanie, co u ciebie? – Poglądziła Breen po głowie. – Dobrze cię widzieć w dolinie całą i zdrową. Jaka ty byłaś dzielna!

– Nie wiem, czy dzielna, ale cieszę się, że wróciłam. Przyjdą Morena i Aisling.

– Spodziewałam się ich i posłałam Sedrica na wieś po maślanek do sodowego chleba. Zrobił też dżem i upiekł cytrynowe ciasteczka. Oczywiście – dodała, sięgając słój – nie mogliśmy zapomnieć o takim dobrym psie.

– Gdzie Sedric?

– Wyszedł, zostawiając kuchnię kobietom, jak każdy rozsądny mężczyzna.

– Był niesamowity wczoraj wieczorem. Wyobrażam sobie, ile musiało go to kosztować.

– Jest zdolny do takich wyczynów, ale powiem ci, że spał jak kłoda, bez żadnych przetaczanek.

Finola parsknęła śmiechem.

– Ech tam, zawsze jest kolejny wieczór. Marg, nie sądzisz, że do naszych babskich pogaduszek przydałoby się wino?

– Pewnie. Trzymam butelkę musującego specjalnie na taki dzień.

– Zapewne od niedawna.

Marg tylko się uśmiechnęła.

– I tu się mylisz. Finolo, wyjmijmy tamte talerze na specjalne okazje.

– Chętnie pomogę – wtrąciła Breen. – Wiesz, Finolo, że poznałam twój syna? A właściwie jakby po raz drugi go poznałam, a także jego żonę, synów i ich żony. Okazało się, że jednak ich pamiętałam. Flynna i Sinead, Seamusa i Phelin. Pamięć wróciła, jak tylko ich zobaczyłam.

– Sinead przysłała sokoła z tą wiadomością. To dla niej wiele znaczyło. Ona bardzo cię

kochała.

– Wiem. Pamiętam, jak Flynn podrzucał mnie wysoko w górę, bo chciałam latać, a Sinead wplatała mi wstążki we włosy. Pamiętam tamtą noc, kiedy sprowadziliście mnie do domu po porwaniu przez Odrana...

Breen składała kolorowe serwetki w wachlarze.

– Co szczególnie utkwiło ci w pamięci? – spytała Marg.

– Moja matka trzęsała się i płakała. Przeraziła mnie. Oczywiście to nie jej wina, że mnie wystraszyła. A ty, Finolo, objęłaś ją i próbowałaś uspokoić. Mnie i Morenę wzięła na kolana Sinead.

Zamilkła na chwilę, skupiona na obrazach przesuających się przed oczami.

– Musiała wtedy bardzo się bać. Jej mąż walczył na wojnie. Ale wiem, że udzielił mi się jej spokój. Byli tam też jej synowie. Wtedy jeszcze chłopcy. I ona opowiedziała nam bajkę o małym smoku, dziewczynce i wielkim skarbie. Nie pamiętam, o co w tej bajce chodziło, ale do dziś mam w uszach jej głos. Taki kojący. A Keegan, och, zapomniałam, Keegan też tam był, siedział z boku i patrzył na mnie. Po prostu mnie obserwował. Zasnąłam na kolanach Sinead, trzymając Morenę za rękę.

– Ona jest taką matką z powołania – zauważyła Finola. – Zdarzają się takie kobiety.

– Moja nie była. Ale nie mam do niej pretensji – stwierdziła Breen. – Dla niej tamta noc musiała być straszna. Chyba wtedy w niej pękło to, co już było nadwątlone. Ona mnie kocha na swój sposób. W miarę ograniczony. Ale mam tutaj was obie oraz Sinead, no i Sally w Filadelfii. To mnóstwo matek jak na jedną osobę.

Do chaty weszły Morena z Aisling. Ta pierwsza z niepokojem przyglądała się Finoli.

– A skąd te łzy w oczach?

– Wzruszyłam się. Aisling, gdzie twoje chłopaczki?

– Dzięki bogom, śpią. Pilnuje ich młody Liam O'Malley. Oby starczyło mu energii, kiedy te łobuziaki się pobudzą. Marg, jak stół ładnie wygląda.

– Mamy musujące wino do posiłku. Chyba kilka łyżek nie zaszkodzi twojemu maleństwu.

– Sądząc po tym, jak ona kopie – cały czas mówię „ona”, bo życzę sobie dziewczynkę – cała butelka nie byłaby w stanie jej zaszkodzić.

Zasiadły do chleba z dżemem, ciasteczek i tart. Marg rozlała wino.

– *Sláinte!* – Morena uniosła kieliszek. – Piję za nas wszystkie i każdą z osobna. A teraz chcę posłuchać. Breen, opowiadaj, jak było.

– Znam tylko fragmenty – dodała Aisling. – Od Mahona, który jak większość mężczyzn, niechętnie wdaje się w szczegóły, nawet jeżeli je pamięta. Przede wszystkim powiedz, czy Shana naprawdę próbowała wbić ci nóż w plecy?

– Naprawdę.

– A to piekielna zdzira. Nigdy jej nie lubiliśmy, prawda, Moreno?

– Ani trochę. Zawsze patrzyła na mnie, jakbym była czymś obrzydliwym, co przylepiło jej się do buta.

– Fakt. – Aisling pokiwała głową. – Tak było. Na mnie patrzyła z góry i uśmiechała się z wyższością królowej zwracającej się do wieśniaczki. No, ale powiedz, w co tym razem ona się wystroiła, bo zazwyczaj ma ładne rzeczy.

– Była w ciemnozielonej sukni z połyskliwego materiału, z dekoltem karo i nie ukrywała, że nie jestem tam mile widziana.

Breen zaczęła opowieść od wjazdu do Stolicy, opisała wrażenie, jakie zrobiły na niej zamek i wieś, potem przeszła do sceny na zamkowym dziedzińcu oraz wizyty Shany w jej komnacie. Gniewna reakcja słuchaczek świadczyła o ogromnym poparciu dla Breen.

Śmiała się, piła wino, chrupała ciasteczka i czuła się częścią czegoś istotnego.

Kręgu kobiet.

– Na tyle, na ile poznałam Briana, mam o nim dobre zdanie. – Morena szczerze posmarowała chleb masłem i dżemem. – Uważam, że pasuje do Marco.

– Na pewno im ulży, gdy to usłyszą, bo wyglądają na zakochanych. Marco bardzo przystojnie wyglądał na Powitaniu. Babciu, on prosił, abym podziękowała w jego imieniu za ubiór, który mu przysłałaś. A ja dziękuję za suknię. Nigdy nie miałam na sobie czegoś tak cudownego. Keegan

powiedział...

Wszystkie głowy skupiły się nad stołem.

– Co powiedział? – ponagliła ją Morena. – Nie każ nam czekać.

– Że jestem ubrana w gwiazdy i rzeczywiście tak się czułam.

– Bardzo poetycznie jak na niego – skwitowała Aisling, pogryzając ciasteczko. – Chciałabym obejrzeć tę suknię. Musi być boska.

– Bardzo się denerwowałam. Wszystko było tak inne od tego, co znam. Onieśmiał mnie splendor. Ale obecni – poza, wiecie, kim – traktowali mnie z sympatią. Ta rześcicie oświetlona sala bankietowa, bogata oprawa i uczta stanowiły ogromny kontrast z surowym protokołem Osądu i wruszająco podniosłym charakterem Odprowadzenia.

Nakryła dłonią rękę Marg.

– Nawet w takim krótkim czasie zatęskniłam za doliną, ale chciałam zobaczyć, na czym polega rola Keegana jako *taoiseacha*, jak funkcjonuje Stolica, czym żyją jej mieszkańcy.

Opowiedziała im o ataku Shany, gdy wyszła na dwór wyprowadzić Fafla.

– Znam jej rodziców – zaczęła ostrożnie Finola. – Co prawda niezbyt blisko, ale miałam okazję się z nimi zetknąć, gdy odwiedzali mojego syna, wnuków, ich partnerki i dzieci. Obserwowałam Shanę jako dziewczynkę, a później kobietę. Wydawało mi się, że zepsuło ją przesadne rozpieszczanie. A jednak musiało kryć się pod tym coś więcej.

– Potrafię sobie wyobrazić, że wykorzystywała... Lorena, tak on chyba ma na imię? – Morena pokręciła głową. – Nie znam go, bo nie obracałam się w kręgach Shany, gdy bywałam w Stolicy. Naturalnie, znam Kiarę, wszyscy ją znają. Potrafię nawet zrozumieć, że bez skrupułów wykorzystywała otoczenie, a nawet, że złamała Fundamentalne Prawo, sporządzając eliksir miłosny. Ale nie mieści mi się w głowie, że mogła posunąć się do próby zabójstwa. Chyba z niechęci do niej nie dostrzegałam jej najgorszych cech.

– Bardzo ją poparzyłaś? – spytała Aisling.

Breen potrząsnęła głową.

– Nie wiem, bo natychmiast uciekła. Ale sądząc po krzyku...

– I dobrze, nie ukrywam. Mam nadzieję, że spaliłaś jej dłoń aż do kości. Tego chłopca, którego zraniła i zostawiła nieprzytomnego, już wybudzili ze śpiączki, ale nadal nie wiedzą, czy całkiem powróci do zdrowia.

– Tylko ktoś z gruntu zły może posunąć się do czegoś takiego. – Finola uzupełniła wino w kieliszkach. – Nie wiem, czego ona się spodziewa po Odranie, ale jedno jest pewne; na koniec spotka ją coś o wiele gorszego od poparzonej ręki. – Wreszcie się uśmiechnęła. – A nasza Breen jest znowu z nami i chętnie poznamy jej wersję zamykania portalu.

– Elegancko przyłożyła Keeganowi – wtrąciła Aisling.

– Piękny cios wyprowadzony z pasją. – Morena nadgryzła kolejne cytrynowe ciasteczko. – Należało mu się, nie powiem, chociaż trzeba pamiętać, że sprawa była pilna i liczyło się szybkie działanie.

– Co wytłumaczył mi po fakcie. Gdyby mnie uprzedził, pewnie bym... coś wymyśliła.

– Mężczyźni. – Morena oparła podbródek na dłoni. – Bywają wrzodem na tyłku. Im zazwyczaj się wydaje, że wszystko wiedzą najlepiej, a my mozolnie musimy im udowadniać, że jednak nie mają racji.

Zerknęła na Marg.

– Kochana, nie masz przypadkiem jeszcze jednej butelki tego musującego wina?

– Przekładam. Otwieramy.

\*

Shana kazała dziewczynie – nie próbowała nawet zapamiętać jej imienia – pomóc sobie przy ubieraniu. Jak dobrze i miło mieć kogoś, kto usługuje i bez dyskusji spełnia wszystkie polecenia.

Nie ufała umiejętnościom fryzjerskim dziewczyny, więc sama się uczesała. Tym razem zostawiła włosy rozpuszczone i założyła je za uszy, żeby wyeksponować kolczyki. Na szyję wybrała opaskę z kilku rzędów brylantów z dużym szafirowym zapięciem w kształcie kropli, pasującym do kolczyków.

Chętnie wyszłyby na dwór, rozejrzała się po okolicy, ale z tarasu zobaczyła, że skalistej

wyspy i klifów wrzynających się w morze pilnują demoniczne psy.

Czekała więc i czekała, coraz bardziej znudzona. Nudę powoli zastępowała irytacja. Kiedy już miała podejść do drzwi – nie zamierzała wychodzić na zewnątrz, choć psy na pewno nie włączą się po zamku – usłyszała pukanie.

Wyprostowała ramiona.

– Wejść.

Tym razem w drzwiach zamiast dziewczyny zobaczyła dwóch mężczyzn. Ich zimne spojrzenie i twarde wyraz twarzy podpowiadały, że najpewniej należeli do Sidhe.

– Pójdiesz z nami.

Nie podobał jej się ten ton.

– Dokąd?

– Odran chce cię widzieć. Nie każ mu czekać.

Przekrzywiła głowę, nieznacznie skinęła i podeszła do nich.

Na korytarzu mężczyźni stanęli po jej bokach. Niespecjalnie się tym przejęła, zaintrygowana widokiem ścian z czarnego szkła. Zajmowało ją podziwianie igrających tam świetlnych refleksów z pochodni i świec. Uznała ten widok za zdecydowanie bardziej imponujący od monotonii kamiennych ścian zamku w Stolicy.

Prowadzili ją na dół szerokimi schodami, które pod stopami zmieniały kolor z czarnego na złoty. Zachwycona, rozglądała się wokół siebie. Na czarnych ścianach migotały klejnoty. Promienie słońca i huk morza wpadały do środka przez wysokie okna. Na postumentach stały posągi satyrów, centaurów i syren. Zachłysnęła się z wrażenia, gdy gargulec z sykiem zeskoczył z cokołu i znikł.

Zeszli do przestronnego holu, z mozaikową posadzką przedstawiającą Odrana – widywała jego podobizny w książkach. Stał w czarnej szacie i trzymał w rękach kule – nie, nie kule, tylko światy.

Pod jego stopami walały się krwawe szczątki tych, których pokonał.

Ta mozaika obudziła w niej przerażenie i jednocześnie fascynację.

Zamkniętych drzwi pilnowało dwóch strażników – Elfów, tak jak ona – w czarnych napierśnikach. Obaj trzymali włócznie zakończone szpiczastymi główkami.

Drzwi otworzyły się przed nią, a eskortujący ją mężczyźni zatrzymali się tuż za progiem.

Sala tronowa, pomyślała. Niebawem okazała, z czarnymi ścianami wysadzonymi klejnotami i kryształami oraz złotą posadzką. Strugi światła padały na tron, również złoty, i siedzącą tam postać.

Złote włosy okalały nieziemsko przystojną twarz mężczyzny i opadały miękkimi falami poniżej ramion. Szare oczy przyglądały się jej z zaciekawieniem.

Postąpiła parę kroków na drżących nogach. On przywołał ją skinieniem ręki, unosząc kąciuki ust w uśmiechu.

Był ubrany na czarno, dopasowane spodnie opinały jego długie nogi, czarną tunikę ozdobił pas wysadzany drogimi kamieniami. Siedział w swobodnej pozie i czekał.

Obok tronu stała Yseult. Miała na sobie ciemnozieloną suknię z gorsetem przetykanym złotą nicią i powłóczystą spódnicą.

Prawdziwa piękność, pomyślała Shana, aczkolwiek posunięta w latach. Najwyższy czas ją zastąpić.

Gdy to się stanie, ona nie będzie stać przy tronie, zajmie miejsce u boku Odrana.

Patrząc mu w oczy, odwzajemniła uśmiech i opadła w dworskim dygu.

– Panie.

– Shana z Talamh – zaanonsowała ją Yseult. – Sprowadzona do ciebie, mój panie, mój królu, zgodnie z obietnicą.

Nie, pomyślała Shana, nie tak to ma wyglądać. Nadal w głębokim dygu, uniosła głowę.

– Przybyłam do ciebie, panie, z własnej woli. Wdzięczna Yseult za pomoc.

– Co cię sprowadza?

Na dźwięk jego melodyjnego głosu serce zatańczyło jej z radości.

– Żeby służyć ci, panie, najlepiej, jak umiem, a także zemścić się na tych, którzy mnie zdradzili.

– A więc przyświeca ci własny cel.

– Panie, zależnie od twojej woli, jestem twoim gościem albo więźniem. Jak mniemam, ty,



panie, i ja mamy ten sam cel.

Odpowiedział powolnym ruchem ręki.

– A jaki jest mój cel?

– Podbić Talamh albo go zniszczyć. Przejąć władzę nad innymi światami.

– Należysz do Talamh, nieprawdaż?

– Już nie.

– Masz rodzinę w Talamh.

– Ona dla mnie nic nie znaczy. – Rzeczywiście już nic do niej nie czuła. Oczy Odrana zdawały się ją hipnotyzować. – Jestem po twojej stronie.

– A z czym do mnie przychodzisz? – Długie palce bębniły w szerokie podłokietniki tronu. – Nie masz żadnego daru dla boga?

– Ofiaruję tobie, panie, siebie. Wszystko, co wiem. I siłę mojej nienawiści do tego, co zostałam za sobą.

Skinął dłonią i natychmiast podbiegła do niego służąca z pucharem. Powoli podniósł go do ust, a kobieta skłoniła się i czym prędzej wycofała.

– Nienawiść z czasem może ostygnąć.

– Moja nie ostygnie. – Wyciągnęła przed siebie rękę z blizną. – Panie, ona to zrobiła, twoja wnuczka, ta, którą pragniesz mieć. Naznaczyła mnie piętnem, moja nienawiść płonie tak, jak płonęło moje ciało. Panie, pragnę, żebyś pozbawił ją mocy, wiem, że ty też tego chcesz. Poświęcę wszystko, co mam, dla tego celu.

Dał znak, żeby podniosła się z dygu.

– Zobaczymy. Sprawdzimy, czy masz do zaoferowania coś więcej poza urodą i nienawiścią w sercu. O to nietrudno. Zobaczymy, czy okażesz się przydatna, i jeżeli się sprawdzisz, dostaniesz to, o co zabiegasz. A jeśli nie? – Wygiął usta w uśmiechu i napił się wina. – Zobacysz, że wyroki tutaj nie są tak łagodne jak w Talamh.

– Będę przydatna. Spełnię każde twoje życzenie. Zrobię wszystko, czego zażadasz.

– Zobaczymy. Przyślę po ciebie. A teraz odejdz i czekaj, aż cię wezwę.

Dygnęła i z drżącym sercem opuściła salę tronową. Prowadzący ją strażnicy znowu zajęli pozycję po bokach.

Drzwi się zamknęły.

Odran napił się wina.

– Zobaczymy – powtórzył i spojrzał na Yseult. – Może się przyda, a może okaże się zaledwie zabawką. Natomiast jej nienawiść jest szczerą.

– Ona chce rządzić z tobą, a nie pod tobą.

Parsknął śmiechem.

– Dostanie to, co zechce jej dać. Na razie, Yseult, podoba mi się, że ją dostarczyłaś. Dopilnuj, żeby wieczorem ją do mnie przyprowadzono.

## Rozdział 25

Breen w szampańskim nastroju, w zgodzie z sobą i całym światem, wracała na farmę z Moreną i Aisling.

– Kapitalny wieczór! Jak dobrze spotkać się w babskim gronie, pogadać przy winie i ciastkach i wyżyć się na tej Elfce psychopatce. A mówiłam wam, że kiedy weszłam, Finola opowiadała babci o nocy z twoim dziadkiem?

– Nie, nie mówiłaś. – Morena wzdrygnęła się, a Aisling parsknęła śmiechem. – Szczerze mówiąc, lepiej żebyś tego nie słyszała.

– To było słodkie. Finola i Marg się przyjaźnią. Ja też mam przyjaciółki. Czy miałabyś coś przeciwko, gdybym sypiała z twoim bratem?

– Absolutnie nie.

– To dobrze. Świetnie. Bo chętnie znowu zaciągnęłabym go do łóżka. Jeżeli ten Odran ma mnie dopaść i wyssać do cna, przynajmniej wcześniej nacieszę się dobrym seksem.

– W ogóle nie mów takich rzeczy. – Aisling potrząsnęła Breen za ramię. – Nie dopuścimy do tego.

– Bo jesteśmy przyjaciółkami. I skopimy mu dupę.

– Tak jest – potwierdziła Morena. – I tej dziwce Shanie też.

– Naprawdę mam na to ochotę. I wcale mi nie przeszkadza, że to tak brutalnie brzmi. Mamy ocalić światy, czy tak?

– Musimy. – Aisling potarła dłonią bok brzucha.

– Kopie? Mogę...

– Pewnie. – Wzięła rękę Breen i przycisnęła ją do brzucha.

Życie. Światło. Energia. Obietnica.

– Rany! Niesamowite!

– Wierzga prawie bez przerwy, nie mówiąc o nocy, kiedy marzę tylko o tym, żeby się wyspać. Nigdy nie miałaś okazji tego poczuć?

– Nie, skąd. Owszem znałam parę kobiet w ciąży, ale jakoś niezręcznie było o coś takiego poprosić. Hej, zobaczcie, Marco! Marco wrócił.

Zawołała go, machając rękami, a on odwzajemnił powitanie. Obaj z Brianem czyścili konie na padoku.

– Kto by pomyślał, że gej z Filadelfii znajdzie się w Talamh i zakocha się w latającym na smoku Sidhe? Szkoda, że Sally nie może go zobaczyć.

– Może kiedyś Marco weźmie Briana do Sally.

Breen, zachwycona tym pomysłem, uśmiechnęła się szeroko do Moreny.

– Byłoby cudownie.

Fąfel wyrwał do przodu przywitać przybyłych, a potem popędził do Mab, dzieci Aisling i pilnującego ich nastolatka. Chłopcy natychmiast powalili Fąfla na ziemię i wskoczyli mu na grzbiet.

– Liam, udało ci się jakoś okiełznać tych dwóch rozbójników?

– Musiałem trochę powalczyć, ale w końcu wygrałem. Nie, szczerze mówiąc, dobrze nam szło, no i zjedliśmy wszystkie pierniki do ostatniego okruszka.

– Po to je upiekłam.

– Nie idź! – Finian uczepił się nóg Liama. – Zostań i pobaw się jeszcze z nami.

– Przyjdę innym razem, a teraz muszę zmykać. I słuchajcie waszej mamy, piraci, bo inaczej wyrzucę was za burtę.

– Juhu! – krzyknął Kavan.

Liam, śmiejąc się, zmienił się z nastolatka w młodego jelenia i pocwałował przez pole do lasu.

Chłopcy natychmiast przybiegli do Aisling i jeden przez drugiego opowiadali o zabawie

w piratów i morskich grabieżach.

– Mam moją rękawicę – oznajmił Finian, odczepiając ją od paska. – Mogę poćwiczyć z Amiszem?

Morena obejrzała się na jastrzębia siedzącego na murku.

– Chyba ma ochotę trochę polatać. Gdzie Harken?

– Pojechał z Keeganem i tatą. Wrócili, a potem znowu wyjechali. Tata mówił, że zdążą na kolację. Mogę teraz poćwiczyć?

– Nałóż rękawicę. Aisling, zabiorę chłopców na jakiś czas.

– Dobrze. Pójdę do kuchni, przygotuję kolację dla wszystkich. Breen, ściągnij tu Marco i Briana, zjecie z nami.

– Dzięki, ale niedługo musimy wracać.

– Jak wolisz. Moreno, przyslij chłopców z powrotem, gdy już będziesz miała ich dość.

– Nie omieszka.

Morena zniknęła z dziećmi, a Breen spotkała się z Marco w połowie drogi na padoku.

– Jak ci się jechało z powrotem? Nie uwierzysz, co ja miałam za noc! Za to dzień fantastycznie się udał.

Przekrzywił głowę i uśmiechnięty, posłał jej badawcze spojrzenie.

– Trochę się wypilo, co?

– Tak i było super. Mam ci tyle do opowiadania. Brian zostaje czy musi wracać?

– Zostaje. Przemieszczają więcej oddziałów w dolinę ze względu na tę historię z portalem w wodospadzie. Chcę cię zapytać, czy nie masz nic przeciwko temu, żeby on nocował w chacie, no wiesz, w moim pokoju, kiedy nie jest na służbie.

– No skąd! – Uścisnęła go i przytrzymała w objęciach. – To jest też twoja chata. Współspaczu!

– Oho, poszłaś w niezłe tango.

– Prawdopodobnie powinnam się zdrzemnąć, ale mi szkoda, bo cudownie się czuję. Mam wrażenie, że wszystko się ułoży, bo, kurde, jesteśmy cholernie dobrymi przyjaciółmi. A może tak działa ten szampan produkowany przez wróżki. Jedno z dwóch.

– Też muszę go spróbować. Breen piła szampana – oświecił Briana, gdy do nich dołączył.

– Sidhe czy Elfów?

– Sidhe.

– Najlepszy wybór. Obojętnie, ile wypijesz, następnego dnia budzisz się bez kaca.

– Cudownie. Walnęłam Keegana.

– Co? – Marco pociągnął ją do tyłu. – Kiedy? Czemu?

– Rozebrał mnie na oczach wszystkich i wrzucił do rzeki. Zapieczętowaliśmy szczelinę, no i mu przyłożyłam. To długa historia, ale już się nie gniewam, bo mi to wyjaśnił.

– Wiemy, że zamknęliście wyłom – zaczął Brian – bo spotkaliśmy tych, co tam byli, gdy wracali znad wodospadu. Chętnie posłucham całej historii, ale najpierw muszę sprawdzić, czy nie potrzebują mnie przy portalu.

– Wezmę twoje rzeczy – zaproponował Marco.

– Czy będzie w porządku, jeżeli spędzę trochę czasu w chacie?

– Jasne, w stu procentach. – Breen zagarnęła go w objęcia z radosnym westchnieniem. A potem wyszeptała mu do ucha: – Spróbuj go skrzywdzić, a zmienię cię w świniaka i upiekę na obiad.

Jego śmiech odbił się o jej policzek.

– Wierzę, że cię na to stać. – Przeniósł roziskrzone spojrzenie na Marco. – Masz w Breen Siobhan szaloną i budzącą postrach przyjaciółkę.

– Najlepszą, jak szampan Sidhe. Chodź, dziewczyno, zaprowadzę cię do domu.

– No, dobra. Och, patrzcie. Smoki. – Pokazała palcem Crogę sunącego pod niebem razem ze smokiem Harkena i trzymającym się nieco z boku smokiem z Mahonem na grzbiecie.

Mahon spikował na ziemię, porwał synów w ramiona i przy ich zachwyconych popiskiwaniami wykręcił z nimi kilka kółek.

Smok Harkena łagodnie osiadł przy Morenie.

– Chętnie bym się przeleciała. – Uszu Breen doszedł głos przyjaciółki.

– Muszę wydoić krowy, jeżeli mi pomożesz, to o zachodzie wybierzemy się na przejażdżkę

– odparł Harken.

– Uczciwy układ. – Morena podniosła rękę i pomachała Breen. – Do zobaczenia jutro!

Keegan po wylądowaniu skinął na Briana.

– Dobrze wyliczyłeś czas.

– To prawda. Mam dziś wartę przy portalu?

– Nie, wszystko już ustalone, ale jutro godzinę po świcie zmienisz Daka. Zostaniesz tam, dopóki nie przyślę umyślnego z nowym rozkazem albo sam się nie pojawię. Będziesz patrolował zachodni odcinek strefy. Noc masz wolną.

– Dzięki.

– Zajmę się gotowaniem. – Marco zatarł dłonie. – Co ty na to, Keeganie? Mam ochotę na kurczaka z kluskami.

– Miło, że proponujesz, ale...

Spojrzał na Breen, a ona wzruszyła ramionami.

– Nie mam nic przeciwko temu. Marco przyrządza najlepszego na świecie kurczaka z boskimi kluskami.

– W takim razie chętnie się stawię. Ale najpierw muszę na jakiś czas zabrać wam Breen.

– A ja wezmę się do gotowania i pomogę Brianowi ulokować. Mamy zabrać Fafla?

– Tak, jasne. – Nachyliła się i pogłaskała psa. – Pójdiesz do domu z Marco i Brianem. Wkrótce do was dołączę. – Podniosła wzrok na Marco. – On na pewno będzie chciał popływać.

– Nie ma problemu. Do zobaczenia po drugiej stronie!

– Gdzie mnie zabierasz? – zapytała, gdy mężczyźni pozbierali bagaże i wyszli na drogę z Fablem na czele. – Dokąd jedziemy?

– Mówiłem ci, że jeżeli dziś wystarczy czasu, zawiozę cię w jedno miejsce.

– Brian wracał na Boyu, koń jest zmęczony.

– Nie pojedziemy konno – zaczął i spojrzał na nią z uwagą. – Breen, ty jesteś zawiana?

– Może trochę szumi mi w głowie.

– Hmm, lot cię otrzeźwi.

– Polecimy na smoku? – Natychmiast się ożywiła. – Co za dzień! A teraz czeka mnie jeszcze przejażdżka na smoku i kurczak z kluskami. – Przekrzywiła głowę. – I może, jeśli będę w nastroju, wpuszczę cię do łóżka.

Wziął ją za rękę i przywołał Crogę.

– Co piłaś? Postaram się zdobyć tego więcej.

– Szampana Sidhe.

– Pewnie zajmie mi to dzień albo dwa. – Podsadził ją na Crogę i usiadł za nią.

– Nie powiedziałaś, dokąd lecimy.

– Sama zobaczysz, tak jak musisz i powinnaś.

Była w dobrym humorze, nie miała ochoty z nim się targować. Skupiła się na widokach.

– Dolina jest piękna, ale największe wrażenie robi na mnie farma. Ilekroć ją widzę, rozumiem, czemu mój ojciec tak ją kochał. Dlaczego ty ją kochasz. Mówi wszystko o pokoju, który z takim trudem starasz się utrzymać. Gdzie wcześniej mieszkałeś? Chyba cię o to jeszcze nie pytałam.

– W chacie, która jest teraz rodzinnym gniazdem Aisling, Mahona i chłopców.

– No oczywiście. Tam panuje taka sama atmosfera.

Gdy lecieli na zachód, zobaczyła znajome miejsca. Oczywiście chatę babci i kawałek dalej dom, w którym mieszkała Mina z rodziną. Dym leciał z komina, a na podwórku pranie powiewało na sznurze.

Na południowym zachodzie znajdowały się ruiny i grób ojca.

Gdy wznieśli się wysoko ponad czubki strzelistych drzew, wstrzymała oddech i poszukała dłoni Keegana, po czym mocno ją ścisnęła.

Klify, gładkie jak szkło, wznosiły się pionowo nad wzburzonym morzem. Fale uderzały o ich podnóże, rozpryskiwały się o skały, piasek oraz łupkowe bloki i spienione spływały do morza. Tylko po to, by po chwili wrócić z powrotem. Na szczytach klifów widziała pochylone wiatrem drzewa i czesane nim wysokie trawy.

– Ten widok zapiera dech. Widziałam go z ziemi, ale z góry sprawia jeszcze większe wrażenie.

– Głęboki Zachód.

– Widzieliśmy z Marco Klify Moheru w Irlandii. Są podobne do tych, tylko jeszcze szersze. Zobacz, podpływają łodzie.

– Łowi się tutaj ryby.

Znowu wstrzymała oddech, gdy z morza dobiegł do nich śpiew białego jak kreda wieloryba. Delfiny wyskakiwały z wody razem z Syrenami. Na szczycie jednego z klifów zobaczyła kamienny krąg, większy niż pozostałe, kilka kamiennych zabudowań i parę chat.

– Mamy tutaj coś, co ty nazwałabyś bazą. Teren do ćwiczeń. To nasze oczy Głębokiego Zachodu. Zarówno twój jak i mój ojciec szkolili tutaj ludzi.

– Poważnie? Ciebie też?

– Oni trenowali nas w dolinie. Ten skalny kolos to Taniec Płetwy, największe i podobno najstarsze spiętrzenie skał w Talamh. O wschodzie w letnie przesilenie słońce pada na królewską skałę – najwyższą – odbija się od niej i jaskrawobiałe rozlewa się po kolei po wszystkich skałach. I wtedy one śpiewają. Słychać, jak śpiewają melodię każdego tańca na świecie i każdy taniec na świecie im odpowiada. – Zatoczyli jeszcze jeden krąg. – W najdłuższy dzień ich śpiew i światło dociera do każdego zakątka Talamh.

– Wrażenie musi być niesamowite.

– Owszem. A w przesilenie zimowe podobnie dzieje się z księżycami. Ich światło jest bledsze i łagodniejsze w tę najdłuższą noc w roku. Ale też się rozlewa i kamienie znowu śpiewają.

Oparła się o niego.

– Dzięki, że mi to pokazałeś.

– Przywiozłem cię tu, żebyś przewietrzyła umysł. Prawdziwa podróż przed nami.

Zakładała, że będzie raczej krótka, bo słońce już chyliło się ku szczytom na zachodzie. Krótka czy długa, nieważne. Croga sunął między chmurami jak łódź po morzu, rzeński wiatr owiewał jej twarz. W dole pod nimi pofałdowaną, zieloną ziemię przecinały złociste wstęgi rzek i wijące się drogi. Przelecieli nad kopalniami Trolli, kotlinami pomiędzy nimi i lasem, nad którym gęstniał już mrok.

Teraz zobaczyła, że kierowali się ku szczytowi górującemu nad okolicą.

– Zobaczymy smoki? – Podekscytowana, obejrzała się na Keegana, odgarniając z twarzy włosy wzburzone przez wiatr. – Och, co za dzień! Dużo ich tam? Czujesz je? Bo ja tak. Przyciąga mnie ich siła.

Kiedy to powiedziała, Croga wydał głośny ryk. Smoki we wszystkich kolorach świata wzbily się w powietrze i odpowiedziały podobnym ryknięciem. Ławica barwnych klejnotów przykryła niebo, a ich moc, czysta siła, zadudniła niczym tysiąc bębnow.

– O Boże! Aż mnie zatkało z wrażenia. To niesamowite. I takie piękne.

Drgnęła i zaśmiała się z siebie, gdy ametystowy smok o szmaragdowych oczach zniemacka pojawił się tuż przy nich. Croga obrócił łeb w jego stronę i otarł się policzkiem o jego pysk.

– Ukochana Crogi – wytłumaczył Keegan. – One są długowieczne i dobierają się w pary na całe życie.

– Śliczna. Jak ma na imię?

– Banrion. Czyli „królowa”, bo jest w niej coś monarszego. Lata na niej Magda, która mieszka na Głębokim Zachodzie.

– Tyle ich tutaj. – Breen nie mogła się napatrzeć. – Wszystkie mają swoich jeźdźców?

– Nie, niektóre ich utraciły, bo my tak długo nie żyjemy. Tak jak one ze sobą, tak my z nimi też wiążemy się na całe życie. Część z nich jeszcze nie wybrała czy nie została wybrana, nie spotkała się ze swoim jeźdźcem. Stanie się tak dopiero, gdy taki ktoś się pojawi i dokona wyboru. Do tego czasu muszą czekać.

Breen zobaczyła groty w zboczu, niektóre bardzo duże, a także półki skalne, stopnie i spory płaskowyż.

– Smoczęta, niektóre naprawdę małe!

– Matka przez cały rok hoduje w sobie jaja. Od jednego do trzech, chociaż trzy to rzadkość. Potem je znosi, wysiaduje przez kwartał; podnosi się z gniazda jedynie na krótko, gdy zastąpi ją partner czy któraś z samic.

Młody smok, wielkości konia, czmychnął, skrzecząc, gdy Croga usiadł na płaskowyżu, lecz zaraz wrócił i krążył wokół nich, trzepocząc skrzydłami. Inny, srebrzysty, zawisł nad głową Breen,

przez chwilę wpatrywał się w nią niebieskimi oczami i odfrunął. Zachowują się zupełnie jak dzieci, pomyślała

– Są cudowne. Można ich dotykać?

– Pewnie, inaczej by się nie zbliżały.

Gromadziło się przy nich coraz więcej smocząt. Kiedy zsiadła z Crogi, wyciągnęła ręce i dotykała tych, które podfrwały do niej albo fikały koziołki czy odbijały się od ziemi i wirując, opadały.

– One się popisują! – Olśniło ją. – Wyglupiają. Czy któreś z nich są dziećmi Crogi?

Keegan wskazał szmaragdowoniebieskiego malca, który właśnie wślizgiwał się na ogon Crogi.

– Jego najmłodszy. Patrz, co teraz będzie.

Croga zarzucił ogonem i wysłał latorośl w powietrze. Malec, machając skrzydłami, z radosnym popiskiwaniem powoli opadał w dół, a Croga w tym czasie odleciał do swojej partnerki.

– Mają trójkę. Dwóch synów i córkę. Po jednym z lęgu. Ona teraz hoduje dwa jaja i jeżeli bogowie pozwolą, zniesie je szczęśliwie latem przyszłego roku.

– Ze wszystkich niesamowitych zjawisk, jakie tutaj widziałam, to jest najbardziej... frapujące. Zawsze miałam słabość do smoków. Przypuszczam, że zaczęła się w dzieciństwie, którego nie pamiętam. A teraz jestem tu i patrzę na nie wszystkie takie swobodne. Na dorosłe i na dzieci.

Znowu wyciągnęła przed siebie ręce. Smoczątko wielkości kota usiadło jej na ramieniu.

– Ej, ciężki jesteś! – Przytuliła go roześmiana.

– Ma jakieś kilka dni – ocenił Keegan. – Dopiero się wynurzył z groty gniazdowania. – Wskazał duży otwór w skale. – Tam bez zaproszenia nie wchodzimy.

– Zrozumiałe. – Gładziła maleństwo po bursztynowych łuskach. – Latem zeszłego roku, tuż przed wylotem do Irlandii, miałam dziwny sen. Szłam brzegiem rzeki po tej stronie wodospadu i zobaczyłam coś, co z początku wzięłam za stadko ptaków. Bardzo kolorowych i niezwykle szybkich. A to były młode smoki wielkości motyli. Wirowały w powietrzu, wznosiły się i opadały. I jeden usiadł mi na otwartej dłoni. Ale one nie rodzą się tak małe, prawda?

– Nie. Jednak sny odbiegają od rzeczywistości.

– Tak, ale ten wydawał się bardzo realny. Zupełnie jakbym dobrze знаła tego, który siedział mi na ręce. Nawet nadałam mu imię.

– Jak go nazwałaś?

– Lonrach. Hmm, dziwne. – Smoczątko w jej ramionach wyprężyło się i odleciało. – Skąd u mnie to słowo?

– Wiesz, co ono znaczy?

– Tak. To...

Serce Breen mocniej zabiło i zatrzepotało w nim drugie serce, dopasowując rytm. W jej umyśle obudził się drugi umysł.

Tęsknota.

Czerwony smok w złote cętki opadł na półkę skalną nad grota. Przyglądał się Breen, a krążące nad nim inne smoki tworzyły obręcz z drogocennych kamieni. Wypełniła ją miłość, spłynęła na nią siła, odnalazła dar. Serce zaszlochało ze szczęścia.

– To znaczy „brylant”, bo tym właśnie jesteś. – Ze łzami w oczach podeszła bliżej, a Keegan dyskretnie się wycofał. – Jesteś Lonrach. Jesteś mój. A ja jestem twoja.

Sfrunął do niej, odprowadzony przez krążące nad nim smoki. W jego oczach zobaczyła siebie i wiedziała, że on w swoich widział ją.

– Wybacz, że musiałeś tak długo czekać. – Dotknęła jego policzka, a potem przytuliła twarz. – Należysz do mnie. Ja należę do ciebie. Jesteśmy jednością. – Obejrzała się na Keegana. – Skąd wiedziałeś?

– Całe życie o nim wiem. Smok, który czeka na powrót dziecka Fey do domu. Na przebudzenie. Przemianę. W dzień Osądu wstałaś, przemówiłaś, zaszła w tobie przemiana.

– Nie rozumiem, naprawdę.

– Nie znałaś siebie, nie widziałaś światła w sobie, nie byłaś świadoma swojej mocy. Kiedy tu przylecieliśmy, zobaczyłaś to miejsce i wyczułaś swojego smoka. A więc wyczekiwanie skończone.

Przepełniona wzruszeniem, przycisnęła twarz do łusek gładkich jak szkło.

– Czułam bicie jego serca w swoim. Jakby było częścią mnie.

– Wiem.

– Czy tak samo jest z tobą i Crogą?

– Tak. Czują to wszyscy, których łączy ta więź. A teraz leć.

– Mogę? Och tak, tak. Mogę. Wiem jak. Nie mam siodła.

– Dostaniesz je, ale i bez niego sobie poradzisz.

– On chce lecieć. – Pijana ze szczęścia, znowu przytuliła policzek do Lonracha. – Czuję, że chce.

– Tym razem cię podsadzę – powiedział, stając za nią.

Obejrzała się.

– Tyle ci zawdzięczam.

– Wcale nie. Nie bądź niemądra.

– Nie jestem, to wszystko dzięki tobie. Wiedziałeś, przywiozłeś mnie, żebym mogła się z nim odnaleźć. Wiedziałeś, jak i kiedy to zrobić. – Wzięła jego twarz w dłonie i pocałowała go. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Wskakuj.

Oparła głowę na szyi smoka, a Keegan ją podsadził.

– Muszę z minutę sobie popłakać. On to rozumie.

– W porządku, jeśli musisz. Gotowa? – zapytał, kiedy się wyprostowała.

– Tak. – I pomyślała: dom. Po prostu przywołała obraz chaty.

Lonrach się wzniósł, a Keegan dosiadł Crogi i szybko do niego dołączył. Smoki porykiwały triumfalnie, przelatując nad Talamh. Owszem, czuła ekscytację, latając jako pasażerka, ale samotny lot był niesamowitym doświadczeniem. Miała wrażenie, że wyrosły jej skrzydła. Ostatnie promienie słońca powlekały chmury odcieniami złota, fioleto i różu. Nad łąkami i lasami ciszę zakłócał jedynie szelest wiatru.

W pewnej chwili zobaczyła Marg i Sedrica przed chatą. Stali z zadartymi głowami. A więc wiedzieli. Oczywiście, że tak. Roześmiana, wyrzuciła ramiona w górę, a Lonrach zakreślił efektowną pętlę, bo takie miała życzenie.

Zrównał się z nią Harken z Moreną jako pasażerką.

– Witaj, amazonko! – pozdrowił ją, po czym zatoczył łuk ku zachodzącemu słońcu.

We wsi ludzie wyszli na drogi. Patrzyli w górę, machali. Dostrzegła Aisling z Kavanem na biodrze i Mahona z Finianem na barana.

– Skąd wiedzieli?

– Wieści szybko się roznoszą. Nie co dzień jeździec i smok się wiążą i robią pierwszy przelet. Zrób im przyjemność, przeleć kilka razy nad wsią.

– Mogłabym latać bez końca.

Pomachała do Finoli i Seamusa. Opuszczając się nad ich domem, poczuła bujny zapach ogrodów, słyszała radosne okrzyki dzieci biegnących za smokiem drogą. Przed powrotem okrążyła jezioro, z którego bladozielonych wód nastoletni Keegan podjął miecz, oraz wzgórze i las.

– Najlepiej trzymaj się za mną, bo jeszcze nigdy nie przelatywałaś przez portal – poradził Keegan.

Zmierzchało i gęstniał mrok, kiedy Lonrach, naśladując Crogę, opuścił się przed Powitalnym Drzewem i przeniknął przez portal. Z Talamh do Irlandii, ponad lasem ku zatoce, gdzie jarzyły się złoto okna chaty.

Kiedy wylądowali, Breen kolejny raz przytuliła policzek do smoczego pyska.

Drzwi się otworzyły, Fąfel w podskokach wyskoczył na dwór i jak szalony biegał wkoło smoka. Lonrach ugiął przednie łapy, pies wspiął się na tylnych i polizał go po dużym majestatycznym łbie.

– Zostaną przyjaciółmi – orzekła Breen.

– Bo obaj są twoi, a ty jesteś ich.

Gdy Keegan zeskoczył z Crogi, akurat w drzwiach stanął Brian.

– Marco, koniec czekania. Chodź, coś zobaczysz!

Marco, wycierając ręce w ścierkę do naczyń, wyszedł przed drzwi.

– Właśnie miałem... Jasna dupa! Dziewczyno, co ty robisz na tej górze mięśni?

– Przedstawiam ci Lonracha. Jest mój.

Trzymając się w bezpiecznej odległości, zatknął ścierkę za pasek spodni.

– Poszłaś sobie kupić smoka?

– Nie. On po prostu jest mój. – Zsunęła się na ziemię, jedną ręką pogładziła smoka, a drugą psa. – On ci nigdy nie zrobi krzywdy.

– Co ty z nim zrobisz?

– Będę latała, szkoliła się i go kochała.

– Dziewczyno, kocham cię bardziej niż moją nową harfę, a to naprawdę bardzo wiele. Ale nigdy na coś takiego nie wsiądę.

Breen puściła oko do Briana i otoczyła Marco ramieniem.

– Twoje „nigdy” jest krótsze, niż myślisz.

– Nigdy nie ma końca. Gdzie on będzie spał?

– W Smoczym Gnieździe. Na szczycie góry. Wyczuje, kiedy będę go potrzebowała. A ja wyczuję, jak będę jemu potrzebna. Do jutra – powiedziała i cofnęła się kilka kroków.

Lonrach poderwał się równocześnie z Crogą. Wiatr wzbudzony trzepotem ich wielkich skrzydeł potargał jej włosy. Smoki przeleciały nad chatą akurat, gdy rozbłyły gwiazdy, wzbity się ponad drzewa i zniknęły za lasem.

– No tak. – Marco pokręcił głową. – Chyba wszystkim przyda się drink. Kurczak dochodzi, kluski prawie gotowe i przygotowałem deskę z przystawkami. Czas, bym wam zademonstrował moje talenty barmańskie.

– Czuję zapach piekącego się kurczaka, a drinka nie odmówię. – Keegan wszedł do chaty. – O co chodzi z tą deską?



## Rozdział 26

Gdy oni pałaszowali kurczaka z kluskami, Shana szła do prywatnych komnat Odrana.

Przysłał jej zaproszenie... rozkaz (wolała: zaproszenie) do stawienia się u niego na kolację. Przebrała się w bardziej efektowną suknię w odcieniu starego złota z odważnym głębokim dekoltem.

Obwiesiła się biżuterią i pozwoliła służącej, w miarę zręcznej, jak się okazało, uczesać włosy. Zdecydowała się na upiętą fryzurę, która korzystnie eksponowała jej rysy i... kolczyki.

Owszem, spodziewała się przepychu i luksusów w prywatnych apartamentach boga, lecz to, co tam zobaczyła, przeszło jej oczekiwania.

Czarne ściany lśniły jak lustra. Setki świec paliły się w kandelabrach z polerowanego złota. Po bokach huczącego kominka stały złote kolumny. Długa otomana i szerokie krzesła z wysokimi oparciami były obite złotym jedwabiem albo aksamitem. Jakim cudem jedna osoba mogła zgromadzić tyle złota?!

Na małych stolikach stały świeczniki zdobione klejnotami, okna wychodziły na czarne w tym czasie morze.

On siedział rozparty przy stole nakrytym dla dwóch osób. Stały tam złote talerze, kryształowe kielichy, półmiski z mięsiwem i leżały wykończone złotą nicią serwetki.

Shana zgięła się w głębokim ukłonie.

– Panie.

– Siadaj. – Skinął na służącą, której strój składał się jedynie z obroży na szyi, jak u psa, i dał znak, by naląła im wina.

– Kiedyś siedziała na tym samym miejscu, co ty teraz, bo mnie zadowalała. A potem przestała.

Kiedy podniósł kielich, Shana poszła w jego ślady.

– Panie, w takim razie moim zaszczycem i obowiązkiem będzie zadowalanie ciebie pod każdym względem i na wszelkie sposoby.

– Zobaczymy. Dzieliłaś łóżę z *taoiseachem*, dopóki się tobą nie znudził. Powiedz, co o nim wiesz. Interesują mnie te rzeczy, których kobieta dowiaduje się o mężczyźnie, który ją chędoży.

Przełknęła tę zniewagę, mimo że mocno ją dotknęła.

– Fey widzą w nim silnego wodza dzierżącego miecz i buławę, obrońcę Talamh i strażnika sprawiedliwości.

Pierścienie na palcach sypnęły iskrami, gdy zbył jej słowa niecierpliwym machnięciem ręki.

– Taka tradycja, nic odkrywczego.

– Oni oślepieni przez tradycję nie widzą jego słabości. – Umoczyła usta w winie. – Dowodzi z obowiązku, władanie go nie interesuje. Jego jedynym celem jest zapewnienie pokoju i bezpieczeństwa w Talamh. Gdy nie siedzi w Stolicy, spędza dni w dolinie, orząc pola i siejąc zboże ze swoim bratem, bo to go zadowala. On dowodzi, ale nie sprawuje rządów. – Wzruszyła ramionami. – To nie świadczy o sile. W innych światach ktoś z jego pozycją wydaje rozkazy. Władcy nie proszą i nie negocjują, oni sięgają po to, czego chcą. Władca, prawdziwy władca, rządzi z pasją, tak jak ty, panie. Sprawuje władzę absolutną. Tymczasem Keegan zasiada w Radzie i słucha paplaniny o bzdurach, zamiast myśleć o tym, jak Fey mogliby zdominować inne światy.

Usta Odrana wygięły się w nieznacznym uśmiechu.

– Za to ty o tym myślisz.

– Och, tak. A tamten świat, z którego kobieta twojej krwi przenosi się swobodnie do Talamh i z powrotem; ogromny świat pełen bogactw i najróżniejszych zasobów, zamieszkały przez ludzi niedysponujących magią? Można go podbić, o tak. – Pstryknęła placami. – Bez trudu. I wtedy to, co oni tam mają, należałoby do nas. Tymczasem my pętamy się głupimi prawami i kiepską tradycją, szanujemy wolność i wybór, jakby byli bogami.

– A ty nie.

– Ja nie.

Ponownie skinął na nagą kobietę.

– Obsłuż nas.

Kiedy podeszła i nakładała jedzenie najpierw na talerz Odrana, a potem Shany, on z uwagą przyglądał się swojej towarzysze.

– Nadal niewiele mi to mówi o *taoiseachu*.

– Panie, otóż to mówi, że on jest niewolnikiem obowiązku, gotowym za niego umrzeć, jak twój syn, który go usynowił. – Jedząc, nieznacznie wzruszyła ramionami. – Lubi książki i muzykę, większą przyjemność czerpie z igraszek w łożu niż ze sprawowania urzędu. Brakuje mu cierpliwości, szczególnie w kwestiach proceduralnych, i szybko wpada w gniew. Ale serce ma miękkie, za miękkie jak na prawdziwego władcę. Dźwiga na barkach ciężar odpowiedzialności, choć nie czerpie z tego należnych mu korzyści.

Szerokim gestem objęła otoczenie Odrana.

– Nie znajdziesz złota ani klejnotów w jego komnatach, w jego własnym zamku. Słyszałam, że udał się do Trolli w dolinie i dał kobiecie za złoto to, czego w zamian od niego zażądała, zamiast je po prostu zabrać. Pertraktował i pił z nimi. Z Trollami!

Skosztowała mięsa.

– W większości spraw radzi się matki, jakby był małym chłopcem, a nie dojrzałym mężczyzną. Jest waleczny. Panie, jeżeli ktoś będzie mówić inaczej, nazwij go kłamcą. Jest biegły w wojennym rzemiośle, chociaż nigdy nie widziałam, jak walczy. Natomiast zdarzało mi się go obserwować, gdy trenował innych. Jest zawzięty.

– Tak jak ten, który był przed nim, a jednak on, spłodzony przeze mnie, przebywa już u ich bladych bogów.

– Tak. Mówi się, że Eian O’Ceallaigh dobrze go wyuczył. Może wiedział, że chłopiec, którego trenuje, zajmie kiedyś jego miejsce. Keegan zna każde wzgórze, każdą dolinę, rzekę czy las w Talamh i pamięta imiona większości mieszkańców. To kolejna zaleta, którą zjednuje sobie poddanych. I dlatego są wobec niego lojalni.

– A ty nie.

Jadła powoli małymi kaskami.

– Nie. Gdybym zajęła miejsce jego matki, użyłabym wszelkich wpływów, żeby skłonić go do rezygnacji z bezcelowych tradycji. Lubiłam z nim się parzyć, ale miałam w tym swój cel. Gdyby tamta z innego świata nie pojawiła się, dopięłabym swego. A potem postarałabym się spotkać z tobą, panie, z nadzieją na przedyskutowanie wspólnych przedsięwzięć.

– Dlaczego sądzisz, że zechciałbym spotkać się z tobą i cokolwiek omawiać?

Z uśmiechem odrzuciła włosy do tyłu.

– Bo liczyłabym, że wykorzystując swoje moce czy donosy szpiegów, zobaczyłeś, że dzięki mnie zaszyły tam pewne zmiany. Zapewne spodobałyby ci się niektóre z nich. I być może doszedłbyś do wniosku, że z moją pomocą osiągniesz wszystko, co zechcesz. Panie, czy mogę dostać więcej wina?

Nie spuszczać oczu z Shany, kiwnął na służącą.

– A teraz siedzisz tutaj, przegrana, bez szansy na dokonanie jakichkolwiek zmian.

– Tak, to prawda. Ale nadal chętnie zdradzę, jak możesz osiągnąć to, na czym ci zależy, z nadzieją, że stosownie mnie nagrodzisz. Mój ojciec zasiada w Radzie – kontynuowała. – Co prawda matka nie interesowała się polityką, za to we mnie znalazł wdzięczną słuchaczkę. Znam plany ewentualnego ataku i obrony przed tobą, panie. Znam rozkład pomieszczeń w zamku jak własną kieszeń.

Przy drugim kielichu wina doszła do wniosku, że akurat tutaj zalotne miny i uwodzicielskie spojrzenia nie wchodzą w grę; nie w wypadku boga, który brał, co chciał i kiedy chciał. Jedyne wiedza mogła go przekonać.

I zrobi wszystko, żeby tak się stało.

– Znam tajemnice, o jakich ani twoi szpiegzy, ani zwiadowcy, ani nawet pojmani przez ciebie jeńcy nie mają pojęcia, bo one są dostępne jedynie dla wąskiego grona zaufanych. Mówię o rozmieszczeniu wszystkich portali w Talamh. Wiem, na które światy się otwierają i jak każdy z nich jest zabezpieczony. Wiem też o wielu, aczkolwiek nie wszystkich, portalach w innych światach.

– Przechodziłaś przez nie?

– Nie, panie. Chociaż to niedozwolone, ojciec zabawiał mnie wspólnym oglądaniem map. Panie, jeżeli to cię zadowoli, podzielenie się z tobą tą wiedzą będzie dla mnie zaszczytem.

– A w zamian?

– W zamian chciałabym, żeby ci, którzy obrócili się przeciwko mnie, zostali ukarani. Kiedy już wydrzesz całą moc z tej uzurpatorki, ucieszy mnie jej widok z taką obrożą, jaką ma twoja sługa.

– Bo odebrała ci *taoiseacha*.

– Jest tylko mężczyzną, a o mężczyznę nietrudno. Ona odebrała mi to, nad czym pracowałam, na co zasłużyłam. – Wyciągnęła ku niemu otwartą dłoń. – A to piętno mi o tym przypomina. Ona też będzie nosić takie pamiątki, jeżeli spełnisz moje życzenie.

– A co z *taoiseachem*?

Uniosła brwi.

– Jeżeli nie zginie na wojnie, skrócisz go o głowę. Dokonasz publicznej egzekucji Keegana i całej jego rodziny, żeby wszyscy w Talamh zobaczyli, kto nim rządzi.

Po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął.

– Lubisz smak krwi.

– Wolę wino, ale czym jest władza bez siły, czym jest siła bez przemocy? Dla utrzymania władzy nad światami niezbędny jest strach, a czasem przelew krwi.

– Jak rozumiem, za swoją pomoc chcesz tylko dostać to, co zostanie z tamtej dziewczyny, kiedy z nią skończę?

– No więc. – Śmiejąc się, kiwnęła dłonią z kielichem i rozkołysała wino. – Jeżeli będziesz ze mnie zadowolony, nie miałabym nic przeciwko, gdybyś przydzielił mi jakieś miejsce – och, niewielkie i bez większego znaczenia – gdzie mogłabym rządzić. Oczywiście, pod twoim zwierzchnictwem. A jeżeli będziesz ze mnie bardzo zadowolony, chciałabym zasiąść obok ciebie. Zlec z tobą w łóżu. Mogłabym dać ci synów, którymi rozporządzałyś według swej woli. Przez lata sączył ich moc.

– A jeżeli mnie rozczarujesz?

– Nie wierzę, że to możliwe. Panie, całe życie pragnęłam tego, co mam w tej chwili. Chciałam siedzieć z potężnym władcą, który ma wizję i potrafi przekuć ją w sukces. Który jest skłonny zaspokajać moją płochą skłonność do pięknych rzeczy. Za to jestem gotowa zrobić wszystko, żeby cię zadowolić.

– Więc zacznij już teraz. – Podniósł się. – Sprzątnij to – warknął do milczącej kobiety, zanim przeszedł do następnej komnaty.

Shana zabrała kielich ze sobą, bo wino bardzo jej smakowało.

Nawet nie próbowała stłumić westchnienia zachwytu na widok ogromnego łóża ze strzelistymi kolumnami ze złota. Minęła płonący kominek i obesła ogromną komnatę.

Widziała siebie – chciała siebie widzieć – jak siedzi przed długą toaletką z brylantowymi gałkami szuflad wielkości niemowlęcej piąstki, jak wyleguje się na sofie, wsparta na miękkich poduszkach. Jak stojąc na balkonie, ogarnia spojrzeniem swoje królestwo – oczywiście, będzie nim rządzić poprzez Odrana. To wszystko stanie się jej. Dopnie swego.

Za każdą cenę, nieważne jakim kosztem.

– Nikt nie ma tak wyrafinowanego gustu jak ty, panie. Ta komnata napęlnia mnie pokorą.

– Nie jesteś pokorna.

Dygnęła z uśmiechem.

– Już mnie rozumiesz. To dla mnie zaszczyt.

– Zdejmij szaty.

– Z ciebie czy ze mnie?

– Z siebie.

– W takim razie muszę prosić boga o pomoc, bo sama nie rozepnę haftek.

Odstawiła kielich na toaletkę, podeszła do niego, odwróciła się tyłem.

– Gdybyś mógł, panie.

Szarpnięciem rozdarł suknię na pół. Shana przestąpiła ponad skłębionym jedwabiem i kopnięciem odsunęła materiał na bok.

– Jaka siła! To mnie podnieca. Mnie jej brakuje, lecz jeśli pozwolisz... – Odwróciła się do niego w samej bieliźnie, którą z premedytacją wybrała na tę właśnie okazję i zaczęła rozpinać mu kaftan. – Podziwiam cię, Odranie, bogu ciemności. I chociaż mógłbyś mnie wziąć z moją zgodą czy wbrew woli, oddaję się tobie. Teraz i zawsze, wedle twojego życzenia.

Ach, cóż za piękno! – Przesunęła dłońmi po jego torsie o skórze gładszej, niż się spodzie-

wała, z małą blizną na wysokości serca. – Uroda i siła – wymruczała, gdy jej dłonie zbłądziły na zapięcie spodni. Uśmiechnęła się, czując, że już był twardy jak kamień, jak marmurowe kolumny.

Kiedy miała go objąć, podając usta do pocałunku, pchnął ją na kolumnę łoża i wdarł się w nią. Krzyknęła zaskoczona. Przeszło ją lodowate zimno, jego penis rozsadzał ją niczym blok lodu, a on tłukł jej ciałem o kolumnę i chyba poczuła, jak wbił paznokcie w jej biodra. Nie opierała się, bo nie przestawał jej obserwować. Teraz jego oczy zrobiły się czarne. Uniosła nogi, oplótła go nimi w pasie, zamknęła oczy w udawanej ekstazie i wydawała ciche okrzyki.

Zimny, brutalny, okrutny – bogowie, chciała krzyknąć, żeby przestał. Ale się bała, że jeśli to zrobi, on nie przestanie, dopóki nie padnie martwa u jego stóp. Przed oczyma stanęła jej tamta niewolnica z obrozą. Ciasno objęła go ramionami, udając zachwyty. Woli umrzeć, niż podawać do stołu i nosić obrozę jak zwierzę.

Nagle coś się zmieniło; zamiast bólu i strachu poczuła, jak wzbiera w niej rozkosz. Zniwelająca, ciemna i niebezpieczna. Oszołomiona, zdyszana, chwyciła go za ramiona, wbiła wzrok w czarne oczy.

– Jeszcze – zażądała.

Kiedy skończył, pchnął ją na łożo. Trochę kręciło się jej w głowie, ciało pulsowało jak wcześniej oparzona dłoń. Marzyła tylko o jednym; chciała jak najszybciej zapaść w głęboki sen.

Tymczasem on przygniótł ją sobą i zadarł jej uda. Krzyknęła z bólu, gdy wbił się między pośladki. I chociaż się bała, że rozedrze ją na pół, kolejny przyptyw szalonej rozkoszy zagłuszył strach, doprowadził do płaczu i obudził pragnienie na więcej.

Brał ją raz po raz, niezmordowanie, brutalnie. Miała wrażenie, że ten ciągły ból pomieszany z błogostanem w końcu ją zabije.

Kiedy po długiej nocy wreszcie ją odprawił, naga, obolała, z krwawymi śladami po zadrapaniach, na chwiejnych nogach wróciła do swojej komnaty.

Zrozumiała, że teraz, kiedy poznała ten upojny ból, wolałaby umrzeć, niż z niego zrezygnować.

\*

Brian otworzył oczy i jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo obok Marco w ciepłym łóżku. Czekały go obowiązki i nigdy się od nich nie uchylał, chociaż najchętniej zostałyby jeszcze, żeby obudzić się razem z kochankiem.

Innym razem, pomyślał. Będą jeszcze inne razy.

Po cichu wysunął się z łóżka.

Chętnie weźmie prysznic – ten tutaj był bardziej wymyślny od tamtych, które widywał na wyjazdach poza Talamh. Marco mu pokazał, jak go regulować, i potem razem odkrywali, jakie ciekawe rzeczy mogą się dziać w szklanej kabinie pod deszczem ciepłej wody.

Zawsze wierzył, że kiedyś się zakocha. W przyszłości. Być może. Kto wie.

Ale nie wyobrażał sobie, nie do końca, jak to może wyglądać. Nie wiedział o zagęszczającym powietrzu pożądanemu, unoszeniu się na cichej rzece, szaleńczym locie pośród gwiazd i wreszcie zwykłym odpoczynku.

Tym wszystkim była miłość i obiecywała znacznie więcej. Znalazł kogoś, z kim chciał przejść przez życie, trzymając się za ręce. W każdym razie do końca swoich dni będzie wdzięczny jakiemuś bogowi czy może losowi, że skierował Marco Olsena na jego drogę.

Ubrał się po ciemku i delikatnie pocałował Marco w policzek.

– Wrócę do ciebie dziś wieczorem – wyszeptał. – Będę wracał co wieczór, jeśli tylko będę mógł.

Z butami w ręce zszedł na parter.

Marco uprzedził go, że Breen wcześniej wstaje, a jednak był zaskoczony, widząc ją w kuchni o błądym świetle.

– Dzień dobry.

– Cześć. – Podniosła wyżej kubek. – Zaparzyłam kawę.

– Dzięki, ale jakoś mi nie smakuje. Zrobię sobie herbaty, jeżeli pokażesz mi, jak to działa. –

Dotknął kuchenki.

– Jasne. – Włączyła palnik pod czajnikiem.

– Aha, to całkiem proste.

– Daleko mi do Marco, ale mogę zrobić ci jajecznicę.

Uśmiechnął się do niej, wdzięczny za propozycję.

– Miło z twojej strony, ale mam nadzieję, że nie będziesz myśleć o mnie jak o gościu.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– W takim razie sam ją zrób. Tu masz chleb, nóż i toster – wymieniała, wskazując palcem. – Masło, dżem i jajka znajdziesz w lodówce. Chata należy tak samo do Marco jak do mnie. Ty jesteś z Marco, czuj się więc jak u siebie. Skoro już wszystko wiesz, pójde zobaczyć, co z Fąflem. Wypuściłam go na dwór, pewnie pobiegł do zatoki.

– Poradzę sobie.

Wyszła dopić kawę na powietrzu, pies pluskał się w zatoce, pierwsze promienia słońca migotały w kropelkach mgły.

Keegan odleciał, jeszcze zanim Brian zszedł na dół. Bardzo się spieszył, nie chciał ani herbaty, ani kawy. Obiecał, że wróci, jak tylko wypełni obowiązki i będzie z nią trenować. Ona też miała obowiązki. Pracę, która na nią czekała. Psa i smoka, które ją wybrały, oraz zobowiązania wobec dwóch światów i ludzi, którzy tam żyli. Keegan bardzo się spieszył i był wyraźnie czymś zaaferowany, nie wspomniała mu więc o swoich snach.

Nie zapamiętała ich treści, wiedziała jedynie, że były ponure, niepokojące i chaotyczne, pełne okrzyków bólu i jęków rozkoszy. Blask ognia z kominka na czarnych ścianach, sylwetki zwierząt... ludzi?... kopulujących w półmroku.

Potem gasnące powoli światło.

Zapewne sen wywołany stresem, z dziwnym seksualnym podtekstem. A przecież wcale nie zasypiała zestresowana. Wręcz przeciwnie, była szczęśliwa, szalenie szczęśliwa, a Keegan sprawił, że cudownie znużona, bez problemu zasnęła. Ale teraz, nie wiedzieć czemu, czuła się spięta.

Patrzyła, jak Fąfel wyskakuje z wody i pędząc do niej, wyłania się z mgły. Usłyszał trzasknięcie drzwi za plecami.

– Jesteś mokry – uprzedziła psa, kiedy Brian zbliżał się do niej. – Zachowuj się.

Fąfel, zamiast skoczyć na niego, układnie usiadł i podał mu łapę.

– Tobie też życzę miłego poranka. – Brian potrząsnął psią łapą, po czym podał grzanekę Breen. – Pomyślałem, że może będziesz miała ochotę.

– Jasne, dzięki. – Odgryzła spory kęs grzanki, grubo posmarowanej masłem i dżemem malinowym.

– Marco mówił, że rano trenujesz, znaczy ćwiczysz, a potem piszesz opowiadania.

– Zazwyczaj tak jest. W Stolicy bardzo mi tego brakowało. Marco nie należy do skowronków. Ale kiedy już wstanie, bez problemu zabiera się do pracy.

– Na tej maszynie, komputerze?

– Jest świetnym komputerowcem.

– I świetnie gotuje, i pisze muzykę.

– Nasz Marco ma wiele talentów.

– Kocham go i chcę spędzić z nim życie.

Ostawiła kubek i westchnęła.

– Szybko wam poszło.

– Rzeczywiście, ale wiem, że to szczere uczucie. Nie jakaś przelotna historia. Na dzień czy tydzień. Tylko miłość na całe życie.

Musiała przyznać, że widziała to u nich obu. Naturalnie przychodziło jej do głowy mnóstwo pytań. Co dalej, co z tego wyjdzie, skoro należą do dwóch różnych światów. Jednak przede wszystkim liczyła się miłość.

– Dzięki tobie jest szczęśliwy, więc i ja jestem szczęśliwa. Jego rodzina, poza siostrą, ta rodzina...

– Mówił mi. Bardzo mi ich żal.

Poczuła ogromny przyływ sympatii do Briana, rozumiała, o czym on mówi.

– Mnie też. Mam takie same odczucia. Żal mi ich, bo nie widzą, jaki jest niesamowity. Dobry, uczynny, bystry i z pięknym charakterem. Oceniają Marco jedynie przez pryzmat jego orientacji, wcale go nie znają.

– Ale ty, Sally i Derrick jesteście jego rodziną. Ma ciebie, a teraz i mnie. Znajdzie oparcie w mojej rodzinie, ona pokocha go tak jak ja. A kiedy Talamh będzie bezpieczny i wszystko się

uspokoi, ułożymy sobie życie razem.

Rozmawiając, obserwowali mokrego psa, który z rozkoszą tarzał się w trawie wilgotnej od rosy.

– Pewnie się zastanawiasz, jak my to nasze życie zorganizujemy – ciągnął Brian. – Znajdziemy sposób. Miłość nam podpowie, wystarczy w nią się wsłuchać. Będę się zbierał, obowiązki wzywają. Ty musisz usiąść do książki albo przywołać Lonracha. Wiem, jak wyglądają pierwsze dni latania na smoku. Nie ma się ochoty z niego zsiadać. – Podał jej pusty kubek. – Jasne błogosławieństwo dla ciebie, Breen.

– I dla ciebie, Brianie.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy oddalał się w stronę lasu. Potem rozpostarł skrzydła i zniknął między drzewami.

Westchnęła cicho.

– Fąfel, wracamy do domu. Czas się zameldować na stanowisku pracy.

Z ochotą wróciła do codziennej rutyny. Trochę poćwiczyła, żeby się rozruszać, i zaczęła pisać.

Kiedy zrobiła przerwę i poszła po colę, zastała Marco siedzącego z laptopem przy stole.

– Sprawdziłaś pocztę?

Skrzywiła się.

– Jeszcze nie. Miałam...

– Dobrze, że twoja wydawczyni przysłała mi kopie. Chcą przy tytułach rozdziałów umieścić zdjęcia Fąfla. Jeszcze nie zdecydowali, czy zawsze to samo czy za każdym razem inne.

– No, fajny pomysł.

– Też tak uważam. Wezmę Fąfla na spacer, nacykam fotek i wyślę do wydawnictwa. Oni mają u siebie tamte zdjęcia z blogu i Facebooka, ale od przybytku głowa nie boli. Jesteś po śniadaniu?

– Tak, tatusiu. Brian zrobił mi grzanekę.

Marco rozpromienił się.

– Widziałaś się z nim? Nie obudził mnie przed wyjściem.

– Ja już byłam na nogach.

– Dlaczego akurat muszę szaleć na punkcie dwóch popaprańców, dla których wstawianie o świcie jest czymś normalnym?

– Pewnie takie twoje szczęście.

– Chyba tak. Zostawił to dla mnie na łóżku.

Pokazał jej mały szkic. Przedstawiał go śpiącego z uśmiechem na ustach.

– Marco, to ty! Doskonale uchwycił podobieństwo. On naprawdę ma talent.

– Brian mieszka w małej chatce we wsi. To coś w rodzaju studia. Poza łóżkiem ma tam miejsce wyłącznie na broń i przybory malarskie. No i na obrazy i szkice. Breen, one są naprawdę dobre. Miałem nadzieję, że on nieźle maluje, żeby z czystym sumieniem mógł go pochwalić, ale kiedy zobaczyłem jego prace, stwierdziłem, że to poważny artysta.

– Świadczy o tym ten szkic. Powinieneś go oprawić. – Usiadła przy stole. – Cieszę się twoim szczęściem.

– A jak ja nim się cieszę. – Rozanielony, pogładził palcem rysunek. – Wracasz do pracy?

– Oj tak. Rano siedziałam nad historią o Fąflu, bo z tego mam kasę. A chcę podciągnąć tę powieść fantasy. Wiem, że to strzał w ciemno, ale...

– Przestań. – Wychylił się z krzesła i dźgnął ją palcem w brzuch. – Dziewczyno, jesteś pisarką. A pisarze piszą. Ruszaj do roboty. Jak skończę, zabiorę Fąfla na sesję fotograficzną.

– On musi wyjść. – Podeszła do drzwi, otworzyła je i pies wystrzelił na dwór jak z procy.

– Wpuszczę go, jeżeli wróci, zanim się z tym uporam.

Zostawiła ich i wróciła do biurka, by zanurzyć się w świecie zagrożeń i magii.

Słowa i wyobrażenia pozwalały jej kontrolować ten świat. Może jeszcze nie wiedziała, jak dokładnie zakończy się ta historia, ale знаła kolejne etapy podróży. Natomiast gdy przechodziła przez portal do Talamh, to już nie były tylko słowa i wyobrażenia. Duża część tej podróży odbywała się poza jej kontrolą. Pisanie ją podniecało i jednocześnie wyciszało, nawet jeżeli niektóre wątki czerpała z własnych doświadczeń.

Wreszcie wstała od biurka i zadowolona z postępu pracy, przeciągnęła się, zaplatając

ramiona nad głową. Sprawdziła pocztę (Marco zawsze o to pyta), jak zwykle ciekawa, czy znajdzie tam coś od matki.

Nie. Głucha cisza i pewnie tak zostanie.

Znalazła Marco w salonie. W słuchawkach na uszach siedział przy keyboardzie z zeszytem nutowym.

– Pisziesz muzykę! – Drgnął, ściągnął słuchawki, a ona aż podskoczyła z radości. – Ani razu nie usiadłeś do pracy, odkąd tu jesteśmy. Daj posłuchać!

– Jeszcze nie skończyłem.

– Nie musisz pracować w słuchawkach. Mnie to nie przeszkadza. Będzie tak, jak w naszym dawnym mieszkaniu. Jeżeli chcesz jeszcze nad tym posiedzieć, przełożymy spacer.

– Nie, na razie wystarczy. To musi się pichcić powoli, tak samo jak moje mięso duszone z warzywami.

– Pachnie obłędnie.

– Danie ma zaledwie pyrkotać jeszcze przez cztery godziny. Mogłabyś wykorzystać tę swoją abrakadabrę.

– Wykorzystać co?

– Abrakadabrę, żeby mięso powoli dochodziło, a kuchenka się wyłączyła, gdybyśmy się spóźnili. Możesz to zrobić?

Podniosła palec.

– To może być klucz do moich głęboko ukrytych talentów kulinarnych. Umiem coś takiego zrobić.

– Świetnie. Przyda się. W takim razie zajmij się tym, a ja pójdę po kurtki.

Pomyślała o nastawieniu minutnika, oczywiście magicznego. Po sumiennie przepracowanym poranku i z perspektywą pieczeni na kolację z ochotą wybrała się z nimi na spacer.

– Znowu będziesz latała na smoku, co?

– Pewnie. Też kiedyś posadzisz na nim swój zgrabny tyłek.

– Odpada.

– Któregoś dnia dasz się namówić.

– Ja wiem, że znasz mnóstwo słów, ale nie ma takich, które mogłyby mnie przekonać. Zamierzam zakumplować się z Colmem.

– Kto to?

– Taki gość, który mieszka po sąsiedzku z Finolą. Warzy piwo. Ma mi pokazać, jak to się robi. Może pewnego dnia rozpoczną produkcję Piwa Olsena.

– Brzmi ciekawie.

Rozstali się na drodze w Talamh. Breen na chwilę przysiadła na przydrożnym murku, skąd rozpościerał się widok na farmę. Zobaczyła Harkena. Akurat wyprowadził konia ze stajni i skierował się na pastwisko. Rozpoznała klacz, którą latem pokrył ogier Keegana.

Zaciekawiona, otworzyła się i poczuła życie w macicy klaczy. Ciekawe, czy źrebię kopie jak dziecko Aisling?

Przed chatą zobaczyła synków Aisling z Mab na posterunku w charakterze niani. Stolica z ludzkim mrowiem i zamieszanym wydała jej się bardzo odległym miejscem.

Ponownie się otworzyła i spróbowała pierwszy raz przywołać swojego smoka.

Powietrze było chłodne, ale nieprzenikliwe. Mężczyzna, który przegalopował drogą na gniazdoszu, na jej widok uprzejmie uchylił czapki. Na łące za nią owce o czarnych pyskach skubały trawę.

Pod niebem sunął rubinowy Lonrach.

Serce Breen przepełniła radość.

– Fąfel, zobacz. – Zerwała się z murka i czekała z psem przy nogach. – Chcesz się przelecieć?

Energiczne machnięcie ogonem odczytała jako entuzjastyczne „tak”.

Lonrach z gracją usiadł na drodze, a mimo wszystko ziemia zadrżała. Obrócił łeb ku Breen i ich oczy się spotkały.

– Zamierzam spotkać się z babcią i Sedrikiem, o ile będzie w domu. Ale najpierw chciała-bym polatać. – Położyła dłoń na smoczym łbie.

Lonrach opuścił skrzydło i najpierw Fąfel, a potem ona weszli po nim jak po trapie na smo-

czy grzbiet.

– Gdzie tylko chcesz – wyszeptła i smok oderwał się od ziemi.

Widziała, jak Harken pomachał do niej z pastwiska.

Przelecieli nad lasem i zatoką, nad chatami i znudzonymi owcami. Zobaczyła grób ojca i posłała mu serdeczne myśli.

– Nadal tam są, uwięzieni. – Przyglądała się ruinom pod nimi. – Musimy znaleźć jakiś sposób.

Porozmawia o tym z babcią.

Pomyślała, żeby poprosić Lonracha, aby zahaczył o południe. Chciała obejrzeć tamtejszą wieś i sprawdzić, czy Dom Modlitewny został zrównany z ziemią, jednak kiedy smok obrał inny kierunek, zorientowała się, że myślami skierowała go w zupełnie inne miejsce.

Las, strumień, wodospad. Portal.

Nieświadomie ją tam ciągnęło i to udzieliło się Lonrachowi.

Kiedy znaleźli się blisko, lodowaty dreszcz strachu przebiegł jej po skórze.

– Też to czujesz?

Gdy cielsko smoka zadrżało, na wszelki wypadek otoczyła Fąfla ramionami.

Croga krążył pod niebem, a więc Keegan tu był. Przy portalu.

Sprawdzał. Oczywiście należało sprawdzać, czy jest zabezpieczony, i cały czas go pilnować, bo...

Dostrzegła w dole Keegana, kilku Fey i ich konie. Sedrica poznała po srebrnej czuprynie.

Keegan akurat zadarł głowę, gdy smagana wiatrem, niemal pionowo opadała w dół. Widziała, jak twarz wykrzywia mu grymas irytacji. Nieprzejęta niechętnym powitaniem, wraz z Fąblem zeskoczyła na ziemię.

– Mam dość na głowie...

– Są po drugiej stronie portalu – przerwała mu. – Znowu próbują go otworzyć. Nie czujesz?

– Chwyliła go za rękę. – A teraz?

Poczuł przez nią.

– Portal wytrzyma. Wiedzieliśmy, że będą próbować, nie przedrą się.

– Tak, ale...

– Portal wytrzyma, Breen.

Jest krew, pełno krwi w wodzie. To krew demonów, potem przyjdzie kolej na Fey w niewoli, a gdy i tych zabraknie, będą swoich składać w ofierze. To już się dzieje. W tej chwili.

– Co widzisz?

– Mnóstwo krwi. Brodzi w niej Yseult, owinięta wężami snu wokół szyi jak szalem. Wskazuje palcem Elfa. Jest zbyt powolny, dopadają go i siłą ciągną do niej. Węże go kąsają i on tak strasznie krzyczy.

– Już dość – uciał, kiedy przycisnęła ręce do uszu. – Wystarczy.

– Nie, nie. Ona podnosi nóż i zanurza go w szyi Elfa. Krew, jeszcze więcej krwi. Tryska do wody. Ona ma ręce umazane krwią. Ale pieczęć trzyma.

Odrana tam nie ma, choć patrzy. Ogląda wszystko z wieży. Uderza ją mocą, ona opada na kolana w tej wodzie zabarwionej krwią, a on odwraca się i wchodzi do środka. Zrywa się burza, a Yseult broczy krwią.

– Już dobrze, Breen. Przynieście wody.

– Coś jest nie tak.

– Pieczęć trzyma – powtórzył. – A skoro trzyma, Talamh nic nie zagraża.

– Coś się nie zgadza, Keeganie. – Wzięła wodę i piła ją łapczywie. – On na mnie nie patrzył.

Widział mnie, ale nie patrzył. Wiem to, czułam. Nie spojrział na mnie.

– Pokonałaś go.

– Coś jest nie tak – powtórzyła. – Coś nie pasuje, ale nie wiem, o co chodzi. Nie miałam tutaj przylecieć, a jednak mnie tu przyciągnęło. Jakby coś pilnego. A przecież pieczęć trzyma, a ty przewidziałaś, że będą próbować. Czemu musiałam przylecieć?

Keegan obejrzał się na wodospad, w myślach przywołał obraz portalu.

– Żebyś zobaczyła i poczuła dokładnie to, na czym mu zależało. Miał w tym swój cel. Zawołaj tutaj smoka i ściągnij Marg na farmę. Ja sprowadzę Mahona. Jeżeli on rzeczywiście planuje to, o czym myślę, czeka nas dużo pracy.



## Rozdział 27

Siedzieli na masywnych krzesłach przy dużym stole. Breen myślała o pokoleniach, które wychowane na tej farmie, gromadziły się przy nim podczas posiłków. Zastanawiała się, o czym rozmawiali, o co się sprzeczali, co ich bawiło, a co wyciskało łzy.

Czy sięgali ponad tym wielkim stołem po dokładkę? Czy dzieci toczyły zielony groszek wkoło talerza z nadzieją, że zniknie? Uzmysłowała sobie, że jej ojciec też przy nim jadł. I ona. A także matka. Kiedyś byli rodziną.

Teraz siedziała tutaj z inną rodziną. Ale nie jedli, nie opowiadali o tym, co zdarzyło się w ciągu dnia, nie układali planów na jutro, tylko radzili, jak pokonać boga, który postanowił ich zgładzić.

Kredens, na którym zazwyczaj stały świeczniki i półmiski, zaścielały rulony map. Keegan, zamiast siedzieć u szczytu długiego stołu, stał z nadal przypasanym mieczem.

– Wszyscy w Talamh wiedzą o Powitalnym Drzewie i portalu na drugą stronę poprzez Irlandię. Ponieważ kiedyś byliśmy częścią tamtego świata, tamtego miejsca, według prawa i tradycji każdy mieszkaniec Talamh może tamtędy przechodzić.

– Od dnia, kiedy Odran porwał Breen jako małe dziecko – mówił dalej – wszyscy w Talamh wiedzą o portalu w wielkim wodospadzie, przejściu do świata, który on podbił i zawłaszczył. Zgodnie z prawem ten portal został zablokowany i jest nadal zamknięty. Wiemy, że Yseult, wykorzystując ofiary krwi i czarną magię, zrobiła w nim wyłom. Na południu Odran przy pomocy Świętobliwych stworzył kolejny portal do naszego świata, ale ten również zamknęliśmy i zaślepiliśmy. Tych dwóch ostatnich pilnie strzeżemy. Breen widziała próby przedarcia się Yseult przez portal w wodospadzie.

– Tak – odezwała się, bo Keegan przeniósł na nią wzrok. – Dwukrotnie. Za pierwszym razem tak jakoś wyszło, że... znalazłam się tam, akurat gdy mieli złożyć ofiarę z małej dziewczynki.

– I ty ich powstrzymałaś, a Sedric przeszedł na drugą stronę i bezpiecznie sprowadził ją z powrotem. Jednak Yseult przez wyłom, którego nie znaleźliśmy, przeniosła Shanę do Odrana. Dzięki temu, że go zobaczyłaś, mogliśmy go zlokalizować i zaklinować.

– Nieprędko zapomnę tamtą sytuację. Natomiast dzisiaj widziałam Yseult po tamtej stronie wodospadu. Teraz składają swoich w ofierze, aby wzmocnić zaklęcie, które ma przerwać blokadę.

– Jestem pewien, że taki był cel, i wiem, że bez wahania będą zabijać poddanych, ale nie sądzę, aby właśnie tamtędy Odran planował przypuścić atak.

– Ponownie z południa? – wtrącił Mahon.

Keegan pokręcił głową.

– Tamten portal został zablokowany i podobnie jak wodospad jest pilnie strzeżony przez wzmocnione siły.

– Nie może wykorzystać Powitalnego Drzewa – zauważył Harken. – Odran nadal nie ma przejścia do tamtego świata i nawet on nie potrafi złamać prastarego zaklęcia. Nikt o nieczystych intencjach nie przedostanie się z Talamh do tamtego świata ani stamtąd nie przejdzie do nas.

– Czyli pozostają mu tylko dwie drogi. – Morena podniosła palec wskazujący prawej ręki. – Południe i... – Wyprostowała palec lewej. – Wodospad.

– Jest więcej portali.

– Tak, ale żaden nie prowadzi do świata Odrana i nikt w Talamh o nich nie wie. Do skorzystania z jakiegokolwiek portalu poza Powitalnym Drzewem niezbędne jest pozwolenie *taoiseacha*. Jeżeli ktoś je dostaje – tłumaczyła Morena – jest później poddany zaklęciu usuwającym pamięć o tamtym miejscu. Ze względu na bezpieczeństwo nas wszystkich. Właśnie z tego powodu.

– Właśnie z tego powodu – powtórzył za nią Keegan. – Dlatego żaden jeniec Odrana ani nikt z tych, co przeszli na jego stronę, nie może mu wskazać innej drogi czy innego świata, który on mógłby podbić i spustoszyć. To stara tradycja, jeszcze sprzed czasów Odrana. Tylko *taoiseach* ma

tę wiedzę i z nikim nią się nie dzieli.

– Skoro ty nie podzieliłeś się nią z Odranem, on nie ma prawa wiedzieć... – Morena zamilkła na moment. – O bogowie, Keeganie, chyba nie rozmawiałeś o tym z Shaną?

– Za kogo ty mnie bierzesz? – Zamiast irytacji w jego głosie pobrzmiwało znużenie. – Natomiast o tych portalach wie również Rada, która jako ciało doradcze uczestniczy w tworzeniu prawa. Członkowie Rady przysięgają dbać o dobro i bezpieczeństwo Talamh. To ich święte zobowiązanie i takie sprawy nigdy nie wychodzą poza salę obrad. Niestety, Uwin zawsze pobłażał córce, a Shana jest sprytna. Skontaktowałem się z matką przez lustro, ma go o to zapytać. On nie będzie kłamał. Odkryłaby, gdyby próbował, ale Uwin nie posunie się do kłamstwa. Jeżeli rozmawiał o tym z Shaną, widocznie założył, że jesteśmy po słowie i ona w przyszłości zasiądzie w Radzie.

Spojrzał za okno na pofałdowane pola ciągnące się ku wzgórzom, wzgórze toczące się ku górom o szczytach ginących w chmurach.

– Nie próbuję Uwina usprawiedliwiać, chociaż potrafię go zrozumieć. O ile sam nie zrezygnuje, zgodnie z prawem zostanie usunięty z Rady. Muszę wydalic go razem z matką Shany ze Stolicy, gdzie oboje przez całe życie służyli z takim oddaniem

– Nie twoje zmartwienie. – Chłodny ton Marg kazał mu się na nią obejrzeć.

– A czyje?

– Uwin dokonał wyboru i popełnił błąd. Jestem matką, która kocha swoje dzieci ponad własne życie. A jednak nigdy nie rozmawiałam o problemach Rady z synem, niewątpliwie bystrym chłopcem, dopóki sam nie został *taoiseachem*. Ty, Keeganie, kochasz swojego brata, swoją siostrę i Mahona, który stał się dla ciebie bratem, ale nie poruszasz z nimi niektórych tematów, bo złamałbyś przysięgę.

– Zniszczyła im życie – podsumowała półgłosem Breen. – Bo oni jej na to pozwolili.

– Dobrze powiedziane. – Morena kuksnęła Breen pięścią w ramię. – Właściwie to ujęłaś.

– Mogę słowo? – odezwał się Sedric.

Keegan przytaknął głową.

– Znam portale, bo taki mam dar. Jednakże nigdy nie rozmawiałem o nich z Marg ani ona ze mną. Bo miłość, taka prawdziwa, niesie ze sobą wzajemny szacunek, a nie skłania tej drugiej strony do łamania przysięg. W swoim czasie patrzyłem, jak ty, a wcześniej inni przed tobą – położył dłoń na dłoni Marg – zostają *taoiseachami* i biorą ciężar odpowiedzialności na swoje barki i stąd wiem, że buława waży więcej od miecza.

Keegan usiadł.

– Zająłbyś miejsce Uwina w Radzie?

Sedric uśmiechnął się.

– Nie zrobiłbym tego nawet dla ciebie, chłopcze. Jak na politykę i przestrzeganie protokołu to za dużo mam w sobie z kota. Jeżeli zdecydujesz się prześledzić te mapy z tymi, którym ufasz, pokażę ci na nich niezaznaczone portale.

– Jak wiele ich jest?

– Tego nie powiem. Wiem tyle, ile wiem.

– Zaczekaj. – Harken powstrzymał Keegana, gdy ten już podnosił się z krzesła. – Złożyłeś przysięgę i możesz ją złamać jedynie w obronie Talamh i światów poza nim. Jednak nie wolno ci kierować się intuicją czy zaledwie spekulacjami. Musisz sprawdzić, czy ojciec wskazał Shanie portale, a nawet jeśli, czy jesteś pewien, że ona jest gotowa użyć tej wiedzy przeciwko własnemu światu? Swoim pobratymcom, własnej rodzinie? Coś takiego może zrobić tylko ktoś bezduszny i pozbawiony serca.

– Idę na piętro i zapytam matkę, czy Uwin podzielił się tą wiedzą z Shaną. Jeżeli tak, a on niczego jej nie odmawiał, sprawa jest oczywista.

– Czyżby? – bąknął Harken, gdy Keegan wyszedł z kuchni. – Wiem, co zrobiła, i wiem, że jeżeli kiedykolwiek ją znajdziemy, czeka ją banicja. Ale żeby miała pomagać Odranowi w zniszczeniu swoich ludzi...

– Mężczyźni! – Zniecierpliwiona Morena zerwała się z krzesła, wyrzucając ramiona w górę. Po drodze trzepnęła Harkena w potylicę i zaczęła krążyć wokół stołu. – Mężczyźni, mężczyźni, mężczyźni, najbardziej prymitywni ze wszystkich stworzeń. Brałam ciebie i Keegana za tych najbardziej rozsądnych przedstawicieli gatunku. A tymczasem on skumał się z tą egoistyczną, przebiegłą

Elficą, bo mu się zechciało gzić z nią po ciemku.

– Zaraz, chwilę, to było coś więcej – zaprotestował Mahon. – Może nie za dużo, ale jednak trochę więcej. Ona potrafi być czarująca i...

– Oczywiście! – Morena wycelowała palec w Mahona i szydziła dalej. – Wdzięk, uroda, spryt, błysk w oku i elokwencja? Można to różnie wykorzystać, czyż nie? A uroda zawsze sprawia, że mężczyzna myśli fiutem zamiast głową.

– W tej chwili wcale tym nie myślę – odburknął Harken. – A skoro już o tym mowa, ona nie była w moim typie.

– A jednak reagujesz na urodę i wdzięk, a takim jak ty trudno dostrzec, co może za tym się kryć. Mężczyźni! Babciu, a co ty o nich myślisz? – Morena zwróciła się do Marg.

– Pomaga cierpliwość.

– Och, cierpliwość mi się przejadła. – Morena dźgnęła palcem Breen. – A ty?

– Nie znam zbyt wielu mężczyzn, więc nie wiem.

– Och, to dowiesz się, możesz mi wierzyć. Aisling, co ty myślisz?

– W tej chwili nic, bo tam, na gorze, śpi dwoje moich dzieci, a trzecie rośnie we mnie. Każdy wybór, jakiego dokonuję, najpierw muszę rozważyć w głowie. Nie będę się wypowiadać za Keegana. Przyznam jedynie, że nigdy jej nie lubiłam i jej nie ufałam. A gdybyś mnie, Harkenie, zapytał czy ona jest zdolna do takiej potwornej rzeczy, moja odpowiedź brzmiałaby: „Tak, jak najbardziej”.

Morena stanęła za Harkenem i tym razem dla odmiany cmoknęła go w czubek głowy.

– Podoba mi się, że starasz się o nikim źle nie myśleć, chociaż przyznam, że czasem mnie to frustruje.

– To nie dlatego, że Shana jest piękną kobietą.

– Może odrobinę.

– Jesteś lojalny – odezwała się Breen, bo było to widać jak na dłoni. – Dlatego tak trudno ci pogodzić się z brakiem lojalności u innych, a na dodatek twój brat darzył ją uczuciem.

– Uczuciem – prychnęła ironicznie Morena. – Zapewne uroda i wdzięk odegrały swoją rolę, ale jednak coś ich łączyło. Harkenie, u ciebie uczciwość jest czymś wrodzonym jak kolor oczu. Shana jest okrutna. Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę z okrucieństwa tkwiącego w jej duszy, dopóki ono się nie wyzwoliło. Keegan ma rację – dodała. – Jeżeli ona rzeczywiście dużo wie, nie omieszka tego wykorzystać do siania zniszczenia. Nic więcej jej nie zostało.

– Wie i to sporo – oznajmił Keegan, wchodząc do kuchni. – Moja matka zwołuje Radę, naturalnie bez Uwina. Powiadomię ich o tym, co postanowiłem. Nie mam zamiaru czekać, aż dyskutując w nieskończoność, dojdą do porozumienia. Zrobię to, co uważam za konieczne.

– Jesteś *taoiseachem* – wsparła go Marg. – Wiesz, co do ciebie należy.

– Wiem. Poproszę was, abyście zastąpili Radę tutaj, w dolinie, i złożyli przysięgę, że dotrzymacie świętego zobowiązania. Zaręczycie pod przysięgą, że będziecie zawsze mówić mi całą znaną wam prawdę, będziecie stać po stronie prawa i bronić Talamh. Ty już składałaś taką przysięgę – zwrócił się do Marg. – Ale proszę, żebyś ją ponowiła.

– Przysięgam.

Kiedy Keegan obchodził stół, Breen czuła budzące się w niej wątpliwości. Jednak on czekał, patrząc jej prosto w oczy.

– Przysięgam.

– W Radzie w Stolicy są przedstawiciele wszystkich plemion. – Z westchnieniem przeciągnął dłonią po włosach. – Będę musiał to jakoś załatwić, ale w tej chwili nie chcę tracić czasu.

Breen, kierowana starym nawykiem, podniosła rękę. Keegan na moment zawiesił na niej wzrok.

– To nie jest jakaś pieprzona klasa. Masz coś do powiedzenia, to mów.

– Chciałam powiedzieć, że w waszych żyłach płynie krew każdego z plemion. W twoich, Harkena, Aisling. Można więc przyjąć, że reprezentujecie wszystkie plemiona.

Ściągnął brwi, wyraźnie coś rozważając, a Harken pokiwał głową z uznaniem.

– Zastanowię się nad tym – zdecydował Keegan. – Polityka w dużej mierze sprowadza się do bicia piany. Później się tym zajmę. Teraz skupmy się na mapach Talamh i portalach. A potem na mapach innych światów i włościach Odrana.

Zdjął mapę z kredensu i rozwinął ją na stole.

Breen w pierwszej chwili odniosła wrażenie, że ma przed sobą bardzo udany obraz namalowany przez zdolnego artystę. Nad wykonanymi ozdobnym pismem nazwami miejsc powiewały proporce ze smokami. Mapa nie dość, że piękna, okazała się bardzo szczegółowa. Bez trudu rozpoznała znajome okolice. Naturalnie, Stolicę z zamkiem i mostami, oraz morze, las, wieś, a nawet dzikie klify i skalne formacje na Głębokim Zachodzie.

Kiedy Keegan położył na niej dłonie, pergamin rozjarzył się pod jego dotykiem. Gdy je podniósł, zobaczyła, że na mapie pojawiły się czerwone jak Smocze Serce, świecące punkty.

– To są portale Talamh, każdy nosi nazwę świata lub miejsca z przejściem w obie strony. Jest ich dwanaście. Oczywiście istnieje więcej światów i część z nich ma swoje portale prowadzące do innych światów. Wędrowiec może pokonać dwa, a nawet trzy światy, żeby dotrzeć w upragnione miejsce, o ile zostanie tam wpuszczony.

– Jest jeszcze jeden. – Sedric dotknął palcem samego środka formacji skalnej na Głębokim Zachodzie. – To coś w rodzaju drzwi, które prowadzą wyłącznie do wewnątrz. Wchodząc tamtędy, możesz udać się w dowolne miejsce w Talamh. Jednak korzystanie z tego przejścia wymaga ostrożności i precyzji, bo tuż za nim można się natknąć na galopującego konia albo, jak mnie się przydarzyło, kiedy jeszcze byłem chłopcem, na spadający fragment skalnej półki oberwany przez wicher.

– W razie potrzeby można byłoby zaoszczędzić sporo czasu – spekulował Keegan. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Nawet w czasach mojego dzieciństwa rzadko go używano, a jego umiejscowienie jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Wielokrotnie słyszałem, że w przeszłości tych, co korzystali z niego w złych zamiarach, mogła spotkać śmierć, jeżeli nie przeszli tamtędy w precyzyjnie wybranym momencie. A ponieważ portal natychmiast się zamyka, intruz musi szukać innej drogi powrotu.

– Wycieczka w jedną stronę – podsumowała zadumana Breen. – Nawet gdyby Odran o nim wiedział, miałyby związane ręce, bo mógłby się poruszać jedynie w granicach Talamh.

– Kto wie, czy Yseult jakimś sposobem nie odkryła tego przejścia. – Marg w skupieniu przyglądała się mapie. – Żeby swobodnie tutaj krążyć.

– Jeżeli nawet, więcej z niego nie skorzysta. Mamy tam bazę i wzmocnię straż.

– Było jeszcze jedno przejście.

– Było? – podchwycił Keegan.

Sedric przytaknął skinieniem głowy i pochylił się nad mapą.

– Straciło światło, zanim się urodziłem, jeszcze przed czasem starego czarnoksiężnika, u którego zgłębiałem wiedzę o portalach. Podobno jest ukryte gdzieś w lesie blisko Stolicy, a może to tylko takie bajanie. To byłby czernasty portal Talamh. Może nawet istniał w odległej przeszłości, ale ja nigdy go nie odnalazłem. A szukałem – dodał z cieniem uśmiechu. – W czasach mojej awanturniczej młodości. Nie znalazłem, ale wyczuwałem coś w rodzaju echa tego, co niegdyś było.

– Dokąd on prowadził?

– Nie mam pojęcia i o ile wiem, nikt inny też. Poza tym, co kiedyś usłyszałem i co poczułem, nie znalazłem nawet najmniejszego dowodu na jego istnienie ani w rękopisach, ani w pieśniach czy choćby legendach.

– Niektórzy Fey podróżują na zewnątrz i nie zaślepimy innych portali. Odran musi o tym wiedzieć, jeżeli planuje atak. A jeśli nie wie, mamy nad nim przewagę. Mahonie, potrzebujemy doświadczonych i zaufanych ludzi do rozstawienia straży przy wszystkich portalach.

– Po obu stronach.

– Tak. Niech trzymają wartę przez cały czas. Przynajmniej po jednym z każdej strony i wybierz tych z darem wyczuwania zmian w portalach.

– Są tacy Fey, którzy wybrali inne światy, ale to nadal Fey i pozostają lojalni. Przepuścimy zwiadowców przez wszystkie portale, niech sprawdzą, czy Odran nie zamierza dostać się tutaj okrężną drogą przez któryś z innych światów.

– Portale przestaną być tajemnicą strzeżoną przez święte zobowiązanie – zauważył Mahon.

– Rada może być przeciwna ujawnieniu wszystkich.

Keegan tylko uniósł brwi.

– Chyba znasz moją matkę?

Mahon ze śmiechem podniósł ręce w geście kapitulacji.

– No jasne, masz rację. O, ten tutaj... – Narysował palcem w powietrzu kółko nad lasem na

mapie. – Ten ma prawo nas martwić.

– Tak, prawda. Dlaczego portal miałby stracić światło? I czemu nie powstała o tym żadna historia ani pieśń?

– Starodawne dzieje – skwitował Harken. – Czasy, zanim jeszcze Talamh dokonał wyboru, zanim magia spotkała się z pogardą i prześladowaniami. A jeżeli jego przeznaczenie zmieniło się w mroczne, nic dziwnego, że zniknęło tam światło.

– Zostawmy te rozważania uczonym. Zastanawiam się, czy Odran zaanektowałby świat tylko z jednym przejściem w obie strony? A może zajął go właśnie dlatego, że my nigdy nie natrafiliśmy na inny portal łączący jego świat z naszym?

– Dwa portale na terenie Stolicy – podsumowała Breen. – I oba w lesie? Obydwa wiodące w mrok? Widzę na mapie tylko jedno takie miejsce, gdzie oba są – albo mogą być – tak blisko siebie.

– I mogą być połączone? O tym myślisz, prawda? – zapytała Morena. – Rygle na portalu banicji do Świata Mroku nigdy nie zostały naruszone. A jeżeli to tylko pozory, bo rzeczywiście portale są połączone i mógł je oba otwierać?

– Lęk. – Marg podniosła wzrok znad mapy. – Może to lęk przed tym, co znajduje się za portalem, zamknął usta tym, co byli tutaj przed nami i zniechęcił ich do pisania. Może oni zniszczyli wszelkie źródła mówiące o tym, co budziło ich strach po drugiej stronie. A może życie tam jest takie ponure, że pochłonęło światło.

– Mówi się, że Odran, gdy go wypędzono, wpadł do Świata Mroku – przypomniała im Aisling. – I błąkał się tam przez stulecia, zanim znalazł drogę do wyjścia.

– I to mogła być ta droga – zauważył Keegan. – Niech uczeni przejrzą wielką bibliotekę w poszukiwaniu choćby zdawkowych informacji. Odran uważa Stolicę za ostoję trwałości i siły Talamh, więc na jego miejscu przede wszystkim ją bym zniszczył.

– To nie tak – zaprzeczył Harken – Stolica jest jedynie symbolem prawa i sprawiedliwości. Siłą Talamh jest jego serce.

– Nigdy nie pokona jego serca. Sedricu, mógłbyś jeszcze raz spróbować się rozejrzeć?

– Tak, naturalnie. Zrobię, co w mojej mocy. Wtedy byłem młody, miałem więcej werwy, za to teraz jestem mądrzejszy.

– Zabiorę się z tobą. – Marg wzięła go za rękę. – Pomogę ci. *Taoiseachu*, miej oko na moją chatę, kiedy nas nie będzie.

– Dobrze.

– Słyszę, że chłopcy się obudzili – odezwała się Aisling, wstając. – Zabiorę ich do domu, dalej od tych wojennych knowań.

– Będę jeszcze przez chwilę potrzebował Mahona.

– Wiem. – Przesunęła palcami po warkoczu wojownika swojego męża. Drugą dłoń trzymała na brzuchu, gdzie rosło ich dziecko. – Jestem z tobą, *mo dhearthair*. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Kiedy wyszła, Breen podniosła się z krzesła.

– Dajcie mi kilka minut, muszę skontaktować się z Marco. Nie wiem, jak długo tu będę. Umówiliśmy się, że weźmie Fafla nad zatokę.

– Już jesteś wolna. Potrzebuję Mahona, żeby mi pomógł ustalić, kogo i gdzie wysłać na wartę, no i Sedrica, bo może wie o portalach, których nie znamy. Kiedy już wszystko ustalimy, wezwę cię na spotkanie naszej Rady.

– Ja też już nie jestem dłużej potrzebna. Idę z tobą. Szczęśliwej podróży – Morena zwróciła się do Marg i Sedrica. – I udanego polowania.

– Szybko wracajcie do domu. – Breen wyściskała ich oboje. – Uważajcie na siebie. Szukajcie drzewa z węży. – Cofnęła się gwałtownie. – Nie mam pojęcia, co to znaczy. Wiem tylko, że powinniście je odnaleźć.

– W takim razie będziemy go szukać.

– Węże? – podchwyciła Morena, gdy wyszły z Breen na zewnątrz. – Drzewo z węży?

– Nie wiem, ale jest w tym coś niepokojącego. To chyba niemożliwe. Na pewno już dawno ktoś zauważyłby drzewo z węży.

– Masz rację. Keegan wysłał mojego ojca i braci. Tatę, bo on wiele razy wyjeżdżał do innych światów. A braci wyznaczył do pilnowania.

– Martwisz się o nich.

– Nie wolno mi. – Morena, żeby odsunąć od siebie niepokojące myśli, wyciągnęła ramię, a Amisz poderwał się z gałęzi i siadł jej na rękę. – Oni są, kim są, i robią, co do nich należy. Jeżeli Odran nas napadnie, też chwycę za miecz. Dorastałam ze świadomością, że taki dzień może nadejść. I tyle. – Uniosła ramię i jastrząb wzbił się w powietrze. – Cieszymy się dzisiejszym dniem. Zobacz, jak Amisz pięknie wygląda w locie. Spędzimy czas z twoim mądrym psem i naszym przyjacielem. Keegan zatrzyma Mahona na cały wieczór, a może i noc. Harken idzie do Aisling, dotrzy-  
mać jej towarzystwa i pomóc przy chłopcach.

– To jeden z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam – stwierdziła Breen.

– Tak, ma wiele zalet. Kocham go – wyznała Morena wprost. – I dzisiaj spędzę noc w jego łóżku, bo oboje tego potrzebujemy. Ale najpierw wproszę się do ciebie na kolację.

– Jasne. Zawsze jesteś mile widziana.

– Ciężko mi, że nie mogę powiedzieć dziadkom, o czym dzisiaj rozmawialiśmy. To kolejny powód, dlaczego nie chciałabym być na miejscu Keegana. A ty nie możesz nic powiedzieć Marco.

– Wiem i rzeczywiście nie jest mi łatwo.

– Jeszcze zdążą się zmartwić, bo wkrótce będziemy musieli wyjechać i wtedy się dowiedzą. A więc... – Amisz zatoczył koło i wrócił do niej. – Zobacz, twój mądry pies chlupie się w wodzie z Syrenami, a kolejny dobry człowiek siedzi na brzegu i przygląda się ich zabawie. Spędzimy z nimi resztę tego ładnego dnia, prawda?

– Tak jest. Moreno, nie masz pojęcia, jak ja się cieszę, że ciebie mam.

– Mamy siebie nawzajem. – Morena, idąc, lekko szturchnęła ją barkiem. – Jak myślisz, co on zaserwuje nam na kolację?

Syreny podrzuciły rybę, a Marco usmażył ją w chrupiącej panierce i zrobił frytki. Jedli we troje, ogień płonął w kominku, w tle cicho grała muzyka, drżały lekko płomienie świec.

Prosty posiłek i swobodna rozmowa pozwoliły Breen na jakiś czas uwolnić się od myśli o mściwych, zapewne psychopatycznych Elfach i krwiożerczych bogach. Z wielką radością patrzyła, jak między dwojgiem jej przyjaciół z różnych światów znikają bariery i zawiązuje się prawdziwa przyjaźń.

– Znam rybę z frytkami. – Morena, kończąc dokładkę, kiwnęła widelcem w stronę Marco. – I zdecydowanie stwierdzam, że twoja była najlepsza ze wszystkich, jakie jadłam i w Talamh, i po drugiej stronie.

– Pierwszy raz robiłem rybę złapaną przez Syreniątką. Być może to podkreśliło smak.

– Polubiły cię i pewnego irlandzkiego spaniela wodnego.

– Którego, chyba pierwszy raz w życiu, wykończyła zabawa – wtrąciła Breen i z uśmiechem obejrzała się na Fąfla śpiącego przed kominkiem.

– Wkrótce oszczeni się suczka kuzynki Clancy’ego na Głębokim Zachodzie. Myślę o tym, żeby zaproponować jej coś na wymianę za szczeniaka dla Harkena. Zeszłej zimy stracił Angel. Była słodką psiną i Harken jakoś nie może się przełamać, żeby wziąć nowego psa. Ale brakuje mu zwierzaka kręcącego się po domu. Przyjmie szczeniaka w prezencie i natychmiast się w nim zakocha – zapewniła Morena.

– Hmm.

Zaśmiała się i odwróciła do Marco z kuflem wzniesionym jak do toastu.

– Nie przeczę, mam słabość do mojego faceta, ale gdybyś wolał kobiety, bez namysłu rzuci-  
łabym go dla ciebie, skarbie.

– Ze względu na rybę z frytkami?

– Zdecydowanie przeważałaby szalę na twoją korzyść.

– Wiesz, najjaśniejszym punktem w moim życiu, i mówię to serio, był przylot z Breen do Irlandii zeszłego lata. Zobaczyłem takie rzeczy i miejsca, jakie wcześniej znałem tylko z książek i filmów. I nagle znalazłem się w środku tego wszystkiego. Jednak nic nie da się porównać z tym, co przeżywam w Talamh. Poznałem ciebie, Keegana, jego rodzinę, Marg i Sedrica, pomieszkałem w zagrzebistym zamku, nauczyłem się jeździć konno, odkryłem, że moja najlepsza przyjaciółka jest wiedźmą. A spotkanie Briana? To wisienka na najlepszym torcie z całej historii tortów.

– Cieszę się razem z tobą. – Morena oparła podbródek na pięści. – Szalejesz za nim, co?

– Chyba tak. Diabli, nie ma żadnego „chyba”. Zwariowałem na jego punkcie. Miałem nadzieję, że zjawi się na kolację.

Breen stłumiła małe ukłucie poczucia winy, że nie wolno jej wspomnieć o zebraniu rady.

– Pewnie Keegan wysłał większość smoczych jeźdźców na rozeznanie, czy jak oni to nazywają. Rano miałam okazję chwilę z nim porozmawiać – znaczy z Brianem – wiem, że to szaleństwo jest obopólne.

– Rozmawiałaś z nim? O mnie? I co powiedział?

Pokręciła palcem w powietrzu, naśladując ruch klucza.

– Przykro mi, szczegóły zamknięte w skarbcu.

– Hej, no co ty!

– Ogólnie mówiąc. – Podniosła się, nachyliła nad nim i cmoknęła go w czoło. – Kocha cię miłością tak cikliwą jak w tych filmach w święta na kanale Hallmark i mocną jak zbroja Iron Mana. Więc już go lubię, a ponieważ ty zrobiłaś najlepszą rybę z frytkami w dwóch światach, ja posprzątam po kolacji.

– Pomogę ci, ale o co chodzi z tym Hallmarkiem, kim jest Iron Man i dlaczego jego zbroja jest taka mocna?

– Zostań z Marco. Wszystko ci wytłumaczy, a ja umyję naczynia.

– Dobra – zaczął. – Prędzej czy później pojawisz się po drugiej stronie i wtedy obejrzymy parę świątecznych filmów na którejś z platform streamingowych, no i naturalnie *Iron Mana* – wszystkie części – a także *Avengers*. Ponieważ musimy z tym poczekać, streszczę ci z grubsza ich treść.

Breen z przyjemnością słuchała, jak Marco opisuje Morenie fabułę popkulturowych gniołów. Bawiły ją pytania i reakcje dziewczyny. Historie o superbohaterach wyraźnie bardziej ją pociągały od cukierkowych romansów.

Marco, zdaje się, zamierzał w przyszłości pokazać jej próbkę obu gatunków na codziennych wieczorach filmowych.

Po wyjściu Moreny Breen wzięła Fąfla do sypialni, umościła się z tabletem na łóżku i słuchała, jak na dole Marco próbuje na harfie jakąś melodię. Komponuje, czekając na Briana, pomyślała. Tak, obaj słodcy i silni. Kto nie chciałby ich obu mieć w swoim życiu?

Kiedy na powrót zaczęły ją nękać ponure myśli, postanowiła odsunąć je od siebie choćby na krótki czas. Skupi się na blogu, a jutro wstawi zdjęcia i opublikuje post. Dzięki temu zaoszczędzi czas na pisanie. Za kilka dni, najdalej za tydzień powinna mieć gotową roboczą wersję powieści. To całkiem prawdopodobne. Odłoży ją wtedy na bok i powróci do niej dopiero po ukończeniu drugiego tomu o przygodach Fąfla.

Czyż to nie cudowne, że może wypełniać poranki tym, co zawsze chciała robić? Odran jej tego nie odbierze. Cokolwiek wydarzy się w przyszłości, teraz był czas, w którym robiła coś wyłącznie dla siebie. Będzie miała własną powieść, nawet jeżeli nikt nie zechce jej wydać. I świadomość, że nad nią pracując, dała z siebie wszystko.

Jeżeli Odran wdrze się do Talamh, wyciągnie łapy po nią i po Fey, ona zrobi, co w jej mocy, żeby go powstrzymać. Da z siebie wszystko.

Podbudowana tymi myślami, z zapalem zabrała się do pisania bloga. Kończyła post, kiedy Fąfel czujnie postawił uszy. Teraz i do niej dotarł charakterystyczny łopot smoczych skrzydeł. Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Przeżyła moment rozczarowania, rozpoznawszy smoka Briana. A przecież takie myśli też powinna od siebie odsuwać.

Łatwo powiedzieć, stwierdziła, widząc Marco wychodzącego na spotkanie Brianowi, patrząc, jak wpadają sobie w objęcia. Ich powitalny pocałunek wydarł ciche westchnienie z jej gardła.

– Wiesz co, Fąfel, oni naprawdę fajnie razem wyglądają. – Ponownie westchnęła i pogładziła psa po kudłatym czubie, kiedy jej najlepszy przyjaciel i jego miłość, trzymając się za ręce, skręcili w stronę zatoki.

– Spacer o północy. Jak nastrojowo. Marco spotkał kogoś, kto rozumie, co to romantyczność. Wcześniej kiepsko lokował uczucia. – Spojrzała na Fąfla. – Mogłabym ci opowiedzieć kilka historii. Ale chyba tym razem los okazał się dla niego łaskawy, co, Fąfel?

Przez chwilę prowadziła ich wzrokiem.

– Dajmy im trochę prywatności. – Odeszła od okna. – Muszę dokończyć post.

Gdy wycofała się w głąb sypialni, FaceTime zasygnalizował połączenie.

– To Sally! – Klapnęła na łóżko i nacisnęła ikonkę: – Sally! W samą porę, nawet nie wiesz,

jak... Kurde, jaki odlot, wyglądasz niesamowicie!

Potrząsnął kudłatą czerwoną peruką i przekrzywił głowę.

– Mówisz?

– Normalnie powalasz. Wyglądasz cudownie, seksownie, uwodzicielsko.

– To nasz ukłon w stronę lat osiemdziesiątych i wielkich gwiazd tamtej dekady. Nie było cię wtedy na świecie, dziecino.

– Zrezygnowałaś z wielkiej roli Cher?

– Chcę pomieszać style, wypróbować coś nowego. Więc trafiam ich moim najlepszym strzałem.

– Och jasne, wiem! To Pat Benatar. Będziesz wielki!

– Chodzi mi po głowie Tina Turner, ale będzie ciężko. Jednak ktoś musi to zrobić, a knajpa należy do mnie. Skoro mowa o „cudownie”, właśnie patrzę na taką twarz. Cudowną i szczęśliwą. Tęsknię za tobą.

– Ja też. Naprawdę bardzo mi ciebie brakuje. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że dzwonisz.

– Pomyślałem, że może akurat zastanę ciebie i Marco w domu. Gdzie mój chłopak?

Breen zerknęła na okno.

– Na randce. Mówił ci, że kogoś poznał?

– Rzucił mi i Derrickowi garstkę okruchów, ale nie poczęstował całym ciastkiem. Tydzień temu, czy jakoś tak, poznał kogoś na imprezie. To z nim teraz jest?

– Tak. Z Brianem. Sally, oni są w sobie zakochani.

– Hmm. – Breen patrzyła, jak jej rozmówca nalewa wina do kieliszka. – Szybko.

– Raczej, ale to prawdziwe uczucie. Nigdy nie widziałam takiego szczęśliwego Marco. Ani też nie widziałam go z kimś, kto w pełni go akceptuje i kocha takim, jakim jest. Czuję się winna, że Marco wyjechał ze mną tak bez uprzedzenia. Zupełnie jakbym ci go ukradła.

– Nie bądź niemądra. Cieszy mnie, że masz go przy sobie. I jestem zadowolony, bo patrząc na ciebie, widzę, że to, co tam znalazłaś, daje ci szczęście i spełnia twoje marzenia.

– To prawda. Marzyłam o pisaniu i tutaj mi to wychodzi. Odkryłam też w sobie pragnienia, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

– Codziennie czytamy z Derrickiem twój blog. Znajduję tam to, czego jako twoja honorowa mama, zawsze dla ciebie chciałem. Widzę, że jesteś silna i szczęśliwa. Wyjazd i pisanie sprawiły, że się otworzyłaś i nabrałaś pewności siebie.

– Zmieniłam się.

– Nie, skarbie, nie zmieniłaś się. Ty siebie odkryłaś. – Sally machnął ręką i napił się wina. – Skończmy z tym, bo się wzruszam, i nie daj Boże, rozmażę zabójczy makijaż oczu z lat osiemdziesiątych.

Serce Breen przepęłniała miłość.

– Skąd wiedziałaś, że bardzo cię dzisiaj potrzebowałam?

Postukał palcem w czoło poniżej pierzastej grzywki.

– Instynkt macierzyński. A co z Keeganem, tym ognistym i czarującym Irlandczykiem? Nadal się widujecie?

– Hmm, tak. Ale nie tak często jak Marco z Brianem. Oboje jesteśmy bardzo zajęci.

– Nikt nie jest aż tak zajęty, żeby nie znaleźć czasu na miłość, seks czy choćby przelotny romans. A właściwie czym on się zajmuje? Nie pamiętam, abyś o tym mówiła.

Sprytnie, pomyślała. Sally potrafił przejrzeć jej kłamstwa na wylot.

– Och, on jest kimś w rodzaju lidera. Przewodzi dużej grupie.

– Poważnie? – Sally zamilkł i poprawił nadjedzoną szminkę na ustach. – Nie wydawał mi się typem menadżera. Z tego, co mówiłaś, rozumiałem, że ma coś wspólnego z rolnictwem.

– Tak. Keegan razem z bratem i siostrą są właścicielami rodzinnej farmy i on często tam się zatrzymuje, ale w zasadzie urzęduje na wschodzie. Podróżuje tam i z powrotem. Ma mnóstwo obowiązków. Bardzo poważnie je traktuje. Ludzie na nim polegają, a on czuje się za nich odpowiedzialny.

– Dobrze wiedzieć. Czuję do niego sympatię, ale muszę dbać o moją dziewczynkę, nawet z daleka. Tak sobie myślę, że jeżeli ty i Marco zostaniecie tam do lata, namówię Derricka i razem was odwiedzimy.

– Naprawdę? – Przebiegła przez nią fala radości przemieszanej z paniką. – Przylecieliście



do Irlandii?

– Tęsknię za moimi dziećmiakami i muszę sprawdzić na własne oczy, czy ta historia z Brianem dobrze rokuje. Chciałbym też poznać twoją babcię.

– Pokochałaby ciebie, a ty ją.

Coś wykombinuje, postanowiła. Jakoś to ogarnie.

– Pogadamy o tym innym razem. Jeszcze jedna sprawa, zanim ruszę mój zgrabny tyłek wciśnięty w skórzane spodnie. Skoro zamierzacie tam dłużej siedzieć, to chcę zatrudnić dziewczynę do baru. Jest bystra i traf chciał, że pochodzi z Irlandii.

– Serio?

– Nie z tych waszych okolic Galway, ale z samego Dublina. Meabh świetnie sobie radzi, zupełnie jakby się urodziła za barem. Może zechcielibyście podnająć jej swoje mieszkanie?

– Och, nigdy nie myślałam, ale... To ma sens.

– Przyślę wam jej referencje. Możecie ją sprawdzić, chociaż ja już to zrobiłem, bo nie zatrudniamy byle kogo U Sally.

– Jasne, dzięki, ale skoro ty jej ufasz, to ja też. Porozmawiam z Marco. Dobry pomysł. Powinniśmy sami na to wpaść. Mieszkanie bez sensu stoi puste.

– Możecie albo podnająć je umeblowane, albo jeśli wolicie, spakujemy i przechowamy wasze rzeczy.

– Nie, w porządku, niech meble zostaną. Przydadzą się Meabh. Jutro pogadam z Marco. Dzięki, Sally. Ucałuj ode mnie Derricka.

– Nie omieszka. Kochamy cię. Do usłyszenia wkrótce.

– My też was kochamy. Rzuć publiczność na kolana.

Sally puścił oko.

– Na to liczę.

Gdy się rozłączył i już miała wrócić do bloga, usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Została je uchylone i zobaczyła Keegana, jak przykucnąwszy na progu, drapał Fąfla za uchem.

– Drzwi były otwarte, ale nie chciałem ci przeszkadzać.

– Odezwał się Sally. – Odłożyła tablet na łóżko i wstała. – Nie słyszałam, kiedy wszedłeś. Jeżeli chcesz porozmawiać o tym, co wcześniej, możemy zejść na dół. Zrobię herbatę albo dam ci piwo.

Wszedł do środka i nie odrywając od niej oczu, zamknął za sobą drzwi.

– Mam dosyć rozmów jak na jeden dzień.

Spacery w świetle księżycy nie leżą w jego charakterze, pomyślała. A jednak widok, kiedy tak stał i patrzył na nią wyczekująco, miał w sobie coś romantycznego.

Zostawia jej wybór.

– Zabawne, bo ja też.

Wybrała, podchodząc do niego.

## Rozdział 28

Obudziła się o brzasku, zdziwiona, że nadal tu był. Zaskoczyło ją pragnienie, aby został dłużej i mogli razem spędzić dzień, nie myśląc o obowiązkach i problemach. Jednak to nie leżało w jego naturze, a ona też miała swoje obowiązki i sprawy na głowie.

Podniosła się w sypialni pełnej cieni, żeby zacząć poranną rutynę, a wtedy on przytrzymał ją za rękę.

– Jeszcze chwilę. Czasami dzień zaczyna się za wcześnie.

– Oj tak.

Machnął wolną ręką w stronę kominka i ogień natychmiast ożył.

– W pościeli jest ciepło, ale jak wstaniesz, poczujesz chłód. Poleżałbym jeszcze i ciebie też namówił, gdyby świat zechciał się zatrzymać na jeden cholerny dzień. Niestety, nie chce.

Usiadł i odgarnął włosy.

– Muszę lecieć do Stolicy. Pewnie powinienem zostać tam na noc, zamiast wracać tutaj. Nie wiem, czy przylecę wieczorem.

Usiadła obok niego, roztarła jego ramię, a potem swoje.

– Bez napinki. – Spojrzał na nią, unosząc brwi. – To takie powiedzenie – wyjaśniła, wstając.

– Tak. Chyba wiem, co to znaczy.

Naga, postanowiła od razu wskoczyć w strój do ćwiczeń. Wystarczy, że potem idąc na poranny spacer z Fąflem, narzuci kurtkę.

– Za to widzę napinkę u Marco i Briana.

– To fakt.

Przyglądał się, jak naciąga legginsy i wkłada stanik sportowy.

– Podobają mi się te rzeczy, w które się ubierasz do ćwiczeń.

Obejrzała się przez ramię.

– Bo są praktyczne i dostosowane do konkretnego celu?

– To też, ale nie tylko dlatego. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym przed drogą skorzystać z twojego prysznica.

Podeszła i przysiadła na krawędzi łóżka.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Umówmy się, że kiedy tu przyjeżdżasz, kiedy śpię z tobą i zostajesz do rana, nie pytasz, czy możesz wziąć prysznic, coś zjeść, napić się kawy czy herbaty.

– Nie chcę zachować się arogancko.

– Bywasz niecierpliwy, często gwałtowny, od czasu do czasu despotyczny, ale nie jesteś arogancki.

– Chyba byłem arogancki wobec niej. Mówię o Shanie. Oczywiście to jej nie usprawiedliwia, jednak kiedy spoglądam wstecz, widzę, jak zuchwale zakładałem, że oboje wiemy, na czym nam zależy, czego między nami nie ma i nigdy nie będzie.

– Nie jestem Shaną.

– Nie, nie jesteś do niej podobna. Ani do nikogo. Inaczej nie byłbym z tobą, taka prawda. Nie powinienem mieszać różnych spraw, ale się stało. Troska o twoje bezpieczeństwo powinna wynikać jedynie z potrzeby obrony mojego i twojego świata, a także wszystkich pozostałych. Tymczasem jest inaczej i nie da się tego cofnąć.

Takie wynurzenia też raczej nie leżały w jego charakterze, ale stłumiła chęć, aby rozwiać jego rozterki.

– Aha, więc jak mówisz, wszystko od ciebie zależało. A ja nie miałam tu nic do powiedzenia.

– Rzeczywiście, to było aroganckie – przyznał, wstając. – Masz bystry i lotny umysł. Podziwiam cię za to.

Podszedł nagi do okna.

– Ponad połowę życia jestem *taoiseachem*. Do śmierci będę nosił buławę oraz miecz i bronił

Talamh. Odran może mnie pozbawić życia wcześniej, niżbym chciał.

– Nie mów tak. W ogóle tak nie mów.

Obejrzał się na nią.

– Nie boję się umrzeć za mój świat, za moich ludzi. Noszę warkocz wojownika i przysięgałem poświęcić życie, jeżeli zajdzie taka potrzeba, jak kiedyś mój ojciec, a potem twój. Wcześniej nie znałem strachu, a teraz go czuję, choć nie powinienem, bo boję się, że może spotkać cię coś złego. I nie mówię tego w imieniu Talamh, tylko swoim własnym.

– I dlatego raz za razem rzucasz mnie na ziemię i obrażasz, gdy walczymy na miecze. Drwiesz z moich umiejętności łuczniczych.

– Nie masz daru do łucznictwa i rzeczywiście, jeżeli mi się uda, kładę cię na ziemię. Ale z mojego punktu widzenia to nie arogancja, lecz coś wręcz przeciwnego.

– Ja, podobnie jak ty, kiepsko sobie radzę z budowaniem relacji i dlatego cię rozumiem. A to, że mimo wszystko nawiązało się między nami coś osobistego, sprawia, że oboje stajemy się silniejsi.

– Skąd taka myśl?

– Bo to tak się dzieje, gdy ci na kimś zależy. Idę na dół. Wypuszczę Fąfla i zrobię kawę.

Dziwne, pomyślała, kiedy Fąfel puścił się biegiem po schodach, zostawiając ją w tyle. Nigdy w życiu nie odbyła bardziej romantycznej rozmowy. Nie do końca wiedziała, co to o nich obojgu mówiło, ale była zadowolona.

\*

W zimnym, ani na moment niesłabnącym deszczu Keegan doleciał do Stolicy. Na jego prośbę miał się spotkać z matką w sali obrad Rady. Na razie tylko we dwoje.

Kiedy wszedł, podniosła się z posępnym wyrazem twarzy.

– Przemokłeś – zauważyła, nalewając mu herbaty.

– Dzięki. – Odebrał od niej kubek.

– Uwin z Gwen opuścili stolicę godzinę temu. Znalazłam dla nich chatę w środkowej części Talamh. Ciche, spokojnie miejsce. Wzięli swoje konie i dobytek, na początek zaopatrzyłam chatę w jedzenie i wyposażyłam w niezbędne sprzęty. Słusznie postąpiłeś, odsyłając ich. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Wiem, to nie była łatwa decyzja, ale miałeś rację. Tak jak ja słusznie zrobiłam, pomagając im rozpocząć nowe życie.

Pokiwał głową.

– Sedric?

– Razem z Marg już przeszukują las. To bardzo rozległy teren, Keeganie, ale dokładnie go sprawdzają. Dołączyłabym do nich, lecz wiedziałam, że wracasz i chcesz ze mną rozmawiać. Loren oferował pomoc.

Podniósł oczy na matkę.

– Zależy mi na zlokalizowaniu portalu – kontynuowała Tarryn. – Bez dwóch zdań. W głębi duszy wierzy, że jakimś cudem uda mu się uratować Shanę. Nie mam co do tego wątpliwości. W każdym razie chce ją odnaleźć, a jest bardzo biegły w takich sprawach.

– Dobrze. Na niczym zdaniu nie polegamy tak jak na twoim. Wyglądasz na zmęczoną.

– No cudownie, każda kobieta uwielbia takie uwagi.

– Mamo. – Wziął ją za rękę.

– Kiepsko spałam. Teraz, gdy wyprowadziłam Uwina i Gwen w drogę, będę spokojniejsza. Mam troje Elfów na zastępstwo do Rady, przyjrzyj się tym kandydatom.

– Nikogo ze Stolicy.

Tarryn uniosła brwi.

– Sądziłam, że zależało ci na jak najszybszym znalezieniu kogoś, kto zna protokół i procedury.

– Myślę, że przesadnie wsłuchujemy się w opinie tutejszych członków Rady i tych, których niewiele obchodzi sprawy na prowincji. Znam odpowiednią kandydatkę na południu. Jest młoda, ale świeże spojrzenie może się okazać zaletą. I tak muszę polecieć na południe i sprawdzić postęp robót. Porozmawiam z nią.

– Masz na myśli Nilę. Tę, która uratowała dziecko wykradzione rodzinie przez Świętobliwych. Jak ja znam mojego chłopca. Dobry wybór, Keeganie, i liczę, że ona się zgodzi.

– Oszczędziłaś mi czasu, sądziłem, że będę musiał cię przekonywać.

– Ty jesteś *taoiseachem*, a ja tylko matką i twoją prawą ręką. Myślałam, że tym razem przylecisz z Breen. Mogłaby się przydać przy poszukiwaniach w lesie. I przy tworzeniu zaklęcia, nad którym zaczęłam pracować z Marg.

– Zastanawiałem się nad tym, ale chyba zgodzisz się ze mną, że nie należy stawiać wszystkiego na jedną kartę. Być może tamten portal istnieje i Odran rzeczywiście planuje go użyć. Ale są inne portale. Breen ma niedaleko do tego w wodospadzie, z którego wcześniej korzystali, i gdyby coś się działo, mogłaby to wyczuć albo zobaczyć w wizji. Jest też przejście na Głębokim Zachodzie, o którym mówił Sedric. Myślę, że twoja pomoc też by tam się przydała.

– W dolinie? – Uśmiechnęła się do niego. – Szkoda twojego czasu. Jak powiedziałam, znam mojego chłopca. Chcesz mnie skłonić do opuszczenia Stolicy, bo jak podpowiada logika, on najpewniej właśnie tutaj uderzy. A ponieważ nie chcesz mnie oficjalnie odsunąć od pełnienia obowiązków, usiłujesz mi wmówić, że gdzie indziej będę bardziej potrzebna. Nic z tego.

Z góry wiedział, że to przegrana sprawa. Wypił kilka łyków herbaty.

– Mógłbym podać parę mocnych argumentów.

– Zostaw je na inną okazję. Chcesz zwołać Radę?

– Ni cholery. Lecę do przesiąkniętego deszczem lasu.

– W takim razie polecę z tobą.

– Myślisz, że jednak powinienem ściągnąć Breen?

– Chyba będziesz musiał, zanim doprowadzimy sprawę do końca.

Keegan najpierw natknął się na Marg, pracującą z Lorenem i Elfem. Wolałby, aby szybciej się uwijali, lecz świadomość, że dokładne, precyzyjne działanie wymaga czasu, wygrała ze zniecierpliwieniem.

Podzielili ogromną połąć lasu na sektory. Dzień wcześniej się okazało, że przeszukanie takiego sektora zajmuje godzinę, a nawet dłużej.

– Szłoby szybciej – zaznaczyła Marg – gdyby nie zakłócenia. Nagromadziło się tutaj sporo energii, słychać bicie wielu serc i echa wielu mocy.

Stali na deszczu pod niebem zaciągniętym grubą warstwą chmur. Powietrze pachniało mokrymi sosnami i ziemią nasiąkniętą wodą. Marg, podobnie jak matka, była w ciepłym swetrze, grubych spodniach i wysokich butach. Obie chroniły przed chłodem i deszczem peleryny z kapturem.

Marg uniosła ramiona, poruszyła nimi i w powietrzu pomiędzy jej rękami pojawiła się mapa lasu podzielonego na sektory.

– Zobacz, zaznaczyliśmy te już sprawdzone.

– Jednak jest postęp.

– Owszem. – Uśmiechnęła się nieznacznie, dobrze go znając. – Mozolny. My działamy tutaj, a Sedric na północy. Z pozostałych, których wyznaczyłeś – empatą Glenn i młody Hybrid, ehmm... Nail obstawiają wschód, a Phelin McGill z drugim empatą zachód. Elfy, jak nasz Yoric tutaj, są gońcami.

– Nie widzieliśmy niczego, co przypominałoby drzewo z węży – wtrącił Yoric.

– Jasne, będziesz miał szczęście, jeśli w tej szarzyźnie zobaczysz własną dłoń przed nosem. Zanim polecę na południe, przeczesez z matką te kwadraty na środku. Nawet jeśli sprawdzimy tylko jeden czy dwa, już ubędzie roboty.

A może ich cały wysiłek w ogóle nie ma sensu, pomyślał, poruszając się z Tarryn w strugach deszczu. Ot, historia sprzed nie wiadomo ilu lat, opowiedziana przez starego czarodzieja młodemu kotołakowi.

Jednak popracował trzy godziny, a potem posłusznie zjadł posiłek, bo nawet jako dorosły mężczyzna nie bardzo potrafił sprzeciwić się matce.

Poleciał na Crodze na północ, gdzie mroźne powietrze najpierw zmieniało krople deszczu w lodowe igły, a później w śnieżną kurzawę. Zsiadł z Crogi na wysokich klifach wzdłuż morskiego brzegu i natychmiast zapadł się w śnieg po cholewy wysokich butów.

Tutejszy portal otwierał się na świat, który odwiedził tylko raz, i to przelotnie, bo rozczarował go przesadnym poleganiem na maszynach, brakiem więzi między mieszkańcami i niechęcią do obcych.

W tamtym świecie nie odnotowano istnienia innych portali, toteż wątpił, aby Odran mógł

najechać ich z tej strony.

Niemniej na klifie czuwało sześciu strażników.

Na dużej płaskiej skale płonęło ognisko. Bijący stamtąd żar zdawał się topić jego zmrożone kości. Z nieba sypały grube, płaskie płatki śniegu, którymi wiatr miotał, gdzie chciał.

A mimo wszystko Hugh, który dowodził dzienną zmianą, przywitał go z szerokim uśmiechem na czerwonej twarzy.

– Ładny dzień mamy tu w górach.

– Każdy tyłek w promieniu ośmiu kilometrów jest zamrożony na kość – odparował Keegan.

– Akurat, krew górali jest na to i za gęsta, i za gorąca. Nic się nie dzieje. Zgodnie z rozkazem, co godzinę któryś z nas przekrada się na tamtą stronę. Obchodzimy tych po drugiej stronie tyle co zeszłoroczny śnieg, zresztą z wzajemnością.

– Jednak, Hugh, bądźcie czujni.

– Tak jest. Jestem wdzięczny za służbę tutaj, bo mój dom znajduje się... hmm, nie widać go teraz przez śnieg, ale on stoi tuż u podnóża gór. Kiedy schodzę z warty, od razu wpadam w objęcia żony i dziecka.

– Niech cię żona rozgrzeje przez noc – rzucił Keegan, wsiadając na Crogę.

– Nie narzekam.

W drodze na południe Keegan przeciął Talamh, zatrzymując się przy każdym z portali. Zostawił za sobą śnieg i zjadliwe zimno (dzięki bogom) i z powrotem wleciał w deszcz z rzadkimi przebłyskami słońca w gęstej mgle.

Robił przystanki na polach, w lesie i nad brzegiem jeziora, które ze względu na niewielką powierzchnię nazwano Lough Beag. Przelatując nad doliną, postanowił zajrzeć na farmę. Deszcz przeszedł w mżawkę, słońce nieśmiało wyglądało zza nabrzmiałych deszczem chmur.

Harkena znalazł w stodole, akurat ostrzył lemiesz. Inne rolnicze narzędzia oraz trzy miecze czekały na swoją kolej na warsztatowym stole.

– Na północy pogoda lodowata jak dupa nieboszczyka, przez wschód przeleciałem mokry jak szczur, w środkowej części taka mgła, że nie przeciąłbyś jej nawet siekierą.

– A tutaj ciepło i w miarę sucho.

Keegan zdjął czajnik z pękatej kozy i przelał wrzątek przez sitko z herbacianymi liśćmi.

– Zjesz coś? – zapytał Harken, gdy Keegan z herbatą przysiadł na beczce.

– Nie, dzięki. Przed wylotem ze stolicy nasza matka wmusiła we mnie posiłek. Mam niewiele czasu, chciałem tylko sprawdzić, co tutaj słychać.

– Cisza. Rozmawiałem z Brianem, gdy wracał z tamtej strony. Na razie Breen i Marco tam zostaną i będą czekać na wezwanie. Oboje mają tam coś do roboty.

Harken miarowymi, pewnymi ruchami przeciągał ostrzem po osetce.

– Czuję, że pijesz do mnie. Keeganie, jak już ci powiedziałem, wiem, gdzie jestem potrzebny. Mówię o farmie. Jeżeli widziałbyś mnie gdzieś indziej, po prostu powiedz.

– A ty tam pojedziesz. – Keegan wysączył długi łyk herbaty. Czuł, jak ciepło rozchodzi się po całym ciele. Po części to była zasługa gorącego naparu i sąsiedztwa kozy, a po części atmosfery rodzinnego siedliska. – Miałem mnóstwo czasu na myślenie – tak jest kiedy przelatujesz przez cholerne śnieżyce i ulewy, a grad wiadrami sypie się na głowę.

Harken uśmiechnął się nad robotą.

– To luksus i blichtr godności *taoiseacha*.

– Wal się. Wiem, że wielu oddałoby wszystko za tę godność. Ale to rodzina, Harkenie, trzyma mnie w pionie. Ty i Aisling, Mahon, chłopcy, mama. Wiem, że zawsze mogę na was liczyć. I że czeka na mnie to miejsce. Nie pracuję dla niego tak jak ty, ale tak samo go potrzebuję.

– Wiem. – Harken oderwał wzrok od lemiesza i spojrzał w oczy Keegana. – Nie jestem przywódcą jak ty, *mo dhearthair*, ale wiem, że do ciebie należy miecz i buława. I ta świadomość trzyma mnie w pionie.

– Ale twój miecz czeka ostry i gotowy.

– I pług, kiedy naostrzę lemiesz.

– Jeśli bogowie pozwolą, będę ci pomagał na farmie, gdy koło czasu obróci się na nowy rok.

– Podniósł się. – Będę leciał. Muszę sprawdzić jeszcze trzy portale, a potem wrócić do Stolicy. Jeżeli mi się uda, zajrzę do was jutro.

– *Turas sabhailte.*

– Podróż będzie bezpieczna, ale przemoknę do suchej nitki. Harkenie... Jeżeli słusznie podejrzewamy, że Odran przemknął się przez ten portal w Stolicy, którego za cholere nie możemy znaleźć, i nas zaskoczy...

– Nie da rady. – Obejrzał krawędź lemiesza i sięgnął jakieś narzędzie z zakrzywionym ostrzem. – I na pewno obronimy dolinę i nasz dom.

– Ufam, że masz rację.

Kiedy Keegan wyszedł, Harken wrócił do pracy, jednak wyraźnie na coś czekał.

Chwilę później wrota stodoły skrzypnęły i do środka wsunęła się Morena.

– Już tu szłam, ale zobaczyłam Keegana i pomyślałam, że pewnie wolicie porozmawiać na osobności, więc się cofnęłam.

– Tak właśnie było, dzięki ci.

Krople deszczu kapąły z ronda kapelusza, który nałożyła dla ochrony przed deszczem, buty miała oblepione błotem.

Pomyślał, jak za każdym razem, kiedy na nią patrzył, że jest najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek chodziło po świecie. Nie odzywał się i czekał, gdy ona wyraźnie spięta krążyła po stodole.

– Tak nagle i wcześniej zniknęłaś rano – wreszcie pierwszy przerwał ciszę.

– Dziadkowie mnie potrzebowali. Dziadek robi fotel bujany na prezent dla córeczki Bridgie Riley, bo mała kończy roczek przed Julem. A babcia piekła szarlotki na wymianę. Trudno ukrywać przed nimi tę wiadomość o portalu, nawet jeśli to bujda.

– Żadna bujda.

– Skąd wiesz?

– Bo brzmi sensownie.

Sfrustrowana, wyrzuciła ramiona w górę i z jej palców sypnęły czerwone iskierki.

– Ni cholery nie rozumiem, po co mu to. Czemu nie zostawi nas w spokoju? Czy my wchodzimy mu w drogę? Nie. Ma swój świat i może sobie tam panować, jak mu się żywnie podoba. Co zyska, niszcząc nasz? No i czego tak się uśmiechasz?!

– Bo widzę, że specjalnie się nakręcasz, żeby nie powiedzieć, o co ci chodzi. Czemu rano tak nagle wyszłaś, czemu wróciłaś i dlaczego kręcisz się w kółko po stodole, jakby ziemia paliła ci się pod nogami.

– Już ci to tłumaczyłam, a przyszłam, bo liczyłam, że może spotkam Breen.

– Oboje z Marco zostają dziś po tamtej stronie.

– W takim razie wpadnę do nich.

– Nadal nie wiem, czemu tak tupiesz – zauważył, nie odrywając się od pracy.

– Nie tupię. Czego nie wiesz?

– Co tam w tobie siedzi i co cię gryzie. – Odłożył narzędzia i wstał.

– Nie wiesz, co we mnie siedzi, i nie masz prawa tam zaglądać.

– Nie muszę. Wystarczy popatrzeć ci w oczy. Uwielbiam twoje oczy – wyznał, zbliżając się do niej. – Niezmiennie kocham to, co w nich widzę, i bardzo czekam na to, co teraz tam widzę. Kocham cię, Moreno. Od dawna cię kocham i będę kochał do końca moich dni.

– To nie czas na rozmowy o miłości. To, co nadchodzi, a czuję, że myślisz podobnie jak ja, będzie straszne.

– Owszem i dlatego nie ma lepszego czasu na rozmowy o miłości. Bez niej brakuje napędu do życia. Pozostaje jedynie przetrwanie, a to za mało. Już nadszedł czas.

Ujął jej dłonie i gdy niezbyt przekonująco spróbowała je wyrwać, podniósł do ust.

– Czas na co? Żeby walczyć? Oczywiście, że chwycę za miecz, jak my wszyscy. To bez...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

– Kurczę, kiedy między nami się zaczęło, myślałam, wierzyłam, że szybko będziemy mieli siebie dość. Znudzimy się sobą i z powrotem zostaniemy jedynie przyjaciółmi.

– Zawsze będę twoim przyjacielem i nie tylko. Czekałem, aż nadejdzie czas, i właśnie ta chwila nadeszła. Moreno Mac an Ghail, czy przyrzekasz mnie kochać, tak jak ja kocham ciebie? Czy zgodzisz się mnie poślubić i związać swoje życie z moim?

– Jestem w tobie idiotycznie zakochana. Czasami mnie to wkurza.

– Wiem, no cóż, tak wyszło.

- Ale nie dam się zapędzić do kuchni.
- Będę ci za to wdzięczny, bo fatalna z siebie kucharka.

Musiała się roześmiać.

– Fatalna ze mnie kucharka. Wiesz, wtedy na tej naszej Radzie siedziałam przy stole i nie sądziłam, że kiedykolwiek zadasz mi te pytania. Siedziałam, słuchałam tego, o czym wszyscy od dawna wiemy, i myślałam tylko o jednym: czemu uciekam od tego, co czuję i pragnę w głębi serca, kiedy dokoła nas jest tyle ciemności? Szkoda czasu na gierki. A więc wyjdę za ciebie, Harkenie O’Broin. Chcę spędzić z tobą życie i przyrzekam cię kochać, nawet jeśli będziesz mnie wkurzał.

Objęli się i całowali długo i namiętnie w stodole pachnącej sianem, smarem i tłącym się torfem.

– Urządzimy wesele wiosną. Nie chcę zaczynać życia z tobą w ciemnościach zimy, a wiosna to pora niosąca obietnicę.

– Już nie mogę się doczekać. – Jeszcze raz ją pocałował.

\*

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy brat spełniał swoje marzenie, Keegan zajrzał nad wodospad, zwizytował Głęboki Zachód i zawrócił na południe.

Powietrze ociepliło się, niebo przetarło i potworny ziąb na północy wydawał się złym snem.

Ucieszył się, że z Domu Modlitewnego na wzgórzu nie został kamień na kamieniu. Rzemieślnicy stawiali w tym miejscu obelisk z białego granitu. Na koniec wypolerują go i centralnie na ścianie wyrzeźbią chorągiew z godłem Talamh. U podstawy zbudują staw z płonącym wiecznym ogniem. A powyżej wykują napis w starodawnym języku:

ŻYJCIE W ŚWIETLE, BOHATEROWIE

Każdy, kto go przeczyta, wierzył Keegan, będzie pamiętał o tych, co tu ginęli, i oddawał im cześć. Gdy kołował nad wzgórzem, dołączył do niego Mahon.

– Piękny monument. Sprawia podniosłe wrażenie. Tak jak powinno być.

– Tak. A jak portal?

– Kowen przysięga, że zamki i pieczęć trzymają. Żadnych szczelin ani śladów prób przejścia.

– Pojawią się, jeżeli przedrą się na wschodzie. Widzę, że odbudowa wioski sprawnie się posuwa.

– Strzecharze, cieśle, murarze, kamieniarze; wszyscy dwoją się i troją. Usuwanie śladów po bitwach, odbudowa i wznoszenie nowych domów jest lekarstwem dla duszy. Myślę, Keeganie, że z nieba nad wzgórzem już na zawsze zniknął ponury cień Domu Modlitewnego. Po rozwiązaniu zamierzam przywieźć tutaj Aisling z dziećmi. Chłopcy zobaczą pomnik, a potem będą budowali zamki z piasku na plaży i baraszkowali w morzu.

– Dziś wieczorem możesz polecieć ze mną aż do swojego domu.

– Nadal mamy mnóstwo roboty.

– Wrócisz jutro. Posłałeś po Elfkę?

– Tak. Ściągnąłem Nilę z patrolu. Pracuje teraz z kamieniarzami. Ma rękę do murarki.

– W takim razie porozmawiam z nią. A ty wyznacz kogoś do nadzoru na nocnej zmianie. Nila albo się zgodzi, albo nie, to nie zajmie dużo czasu.

Ku radości grupy dzieciaków bawiących się na płyciźnie posadził Crogę na plaży.

Gdy szedł w stronę kramów i chat, pomyślał, że Mahon miał rację. Znad wioski zniknął ponury cień.

Elfkę znalazł przy odbudowie muru. Na jego widok szybko podniosła się z kucek.

– *Taoiseachu.*

– Dobra robota. Mahon mówi, że masz rękę do murarki.

– Lubię budować. I patrzeć, jak rosną nowe domy. Obelisk już stał się mocnym symbolem.

– Przejdziesz się ze mną kawałek?

– Z chęcią.

– Chcę ci podziękować za świadectwo na Osądzie.

– To była szczerza prawda i mój obowiązek. I nie boję się tego przyznać, również satysfakcja.

Pokiwał głową. Ta młoda, ładna Elfka z warkoczem wojownika, pomyślał, już zdążyła się napatrzeć na bitwy i krew.

– Zastanawiam się, czy nie wzięłabyś na siebie dodatkowego obowiązku.

– Służę Talamhowi.

Przyjął tę deklarację skinieniem głowy.

– Pewnie słyszałaś o Shanie, jej przestępstwach i ucieczce do Odrana.

– Tak, słyszałam. – Twarz Nili stała się twarda jak kamienie, które układała. – Chcesz, żebym przeszła do świata Odrana i ją odnalazła?

Keegan spojrział na dziewczynę.

– Odnalazła?

– Żeby sprowadzić ją na Osąd. Tak mówi prawo.

Właściwa odpowiedź, pomyślał, właściwa, szczerza i dana bez wahania.

– Tak mówi prawo. Nie, nie pošlę nikogo po nią do świata Odrana. Prędzej czy później spotka ją sprawiedliwość. Ojciec Shany był w Radzie, a teraz już go tam nie ma. Chciałbym cię prosić, żebyś zajęła jego miejsce przy stole narad.

Zatrzymała się w pół kroku i patrzyła na niego zdumiona.

– Nie rozumiem, *taoiseachu*. Nie należę do polityków ani nie jestem uczoną.

– Jesteś lojalna, odważna i masz moje zaufanie. Znasz prawo, Nilo, i je szanujesz. Na tym właśnie mi zależy przy stole narad. Twój dom jest na południu, a ja cię proszę, żebyś stworzyła nowy w Stolicy. To nie jest błaha sprawa.

– Stworzę dom, tam gdzie muszę albo gdzie tego zechce moja rodzina. Ale brakuje mi doświadczenia.

– Ja też go nie miałem, kiedy podjąłem miecz z jeziora i byłem wtedy młodszy niż ty. Nilo, masz wybór i moje słowo, że odmowa nie przyniesie ci ujmy.

Rozejrzał się wokół siebie. Niektóre drzewa miały rany po bitwie, tu i ówdzie sterczały jedynie osmalone kikuty pni. Mimo wszystko krajobraz był piękny i jeszcze wypięknije, gdy tchnie się w niego życie.

– Jak ma się dziecko? Ta dziewczynka?

– Alanis? Jest silna.

Odwrócił się do niej.

– Byłaś tam i widziałaś wszystko na własne oczy. I to kolejny powód, dla którego proszę, żebyś dołączyła do Rady. Prawo musi mieć serce i ono ma żywo bić, bo inaczej obróci się w kamień.

– Ja... jestem zaskoczona. Będę zaszczycona, mogąc służyć Talamh i tobie w Radzie. Ale proszę, żebyś wskazał mi kogoś, kto mnie nauczy dobrze to robić.

– Będziesz miała oparcie w mojej matce. Wracam teraz do Stolicy, dopilnuję, żebyś dostała komnatę i wszystko, czego potrzeba. Masz konia?

– Tak, mam, ale szybciej poruszam się na nogach.

– Tak czy owak będziesz potrzebowała wierzchowca. – Wyciągnął do niej rękę. – Jestem ci wdzięczny.

– Mam nadzieję, że cię nie zawiodę.



## Rozdział 29

Nie pojawił się w chacie ani tego, ani następnego wieczoru. Marg przez Widzące Zwierciadło informowała Breen o mozolnych postępach w Stolicy. Od Briana, który zjawiał się przed nocą i wylatywał wczesnym rankiem, słyszała, że Keegan dzień w dzień podróżuje po całym Talamh i godzinami przetrząsa las w poszukiwaniu mrocznego portalu.

Rzuciła się w wir pracy. Pisanie dawało jej poczucie spełnienia, pozwalało nie myśleć o problemach i sprawiało, że nie czuła się beзуżyteczna. Przeżyła szok, kiedy postawiła ostatnią kropkę. Koniec!

Zaraz, wcale nie koniec, uzmysłowiła sobie, patrząc na ekran laptopa. Musi to wszystko przeczytać, zredagować, może coś zmienić, wygładzić. Niemniej to wszystko siedziało w laptopie. Pięćset trzydzieści sześć napisanych przez nią stron.

Wstała od biurka i kręciła się po pokoju. Fąfel uniósł łeb, wyrwany z drzemki na łóżku. Otworzyła przeszkłone drzwi do ogrodu i oddychała głęboko chłodnym powietrzem. Pies, który wyczuł jej radosny nastrój, zamiast popędzić na dwór, wspiął się na tylne łapy i drobił wokół swojej pani.

– Tak jest, zatańczymy. – Wyciągnęła przed siebie dłonie, a on położył na nich łapy. Z oczu wpatzonego w nią pupila biła radość. – W książce zrobiłam z ciebie demonicznego psa, liczę, że nie masz mi tego za złe. Jesteś dobrym demonicznym psem. Niesamowitym, najlepszym w całej historii demonicznych psów. Nie wiem, co teraz mam robić. Ha, no jasne! Pójdziemy pochwalić się Marco.

Zadowolony Fąfel potruchtał za nią do kuchni. Marco siedział przed laptopem przy stole. W powietrzu unosił się zapach przypraw i duszących się pomidorów. Aha, spaghetti z pulpetami, pomyślała.

Idealnie. Wszystko idealnie.

– Hej, dziewczyno – rzucił, nie odrywając oczu od klawiatury. – Prawie skończyłem, gdybyś tak mogła zrobić te czary-mary z kuchenką, moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę. Kto by pomyślał, że odkąd nauczyłem się jeździć konno, będę tęsknił za wycieczkami na końskim grzbiecie. Musisz zrobić sobie przerwę w robocie po dwóch dobach pisania niemal na okrągło.

– Marco.

– Już, już, daj mi dwie sekundy, już kończę. Rozmawiałem z Abby z Publicity o założeniu kont na portalach społecznościowych w imieniu Fąfla, czujesz to? Po nowym roku. No wiesz, żeby ludzie go śledzili.

– Marco – powtórzyła.

– Załatwione. No, o co chodzi? – Podniósł głowę i obejrzał się. – Aha, coś się święci – skomentował, widząc jej minę. Powoli podniósł się z krzesła. – To akurat chyba dobra wiadomość, bo wyczuwam jakieś napięcie wiszące w powietrzu, a ty mi nie chcesz powiedzieć, o co chodzi. Nie chcesz albo nie możesz. I Brian też nie może. Więc mów natychmiast, co jest grane.

– To dobra wiadomość, cudowna, Niewiarygodna. Skończyłam książkę. Powieść. Fantasy. No właściwie, nie całkiem skończyłam, bo...

Parsknęła śmiechem, gdy chwycił ją w pasie, poderwał z podłogi i wykręcił z nią piruet. Fąfel, żeby nie zostawać w tyle, stanął na dwóch łapach i kilka razy radośnie zawył.

– Mimozy! Natychmiast.

– Mimozy? – Zaśmiała się, przytulona do niego. – Nie za wcześnie na alkohol? Dopiero druga po południu.

– Napisałaś cholerną książkę, kolejną cholerną książkę. – Odchylił się i głośno cmoknął ją w policzek. – A więc pijemy!

– Napisałam książkę. Dwie książki. No, może półtorej albo jedną całą i jedną trzecią, bo muszę to wszystko przeczytać, coś dodać, coś ująć, wygładzić albo...

– Dwie książki – orzekł zdecydowanym tonem. – Dziewczyno, jestem z ciebie dumny.

– Masz w tym swój udział. Jak bym sobie poradziła, gdybym sama musiała to wszystko ogarniać? – Wskazała jego laptop z otwartymi plikami. – W życiu nie dałabym rady. A więc mimozy. Czuję, że muszę usiąść. I chyba trochę popłakać.

– Płacz, ile chcesz. – Przytulił ją. – Będę chlipał razem z tobą. Moja Breen.

Fąfel, dotrzymując im towarzystwa, żałośnie zaskowyczał i w tej samej chwili do kuchni weszła Morena.

– Co się dzieje? Czemu płaczecie?

– To płacz rytualny – wyjaśnił jej Marco. – Breen skończyła książkę.

– Och, to super. – Pochwyciła niepewne spojrzenie Breen. – Wszystko w porządku – uspokoiła ją.

– Właśnie wspomniałem Breen, że macie jakieś sprawy, o których nie może mi mówić. W takim razie wezmę Fąfla na spacer.

– Przepraszam, wcale nie musisz wychodzić – odparła Morena. – Nic nie zmieniło się od wczoraj i wszystko wygląda tak samo jak w dniu, w którym tu przyjechałeś. Przyszłam tylko w odwiedziny.

– Masz doskonałe wyczucie czasu, bo właśnie będziemy pić mimozy.

Breen obdarzyła Marco promiennym uśmiechem.

– Znam ten drink. – Rzuciła Morena. – Miesza się sok pomarańczowy z szampanem. Chętnie wzniosę toast za naszą autorkę. Dasz przeczytać, co napisałaś?

– Jeszcze nie całkiem skończyłam. Muszę przejrzeć całość, to i owo poprawić.

– No to poprawiaj, znowu będzie okazja się napić. – Morena zdjęła czapkę i kurtkę. Pociągnęła nosem. – Co tak bajecznie pachnie?

– Spaghetti z klopsikami. – Marco zanim poszedł po szampana, pomieszał sos w garnku. – Zapraszam na kolację. Kurczę, wystarczy tego dla małej armii. Weź ze sobą Harkena i jeśli Keegan się pojawi, zrobimy imprezkę.

– Uwierz mi, bardzo bym chciała, ale lepiej, żebyśmy siedzieli z Harkenem w Talamh.

– Z powodu tego, o czym nie możesz mówić.

– Pozwól, że ja ci to wyjaśnię, bo Breen przesadza z ostrożnością...

– Moreno.

– Wiem, co robię. – Obeszła kuchnię, wciągając nosem powietrze. – O bogowie, co za cuda bulgoczą w tym garnku. *Taoiseach* uformował Radę tutaj, w dolinie, obie z Breen w niej jesteśmy i przysięgaliśmy nikomu nie zdradzać, o czym tam się mówi.

– Okay. – Marco, doświadczony barman, otworzył szampana z lekkim, radosnym stuknięciem korka. – Dajcie mi znać, jeżeli będziecie potrzebować mojej pomocy.

– Jasne.

– U ciebie też coś się wydarzyło. – Breen z uwagą wpatrywała się w twarz Moreny. – Wyczuwam to, ale chyba... nic z tych rzeczy, o których nie możemy rozmawiać.

– Nie, absolutnie nie, liczyłam, że przejdziecie na naszą stronę i wtedy wam powiem. Że sobie pogadamy, ale, kurczę, nie przeszliście.

Marco przestał potrząsać butelką soku pomarańczowego.

– To dobra wiadomość czy zła? Wolę wiedzieć.

– Dobra, jeszcze się z nią nie otrząsałam, ale dobra. Bo widzicie, nadszedł czas. Dotarło to do mnie w trakcie zebrania Rady. – Wyszła z kuchni i zaraz wróciła. – I on, oczywiście, o tym wiedział. Zna moje humory lepiej ode mnie, co zarazem mnie wkurza i chyba cieszy. No więc kłamka zapadła.

– Co? – Marco odstawił butelkę i w geście zniecierpliwienia wyrzucił ręce w górę, bo Breen najpierw się uśmiechnęła, po czym rozplakała. – Może dałabyś mi jakąś odpowiedź, co?

– Zdeklarowaliśmy się. Harken i ja. U was się mówi „zaręczyliśmy się”, ale po naszymu to brzmi bardziej sensownie. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Zanim Breen zdążyła się ruszyć, Marco chwycił Morenę w pól. I tak jak wcześniej z Breen, wywinął z nią piruet przy radosnym poszczekiwaniu Fąfla.

– Dziewczyno! To co, ślub w święta? Kurde, uwielbiam śluby w Boże Narodzenie.

– Nie, nie w zimie – zaznaczyła, gdy Breen objęła ich oboje. – Ma być wiosna, światło, pąki na drzewach i nadzieja. Ja piernicę, chyba zwariowałam, wychodzę za farmera!

– Jesteście dla siebie stworzeni. Idealna z was para! – zawołała Breen. – I masz rację z tą

wiosną. Ona niesie nadzieję i obietnicę, jest jak drzazga wbita w ohydne oko Odrana.

– Nie mogłam się doczekać, żeby wam o tym powiedzieć. Kiedy zwierzyłam się dziadkom, dziadek pobiegł prosto na farmę i ostrzegł Harkena, że ugrilluje go jak pstrąga, jeżeli nie będę z nim szczęśliwa. Babcia uderzyła w płacz, a potem wpadła w szal planowania. Cały czas mówi o sukniach, kwiatkach i takich tam bzdetach. Teraz też albo papla z mamą przez lustro, albo wysyłają do siebie sokoły z wiadomościami. Ja się w to nie mieszam, należy im się trochę ekscytacji, zresztą poradzą sobie z tym wszystkim lepiej ode mnie. – Nabrała oddechu. – Plotę bez sensu, a tak naprawdę chciałam powiedzieć, że jeżeli któreś z was ma jakiś fajny pomysł, to chętnie posłucham. No i zgodnie z tradycją, kiedy składasz przysięgę małżeńską, stoi przy tobie przyjaciel czy przyjaciele. Zgodzicie się chyba, co? – zwróciła się do Breen. – Moja najdawniejsza przyjaciółka i ty, Marco, bo oboje nas łączy przyjaźń z Breen. Staniecie przy mnie?

– No pewnie.

– Lepiej zrobię te drinki, zanim się rozbeczę prosto w sok pomarańczowy – stwierdził Marco, ocierając łzę.

\*

Wieczorem Breen zabrała laptop do sypialni. Równie dobrze może tam pracować, niech Marco i Brian, o ile przyleci, mają trochę prywatności. A ona popracuje nad drugą częścią przygód Fąfla. Kręci ją pisanie tej historii i podtrzymuje radosny nastrój tego dnia.

Może Keegan się zjawi. Poczulaby się pewniej, mając wieści z pierwszej ręki. Z rozmów z Marg wynikało, że pojawiły się wątpliwości co do istnienia tamtego portalu. W ciągu kilkudniowych poszukiwań nie natrafili na najmniejszy ślad czy wskazówkę. Ani nie natknęli się na drzewo z węży. Nie miała pojęcia, o co chodziło z tym drzewem, ale te dwa słowa tak wyraźnie wybrzmiały w jej głowie, że na pewno musiały coś znaczyć. A może nic nie znaczyły. Daremnie szukała odpowiedzi najpierw w ogniu, a potem w kuli.

Nieustanne deszcze na wschodzie utrudniały poszukiwania i zdecydowanie je spowalniały. Ale Marg mówiła, że deszczowe chmury przesuwają się nad morze, więc następny dzień zapowiadał się pogodnie.

Breen zastanawiała się, czy nie powinna przenieść się do Stolicy i włączyć w te poszukiwania. Nie wiedziała, czy takie czekanie na zaproszenie, a może polecenie, było oznaką jej siły czy raczej słabości.

Tak czy owak jutro pójdzie do Talamh i popraczykuje w pracowni babci. Poprosi Morenę albo Harkena o pomoc w nauce. I przygotuje się na to, co ewentualnie nastąpi. Na pewno skupi się na pisaniu i będzie czekać.

Do późna siedziała z laptopem. Marco już spał, kiedy narzuciła szlafrok, wsunęła nogi w wysokie buty i wzięła Fąfla na ostatni spacer pod ciemnym niebem poznaczonym migoczącymi światełkami chochlików.

Gdy wrócili, Fąfel wyciągnął się przed kominkiem, a ona położyła się do łóżka. Rano jeszcze trochę popisze, a potem przejdzie do Talamh, ale wybierze się tam wcześniej niż zazwyczaj. Weźmie Marco na konną przejażdżkę, zajrzą do Finoli, żeby porozmawiać o planach weselnych, później przywoła Lonracha i dla przyjemności przelecą się z Marco na smoku. A potem poćwicz w pracowni i potrenuje na polu.

Wypełni dzień mnóstwem zajęć i jeżeli nic nowego się nie pojawi, poprosi Harkena, żeby pozwolił jej skorzystać z lustra Keegana. On musi znaleźć dla niej czas i przyjąć do wiadomości, że ona chce przyjechać do Stolicy i włączyć się w poszukiwania.

– Drzewo z węży – mruknęła, gasząc lampę. Czy przyszyłoby jej na myśl, gdyby nic nie znaczyło?

Może magiczna aura w pracowni babci podsunie jej odpowiedź.

Jutro, zdążyła pomyśleć i zapadła w sen.

\*

W tym śnie wszystko jest miękkie i piękne, niebo ma najczystszy odcień błękitu. Szemrzący strumyk przecina łąkę, wzdłuż jego brzegów prężą się dumnie fioletowe naparstnice i eleganckie orliki, poprzeplatane kępami gwiazdzistych kwiatków macierzanki. Spaceruje z Keeganem, nad ich głowami fruują motyle, słysząc ptasie trele.

– Jak tu pięknie.

– I spokojnie. – Keegan podnosi jej dłoń do ust. – Nie ma nic piękniejszego od spokoju. Będziemy mieć tysiąc razy tysiąc takich dni jak ten.

– Dobrze, że jesteś. Brakowało mi ciebie i naszych rozmów. Znalazłeś portal?

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Cieszymy się chwilą, cieszymy się ciszą. Oboje lubimy spokój.

– Tak. Myślę, że to nas łączy. – Uśmiecha się, gdy on pochyla się, zrywa jaskier i wsuwa go jej za ucho.

– Nie mamy wielu takich cichych chwil, bardzo nam ich brakuje.

– Miałbym ich więcej, gdybym zrezygnował z buławy i z powrotem wrzucił miecz do jeziora.

– Nie zrobiłbyś tego. Nie mógłbyś.

– Chciałabyś, żebym walczył całe życie i ugiął się pod ciężarem wydawanych wyroków? – Obraca ją ku sobie. – Czy nie wolałabyś, abym był z tobą? Przeszedł do twojego świata i uczynił go swoim?

– Nie możesz...

Przygarnia ją do siebie.

– Mam rozumieć, że nie chcesz, abym postawił ciebie ponad wszystkim? Nikt przede mną na to się nie zdobył. Nawet twój ojciec w końcu wrócił do Talamh. Wybrał miecz i władzę.

– Obowiązek, nie władzę – zaczyna, a wtedy jego wargi obejmują jej usta. Od tego pocałunku wiruje jej w głowie.

– Mógł scedować obowiązki i zostać z tobą. – Wpatrzony w nią, podnosi jej rękę do ust i przyciska wargi do wnętrza dłoni. – Nie wystarczałaś mu.

– To nieprawda, Keeganie.

– Ja wybrałbym ciebie, nie Talamh. – Sunie ustami po jej nadgarstku, wprawiając tętno w szyi w szalony płas. – Poproś mnie.

Jak niewiele brakuje, aby posłuchała go osłabiona pragnieniem.

– Nie mogę.

– Powiedz to, jeżeli mnie kochasz. Powiedz, że mam wybrać ciebie. – Jego dłonie błądzą po jej skórze, wargi stają się gorące i pożądliwe. – Będziemy mieć spokój i ciche chwile. Przesłonisz mi świat. Powiedz to! Ja tego żądam!

– Nie mogę, właśnie dlatego, że cię kocham. Kocham ciebie za to, kim jesteś i co robisz. Przestań. Ranisz mnie.

– Ja ciebie ranię? – Odpycha ją. Na widok jego twarzy wykrzywionej wściekłości serce podchodzi jej do gardła. – Co chcesz osiągnąć tymi jękami? Chcesz mnie zmusić, abym walczył z bogiem o kawałek ukwieconej łąki? Chcesz, abym zginął z jego ręki? Tego mi życzysz?

Pociera dłońmi o swoje boki. Krew chlusta z jego piersi, spływa po ramionach i kapie z palców.

– Nie. Przestań. Pozwól mi pomóc. – Doskakuje do niego i szuka ran, musi je zamknąć.

– Masz moją krew na rękach. Pamiętaj o tym, ty, żalosne dziecko Fey. Zabiłaś mnie.

Zapada ciemność, on znika. Stoi teraz sama z ciepłą, lepką krwią na dłoniach. Nie ma łąki skapanej w słońcu. Otacza ją las, tak zwarty, że drzewa zdają się na nią napierać. Bicie tysiąca serc huczy w jej głowie. Przerażonych, wściekłych i zrozpaczonych serc.

Stoi przed drzewem. Jest czarne jak smoła, ma sękate, powyginane pokrętnie konary. Korzenie wczepiają się w jałową ziemię, nie płyną w nich życiodajne soki. Tak, już rozumie, patrzy na odbicie Powitalnego Drzewa w mrocznym lustrze. Splątane gałęzie zaczynają się poruszać i wić. Syczą.

– Nie! – Z całej siły odpycha ten obraz od siebie. – Nie przedrzesz się!

Teraz słyszy krzyki, łoskot stali, bitewny zgiew. Te odgłosy przybierają na sile.

Biegnie ku nim, jej jedyną bronią jest moc. Wznieca światło i widzi przed sobą drogę zalaną krwią i trupy porzucane między drzewami.

Wychodzi z lasu prosto na płonący zamek. Płomienie pełzną po moście, rzeka wrze.

Croga leży martwy na osmalonej ziemi. Szmaragdowożłote łuski są pomazane krwią i oblepione popiołem. Z jękiem rozpaczy i przerażenia osuwa się przy nim na kolana.

Zbliża się do niej Odran z mieczem w jednej ręce i buławą w drugiej.

Moc, która go otacza i przenika przez niego, zwiastuje śmierć.

– Jeździec i smok są martwi. Słyszysz te krzyki, *inion*? Słyszysz, jak jęczą, błagają o litość, przeklinają dzień, w którym przyszli na świat? Wkrótce zetnę Fey na proch, świat będzie mój. Talamh upadł, bo ty nic nie zrobiłaś.

Zanosi się szyderczym śmiechem. Idzie ku niej, wiatr targa jego czarną szatą i zawiewa złote włosy na twarz. Szare oczy jarzą się czerwono, na tęczęwkach pojawiają się czarne obwódki.

– Twoja krew jest moją krwią. Twoja moc jest moją mocą. No już, daj mi ją pić.

Obudziła się z krzykiem uwięzłym w zaciśniętej krtani. Fąfel stał na łóżku i popiskując, trącał ją nosem. Objęła go, żeby uspokoić ich oboje, i wtedy, w szarym świetle świtu, zobaczyła plamy krwi na rękach.

– O Boże! – Przerażona, wyskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki i szorowała ręce pod kranem. Poczowała się słabo, kręciło się jej w głowie. Oparta o krawędź umywalki walczyła z mdłościami.

– To nie był tylko zwykły sen. Zwiastun, wizja? Jego czy moja?

Spojrzała w lustro. Twarz miała białą jak płótno i lepłą od potu. Przerażoną.

– Nieważne.

Biegiem wróciła do sypialni i usiadła przed kulą.

– Pokaż mi Talamh, taki jak wygląda w tej chwili. Pokaż Stolicę i okoliczne tereny.

W bladym świetle świtu zobaczyła zarys bryły zamku. Stał nieruchomy, uśpiony i tylko chorągiew na wieży nieco drżała poruszana lekką bryzą od morza.

Widziała smoki krążące nad polami. Owce, krowy i konie, strużki dymu wijące się nad kominami.

– To nie dzieje się teraz. Dopiero się stanie. Jest czas wszystko powstrzymać.

Chwyciła ubranie. Włożyła sweter, legginsy, wysokie buty. Nie trzymała miecza w chacie, wzięła więc różdżkę i athame. Jej jedyną bronią była moc i musi jej wystarczyć.

Pobiegła pod drzwi sypialni Marco, energicznie zapukała w nie trzy razy i pociągnęła za klamkę.

– Kurde, Breen, co się dzieje? – Usiadł na łóżku. Był sam. Za późno, nie pożyczysz miecza od Briana, nie zabierze się z nim do Stolicy.

– Muszę biec. Muszę jak najszybciej znaleźć się w Stolicy.

– Co? Czemu? Po co? – Potrząsnął głową, żeby się dobudzić. – Jezu, kawy!

– Nie mam czasu. Nie wiem, ile go zostało. Siedź w domu. Nie idź dzisiaj do Talamh. Nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę.

O ile wróci.

– Przytrzymaj Fąfla. Muszę lecieć. – Pies wyprzedził ją na schodach. – Nie, Fąfel, zostajesz z Marco. Siad!

Chwyciła kurtkę i po drodze wpychała ręce w rękawy. Wcześniej wezwany Lonrach już czekał na podwórku. Kiedy otwierała drzwi, Marco zbiegł ze schodów w samych bokserkach w pokemony.

– Breen, co jest grane?

– Nie mam czasu. Spiesz mi się. Obiecuję, że nie ruszysz się stąd. Muszę tam lecieć, bo inaczej wszyscy zginą. On nadchodzi.

– Lecę z tobą. Daj mi choć pięć minut na wciągnięcie ciuchów.

– Zostajesz. – Kiedy chwycił ją za ramię, odtrąciła jego rękę słabym strumieniem mocy.

– Nie ćwicz na mnie tych swoich sztuczek! – warknął.

Pobiegł za nią, ale ona zdążyła wskoczyć na smoka, gdzie już czekał na nią Fąfel.

– Schodź! Zostajesz z Marco. – Pies w odpowiedzi wbił w nią stanowcze spojrzenie. – Cholera! Biorę go ze sobą. A ty, Marco, zostań.

Smok odbił się od ziemi i wzniósł się ponad korony drzew.

– Niech to szlag. – Marco trzasnął drzwiami i popędził na górę się ubrać.

Breen nie była pewna, czy zna drogę do Stolicy, ale wierzyła w Lonracha. Na dole pod nimi powoli budził się Talamh. W oknach świeciły lampy. Matki budziły dzieci na śniadanie i wyprawiły je do szkoły. Farmerzy wyprowadzali krowy na poranny udój. Strażnicy schodzili z nocnej warty i układali się do snu. Na posterunkach zastąpili ich ci z dziennej zmiany. Między innymi Brian.

Nie dopuści, aby cokolwiek tutaj się zmieniło, przyrzekła sobie. Odran się nie przedrze. Nie pokona ich. Zastanawiała się, czy nie powinna sprawdzić portalu na Głębokim Zachodzie. Ale wyliczyła, że zanim się wytłumaczy przed strażnikami, spróbuje go otworzyć i zaryzykuje przejście, zdąży pokonać połowę drogi do Stolicy.

Już wiedziała, jak znaleźć w lesie drzewo z węży. Aż trudno uwierzyć, że oni nie natknęli się na nie podczas tylu dni poszukiwań. Ona ich tam zaprowadzi. Z pomocą Keegana, babci i Sedrica unieszkodliwią je wspólnymi siłami.

Odsuwała od siebie myśli o pierwszej części snu, o tęsknocie i walce pomiędzy pragnieniami i poczuciem obowiązku. Czy naprawdę chciała, żeby Keegan rzucił wszystko i przeniósł się z nią do jej świata? Czy aż tak bardzo przypominała matkę?

Nie. Nie. To nie ona. Ten początek snu pomógł jej zobaczyć resztę. W tamtym lesie znalazła się w nocy, bo gdy wyszła pomiędzy drzew, widziała dwa księżyce, a więc to musiała być noc. Mają czas zapobiec katastrofie.

Leciała ku wschodzącemu słońcu.

\*

W końcu deszcz przestał padać i Keegan stwierdził, że może dołączyć do grupy poszukiwawczej na godzinę czy dwie, zanim wyruszy na nużący oblot portalu, żeby sprawdzić, czy wszystkie są strzeżone, a wartownicy nie tracą czujności. Może, kiedy mrok zrednieje, znajdą to cholerne drzewo, które Breen poleciła szukać Sedricowi.

Tarryn, jakby czytając w jego myślach, wzruszyła ramionami.

– Ogólnie wiadomo, że zwiastuny to trudna i zawiła materia. Czasem jedynie coś symbolizują, a czasem należy je odczytywać dosłownie. Na razie tego nie wiemy.

– Sprawdziliśmy prawie każdy centymetr.

– Prawie to nie całość. Jeżeli dzisiaj się nie uda, powinieneś polecieć do niej wieczorem i jutro ją tu przywieźć. Może ona jest tym brakującym ogniwem.

Rozejrzał się wokół siebie. Drzewa, mnóstwo drzew, wiewiórek i ptaków. Po śniadaniu słyszał pukanie dzięcioła i szelest skradającego się lisa czy królika.

– Wiesz co, może teraz po nią polecę. Jeżeli rzeczywiście jest brakującym ogniwem, nie ma sensu tracić kolejnego dnia. Sądziłem, że będzie najlepiej, jeżeli ona zostanie tam, gdzie jest. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego tak mi się wydawało. Ale teraz... – Urwał i zadarł głowę. – Jeździec na smoku. Ależ szybko lecą. Croga też ich widzi i chce, żebym... Jasna cholera, mówiłem jej, żeby została.

– Breen?

– Tak, a mówiłem, żeby siedziała w dolinie albo w chacie po drugiej stronie.

– I tak miałeś po nią lecieć, więc oszczędzisz czas.

– Mówiłem, żeby została – powtórzył z uporem, kiedy padł na nich cień smoka. Lonrach zawisł nad spłachetkiem wolnej przestrzeni, bo gęsto rosnące drzewa nie pozwalały mu wylądować.

– Pójdę po nią.

– Niech ci nie przyjdzie do głowy odesłać jej z powrotem tylko dlatego, że jesteś wkurzony! – zawołała za nim matka.

Oczywiście, że miał wielką ochotę to zrobić, ale szedł jej na spotkanie. Pierwszy dobiegł do niego pies, a Breen szybko do nich dołączyła.

– Musiałam przylecieć. – Choć poznała po minie, że jest zły, szczęśliwa, że widzi go całego i zdrowego, zarzuciła mu ramiona na szyję. – Byłeś martwy w moim śnie. Byłeś martwy, a ja miałam twoją krew na rękach.

– Na miłość bogów, kobieto, lecisz przez pół świata, bo miałaś zły sen, chociaż prosiłem, żebyś została.

– To nie był tylko zły sen. – Odsunęła się od niego. – Obudziłam się z zakrwawionymi dłońmi, ale nawet nie to było najgorsze. On się przedarł. Spóźniłam się, wszyscy się spóźniliśmy i on się przedostał. A... pamiętasz tamtą wcześniejszą wizję, sen, w który cię wciągnęłam, a ty usiłowałaś mnie z niego obudzić?

– Tak.

– Właśnie. Płonący zamek, wszędzie śmierć. I Odran z twoim mieczem i buławą.

– Mam swój miecz przy sobie. – Poglądził ją po włosach. – A buława jest tam, gdzie ją

zostawiłem.

– Na razie. On przejdzie, jeżeli go nie powstrzymamy. Jeżeli ja nic nie zrobię. Powiedział, że ten świat należy do niego, bo ja nic nie zrobiłam. Keeganie, miałam ręce we krwi.

– Spokojnie. – Zamyślony, z roztargnieniem pocałował ją w czoło. – Już dobrze. I tak miałem po ciebie polecieć.

– Znaleźliście to drzewo?

– Nie, i na tym polega problem.

– Wcale nie, bo ja wiem, gdzie ono jest. Widziałam je. Widziałam drzewo we śnie i wiem, gdzie jest.

– Pokaż mi.

– To niedaleko stąd.

– Przeszukaliśmy całą okolicę.

– Nic na to nie poradzę. – Wzięła go za rękę i szła z nim ścieżką, którą widziała nasiąkniętą krwią.

Keegan gwizdnięciem przywołał Elfa.

– Zbierz wszystkich i dołączcie do nas.

Strach, który ją ogarnął, kazał myśleć tylko o jednym.

– Biegłam tą ścieżką, kiedy drzewo zaczęło się poruszać.

– Poruszało się?

– Pień i gałęzie były uformowane z węży. Biegłam, bo słyszałam krzyki i odgłosy bitwy.

O tam. – Skręciła w lewo. – Najpierw ty... oboje szliśmy w słońcu. Łąka, kwiaty, wszystko takie piękne. Potem mówiłeś takie rzeczy, jakich nigdy byś nie powiedział, chciałeś wymóc na mnie, abym powiedziała coś, czego nigdy bym nie powiedziała.

– Jakie rzeczy?

– Później. Teraz tędy.

Pierwsza zjawiała się jego matka, prowadzona przez Elfa, który natychmiast zniknął.

Tarryn milczała, nie przerywając Breen.

– Tam. – Breen pokazała palcem, gdy ścieżka zwężyła się do rozwidlonych kolei.

– Wyraźnie widzę drzewo, nawet spore, ale nic tam nie przypomina węży. Sprawdziliśmy ten teren.

– Tam – powtórzyła. – Maskuje się i czeka ze wstrzymanym oddechem. Żaden ptak nie uwije tam gniazda, żadne zwierzę nie wykopie pod nim nory. Latem dla niepoznaki pokrywa się fałszywymi liśćmi, bo nic na nim ani z niego nie wyrośnie. Kiedy może, w sekrecie pochłania światło i życie. Strzeże drzwi do piekła. – Odetchnęła. – We śnie inaczej wyglądało. Ale to tylko iluzja. Kamufluje je czarna magia, blokuje światło, dlatego nie można go zobaczyć ani namierzyć zmysłami, ale ja je wyczuwam.

Tarryn powstrzymała ją, gdy już wyciągała rękę.

– Poczekajmy na wszystkich. Jeżeli jest silne, będziemy ich potrzebować.

– On je stworzył, wyczarował, żeby mógł przechodzić, kiedy zechce, i brać, co zechce. Jednak drzewo słabło, pochłaniało coraz więcej mocy. Dlatego on potrzebował dziecka. Miał ich kilkoro, ale to ciągle było za mało. Tak było aż do czasu mojego ojca.

Odwróciła się do Keegana.

– Ja to wiem. Nie wiem, skąd, a jednak wiem. I wiem, że od tamtego dnia, kiedy zabił mojego ojca, nie może otworzyć tego portalu. I dlatego szuka innych przejść.

Wrócił Elf, niosąc na barana srebrzystego kota. Kot zeskoczył na ziemię i teraz już Sedric przyglądał się drzewu z uwagą.

– To ono? – Kiedy Breen przytaknęła głową, oparł dłoń na jej ramieniu. – Nie wyczuwam go. Przykro mi. Podejźmy bliżej.

– Jeszcze nie – powstrzymała go Tarryn. – I wydaje mi się, że to Breen musi przełamać iluzję.

Marg przyleciała trzymana w ramionach przez wrózkę, potem zjawił się Loren i w końcu dobiła do nich reszta tropicieli rozproszonych po całym lesie.

– Podejrzewam, że portal jest w drzewie albo ono samo jest portalem, czymś w rodzaju przeciwieństwa Powitalnego Drzewa.

– Taak – zgodził się Keegan. – To całkiem możliwe. Iluzja czy nie, musimy je zablokować.

Oczywiście, najchętniej bym je ściał, ale istnieje ryzyko, że pęknie i się otworzy, najbezpieczniej więc będzie je zasklepić.

– Nie widząc i nie czując? – wtrąciła Marg. – Skąd będziemy wiedzieli?

– Utworzymy krąg i zaczniemy działać. Zablokujemy je od strony Talamh.

Fąfel warknął ostrzegawczo, a Breen przebiegł prąd.

– Nie widzicie? – Patrzyła, jak drzewo czernieje, gałęzie skręcają się i zaczynają wić. – Ono wsysa światło.

Wyrzuciła w górę rękę, zachwiała się, lecz Keegan zdążył ją podtrzymać, i znalazła się po drugiej stronie. Na horyzoncie majaczył czarny zamek.

– Jaka odważna. – Odran zaśmiał się złowieszczo. – To klucz, ale nie dla nich. Krew twojego ojca zamknęła portal. A twoja go otworzy. Krew na twoich rękach.

Przeciągnął ostrzem sztyletu po jej wyciągniętej dłoni.

Ciągle z uniesioną ręką, podtrzymywana przez Keegana, pokazała mu krew.

– On nadchodzi.



## Rozdział 30

Drzewo krwawiło. Strugi czarnej krwi spływały z sykiem po tłącym się pniu i rzeźbiły ślady w sadzy. W powietrzu wisiał gęsty dym cuchnący siarką. Keegan uniósł miecz.

– Ruszamy! – rzucił do stojącego obok Elfa.

Oszołomiona Breen wpatrywała się w zakrwawioną dłoń. Marg chwyciła ją za rękę. Ukłucie potężnego bólu przywróciło jej świadomość.

– Walcz. On cię nie weźmie. Nie dostanie cię. Ale musisz walczyć.

Mroczne siły wylały się z dymu. Wydłużały się pęknięcia rozszarpywane kłami. Ze szczeliny wychynał jakiś łeb. To coś przewracało czarnymi ślepiami i kłapało długimi zębami. Keegan go odrąbał, ale w pniu przybywało pęknięć, chropawa kora przypominała roztrzaskane lustro.

Ciemność wylewała się na zewnątrz i pochłaniała światło.

Sedric nadział na swój długi miecz demonicznego psa, który wyskoczył z drzewa. Gdy jego cielsko wiło się na ziemi w agonii, natychmiast pojawił się następny. Breen zdążyła jedynie zobaczyć, jak Fąfel z dzikim warknięciem rzucił mu się do gardła, po czym ich obu zasłonił dym.

Gdy jasność zaczęła przygasać i robiło się mroczno, a z pnia wydobywały się kolejne bestie, instynktownie wyrzuciła z siebie strumień mocy.

Było ich wiele, za wiele; wypełzały, wyczołgiwały się i wyskakiwały z rozwierającego się portalu.

Zamarła. Phelin odepchnął ją na bok, ratując przed szarżą czarnego jelenia z porożem zakończonym diamentową koroną.

– Walcz! – krzyknął, kładąc jelenia. – Broń się. Broń siebie i innych.

Rozwinął skrzydła, wzbił się w górę i cięciem miecza zrzucił mrocznego elfa na ziemię. Ranny runął u stóp Breen. Brocząc krwią, bez jednego skrzydła, już się podnosił, gotowy do ataku na cofającą się dziewczynę.

Marg spopieliała go biczem z płomienia.

– Walcz! – warknęła i odwracając się, wbiła krótki miecz w nadbiegającego elfa.

Breen ledwo widziała Keegana. Poplamiony krwią, walczył mieczem i magią z watahą wylewającą się z portalu. Jego matka, odwrócona plecami do niego, walczyła razem z nim.

Z mgły wynurzył się Fąfel. Biegł do niej z zakrwawionym pyskiem i dzikim blaskiem w oczach. On czuł i ona to czuła.

Walcz. Broń się. Zabijaj.

Kiedy rzucił się na szarżującego na nią demona, osłaniając ją przed jego mieczem, gniew wyparł strach. Spaliła demona razem z mieczem.

Dym gęstniał. Miała wrażenie, że walczy sama. Rozjuszona i zdesperowana. Wściekła i przerażona. Otoczona wrogami, pośród wrzasków i jęków, w smrodzie dymu i zaduchu śmierci, dawała z siebie wszystko.

Walcz. Broń się. Zabijaj.

Różdżką zmiotła w pył skradającego się gargulca, cisnęła palącą mocą w skrzydlatego demona podobnego do nietoperza, zmieniając go w żywą pochodnię, wyjąca z bólu.

Jak bardzo to się różniło od oglądania bitwy w płomieniach ogniska czy walki z upiorami na ćwiczebnym boisku. Tutaj nie była obserwatorką i mogły ją spotkać o wiele poważniejsze konsekwencje niż tylko kilka guzów i sińców. Walczyła o życie, o ocalenie świata, w którym się urodziła, i wszystkich światów poza nim. Walczyła, wiedząc, że zwycięstwo jest wątpliwe, bo siły wroga przeważały liczebnie.

Nagle nadeszły posiłki. Z lasu wypadły rączę Elfy, dobiły do nich wróżki i jeźdźcy i coraz więcej Widzących rozpraszało światłem dym. W bitewnym tumultie słyszała, jak Keegan wydaje rozkazy.

Gdzieś obok niej świszczwały strzały. Natarło na nią dwóch wrogów, atakując mocą i kłami,

ale dotrzymała im pola. Odrzuciła ich daleko silnym podmuchem przywołanego wiatru. Kiedy potknęła się o trupa, zmagając się z odrazą, wyszarpnęła mu miecz z dłoni.

Tuż obok wybuchło drzewo; płonąca czerwona bomba sypnęła odłamkami. Konar, ostry jak włócznia, przebił czarodzieja, które je podpalił, i przygwoździł wijącego się w konwulsjach do ziemi.

Fąfel przybiegł do niej z gargulcem w zębach. Tarmosząc nim jak szmacianką lalką, odrzucił go na bok i dopadł do następnego, a ona rozplątała trzeciego.

W tumanie pyłu i kurzu dostrzegła Lorena. Zbliżał się do niej, siekąc mieczem na prawo i lewo. Włosy i twarz miał w sadzy, kaftan poplamiony krwią z odniesionych ran i zabitych wrogów.

– Wycofujemy się! – krzyknął. – Mam cię eskortować w bezpieczne miejsce.

– Muszę walczyć. – Walcz, broń się, zabijaj, dudniło jej w głowie.

– Będziesz walczyć, ale część drapieźców przełamała front i idzie na wschód, na zamek. Keegan chce... Shano, nie! – krzyknął i zasłonił Breen własnym ciałem.

Shana wypadła z drzewa prosto na nich z uniesionym sztyletem. Rękojeść wysadzana klejnotami błysnęła złowieszczo, gdy ostrze wbiło się w pierś Lorena.

– Ops, chybiłam! – zaśmiała się. – Stałeś mi na drodze.

– Shano – zdążył szepnąć.

Miecz szczęknął o ziemię. Loren runął, pociągając za sobą Breen. Na moment zamroczył ją impet upadku. Zerwała się na równe nogi, gotowa uderzyć, ale Shana już zdążyła zniknąć.

Uklękła przy nim i przycisnęła dłoń do krwawiącej rany.

– Nie umiem pomóc.

Przytrzymał jej rękę za nadgarstek.

– Zatruty sztylet, czarna magia. Za późno. – Krwawa piana sączyła mu się z ust, oczy pociemniały ze smutku. – Kochałem ją, ale nie potrafiłem uratować.

Umarł na skraju lasu, gdzie zderzyły się siły jasności i mroku. Wzbierał w niej wielki płacz, ale zmusiła się, żeby wstać i ruszyć w światło.

Ani zamek, ani most nie płonęły, ale i tutaj trwała walka. Uniosła miecz i zebrała moc. Będzie walczyć, obojętnie jakim kosztem.

Jakaś zmiana w powietrzu kazała jej czym prędzej się odwrócić.

Zobaczyła Yseult owiniętą w talii dwugłowymi wężami jak pasem. Bez namysłu uderzyła w nią światłem, a Yseult odparowała cios mrokiem. Zderzyły się dwie siły, sypnęły iskry i zmieniły się w dym.

W stronę Breen niepostrzeżenie pełzła zdradliwa mgła. Z bijącym sercem, lecz nie ze strachu – tym razem wcale nie ze strachu – Breen zmiotła ją płomieniem.

– Już kiedyś użyłaś tego podstępu, drugi raz mnie nie zwiedzisz.

– Nauczyłaś się paru rzeczy, co? – Yseult odrzuciła włosy na plecy i zaczęła krążyć wokół Breen. – Myślisz, że to wystarczy? Zostałaś stworzona przez Odrana dla Odrana. To twoje przeznaczenie.

– Nie. – Breen, nie spuszczać jej z oczu, sięgnęła głęboko po pokłady mocy. Odgłosy bitwy ucichły, zostały we dwie. Wiedziała, że Yseult była ułudą. – Moim przeznaczeniem jest go powstrzymać. Ale zacznę od ciebie.

– Co za pewność siebie. Jaki hart ducha. – Yseult machnęła dłonią i Breen poczuła na policzku ukłucie podobne do użądlenia rozdrażnionej osy, ale nawet nie drgnęła, gotowa do ataku.

– No to pokaż, czym, jak ci się wydaje, dysponujesz. Niewiele możesz i nieważne, co oni ci wmawiają, żeby cię wykorzystać.

Breen ponownie wypaliła mgłę.

– W takim razie czemu chcesz mnie odurzyć?

– Żebyś mniej cierpiała, mój skarbie. Zanim zabiłam Marg, obiecałam jej, że oszczędzę ci bólu. Błagała mnie o to.

Świat zawirował Breen przed oczami.

– Kłamiesz.

– Walczyła dzielnie, ale ze strachu o ciebie popełniała błędy. Podobnie jak ten, którego wzięła sobie po Odraniu, żeby ogrzewał jej zimne łóżko.

– Nie wierzę ci.

– Ależ tak, wierzysz. Kot to przebiegłe zwierzę i podobno ma dziewięć żyć. No cóż, akurat ten dzisiaj zakończył ostatnie. Ich już nie ma, a psy uczują na tym, co zostało z waszego *taoise-acha*. Przez ciebie wszyscy albo zginęli, albo dogorywają. Złap mnie za rękę i chodź ze mną, może Odran ulituje się nad tymi, co jeszcze zostali.

Breen stała odrętwiała, a mgła podpełzała coraz bliżej. Yseult wyciągnęła rękę, węże owinięte wokół jej talii z sykiem odsłoniły zęby.

I wtedy poczuła, jak zamiast zimnej wykalkulowanej siły, której w sobie szukała, wzbiera w niej wrzący gniew.

– Wracaj do piekła i powiedz Odranowi, że wysłę go tam za tobą.

Tym razem nie wykrzeszała ognia. Taka furia nie rodzi zwykłych płomieni. W stronę Yseult poleciały ostre jak sztylety pioruny palącego światła. Mgła zwijała się, parzyła ziemię i nacierała na czarownicę razem z Breen.

Yseult, krzycząc z bólu i szoku, przywołała wiatr, żeby zmienił kierunek gradu świetlistych grotów, ale one nie przestawały wbijać się w jej ciało.

– Wykończę cię – wycedziła Breen. – Obiecuję ci okrutny, bolesny koniec.

Yseult, z dziesiątkami krwawiących drobnych ran i obłędem w oczach, owinęła się mgłą.

Zanim Breen zdążyła ją podrzeć, czarownica zniknęła.

– Wykończę cię – powtórzyła Breen i napędzana gniewem, wypadła z lasu, by walczyć dalej.

Prosto na nią leciały dwie wróżki. Najpierw zajęła się tą, która wyglądała na silniejszą. Pod uderzeniem jej pięści skrzydła napastniczki podarły się, jakby były zrobione z papieru. Gdy jej towarzyszka chwyciła ranną za ramię, próbując poderwać ją z ziemi, Breen przebiła ją mieczem.

Cały czas przybywało napastników. Wiedziała, że nawet w największej furii nie da rady im wszystkim. Gdzieś w górze rozległ się hurgot skrzydeł. To z zachodu nadlecieli jeźdźcy na smokach. Gromada wrózek, która podążała za nimi, przypominała gradową chmurę. Siedząca za Harkenem Morena rozpięła skrzydła, sfrunęła ze smoka i z wzniesionym mieczem stanęła u boku Breen.

– Sama? – warknęła, nadziewając Elfa na klingę.

– Nie było czasu. O mój Boże, Marco!

Zobaczyła go lecącego z Brianem, kiedy ich smok strzyknął strugą ognia na wrogów.

– Musimy ich zmusić do odwrotu! – krzyknęła Morena. – Wypchnąć z powrotem na drugą stronę.

Bitwa toczyła się w powietrzu i na lądzie. Skrzydła płonęły, ranni i zabici spadali na ziemię jak kamienie.

– Nie wiem, gdzie ten portal. Musisz poprowadzić. Harken się nimi zajmie. Razem z nami wpędzi ich do portalu.

Walczyli zażarcie, posuwając się w dymie i smrodzie, potykając się o ciała i ślizgając na kałużach krwi. Breen czuła, że Fąfel żyje i cały czas trzyma się blisko niej. Poleciała Lonrachowi dołączyć do smoków, a sama z Moreną i świeżą grupą wojowników zagoniła wrogów do portalu.

Część z nich wbiegała albo wlatywała w otchłań, pozostali wczołgiwali się z jękiem lub zdesperowani wskakiwali. Z pulsującej czerni po drugiej stronie dochodziły rozpaczliwe krzyki, lecz Breen była bezwzględna.

Marg cała i zdrowa stała obok Tarryn. Trzymając się za ręce, w skupieniu wzniecały światło, zamykały portal i zasklepiały szczeliny.

Breen zbierało się na płacz, lecz walcząc ze łzami, podbiegła do kobiet i ściskając dłoń Marg, przelała jej swoją moc. Te połączone moce stały się potężnym narzędziem. Walka nadal się toczyła, jednak coraz więcej wrogów wyłamywało się z szeregu i salwowało ucieczką do portalu, a te trzy kobiety nadal stały skupione i nieugięte.

Fąfel doskoczył do uciekającego rannego psa, odciągnął go na bok i wykończył, a Breen wznieciła i rozproszyła światło. To światło paliło jak smoczy oddech, niektórzy z uciekających zmieniali się w żywe pochodnie. Tak jak wcześniej ciemność pochłaniała światło, tak teraz ono, pulsując tysiącem serc, blokowało ciemność.

– Pokonaliśmy ich! – Breen usłyszała głos Sedrica. – Ty, ty i ty, pilnujcie drzewa. Reszta rusza w pościg za niedobitkami.

– Żyje – stwierdziła z ulgą. Żyje. Yseult kłamała.

Nie myślała o Keeganie, jeszcze nie mogła.

Potrzebny był jej gniew – teraz zimny i wyrachowany – żeby wykrzesać odpowiednią moc do zamknięcia czarnej czeluści portalu.

Wszystkie tym jesteśmy, pomyślała, wszystkie to mamy. I po raz ostatni skierowała na portal potężne uderzenie mocy. Zatrzasnął się z hukiem, przecinając na pół demona, który akurat próbował się tam wśliznąć.

– Zamknięty – ogłosiła Tarryn. – Teraz trzeba go zapieczętować.

– Odran mówił, że zamknęła go krew mojego ojca, a moja otworzyła. Czyli... żeby jej użyć, musiał przeciwnie jakąś część mnie na tamtą stronę.

Popatrzyła na dłoń. Zasklepiła ranę, żeby władać mieczem.

– Mogę go zapieczętować z tej strony? – zwróciła się do Marg.

– Tak. Szczodrze darowanym światłem.

Breen wyciągnęła do niej rękę.

– Ty powinnaś to zrobić. Moja krew i moc pochodzą od ciebie.

– *Mo stor.* – Marg ujęła jej dłoń i pocałowała. A potem zza pasa wyciągnęła athame i zrobiła nim nacięcia najpierw na wnętrzu obu dłoni Breen, a potem swoich.

– Ode mnie do niego, od niego do ciebie. – Złączyła otwarte dłonie z dłońmi wnuczki. –

Czysty i jasny dar.

Breen podeszła do drzewa i przycisnęła do niego otwarte dłonie.

– Dane mi światło pokona ciemność. Na tym drzewie zostawiam swój ślad. Moja krew zamyka szczelnie to, co wcześniej otworzyła, i kładzie pieczęć światła. Poprzez daną mi moc niech tak się stanie.

Poczuła, jak po drugiej stronie przetacza się fala czarnej wściekłości.

– Tłucz pięściami – mruknęła. – Rób, co chcesz. Więcej mnie nie wykorzystasz.

Po chwili opuściło ją napięcie, osłabły emocje. Odwróciła się do Marg i otoczyła ją ramionami.

– Ona, Yseult, mówiła, że cię zabiła. Ciebie, Sedrica i Keegana. Myślałam, że wszyscy zginęliście.

– Och, nie, moja słodka dziewczynko. Kłamała, żeby cię zranić i osłabić.

– Zraniła, ale nie osłabiła. – Mocniej objęła Marg. – Wręcz przeciwnie, rozpacz dodała mi siły. Ja ją poraniłam, babciu. Ale nie zabiłam. Przysięgłam, że ją wykończę i zrobię to. Słyszałam głos Sedrica, więc on też żyje.

A co z Keeganem? – zwróciła się do Tarryn ponad ramieniem Marg.

– Chwilę przed twoim pojawieniem się tutaj przywołał Crogę i dołączył do smoczyczych jeźdźców i brata. Będą polować na niedobitków, którzy mogli zaszyć się gdzieś w Talamh.

Ujęła dłonie Breen i delikatnie zamknęła nacięcia.

– Kiedy oni są zajęci swoją robotą, my dokończymy nasze dzieło. – Przyciągnęła Breen do siebie i przytrzymała. – Dziś twój ojciec jest z ciebie dumny.

– Kochałaś go – stwierdziła Breen. – Czuję to.

– Tak. A teraz... – Wypuściła Breen z objęć. – Rozepniemy krąg. Posypimy ziemię solą. I zło nigdy już nie ukryje swojego prawdziwego oblicza.

Do Breen docierało powoli, do czego się posunęła, do czego była zdolna. Świadomość, że w szaleńczym zapamiętaniu zadawała rany i odbierała życie, wprawiła ją w drżenie, bo wiedziała, że jeżeli znowu zajdzie taka potrzeba, na pewno się nie zawaha.

Kiedy wyszła z lasu, nareszcie z Fąflem przy nodze, i ruszyła przez wypaloną, nasiąkniętą krwią łąkę, zobaczyła Marco z Brianem przy smoku. Dopiero teraz, na jego widok, długo powstrzymane łzy popłynęły strumieniem.

Marco podbiegł do niej, przytulił ją i kołysząc w ramionach, w kółko powtarzał jej imię.

– Miałeś zostać w domu. – Przycisnęła twarz do jego ramienia. – Mówiłam, żebyś został.

– Hej, nie jesteś moją szefową. No, może w pewnym sensie tak, ale nie zawsze i nie we wszystkim. Nie wtedy, gdy muszę zadbać o moją najlepszą dziewczynę.

– Leciałeś na smoku.

– No i to jest coś, co chętnie w najbliższym czasie powtórzę. – Cmoknął Breen w czubek głowy.

– Och, zobaczysz, pokochasz latanie. – Brian klepnął go w ramię. – Nie chciał zostać i czy kiedykolwiek by mi wybaczył, gdybym jednak go zostawił? Nie mogłem mu tego zrobić – uspra-

wiedliwił się przed Breen.

– Przyleciałeś. – Zatrzymała spojrzenie na Brianie, nie odrywając policzka od ramienia przyjaciela. – Ściagnałeś całą grupę z doliny.

– Marco poszedł prosto do Harkena. Razem z nim i Moreną nas skrzyknęli. Część została, żeby w razie napaści bronić doliny. Myślę, że wyłapaliśmy wszystkich niedobitków, ale na wszelki wypadek zrobię jeszcze jedną rundę.

– Powodzenia. – Marco delikatnie przesunął Breen, żeby dać całusa Brianowi. – Ja zostaję tutaj, na pewnym gruncie.

– Zobaczysz, pokochasz latanie – powtórzył Brian, wsiadł na smoka i odleciał.

– Marco, tak bardzo cię kocham, że z radością uszczęśliwiłabym cię lotem do domu, ale chyba zostanę tu jakiś czas, chociaż najchętniej wracałabym do naszej chaty. Muszę zobaczyć się z Keeganem. Porozmawiać z nim. Marzę o najdłuższym, najgorętszym prysznicu w całej historii pryszniców. I chyba potrzebuję wielkiej butli wina, żeby się zamulić i pozbyć się tych obrazów z głowy. Marco, ja zabijałam. Wiem, że walczyłam ze złem, że to wojna, ale zabijałam.

– Ja też. – W jego oczach odbijały się takie same emocje. – Zabiłem troje Sidhe. W tym dziewczynę. Znaczy Sidhe płci żeńskiej. Nigdy bym nie przypuszczał, że jestem do tego zdolny, a jednak tak. I wcale nie jest mi przykro, tylko trochę mnie mdli.

– Chodź, przysiadźmy gdzieś na chwilę. I dajmy Fąflowi popływać. On... też zabijał. Ten najśrodszy pies w tym świecie – we wszystkich światach – zabijał, broniąc mnie i innych walczących. Poranili go. – Znowu łzy napłynęły jej do oczu. – Miał rozcięcia i krwiaki.

– Kurczę. – Marco przykucnęła i przesunęła dłońmi po bokach i grzbiecie Fąfla. – Nic tu nie wyczuwam.

– Pozamykałam rany, usunęłam krwiaki i zaprowadziłam go do strumyka, żeby zmył krew. Nie mogłam patrzeć na jego sierść pozlepianą krwią. A tobie nic się nie stało?

– Nie mam nawet draśnięcia. Mocno oberwałaś?

– Nie za bardzo. Odetchnijmy chwilę w jakimś cichym miejscu.

– Breen. – Objął ją za ramiona. – Muszę ci powiedzieć o Morenie.

– Boże, jest ranna?

– Nie ona. Jej brat Phelin. Chodzi o Phelina.

– Ranili go? Gdzie on jest? Mogę mu pomóc.

– Nie skarbie, nie pomożesz mu.

Patrzyła na Marco z niedowierzaniem, dopiero po chwili dotarł do niej sens tych słów.

– Nie, nie, niemożliwe. Widziałam, jak walczył. Widziałam na samym początku.

Kiedyś, dawno temu, postraszyła go żabami. Tańczyła z nim na Powitanium. Poznała jego żonę. Cieszył się, że zostanie ojcem.

– Gdzie ona jest? Gdzie Morena?

– Poleciała powiedzieć rodzicom, powiadomić rodzinę. – Marco otarł łzy toczące się po jej policzkach, potem sam osuszył oczy. – Ona będzie cię potrzebować, ale teraz jest ze swoimi. Dowiedziała się od Harkena. To on załatwił tego, co zadał śmiertelne pchnięcie Phelinowi i niestety, to on musiał jej o tym powiedzieć.

– Tyle ofiar, to wszystko z mojego powodu.

– Breen.

– Nie mówię, że to moja wina. Dobrze wiem, że to nie tak, szczególnie teraz. Ale Odran mnie użył, Marco, wykorzystał, a Morena straciła brata. Będę kolejne Odprowadzenia. Dzieci, których matki lub ojcowie nie wrócą do domu. I dlatego nie zamierzam dłużej się zadrećzając myślami o tym, co dziś robiłam. – Odwróciła się do niego. – Gdybym cię błagała, żebyś wrócił do domu, do Filadelfii, posłuchałbyś?

– Wykluczone.

– Marco, boję się o ciebie.

– I wzajemnie, bo ja z kolei boję się o ciebie, a więc trzymajmy się razem. – Patrząc jej w oczy, wziął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi. – Jak zawsze.

Westchnęła.

– Mogłoby być jeszcze gorzej, mogłoby być więcej ofiar, gdybyś dziś rano mnie posłuchał. A więc dobrze, postaram się więcej nie wracać do tego tematu. Nie będzie łatwo, ale spróbuję. Trzymamy się razem.

– Z małymi przerwami. – Wskazał podbródkiem niebo. – Keegan. Zdaje się, będzie lądował. Na pewno chcecie porozmawiać. Pójdę sprawdzić, czy nadal trzymają dla mnie komnatę w zamku.

Pocałował ją i zostawił samą.

Keegan zsiadł z Crogi, gdy tylko smok opuścił się na ziemię. Czy ja też tak wyglądam, pomyślała Breen. Krew na twarzy, na ubraniu. Zmęczone oczy.

Oboje stali przez chwilę kilka metrów od siebie. Morska bryza zdążyła już oczyścić powietrze z zaduchu walk. Nie bardzo wiedziała, co mu powiedzieć, jak zacząć, ale kiedy ruszył w jej stronę, wyszła mu na spotkanie.

– Jesteś ranna? – zapytał.

Pokręciła głową.

– A ty?

– Nie.

A jednak wiedziała, czuła, że miał też swoją krew na ubraniu.

– Nie ochroniłem ciebie. Rozdzielili nas, nie mogłem nad tobą czuwać.

– Nauczyłeś mnie walczyć. Mieczem, wręcz i mocą. I wykorzystałam te nauki. To zupełnie co innego niż treningi na łące. Tego też próbowałeś mnie nauczyć, ale nie do końca to rozumiałam. – Gardło stężało jej ze wzruszenia, łzy zakręciły się w oczach. – Wtedy nie rozumiałam, a teraz już wiem.

– Błagam cię, nie płacz. Załamie się na widok twoich łez.

– Przyleciałam, żeby pomóc. Tamten sen, portal. Odran mnie tutaj zwabił. Byłam mu potrzebna do otwarcia portalu. A ja tego nie wiedziałam.

– Skąd mogłaś wiedzieć? Nikt z nas tego nie przewidział. Bardzo sprytnie to zaplanował. Mieliśmy wierzyć, że przedrze się przez wodospad, a tymczasem on skupił się na tym miejscu. Ale stawiliśmy mu czoło, zgromadziliśmy tutaj naszych ludzi.

Obejrzał się na las.

– Bez Harkena i jego posiłków było nas za mało. Myślałem, że znajdziemy portal, zasklepimy go i udaremnimy jego pieprzony plan.

– A ja go otworzyłam.

– Nie twoja wina.

– Nie, nie moja i nie twoja. To on jest wszystkiemu winien. Phelin zginął. – Znowu w jej oczach załśniły łzy. – Morena...

– Wiem. – Przymknął powieki, potarł twarz. – Był moim przyjacielem z dzieciństwa. Jeszcze nie znam strat...

Niedługo je pozna, pomyślała. Pozna wszystkie imiona, będzie rozmawiał z rodzinami i zorganizuje kolejne Odprowadzenie.

– Loren. – Pokiwał głową na znak, że wie, ale ona kontynuowała. – Nie wiesz jak. Byłam tam. To Shana.

– O bogowie.

– Musisz poznać prawdę. Zasłonił mnie sobą, chyba wierzył, że uda mu się nas oboje uratować. Przyjął na siebie cios przeznaczony dla mnie. Powiedział, że sztylet był zatruty, nie miałam jak mu pomóc. Keeganie, to wszystko stało się tak szybko i nie mogłam... Ona się śmiała, była jakaś inna, coś w niej się zmieniło.

– Teraz należy do Odrana. Niemożliwe, aby jemu zależało na twojej śmierci, a więc i sztylet, i trucizna to była jej samowola.

– Zabijałam dzisiaj – oznajmiła beznamiętnie. Ten ton przyciągnął jego spojrzenie. – Już nigdy nie będę taka sama.

– Przykro mi, że do tego doszło.

– Nie ma w tym twojej winy. Teraz wiem, kim jestem. Dziś walczyłam za Talamh, za ciebie, za siebie, za mojego ojca. Kiedy Yseult powiedziała mi...

– Yseult? – Dopiero teraz wyciągnął do niej rękę, chwycił ją za ramię.

– Twoja matka ci nie mówiła?

– Nie było czasu na rozmowy. Wiem, że nic jej się nie stało i że we trzy zamknęłyście i zasklepiłyście portal. Ale... chciałem sam to sprawdzić, dlatego nie zdążyłem z nią porozmawiać.

– Yseult znalazła mnie albo... nie wiem, zwabiła. Znowu spróbowała tamtego wybiegu z mgłą. – Spojrzenie Breen stwardniało. – Zawiodła się. Powiedziała, że to wszystko dzieje się

przeze mnie. Wiem, że tak nie jest – zaznaczyła, zanim zdążył zaprotestować. – Wykrzyczała, że babcia i Sedric nie żyją. I że ty też poległeś. Powiedziałam, że jej nie wierzę, ale w duchu zwątpiłam i wtedy ją poraniłam. Powinnam szybko ją zabić, ale ja chciałam, żeby cierpiała, umierała powoli. I tylko dlatego, że nie zdecydowałam się natychmiast jej uśmiercić, uciekła, kryjąc się za zasłoną z mgły.

– Poczekaj. – Otoczył twarz Breen dłońmi i z uwagą wpatrywał się jej w oczy. – Byłyście same i ona uciekła?

– Krzycząc i jęcząc. Zakrwawiona. Przyszedł mi wtedy do głowy pomysł użycia gradu świetlistych grotów. A może nie do głowy. Nie wiem, skąd to się wzięło.

– Ona jest silna, a po przejściu do Odrana stała się jeszcze mocniejsza. I uciekła przed tobą. Skojarzyłem cię z twoim smokiem, bo widziałem, jak się zmieniasz. Ale szczerze mówiąc, dzisiaj dokonała się w tobie ostateczna przemiana.

– Zabiję ją, zanim to wszystko się skończy.

Z westchnieniem przytulił czoło do jej czoła.

– Wiem, że nie chcę tego dla ciebie. I wiem, że musi tak się stać, chociaż wolałbym, aby do tego nie doszło.

– Po to się urodziłam.

– Po to i o wiele więcej, *mo bandia*.

– Odran znajdzie inną drogę. Prędeziej czy później się przedrze.

– Tak. Będzie ponawiał próby, dopóki go nie zniszczymy. Czy nie zastanawia cię, czemu sam dzisiaj nie przeszedł? Przedostało się mnóstwo jego demonów i wojowników. Nawet Shana. Przysłał Yseult. Według mnie wyłącznie po to, żeby ściągnęła cię do niego. Sam się nie pojawił, nawet nie próbował cię porwać. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Tyle myśli wirowało jej w głowie, na szczęście w tym zamęcie pojawiały się klarowne przebłyski. Jednak dotąd o tym nie pomyślała.

– Masz rozum. – Delikatnie popukał ją w czoło. – I to niekiepski. Więc kombinuj. Zaskoczyli nas, mieli przewagę liczebną. Nasi wojownicy, chociaż czekali w gotowości na sygnał, byli bez szans, dopóki Harken nie sprowadził posiłków z doliny. Znalazła cię Shana, Yseult cię namierzyła. Dlaczego nie on?

– Nie mógł przejść? – Mrużąc oczy, chwilę intensywnie myślała. – On nie może przejść – zmieniła pytanie w twierdzenie. – Na razie. Brakuje mu mocy.

– Bogowie skazali go na banicję do tamtego świata, całe wieki zajęło mu budowanie mocy na przejście do Talamh. I co wtedy zrobił?

– Splotził dziecko – mojego ojca. Bo tylko dzięki mocy wysanej z potomka mógł podbić Talamh i opanować inne światy. Babcia go powstrzymała i znowu musiał czekać wiele lat, żeby spróbować dobrać się do mnie. Jego wasale porywali dzieci i młodych Fey. Składał ich w ofierze i czerpał z nich moc. Jednakże to ciągle nie wystarczało.

– I sędzę, że nie wystarczy. W swoim świecie jest bogiem, ale przejść tutaj? Za duże ryzyko, zbyt wiele mógłby stracić.

– Jest tchórzem! – olśniło ją. Z wrażenia zacisnęła dłonie na zakrwawionej koszuli Keegana.

– Jest pieprzonym tchórzem. Stać go jedynie na porywanie i zabijanie dzieci. Na władanie kupą ciemniaków, tępawych demonów i nawiedzonych świrów.

– Nawiedzonych świrów?

– Ekstremistów należących do różnych popapranych sekt, bo to im daje poczucie wyższości.

Potrząsnęła lekko Keeganem, odeszła kawalek, wróciła, a Fąfel, wyciągnięty na ziemi, z uwielbieniem wodził za nią wzrokiem.

– Ponieważ też należę do tchórzy, wiem, że pokonanie innego tchórza jest całkiem możliwe. Jeżeli mu się wydaje, że dzisiaj coś zyskał, to grubo się myli. Jest o jeden krok bliżej do klęski.

– Nie sądziłem, że dzisiaj zdobędę się na uśmiech – powiedział rozbawiony.

Stanęła przed nim wyprostowana.

– Potrzebuję twardszych treningów.

– Zgadza się. Będziesz je miała. Chyba już nie uda mi się tak łatwo rzucić cię na ziemię.

– Dzisiaj zabijałam.

– Och, Breen.

– Zabijałam bestie i wcale mi nie żal. Widzisz to? – Uniosła rękę i pokazała tatuaż na nad-

garstku. *Misneach*. Odwaga. Przestała być tylko życzeniem. Od miesięcy tego pragnęłam. A więc będziesz mnie wprawiał w zabijaniu bestii, a razem z babcią będziecie mnie uczyli, jak do walki z nimi wykorzystywać magię.

– Myślę, że Yseult powiedziałaaby, że już to umiesz.

– Chciałam ją zabić i jednocześnie pragnęłam sprawić jej ból, i to był mój błąd. Wyjęłam miecz z ręki zabitego wroga i nim walczyłam. Pewnie nie zachwyciłby cię mój styl, ale swoje zrobiłam. Nauczysz mnie lepiej władać mieczem.

– To może przekroczyć moje możliwości. – Nareszcie zrobił to, o czym myślał, odkąd zobaczył ją na łące. Przycisnął usta do jej nadgarstka.

– Kto wie, czy cię nie zaskoczę – oznajmiła butnie.

– Zaskakujesz mnie każdego dnia. Jeżeli teraz, tutaj zacznę cię całować, mogę nie przestać.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Przygarnął ją do siebie, przeciągnął dłonią po jej włosach zakurzonych piekielnym dymem, a jednak nadal ognistych. Raz, drugi i trzeci delikatnie musnął wargami jej usta i przelał ulgę, tęsknotę i nadzieję w żarliwy pocałunek. Otoczona jasnym światłem, wtulona w niego, odpowiedziała na jego pragnienie.

– Możemy tak postać? – Przycisnęła policzek do jego ramienia. – Jedną minutę. Tak bardzo chcę wrócić do siebie. W dolinę, do chaty, więc postójmy tak chociaż z minutę. Muszę tutaj zostać ze względu na Morenę, jej rodzinę. Wezmę udział w Odprowadzeniu. Muszę wspierać Finolę i Seamusa, kiedy tu przyjadą. Muszę ci pomóc w tych wszystkich ciężkich i smutnych obowiązkach, które cię czekają.

Mrucząc coś po talamhasku, zanurzył twarz w jej włosach.

– I muszę nauczyć się języka, żeby wiedzieć, co szepczesz albo o co ci chodzi, gdy się na mnie wydzierasz.

– Na razie może lepiej nie. Twoja wizyta u rodziny Phelina przyniesie im ukojenie, a twój udział w Odprowadzeniu da ludziom siłę, pociechę i nadzieję.

Pokiwała głową i wysunęła się z jego objęć.

– Będę potrzebowała komnaty.

Znowu delikatnie ją pocałował.

– Zatrzymaj się w mojej.

Wziął ją za rękę i ruszyli do zamku, odprowadzani przez krążące nad nimi smoki. Wracali tam, gdzie czekały ich ciężkie, smutne obowiązki.

Fąfel karnie podreptał za nimi.



## Epilog

Po drugiej stronie portalu z woli Odrana rozszalała się burza, gdy stanął nad Yseult, która w miękkim łożu, prezencie od niego, zwijała się z bólu. Mógł zakończyć jej cierpienie – zabić ją albo uzdrowić – ale w dniu, który przyniósł mu takie rozczarowanie, jej męczarnia sprawiała mu drobną przyjemność.

– Kolejny raz mnie zawiodłaś.

Podniosła na niego załzawione z bólu oczy.

Nie będzie go o nic błagać i za to ją szanował. Niemniej ten dzień go rozczarował.

– Krwawisz, brudzisz pościel. Dlaczego się nie uleczysz?

– Część grotów wbiła się bardzo głęboko. Rany potwornie boją, a ból osłabia moc.

Na zewnątrz uderzył piorun. Coś pisnęło gdzieś przeraźliwie.

– Mógłbym zakończyć twój ból i wykorzystać twoją krew wiedźmy do wzmocnienia własnej.

– Jeżeli taka twoja wola, mój panie i władco.

– Mogę wziąć jej biżuterię? – Shana podniosła jeden z naszyjników Yseult i przyłożyła do siebie przed lustrem. – Martwa nie będzie jej potrzebować. – Odwróciła się od lustra z triumfalnym uśmiechem. – Zabiłam dzisiaj wieduna. Tego potężnego alchemika, który się we mnie kochał. Osiągnęłam więcej niż ona.

Odran ledwo raczył na nią spojrzeć.

– Ona otworzyła portal, ty tylko przez niego przeszłaś. Idź stąd.

– Do mojej czy twojej komnaty?

– Mojej.

Shana rzuciła Yseult roziskrzone spojrzenie i rozkołysanym krokiem wyszła z komnaty.

– Obawiam się, mój królu, że ona jest szalona.

– I płodna. Już nosi moje dziecko, a więc do czegoś się przyda. Natomiast zastanawiam się nad tobą. – Podeszedł do okna i zapatrzył się na burzę. – Ciągle to samo; krew i starania, żeby otworzyć portal. I wszystko na nic, ty nie potrafisz jej sprowadzić, a oni zamykają portal.

– Są jeszcze inne przejścia.

– Ta, według ciebie, szalona Elfka do czegoś się przydaje. – Odwrócił się od okna. – A ty? Leżysz pokiereszowana i zakrwawiona, słaba i obolała. Pokonana przez kogoś, kto zaledwie kilka miesięcy uczył się magii.

– Ona ma twoją krew, Odranie, i stąd jej przewaga nade mną. Moje życie należy do ciebie, możesz z nim zrobić, co zechcesz. Jeżeli je odbierzesz, modlę się, abym mogła ci służyć po śmierci. Jeżeli mnie oszczędzisz, darowany mi przez ciebie czas poświęcę na szukanie sposobu, aby ją do ciebie sprowadzić.

– Wierzę ci. Wiem, że mówisz prawdę. Niemniej nie lubię porażek.

Podeszedł do łóżka, przytknął palec do jednej z ran na jej ramieniu. Oślepił ją porażający ból, wyprężyła się w łuk. Gdy cofnął palec, drżąca opadła bezwładnie na pościel.

– Będziesz cierpieć. – Pochylił się nad nią. Jego twarz znalazła się tuż nad nią. Yseult, wpatrzona w czerwone obwódki jego tęczówek, liczyła na szybką śmierć. Ale go o nic nie błagała.

Odran wyprostował się i rzucił uśmiechnięty:

– Będziesz żyć. Na razie. Skup się na swojej magii, wiedźmo, i dobrze mi służ. Bo inaczej ten ból to pieszczota w porównaniu z tym, co cię spotka.

Gdy wyszedł, burza natychmiast ucichła. Yseult zamknęła oczy. Odran zabronił napalić w kominku. Dygotała z zimna, chociaż krew w pokaleczonym ciele zdawała się płonąć żywym ogniem. Pogodziła się z cierpieniem. Zawiodła go i jej klęska ma swoją cenę. Ale wyzdrowieje. Wyzdrowieje, odzyska siły i zbierze w sobie moc. Tą mocą otworzy następne drzwi dla swojego pana i władcy. Przysięga na wszystko, co przeklęte. Przywlecze tę dziwkę boginię do Odrana i rzuci mu ją do stóp.

A kiedy pan i władca wysie z tamtej całą moc, weźmie wszystko, czego mu potrzeba, i zmieni tę skundloną Fey w bezwolne truchło, ona ją przejmie i dopilnuje, żeby ta dziwka zapłaciła za każdą chwilę jej bólu.

Całą wieczność będzie spłacać ten dług.